

Listy panny de Lespinasse



JULIE DE LESPINASSE

Listy panny de Lespinasse

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

OD TŁUMACZA

Zarówno rola, jaką odegrała Julia de Lespinasse za życia, jak i sława jej pośmiertna są jednym szeregiem nadzwyczaj interesujących paradoksów. Osoba „nieprawidłowo” urodzona, na stanowisku najpierw podrzędnym, a potem niemal dwuznacznym, niezamężna, nieładna, biedna, nieuprawiająca żadnej sztuki, zajmuje przez szereg lat stanowisko jednej z władczyń Paryża; w salonie jej tłoczy się wszystko, co Paryż i Europa ma najświetniejszego: ambasadorowie, książęta, dostojnicy świeccy i kościelni; jej sympatia lub niechęć rozstrzyga nieraz o powodzeniu kandydatury do Akademii — to już dosyć osobliwe. Osoba ta umiera, okrywając żalem grono bliskich, nie zostawiając jednak — prócz wspomnienia — nic, co by mogło utrwalić jej imię. I oto w 30 lat po jej śmierci pojawiają się listy pisane do człowieka, którego kochała — listy na wskroś poufne, nie tylko nie kreślone z myślą o ich rozgłosie, ale najbardziej zazdrośnie odbierane i strzeżone przez tę, która je pisała; i ta garść listów do kochanka zdobywa Julii de Lespinasse miejsce pośród mistrzów francuskiego słowa i zyskuje jej nieśmiertelność. Nie dość na tym. Przedmiotem, do którego zwracały się te listy, był człowiek niepospolity, ba, nawet — w oczach współczesnych — jedna z najwybitniejszych osobistości epoki; rozkochana w nim autorka listów pasuje go raz po raz na geniusza, sama skromnie grzejąc się w promieniach jego blasków; i oto dzisiaj, po stu kilkudziesięciu latach, jeżeli imię hr. de Guibert żyje dla potomnych, jeżeli wiemy, że istniał, żył i działał, to jedynie dlatego, iż — kochała go Julia de Lespinasse. Oto zaiste dosyć niespodzianek, nawet jak na literaturę, która nas do nich przyzwyczała. Listy panny de Lespinasse mają jeszcze jedną cechę, która czyni z nich dokument — zarówno literacki, jak czysto ludzki — absolutnie jedyne w swoim rodzaju. Najbardziej poufne pamiętniki ludzi piszących, najbardziej osobiste ich zwierzenia listowne, zawsze mają w sobie — podświadomie nieraz — coś, co czyni z nich rzecz „do druku”. Tutaj mamy listy osoby niepiszącej z rzemiosła i która nie tylko nie pragnęłaby, aby te listy znalazły się w innych rękach, ale wręcz byłaby w rozpacz na myśl o czymś podobnym. Ten właśnie charakter *rzeczywistych* listów osoby nienależącej skądinąd do publiczności każe nam dla zrozumienia ich zapoznać się nieco szerzej z tłem, na którym akcja się rozgrywa.

Julia de Lespinasse urodziła się w r. 1732. Nazwisko to, pomieszczone w metryce, było zmyślone; w istocie Julia była nieprawą córką wielkiej pani rozwiedzionej z mężem, hrabiny d’Albon, oraz — jak to nowsze badania ustaliły z niezmiernym prawdopodobieństwem — hrabiego Gasparda de Vichy. Zapatrywania epoki na tego rodzaju nieprawidłowości były nader pobłażliwe; toteż Julia chowała się pod dachem matki, bez żadnej niemal różnicy pomiędzy nią a innymi dziećmi, tak iż zaranie dzieciństwa upłynęło dla niej szczęśliwie. W r. 1739 zaszedł fakt, który wywarł na dalsze losy Julii stanowczy wpływ; mianowicie małżeństwo Diany, córki hrabiny d’Albon, z tymże samym Gasparde de Vichy, z którym hrabina d’Albon miała córkę — Julię de Lespinasse. W kilka lat później umiera hrabina d’Albon, dręczona wyrzutami i zgryzotą, przewidując smutny los córki swej, Julii, po daremnych próbach uregulowania jej pozycji i zapewnienia przyszłości: obie legalne córki, poza którymi stał wpływ zięcia — zarazem ojca Julii de Lespinasse! — sprzeciwiły się stanowczo intencjom matki. Hrabina umiera w r. 1748, zostawiając Julii jedynie drobną legat oraz wręczoną jej do rąk sumkę pieniężną, któ-

rá młoda dziewczyna w młodzieńczym przystępie szlachetności i dumy zwróciła rodzinie d'Albon. Znalazłszy się sama bez opieki, 16-letnia Julia nie ma innego wyboru jak przyjąć schronienie w domu przyrodniej siostry Diany de Vichy, gdzie dowiaduje się (może tylko częściowo?) o tajemnicy swego urodzenia i gdzie pędzi smutne życie na podrzędnym i zależnym stanowisku, śledzona bacznym okiem przez rodzinę, zawsze lękającą się, aby Julia nie powzięła chęci upomnienia się o swoje prawa. Tak płynie życie jej aż do spotkania, które miało wywrzeć stanowczy wpływ na losy panny de Lespinasse — spotkania z margrabiną du Deffand.

Słynna pani du Deffand jest jedną z najciekawszych i najbardziej znamienitych postaci kobiecych pierwszej połowy XVIII w. Z domu urodzona *de Vichy*, margrabina była siostrą Gasparda de Vichy, domniemanego ojca Julii i męża Diany d'Albon. Urodziła się w r. 1697; młodość jej, pierwsze lata małżeństwa, czysto zresztą konwenansowego, przypadają na pełnię *Regencji*. Znalazłszy się w tym świecie, rzuciła się z całą nieopatrnością młodości w szal orgii wypełniających życie Regenta (którego pani du Deffand była nawet przelotną kochanką) oraz jego najbliższego kółka. Ten okres starała się pani du Deffand później pogrześć w zapomnieniu; jakoż w oczach tak współczesnych, jak potomnych przesłoniła go zupełnie późniejsza jej fizjonomia. Po tych latach więcej niż lekkich przyszedł czas przesyty, niesmaku oraz zwrot ku bardziej spokojnemu i godnemu życiu. Drogą do takiego ustalenia się oraz naprawienia nadwężonej reputacji było, wedle pojęć epoki, zdobyć sobie kochanka, którego stałość, pozycja i przymioty osobiste „postawiłyby” nawróconą grzesznicę w oczach towarzystwa. Tego rodzaju związki były szanowane jak małżeństwo (a raczej o wiele wyżej), a wierność w nich dawała tytuł „cnoty” wysławianej ze łzami rozczulenia. Takim odkupicielem grzechów młodości stał się dla pani du Deffand sławny prezydent Hénault — pyszny typ oświeconego epikurejczyka XVIII w. — a stosunek ten, zrazu miłosny, przeszedł później w długoletnią i dozgonną przyjaźń. Prezydent Hénault, jeden z *bel-ésprit* paryskich, ocierający się o naukę i literaturę, otworzył pani du Deffand świat myśli, inteligencji, etc., a wrodzony smak, dowcip i talenty dały jej niebawem zdobyć w tym świecie pierwszorzędne stanowisko. Skupiwszy resztki uszczuplonej fortunki, pani du Deffand osiedla się, obyczajem wdów i starszych panien ówczesnych, przy klasztorze św. Józefa, i tam tworzy sławny salon, jeden z tych, które w owej epoce były w Paryżu niemal instytucją.

Istotnie osobliwą i godną uwagi jest rola, jaką odgrywa w XVIII w. w Paryżu *salon*. Niezmiernie towarzyskie usposobienie Francuzów, miejsce, jakie zajmuje w ich życiu kobieta, czynią zjawisko to zrozumiałym; ale w XVIII w. nabiera ono szczególnego charakteru i zabarwienia. Był to wiek olbrzymiego wrzenia myśli, przemian, dążeń, reform; temu wszystkiemu nie mogła dawać wyrazu *prasa*, która istniała w niezmiernie szczupłych rozmiarach, a przy tym była we wszystkich żywotniejszych punktach spętana cenzurą. Po trosze rolę jej obejmowały *listy*, stąd ten olbrzymi rozwój korespondencji w owym czasie, daleko wybiegającej poza prywatną wymianę myśli i nowin. Listy wybitniejszych korespondentów były niby gazetą odczytywaną publicznie, kopiowaną, obiegującą z rąk do rąk. Ale i listy nie dawały pełnej swobody, jeśli chodziło o wyrażenie prawdziwej myśli, zwłaszcza w cokolwiek drażliwszych przedmiotach (a cóż nie było wówczas drażliwym przedmiotem!). Istniały wielce uzasadnione podejrzenia, że wszystkie listy prywatne, otwierane i przebiegane na poczcie, stanowią codzienną rozrywkę dla znudzonego króla oraz cenny materiał informacyjny dla naczelnika policji i ministrów. Stąd prawdziwe krążenie myśli mogło się odbywać jedynie z ust do ust i to w zaufanym kółku. Salon staje się jakby *Żywym dziennikiem*, codziennie redagowanym, mającym wszystkie jego rubryki: od wstępnych artykułów, aż do drobnej kroniczki i ulotnego wierszyka. Wobec tłoczących się każdego dnia nowych idei, zdarzeń i poglądów oraz braku poddającej ton myślenia prasy przeciętny światowy Paryżanin w *salonie* dowiadywał się co i jak myśleć; warunkiem każdego prawdziwego salonu było mieć swojego *filozofa*, który by codziennie dawał hasło dnia. Stąd te zabiegi, te rywalizacje w zdobywaniu i podziale między siebie wybitnych ludzi, które wypełniają egzystencję ambitnych dam paryskich. Takim nadwornym filozofem był Diderot u baronowej d'Holbach, długo Fontenelle u pani Geoffrin, Grimm u pani d'Épinay (po daremnych próbach „oblaskawienia” na ten cel Jana Jakuba Rousseau), d'Alembert u pani du Deffand, a potem u panny de Lespinasse. W *salonie* urabiało się i niweczyło reputacje. Echa jego wybiegały daleko poza Paryż, do wszystkich

Kochanek, Obyczaj, Dama

Salon, Dama, Obyczaj

zakątków oświeconej Europy, przede wszystkim zaś na dwory panujących, którzy wszyscy pokładali ambicję w tym, aby być duchowymi obywatelami Paryża. Czym mógł być dla kobiety postawiony na odpowiedniej stopie *salon*, przykładem jest bieg życia pani Geoffrin, córki bardzo skromnego paryskiego mieszczanina, a żony zubożonego fabrykanta¹, która od najmłodszych lat postanowiła mieć „salon” i wszystkie zabiegi życia skierowała do tego celu. Powiodło się jej tak dobrze, iż dom jej stał się na parę dziesiątków lat jedną z potęg Paryża, miejscem, do którego starali się zdobyć wstęp najświetniejsi cudzoziemcy. Bywał w nim jako poufały gość Stanisław Poniatowski za pobytu swego w Paryżu; panią Geoffrin, która istotnie okazywała mu macierzyńską dobroć i pobłażliwość, lubił nazywać „mamusią”, a tradycja — mimo iż niezupełnie pewna w tym szczególe — głosi, że bezpośrednio po elekcji przesłał jej te słowa: „Przybywaj, mamusiu, twój synek jest królem”. Istotnie wybrała się pani Geoffrin, mimo podeszłych lat, do Warszawy, a podróż tej sześćdziesięcioparoletniej mieszczki paryskiej przez Europę jest istnym tryumfalnym pochodem. Cesarz Józef II przedstawia się jej podczas przejażdżki w Praterze; za przybyciem do Warszawy pani Geoffrin zastaje umyślnie dla niej zbudowany i przygotowany dom będący najwierniejszą kopią jej domu w Paryżu, wedle zdjętych potajemnie przez architekta planów. Inna rzecz, że ta sielanka psuje się niebawem, gdy pani Geoffrin stara się mieszkać do polityki polskiej, nie mając o niej oczywiście pojęcia, i pobyt jej w Warszawie kończy się rozstaniem dość chłodnym.

Salon pani du Duffand był jednym z pierwszych w Paryżu, tak dzięki błyskotliwemu, ostremu dowcipowi i inteligencji pani domu, jak również dzięki stałej obecności d'Alemberta, filaru *Encyklopedii*, słynnego geometry, pisarza i filozofa, człowieka — po Wolterze — najgłośniejszego wówczas w Europie. Rozległa korespondencja, w której wszystko co było najświetniejszego we Francji i za granicą — z Wolterem na czele — cisnęło się o zaszczyt wymiany listów z panią du Deffand, dodawała jeszcze smaku tym biesiadom duchowym.

W tym okresie pani du Deffand liczyła lat około 50; o dawnych wybrykach z czasów Regencji zapomniała doszczętnie, i świat zapomniał o nich również, pogodziwszy się z tą nową fazą jej egzystencji. Równocześnie przychodzi na margrabinę ciężka próba: stopniowo zaczyna tracić wzrok. W tym stanie ducha, przejęta lękiem przed starością ociemniała i samotną, pani du Deffand poznaje w czasie bytności u brata Julię de Lespinasse, a ujęta wdziękiem, żywością umysłu i serca oraz inteligencją młodej dziewczyny, uzyskuje po dość długich walkach i wahaniach to, aby przenieść się do Paryża i zamieszkała przy niej w charakterze towarzyszki. Nastąpiło to w r. 1754; Julia miała wówczas lat 22. Pierwsze lata tego stowarzyszenia upływają bardzo dobrze i mają dobroczynny wpływ na Julię, której wrodzone bogactwa duchowe rozwijają się i dojrzewają pod wpływem zetknięcia z elitą umysłową Paryża. Niebawem zyskuje powszechną sympatię, a nawet i żywsze uczucia: d'Alembert, żyjący dotąd samą geometrią, rozkochuje się w Julii niemal od pierwszej chwili, uczuciem, które przetrwa wszystkie próby i gorycze i pozostanie jej wierne aż do zgonu.

Ciekawy to, jak gdyby ręką świadomego artysty skomponowany kontrast tych dwu postaci kobiecych. Przeszłość i przyszłość. Dwie epoki, dwie fizjonomie tego tak bogatego wieku XVIII. Pani du Deffand, o młodości więcej niż burzliwej, wyhodowana na oschłej nieco grze mózgu i dowcipu, przyjaciółka Woltera i jemu duchowo pokrewna, świadoma wszystkiego i znudzona wszystkim, bez złudzeń w stosunku do ludzi, trawiona nieugaszoną nudą; panna de Lespinasse, natura szlachetna, czysta, naiwna, wychowana na Rusie, entuzjastka pełna wiary i rozciekawienia życiem. Jeżeli dodamy jeszcze kontrast, jaki tworzyła różnica wieku, a pogłębiało kalectwo pani du Deffand, łatwo pojmemy, iż ta ostatnia we własnym salonie hodowała sobie niebezpieczną współzawodniczkę. Odczuła to niebawem; zwłaszcza po odmianie w usposobieniu najulubieńszego jej beniaminka, d'Alemberta, który od czasu poznania Julii mimo woli oddalił się od starej margrabin. Mimo to dzięki obustronnemu taktowi dwu kobiet współzycie to utrzymywało się przez

¹pani Geoffrin (...) żony zubożonego fabrykanta — mąż ten, człowiek rozsądny, ale mało lotnego umysłu, spędził dziesięć czy dwanaście lat przy stole żony jako niemy słuchacz filozoficznych biesiad. Jednego dnia miejsce jego pozostało próżne. „Kto był ów starszy pan, który zajmował to miejsce, i co się z nim stało?”, zapytał jeden ze stałych gości. „To był mój mąż, umarł”, odparła pani Geoffrin, i oto jedyna mowa pogrzebowa, jakiej nieborak się doczekał za swoje pieniądze. [przypis tłumacza]

całych lat kilka bez zbytnich tarć. Ale na koniec bomba pękła, a stało się to w r. 1764, a więc w 10 lat po wejściu panny de Lespinasse do domu. Pani du Deffand, trapiąca bezsennością, żyła i przyjmowała późnym wieczorem aż głęboko w noc, a rozpoczynała dzień również późno; otóż utarło się, iż korzystając z tego, gromadka bliższych jej gości, będących zarazem wiernymi entuzjastami Julii, zbierała się w pokoiku tej ostatniej na godzinkę przed wstaniem pani du Deffand, tworząc w ten sposób, ukradkiem — z całym urokiem tajemnicy i zakazanego owocu — mały ustronny salonik przy wielkim salonie. Najczęściej bywał tam d'Alembert, Turgot (późniejszy minister), Chastellux, Marmontel i parę innych również wybitnych osobistości. Nie da się opisać furii, jaka ogarnęła starą, ociemniałą margrabinę, skoro przypadkowo wpadła na trop tych niewinnych zebrań. A więc wyhodowała — wedle klasycznego porównania — „źmiję na łonie”, złodziejkę, która odkrada jej przyjaciół i — o zgrozo! — zgarnia jej pierwszą, najdelikatniejszą „śmietankę konwersacji”! Nastąpiła gwałtowna scena, w której Julia też nie pozostała dłużną swej chlebodawczyni, a zarazem — ciotce. Wszystkie żale, wszystkie gorycze jej krzywdy, jej nieprawidłowej, upokarzającej sytuacji, w jakiej trzymano ją dla interesu, wszystkie lata cierpliwie znoszonych kaprysów i despotyzmu wypłynęły jej na usta. Była to jedna z tych scen, od których nie ma powrotu. Julia musiała opuścić dom pani du Deffand, a wszyscy „wierni” salonu margrabiny stanęli wobec alternatywy wyboru: „ja albo ona”. Przede wszystkim tyczyło to d'Alemberta, który bez wahania przeszedł do obozu Julii.

Zajście to stało się wypadkiem dnia w paryskim światku, który podzielił się na dwa stronnictwa; na ogół jednak głosy przechylały się raczej na stronę panny de Lespinasse. Wszystko co było najwybitniejszego wśród wspólnych znajomych — od prezydenta Hénault począwszy — pospieszyło nazajutrz wyrazić Julii swoje współczucie i sympatie. Ten i ów przyszedł z pomocą, aby ubogiej dziewczynie ułatwić pierwsze trudności i koszta instalacji. Marszałkowa de Luxembourg (ta sama, która taką rolę odgrywa w *Wyznaniach* Russa) ofiarowała kompletne umeblowanie. Pani Geoffrin, serdecznie nie lubiąca pani du Deffand jako groźnej „konkurentki”, sprzedała z wielką ostentacją cesarzowej Katarzynie swoje najpiękniejsze obrazy Van Loo, aby z uzyskanej sumy utworzyć dla panny de Lespinasse dożywotnią rentę; ba, nawet wykołatano dla niej pensyjkę ze szkatuły królewskiej! Ogółem wzięwszy, dary te, wraz z małym legatem pani d'Albon, utworzyły pannie de Lespinasse dochód ośmiu tysięcy pięciuset franków rocznie, co jak na owe czasy pozwalało jej żyć bez zbytku, ale przyzwoicie. Osiedliła się niedaleko od pani du Deffand, przy tej samej ulicy św. Dominika, i tam siłą faktów, zrazu dzięki magicznemu wpływowi nazwiska d'Alemberta, później dzięki osobistym zaletom i urokom Julii, powstał nowy *salon*, który przez 12 lat ściągał między 5 a 9 wieczór wszystko co było najświetniejszego w Paryżu i Europie, mimo że ubóstwo gospodyni nie pozwalało jej raczyć gości czym innym niż rozmową. *Elle donne à causer*, pisał o tym osobliwym salonie Grimm².

Pobyty na nowej siedzibie rozpoczął się fatalnie. Zaledwie rozgospodarowawszy się u siebie, Julia zapadła na gorączkową chorobę, która niebawem zdeklarowała się jako ospa — „Z przyjemnością widzę — pisał Hume do pani de Boufflers — iż d'Alembert w tej okoliczności zapomniał o swojej filozofii”. Istotnie, d'Alembert z bezgranicznym poświęceniem czuwał dzień i noc u łóża przyjaciółki i niemało staraniami swoimi przyczynił się do ocalenia jej życia. Wyszła wreszcie, ale wynosząc na twarzy niestarte ślady przebytej choroby. Panna de Lespinasse nigdy nie była piękna, ale miała miłą powierzchowność; obecnie rysy zgrubiały, płeć zatraciła się, ślady ospy pokryły twarz. Musiał być potężny jej urok wewnętrzny, skoro pozwalał zapomnieć do tego stopnia o jej powierzchowności, iż najsilniejsze uczucia, jakie obudziła, przypadają po tej chorobie.

Zaledwie Julia wyzdrowiała, zapadł z kolei d'Alembert, wyczerpany długim czuwaniem i wzruszeniami. Z kolei panna de Lespinasse pełniła przy nim rolę najoddańszej³ siostry miłosierdzia. Co więcej, skoro przyszedł nieco do sił, nie zgodziła się, aby miał nadal pozostać sam, bez opieki, w odległym i niewygodnym mieszkaniu; postanowiła, aby zamieszkał przy niej. W ten sposób, aż do śmierci Julii, utworzyło się to oryginalne stadło, które cały Paryż akceptował i otaczał szacunkiem, niewolnym zresztą od żarci-

²pisał o tym osobliwym salonie Grimm — [w:] *Correspondance litteraire*. [przypis tłumacza]

³najoddańszy — dziś popr.: najbardziej oddany. [przypis edytorski]

ków, gdyż publiczną tajemnicą było, że przyjaźń d'Alemberta nie może być dla kobiety kompromitująca i że skazana jest na charakter platoniczny.

Pochodzenie d'Alemberta posiada wiele podobieństwa z losami Julii. I on był nieprawnym dzieckiem wielkiej damy, głośnej pani de Tencin, siostry kardynała; matka jednak nie tylko nie przyznała się do niego, ale wręcz kazała go porzucić na stopniach kościoła św. Jana. Naturalny ojciec, kawaler Destouches⁴, odszukał dziecko, umieścił u poczciwej kobiety, pani Rousseau, i umierając niebawem, zapisał mu niedużą rentę. To powinowactwo losów wpłynęło może na obudzenie głębokiego uczucia, jakie d'Alembert powziął dla Julii de Lespinasse, która odpłacała mu je szczerze, nie przekraczając jednak granic szacunku i przyjaźni. Dodajmy, iż mimo osobliwych warunków, mimo szerokich pojęć ówczesnych w tych sprawach, trzeba było jednak wyjątkowych praw, jakie umiała sobie zdobyć panna de Lespinasse, aby cały Paryż przyjął tę, bądź co bądź niezwykłą, sytuację.

Stała obecność d'Alemberta stała się podwaliną salonu Julii. Wiadomym było w Paryżu, iż tego tak poszukiwanego filozofa nie spotka się nigdzie indziej, z wyjątkiem dwa razy na tydzień na obiedzie u pani Geoffrin, z którą stadło przyjaciół zachowało najlepsze stosunki i w której domu było jak w swoim własnym. Julia de Lespinasse była zresztą jedyną kobietą dopuszczoną na te sławne obiady pani Geoffrin, gromadzące najtęższe głowy stronnictwa Encyklopedystów.

Ale, jeżeli d'Alembert był tym, który ściągnął Paryżan do skromnego mieszkania przy ul. św. Dominika, Julia, ta „wielka czarodziejka”, jak ją nazywano, miała zasługę, iż umiała ich zatrzymać. Do szerokiej inteligencji, rozmowy pełnej ognia, błyskotliwości, entuzjazmu, dowcipu, łączyła wielką sztukę: poddawania się urokowi innych, stwarzania dla nich sposobności błyszczenia, głaskania nader zręcznie wszystkich miłości własnych, interesowania się drugimi. Duch jej *salonu* umiał uniknąć zacieśnień i wyłączności; wrażliwość i dar entuzjazmu pozwalały jej wciąż się odnawiać, być w swoim salonie wszędzie obecną duchem i wydobywać z każdego co w nim najcenniejsze. „Umiała — pisze Grimm⁵ — kojarzyć najróżniejsze zasoby duchowe, niekiedy najsprzeczniesze, bez najmniejszego wysiłku; jednym zręcznie rzuconym słowem podtrzymywała rozmowę, ożywiała ją i odmieniała do woli. Nie było rzeczy, która by jej nie obchodziła i której by nie umiała uczynić miłą dla innych. Duch jej obecny był wszędzie; można by powiedzieć, iż urok jakiejś niewidocznej potęgi sprowadzał bez ustanku wszystkie zainteresowania do wspólnego środka”. — „Rozmowa jej — pisze Guibert⁶ — nie była nigdy powyżej ani poniżej osób, z którymi rozmawiała: zdawała się posiadać tajemnicę wszystkich charakterów, miarę i ton wszystkich umysłów”.

Salon Julii — jak to wynikało już z patronatu d'Alemberta — był przede wszystkim obozem grupy tzw. „Encyklopedystów”. „Muza Encyklopedii”, tak nazywali pannę de Lespinasse jedni ironicznie, drudzy ze szczerym podziwem. A był to obóz bardzo liczny, bardzo solidarny, tą solidarnością młodego, wojującego jeszcze i prześladowanego kościoła. Stopniowo duch „Encyklopedii” ogarniał coraz więcej umysłów, a tym samym stanowisk; sympatyzowali z nim tacy ludzie, jak pierwszy minister książę de Choiseul, jak Malesherbes i in. Stanowisko tej grupy w Akademii wzmocniło się osobliwie, odkąd d'Alembert został stałym sekretarzem instytucji; toteż w rączkach panny de Lespinasse spoczywały losy niejednej kandydatury do fotela dającego — wedle jej dowcipnego określenia — „dożywotnią nieśmiertelność”.

Stosunek „wiernych” z salonu przy ul. św. Dominika do gospodyni domu jest zarazem cieplejszy niż w innych salonach. „Boją się” pani Geoffrin, która trzymała krótko swoich filozofów, kiedy zanadto chcieli folgować językom; podziwiają przenikliwy, ostry dowcip pani du Deffand; — kochają Julię de Lespinasse. Umiała być nieporównaną przyjaciółką, budzącą ufność, oddaną i mającą cenny dar kojarzenia wszystkich tych, którzy ją kochali, tak że tworzyli jak gdyby zwarty kościółek.

W tym otoczeniu, w tej wysokiej atmosferze umysłowej płynęło życie Julii, życie, które po smutnej młodości, po latach wypełnionych przymusem i upokorzeniami na

⁴Naturalny ojciec [d'Alemberta], kawaler Destouches — ojcostwo przypisywano także i samemu kardynałowi, bratu teje pani de Tencin; legenda, mimo że tutaj bez podstaw, charakterystyczna dla epoki i osób. [przypis tłumacza]

⁵pisze Grimm — [w:] *Correspondance littéraire*. [przypis tłumacza]

⁶pisze Guibert — [w:] *Pochwała Elizy*. [przypis tłumacza]

podręcznym stanowisku „towarzyski” musiało się jej wydać rajem. Toteż oddaje mu się w całej pełni, z żywiołowym pędem entuzjastycznej natury. „Znam tylko jedną przyjemność — pisze — żyję tylko jednym uczuciem: przyjaźnią; ona mnie podtrzymuje i pociesza... Istnieję tylko po to, aby kochać i cenić moich przyjaciół. Ach! jacy oni mili! jacy zacni! i jacy szlachetni! Ileż im jestem winna!”⁷. A pamiętajmy, że ci przyjaciele, którzy znaleźli się u stóp biednej, długo poniewieranej dziewczyny, bez majątku i stanowiska, to elita umysłowa i towarzyska Paryża i Europy.

Wśród tego zachodzi w życiu panny de Lespinasse fakt, który nadaje inny kierunek jej wrażliwej duszy. Dotąd Julia jest tą osobą, jaką znali i której pamięć utrwaliłi w licznych wzmiankach współcześni: ową nieporównaną „czarodziejką”, doradczynią dyskretną, roztropną i oględną. Ale dla potomności, dzięki odsłonięciu zakrytej współczesnym tajemnicy, Julia de Lespinasse żyć będzie pod zupełnie inną postacią: pozostanie najdoskonalszym typem owych „miłośnic”, których życie pochłania, trawi, zżera ta jedna namiętność ze wszystkimi jej wzruszeniami i udręczeniami, czyniącymi z jej listów „najsilniejsze — jak o niej powiedziano — uderzenie serca całego XVIII wieku”.

Pośród wybitnych cudzoziemców, którzy ze wszystkich stron Europy cisnęli się do światła encyklopedycznej jutrzenki, jednym z najbardziej zwracających uwagę był młody Hiszpan, margrabia de Mora. Potomek jednego z najstarszych rodów hiszpańskich, ożeniony — dynastyczną modą — w dwunastym roku życia, owdowiał w dwudziestym, przybył jako dwudziestoparoletni młodzieniec do Paryża, gdzie ojciec jego, hr. de Fuentes, sprawował funkcję ambasadora Hiszpanii. Mile przyjmowany na dworze i w najlepszych towarzystwach, rozrywany przez kobiety, młody margrabia de Mora, niezwykle poważnie myślący na swój wiek, garnął się jednak najchętniej do centrów świata umysłowego, w którym spodziewał się znaleźć rozwiązanie tylu kwestii poruszających wówczas całą Europę. Oczywiście jest, że w świecie tym musiał poznać „Muzę Encyklopedii”, pannę de Lespinasse; poznanie to nastąpiło w r. 1766. Mora miał wówczas lat 22, Julia — jak to stwierdza nieubłagana metryka — liczyła ich 34. Wrażenie, jakie wywarł na niej młody Hiszpan, było nader silne; był on w jej oczach ucieleśnieniem ideału, jaki gorąca jej wyobraźnia utworzyła sobie pod wpływem lektury Russa i Richardsona. Zanim jednak wrażenie to mogło się rozwinąć, Mora, wezwany sprawami rodzinnymi do Madrytu, opuszcza Paryż.

W Hiszpanii wówczas nadstawiano pilnie ucha na echa prądów filozoficznych płynące z Paryża, tłumaczono dzieła Woltera, Diderota, Russa. Książę Aranda, teść pana de Mora, był twórcą dekretu wypędzającego jezuitów z Hiszpanii, a młodego de Mora, przybywającego z Paryża po głośnych sukcesach w salonach Encyklopedii, przyjęto jako świecznik „postępu”, przyszłego zbawcę kraju. I znowuż kobiety rzuciły się na świętego młodzieńca, a jednej z nich — księżnej de Huescar — powiodło się przykuć go do siebie na czas dość długi.

W r. 1767, Mora, przeszedłszy ciężkie wstrząśnienia moralne z powodu śmierci nieletniego syna, przybywa znowu do Paryża, aby tam, w świecie myśli, szukać ukojenia. Wraca inny niż za pierwszym pobytom, dojrzały, poważniejszy, przesycony łatwymi zdobyczami, przede wszystkim jednak już sięgnięty chorobą piersiową, która tak przedwcześnie miała położyć kres jego życiu. W tym samym czasie Julia de Lespinasse przechodzi znamienny przełom. Oswojona ze swą nową pozycją, nacieszywszy się niezależnością, tryumfami w świecie, kołem przyjaciół, zaczyna odczuwać pustkę tej egzystencji. Natura jej gorąca, namiętna, przeznaczona wyłącznie do kochania rozpraszała się dotąd na przyjaźnie, sympatie, nie zaznawszy jeszcze prawdziwego, głębokiego uczucia. Poprzednio podręczne jej stanowisko, podejrzliwy wzrok rodziny lękającej się, aby w razie jakich małżeńskich zamiarów Julia nie upomniała się o udział w nazwisku i majątku, nie pozwalały jej myśleć o miłości. Młodzieńczy sentyment — wzajemny, jak się zdaje — do młodego hrabiego Taaffe, został brutalnie przecięty przez panią du Deffand. Życie jej uczuciowe chroniło się tedy w świat wyobraźni, atmosfera zaś romansowo-namiętna, wydzielająca się z nowej literatury współczesnej, stwarzała w Julii ten stan, który tak przekonująco opisuje Rousseau w *Wyznaniach* w epoce tworzenia *Nowej Heloizy*, gdy serce jest pełne miłości, nie znając jeszcze jej przedmiotu.

⁷Znam tylko (...) pisze (...) — [w:] *List do Condorceta*. [przypis tłumacza]

To nowe spotkanie margrabiego de Mora i panny de Lespinasse, tak dobrze przygotowanych do głębokiego uczucia, było niby iskra elektryczna. Miłość chwyta ich jak huragan. Dla Julii rozpoczyna się nowe życie; wszystko, czym wypełniała je dotąd, blednie w jej oczach i przestaje istnieć; cała tonie w tym potężnym uczuciu, do którego serce jej i dusza tak bardzo były stworzone. Przez kilka lat pobytu pana de Mora w Paryżu — pobytu przerywanego wprawdzie kilkakrotnymi wyjazdami — miłość ta trwa z obu stron w jednakim stopniu nasilenia i entuzjazmu. Kiedy zaproszenie króla zmusiło pana de Mora do dwutygodniowego pobytu w Wersalu, panna de Lespinasse otrzymała odeń przez ten czas 21 listów, a ona sama spędziła czas rozłąki, nie wychodząc z mieszkania, zajęta — jak sama mówi — „pisanem doń albo czytaniem jego listu”.

Nastręcza się pytanie, które na pozór wydawałoby się czcze, a które mimo to jest bardzo uzasadnione: mianowicie jakiej natury był stosunek łączący Julię de Lespinasse z panem de Mora? Zdawkowa opinia biografów sądzi, wnioskując z nasilenia objawów tej miłości u dwojga ludzi wolnych, nieskrępowanych przesądami, że był to stosunek miłosny w pełnym znaczeniu słowa; natomiast najkompetentniejszy z historyków panny de Lespinasse, margrabia de Ségur, ma w tej mierze poważne wątpliwości. Istotnie, jawność, z jaką Julia obnosi swoją miłość, swoboda jej w stosunku do rodziny pana de Mora, plany małżeństwa z ukochaną, jakie ten ostatni do samego końca buduje ku wielkiemu zaniepokojeniu swych bliskich, przede wszystkim jednak wyraźne i wielokrotne wynurzenia w tej mierze w listach panny de Lespinasse do pana de Guibert — wynurzenia, których szczerości nie mamy powodu podejrzewać — wszystko to każe raczej przypuszczać, iż był to stosunek wzięty bardzo z wysoka, bardzo egzaltowane i który zachował charakter czystego jak gdyby narzeczeństwa. Tam, gdzie kobieta wyczuwa w mężczyźnie ten stopień miłości, tam instynkt kobiecy umie podyktować jej linię postępowania najspodobniejszą, aby utrzymać tę miłość w podnieceniu niesłabnącej egzaltacji, tam żal jej jest uszczuplać napięcie tej miłości przez jej zaspokojenie — zwłaszcza gdy na dalekim horyzoncie majaczy możliwość małżeństwa, jakże ponętna tutaj, nawet dla istoty tak szlachetnie bezinteresownej jak Julia! W poważnym, głębokim uczuciu takiego jak pan de Mora człowieka, ileż upojeń dla miłości własnej osoby tak doświadczonej życiem, tak obolałej, sponiewieranej w ambicji! Bohaterka *Nowej Heloizy* upadła, ponieważ Saint-Preux był tylko korepetytorem (cóż więcej panna z dobrego domu może mieć z korepetytora?) — zdobyłaby się zapewne na opór, gdyby przy tym samym stopniu rozkochania był np. księciem krwi.

Kilka lat, przez które trwała ta czarowna miłość, nazywa Julia najszcześniejszym czasem swego życia; nie był on jednak zupełnie wolny od chmur. Rodzina stara się oderwać pana de Mora od Paryża i Julii, używając w tym celu dróg urzędowych. Mora służy wojskowo; w 26 roku jest generałem brygady. Mimo iż ta wielkopańska służba nie stanowi bezwzględnej niewoli, i tak jednak wyrывa go często z Paryża; niecierpliwy kochanek ciągle stara się o dymisję, w czym napotyka umyślne trudności. Przy tym zdrowie pana de Mora podupada: nawiedzają go częste krwotoki; lekarze wyprawiają go raz po raz do cieplejszego klimatu; nowe miesiące rozłąki, tym boleśniej, że wypełnione niepokojem o życie ukochanego! Wreszcie 7 sierpnia 1772 r. pan de Mora z nakazu lekarzy opuszcza Paryż z nadzieją rychłego powrotu do tej, którą bardziej niż kiedykolwiek spodziewa się nazwać swą żoną, w rzeczywistości jednak po to, aby nie ujrzeć jej już nigdy.

Wśród tych przeżyć, szarpanin, miesięcy smutku sprowadzonych rozłąką i niepokojem, charakter Julii zmienił się bardzo. Usposobienie jej, zawsze nerwowe i nierówne, zrobiło się przykre, niecierpliwe; to znowu trwała dnie całe bez ruchu, apatyczna, oczekując godziny pocztowej. Najwięcej cierpiał na tym oczywiście biedny d'Alembert, jedyny zresztą człowiek, który nie wiedział nic o miłości Julii do pana de Mora i zainteresowanie jej tłumaczył sobie żywym stopniem przyjaźni. Zaczyna filozof wstawał nieraz o świcie i biegł na pocztę, aby Julia miała wcześniej upragniony list. „Nie znalazłoby się w całym Paryżu biednego posłańca — pisze Grimm — który by załatwił tyle posyłek, tyle utrudzających zleceń, ile pierwszy geometra w Europie, szef towarzystwa encyklopedycznego, dyktator naszych Akademii uskutecznia ich co rano w służbach panny de Lespinasse”. Wreszcie pod wpływem humorów Julii d'Alembert doszedł do takiego przygnębienia i rozstroju, iż przyjaciele zmusili go niemal do podróży do Włoch. Podróż ta, której koszta

podjął się pokryć Fryderyk pruski skończyła się zresztą na kilkutygodniowym utknięciu w Ferney u Woltera.

A teraz wchodzimy w drugi akt dramatu Julii de Lespinasse, jak gdyby skomponowanego przez pierwszorzędnego artystę. Trzeba nam poznać nowego aktora, który niebawem przesunie na dalszy plan wszystkie inne postacie. Był nim człowiek w danej chwili najgłośniejszy i najbardziej rozrywany w Paryżu, hr. de Guibert.

Pan de Guibert miał liczne tytuły do tego, aby budzić zainteresowanie i podziw współczesnych. Mimo młodego wieku (liczył wówczas lat 29) był wytrawnym wojskowym, miał za sobą chlubne czyny w czasie wojny siedmioletniej oraz był autorem książki, która wywarła wrażenie w całej Europie, pt. *Ogólny zarys taktyki*. Jedna część dzieła zawierała techniczne zasady taktyki, stanowiące rewolucję w ówczesnej sztuce wojowania; wystarczy powiedzieć, iż Napoleon w pierwszych kampaniach miał zawsze pod ręką egzemplarz dzieła adnotowany własną ręką. Pierwsza część, wstępna, stanowiła namiętną i śmiałą diatribę przeciw ówczesnym metodom rządzenia, przeciw absolutyzmowi i zawierała, na 20 lat przed Rewolucją, szereg myśli i poglądów, które później stały się powszechnym hasłem. Książka zrobiła, jak wspomniałem, olbrzymie wrażenie; tacy ludzie jak Fryderyk, jak Wolter, wróżyli Guibertowi najświetniejszą przyszłość: *geniusz*, oto słowo, którego współcześni używają potocznie, skoro mowa o Guibercie. Więcej jeszcze; ten sam wojownik, strategik i reformator ludzkości był autorem tragedii, którą czytywał w licznych salonach — czytał, nawiasem mówiąc, po mistrzowsku — budząc zachwyt mężczyzn, doprowadzając kobiety swoim ciepłym, wibrującym organem (*bonny soit qui mal y pense*⁸!) do napadów szału, zemdlenia, etc. Skoro tragedia pojawiła się na scenie, okazało się, iż osobisty urok wygłoszenia autora odgrywał we wrażeniu dużą rolę; sztuka sprawiła zawód; na razie jednak podbijała jeszcze entuzjazm, jaki budził pan de Guibert w salonach Paryża. Łatwo zrozumieć, że kobiety szły się do stóp tego człowieka, który w zamian odnosił się do nich z łaskawą niedbałością zdobywcy. Miłość zresztą — jak mu to nieraz powiada panna de Lespinasse — była u pana de Guibert „raczej potrzebą jego wieku niż charakteru”; była to natura żyjąca bardzo na zewnątrz, potrzebująca ludzi, ruchu, oklasków, holdów, mało znajdująca smaku w słodkim sam na sam poufnych godzin. Pod urok tego to człowieka popadnie Julia de Lespinasse; jemu zawdzięczać będzie parę chwil namiętnego, krótkotrwałego szczęścia, przeplatane wyrzutami i męką, męką, pod której ciężarem ugnie się i załamie jej życie, od której skona, wyśpiewawszy wprzód nieśmiertelną pieśń miłości w swoich listach.

Poznanie panny de Lespinasse z Guibertem nastąpiło w r. 1772, jeszcze w czasie ostatnich miesięcy pobytu pana Mora w Paryżu. Wrażenie, jakie uczynił na niej młody pułkownik, było korzystne, ale nic więcej: miłość pana de Mora, jego bliski odjazd, pochłaniały całą duszę Julii. Postarała się jednak o książkę Guiberta, a książka ta obudziła w niej taki entuzjazm, iż musiała mu dać upust, pisząc do autora z powinszowaniem; podziękował wizytą, która utrwaliła jeszcze korzystne wrażenie. W ten sposób zadzierzgnęła się pierwsza znajomość; niebawem, po wyjeździe pana de Mora, znajomość ta zacieśnia się w coś w rodzaju przyjaźni, dającej pannie de Lespinasse chwile osłody i zapomnienia w tęsknocie za ukochanym. Zanim był czas, aby ta przyjaźń mogła się przerodzić w żywsze uczucie, zagrażające pamięci o nieobecnym, pan de Guibert, party potrzebą wrażeń, puszcza się w podróż niezwykle jak na owe czasy daleką, zamierzając przebiec Austrię, Niemcy, a nawet Rosję. Z tą chwilą wyjazdu rozpoczyna się korespondencja panny de Lespinasse, którą mamy oto przed sobą. Zrazu ton jest lekki, żartobliwy; jednakże od czasu do czasu pod tą *amitié amoureuse*⁹ wyczuwa się akcenty pozwalające mniemać, że iskiereki mogą buchnąć w płomień. Sama Julia czuje, że przyjaźń ta wyrasta w jej sercu kosztem uczucia dla nieobecnego; stąd wyrzuty, jakie często wracają jej pod pióro.

...Jest w pańskim liście ustęp, na którym oczy moje nie śmiały się zatrzymać, dusza zaś zdawała się doń przywierać. Mój Boże, jakie słowo pan

⁸*bonny soit qui mal y pense* — hańba temu, kto pomyśli o tym coś złego; dewiza Orderu Podwiązki ustanowionego w 1348 r. przez króla Anglii, Edwarda III; według anegdoty związanej z powstaniem orderu, kiedy na balu jedna z dam, pani de Salisbury, zgubiła podwiązkę w obecności króla, on osobiście wybawił ją z tej nad wyraz kłopotliwej sytuacji, podnosząc i własnoręcznie zawiązując podwiązkę na właściwym miejscu, wypowiadając słowa upamiętnione jednym z najstarszych orderów w Europie. [przypis edytorski]

⁹*amitié amoureuse* (fr.) — miłosna przyjaźń. [przypis edytorski]

wymawia! Krew mi się ścina. Nie, nie, dusza moja nie szukałaby już pańskiej. Och! ta myśl o śmierć mnie przyprawia! Bądź moją pociechą, ukój, jeśli zdołasz, zamęt mojej duszy, ale strzeż się myśleć, że mogłabym przeżyć przez chwilę nieszczęście, którego sama obawa napelnia życie moje przerażeniem, podcina mi siły i mąci bez przerwy rozum...

W miarę, jak korespondencja się przeciąga, ton listów coraz więcej staje się miłosny; świadczą o tym akcenty zazdrości, jakie wybuchają, ilekroć nasuwa się Julii aluzja do stosunku — dawnego zresztą i na wpół wystygłego — Guiberta z panią de Montsaugé. Zdradza to niepokój, niezwykle żywy, na wiadomość o chorobie — przemijającej — Guiberta. W tym usposobieniu, z zamętem w sercu, nie wiedząc sama, czy kocha, kogo kocha, oczekuje panna de Lespinasse powrotu Guiberta.

Wraca wreszcie, opromieniony nowym blaskiem przyjęcia, jakiego doznał u króla Fryderyka, sukcesami, jakie nań czekają w Paryżu. Stosunek z panią de Montsaugé jest zerwany — tak przynajmniej oznajmił Guibert panie de Lespinasse; Julia coraz bardziej poddaje się niebezpiecznemu urokowi, jaki wywiera na nią obecność, spojrzenie, głos tego człowieka. Każdy dzień pcha ją z nieprzepartą siłą ku przełomowi, którego chwila zależeć będzie już tylko od woli tryumfatora.

Przełom nastąpił — wiemy nawet jego datę: 10 luty 1774¹⁰ — a terenem jego był poik przy łożu panny de Lespinasse w Operze, gdzie nieraz Julia i Guibert spędzali długie godziny, siedząc na zacisznej kanapce i sącząc w siebie niebezpieczny czar muzyki. Panna de Lespinasse, duszą poślubiona narzeczona margrabiego de Mora — liczyła wówczas, znowuż podług nieubłaganej metryki, rok czterdziesty drugi — zostaje kochanką hr. de Guibert.

I znowuż nasuwa się delikatne pytanie (duchu Hörsicka, nie opuszczaj mnie!): jeżeli stosunek Julii z panem de Mora uznamy za platoniczny, czy Guibert był — w technicznym rozumieniu słowa — pierwszym jej kochankiem? Mój Boże, taką rzecz trudno jest nieraz rozstrzygnąć w stosunku do współczesnej i najbliższej obchodzącej osoby, a cóż dopiero na przeciąg stu kilkudziesięciu lat na papierze! Opierając się na wielu ustępach zawartych w listach panny de Lespinasse, możemy sądzić, że tak; a nie znamy w jej życiu ani jednej poszlaki, która by tu dawała prawo wątpić o jej szczerości.

Tego samego dnia, o tej samej godzinie — a nieostatni to w tym romansie szczegół, który wydaje się jakby skomponowany przez powieściopisarza — Mora ulega nowemu atakowi: straszliwy krwotok powala go, tym razem ostatecznie, na łożo choroby, tak, iż odtąd życie jego liczy się tylko na miesiące powolnego konania. Na razie jednak Julia o tym nie wie — wiadomość przyjdzie dopiero w marcu — i zagłuszywszy wyrzuty sumienia, pije wszystkim tchem z tzw. czary upojeń. A uczucie, które wiąże ją do Guiberta, jakże odmienne jest od tego, jakie łączyło ją z panem de Mora! Nie posiadamy, niestety, korespondencji tamtych dwojga między sobą; można jednak wnosić, że w ton tego uczucia wchodziło dużo elementów romantycznej egzaltacji; podczas gdy tym razem to żywa, brutalna Miłość, miłość w całej pełni, *Venus tout entière à sa proie attachée*, zagarniająca wbrew woli, przykuwająca ją niewolnictwem rozkoszy, aż do zdeptania wszystkiego, co było jej święte, aż do upodlenia kompromisów i podziału. Julia — mimo nieodpartego pędu, jaki pcha ją w objęcia Guiberta — kocha niby ciągle pana de Mora, wciąż przeciwstawia jego imię nowemu kochankowi, wciąż dając mu pierwszeństwo; mimo to jakże bladym zdaje się nam cieniem wspomnianie wszystkich tych doskonałości w porównaniu do kilku wierszy słynnego jej listu:

„O każdej godzinie mego życia,
Miły mój, cierpię, kocham cię i czekam”.

Wśród tych chwil kradzionego, spazmatycznego szczęścia życie Julii jest torturą. Pod tym względem możemy wierzyć jej listom; to nie frazesy ani egzaltacja. Stan jej duchowy jest straszny. Dopuściła się więcej niż złamania wiary; zdeptała uczucie, które było

¹⁰jego datę: 10 luty 1774 — ścisła data wiadoma jest z listu panny de Lespinasse pisanego w rocznicę tego faktu: „Północ bije, mój przyjacielu: tknęło mnie wspomnienie, które mi mrozi krew. To 10-go lutego zeszłego roku upiłam się trucizną, której działanie trwa jeszcze...”. [przypis tłumacza]

jej chlubą. Uczciwa na wskroś jej natura dręczy się sprzeniewierzeniem, jakie popełniła wobec człowieka, który jej zaufał, który kocha ją do tego stopnia, że wciąż myśli o tym, aby wbrew wszystkim i wszystkiemu uczynić ją swoją żoną; który tam, daleko, wyrывa się do niej i z narażeniem życia gotuje się lecieć do Paryża. A co będzie, gdy Mora wróci? Kto wie, nieraz może, wychodząc z objęć Guiberta, Julia ze zgrozą chwytala się na myśli, iż śmierć jego byłaby jedynym rozwiązaniem... Trzeba jej pisywać do niego; jak odnaleźć dawniejszy ton płomiennej miłości, skoro wszystkie jej myśli, wszystkie zmysły prą ją, niby pod somnambulicznym przymusem, do tego drugiego? Mimo woli wkrada się w jej listy chłód i skrzepowanie: Mora czuje to, dręczy się; Julia dręczy się jego udręczeniem. Przy tym Julia lęka się ciągle, że stosunek jej z Guibertem może wyjść na światło dzienne. Ona, która tak śmiało jawiła swą miłość dla pana de Mora, tutaj drży ustawicznie o każdy list, żąda ich zwrotu, obawia się wszystkiego. Świat cały uważa ją niemal za narzeczoną pana de Mora; cóż za rola wobec świata, wobec jego rodziny, wobec niego samego, jeżeli rzecz się odsłoni! A mamy do czynienia nie z kobietą, jakich mnóstwo w ówczesnym świecie, nawykłą do takich skomplikowanych gier i podziałów, ale z naturą bezwzględnie prostą, szlachetną, mającą za sobą całe życie prawości i cnoty¹¹.

Do tego i w samym człowieku, któremu się oddała, spotyka Julię niebawem mnóstwo udręczeń i zawodów. Dla niej Guibert — z chwilą oddania — stał się wszystkim; ona pozostaje dlań epizodem, szczególnie jego rozproszonego życia; osobą, która — tak zdaje się Julii w chwilach rozgoryczenia — nie ma w jego sercu nawet tych praw i względów, jakie zapewnił wieloletni stosunek wciąż tak dręczącej Julię pani de Montsaugé!

„Założę się, że pan nie jest tak senny dziś, jak wczoraj o tej samej godzinie; to bardzo proste: jesteś rozbawiony, zajęty i chcesz być miły. Mój przyjacielu, ty nie jesteś stworzony do poufnych godzin; potrzebujesz udzielać się: ruch, zgiełk towarzystwa są ci konieczne. To nie jest u ciebie potrzeba próżności, ale energii żywotnej. Ufność, tkliwość, zapomnienie wszelkiej miłości własnej, wszystkie te rzeczy, które odczuwa i ocenia dusza tkliwa i gorąca, pańską usypiają i wprawiają w odrętwienie. Tak, powtarzam ci, ty nie potrzebujesz, aby cię kochać”.

Szarpie ją zazdrość, nieufność: poczucie własnej godności pcha ją do tego, aby zerwać te pęta; i znów nieprzeparła, równie namiętna jak serdeczna tkliwość zniewala ją przyjąć z poddaniem bodaj jałmużnę, bodaj ochłapy miłości.

„...Jakże dusza moja cierpi, jakże te cierpienia są bolesne! Drogi mój, co się ze mną stanie, kiedy nie będę cię już widzieć, kiedy nie będę cię już oczekiwac! Czy sądzisz, że mogłabym żyć? Ta myśl mnie zabija; za dziesięć dni... Ale powiedz mi, dlaczego nie trzeba by mi żadnej odwagi, aby umrzeć, a nie mam siły powiedzieć sobie, że przyjdzie dzień, chwila, kiedy wyrzekniesz słowo, które przejmuję mnie dreszczem? Miły mój, nie wymawiaj go nigdy, przyniosło mi nieszczęście, to straszne słowo miało być moim wyrokiem: jeśli je kiedykolwiek usłyszę, umrę...”.

Przez listy Julii przebijają raz po raz burzliwe sceny, w których Guibert zajmuje stanowisko niedbałe, w pół bierne, ze świadomością człowieka, który pewien jest, iż wystarczy skinieniem palcem, paru serdecznych słów nakreślonych jego ręką lub wyrzeczonych jego ciepłym, przenikającym głosem, aby ofiara znalazła się bezwolna u jego stóp.

Wśród tego Mora dobiega końca. Żarty tęsknotą, niepokojem, zwątpieniem, nie widząc szczęśliwego obrotu kuracji, nie może dłużej wytrzymać w Madrycie; postanawia, wbrew opinii lekarzy, puścić się do Paryża, aby bodaj umrzeć obok tej, którą kocha. Na w pół żywy dobija do Bordeaux. Tam 27 maja 1774, zbierając resztki sił, kreśli do Julii ostatnie słowa: „Miałem cię ujrzeć jeszcze... trzeba umierać. Cóż za straszny los!... Ale kochałaś mnie i jeszcze teraz poisz mnie słodkim uczuciem... Umieram dla ciebie...”. Tego samego dnia margrabia de Mora wydał ostatnie tchnienie; 2 czerwca Julia de Lespinasse otrzymała złowrogą wiadomość.

¹¹ *całe życie prawości i cnoty* — ta „cnota”, ustawicznie powtarzająca się pod piórem Julii, jak również nadużywanie sentymentalnej terminologii Russa [J.J. Rousseau], szpecą nieraz te listy, poza tym tak oddychające prostotą i prawdą. [przypis tłumacza]

Rozpacz Julii po otrzymaniu tej wieści trudna jest do opisanego. Szarpia ją kolejno wyrzuty, iż go zabiła (Mora bowiem puścił się w podróż pod wpływem niepokoju, jaki obudziła w nim zmiana tonu jej listów); wyrzuty, iż zdeptała jego miłość i wiarę; rozpaczliwe poczucie straty człowieka — i jakiego człowieka! — dla którego była wszystkim, podczas gdy dla Guiberta jest niczym; wszystko to wprawia ją w stan konwulsji, popycha do usiłowań samobójstwa, z którego, jak się zdaje, Guibert wyratował ją wbrew jej woli.

Odtąd wspomnienie pana de Mora będzie jej obecne wszędzie; im więcej stosunek z Guibertem przyniesie męki, upokorzeń, tym bardziej myśl jej szukać będzie oparcia o pamięć zmarłego; pod koniec życia, w chwilach najboleśniejszej egzaltacji, będzie z nim korespondować, pisać do niego...

Cóż dopiero, co za wstrząśnienie, skoro skutek zaniedbania poczty, w rok prawie po śmierci pana de Mora oddadzą jej dwa listy od niego oddychające miłością bez granic!

Rok, który nastąpił po śmierci pana de Mora, jest dla Julii pełen burz i udręczeń. Trzeba dodać, że zdrowie jej, zawsze wątłe, coraz więcej ulega destrukcji. Choroba piersiowa, ta sama, która powaliła pana de Mora i która ją zmiecie zanim dwa lata upłyną, już draży jej organizm. Spazmy, bezsenność, ból głowy, gorączka, wreszcie zakorzeniony nałóg zażywania wielkich dawek opium, wszystko to wprawia ją w stan nieustannego podrażnienia i przeczulenia. Tym bardziej szuka ucieczki w uczuciu do Guiberta; ale na tym polu spotykają ją ciągle męczarnie i zawody. Julia przykłada miarę pana de Mora do swoich wymagań; tymczasem, pomijawszy zapewne różnicę w samej sile i rodzaju uczucia oraz różnice charakterów, i warunki życiowe tych dwóch ludzi były odmienne. Guibert nie był hiszpańskim grandem, mającym od losu wszystko, o czym by mógł zamarzyć i mogącym trawić życie na snuciu „doskonałej miłości”; nie był chorym o egzaltowanej głowie i sercu szukającym spokojnej przystani; ale był człowiekiem ambitnym, mającym przed sobą wytyczoną drogę, brutalnie zdrowym, żądnym czynu, wrażeń, a wreszcie człowiekiem niemal ubogim, skłopotanym położeniem rodziny, walczącym z tym, aby nastarczyć wydatkom paryskiego życia. W owym czasie dla szlachcica istniała tylko jedna droga prowadząca do poprawy losu — małżeństwo; toteż Guibert zaczyna myśleć o tym środku. Można zrozumieć, czym myśl o małżeństwie Guiberta jest dla Julii! Nie ludźmy się rozmaitymi formami, jakie przybiera kolejno w jej listach myśl o tej możliwości. Istotnie, bywały chwile, w których, zrozpaczona nawrotami Guiberta do dawnej kochanki, pani de Montsaugé, wołałaby już rywalizację — nie tak upokarzającą — legalnego małżeństwa ściśle konwenansowego na sposób XVIII w., tak nic niemającego wspólnego z uczuciem dwojga ludzi, niewpływającego na zmianę trybu życia. Myśli nawet sama o tym, aby znaleźć posażną żonę Guibertowi, aby się stać jego dobroczynną opatrnością. Jakimże jednak ciosem musi być dla niej małżeństwo Guiberta¹² z osobą młodą, uroczą i dla której — jak to przeniknęła Julia instynktem kobiety — Guibert od dawna żywił serdeczne uczucia? Jakąż wymowę rozwija, aby go odwrócić od związku, w którego słodkich kajdanach usypia zazwyczaj — jej zdaniem — duch stworzony do rzeczy wielkich! Ten dzień, gdy panna de Lespinasse, dowiedziawszy się, że młoda narzeczona i jej matka mają być u Guiberta, idzie tam, aby ujrzeć tę, która zabierze jej na zawsze kochanka, stał się rozstrzygającym dniem w jej życiu.

Wybór hrabiego de Guibert był ze wszech miar dla niego szczęśliwy. Żona jego była, pomimo swej młodości, osobą inteligentną, ubóstwiająca męża, czyniącą sobie prawo z tego, aby się we wszystkim nagiąć do jego woli i nie podcinać skrzydeł człowieka, którego podziwiała jako geniusza. Stąd Guibert tonie w środowisku domowym, w tej atmosferze ciepła, adoracji, pochlebstwa, tak potrzebnych jego naturze. To doprowadza pannę de Lespinasse do rozpacz; co przez ten czas przechodzi, łatwo zrozumieć. Na domiar otrzymuje bezpośrednio po ślubie kochanka brutalny i krótki list, w którym radzi jej zapomnieć o tym, co ich łączyło. Sama, zostawiona sobie, ma czas zastanawiać się nad całym stosunkiem i dochodzi do strasznych myśli: Guibert nigdy jej nie kochał, była

¹²Jakimże jednak ciosem musi być dla niej małżeństwo Guiberta — oto list kreślony w dniu, w którym Guibert zwierzył jej swoje zamiary małżeńskie: „Nie spodziewałam się tego. Mam w głębi serca bolesne wrażenie tych okrutnych słów: »Nie możemy się kochać« i odpowiadam na nie z całą siłą, jaka mi została: »Nie mogę żyć«. Drogi mój, to, co cierpię, to, co czuję, nie da się wręcz wyrazić; niepodobieństwem jest nie ugiąć się: czuję wyczerpanie całej mej istoty: zdaje mi się, że wystarczy mi poddać się, aby umrzeć”. [przypis tłumacza]

dlań jedynie środkiem wypełnienia tego czasu, który, nosząc się z zamiarem małżeństwa, przeznaczył na przyzwoite wycofanie się ze związku z panią de Montsaugue...

Wreszcie po wielu walkach, zrywaniach się, przychodzi bolesna rezygnacja. „...Mój przyjacielu, tak, mój przyjacielu najdroższy memu sercu, nie bądźmy już źle z sobą! Przebaczymy sobie! Możemy jeszcze zdobyć się na pobłażliwość, ale pamiętaj, że ja jestem bardzo chora i bardzo nieszczęśliwa: jeżeli chcesz, abym żyła, pomóż mi, podtrzymuj mnie, daj mi zapomnieć wszystko złe, które mi uczyniłeś. Odpowiedz mi, należy mi się cały tom. Bądź zdrow, bądź zdrow, czy nie czujesz się zmęczony?...” Z coraz większym upadkiem sił fizycznych, Julia zdobywa się na tę siłę moralną, aby czekać spokojnie zbliżającej się śmierci, której bliski dzień przeczuwa. Znajduje nawet siłę, aby się oprzeć nawrotom tkliwości czy też pociągu Guiberta i tym razem nie przyjąć już upokarzającej dla siebie jałmużny. Miejsce burzliwych scen zajmuje w listach ton smutnej i zrezygnowanej ironii.

„...Owszem, odpiszę *słówko*, ale tylko *słówko*; mam gości. Ty składasz wizyty, to bardzo zajmujące, trzeba przyznać. Ach, gdyby się kochało, jakby to wszystko było płaskie! Ale wszystko jest dobrze, kiedy wszystko jest złe...”

Ale do ostatniej godziny życia, do ostatniego tchnienia, żar jej uczucia nie osłabnie ani trochę, a ostatnie słowa, kreślone na parę godzin przed śmiercią, są: „Miły mój, Kocham cię; to środek kojący, który usypia moje bóle... gasnę, bądź zdrow!”

Łatwo zrozumieć, co wycierpiał w tym okresie biedny d'Alembert, znowu tak samo ślepy jak w poprzednim stosunku Julii, tak samo święcie wierzący w „przyjaźń” Julii dla Guiberta i skwapliwie następczący swoje usługi i pośrednictwo. Śmierć Julii przyniosła mu, oprócz samej straty, i jeden cios więcej. W papierach jej, które przeglądał z czcią jak relikwie, znalazł ku swej zgrozie i oburzeniu liczne dokumenty pozwalające odgadnąć charakter i stopień uczucia, jakie ożywiało Julię przez szereg lat dla pana de Mora, podczas gdy on, d'Alembert, uważał ją za poślubioną sercem sobie! W dodatku w licznej korespondencji, jaką gromadziła Julia, nie zachowała ani jednego listu, ani jednego świsteczka ręki d'Alemberta: wymowny dowód zupełnej obojętności! W żalu swoim, w pierwszym oburzeniu, biedny d'Alembert poszedł wylać swoje pretensje i skargi na łonie — Guiberta. O, matematyku!

Z czasem gorycz ustąpiła miejsca tkliwszym, rzewniejszym uczuciom dla tej, która mimo wszystko była mu przez tyle lat osłodą i towarzyszką życia. Rezultatem był dytyramb na cześć zmarłej pt. *Cieniom panny de Lespinasse*. Ze swej strony Guibert, który mimo wszystkich nieporozumień i niewspółmierności uczuć miał żywy i głęboki kult dla tej niepospolitej osoby, nakreślił w noc po jej pogrzebie swoją *Pochwałę Elizy*.

Nasuwa się pytanie, w jaki sposób dostały się do rąk publiczności te dokumenty najskrytszych uczuć Julii de Lespinasse, jej namiętności, cierpień, upokorzeń, słowem te listy, które tak zazdrośnie starała się wydrzeć z rąk kochanka natychmiast po doręczeniu? Otóż po śmierci przyjaciółki d'Alembert wręczył panu de Guibert pakiet zawierający listy Julii oraz kilkadziesiąt odpowiedzi Guiberta. W r. 1809 wdowa hrabina de Guibert przez pietyzm dla pamięci męża, nawet z zaparciem łatwo zrozumiałej osobistej przykrości, zapragnęła ogłosić publicznie ten dokument stanowiący dowód fanatycznego uczucia, jakie Guibert obudził w osobie tak niepospolitej; powodowana tą myślą, wydała w 2 tomach listy panny de Lespinasse, jednakże dokonawszy na nich dość znacznych zmian i okrojeń. To bardzo niecisłe wydanie, po którym nastąpiły inne, zawierające wprost wiele apokryfów, służyło prawie przez cały wiek za podstawy wiadomości o pannie de Lespinasse; dopiero w r. 1896 prawnuk Guiberta, hrabia de Villeneuve-Guibert, ogłosił po raz pierwszy drukiem całkowitą i niezmienną korespondencję zawierającą wszystkie listy Julii oraz te odpowiedzi Guiberta, które się zachowały. To wydanie jest oczywiście podstawą niniejszego przekładu.

Gdyby listy panny de Lespinasse były tylko wyrazem jej osobistych przeżyć, krzykiem zranionego i udęczonego serca, i wówczas miałyby wszelkie prawo do naszego zainteresowania przez siłę szczeroci i wagę bezpośredniego ludzkiego dokumentu. Ale w nich wyraża się i coś więcej: odbija się wieloma powierzchniami fizjognomii wieku, tak zawsze nas pociągającego swą błyskotliwą tajemnicą. Na duszy Julii de Lespinasse, która odsłania nam ją w swych listach aż do najskrytszych, najbardziej wstydlivych zaułków, możemy śledzić to znamienne przesilenie, jakie przechodzi w pewnym momencie

wiek XVIII. Czym — aż do zjawienia się Russa — żyje to społeczeństwo, ten cieplarniany produkt wyrafinowanej kultury? Dowcipem¹³ i towarzyskością. Panna de Lespinasse posiadała te oba dary jak niewiele kobiet stulecia. Obracając się w kole najwyborniejszych umysłów, przestawała z nimi zupełnie na równej stopie: była towarzyszką, współniczką wszystkich myśli takiego człowieka jak d'Alembert, nieraz cichą współpracowniczką jego pism; doskonale rady, sądy, uwagi, jakich pełno w jej listach do Guiberta, skoro tylko na chwilę wyjrzy poza swoją monomanię, dają miarę jej umysłu. Co się tyczy darów towarzyskich, to musiały być niepospolite, skoro im zawdzięcza całe swoje stanowisko i rację bytu w owym świecie. I oto rzecz ciekawa, jak w każdym prawie liście Julii wydziela się przesytność, znużenie tą modłą istnienia: jaka pogarda dla wszystkiego, co jest z *mysli*, nie z *uczucia*, jaka tęsknota za tym, aby żyć tylko sercem, aby uciec jak najdalej od młyna światowego, od tych pustych — lub zbyt inteligentnych — rozmów, zabaw i zatulić się w jedno serce, które by można kochać aż do bałwochwalstwa.

„...Cóż za cudowna, cóż za boska sztuka! Muzykę musiał wynaleźć jakiś tkliwy człowiek, mając kogoś pocieszyć w nieszczęściu. Jakiż to dobroczynny balsam, te czarodziejskie tony! Miły mój, w nieuleczalnych cierpieniach trzeba szukać jedynie środków uśmierających, a istnieją do mego serca tylko trzy ich rodzaje w całej przyrodzie: ty, który odrywasz mnie od mej boleści, który dajesz wnikać w duszę jakimś upojeniu odejmującemu zdolność pamięci i przewidywania. Po tym pierwszym ze wszystkich dóbr idzie opium: podpora i ucieczka rozpaczy. Wreszcie muzyka: jest mi miła, czaruje me cierpienia, rozlewa we krwi, we wszystkim, co mnie ożywia, tak rozkoszną słodyczą i wrażliwością: rzekłabym prawie, iż daje mi się napawać moim żalem i moim nieszczęściem...”

Ta religia, jaką kobieta stara sobie stworzyć z Miłości, aby zaspokoić głód ubóstwienia czegoś, głód, którego umysł jej, zbyt wykarmiony filozofią wieku, nie pozwala szukać w prostej wierze, jest również znamienny dla tej przełomowej epoki. To powiew Russa, wielkiego odnowiciela serc i myśli ludzkich. I w tych dziwnych litaniach serdecznych, w których osoba pana de Mora miesza się — tak rażąco nieraz dla powierzchownego czytelnika — z osobą jego rywala i następcy, czuć jedno: żywiołową potrzebę kochania, zatracenia się w miłości, ucieczki w świat uczucia przed straszliwą chorobą wieku: czynną, gorączkową nudą, która trawi te przerafinowane inteligencją i dowcipem umysły. Ta „Muza Encyklopedii”, wyrosła z najbardziej oschłego i intelektualnego środowiska, rozpięta na krzyżu tej jakiejś obłądnej, dzikiej, nieprzyzwoitej wprost miłości, to niby symbol ekspiacji praw i żądań ludzkiego serca, długo oszukiwanych „filozofią” i madrygałami.

Listy panny de Lespinasse ujawniają jedno zjawisko, stanowiące ulubiony temat paradoksów Oskara Wilde, tj. wpływ sztuki na kształtowanie się życia. W licznych cytatach, które tej do szpiku kości literacko wykształconej kobiecie nasuwają się pod pióro, powtarzają się nieustannie urywki z Racine’a, który był jej bożyszczem: otóż czy cały dramat zawarty w tych listach nie jest zbudowany przez życie zupełnie wedle modły tragedii Racine’a? Czy nie możemy śledzić w nim jak gdyby umiejętnego stopniowania efektów dawkowanych przez świadomego artystę? Tak; całość tych listów, powstałych na przestrzeni paru lat, w rozmaitych chwilach życia, pod wpływem najbardziej żywiołowych wzruszeń, nadziei i rozpaczy, aż do samej agonii nawet, jest bezwiednym arcydziełem klasycznej kompozycji. Panna de Lespinasse jest rodzoną siostrą tych wielkich „miłośnic” Racine’owego teatru: to jak Berenice rozplywająca się w przeciągłej elegii, to jak Fedra wleczona przez wszystkie męki i hańby zbrodniczej miłości.

I jeszcze jedno. Trudno — zdawałoby się na pozór — o większą przepaść niż ta, która dzieli harmonijny umiar XVII-wiecznego klasycznego teatru od bezkształtnego w swoim kipieniu potoku lawy Russa: i oto w *Listach* panny de Lespinasse, mimo iż tak bezpośrednich i *nieliterackich*, duch Russa i duch Racine’a tak ściśle splatają się z sobą, iż niepodobna by prawie wyróżnić, gdzie jeden się kończy, a drugi zaczyna. Cudowny przykład nieprzerwanej ciągłości owej jedynej pod tym względem literatury!

¹³Czym (...) żyje to społeczeństwo (...) dowcipem — staropolskie słowo *dowcip*, tak dobrze oddające francuskie *esprit*, zwyrodniało, ściętno się w nowoczesnej polszczyźnie w pojęcie żartu, konceptu; w ten sposób dla wyrażenia dawniejszego pojęcia powstała luka trudna do zapełnienia. [przypis tłumacza]

Boy.

Kraków, w październiku 1918.

LIST I. DO PANA DE GUIBERT, PUŁKOWNIKA, DOWODZĄCEGO LEGIĄ KORSYKAŃSKĄ W STRASBURGU (*poste restante*).

Paryż, sobota wieczór, 13 maja 1773

Jedzie pan we wtorek, że zaś nie wiem, jakie ważenie zrobi na mnie ten wyjazd, czy będę miała możliwość i chęć pisania do pana, pragnę przynajmniej odezwać się raz jeden i zapewnić sobie nieco wiadomości ze Strasburga.

Powie mi pan, czy przybył w dobrym zdrowiu, czy podróż nie zdołała jeszcze ukoić pańskiej duszy; to nie ona jest chora; ona cierpi jedynie z przyczyny cierpień, których jest powodem, tak, iż nieco rozrywki, zmiana otoczenia wystarczą, aby ją oderwać od tego odruchu wrażliwości, który może być panu bolesny, ponieważ pan jest dobry i szlachetny. Tak, jest pan przemyśły i zacny człowiek; odczytałam jeszcze raz pański list dzisiejszy; łączy słodycz Gessnera z siłą Jana-Jakuba. Ach, Boże, po co jednoczyć wszystko, co może pociągnąć i wzruszyć, a zwłaszcza po co ofiarowywać mi skarb, którego nie jestem godna, na który nie zasłużyłam? Ach, nie, nie; nie chcę pańskiej przyjaźni; pocieszyłaby mnie, doprowadziłaby mnie do rozpacz, a ja potrzebuję odpocząć, zapomnieć pana na jakiś czas. Pragnę być szczerą z panem, z sobą, a doprawdy, taki czuję zamęt, iż lękam się oszukiwać samą siebie. Może wyrzuty moje przewyższają winę: może lęk, którego doznaję, byłby największą obrazą dla osoby, którą kocham¹⁴. Otrzymałam w tej chwili list tak pełen ufności w me uczucie! Mówi mi o mnie, o tym, co myślę, o mej duszy z taką znajomością i pewnością, jaką ma człowiek, kiedy wyraża coś, co czuje żywo i mocno. Ach, Boże, przez jaki czar, przez jaką fatalność zjawił się pan, aby mnie urzec? Czemuż nie umarłam we wrześniu! Umarłabym wówczas bez żalu i wyrzutów. Niestety, czuję to: umarłabym dziś jeszcze dla niego; nie ma rzeczy, z której bym dlań nie zrobiła ofiary; ale przed dwoma miesiącami nie było mowy o ofierze; kochałam nie więcej, ale lepiej. Ale on mi przebaczył! Tyle wycierpiałam! Ciało moje, dusza, wyczerpały się w ciągłym bólu. Te męki, o które przyprawia mnie w ostatnim czasie poczta, doprowadzały mnie niekiedy do oblędu. Wówczas spotkałam pana; wówczas to pan ożywił mą duszę, przeniknął ją słodyczą: nie wiem, co było mi miłsze, czy że ją zawdzięczam panu, czy że ją czuję.

Ale niech mi pan powie, czy to jest właściwy ton przyjaźni? ufności? co mnie ciągnie? wytłumacz mi mnie samą; pomóż odzyskać równowagę; dusza moja popadła w zamęt. Czy to wyrzuty sumienia? Czy to moja wina? Czy to pan? Czy może pański wyjazd? Co mnie nęka? Już nie mam sił. W tej chwili mam ufność w panu aż do zupełnego oddania, a może nie odezwę się już do pana w życiu. Bądź zdrow; zobaczę pana jutro, może się będę wstydziła tego, co piszę dziś. Proszę nie zapomnieć, iż przyrzekł pan palić natychmiast moje listy.

Dałoby¹⁵ niebo, aby pan stał się moim przyjacielem lub abym nigdy pana nie była poznała¹⁶! Jak pan sądzi: będzie pan moim przyjacielem? Niech pan pomyśli nad tym, tylko raz.

Czy to za wiele?

LIST II

Niedziela, 23 maja 1773

¹⁴dla osoby którą kocham — margrabia de Mora. [przypis tłumacza]

¹⁵dałoby — konstrukcja z partykułą -że, skróconą do -z-; znaczenie: czy dałoby. [przypis edytorski]

¹⁶nie była poznała — daw. forma czasu zaprzesłego; znaczenie: nie poznała wcześniej (przed inną czynnością a. wydarzeniem wyrażoną zwykłym czasem przeszłym). [przypis edytorski]

Gdybym była młoda, ładna i bardzo pojętna, dopatrywałabym się niezawodnie wielkiej sztuki w pańskim postępowaniu; ale ponieważ nie jestem niczym podobnym, raczej zgoła przeciwnie, widzę w nim dobroć i szlachetność, które zdobyły panu na zawsze prawa w mej duszy. Przepelniłeś ją pan wdzięcznością, szacunkiem, tkliwością, wszystkimi uczuciami, które tworzą bliskość i zaufanie w stosunku dwojga osób.

Nie umiem rozprawiać tak pięknie o przyjaźni, jak Montaigne, ale wierzą mi pan, będziemy ją czuli lepiej. Gdyby to, co nam powiada, było w istocie w jego sercu, czy sądzi pan, że zgodziłby się żyć po stracie takiego przyjaciela? Ale nie o to chodzi: raczej o pana, o wdzięk, delikatność, trafność pańskiego cytatu. Przychodzi mi pan z pomocą, pragnie pan, abym nie czuła się winną wobec samej siebie; pragnie pan, aby pańskie wspomnienie nie było wyrzutem bolesnym dla mego serca, a może dotkliwym dla miłości własnej. Jednym słowem, chce pan, abym się cieszyła w spokoju przyjaźnią, którą mi pan ofiaruje i której daje mi pan dowody równie słodkie, jak miłe. Dobrze więc, przyjmuję; czynię z niej swoje dobro; ona przyniesie mi ulgę i jeśli kiedykolwiek będę się cieszyła pańskim towarzystwem, ona będzie przyjemnością, której będę pragnęła i którą będę czuła najmocniej.

Mam nadzieję, iż przebaczył mi pan winę, której nie popełniłam; wie pan dobrze, że byłoby mi niepodobieństwem podejrzewać pana o drgnienie serca sprzeczne z dobrocią i szlachetnością. Obwiniam pana wszelako; to znaczy jedynie, iż sama byłam słaba i winna, a zwłaszcza byłam w stanie, który nie zostawiał mi przytomności i swobody umysłu. Ma pan zbyt dobry i bystry wzrok, abym się potrzebowała obawiać, iż nie poznałeś się na tym; jestem zupełnie pewna, że dusza pańska nie przypuszcza, aby miała przyczynę użalać się na moje uczucia.

Wiem, że pojechał pan dopiero we czwartek o wpół do szóstej. Byłam u pańskich drzwi w dwie minuty po wyjeździe. Posłałam rano, aby się dowiedzieć, o której godzinie wyjechał pan we środę, i ku wielkiemu zdumieniu dowiedziałam się, że pan jest jeszcze w Paryżu i nie wiadomo nawet, czy pan jedzie we czwartek. Pobiegłam sama dowiedzieć się, czy pan nie chory, i — wyda się to panu okropnym! — ponoś pragnęłam tego w głębi. Mimo to przez niekonsekwencję, której nie umiem wytłumaczyć, doznałam ulgi, dowiadując się, że pan wyjechał. Tak, pańska nieobecność wróciła mi spokój, ale w zamian czuję się smutniejsza; musi mi pan to przebaczyć i zadowolić się tym. Nie wiem, czy tęsknię za panem, ale brak mi pana jako przyjemności mego życia; a zdaje się, że dusze czynne i wrażliwe czepiają się ich zbyt silnie. Nie myśl o trwaniu pańskiej nieobecności zasmuca mnie, świadomość moja bowiem nie widzi jej kresu: to po prostu terażniejszość ciąży nad mą duszą, przygniata ją, osmuca i zaledwie zostawia jej dość energii na pragnienie podźwignięcia się z tego.

Ale patrz pan, co za straszny *egotyzm!* Oto trzy strony pełne *mnie*, a mimo to mam uczucie, że to panem się zajmowałam; trzeba mi bodaj wiedzieć, co się z panem dzieje, jak się pan miewa. Kiedy pan będzie czytał ten list, mój Boże, jakże będziesz daleki! *Osoba* będzie tylko o trzysta mil, ale pomyśl, jaką drogę odbędzie duch! Ile nowych przedmiotów, myśli, spostrzeżeń! Mam uczucie, że mówię już tylko do pańskiego cienia; wszystko, co znałam z pana, znikło; zaledwie odnajdzie pan w pamięci ślady uczuć, które cię ożywiały w ostatnich dniach w Paryżu... Tym lepiej. Pamiętaj pan, zgodziliśmy się, iż czułościowość jest przywilejem mierności, pański zaś charakter nakazuje panu być wielkim; talenty pańskie skazują pana na sławę. Zdaj się więc na swój los i powiedz sobie, że nie jesteś stworzony do tego słodkiego i poufnego życia, jakiego wymaga tkliwość i uczucie.

Żyć dla jednej istoty, to daje jedynie przyjemność, a nie sławę; kiedy ktoś chce panować tylko w jednym sercu, nie panuje nad tłumem; są żywoty, nazwiska przeznaczone dla historii. Pańskie będzie kiedyś budziło podziw. Kiedy przejmę się tą myślą, poskramia to nieco serdeczność, którą pan we mnie obudził. Do widzenia.

LIST III

Poniedziałek, 24 maja 1773

Co pan powie o tym szaleństwie? Ledwie mogę sobie pochlebiać, że pan mnie słucha, i już nadużywam jego cierpliwości! Ale wszak mówił pan kiedyś, że pisuje się ob-

szernie do przyjaciół, do osób, z którymi się sympatyzuje, do tych, z którymi chciałoby się rozmawiać. Jeżeli pan mówił prawdę, ma pan obowiązek czytać moje listy, nie mówię z ciekawością, ale z pobłażaniem. Odczytałam ten długi list; Boże, jakiż wydał mi się nudny! Ale choćbym go podjęła na nowo, nic by to nie pomogło. Czuję w sobie się znudzenia kogoś na więcej niż jeden sposób: jestem smutna i martwa; niech pan osądzi, co można z tego wykrzesać! Ale mam panu zadać parę pytań; jeśli odpowiesz, będzie to bardzo uprzejmie.

Czy dostał pan list Diderota? Utrzymuje, iż jedzie 6-go czerwca; spotka go pan zatem w Rosji. Czemu nie pojechał pan we środę? Czy *komuś*, czy sobie darował pan tę dobę? Czy zabrał pan książkę p. Thomas? Chciałabym, aby tak. Ta lektura byłaby dosyć w tonie pańskiej duszy. To człowiek szlachetny, silny i miłujący cnotę: są tam, zapewne, lekkie usterki, ale poprawił się z owej napuszoności i przesady w stylu. Za wiele analizy i wyliczeń, to nuży nieco, zwłaszcza kiedy odrywa od przedmiotu.

Trzeba mi było poniechać tej lektury na kilka dni. Dwa razy na tydzień listonosz rozstrzyga o wszystkich czynnościach mego życia. Wczoraj byłam niezdolna do czytania: żądałam tylko listu, którego nie było; daremnie było szukać u p. Thomas, nie znalazłabym go.

Przyrzekł mi pan wiadomość o sobie ze Strasburga; czy nie dziwi to pana obecnie, iż zobowiązałeś się pisywać często? Nie żałuje pan łatwości, z jaką poddajesz się sympatii i przyjaźni mojej dla pana? Uciążliwe jest, na odległość trzystu mil, czynić coś dla drugich; miło jest iść jedynie za popędem swych chęci i uczuć. Niech pan patrzy, jaka ja wspaniałomyślna! Gotowam zwrócić panu słowo, jeżeli wymknęło się niechcący. Niech się pan przyzna: ręczę, nie będę dotknięta. Niech pan wierzy, drażliwość płynie jedynie z próżności, a ja jej nie mam. Jest ze mnie, ot, poczciwa dusza, bardzo głupia, bardzo prosta, która woli szczęście i przyjemność drogich mi osób od wszystkiego, co jest jedynie mną i dla mnie. W tym przeświadczeniu niech się pan czuje zupełnie swobodny i niech pan do mnie pisze *trochę*, *dużo* albo *wcale*; ale niech pan nie sądzi, że mnie to zadowala w jednakim stopniu, mam bowiem w sobie mniej obojętności niż próżności; ale posiadam siłę czy właściwość, która pozwala nagiąć się do wszystkiego: umiem cierpieć i wiele cierpieć, nie skarżąc się.

Do widzenia, czy zdołał pan przebrnąć do końca? czy to nie jest usypiające?

LIST IV

Niedziela, 30 maja 1773

Wczoraj przyszedł pański list ze Strasburga; miałam uczucie, że to bardzo dawno od środy 19-go: dnia, w którym otrzymałam ostatni znak pamięci; ten, który dostałam wczoraj, pocieszył mnie, zrobił wiele dobrego mej duszy. Potrzebowała znaleźć nieco wytchnienia w słodkim uczuciu, któremu może się oddać bez wyrzutów i niepokoju. Tak, mogę to sobie przyznać, mogę to powiedzieć panu samemu, jest mi pan bardzo drogi, nieobecność pańska sprawia mi dotkliwy żal, ale nie trzeba mi już zwalczać tego, co pan budzi we mnie; wyczytałam jasno w swojej duszy. Ach, nadmiar nieszczęść usprawiedliwia mnie zresztą; nie jestem winna, a mimo to rychło stanę się ofiarą. Myślałam, że umrę w piątek, otrzymawszy list¹⁷ przez nadzwyczajnego kuriera; nie wątpiłam, że przynosi mi złowrogą wiadomość. Zamęt, w jaki mnie to wtrąciło, odebrał mi wręcz siłę do odpiecztowania listu: więcej niż kwadrans trwałam bez ruchu, dusza moja ścięła lodem zmysły; wreszcie przeczytałam i znalazłam tylko część tego, czegom się lękała. Nie trzeba mi drżeć o życie osoby, którą kocham, ale mimo iż spokojniejsza co do największego z nieszczęść, wielki Boże, ileż muszę jeszcze cierpieć! Jakżeż przygniata mnie brzemień życia! Trwałość cierpienia jest ponad wytrzymałość sił ludzkich. Pojmuje pan, jak musi mi pan być drogim i jak miłą pańska obecność; zdołał mi pan przynieść ulgę w tak ostrym i głębokim cierpieniu; czekam, pragnę pańskich listów. Tak, wierz mi pan, jedynie nieszczęśliwi godni są mieć przyjaciół; gdyby pańska dusza nie знаła cierpienia, nigdy nie

¹⁷Myślałam, że umrę w piątek, otrzymawszy list — od margrabiego de Mora, którego życie było w tej chwili poważnie zagrożone. [przypis tłumacza]

zbliżyłaby się z moją. Byłabym podziwiała, chwaliła pańskie talenty i byłabym się oddaliła, ponieważ mam jakąś odrazę do wszystkiego, co zdoła zająć jedynie mój umysł. Trzeba się czuć spokojnym, aby myśleć: w chwilach wzruszenia umiemy jedynie czuć i cierpieć. Mówi pan o swoich żalach, wyrzutach, cierpieniu; wierzę panu i martwi mnie to; równocześnie jednak, nie wiem czemu, odniosłam z listu wręcz przeciwne wrażenie. Wydaje mi się, że jest spokój, równowaga i siła w każdym pana słowie; zdaje się, że pan mówi o tym, coś czuł kiedyś, a nie o tym, co czujesz: słowem, gdybym miała prawo, gdybym była drażliwa, gdyby przyjaźń nie była wyrozumiała, powiedziałabym panu że Strasburg jest bardzo, ale to bardzo daleko od ulicy Taranne.

Prezydent Montesquieu twierdzi, że klimat ma wielki wpływ na charakter; czyżby tedy Strasburg był o tyle bardziej na północ? Niech pan osądzi, co dopiero będzie w Petersburgu! Nie, nie boję się; wierzę w pana, w pańską przyjaźń; niech mi pan wytłumaczy, skąd to zaufanie, i niech się pan nie waży przypuszczać, że miłość własna gra w nim jaką rolę. Moje uczucie dla pana jest *oczyszczone* z tego szpetnego aliażu, który kazi i osłabia wszystkie przywiązania.

Byłby pan bardzo uprzejmy, gdybyś zechciał mi powiedzieć, czy mój list był *jedynym* w Strasburgu¹⁸; widzi pan, jaka jestem wspaniałomyślna: pragnęłabym, aby mój list zmienił się w ten, który pan by pragnął zastać. Umiarkujmy *nasze stanowiska*, niech mi pan wyznaczy miejsce, ale ponieważ nie lubię zmieniać, niech mi pan da jakie niezłe. Nie chciałabym miejsca, na jakim pan *cierpi* tę nieszczęśliwą istotę: nierada jest z pana; nie chciałabym również tego, którego *zmuszony* jesteś używać tej drugiej osobie; pan z niej jesteś nierad. Nie wiem, gdzie mnie pan pomieści, ale zrób, jeśli możebna, tak, abyśmy oboje byli radzi; nie targuj się pan, przyznaj mi dużo: zobaczy pan, że nie nadużywam. Och, zobaczy pan, jak ja umiem kochać! Ja tylko kocham, umiem tylko kochać; nawet przy miernych środkach, wiadomo panu, może człowiek wiele, skoro je skupi wszystkie na jeden przedmiot. Otóż, widzi pan, ja mam tylko jedną myśl i ta myśl wypełnia mą duszę i całe moje życie. Sądzi pan, że rozrywki i studia oderwą cię tylko chwilowo od ludzi ci życzliwych; naucz się lepiej znać samego siebie i ustąp z dobrą wiarą i chęcią tej władzy, jaką charakter ma nad pańską wolą, uczuciem i wszystkimi czynnościami. Ludzie, którymi władza potrzeba kochania, nie jadą nigdy do *Petersburga*; wędrują niekiedy bardzo daleko, ale wówczas gdy muszą¹⁹, i nie powiadają, że *wrócą do swojej duszy*, aby znaleźć w niej to, co kochają; czują, że nie rozstali się z tym, mimo że oddaleni są o tysiąc mil. Ale ostatecznie można być dobrym i zacnym człowiekiem na różne sposoby; pański *zaprowadzi pana daleko* we wszelkim znaczeniu tych słów. Współczułabym kobiecie z sercem, która by uczyniła z pana główny cel uczuć; życie jej spłynęłoby na niepokoju i żalach: ale winałabym kobiecie próżnej i dumnej, spędziłaby życie na chlubieniu się, strojeniu swoim smakiem; tego rodzaju osoby kochają chwałę, rozgłos, blask. Wszystko to bardzo piękne, szlachetne, ale bardzo zimne i dalekie od uczucia, które powiada:

...śmierć i piekło oglądam przed sobą,
Ramiro, i z rozkoszą zstąpiłbym w nie z tobą²⁰.

Ale ja jestem szalona; gorzej, jestem dzika: mam tylko jeden ton, kolor, jeden sposób; jeżeli nie pociąga ku mnie, mrozi nudą. Powie mi pan, który z tych dwu skutków wywieram na pana. Ale powie mi pan również, proszę o to, jak mi się pan miewa, a ja powiem panu jedyną nowinę, która mnie obchodzi:

Szkoła wojskowa nie jest obsadzona²¹.

LIST V

¹⁸*gdybyś zechciał mi powiedzieć, czy mój list był jedynym w Strasburgu* — aluzja do stosunku pana de Guibert z panią de Montsaugé. [przypis tłumacza]

¹⁹*Ludzie, którymi władza potrzeba kochania (...) wędrują niekiedy bardzo daleko, ale wówczas gdy muszą* — aluzja do pana de Mora. [przypis tłumacza]

²⁰*śmierć (...) z tobą* — urywek z tragedii Woltera pt. *Zulima*. [przypis tłumacza]

²¹*Szkoła wojskowa nie jest obsadzona* — wakujące stanowisko, o które ubiegał się ojciec pana de Guibert. [przypis tłumacza]

Mój Boże, jakże rzadkie jest to, co robi przyjemność, i jak wolno przychodzi! Mam uczucie, że jest nieskończenie dawno od 24-go, i nie wiem, jak długo jeszcze trzeba będzie czekać listu z Drezna; ale czy przyrzeka mi pan bodaj, czy jest pan w usposobieniu, aby pisać do mnie tyle, ile pan zdoła? Czy przeciw mej przyjemności, przeciw moim pragnieniom nie będę miała nic prócz tego, co nie zależy od pana, to znaczy oddalenia i powolności kurierów? Nienawidzę Rosji; aż do chwili, w której zapragnął pan tam się udać, nienawidziałam tylko Rosjan; och, Boże, i cóż pan tam zobaczy? Wszystko, przed czym trzeba by uciekać i bronić się całe życie: ujrzyś to, czego pańska dusza nienawidzi, niewolnictwo i tyranie, podłość i zuchwałstwo. Wiem dobrze, iż pod wieloma względami może pan powiedzieć: *to tak jak u nas*; jednakże nasze przywary złagodzone są naszymi wadami, podczas gdy w tym kraju jedynie bezmiar niedoli osłabia wrażenie bezmiaru zepsucia i upodlenia. Wszystko, zapewne, godne jest obserwacji filozofa: przyrodnicy śledzą ropuchy i pająki z tym samym zaciekawieniem co tygrysy i słonie; ale co do mnie, martwi mnie, iż pańska ciekawość, energia, słowem, wszystkie dary i przymioty, zarówno spiknęły się przeciw mnie. Ta gorączka sławy, na przykład, sprawi, iż pańska, lub raczej moja, przyjaźń będzie tylko jednym nieszczęściem więcej w mym życiu; jednakże może mi pan już powiedzieć jak pustelnik do Zadiga: „Wlałem niekiedy uczucie pociechy w duszę nieszczęśliwych²²”. Tak, winna jestem panu to, co stanowi urok i słodczy przyjaźni; czuję, że ten węzeł jest już za silny, że zyskał zbyt wielki wpływ na mą duszę; kiedy cierpi, skłonna jest obrócić się ku panu, aby szukać u niego pociechy, gdyby zaś była spokojna, pchałby ją w tę stronę pęd żywszy jeszcze, pęd do przyjemności. Sam pan widzi, czy ja jestem tym wszystkim dla pana i czy w istocie nie więcej mam przyczyn, aby pana kochać i żałować. Co najwyżej, uczucie moje mogło być panu przyjemne; mnie zaś, nim zdałam sobie z pana sprawę, stał się pan potrzebny. Ale co sądzi pan o duszy, która się oddaje, zanim wie, czy będzie przyjęta? Nim się zastanowiła, czy ją przyjmą z przyjemnością czy tylko z wdzięcznością? Mój Boże, gdyby pan nie miał serca, ileż zgryzot byś mi zgotował! Nie wystarcza, że jesteś godnym człowiekiem; mam zacnych przyjaciół, mam więcej nawet, a mimo to dociekam oto, czym pan jesteś dla mnie; ale szczerze mówiąc, czy to nie jest szaleństwo, może nawet śmieszność, uważać pana za przyjaciela? Niech mi pan odpowie, nie zimno, ale szczerze. Mimo że pańska dusza zdolna jest do wzruszeń, nie jest tak chora jak moja, która przechodzi ustawicznie od konwulsyj do martwoty. Nie mogę sądzić o niczym, myliłabym się bez ustanku, brałabym truciznę za środek kojący; widzi pan, czy mogę powodować sama sobą, oświeć mnie pan, umocnij mnie: uwierzę panu, będziesz mą podporą, zastąpisz mi zdolność zastanowienia: nie mam jej już, nie umiem nic przewidywać. Jestem pod uciskiem grozy, nic nie rozróżniam; osądz pan moje nieszczęście: znajduję odpoczynek jedynie w myśli o śmierci; bywają dni, w których ona jest jedyną mą nadzieją, ale też doświadczam uczuć bardzo sprzecznych, czuję się niekiedy niby przykuta do życia; myśl, iż mogę zmartwić tego, kogo kocham, odejmuje mi nawet pragnienie ulgi, gdyby to miało być kosztem jego spokoju. Cóż wreszcie panu powiem? Nadmiar szaleństwa mąci mój umysł, a ciężar życia miazdży mą duszę. Co począć, co się stanie ze mną? Dom obłąkanych czy też cmentarz uwolni mnie od samej siebie? Dręczę pana i trapię się tym, jeżeli pan interesuje się mną na tyle, aby brać udział w tym, co cierpię: a umarłabym ze wstydu, gdybym miała obudzić w panu jedynie nudę. Nie sądz, iż zdołasz mi to ukryć: choćby pan najrzęczniejsz brał się do dzieła, nie zdołałbyś oszukać mej przyjaźni. Raczej niech jej pan uczyni zadość, donosząc, jak się pan miewa: czy znalazł pan bodaj tyle przyjemności, ile się spodziewał? Czy lepiej ze zdrowiem niż w ostatnich czasach tutaj? Czy zadowolony pan ze służącego? To nie stanowi oczywiście o szczęściu lub nieszczęściu, ale stanowi o kłopotach lub spokoju i tym samym zasługuje na uwagę. Jest pan bardzo skromny, nie powiedział mi pan, jak go przyjmowano w Strasburgu²³. Napisano wiersze na pańską cześć, bardzo nietęgę, ale w tak dobrej intencji! Niech pan

²²Wlałem niekiedy uczucie pociechy w duszę nieszczęśliwych — Wolter, *Zadig*, [w:] *Powiatki filozoficzne*. [przypis tłumacza]

²³nie powiedział mi pan, jak go przyjmowano w Strasburgu — legia korsykańska, której pan de Guibert był komendantem, stała wówczas garnizonem w Strasburgu. [przypis tłumacza]

nie wpada w złość, ale odpowie: czy czytał pan *Hetmana*²⁴ w drodze? Nie poczmistrzom, ale „godnej kompanii”. Gdy mowa o *Hetmanie*, gdyby pan miał nieco delikatności, gdyby pan był *tylko* jak *Montaigne* i gdyby pan mnie uważał za swego *La Boëtie*²⁵, jakże bym żałowała pana, iż odmówiłeś sobie przyjemności dania mi znaku zaufania, przyjaźni i szacunku! Nie chwalebę się, ale upewniam, że gdybym postąpiła w podobny sposób z panem, żarłyby mnie wyrzuty sumienia. Czego to dowodzi, niech pan powie? Do widzenia, czuję całą *różnicę* naszych uczuć, niech mi pan wskaże ich *podobieństwo*²⁶: nigdy nikt nie uprawiał tej gry z równym zainteresowaniem.

LIST VI

Do tegoż w Berlinie

Niedziela, 20 czerwca 1773

Ależ, Boże mój, czy pan umarł czy też zapomniał pan już, że pańskie wspomnienie zostało żywe i bolesne w duszy tych, których pan opuścił? Ani słowa od 24-go maja. Trudno bardzo przypuścić, aby to nie było po trosze z pańskiej winy. Jeśli tak, w takim razie nie zasługuje pan ani na moje współczucie, ani na wyrzuty. Dowiedziałam się, że pan d'Aguesseau nie miał od pana wiadomości. Obchodzi mnie pan tak szczerze i żywo, iż byłabym uszczęśliwiona, dowiadując się, że pan mu dał pierwszeństwo nade mną. Zasługuje na nie, bez wątpienia, pod każdym względem; ale wszak uczucia nie rządzą się sprawiedliwością; czy sądzi pan, że gdyby tak było, powinna bym się niepokoić pańskim milczeniem i oczekiwać z utęsknieniem dowodu pańskiej przyjaźni? Niestety! nie; nie umiem nawet wytłumaczyć sobie, czemu zaprzętałam się panem w tej chwili. Dowiedziałam się wczoraj nowiny, która pogrzyła w boleści mą duszę; spędziłam noc we łzach; kiedy zaś głowa moja i cały organizm wyczerpały się już, kiedy mogłam się zdobyć na odruch, który by nie był męką, pomyślałam o panu i zdawało mi się, że gdyby pan był tutaj, dałabym panu znać, że cierpię, i może nie odmówiłbyś swego przybycia. Niech mi pan powie, czy się mylę: kiedy dusza moja cierpi, czy źle robię, szukając pociechy w pańskiej? Wśród tylu wrażeń, tylu spraw tak dalekich od tej, która wzrusza i rozczula, czy zrozumiesz pan jeszcze język tak obcy większości ludzi porwanych światowym wirem lub upojonych próżnością? Toż samo nieznanym jest on tym, których, jak pana, pochłania żądza wiedzy i miłość sławy. Jest pan tak przekonany, że nadmierna tkliwość jest udziałem mierności, że ginę z obawy, aby dusza pańska nie zamknęła się zupełnie temu uczuciu, o wiele więcej przynoszącemu bólów niż pociechy. Dwa tygodnie już nie pisałam do pana i do wczoraj byłam pewna, że nie napiszę, aż dostanę wiadomość. Cierpienie zwałiło mą duszę, ustępuję mu. Wzięłam o piątej rano dwa grany opium; zdobyłam spokój, więcej mi wart od snu; ból, którego doznaję, jest mniej przenikliwy. Cały mój organizm jest podcięty; gdy sprężyna osłabnie, łatwiej można w końcu poskromić pęd duszy. Mogę mówić do pana, mogę się żalić; wczoraj nie miałam słów. Nie byłabym mogła wymówić, że lękam się o życie istoty, którą kocham²⁷; łatwiej byłoby mi umrzeć, niż wyrzec słowa, które lodem ścinają serce. Pan kochałeś, pojmiesz więc, czym są podobne obawy: aż do środy będę trwała w niepokoju, który przejmuję grozą, a który wszelako nakazuje mi żyć aż do tego czasu. Tak, nie podobna jest umrzeć, kiedy się jest kochanym, a zarazem strasznym jest żyć; śmierć jest najbardziej nagłą potrzebą mej duszy, a czuję się przygwożdżoną do życia. Użał się pan nade mną; przebacz, że nadużywam dobroci, którą mi okazałeś. Czy to w panu, czy w sobie samej znajduję tę ufność, która mnie pociąga?

Powiadają, że z pewnością nie zastał pan króla w Berlinie; czy pospieszylesz za nim do Szczecina, gdzie miał być do 20-go? Ale jestem niespokojna, zdaje mi się, że można by już mieć wiadomości z Berlina. Jakże byłby pan niegodziwy, gdyby ich brak pochodził

²⁴*Hetman* — *Hetman Bourbon*, tragedia pana de Guibert, napisana w 25 roku życia, wystawiona później na dworze. [przypis tłumacza]

²⁵*gdyby pan był (...) jak Montaigne i (...) mnie uważał za swego La Boëtie* — już przedtem natrącona aluzja do głębokiej przyjaźni między Montaignem a Stefanem La Boëtie. [przypis tłumacza]

²⁶*czuję całą różnicę (...), niech mi pan wskaże ich podobieństwo* — ulubiona zabawa towarzysko-umysłowa ówczesnych salonów. [przypis tłumacza]

²⁷*lękam się o życie istoty, którą kocham* — wciąż mowa o panu de Mora. [przypis tłumacza]

z twojej opieszalności! A pamięta pan: dał mi pan słowo honoru, iż każesz mnie powiadomić, gdybyś był chory. Niech pan się nie ucieka do tego pozoru, którym zadawała się pospolita przyjaźń, że *nie chce się kogoś niepokoić*; to wstrętne; nie chcę, aby mnie oszczędzano; chcę cierpieć przez swoich przyjaciół, dla swoich przyjaciół, kocham tysiąc razy więcej cierpienia, które przychodzą przez nich, niż wszelkie szczęście na ziemi płynące skądinąd. Do widzenia; mam jeszcze w głowie opium, ćmi mi się w oczach: może czyni mnie to jeszcze tępszą niż zazwyczaj; ale cóż mi o to, wszak to nie mój dowcip, ale moje nieszczęścia pociągnęły pana ku mnie.

LIST VII

Poniedziałek wieczór, 21 czerwca 1773

Oto, zdaje mi się, mój piąty list do Berlina

Pisałam do pana wczoraj i piszę dziś wieczór. Gdybym odczekała trzy dni, to znaczy do środy, nigdy może nie odpowiedziałabym na pański list z 20-go, który przyniósł mi dzisiaj kawaler d'Aguesseau. Najpierw — jest bowiem może jeszcze przyszłość przede mną — muszę panu powiedzieć, abyś adresował listy do mnie wprost; inaczej wprowadza pan jeszcze jedną szansę na moją szkodę: kawaler d'Aguesseau może być na wsi, podróżować, etc. etc. Słowem, wystarczy już być o tysiąc mil, niech pan nie dodaje więcej. Och! wydam się panu szaloną; będę mówiła szczerze i prosto, jakby mówił ktoś, kto by mniemał, że umrze nazajutrz; niech pan tedy słucha z pobłażliwością i zainteresowaniem, jakie mamy dla umierających. Pański list sprawił mi wiele dobrego; *czekałam* go ciągle, ale przestałam go *pragnąć*, ponieważ dusza moja niezdolna już była do żadnego drgnięcia, które by miało coś pokrewnego z przyjemnością. I ot! mamż wyznać? Zdołał mnie pan oderwać na kilka chwil od grozy i przerażenia, które pochłaniają całe me istnienie. Och, Boże, lękam się o jego życie, moje jest z nim związane, i czuję potrzebę rozmowy z panem. Czy pan pojmuje uczucie, które mnie ożywia i pociąga ku panu? Mimo to nie jestem rada z pana: jest w tym jakiś chłód i niedbałość, nie wspomnieć, czemu pan nie napisał do mnie z Drezna, jak pan przyrzekł; przy tym daje mi pan uczuć zbyt wyraźnie, iż zawód, który pana spotkał w Berlinie, unicestwił te trochę słodczy, jakie mogłyby panu dać świadectwa i wyrazy mej przyjaźni. A wreszcie, mam rzec wszystko? Dotknęło mnie, że pan mi dziękuje za moje zainteresowanie. Czy pan myśli, że to jest sposób wypłacenia się? Wydam się panu bardzo niesprawiedliwa, trudna; nie, to nic podobnego; jestem bardzo prosta, bardzo chora i bardzo nieszczęśliwa; och! tak, bardzo nieszczęśliwa. Gdybym nie mówiła tego, co czuję, co myślę, nie mówiłabym wcale do pana. Czy sądzi pan, że w tym zamęcie duszy, w którym żyję, można być zdolnym powściągnąć się? Tak na przykład, czy mam być wzruszona sposobem, w jaki mi pan mówi odnośnie do najważniejszej sprawy mego życia: *niech mi pani odpowie w tym przedmiocie, co pani będzie mogła, co pani zechce*. Och, tak, co zechcę; zostawia mi pan w istocie wielką swobodę; ale widzi pan, jak z niej korzystam: nie aby sądzić pana, ale aby panu dowodzić tego, co pan wie o wiele jeszcze lepiej ode mnie, mianowicie, iż ton, wyraz, zależne są od tego, co ktoś czuje i że jeżeli nie jestem z pana rada, to nie pana wina, i wiem to dobrze. To też, nie roszczę sobie pretensyj do niczego, prócz jeno tej pociechy, której się kosztuje tak rzadko, *wyrażenia całej swej myśli*. Zawsze krępuje nas obawa jutra: otóż czuję się tak swobodna, jakbym go nie miała przed sobą; a gdybym przypadkiem miała żyć jeszcze, przebaczyłabym sobie, czuję to, że powiedziałam panu wszystko, nawet narażając się na to, iż stracę w pana oczach. Czy nie prawda? Trzeba, aby przyjaźń nasza była wielka, silna i zupełna; aby nasz związek był serdeczny, trwały i bliski lub też aby nie było w ogóle nic. Tak więc w żadnym razie nie mogę żałować, iż odsłoniłam panu całą duszę. Jeżeli to nie to, czego pan chciał, jeżeli zaszła omyłka, ha! bądźmyż oboje dobrej wiary, nie bądźmy zawstyżeni ani zakłopotani: wróćmy tam, skądśmy wyszli; będzie nam się zdawało, żeśmy śnili. Dołączymy ten paragraf do rozdziału *Doświadczeń* i zachowamy się jak osoby dobrze wychowane, które wiedzą, że nie jest *właściwe* mówić o swoich snach. Będziemy milczeć: milczenie jest tak słodkie, kiedy może ocalić miłość własną! Nie chce mi pan powiedzieć, jakie *miejsce* mi pan przyznaje; czy wstrzymuje pana obawa, że to może być za wiele lub za mało? Może to sprawiedliwie; ale nie szlachetnie. Wszak młodość jest tak

szczodra, lubi dawać aż do rozrzutności; a oto pan jesteś skąpy na kształt starca lub bogacza. Ale, doprawdy, żądasz niepodobieństwa; żądasz, abym się litowała nad panem za to, że robisz co chcesz; trzeba panu staczać walki, aby się poddać swemu charakterowi. Ech! Boże, jeszcze trochę czasu, a ręczę, iż będzie panem władał jak despota; przyzwyczajenie do zwycięstw wzmocni go, a tak mało mu tego potrzeba! Powiedział pan sobie — i to tak niedawno — że nie chodzi o to, abyś był szczęśliwym, byłeś był wielkim; idź tylko dalej tą drogą, ręczę, że będziesz bardzo konsekwentny: chwiejne i mętne jest w panu tylko czucie; myśli, zamiary, rysują się w sposób bardzo stanowczy. Albo się bardzo mylę, albo pan jest stworzony, aby się stać szczęściem duszy próżnej, a rozpaczą duszy tkliwej. Niech pan przyzna, że to, co mówię, nie jest panu niemiłe; daruję mi pan, że pana mniej lubię, jeśli panu udowodnię, że w zamian świat będzie pana więcej podziwiał.

Doprawdy, stawia mi pan osobliwe pytanie. *Czy ma ważniejsze od pana przyczyny do nieobecności?* Och, tak: ma; ma jedną najwyższą i taką, że jeśli zdoła ją zwyciężyć, ofiarą życia nie zdołałabym mu się wypłacić²⁸. Wszystkie okoliczności, fakty, wszystkie moralne i fizyczne racje są przeciw mnie; ale on jest tak bardzo za mną, iż nie pozwala mi wątpić w swój powrót. Drżę na myśl, czego się mogę dowiedzieć we środek; pluł krwią, puszczano mu krew dwa razy; w chwili odjazdu kuriera miał się dobrze: ale krwotok mógł wrócić; jak tu odzyskać spokój z taką myślą? On sam lękał się następstw; mimo iż silił się mnie uspokoić, czułam jego obawę. A teraz niech mi pan powie, czy nie wiesz, o kim mówię? I jeszcze niech mi pan powie, że wiedział pan o tym, kiedy pisałam do pana, aby prosić o *Hetmana*? Czy to była delikatność czy chytrość, że pan udawał nieświadomość nazwiska, które zmilczałam?

Ale nie mówię nic o pańskiej podróży; bo też w istocie nie mam nic do powiedzenia, skoro pan sam nie powziął jeszcze decyzji. Gdybym mogła myśleć, że będę żyła i że pan nigdy nie pojedzie do Rosji, pragnęłabym szczerze, aby pana zatrzymano w Berlinie; ale ponieważ myślę, że pan zawsze będzie czuł potrzebę czynienia rzeczy trudnych, chciałabym, skoro pan się już rozpędził, abyś objechał dokoła kulę ziemską, iżby się to już stało. A wreszcie czyż można myśleć przez chwilę o przyszłości? Ledwie pan wróci, pojedzie pan znów do Montauban, potem przyjdą znów inne projekty, ponieważ pan znosi spokój jedynie wówczas, gdy tworzysz plany zrobienia tysiąca mil.

Tak, doprawdy, myślę, że to był w moim życiu nieszczęśliwy dzień, który spędziłam rok temu, w *Moulin-Joli*²⁹. Bardzo byłam daleko od potrzeb nowej przyjaźni; życie moje i dusza były tak pełne, że bynajmniej nie pragnęłam nowych wrażeń; a panu też nie było nic po jednym więcej dowodzie sympatii, którą możesz obudzić w duszy uczciwej i czulej. Ale cóż za mizéria! Alboż my jesteśmy wolni? Alboż to co *jest*, może być inaczej? Nie byłeś pan tedy wolny, kiedyś mnie zapewniał, że będziesz pisywał często; co do mnie, nie mam wolności nie pragnąc tego żywo.

Złajawszy pana sumiennie, muszę jednak powiedzieć: jest pan bardzo miły, że pan napisał do mnie po przybyciu; zasługiwałam na to, doprawdy.

LIST VIII

Czwartek, 24 czerwca 1773

Trzy razy w ciągu tygodnia to nadto, o wiele nadto, nieprawdaż? Ale to dlatego, iż dosyć mam przyjaźni dla pana, aby sądzić, iż pana zaniepokoiłam. Sądzę, iż z pewną niecierpliwością oczekuje pan wiadomości, czy jeszcze istnieję; ach, tak, jestem skazana na życie; nie wolno mi już umrzeć; sprawiłabym cierpienie komuś, kto chce żyć dla mnie. Miałam wieści od niego 10-go; nie upewniają mnie zupełnie, ale mam nadzieję, że ten wypadek nie będzie miał złych następstw; spodziewam się nawet, że przyspieszy jego powrót; ale upały są dlań zabójcze, trzeba tedy czekać. Och, Boże! ciągle patrzeć, jak się radość oddala, odwleka i ciągle być pod uciskiem, brzemieniem nieszczęścia! Gdyby pan wiedział, jak bardzo potrzebowałabym odpocząć; od roku jestem na torturach. Pan jeden

²⁸ma jedną najwyższą i taką, że (...) nie zdołałabym mu się wypłacić — celem podróży pana de Mora było przygotowanie małżeństwa z panną de Lespinasse. [przypis tłumacza]

²⁹*Moulin-Joli* — wiejska posiadłość malarza Watelet, gdzie panna de Lespinasse spotkała po raz pierwszy pana de Guibert w czerwcu 1772. [przypis tłumacza]

może umiałeś usnąć na kilka chwil moje cierpienie; i ta chwilowa ulga przywiązała mnie do pana na życie.

Ale niech mi pan powie, czy ostatni list nie zraził pana? Czy nie popsuł czego między nami? Byłabym bardzo zmartwiona. Ale ja jestem jak pani du Chatelet: nie znam, co wyrzuty. Niech mi pan odpowie z tą samą szczerością: niech mnie pan ceni na tyle, aby mi nie mówić prawdy w połowie, niech mi pan powie wszystko złe, co pan myśli o mnie. Jeżeli proszę o to, to nie, jak powiada La Rochefoucauld, dla przyjemności słuchania o sobie, ale dla osądzenia, czy pan jest moim przyjacielem, czy nim będziesz. Słowem, zależy mi na tyle na naszym stosunku, aby mi pilno było wiedzieć, ile było przypadku i omyłki w tym, co nas zbliżyło wzajem. Powiadają, że nie ma nic silniejszego i pewniejszego niż uczucia, z których nie można sobie zdać sprawy. Jeżeli to prawda, powinna bym liczyć na pańską przyjaźń; ale pan nie chce, abym się zastanawiała nad tym: czemu? Czy nie byłabym rada z wyniku? Czy nie widzi pan, że kiedy się nabyło nowe mienie, najnaturalniejszą skłonnością jest badać je, oglądać ze wszystkich stron; to może najżywsza uciecha, jaką daje posiadanie: ale pan nie znasz wszystkich odcieni i wszystkich słodczy tkliwości; wszystko co podniosłe, szlachetne, wielkie, oto pański zakres. Bohaterowie Corneille'a przykuwają pańską uwagę; ledwie że rzucisz okiem na pastuszków Gessnera. Lubi pan podziwiać, ja zaś mam tylko jedną potrzebę, jedną wolę: kochać. Ale cóż mi o to! Będziemy mówili każde innym językiem; jest jakiś instynkt, który nadrabia wszystko, ale nic nie nadrobi tysiąca mil odległości.

Byłam tak nieprzytomna ostatnim razem, iż nie powiedziałam panu, że Diderot jest w Holandii; jest mu tak dobrze, ma już tylu przyjaciół — których nigdy wprzód nie widział — że bardzo jest możliwe, że nie wróci nigdy do Paryża i zapomni, że jest w drodze do Rosji. To nadzwyczajny człowiek: nie jest na swoim miejscu w społeczeństwie. Powinien być głową sekty; greckim filozofem, uczącym, oświecającym młodzież. Podoba mi się bardzo, ale nic w nim nie trafia do mojej duszy; jego wrażliwość jest czysto powierzchowna, nie sięga poza wzruszenie. Och! jakże Jan-Jakub, jakże *Hetman* bardziej są w moim tonie! Nie lubię tego co połowiczne, niezdecydowane, tego co jest tylko *trochę*. Nie rozumiem języka ludzi światowych; bawią się, a ziewają, mają przyjaciół, a nie kochają nikogo. Wszystko to wydaje mi się straszliwą mizериą; tak, wolę raczej cierpienie, które trawi moje życie, niż przyjemność, która usypia ich wegetację. Ale takie usposobienie nie czyni człowieka miłym. Ha! można się obejść bez tego; nie jest się miłym, ale zdobywa się miłość, a to warte tysiąc razy więcej.

Jakże chciałabym wiedzieć, czy pan pojedzie do Rosji! Mam nadzieję, że nie i to, jak pan mówi, ponieważ tego pragnę. Zdaje mi się, że znikąd w świecie listy nie idą tak wolno jak z Rosji. I to nikomu nie szkodzi, komuż bowiem przyszło kiedy do głowy pokochać Rosjanina? Zobacz pan, czy warto było robić sześćset mil. Odczytałam dwa, trzy razy pański list, po pierwsze ponieważ był trudny, a po wtóre ponieważ ja byłam trudna. Och, gdyby pan wiedział, ile grzechów *zaniedbania* w nim znalazłam? Ale dłaczegóż nie miałby pan ich popełniać? Pan d'Alembert czeka pańskiego listu z wielką niecierpliwością. Pan de Crillon ubiegł pana. Przyjaciół pana, pan d'Aguesseau, zdawał mi się — przynajmniej wówczas, gdy mi przyniósł pański list — bardzo osobliwy. Wyglądał jakiś pomieszany; ruchy jego mają coś konwulsyjnego. Powiada, że jest chory, i wierzę mu; wybiera się do Spa. Nie wiem czemu, ale bardzo rada jestem, że on nie jest z panem.

Do widzenia; zasypałam pana pytaniami, a pan nie odpowiada. Nie pytam, czy panu miło będzie otrzymywać nowinki paryskie, ponieważ byłoby nad moje siły zajmować się nimi.

Wiem to, czego publiczność nie wie jeszcze, że pan d'Aranda mianowany jest ambasadorem hiszpańskim na miejsce pana de Fuentes, a ten wraca, aby zająć pierwsze miejsce we dworze. Wszystko to nic pana nie obchodzi i zdziwi pana, że mnie obchodzi bardzo³⁰. Czy nie trzeba być szaloną, aby się troszczyć o to, co się dzieje w Madrycie? Do widzenia jeszcze raz. Szaleństwo moje godne jest pańskiego współczucia. Proszę o wiadomości, często, długo; oby przyjemność, którą mi pan sprawi, mogła być równie miłą i panu. Ile jest listów, które panu pilniej będzie otworzyć niż mój? Trzy, dziesięć?

³⁰pan d'Aranda mianowany jest ambasadorem hiszpańskim na miejsce pana de Fuentes (...) — hrabia de Fuentes był ojcem margrabiego de Mora. [przypis tłumacza]

LIST IX

Do tegoż, w Berlinie

Czwartek, 1 lipca 1773

Gdyby pan wiedział, jaka ja niesprawiedliwa! Jak pana obwinałam! Jak powtarzałam sobie, że nie trzeba mi niczego spodziewać się po pańskiej przyjaźni! A powód wszystkiego, to iż nie miałam wiadomości. Niech mi pan powie, dlaczego się czeka, dlaczego się wymaga od kogoś, na kogo się nie liczy? Doprawdy, wierzę, że mi pan przebaczy moje szaleństwa; ale ja sama nie powinna bym być tak pobłażliwa. Więcej mnie dają się one we znaki niż panu; nie wiem już sama, co panu jestem winna, nie wiem już, co daję. Wiem, że nieobecność pańska ciąży mi, a nie rękę, czy obecność przyniosłaby mi ulgę! Ach, Boże, cóż za straszliwe położenie, w którym przyjemność, pociecha, przyjaźń, słowem, wszystko staje się trucizną! Co czynić, niech mi pan powie? Gdzie odnaleźć spokój? Nie wiem, skąd czerpię siłę, aby się oprzeć tak głębokim i tak sprzecznym wrażeniom.

Ileż razy człowiek umiera nim umrze! Wszystko mnie martwi i szkodzi mi, a nie wolno mi uwolnić się od brzemienia, które mnie gniecie. Jest ktoś, kto, w pełni nieszczęść, żąda, bym żyła, szarpie mnie zarówno rozpaczą jak tkliwością, którą we mnie budzi. Och, Boże, kochać, być kochaną, to nie jest szczęściem! Cierpię męki, a jeszcze muszę sobie wyrzucać, że mącę czyjś spokój, że jestem przyczyną nieszczęścia drogiej mi osoby! Dusza wyczerpana bólem, organizm rozbity, a mimo to żyję i trzeba, abym żyła; czemu i pan żąda tego? Co panu zależy na mym życiu? Jaką wartość może mieć ono dla pana? Czym ja jestem dla pana? Dusza pańska jest tak zajęta, życie tak wypełnione i pełne ruchu! Jakim cudem zostaje panu czas, aby współczuć z mymi cierpieniami, w jaki sposób zostaje panu dosyć wrażliwości, aby odwzajemnić mą przyjaźń? Tak, jest pan zbyt miły; w tonie pana przebija serdeczność, a mam uczucie, że nie powinnam jej w panu budzić. Listy moje są panu potrzebne: czy to może być prawdą? Tak, skoro pan to mówi. Ale czemu pan tak długo nie pisał? Czemu pan nie adresował listów wprost do mnie? Strasburg opóźnił je o dwa lub trzy dni. To nic dla kogoś, kto obraca osiem miesięcy na zaspokojenie swej ciekawości, ale bardzo dużo dla tego, kto zna już w życiu tylko jeden rodzaj zainteresowania.

Cieszę się — od tego chciałam zacząć — że pan był rad z przyjęcia u króla pruskiego. To, co pan pisze o tym „czarodziejskim oparze”, który go otaczał, jest tak urocze, tak szlachetne, tak trafne, że nie byłam w stanie zamilczeć i przeczytałam ten ustęp wszystkim, którzy godni byli słyszeć. Pani Geoffrin prosiła, abym jej dała odpis. Posłałam go i dalej, i robi wrażenie, jestem pewna. Nie jedzie pan tedy do Rosji? To mi sprawia serdeczną przyjemność. Tak, niech mi pan pozwoli powtórzyć jeszcze, jak bardzo pańska przyjaźń umie być miłą. Odpowiada pan na wszystko, rozmawia pan, jest pan blisko nawet wówczas, gdy pan jest o tysiiąc mil.

Ale czem się dzieje³¹, że ta kobieta³² nie kocha pana do szaleństwa? Tak, jak by pan pragnął? Jak by pan zasługiwał? Na cóż może tedy obracać swą duszę i życie? Och! tak, nie ma ani smaku, ani serca, jestem pewna. Powinna by pana kochać, choćby przez próżność. Ale po co ja się mieszam? Jest pan zadowolony, albo, jeżeli jest inaczej, kocha pan ból, który panu sprawia. Czemuż bym więc miała współczuć z panem? Ale tamta nieszczęśliwa *osoba*, ona raczej mnie interesuje; czy pan pisał do niej? Czy zawsze równie głęboko odczuwa swe nieszczęście?

Pragnę panu donieść, że kiedyś u hrabiny de Boufflers mówiono wiele o panu i o *Hetmanie Bourbon*. Młoda Boufflers rzekła do mnie, iż sądzi, że pan jest bardzo zakochany i to sprawiło, że przyjrzała się uważnie pani de M³³. Był tam pewien mężczyzna, który ręczył, iż pan już nie jest zakochany, że kochałeś ją swego czasu, ale że to się już zużyło. Dodał, iż nie przypuszcza, aby pan był kiedy długo szczęśliwy albo nieszczęśliwy przez tę samą kobietę, i że żywość pańska nie pozwala panu długo trwać przy jednym przedmiocie. Stąd wynikła *uduchowiona* dysertacja o rzeczach czucia i namiętności. Hrabina de Bouf-

Śmierć, Kondycja ludzka

³¹*czem się dzieje* (daw.) — jak to się dzieje; czemu, dlaczego. [przypis edytorski]

³²*ta kobieta* — pani de Montsaugue, kochanka pana de Guibert. [przypis tłumacza]

³³*pani de M.* — litera ta oznacza zawsze panią de Montsaugue, która jest przedmiotem nieustannych objawów zazdrości panny de Lespinasse. [przypis tłumacza]

flers powiedziała w końcu, że nie wie, w kim pan jest zakochany, że już nie w pani de M., ale z bilecików, które dostała od pana od czasu wyjazdu, sądzi, że pan jest mocno zajęty i że oddalenie rozdziera pańską duszę. A potem ta tak naturalna refleksja: „Ależ bo po co jechać do Rosji?”. „Hm, może po to, aby się wyleczyć? Może aby rozgrzać uczucie osoby, która...”. W końcu, po wielu nieinteresujących przypuszczeniach, zaczęto mnie pytać, czy pana lubię, czy pana dobrze znam, nie odezwałam się bowiem ani słowem. „Owszem, lubię bardzo; kiedy się zna choć trochę pana de Guibert, niepodobna go nie lubić”. „Jakże więc, musi tedy pani znać jego stosunki, wiedzieć, kto jest przedmiotem...?”. „Ależ nie! Doprawdy nie mam pojęcia. Wiem, że jest w Berlinie, że ma się dobrze, że król przyjął go doskonale, że zobaczy jego armię, że pojedzie na Śląsk: oto wszystko, co wiem, co mnie obchodzi”. Po czym zaczęto mówić o Operze, o młodej żonie Delfina i o tysiącu rzeczy *interesujących*.

Opowiadam to wszystko, aby panu powiedzieć, że nie podoba mi się, iż cały świat zna pańskie przywiązania, niechęci, niestałości. Chciałabym słyszeć jeno, jak mówią o pańskich przymiotach, talentach i cnotach: czy to źle?

Chciał pan dużo listów do Wiednia; otóż możliwe jest, że nie dostanie ich pan wcale albo że pana nimi zasypią. Pisałam trzy do Berlina od czasu owego z 6-go; bez wątpienia wyślą je za panem; gdyby miały czekać pańskiego powrotu, byłyby mocno stare, kiedy je pan odbierze.

Przez litość, niech pan nie będzie tak uprzejmy; niech pan nie pisze pierwszy, wówczas bowiem, sam nie wiedząc o tym, pisałby pan jedynie, aby pisać. Niech pan przechodzi do mnie dopiero wówczas, kiedy *jej* nie będziesz miał już nic do powiedzenia. To jest w porządku; przyjaźń winna iść dopiero *potem*. Niekiedy trzyma się ona bardzo z daleka; niekiedy znów bardzo blisko, za blisko nawet; nieszczęśliwi gotowi są pokochać wszystko, co im daje pociechę; tak słodko jest kochać to, co nam miłe! Nie wiem czemu, jest coś, co mnie ostrzega, że będę mogła powiedzieć o naszej przyjaźni to, co rzekł hrabia d'Argenson, widząc pierwszy raz ładną pannę de Berville, swoją siostrzenicę: *Śliczna pannie: jest wszelka nadzieja, iż sprawi nam wiele zgryzoty!* Jak się panu zdaje? Ale pan jest taki silny, zrównoważony, a zwłaszcza tak zajęty, że to pana ubezpiecza od wielkich nieszczęść i małych utrapień. Nie ma to jak mieć w tym stopniu rozum, talenty: to czyni człowieka wyższym nad wypadki. Tak, przepowiadam panu i cieszę się z tego: nie zazna pan owych nieszczęść, które miażdżą duszę; jest pan dość młody, aby doświadczyć jeszcze lekkich wstrząśnień, ale ręczę panu, niebawem odzyskasz równowagę. Och, ręczę, zrobisz w życiu los, posiadasz wielką sławę.

Wydam się panu wstrętna, odsłonię duszę bardzo małą, bardzo pospolitą, ale nic na to nie poradzę: za każdym razem, kiedy pana oglądam w przyszłości, mrozi mnie coś; nie dlatego, aby wielkość przygniatała mnie, ale że wielkość rodzi podziw, a rzadko zasługuje, aby ją kochać. Przyznaj pan, że jestem prawie równie głupia jak szalona, jestem o wiele gorsza: mam ten pewien rodzaj, jedyny zły, wedle określenia Woltera. Śmiem go nazwać, napoiłam nim pana tak dokładnie, iż nie trzeba mi dodawać, że to jest rodzaj *nudny*. Oto różnica naszego przywiązania: pan jesteś na krańcu świata, jesteś dosyć spokojny, aby się cieszyć wszystkim; a ja jestem w Paryżu, cierpię i nie cieszę się niczym: oto wszystko, jak powiada Marivaux.

Otrzymałam wiele szczegółów, uśmierzyły moją rozpacz; przekonałam się, że nie ma się czego lękać po tym ostatnim wypadku; ale pojmuje pan, czy podobna mieć chwilę spokoju, drząc bez ustanku o życie kogoś, komu by się w każdej chwili poświęciło swoje. Ach, gdyby pan wiedział, jaki on kochany, jaki godny, aby go kochać! Dusza jego jest łagodna, tkliva i silna. Pewna jestem, że ze wszystkich ludzi na świecie on podobalby się panu i odpowiadał najwięcej; jest pełen duszy, ciepła³⁴ (...).

Daruję mi pan może, gdy się pan dowie, że to pan rodzi we mnie te wady, pan ma wyłączny przywilej w tej mierze. Ze wszystkimi innymi przyjaciółmi jestem najlepszą i najłatwiejszą istotą pod słońcem; mam uczucie, że robią mi wciąż łaskę i uprzedzają mnie we wszystkim. Wciąż jeno dziękuję, wysławiam ich, a na pana się skarżę, ale tylko przed panem. Krytykuję pana, przyganiam panu; czemu ta różnica?

³⁴Pewna jestem (...) ciepła i — ćwiartka przedarta, brakuje kilkunastu wierszy. [przypis tłumacza]

Czy by pan uwierzył, że to dopiero rok, jak się znamy? To się wydaje niemożliwe! Racja, którą pan uzasadnia odmowę *Hetmana*, nic nie warta: wie pan, że miałam pewnego kopistę; ale przebaczam.

LIST X

Środa wieczór, 14 lipca 1773

Mój Boże, jaki pan miły i jak mnie zdumiewasz, iż wracasz do mnie z tak daleka. Będąc tak zajęty, tak rozproszony, jakim cudem myślisz jeszcze o kimś, kto nie może mieć w pańskich oczach innej wartości prócz tej, iż wydał się panu zdolny kochać i cierpieć? Na cóż się mogą panu zdać kiedy te smutne zdolności? Nie potrzebuje pan, aby pana kochać, a byłoby panu przykro, gdybym przez pana cierpiała; jakąż wartość może tedy mieć dla pana stosunek, w którym wszystkie korzyści są po mojej stronie? Stawia mi pan pytania, na które niezdolna jestem odpowiedzieć. Ach! trzeba by mieć w sobie spokój, aby odpowiedzieć na pytania, które zadaje obojętność: nieszczęście, ustawna męka wtrąciły mnie w jakąś tępotę, która odejmuje mi zdolność myślenia; zostaje mi ledwie tyle rozsądku, ile trzeba, aby sądzić siebie samą, aby potępić wszystkie swoje popędy, aby się trapić wszystkimi swymi uczuciami. Dusza moja ma ustawną gorączkę, dochodzącą często do maligny. Och! gdyby było prawdą, że z nadmiaru zła rodzi się niekiedy dobro, powinna bym spodziewać się jakiejś ulgi. Nie, nie mogę już nastarczyć różnorodnym wzruszeniom, które szarpią moje serce, a wyrzucam sobie słabość, która każe mi pokazywać panu, co cierpię. Zdaje mi się, że nie mam zamiaru budzić pańskiego współczucia; nie mam żadnych praw do pańskiej tkliwości, a gdybym miała, nie cierpieniem moim chciałabym ją karmić. Nie, nie jest mi pan winien nic, udowodnię to panu; nienawiść, wstręt budzi we mnie i owa fatalność, która kazała mi napisać do pana *pierwszy bilecik* i która w tej chwili może ciągnie mnie z równą siłą.

Nie chciałam mówić o sobie, chciałam po prostu podziękować, że pan napisał do mnie przed przybyciem do Wiednia; chciałam odpisać panu, a nie pisać do pana. Nie przyjmuję pana pochwał, zdziwi się pan czemu: dlatego, że nie uważam ich za pochwały. Co mi zależy na tym, że pan uważa, że nie jestem głupia. Osobliwe jest, a prawdziwe wszelako, że ze wszystkich ludzi na świecie, wobec pana właśnie najmniej się staram być miłą; niech mi pan wytłumaczy to dziwactwo, niech mi pan wytłumaczy, dlaczego pana sądzę z nieznosną surowością; dlaczego czuję w każdej chwili, że jestem niesprawiedliwa wobec pana; czemu, nie wierząc w pańską przyjaźń, prawuję się o każdy jej wyraz: czemu wreszcie, wówczas gdy mogłabym być z pana rada, czuję do pana jakby żal o to? Tak, rozum mówi mi, że powinnam pana prosić o przebaczenie, myśl moja bowiem obraża pana co chwilę, dusza zaś buntuje się na to samo, że pan mógłby mnie rozgrzeszyć. Ach, nie, nie chcę: sądz mnie pan bardzo surowo, oceń całą mą niesprawiedliwość, niedorzeczność i idź za uczuciem, które musi to w panu budzić. Powiedziałam panu: nie skleimy z tego wszystkiego przyjaźni Montaigne'a i Stefana La Boetie: to byli ludzie spokojni, potrzebowali się tylko poddać słodkim i naturalnym uczuciom, których doznawali, a my, my jesteśmy dwaj chorzy, ale z tą różnicą, że pan jest chory pełen siły i rozumu, że pan postępuje w sposób dający ci się nieustannie cieszyć najwyborniejszym zdrowiem, podczas gdy ja jestem dotknięta śmiertelną chorobą, wszystkie zaś środki kojące, których chciałam użyć, zmieniły się w truciznę i tym dotkliwiej zaostrzyły me cierpienia. Osobliwej natury są te cierpienia, skazyły mój rozum i zbłąkały sąd; nie chciałabym bowiem wyleczyć się, pragnę jedynie śmierci.

Mój Boże, jakże by mnie martwiło podróżować, jakby mnie martwiło polknąć sto tomów w dwa miesiące, jakby mnie martwiło być tyle wartą, co pan, i być przeznaczoną do takich powodzeń i takiej sławy! Gdyby pan wiedział, jak moja dusza jest mała! Widzi w naturze tylko jedną rzecz wartą, aby się nią zaprzętać. Cezar, Wolter, król pruski, wydają się jej niekiedy godnymi podziwu, nigdy zazdrości. Uczyniłabym panu zbyt wiele zaszczytu, gdybym zwierzyła się, jaki los przeżyłabym nad wszystko, co oddycha... Tak, jestem jak Felix:

...wchodzę w czucia iście nie do wiary:

To żalosne, to nagle niby krwi pożary.
Niskie nawet...

Ale pan nie zrozumiałby tego języka, przyprawiłabym pana o rumieniec tą myślą, że moja dusza może mieć jakieś podobieństwo z pańską. Czyni mi pan za wiele zaszczytu, wznosząc mnie do siebie; ale też niech się pan strzeże stawiać mnie obok kobiet, które szacujesz najwyżej: zmartwiłbyś je, a mnie wyrządziłbyś krzywdę. Nie wiesz pan wcale, co ja jestem *warta*; pomyśl tedy, że umiem cierpieć i umrzeć; i osądź potem, czy podobna jestem do wszystkich tych, które umiejają podobać się i bawić. Och! to pierwsze mierzi mnie w tym samym stopniu, w jakim to drugie byłoby mi niepodobieństwem! Mam wstręt do wszystkiego, co mnie rozprasza i odciąga. Są przedmioty, których nic nie jest w stanie przesłonić mym oczom. To, co naokoło ludzie nazywają rozrywką i przyjemnością, oszalamia mnie jedynie i nuży; gdyby coś mogło mieć siłę oderwania mnie na chwilę od mego nieszczęścia, sądzę, iż zamiast czuć wdzięczność za to, czułabym raczej nienawiść. Co pan sądzi o tym, pan, który mi mówisz o *szczęściu* i każesz mi się spodziewać, że jeśli ono zależy od pańskiej przyjaźni, dasz mi je. Nie, drogi panie, przyjaźń pańska nie da mi szczęścia, ponieważ jest ono niemożliwe: przyniesie mi ulgę, może udrękę i nie wiem, czy będzie mi trzeba błogosławić czy złorzeczyć temu, co panu będę winna.

Dlaczego zdaje się pan jakby usprawiedliwiać, że pan czytał *Hetmana*? Byłoby niegrzecznie uchylać się od przyjemności, którą pan może sprawić komuś i sobie. Król pruski napisał do d'Alemberta czarujący list: jest pełen pochwał dla pana i obiecuje sobie bez ochyby usłyszeć *Hetmana*. Jestem pewna, że będzie zachwycony; dzieło to pod wieloma względami zgodne jest z tonem jego duszy.

Ale pan jest zupełnie szalony, aby chcieć nastroić na ton swojej pp. rewizorów pocztowych. Na miłość boską, niech mi pan już nie mówi o nowinach z „Gazety”, nie czytam jej nigdy i brzydzę się na równi z panem wszystkim, co budzi podziw tłumu. Widzę z litością i bólem, że prawie wszyscy ludzie są z natury płacy i służalczy; ale pan mi świadkiem, iż to, co wypełnia moje serce, bardziej jest szlachetne, podniosłe i wielkie, niż to, co głupia publiczność szanuje i podziwia. Do widzenia, proszę o częste wiadomości, proszę poniechać zamiaru pisania po kilka słów; niech pan zachowa ten projekt dla swoich znajomych; są nawet przyjaciele, którzy będą zeń zadowoleni, ale mnie jest tak trudno zaspokoić! Doniesie mi pan, czy pan otrzymał moje listy.

LIST XI

Do tegoż, w Wiedniu

Paryż, 25 lipca 1773

Ach, nie, nie myli się pan, największe odległości to nie te, które natura naznaczyła milami; Indie nie są tak daleko od Paryża, jak data 27 czerwca od 15 lipca. Oto prawdziwe oddalenie, oto przerażające rozdziały: zapomnienie duszy; to podobne jest do śmierci, i gorsze, ponieważ odczuwa się je długo. Ale niech pan nie myśli, że to wymówki; och, Boże, nie mam praw po temu, nie jest mi pan winien nic, ja zaś winnam panu dziękować za dowody pamięci. Musiał pan być zawalony moimi listami za powrotem z Węgier; oto trzeci adresowany do Wiednia, a ze dwa lub trzy musiano panu odesłać z Berlina. Na tę odległość, która nas dzieli, trzeba, jeśli pani łaskaw, używać tej pospolitej formuły: *otrzymałam list z dnia... etc. etc.* Wiedziałam od dawna przez barona Kocha, generała w służbie cesarskiej, że manewrów nie będzie. Sądzą tutaj, że cesarz i król pruski naznaczyli sobie spotkanie gdzieś w swoich nowych posiadłościach. Ale wypełnił pan czas w pożyteczny sposób, nie nadto zatem musisz żałować manewrów.

Jak to, szczerze, chce pan, abym pana ściągnęła do swojej miary? To chyba dlatego, że łatwiej się panu schylić, niż mnie podnieść, i że, w jakiegokolwiek proporcji ja pana widzę, pan zostaniesz we własnej, której niewielu ludzi może dosięgnąć. Ale, doprawdy, niech mi pan pozwoli nie uważać za objaw zaufania i przyjaźni tego, co mi pan mówi o swoim charakterze. Niestety, czy pan wie, co mi pan daje do zrozumienia, odsłaniając własne niekonsekwencje? To, że jestem głupie stworzenie, które nic nie widzi, nie spostrzega;

bez wątpienia bowiem, jeżeli pan nie jest obłudny ani fałszywy, powinnam była poznać to, co — jak pan mniema — odsłania mi pan z siebie: i pan chce, abym ja pana nauczyła jakiejś głębokiej wiedzy? Faktem jest, iż ani ja, ani pan sam nie znamy pana dobrze; pan, ponieważ jesteś zbyt blisko i zanadto się obserwujesz, ja, ponieważ oglądam pana zawsze z lękiem i zakłopotaniem. Jeśli kiedy zobaczę pana znowu, przyjrę się lepiej, mam uczucie, że wzrok mój się wydoskonalił.

To, co mi pan powiada o przyczynie swych ciągłych wędrówek, jest cudowne: pełne dowcipu i wdzięku, co sprawia, iż może się obejść bez prawdy: *Staram się wypełnić młodość, iżby starość nie wyrzuciła mi, że jej nie użyłem*. To coś jak skąpiec, który, pozwalając przymierać głodem dzieciom, usprawiedliwia sam przed sobą nieczułość, powiadając, iż gromadzi dla nich majątek. Bądźmy prostszy, nie szukajmy pozorów, aby usprawiedliwić swoje upodobania i namiętności: jedzie pan na kraj świata, ponieważ dusza pańska jest bardziej łakoma niż tkliwa, mój Boże, cóż w tym złego? Jest pan młody, poznałeś miłość, cierpiałeś i wnosisz stąd, że jesteś uczuciowy, a to nieprawda. Jest pan krewki, namiętny, byłbyś zdolny do wszystkiego co silne, wielkie; ale będziesz zawsze w życiu jedynie w służbie *ruchu*, to znaczy aktów, czynności oderwanych. Nie w ten sposób poczyna sobie tkliwość i uczucie: przywiązują, wiążą, wypełniają całe życie, zostawiają miejsce jedynie na łagodne i spokojne cnoty, unikają rozgłosu. Wszystko, co je dzieli lub oddala od ich przedmiotu, zda się im nieszczęściem lub tyranią. Niech się pan teraz przyjrzy i porówna. Co? powiedziała już, natura nie stworzyła pana, abyś był szczęśliwym; skazała pana na to, abyś był wielkim; poddaj się tedy bez szemrania.

Wierzę poza tym we wszystko, co mi pan mówi o przewagach tego kraju nad innymi; nie wiem, czy przywiezie pan z podróży wstręt do podróżowania, ale jestem zupełnie pewna, że nie przywieziesz możliwości ustalenia się gdziekolwiek. Osądzi pan trafnie i sprawiedliwie, co jest dobre, co lepsze; ale uczynisz jak Włosi z muzyką: wolą nową od dobrej.

Przepraszam pana, sprzeciwiam się pana słowom, ale niech pan przyzna, że jestem w zgodzie z tonem pańskiej duszy. I pan chce, abym mówiła o mojej? Oto jej stan: nie widział pan nigdy owych chorych, dotkniętych chronicznym i nieuleczalnym cierpieniem? Kiedy pytać o nich osób, które ich pielęgnują, odpowiadają: *ma się dobrze, o ile jego stan na to pozwala*; to znaczy umrze, ale ma parę chwil ulgi: oto wierny obraz mojej duszy. Po najgwałtowniejszej burzy, spokój.

Jego stan moralny jest taki, jak bym sama mogła pragnąć: ale jakże zdrowie jego³⁵ jest niepokojące! Mimo to jestem pewna, nie łamię w niczym przepisów; ceni życie, ponieważ pragnie kochać i być kochanym, to jedno wiąże go do istnienia. Ach, gdyby pan wiedział, jaki to kochany człowiek! Tak, lubiłbyś mnie pan trochę, ale straciłbyś szacunek dla mego charakteru, iż byłam zdolna do chwili rozproszenia. Och! czymże pan musi być, iż zdołałeś mnie odwrócić na moment od najbardziej uroczej i doskonałej istoty? Tak, gdyby go pan znał lub kiedy go poznasz, ujrzysz, że w sądzie moim nie ma iluzji ani uprzedzenia. No cóż! czy dosyć panu odsłoniłam swą duszę? Czy moja przyjaźń jest bierna, czynna czy zamknięta w sobie?

Kawaler d'Aguesseau doniósł panu pewnie, że straciłam cierpliwość; posłałam doń pytać nowin o pana. W danej chwili nie miał żadnych; ale skoro tylko otrzymał list z 8-go, doniósł mi, że pan się ma dobrze. Miałam pokusę napisać do pana z podziękowaniem, iż masz przyjaciela, który zdołał mnie wydobyć z niepokoju; ale później pomyślałam, że lepiej poczekać na pana. Tak, istotnie, chcę czekać na pana, i zawsze. Dlaczego mam iść szybciej niż pan? Zmęczyłabym się i krępowałabym pana w chodzie. Nie chcę już żadnego uczucia, które by poruszało mą duszę w bolesny sposób; to nadto. Nie wiem, jak mogę nastarczyć temu, co daję z siebie. To prawda, że skupiłam wszystkie siły na jeden punkt: cała natura martwa jest dla mnie, wyjąwszy przedmiot, który ożywia i wypełnia wszystkie chwile mego życia. Nie istnieję dla niczego: ludzie, przyjemności, rozrywki, próżność, opinia, wszystko to już nie dla mnie; żal mi czasu, który temu poświęciłam, mimo iż był bardzo krótki; wcześniej bowiem poznałam cierpienie, a ma ono to dobrego, iż oddala od wielu głupstw. Urobił mnie ten wielki nauczyciel człowieka, *nieszczęście*. Oto język, który spodobał się panu: przemówił do tkliwego punktu twej duszy, od którego roztrzepanie

³⁵zdrowie jego — pana de Mora. [przypis tłumacza]

i miły szczebiot tutejszych pań oddalały pana bez ustanku. Byłeś mi wdzięczny, iż pana znów przywiodłam do tego, coś kiedyś kochał, coś przecierpiał. Tak, istnieje rodzaj cierpienia, które ma taki urok, które wnosi taką lubość w duszę, iż jesteśmy gotowi przełożyć je nad to, co nazywa się *przyjemnością*. Kosztuję tego szczęścia lub tej trucizny dwa razy na tydzień; ten pokarm jest mi o wiele potrzebniejszy niż powietrze, którym oddycham.

Hrabina de Boufflers mówiła mi wiele o panu i o tym, co panu kazała polecić; kocha pana, ponieważ napisałeś *Hetmana Bourbon* i smak jej bez wątpienia jest uzasadniony. A ja kochałabym pana o wiele bardziej, gdybyś nie był *Hetmanem Bourbon*. Och, jakże dusza moja jest mała i ograniczona! Nienawidzę po równi Olbrzymów i Liliputów. Ale co panu moje upodobania?

Jest pan bardzo uprzejmy, iż pamiętałeś o tym, aby pisać większym pismem; mam wszelako ochotę skarżyć się na to: to mnie okradło o kilka wierszy. Na miłość boską, niech zostanie, jak było; pisz pan maczkiem, objeżdżaj dokoła kulę ziemską — zaczynając wszelako od Paryża — jednym słowem, nie zmieniaj ani włosa w swoim obyczaju. Nie wiem, czy jest możliwie najlepszy, ale jest mi możliwie najmiłszy. Czy ta pochwała nie wyda się panu *mdła*? Niech pan nie żartuje ze mnie. Jestem głupia, ale upewniam pana, że dobre ze mnie stworzenie, nieprawdaż?

LIST XII

Niedziela wieczór, 1 sierpnia 1773

Jest pan zanadto miły, sprawia mi pan niespodziankę; rozkoszne jest mieć przyjemność, na którą się nie liczyło; szczęśliwa jestem, że panu zawdzięczam chwilę, która dała wiele dobrego mej duszy.

Otrzymałam wczoraj list z 18-go; z przyjemnością ujrzałam, że daty zbliżają się, że już pan nie czyni dwutygodniowej pauzy. I nie zawdzięczałam tej zmiany żalowi, który wyraziłam, ale panu samemu, przyjaźni pańskiej; wołę o wiele to, co sama mi daje, niż co bym na niej wymogła. Chciałam panu podziękować, wyrazić słabo to, co czuję bardzo żywo, i ot, na domiar szczęścia, dostałam dziś pański list jeszcze z 18-go! Pierwszym moim odruchem, nie wiem czemu, była obawa — nawyk nieszczęścia psuje wszystko — ale niebawem uspokoiłam się. Znalazłam pana dobrym, serdecznym, bliskim mej duszy; czułam się prawie szczęśliwą, że cierpiałam, skoro mój ból zainteresował pana. Och! iluż żalów jest pan przyczyną w mym życiu! Cieszyłabym się pańską przyjaźnią, byłaby mi pociechą, przyjemnością — i oto jesteś o tysiąc mil, i nie umiem się bronić obawie, aby tyle nowych przedmiotów, aby życie tak zajęte i tak pełne rozrywek, jakie pan musi prowadzić, nie zniweczyło, nie osłabiło bodaj życzliwości i sympatii, którym brakło może dotąd owego ciepła zdolnego uczynić z nich potrzebę serca lub czasu przeobrażającego je w przyzwyczajenie. Wyznaję, iż bardzo nisko stawiam ten ostatni węzeł: to uczucie tych, którzy nie są zdolni do uczuć; ale patrz pan, co za nieszczęśliwy nałóg mej duszy! Zaprzętałam się obawą żalów, wówczas gdy powinna bym się cieszyć objawami i dowodami pańskiej przyjaźni. Bardzo jest słodka, bardzo pobłażliwa ta przyjaźń; przebaczasz mi pan w całej pełni mą niesprawiedliwość; oskarżałam pana po tysiąc razy, ale równocześnie nie żalowałam ani przez chwilę, iż oddałam się panu z serdeczną ufnością. Nie ma obawy z panem, abym musiała sobie wyrzucać omyłkę, to samo ubezpiecza już od wielkich nieszczęść; niech pan bowiem zważy, wszystkie tragedie zasadzają się na omyłce i prawie wszystkie nieszczęścia mają to źródło, Ale jeśli byłam niesprawiedliwa, niech mnie pan bodaj nie karze w ten sposób, aby mi przestać mówić o tym, co pana zajmuje. Niech mi pan mówi wszystko, co pan przeżywa, a ja przyrzekam dzielić wszystko i nawet zwierzać się wzajem z wrażeń, które stąd będą czerpać.

Zbyt mi pan jest miły, abym sobie mogła nałożyć jakikolwiek przymus; raczej wołę przeproszać pana, niż nie błędzić. Nie mam w stosunku do pana miłości własnej; nie uznaję wszystkich tych prawideł, które sprawiają, iż człowiek jest zawsze zadowolonym z siebie, a tak zimnym z tymi, których kocha. Nienawidzę ostrożności, nienawidzę nawet — niech pan pozwoli sobie powiedzieć — tych *obowiązków przyjaźni*, które każą stawiać dyskrecję w miejsce serdeczności. Cóż mam powiedzieć? Kocham swobodę, działam tylko z pierwszego popędu i lubię do szaleństwa, aby tak postępowano ze mną. Och! Boże, jakże

ja jestem daleko od pana! Nie mam cnót, nie znam obowiązków wobec przyjaciela; zbliżam się do stanu natury: dzicy nawet nie kochają z większym wylaniem i prostotą; świat, nieszczęście, nic nie zdołało skazić mego serca. Nigdy nie będę się miała na ostrożności wobec pana, nigdy nie będę pana podejrzewała. Powiadasz, że masz dla mnie przyjaźń, jesteś szlachetny: czegoż mogę się obawiać? Odłonię panu zamęt i niepokój mej duszy, nie będę się rumieniła, iż okażę się słabą i niekonsekwentną. Powiedziałam już, nie staram się panu podobać, nie chcę uzurpować pańskiego szacunku, wolę raczej zasłużyć sobie pobożanie, chcę wreszcie kochać pana z całego serca, mieć do pana ufność bez granic, a pan zrobi z tym wszystkim, co pan zechce.

Nie, nie uważam pana za *sprytnego* i sądzę jak pan, że spryt jest zawsze dowodem ubóstwa; ale uważam pana za wielkiego *głuptasa*, kiedy nie rozumiesz tego, co ktoś mówi tak wyraźnie. Ale cóż znaczy nazwisko, wystarczy, że nie może zepsuć tego, co powiedziałam o osobie. Ale co mnie dziwi, to że wymieniłam je panu ze dwadzieścia razy; to dowodzi (czego nie byłabym przypuszczała), że wymawiam jego imię tak jak każde inne. Dziwiłoby mnie bardziej jeszcze, gdyby pan miał nie odróżniać go od innych; mimo to upewniam pana, nie jest z tych, którzy giną tłumie; zobaczy pan.

Widziałam dziś kawalera d'Aguesseau; dumna byłam, iż mogę mu udzielić nowin o panu. Z innymi osobami, które mają prawo ich oczekiwać, miałabym wręcz przeciwne uczucie: lękałabym się wydać szczęśliwszą od nich i ściągnąć na pana pretensje; większość kobiet bowiem nie potrzebuje, aby je kochać, chcą tylko, aby je *woleć*. Kawaler d'Aguesseau powiedział mi, że miał pisać do pana i prosić o nowiny. Co do mnie, obchodzi mnie tylko jedna i chciałabym móc ją przesłać panu. Bardzo będę rada ujrzeć z powrotem kawalera de Chastellux; gdybym wszelako mogła przyczynić do jego podróży to, co chciałabym ująć z pańskiej, nie ujrzałabym go tak rychło. Niech pan patrzy, jak zupełnie obalam porządek chronologii: już osiem lat, jak jestem w przyjaźni z kawalerem.

Jestem bardzo rada, że pana zajęła podróż: pragnę nawet, abyś w niej znalazł przyjemność, ale czego pragnę przed wszystkim, to aby panu było żal tych, którzy pana kochają. Chciałabym, aby Turcja, Węgry i Wszechświat cały nie dały panu zapomnieć, że brakuje pana ich sercu; chciałabym także, abyś wrócił z postanowieniem nieopuszczania ich w chwili, gdy zaczną się cieszyć urokiem pańskiej przyjaźni i towarzystwa. Do widzenia. Nie powiedziałam panu, że jestem chora, że cierpię jak zwierzę, ale dusza moja mniej cierpi; nie powinnam się tedy skarżyć. Niech pan sprawi, abym mogła pana chwalić za punktualność, a będzie pan czarujący.

LIST XIII

Do tegoż, we Wrocławiu

Niedziela, 9 sierpnia 1773

Pomyśl pan, co za zaleństwo szukać pana, oczekiwać we Wrocławiu! Będziesz tam zajęty królem, armią, swymi sukcesami, *Hetmanem*, na myśl nie przyjdzie panu obrócić spojrzenie w stronę Paryża. Źle mówię: Paryż jest bardzo duży, ale ja bym została w nim w tłumie. Mimo to wierz mi pan, mało jest, bardzo mało osób, a gdybym się nie lękała zmartwić pana, powiedziałabym: nie ma nikogo, kto by pana żałował szczerzej ode mnie. Wszyscy inni gonią za zajęciem lub rozrywką; ja jedna, mniemam, nie umiałabym stracić z oczu tego, co mnie martwi albo czego pragnę. Nie wiem, jak ludzie robią, aby się przyzwyczaić do wyrzeczeń: te, które dotyczą duszę, są tak dokuczliwe, nie ma dla nich kompensaty!

Nie mogę pojąć, że nie ma jeszcze trzech miesięcy, jak pan pojechał; jeszcze mniej, w jaki sposób trzeba będzie pana czekać aż do końca listopada. Obecność pana mogła mi być tylko pociechą, a żałuję jej jak szczęścia. Och! przyjaźń to dobrodziejstwo natury, jest tedy dla mnie nową klęską! Wszystko, co przejmuję mą duszę, staje się dla niej trucizną. Był pan dla mnie tak miłą znajomością; pański ton, obejście, umysł, wszystko mi się podobało: stopień sympatii więcej zepsuł wszystko; stałam się pastwą dobrego, które mi pan daje. Och! czemu wnikałeś w moją duszę? Czemu ukazałeś mi swoją? Po co było zadziergać węzły między dwójgiem osób, które wszystko dzieli? Czy to pan czy ja jestem winna tej jakiejś męki, którą cierpię? Niekiedy czuję, iż coś przeszkadza mi pra-

gnąć pańskiego powrotu, ponieważ lękam się, iż pan urazi mą przyjaźń. Nie będzie ona wszakże wymagająca: będzie pan tak zajęty, pochłonięty, rozproszony, że w samym Paryżu będziesz może dalej ode mnie niż we Wrocławiu. Niech pan pomyśli, ile pan zyska wobec osób, które kochają z mody i próżniactwa! Wrócisz z tak daleka, wszyscy tak będą interesować się tym, coś widział, jak będą radzi, iż sami pana widzą, słyszą, że nie sposób będzie umknąć się temu oblężeniu. Więc dobrze! cóż, nie będę pana widzieć wcale, a będę pana czekała często, to już coś. Zresztą, kiedy kto jest szlachetny i tkliwy, wraca często tam, gdzie go zawsze oczekują. Chciałabym, aby to już było. Ale czy pan nie ma bodaj zamiaru raczej skrócić niż przedłużyć swej podróży? Co zobaczysz większego, bardziej zajmującego niż to, co widzisz na Śląsku? A potem, jeżeli pan nie będzie pamiętał, aby napisać ze Szwecji, jeżeli będziesz czekał, aż sam otrzymasz listy, pojmuje pan, mogą upłynąć trzy miesiące bez wieści od pana, a to już nie nieobecność, ale śmierć! Gdybyś nawet i sam był skazany na te same prywacie, mniej byłyby panu dokuczliwe; zresztą to pańska wina, poddałeś się temu wyjeżdżając, przyjaciele zaś twoi nie dali swego zezwolenia. Słowem, *będzieli*³⁶ to sprawiedliwość czy szlachetność, chcę mieć wiadomości, i nie ma racji ani pozorów, które by mogły pana upoważniać do tak długiego milczenia, jak owo między Pragą a Wiedniem.

Pomyśl pan, że wiele *jestes winien* memu położeniu. Jestem nieszczęśliwa, chora, niech pan pomyśli, czy to nie dość, aby mnie zalecić pańskiej szlachetności? To, co mi ona przyzna, spłaci moja nieskończona wdzięczność. Mój Boże, chudy motyw i mizerne uczucie, nie uważa pan?

Przeczytałam w tych dniach wyjątek z *Pochwały Kolberta*, która staje do nagrody Akademii. Wyjątek ten uderzył mnie tak męskim, szlachetnym, podniosłym, oryginalnym tonem, że nagle zapragnęłam w duchu, aby był pańskiego pióra. Nie wiem, czy reszta jest na tej wyżynie, ale nie zapałby się pan urywku, który czytałam.

Miałam ciągle gorączkę w tych czasach: ostatni raz, kiedy pisałam do pana, dokończyłam listu trzęsąc się od dreszczów. Jest pewien kurier, który od roku wprawia w gorączkę mą duszę, ale z czasem opanowała ona i mój nędzny organizm. Czuję się rozbita, a zawsze byłam tak nieszczęśliwa, że coś mi mówi, iż umrę w chwili, kiedy moje nieszczęście mogłoby się skończyć. Wracaj pan: przynajmniej będę pewna, iż zakosztowałam przed śmiercią bardzo słodkiej pociechy. Wyrzucam sobie, iż byłam niesprawiedliwa dla pana. Mój Boże, jeżeli pan znasz cierpienie, przebaczysz mi; są położenia, które wymagają tyle pobożności!

Mam ową tak oczekiwaną książkę pana Helwecjusza; przeraża mnie objętość, dwa tomy po sześćset stron. Pańska *zarłoczność* uporałaby się z tym w dwa dni, ale ja nie jestem w stanie czytać ze skupieniem; czucia moje odrywają całą mą uwagę; czytam zawsze to, co czuję, a nie to, co widzę! Och, Boże, jakże umysł *pomniejsza* się, kiedy kochamy! To prawda, że dusza nie traci przy tym, ale cóż począć z duszą?

Zapomniałam odpowiedzieć co do sprawy hrabiego de Crillon; cofnęła się nieco od czasu, jak powziął jej myśl. Nie może pan sobie wyobrazić, co to za mizerne indywiduum ów człowiek, od którego zależy cała rzecz: nie jest niby głupi, ale największy dudek pod słońcem. Żona jego więcej warta od niego, ale życie, jakie pędzi, pochłania wszystkie jej zdatności. Ogółem wzięwszy, ludzie, których prawdziwą zaletą jest to, że mają wyborowego kucharza. Iluż ludzi, których świat wychwala, nie posiada więcej! Nie, rodzaj ludzki nie jest zły, jest tylko głupi, a w Paryżu równie próżny i lekki jak głupi. Ale cóż to znaczy! byle ten, kogo się kocha, był dobry, miły, poczciwy.

Żyjemy tu w niepewności co do losu Turków; powiadają, że Rosjanie stłukli ich na miazgę. Inni upewniają, że to Turcy Rosjan. Po którejkolwiek stronie szkoda, zawsze jest nieznaczną: wszystko to niewolnicy, jedni barbarzyńcy, drudzy półcywilizowani, nie wiem co gorsze.

Ach, gdybyś pan wiedział, co bawi, co zaprzęta głupią publiczność? Tragedia pana Dorat: wyzuta z wszelkiego dowcipu i talentu. A komedia pana Dorat to arcydzieło złego smaku i złego tonu, pisane gwarą niepodobną do zrozumienia. Oklaski, jakimi obsypują tę nędzę, szczerze zasmuciły mnie kiedyś w teatrze. To może zniechęcić ludzi z talentem.

³⁶*będzieli* — konstrukcja z partykułą -li; znaczenie: czy będzie. [przypis edytorski]

LIST XIV

Niedziela, 15 sierpnia 1773

Mój Boże, niech pan słucha i raz na zawsze niech pan wierzy, że wina nie może być po mojej stronie; wie pan dobrze czemu. Nie ja tedy pana zaniedbałam, skoro od 3 lipca oto mój piąty list: 15, 26, 1 sierpnia, 6 czy 7 i dziś. Nie rozumiem, dlaczego 3-go nie miał pan mego listu z 15; nie mogę się oswoić z nieregularnością poczty: to męka mego życia; ale dziw, iż pan przykłada do tego tyle wagi. W jaki sposób dusza pańska może starczyć na wszystko? Ja robię tylko jedno, a umieram wprost ze zmęczenia i bólu.

Cytat żalów owego ojca etc., z powodu moich listów, jest zachwycający. Czy to dowcipem wnika się tak głęboko w czującą duszę? Nie, dowcip pana podobałby mi się, ale by mnie nie wzruszył. Jak pan mógł pomyśleć, iż chciałam pana zaniepokoić? Ech, dobry Boże, skądże by mi taka głupia zarozumiałość? Karać pana? Za co? W przypuszczeniu — co z pewnością nie ma miejsca — że byłam nierada z pana, czyż miałabym prawo się skarżyć i czy nie byłoby szczytem niedorzeczności wyobrazić sobie, że brak listów będzie dla pana dotkliwą przywacją? Kiedy panu mówię, że nie jestem tak głupio próżna jak większość kobiet, nie ma pan obowiązku wierzyć: ale niech mnie pan pozna lepiej, a zobaczysz, że przyjmuję tytułem łaski wszystko, co mi ludzie raczą przyznać i że cieszę się tym szczerze; odpowiadam na to całą tkliwością i szczerością duszy: ale nigdy nie czuję owego zadowolenia, które czerpie pokarm nie w sercu, ale w miłości własnej, które czyni wymagającym wobec kochanej osoby i ośmiela się niekiedy wystawiać ją na próbę. Znajomość świata nie skaziła prostoty i szczerości mych uczuć. Niech pan zważy, że ja się nie chwalebę: ja się bronię.

Zmartwiona jestem i niespokojna o pańską nogę; nie będzie jej pan oszczędzał, mimo wszystkich zapewnień. Oto co mnie niepokoi, bardziej niż pańska choroba. Mój Boże, jak pan ma słuszość, nie ma nic równie zimnego i płaskiego niż *oszczędzać* przyjaciół! Ach! wielkie utrapienie rozłąki, to żyć w ciągłej nieświadomości tylu szczegółów, które nas obchodzą: nawet pisząc szczegółowo, zostawia się jeszcze tyle do życzenia! Mam uczucie, że mój przyjaciel opuszcza zawsze to, co najbardziej chciałabym wiedzieć. Ale bo i po cóż zamęczać się w ten sposób? Brak snu wyczerpuje choćby najtęższą głowę; jestem przekonana, że kiedy strawisz noc na czuwaniu, mniejszą korzyść czerpiesz z rzeczy i przedmiotów, które chcesz obserwować; nie licząc, iż narażasz zdrowie. Aby dojść do celu, trzeba nie tylko żyć, ale być zdrowym. Chcąc wzbić duszę tak, aby wszystko poświęciła miłości sławy, sądzę, iż dobrze jest zachować zdrowy rozsądek. Och! gdyby pan wiedział, jak bardzo cierpienia fizyczne pomniejszają duszę, ręczę, nie trwonilibyś w ten sposób snu i sił.

Mówię oto do pana językiem bardzo pospolitym, ale to język przyjaźni. Zważ pan: osoby, które chcą się podobać, nie mówią ani słowa o tym wszystkim. Ton prawdziwej życzliwości jest bez wdzięku, jest ciężki, powtarza się; ale nie nudzi, kiedy jej przedmiot tak bardzo na nią zasługuje.

W istocie, miałabym wielkie prawo uwierzyć, że niepokój, pod wpływem którego pisał pan kiedyś do mnie, maćił nieco pańską trzeźwość: nagli pan, aby pisać, nie mówiąc, dokąd adresować. Wiem, że nie jest pan już w Wiedniu najpóźniej od 12-go, mimo to piszę tam do pana; to nie ma najmniejszego sensu. Jeszcze mniej, o ile mi się zdaje, miało sensu pisać do Wrocławia; ale bo po cóż, kiedy się ktoś puszcza w podróż nokoło świata, zachowywać potrzebę wiadomości o przyjaciółach? Och, tak, bardzo pan niekonsekwentny! Doprawdy, są chwile, w których czuję się tak zmęczona, iż wręcz byłabym skłonna zostawić pana w drodze. Jestem tak chora, tak smutna, że zdaje mi się, iż oddałabym panu usługę, dając całkiem o sobie zapomnieć. Im bardziej pan jest dobry, serdeczny, tym bardziej mogę ręczyć, iż przyjdzie ci żalować, że się wdałeś zbyt spieszenie w stosunek, którego wszystkie korzyści są po mojej stronie.

Jest w pańskim liście ustęp, na którym oczy moje nie śmiały się zatrzymać, dusza zaś moja jakby przywarła doń. Mój Boże, jakie słowo pan wymawiał! Krew mi się ścina. Nie, nie, dusza moja nie szukałaby już pańskiej. Och! ta myśl o śmierć mię przyprawia! Bądź mą pociechą, ukój, jeśli zdołasz, mą duszę, ale nie waż się myśleć, że mogłabym przeżyć

przez chwilę nieszczęście, którego sama obawa podcina moje zdrowie i mąci bez przerwy rozum. Do widzenia, nie mogłabym pisać dalej, czuję ucisk w sercu; jeśli się zdołam uspokoić, podejmę pióro, trzeba mi bowiem usprawiedliwić i przeprosić pana, mimo że nie jestem winna.

Ciągle niedziela

Korciło mnie uwiadomić pana, że rozgłosiłam to zdanie o królu pruskim: było czarujące i sądziłam, iż mogę je powtórzyć bez niedyskrecji. Oceniono je tak jak należało i póty powtarzano na wszystkie strony, aż doszło do pani du Deffand, której się bardzo nie podobało; wykręcała je, komentowała, ale sąd jej spotykał się wszędzie z żywą opozycją. W końcu rzekła, iż gdyby pan obok *Hetmana Bourbon* stworzył nawet i *Atalię*³⁷, to by nie zmieniło jej zdania, iż zarówno treść jak forma tej myśli jest nic warta. W kilka dni później zwróciła się z tym do ambasadora³⁸ w tym samym tonie; to go zniecierpliwilo; powiedział, że kiedy się chce krytykować, trzeba przynajmniej cytować uczciwie; i że, mimo iż zdanie to brzmi w jej ustach zupełnie opacznie, i tak krytyka wydaje mu się równie surową jak niesprawiedliwą.

Pani de Luxemburg i pani de Beauvau, wobec których ta scena miała miejsce, a które były przeciw pani du Deffand, spytały ambasadora, czy mógłby mieć kopię tego zdania. Przynęcił. Przyszedł mi opowiedzieć całą tę głupią dysputę; wyznając, iż chęć pognębienia pani du Deffand kazała mi ulec prośbie: pozwoliłam mu skopiować tych parę wierszy i odszedł z tryumfem.

Wówczas pani du Deffand zrzędała mina lub przynajmniej nie śmiała zohydzać tego, czym cały świat się zachwyca. Aż dotąd nie było mowy o tym, do kogo to było pisane. Pani du Deffand zaczęła się dopytywać, ambasador odmówił: to tylko podnieciło jej ciekawość. Wreszcie powiedział, że do mnie, i dodał: „Zapewne tedy przez przecucie poniewierała pani rzecz pełną dowcipu i wdzięku”. Uf! cóż za długa historia; byłabym ją opowiedziała w swoim czasie, ale jakże mi się to wydało mizerne na odległość czterystu mil. Trzeba dodać, że ambasador odniósł mi tę kopię i że ją spaliłam. Ot, widzi pan, jakiej to pustki dowodzi! Tak, nieszczęście zda się na coś: lecz z wszystkich drobnych namiętnostek poruszających ten beczynny i zepsuty światek. Och! gdyby mogli kochać, staliby się dobrzy. A teraz niech pan osądzi, czy jestem winna niedyskrecji; jeśli pan rozstrzygnie, że tak, uwierzę, ale niech pan nie mówi, że będą myśleć, iż *pisujemy do siebie, aby urządzić turniej dowcipu etc., etc.* Ech, cóż nam znaczy, co będą myśleć źli, głupi? Są silni jedynie o tyle, o ile się ich lękać: ja ich nienawidzę, unikam ich, ale już się ich nie lękam.

Od kilku lat dobrze oceniałam tych, którzy tworzą sądy; nie śmiałabym panu wyrazić wzgardy, jaką mam dla opinii. Nie chciałabym jej wyzywać, ale to wszystko. Istnieje namiętność, która zamyka duszę na wszystkie mizerie, które dręczą światowych ludzi, stwierdzam to smutnym doświadczeniem. Wielka zgryzota zabija wszystko inne. Jest tylko jeden cel, jedna przyjemność, jedno nieszczęście i jeden jedyny sędzia dla mnie w całej naturze. Och, nie, nie ma we mnie małostek. Niech pan pomyśli, ja trzymam się życia tylko jednym punktem; gdyby mi się usunął, umarłabym. W tym usposobieniu, głębokim i ustawicznym, uwierzy pan bez trudności, że wszystko jest dla mnie niczym. Nie wiem, przez jaką fatalność czy przez jakie szczęście, umiałam się zdobyć na nowe przywiązanie; badając samą siebie, nie umiem znaleźć, wytłumaczyć przyczyny; ale jakkolwiek by była, skutki jej dają osłodę memu życiu. Wydaje mi się niesłychane, że moje nieszczęście mogło pana zainteresować; to mi dowodzi dobroci, tkliwości pańskiego serca. Wymawiam sobie teraz wyrzuty, których doświadczałam, poddając się swojej sympatii do pana; nieszczęście czyni surowym wobec samego siebie. Poczytywałam sobie za winę to dobro, które mi pan dawał. Czy obecnie, czy wtedy ulegałam złudzeniu? Doprawdy, sama nie wiem. Ale pan, którego duszy nie mąci nieszczęście, pan osądzi mnie lepiej i kiedy cię zobaczę, powiesz mi, czy powinnam się cieszyć czy trapić uczuciem, które pan budzi we mnie.

³⁷*Atalia* — tu: tytuł sztuki Racine'a. [przypis edytorski]

³⁸zwróciła się z tym do ambasadora — margrabia Caraccioli, ambasador Neapolu. [przypis tłumacza]

Otrzymałam wczoraj nowiny, które mnie zaniepokoiły: zdrowie jego³⁹ nie lepiej; ciągle grozi mu katastrofa, która dwa razy w ciągu roku doprowadziła go do agonii. Widzi pan, czy podobna żyć! Do widzenia; proszę o wiadomość.

LIST XV

Poniedziałek, 16 sierpnia 1773

Otwieram swój list, aby panu powiedzieć, jak wzruszona jestem pańską dobrocią; tak bardzo tedy zaniepokoiłeś się brakiem wiadomości! Nie pojmuję przyczyny, gdyż listy oddawałam na główną pocztę przez pewne ręce. Pan d'Alembert otrzymał wczoraj list pański z 6-go. Podjęłam się odpowiedzieć panu i nie zdołam nigdy wyrazić, do jakiego stopnia jestem zmartwiona i *rada*, iż przyprawiłam pana o niepokój. Gdyby to było z mej winy, byłabym w rozpacz. Ale czemu wyrzekł się pan myśli o podróży na północ? Nie mogę przypuszczać, aby jedynie dla skrócenia czasu podróży; komuż tedy poświęcił pan Szwecję? Jeżeli *ktos* tego wymagał, jest pan zadowolony: intencja tej osoby jest już dostateczną zapłatą. Wreszcie jeżeli pański powrót jest bliski, błogosławie osobę czy rzecz, która go sprawiła; ale na przyszły rok znów czeka pana podróż do Rosji; a zresztą czyż nie trzeba będzie zaraz jechać do Montauban? A potem wojsko, a potem to, w czym pan znajdzie przyjemność i w czym będziesz szukał szczęścia, a potem, potem... ale mniejsza, wszystko to lepsze niż Szwecja. Nie wiem, co mi szepce, że nie powinnam się troszczyć o to, co będzie na przyszły rok: jak pan powiada, jest czas umrzeć tyle razy! Ale dlaczego nie mnie doniósł pan, że skrucasz podróż? Byłabym wiedziała o tym o dzień wcześniej. Zrobił mi pan wymówkę; mam ochotę oddać ją panu; czy to pan jest winien temu, co mi powiada kawaler de Chastellux? Utrzymuje, że pan zajmuje dużo miejsca w moim sercu. Skąd on to wie? Wtajemniczyłam w mój sekret jedynie pana i tego, któremu mówię wszystko: czyżby pan pisał?... Jeśli tak, trzeba by mi dziękować panu i żalić się na pana.

Pan d'Alembert bawi w tej chwili u pani Geoffrin; nie wątpię, iż pani Geoffrin pospiesznie doniesie o tym owemu królowi polskiemu. Czy pan wie, że można by pomieścić swą próżność w tym, aby pana chwalić i kochać? Ale, na Boga! niech pan nie przypuszcza, że to uczucie pchnęło mnie ku panu. Och, jakież by to było mizerne! Mam nadzieję, że przed wyjazdem z Wiednia uraczył się pan mymi epistolami do przesyty. Niech pan nie zapomina, że należy mi się od pana potwierdzenie pięciu listów, licząc z tym, który piszę. Byłby pan bardzo miły, gdyby pan odpowiadał na wszystko, o co pytam, ale panu brak czasu, a może zaufania; ale ja, która nie grzeszę ani brakiem łatwości, ani *pobłażania*, przebaczę panu wszystko, skoro pan wróci; kiedy? Rychło. Wracaj pan, aby się cieszyć z kawalerem de Chastellux rozkoszami polowania w *Bréteche*. To nie zupełnie to, ale w przybliżeniu; nie omyli się pan; kawaler nigdy nie mógł mnie nauczyć tej nazwy⁴⁰. Ale zdaje mi się, że w tym *tomie* opuściłam rozdział dość ciekawy: moje zdrowie. Jest haniebne, kaszlę rozpaczliwie, z takim wysiłkiem, że aż pluję krwią. Spędzam część życia na przymusowym milczeniu; straciłam głos. Ze wszystkich dolegliwości, ta najbardziej odpowiada stanowi mej duszy; kocham milczenie, skupienie, samotność. Nie śpię nic albo prawie nic, a nie nudzę się nigdy. Czy nie gotów pan przypuszczać, że jestem szczęśliwa? Gdybym dodała, że nie zamieniłabym swego losu z niczyim w świecie, myślałby pan, że jestem w raj; byłby pan w błędzie; aby się tam dostać, trzeba umrzeć; i oto czego bym pragnęła; ale wracaj pan i pisz do mnie dużo, dużo.

LIST XVI

Do tegoż, we Wrocławiu

22 sierpnia 1773

Otrzymałam wczoraj pański list z 10-go. Dużo dobrego mi sprawił. Gdyby pan wiedział, ile ja wycierpiałam od tygodnia, jak serce moje przepojone było boleścią! W jakim

³⁹ *zdrowie jego* — pana de Mora. [przypis tłumacza]

⁴⁰ *Bréteche*. *To nie zupełnie to, ale w przybliżeniu; (...) nigdy nie mógł mnie nauczyć tej nazwy* — La Brèteche, posiadłość pani de Montsaugue. [przypis tłumacza]

zamięcie, niepokoju trawię życie! Nie mam już mocy wyzwolenia się od tych udręczeń, to straszne: a ten, którego kocham, nie ma mocy położenia końca moim cierpieniom. Czuje je, podziela, jest jeszcze nieszczęśliwszy ode mnie, ponieważ dusza jego jest silniejsza, ma więcej energii i wrażliwości niż moja. Od roku wszystkie momenty jego życia naznaczone są nieszczęściem; sam ginie, a chce, bym ja żyła. Och, Boże, dusza moja nie może nastarczyć wszystkiemu, co czuje i cierpi! Ale widzi pan, co za słabość, widzi pan, jak nieszczęście czyni bezwzględny i samolubny! Zajmuję pana sobą, zasmucam pana może. Och, przebac; ten nadmiar ufności płynie z przyjaźni, mej serdecznej przyjaźni dla pana. Okazał mi pan już tyle pobłażania i dobroci, iż zdaje mi się, że nie mogę ich nadużyć. Ach, gdyby pan cierpiał, któż czułby to i podzielił lepiej ode mnie? Czyta pan w mojej duszy, widzi pan, czym ona jest dla pana. Ha! czuję to w pełni nieszczęścia, wzywając śmierci w każdej chwili, czuję, iż żał by mi było opuścić pana; dajesz mi pociechę, a mimo to upadam pod brzemieniem cierpień. Ach, nie! nie moje to nieszczęścia rozdzierają mnie, ale nieszczęścia drogiej mi istoty, na które nie mam lekarstwa ni pociechy: oto męka duszy oddanej i tkliwej. Pan kochałeś, pan mnie zrozumiesz, użalisz się.

Ale widzi pan, jak chciwie człowiek chwytą wszystko, co pozwala się spodziewać jakiejś ulgi; z tego, co pan doniósł panu d'Alembert, miałam nadzieję ujrzeć pana z końcem września, a pan nie zjawił się tu aż z końcem października. Ale przynajmniej czy to pewne? Niestety nie wiem, czy mogę sobie obiecywać, iż doczekam tego. Mówię do pana może ostatni raz. Pojmuje pan grozę, w której żyję? Nie śmiem pozwalać sobie ani na projekty, ani nadzieje. Ha! wiele wycierpiałam przez ludzką niesprawiedliwość; doprowadziła mnie nieraz do rozpacz; ale, trzeba wyznać, żadne nieszczęście nie da się porównać z nieszczęściem głębokiej a nieszczęśliwej miłości: zatarła dziesięć lat męki. Mam uczucie, że żyję dopiero od czasu, jak kocham; wszystko, co mnie dotykało, co mnie dręczyło aż dotąd, rozwiało się w nicość. Mimo to w oczach spokojnych i rozsądnych ludzi rzeczywistymi są tylko te nieszczęścia, o które już nie dbam; nieszczęścia płynące z uczucia nazywają urojonymi. Ach, to dlatego że nic nie kochają, że żyją jeno próżnością i ambicją; a ja żyję już tylko po to, by kochać. Nie jestem już zdolna wejść w ton, ani w sprawy świata; więcej jeszcze; byłabym niezdolna wypełnić jakikolwiek obowiązek; nie wiem już, co to cnota, ale na szczęście jestem wolna, niezależna; oddając się cała swojej skłonności, nie mam wyrzutów, ponieważ nie chybiam nikomu. Wiele musiałam stracić w pana oczach przez to wyznanie. Często wyrzucam sobie dobroć i względy, jakie mi ktoś okazuje: wiele rzeczy przywłaszczam sobie bezprawnie; ludzie sądzą mnie zbyt przychylnie, ponieważ mnie nie znają. Co prawda, tak bardzo byłam ofiarą potwarzy i złośliwości wrogów, że to, z czym spotykam się teraz, to tylko odszkodowanie.

Przerwało mi zjawienie kawalera de Chastellux, który wszedł bez oznajmiania, a sądziłam, że jest w Ferney. Powiedziałam mu, że rada wielce jestem z jego powrotu, ale serce obce było moim słowom. Nie uspił ani na chwilę mej boleści, czułam tylko, że pozbawia mnie przyjemności pisanego do pana: a jednak jest niby tym, co nazywa się *przyjacielem*. Ale, mój Boże, może dusza moja zamknięta jest na zawsze temu uczuciu; gdyby tak było, co począć z życiem? Pan będzie dla mnie ostateczną próbą; wracaj pan, ale — lękam się. Och, byłabym w rozpacz, gdyby dusza moja miała tak wystygnać; a pana czy by to obezszło? Czy ma pan dość dobre serce, aby żałować mojej przyjemności? Ale w chwili gdy pana ujrzę, będziesz bez wątpienia jeszcze cały zajęty przyjemnością, której sam doznasz, oglądając tę, którą kochasz; Przyznaj pan, iż w tym dniu dalej będziesz ode mnie, niż kiedy bawisz we Wrocławiu. Mój Boże, to słuszne; byle pan wrócił do mnie wówczas, kiedy ochłoniesz, będę aż nazbyt szczęśliwa. Jestem nie tylko zadowolona, ale wzruszona wszystkim tym, czym mnie pan obdarza; nie wiem nawet, czy umiem to odplacić; jak pan sądzi? Kto z nas dwojga zalega? Sądząc z sytuacji, zdaje mi się, że przewaga byłaby po mojej stronie. Nieszczęście bardziej usposabia do przyjaźni i czułości niż życie, które pan pędzi. Zresztą nawet nie biorąc pod uwagę innych rzeczy, czyż pan nie jest tysiąc razy miłszy i bardziej godny kochania? Ale wracaj; bywają dni, chwile, w których dusza moja jest tak zagarnięta, iż lękam się, że nie dość panu daję serca. Niech pan pozwoli, że mu uczynię jedną wymówkę: przyjaźń moja odczuwa brak pańskiej ufności; nie mówi mi pan już o sobie; dlaczego? Byłam niesprawiedliwa raz, wiem o tym, czy chce mnie pan za to karać? W jaki sposób, mając miłość w sercu, nie ma mi pan nic do powiedzenia? Cierpisz, spodziewasz się, cieszysz, czemu mi nic nie mówisz o tym? Pisz pan tak ma-

ło o sobie, iż listy pańskie mogłyby być pisane prawie do wszystkich znajomych kobiet. Moje inaczej: te mogą mieć tylko jeden adres. Niech się pan zastanowi, czy nie mam racji: czy to zbyt wiele wymagać równości w zaufaniu?

Oto czwarty list, którego odbiór ma mi pan jeszcze potwierdzić, proszę nie zapominać. Sądzę, że to było szaleństwo pisać do pana do Wrocławia; nie pomyślał pan o tym, aby spytać się na poczcie i list mój pewnie tam został. Ale czy przynajmniej pali pan moje listy? Widzę stąd, jak się sypią z ogromnych pakietów, które wyjmujesz z kieszeni; nieład pańskich papierów mąci moją ufność, ale widzi pan, że jej nie wstrzymuje. Do widzenia, czuję ból w piersiach. Czy noga już dobrze? Proszę wiadomości.

LIST XVII

Poniedziałek, 6 września 1773

Pańskie milczenie gnębi mnie. Nie winię pana, ale cierpię i trudno mi wytłumaczyć sobie, abym, gdyby pańskie zainteresowanie było równe mojemu, mogła być miesiąc bez wieści. Ależ, dobry Boże, niech pan powie, jaką wartość ma przyjaźń w pana oczach, skoro wystarczy ci być w ruchu, aby oderwać się od niej tak zupełnie? Och, jakież pan szczęśliwy! Król, cesarz, wojska, obozy dają panu zapomnieć o tych, którym pan jest drogi, i — co może więcej jest dla tkliwej duszy — o tych, którym pańska przyjaźń jest podporą i pociechą. Nie, nie szukam w panu winy; chciałam nawet nie poczytywać za złe pańskiego zapomnienia; chciałam znaleźć w sobie pobłażliwość, która ze wszystkim się godzi lub wszystko cierpi bez skarg. Oto piąty list bez odpowiedzi; pytam pana, ile jest osób, które by to zniosły? Nie wiem czemu, ułożyłam sobie, że będę miała wiadomość z Wrocławia, czy pan otrzyma list, który tam wysłałam, czy nie; ale nadzieje zawiodły. Och, nienawidzę pana za to, iż dałeś mi poznać nadzieję, obawę, ból, radość; nie potrzebowałam wszystkich tych wzruszeń; czemuż nie zostawił mnie pan w spokoju? Dusza moja nie potrzebowała kochać; była napełniona uczuciem tkliwym, głębokim, podzielanym, wzajemnym, ale mimo to bolesnym, i ten właśnie pęd zbliżył mnie do pana. Powinien był pan być mi tylko miłym, a stałeś mi się drogim; pocieszając, przywiązałeś mnie. A co osobliwe, to dobro, któreś mi wyświadczył, które przyjąłam, nie godząc się na nie, nie tylko nie uczyniło mnie łatwą i giętką, jak są zazwyczaj ludzie, którzy otrzymują łaskę, ale, przeciwnie, dało mi jak gdyby prawo spodziewania się, może wymagania pańskiej przyjaźni! Pan, który patrzysz z wysoka i widzisz głęboko, może mi zechcesz wytłumaczyć, czy to jest objaw duszy niewdzięcznej czy może zbyt czulej; co mi pan powie, w to uwierzę.

Gdybym chciała lub raczej gdybym nie była niespokojna i osmucona pańskim milczeniem, czyniłabym panu wymówki, które zrozumiałbyś doskonale, na które odpowiedziałbyś z przyjemnością, a pańskie usprawiedliwienie byłoby bez wątpienia nową zbrodnią: ale jesteś tak daleko, jesteś tak rozpedzony, zajęty, a co gorsza, tak *upojony*! To słowo jest moją zemstą, ale nie zadowoleniem. Niech pan tedy wraca; patrzę, jak czas upływa, z przyjemnością, której nie umiem wyrazić. Powiadają, że przeszłość jest niczym; co do mnie, czuję jej brzemień; właśnie dlatego że dużo cierpiałam, straszne jest dla mnie cierpieć jeszcze. Ale, mój Boże, szaleństwem jest obiecywać sobie jakąś słodycz, jakąś pociechę po pańskiej przyjaźni; nabyłeś pan tyle nowych myśli, przez duszę pańską przeszło tyle różnorodnych uczuć, że nie zostanie ani śladu z wrażenia, które na panu uczyniło moje nieszczęście i wylanie.

I cóż! niech pan wraca i tak, osądzę to i przejrzę jasno, nieszczęśliwi nie mają bowiem przywileju złudzeń. Zresztą w panu jest tyle szczerości co prawdy, nie będziemy się oszukiwali ani przez chwilę. Wracaj więc i nie przywoź ze swej podróży smutku, który kawaler przywiózł z Włoch. O wszystkim co widział, mówi bez przyjemności, a wszystko co widzi też go nie więcej cieszy; słowem, nie zamieniłabym się z nim na dolę, mimo iż pędzę życie w konwulsjach lęku i bólu: ale też to, czego oczekuję, pragnę, to, co otrzymuję, co mi dają, ma taką cenę dla mej duszy! Żyję, istnieję tak silnie! są chwile, w których chwytam się na tym, iż kocham do szaleństwa nawet swoje nieszczęście! Niech pan powie, czy w istocie nie powinnam się go trzymać, czy nie powinno mi być drogie; jest przyczyną, że znam pana, że jest mi pan miły, że może będę miała o jednego przyjaciela więcej, skoro

pan tak powiada. Gdybym była spokojna, rozsądna, zimna, nie miałabym nic. Wegetowałabym wraz z wszystkimi kobietami, które, bawiąc się wachlarzem, paplą o procesie pana de Morangis lub wjeździe hrabiny Prowansji do Paryża. Tak, powtarzam to, wołę swoje nieszczęście niż wszystko, co ludzie światowi zowią szczęściem lub przyjemnością; umrę może z tego, ale to warte więcej niż nigdy nie żyć. Czy mnie pan rozumie? Czyżbyś zapomniał, że byłeś równie chory, a bardziej szczęśliwy ode mnie? Do widzenia, nie wiem, jak się to dzieje, chciałam napisać tylko kilka wierszy, a przyjemność pisania do pana poniosła mnie. Ile jest osób, które pan ujrzy z większą przyjemnością niż mnie? Zaraz dam panu listę: Pani de M., kawaler d'Aguesseau, pp. de Broglie, de Beauvau, de Rochambeau, de Pezé, etc., etc.; panie de Beauvau, de Boufflers, de Rochambeau, de Martinville, etc., etc., a potem kawaler, hrabia de Crillon, a potem wreszcie ja, na końcu. I cóż, widzi pan różnicę: ja wymieniałabym tylko jedno imię przeciw pańskim dwunastu; ale serce nie kieruje się sprawiedliwością, jest despotyczne i bezwzględne. Przebaczam panu, ale wracaj.

LIST XVIII

Do tegoż, w Wiedniu

Czwartek, 23 września 1773

Skoro wyczekałam się więcej niż miesiąc na wiadomość od pana, donosi mi pan, że byłeś poważnie chory! Zdaje się panu, że uczyniłeś zadość mej przyjaźni, pisząc, że nie ma się czym niepokoić, ponieważ gorączka ustąpiła od wczoraj. I pan z najlepszą wiarą mniema, iż po takim zapewnieniu dusza może odzyskać spokój! Ach! widzę to, traktuje mnie pan jak owe światowe lalki, które prawią o swej przyjaźni, a nie czują nic; porusza ich i zajmuje jedynie własny interes albo też głupia próżność. Ale, mój dobry Boże, ja ich nie sądzę, ja martwię się tym, co pan cierpi i czego się obawiam. Gdyby pan wiedział, jak boleśnie mnie pan zajmuje od miesiąca! Ale nie o tym chcę mówić; chcę mówić o zdrowiu pańskim i o pańskim powrocie: w imię przyjaźni błagam, niech pan nie robi szaleństw, niech pan śpi, wypoczywa i aby wrócić nieco wcześniej, niech się pan nie naraża na niebezpieczeństwo niewrócenia nigdy. Czy przynajmniej będzie pan miał ten wzgląd, aby mi przesłać wiadomość przed wyjazdem z Wrocławia? Znajdzie pan stek moich listów, przybywszy do Wiednia; niech pan nie zapomni potwierdzić odbioru; to już piąty, z którego należy mi się rachunek. Nie po mój list posyłał pan na pocztę we Wrocławiu: widzi pan, jaka jestem dobra i szlachetna, byłabym pragnęła, aby mógł się zmienić w ów, którego pan oczekiwał i którego potrzebowała pańska dusza. Nie wiem, skąd to pochodzi, ale pan jesteś człowiekiem, któremu najmniej pragnę się podobać, z którym najmniej mam ochotę podkreślać to, co pan nazywa *moją przymilnością*. To może stąd, iż nie chcę zgłębiać pańskiej wdzięczności: uczucie, którego nienawidzę.

Chciałabym bardzo się mylić, ale z tonu pańskiego listu widzę, że pan był bardzo słaby, bardzo błądliwy i ścięty. Umieram z obawy, czy w tym stanie nie przysłał panu ochota pisać do mnie: jeżeli tak, zawiniłby pan bardzo. Niech mi pan będzie wdzięczny, że nie robię panu dziś wymówek, miałabym wszelkie prawo. Choćbym się miała wydać panu niedorzeczna i uprzykrzona, powtórzę jeszcze raz, że chcę, aby pan spalił wszystkie moje listy; gdyby pan nie usłuchał, będą pana ścigały wyrzuty sumienia. Cieszy mnie niezmiernie, że pan był rad z podróży: pan d'Alembert nie miał wiadomości od króla od czasu jego powrotu ze Śląska. Żałuję bardzo, że król nie słyszał *Hetmana*; jednak jeżeli pan z nim rozmawiał, poznał go w sposób równie interesujący, co gdyby go widział w ruchu w pańskiej sztuce. Do widzenia, trzeba kończyć; gdybym mówiła o panu, miałabym za dużo do powiedzenia, a gdyby o sobie, to by było za smutne dla rekonwalescenta.

Pan d'Alembert i hrabia de Crillon kochają pana z całej duszy; oczekują pana z niecierpliwością. Kawaler de Chastellux pochłonięty jest teatrem w Chevrette, ale akcent, jakim mówi o tym jest zimny i smutny. Do widzenia, sądzi pan zatem, że za trzy miesiące? Za daleko, aby się cieszyć.

Doniesiono panu zapewne, że uwięziono i wtrącono do Bastylii pp. Favier, Guliberg, Ségur i Dumouriez. Grunt tej intrygi faktycznie nieznaną. Dla osądzenia ich ustanowiono komisję, która składa się tylko z trzech osób: pp. de Sartine, de Marville i de Belveau.

Nie umiem nic bliżej powiedzieć o tej sprawie, która zapewne jest panu równie obojętna jak mnie. Ma pan za przyjaciół ludzi ambitnych; tego rodzaju związki nie powinny mieć uroku dla duszy takiej jak pańska, ale pan jest jeszcze bardzo młody i straszliwie głodny działania! Do widzenia; obszedłby się pan pewnie bez tej refleksji, która się panu wyda oznaką bardzo małej i pospolitej duszy, w czym się pan myli. To nie dość, że pan napisał do mnie z Wiednia, chcę jeszcze mieć i wiadomości z drogi, którą powinien pan odbyć jak najwolniej przez wzgląd na zdrowie. Niech pan weźmie za godło *rozważę i cierpliwość*; proszę, *nakazuję*: tak, mam prawo.

LIST XIX

Do tegoż, w Paryżu

Piątek wieczór (listopad) 1773

Oto znów jestem; zbrakło mi odwagi. Kiedy nie mam przy sobie tych, których kocham, lubię tylko być sama; rozmawiam wówczas z przyjaciółmi poufalej i swobodniej. Pisałam całe trzy godziny; na wpół oślepiłam, ale nie znudziłam się. Pani de Boufflers pozwoliła mi poprosić pana o kopię jej listu, niech mi pan przyniesie jutro, proszę o to: niech mi pan przyniesie ten uroczy *romans*, niech mi pan przyniesie dalszy ciąg swojej podróży, która mi sprawia nieskończoną przyjemność. Rano czy wieczór mam się pana spodziewać? Wolalabym rano, bo wcześniej, a wieczór, bo dłużej; słowem, wolę to, co pan zechce. Dobranoc; oka nie zmrużyłam tej nocy.

LIST XX

Niedziela, wpół do czwartej

Drogi przyjacielu, nie zobaczę pana i pan mi powie, że to nie twoja wina; ale gdyby pan miał tysiączną część tej chęci co ja, byłbyś tutaj, ja byłabym szczęśliwa; nie, myślę się, cierpiałabym, ale nie zazdrościłabym rozkoszy niebios. Drogi mój, kocham cię tak, jak trzeba kochać, bez granic, do szaleństwa, do obłądzenia i rozpacz. Przez te ostatnie dni brałeś mą duszę na tortury; ujrzałam pana dziś rano, wszystkiego zapomniałam, miałam uczucie, że nie dość jeszcze kochać cię z całej duszy, pragnąć żyć i umierać dla ciebie. Pan jest wart więcej jeszcze. Tak, gdybym umiała tylko kochać pana, to nie byłoby nic, w istocie; cóż bowiem może być słodsze i naturalniejsze niż kochać do szaleństwa istotę najgodniejszą miłości? Ale, drogi ty mój, ja umiem więcej niż kochać, ja umiem cierpieć; umiałabym się wyrzec mojej przyjemności dla twego szczęścia. Ale oto zjawia się ktoś, kto mi mąci przyjemność dowodzenia panu, że go kocham.

Wiesz, dlaczego piszę do ciebie? Dlatego, że mi to sprawia rozkosz. Nigdy nie byłbyś tego przypuszczał, gdybym nie powiedziała. Ale, mój Boże, gdzie pan jest? Jeżeli ty masz przyjemność, nie powinna bym się już skarżyć, że mnie z niej okradasz.

Drogi przyjacielu, donieś mi, co będziesz robił i co robiłeś.

LIST XXI

Środa

Dzień dobry, miły mój. Czy spałeś? Jak się masz? Czy cię zobaczę? Och! nie odbieraj mi nic, tak mało jest czasu, a tak wysoko cenię chwile, przez które mam szczęście cię widzieć! Drogi mój, nie mam już opium w głowie ani we krwi; mam coś gorszego; coś, co kazałoby mi błogosławić niebo, kochać życie, gdyby ten, kogo kocham, ożywiony był tym samym uczuciem. Ale, mój Boże, ten, kogo kocham, właśnie stworzony jest na to, aby się stać cierpieniem i rozpaczą tkliwej duszy.

Dzień dobry, chcę pana widzieć; powinien byś się spotkać ze mną na obiedzie u pani Geoffrin; nie śmiałam ci tego powiedzieć wczoraj.

Tak, powinien byś mnie kochać do szaleństwa; nie wymagam nic, przebaczam wszyst-

Narkotyki, Miłość,
Cierpienie

Miłość

ko i nie mam nigdy o nic urazy; miły mój, jestem doskonała, ponieważ doskonale cię kocham.

LIST XXII

Niedziela, o czwartej

Nie pojechał pan, przynajmniej tak się spodziewam. Oto, co pan musiał sobie powiedzieć: czas jest straszny, pojedę na wieś jutro; pozwolę się odwiedzić; zobaczę ją dziś popołudniu; pójdę wieczór spędzić u pani de Villenon. Drogi mój, jeżeli rozumowałeś w ten sposób, pan d'Alembert pozwoli ci rozumować na przyszłość i nie będziesz skazany tylko na tworzenie samych *Hetmanów*. Racine byłby bardzo nierad, gdyby mu przeszkodzono pisać jego *Listy o wizjonerach*, a nawet *Historię Port-Royalu*. Oto dwa tomy: jeżeli je pan zgubi, uprzedzam, będziesz zgubiony w opinii pana d'Alembert. Oto i Plutarch: jest mój, ale, jeżeli to panu nie robi różnicy, wołałabym również, abyś go nie podarł i nie zgubił.

Widziałam na mszy panią de M.; chciałam się zbliżyć do niej; byłabym rada osądzić osobę, która była czymś dla pana. Twarz, figura usprawiedliwiłyby smak najbardziej trudny i wybredny: ale ton, obejście, och! jakież odpychające! Czy się mylę, drogi mój? ale dusza jej nie jest podobna do niej. Och! wierzę w to, nawet pragnę tego: czy to szlachetne uczucie, powiedz?

Nie, nie dowie się pan nigdy wszystkiego, co mi donosi ambasador: ale posłuchaj tylko tyle: powiada, że sądząc z pozorów, pan de Guibert uzyskał to, co p. de M. i on pragnęliby uzyskać; po czym dodaje: „Nie lękam się, aby te tak przenikliwe oczy czytały te słowa; godzę się, aby oczy p. de Guibert czytały ten list, tak jak on czyta w głębi duszy, etc. etc.”, a później jeszcze mnóstwo żartów pełnych wesołości i wdzięku. Jest bardzo miły, to pewna, ale nie wart, aby go kochać.

Ukochamy mój, radziłeś mi wczoraj wieczór nie kochać ciebie: czy to mnie czy siebie pragnąłbyś uwolnić od tego nieszczęścia, powiedz? Mam niezawodne lekarstwo: jakże mi słodko będzie myśleć, że robię coś dla ciebie! Mój przyjacielu, ta dusza, tak podobna do termometru, który jest najpierw w strefie lodowatej, potem umiarkowanej, a w krótki czas potem w piekącym klimacie równika, ta dusza ponoszona nieprzepartą siłą, z trudnością ledwie może się umiarkować i uspokoić. Pragnie cię, lęka się ciebie, kocha cię, błędzi i wciąż wraca do ciebie i do swoich żalów.

Miłość, Dusza

LIST XXIII

Piątek, o drugiej

Drogi mój, wczoraj wieczór, wróciwszy o północy, zastałam twój list. Nie spodziewałam się tej radości; ale co mnie martwi, to ilość dni, które mijają bez widzenia ciebie. Mój Boże, gdyby pan wiedział, co to są dni, co jest życie pozbawione bodźca i przyjemności widzenia ciebie! Tobie, drogi mój, wystarcza rozrywka, zajęcie, ruch, ale dla mnie, moim szczęściem jesteś ty, jedynie ty; nie chciałamby żyć, gdybym nie miała cię widzieć i kochać cię w każdym momencie życia.

Niech mi pan przeszle⁴¹ wiadomości o sobie i przyjdzie na obiad jutro do hrabiego de Crillon. Prosił mnie, abym zmieniła niedzielę na sobotę: zgodziłam się, ale niech pan przyjdzie, proszę bardzo.

Miałam być dziś ma obiedzie u ambasadora hiszpańskiego: wymówiłam się; gdyby pan miał być, byłabym na pewno. Do widzenia, czekam przyrzeczonego listu; spieszę się bardzo.

LIST XXIV

Niedziela wieczór, styczeń 1774

⁴¹przeszle (daw.) — dziś: prześle. [przypis edytorski]

Oto wreszcie ta książka; daję ją panu tylko pod warunkiem, że ją pan da pani de M.; mimo że córka jej nie jest już takim dzieckiem jak *Emilia* i tak się jej przyda. Wielu owym upierzonym damom zdałoby się ją przeczytać; ale nie miałyby z niej pożytku. Wszystko co dobre będzie dla nich zawsze jak ich pióra, o wiele wyżej ich główki. Niech pan pamięta, jeżeli chcesz być na wtorkowej próbie, zapukamy do pańskich drzwi o trzy kwadranse na 11⁴² i nie będziemy czekali ani pięciu minut. Niech pan nie idzie przez grzeczność, nie ocenilibyśmy tego. Dobranoc.

LIST XXV

Czwartek 21

Drogi mój, ulegam potrzebie serca; kocham cię, czuję tyle rozkoszy i rozdarcia, jak gdybym pierwszy i ostatni raz w życiu wymawiała te słowa. Ha! dlaczego skazałeś mnie na to! Dlaczego trzeba było...! Dowiesz się kiedyś, niestety! zrozumiesz...

Straszne jest dla mnie nie mieć prawa cierpieć dla ciebie i przez ciebie. Czy to znaczy dosyć cię kochać? Dobranoc, drogi.

LIST XXVI

O każdej godzinie mego życia

Miłość

Miły mój, cierpię, kocham cię, i czekam.

LIST XXVII

Wtorek wieczór

Drogi mój, miły, poznaję dzięki tobie, że człowiek woli dawać niż płacić długi. Mam oto mnóstwo listów, które czekają na odpowiedź, i aby dojść do nich, trzeba mi zacząć od rozmowy z tobą. Drogi mój, czy poświęciłeś mi od wczoraj wieczora jedną, dwie minuty? Czy powiedziałeś: ona cierpi, kocha mnie i jam to, w części, winien jej mąk? Nie aby martwić się lub czynić sobie wyrzuty, trzeba to sobie powtarzać; ale aby być dobrym, pobłażliwym, nie wpadać we wściekłość, kiedy się wyrwie jakiś krzyk cierpieniu. Co do mnie, myślałam o tobie, i dużo: byłam tym tak pochłonięta, ale to do tego stopnia, iż zrozumiałam, w jaki sposób ludzie nabożni mogą czuć bez rozproszenia obecność Boga. Ale też, kochanku mój, ty jesteś bardziej urozmaicony niż Pan Bóg: skoroś mi się objawił, obdarzony jak on wszystkimi doskonałościami, zostaje odwrotna strona medalu; w niedostrzegalnych odcieniach idę stopniowo od *Boga* do *Lucyfera*; wady twoje są tak rozległe, tak nieskończone, że najzupełniej wypełniają tę olbrzymią przestrzeń.

Och! dobry Boże, byłoś kiedy tyle dumy, próżności, wzgardy, lekceważenia, niesprawiedliwości, zarozumienia, słowem natłoku i doboru wszystkiego tego, co zaludnia piekło i domy obłąkanych od tysiąca wieków? Wszystko to mieściło się wczoraj wieczór w moim pokoju i ściany i podłoga nie zawały się! To graniczy z cudem. Wśród wszystkich tych *gryzipiórków* i *bazgraczy*, *głupców*, *pedantów*, okropnych ludzi, z którymi spędziłam dzień, myślałam jedynie o tobie i twoich szaleństwach. Tęskniłam za tobą, pragnęłam cię z takim żarem, co gdybyś był najmilszą i najrozsądniejszą istotą pod słońcem. Nie mogę sobie wytłumaczyć czaru, jaki mnie wiąże do ciebie. Nie jesteś moim przyjacielem, nie możesz nim zostać. Nie mam do ciebie żadnego zaufania. Wyrządziłeś mi najgłębsze i najdotkliwsze zło, jakie może dotknąć i zranić uczciwą duszę; pozbawiasz mnie w tej chwili, może na zawsze, jedynej pociechy, jakiej Niebo używało resztkę dni, które mi zostały. Słowem, cóż powiem? wypełniłeś wszystko; przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, następczą mi jedynie ból, wyrzuty i zgryzotę. I cóż, drogi mój, widzę, pojmuję to wszystko i czuję, jak mnie rwie ku tobie jakiś pociąg, jakieś uczucie, którym się brzydę, ale które niewoli mnie przekłętą i fatalną siłą. Dobrze czynisz, że się z tym nie liczysz: nie

⁴²trzy kwadranse na 11 (daw.) — inaczej: trzy kwadranse po godzinie dziesiątej; 10:45. [przypis edytorski]

mam prawa wymagać od ciebie nic, ponieważ mym najgorętszym pragnieniem jest, abyś nic nie robił dla mnie.

Co byś powiedział o usposobieniu nieszczęśliwej istoty, która by się ukazała panu pierwszy raz miotana, wstrząsana tak różnorodnymi i sprzecznymi uczuciami? Ubolewałbyś nad nią, twoje dobre serce ożywiłoby się, chciałbyś pomóc, ulżyć tej nieszczęśliwej. Otóż, drogi mój, to ja; a tego nieszczęścia ty sam jesteś sprawcą: ta dusza z płomienia i męki jest twoim dziełem. Ha! znowu jesteś jak Bóg: ciężko musisz żałować swego dzieła.

Doprawdy, kiedy ujmowałam pióro, nie było mi w głowie pisać ani słowa z tego, com napisała: chciałam tylko powiedzieć, abyś przyszedł jutro, we środę, na obiad do pani Geoffrin. Chciałam zwrócić pana uwagę, że pan jeden, ze wszystkich przyjaciół, miałeś tę wytrwałość, aby mi odmówić i dać mi czekać na to, czego pragnę tak żywo, tj. *Hetmana*. Jest mój, mogłam go panu odmówić i oto ja muszę nękać pana, abyś mi go oddał. Och, Boże, ani pamięci, ani zainteresowania, ani względów, ani chęci przypodobania się, niekiedy dobroć, która podobna jest do litości, i z *tym wszystkim*, i *bez tego wszystkiego* kocham cię do szaleństwa. Lituj się nade mną, ale nie mów mi tego. Proszę mi odnieść list.

Tak.

LIST XXVIII

Wpół do pierwszej w nocy

Dopiero w tej chwili jestem sama i chcę panu szybko donieść, że co się tyczy wizyty u pani d'Anville, nie liczę na pana. Będzie mi pan zawsze miły, ale rzadko użyteczny i — chciałabym móc dodać — mało potrzebny. Pragnąc uspokoić mą ufność, dowodzi mi pan, jak bardzo moja nieufność jest uzasadniona, brakuje bowiem trzech listów, a zwłaszcza jednego, w którym mówiłam panu o *Gonzalwie*. Zobaczysz pan, że te trzy listy znajdują się jeszcze w pańskiej teczce: może z owym czwartym tomem, który miałam otrzymać dziś. Uważam, że panu sprawia przyjemność zachowywać wszystkie względy dla pani de M⁴³.; dajesz jej pan, pożyczasz wszystko, co panu sprawiło przyjemność; ze mną znów wręcz przeciwnie: zapominanie, niedbałość, odmowa. Od kwartału obiecał mi pan książkę, którą wreszcie byłam zmuszona pożyczyć od kogo innego. Bez wątpienia lepiej jest, aby to tak mało uprzejme obejście spadło na mnie; to zupełnie sprawiedliwe, skarżę się też tylko na zbytek. Dobranoc. Jeżeli trzeba panu przysiedzieć nocy nad pracą, musisz szczerze żałować bezpotrzebnych wizyt, które pochłonęły pański czas. Między listami, które mi pan odesłał, jeden jest nie mój; ale przysięgam, nie zwrócę go nigdy.

LIST XXIX

Środa wieczór

Nie będzie przetłumaczone! to ja czekam na to, ja tego zażądałam! Pan nawet nie pomyślał o tym. Niech mi pan odeśle dwa dawne listy: nie listy Cyclerona ani Pliniusza mam na myśli. Chciałabym bardzo nie widzieć pana, nie widzieć już nigdy. Czy żal nie lepszy jest od wyrzutu?

W chwili gdy pan to czyta, założę się, że już otrzymałeś bilecik, w którym jest powiedziane:

Dla ciebie żal mi słodkich porywów mej duszy,
Imię M... twe serce zawsze żalem wzruszy!

Och, Boże, uwierz pan jej, wróć jej spokój i jeśli możliwe, bądź szczęśliwy. Oto pragnienie, życzenie, prośba nieszczęśliwej istoty, która ma zawsze przed oczyma ten straszliwy napis bramy Piekła:

⁴³pani de M. — wciąż pani de Montsaugé. [przypis tłumacza]

Tu wchodząc, zbądźcie się wszelkiej nadziei.

Nie, nie mam jej już, nie chcę mieć, powinnam była unicestwić się w dniu, w którym miałam zostać sama. Niestety! doprowadzasz mnie do szaleństwa, a nie umiesz ukoić.

LIST XXX

Środa, 11 maja 1774

Nie zna mnie pan jeszcze; prawie niepodobna zranic mojej miłości własnej, a serce jest tak pobłażliwe! W istocie, wczorajszy wieczór dość był podobny do mdłych romansów, które przyprowadzają o ziewanie zarówno autora, jak czytelników. Ale trzeba powiedzieć jak król pruski w nieco bardziej zaszczytnej okoliczności: *Na przyszły raz spiszemy się lepiej.*

To co stanowi epokę, jest miłe lub przykre; pan nie zapomni nigdy, że w dniu śmierci Ludwika XV spędził pan wieczór w głębokim śnie. Wierz mi pan, bywają boleśniejsze wspomnienia. Do widzenia.

LIST XXXI

Jedenasta wieczór, czwartek 12 maja 1774

Założę się, że pan nie jest tak senny dziś, jak wczoraj o tej godzinie; to bardzo proste: jesteś rozbawiony, zajęty i chcesz być miły. Mój przyjacielu, ty nie jesteś stworzony do poufnych godzin; potrzebujesz udzielać się; ruch, zgiełk są ci konieczne. To nie jest potrzeba próżności, ale energii żywotnej. Ufność, tkliwość, zapomnienie siebie i wszelkiej miłości własnej, wszystkie te rzeczy, które odczuwa i ocenia tkliwa i gorąca dusza, pana usypiają i wprawiają w odrętwienie. Tak, powtarzam ci, ty nie potrzebujesz, aby cię kochać.

Cóż za osobliwa pomyłka, mój Boże! I ja śmiem obwiniać niektórych ludzi o brak przenikliwości! Śmiem mówić, że nie widzą nic, że nie znają świata! Ha! w jaki sposób ja zbłąkałam się, omyliłam tak ostatecznie? W jaki sposób rozum nie powstrzymał mej duszy? I czem się dzieje⁴⁴, iż, sądząc cię bez ustanku, wciąż wrywam się ku tobie? Nie znasz ani w połowie wpływu, który masz na mnie, nie wiesz, co trzeba ci zwyciężyć za każdym razem, kiedy cię widzę; nie podejrzewasz poświęceń, które ci czynię; nie wiesz, do jakiego stopnia wyrzekam się siebie, aby być twoją: mogłabym ci powiedzieć jak Fredra:

Nawet zapłakać na mą nie mogłam niedolę...

Tak, miły mój, przy tobie wyrzekam się wszystkiego, co mi jest drogie. Nie mówię ci o swoich żalach ani wspomnieniach; a co jeszcze okrutniejsze, odsłaniam ci ledwo cząstkę tkliwości, którą napelniasz me serce, powściągam namiętność, którą wzniecasz w mojej duszy. Powtarzam sobie bez przerwy: „Nie odpowiedziałby jej, nie zrozumiałby mnie i umarłabym z bólu”.

Pojmujesz, drogi mój, cierpienie, na które jestem wydana? Mam wyrzuty z powodu tego, co tobie daję, a żal z powodu tego, co trzeba mi powściągnąć. Wydaję ci się na łup, a nie daję upustu swej namiętności. Ulegając ci, jeszcze walczę z sobą. Ha! czy mnie zrozumiesz? Czy pojdziesz bodaj myślą to, co czuję i co mi każe cierpieć? Tak, zwrócisz się ku mnie na chwilę, ponieważ posiadasz tę doraźną wrażliwość, która każe współczuć z nieszczęśliwymi i żałować ich. Ale nie wiem, czemu pozwalam sobie na ten moment wylania. Wiem zresztą, że nie znajduję pociechy w twym sercu: wyzute jest z tkliwości i uczucia. Masz tylko jeden sposób wydarcia mnie moim cierpieniem, to jest *upijając mnie* i to właśnie lekarstwo jest moim największym nieszczęściem.

Dobranoc; prześlij mi słówko o sobie; służący wróci po odpowiedź. Powiedz mi, co masz robić w piątek, czy cię zobaczę. Chciałabym nie rano, mam długą i nudną wizytę; chciałabym cię widzieć wszelako. Pomyśl, w sobotę i w niedzielę będę pozbawiona tego

Miłość, Cierpienie

⁴⁴czem się dzieje (daw.) — jak to się dzieje; czemu, dlaczego. [przypis edytorski]

szczęścia. Do widzenia jeszcze raz, zmęczona jestem. Miałam, zdaje mi się, ze czterdzieści osób dzisiaj, a pragnęłam tylko jednej, której myśl z pewnością ani razu nie zwróciła się do mnie.

Drogi mój, gdybyś był szczęśliwy, pochwalałabym twój tryb życia, ale ta czczość, pustka, niepokój, ten ustawiczny ruch, ta egzystencja ani nie wypełniona pracą ani ożywiona uczuciem, to ustawiczne trwonienie się, które w rezultacie nie przynosi ani przyjemności, ani korzyści, ani uważania, ani sławy! Och, Boże, niewart byłeś, aby natura obeszła się z tobą tak dobrze: była wobec ciebie szczodra, a ty jesteś tylko marnotrawny! Natomiast ja, ja rujnuję się przy tobie, tobie zaś przynosi to tylko ciężar, a nie bogaci. Nudzę pana; listy moje budzą w tobie niesmak i w tym podziwiam trafność i delikatność twego czucia; ale jeżeli cenię twój dobry smak, boleję nad tym, iż zbywa ci pobłażliwości i dobroci.

Jadłeś obiad w towarzystwie trzydziestu osób. Pan de Vaines spędził ze mną wieczór, czy uwierzysz, że nie wymieniał twego nazwiska?

LIST XXXII

Poniedziałek, o trzeciej

Nie odpowiedziałam panu sama. Jeżeli ci jestem droga, musiało to pana zaniepokoić, a byłabym w rozpacz, gdybym panu sprawiła przykrość, której mogłam uniknąć. Miałam napad lęku podobny do agonii, a poprzedzony wybuchem płaczu, który trwał cztery godziny. Nie, nigdy dusza moja nie czuła podobnej rozpacz⁴⁵. Doznaję uczucia jakiegoś przerażenia i grozy, które mącą mi rozum. Czekam środy, mam uczucie, że nawet sama śmierć nie jest dostatecznym lekarstwem na stratę, której się obawiam. Czuję to aż nadto, nie trzeba odwagi, aby umrzeć, ale strasznie jest żyć.

Jest ponad moje siły myśleć, iż ten, którego kocham, który mnie kochał, nie usłyszy mnie już może, nie pospieszy na pomoc. Musiał patrzeć ze zgrozą na nadchodzącą śmierć, ponieważ łączyła się z nią myśl o mnie; pisał mi 10-go: *Czuję w sobie moc, aby ci dać zapomnieć wszystko, co przeze mnie wycierpiała*; i tegoż samego dnia powalił go ten złowrogi wypadek.

Och, Boże; pan, który znałeś miłość, którego dusza przeszła wszystkie spustoszenia rozpacz, czy pojmujesz całe me nieszczęście? Współczuj ze mną, póki będę żyła, ale strzeż się żalować kiedy nieszczęsnej istoty, która przetrwa tydzień w stanie cierpienia niedającego się wręcz myśłą ogarnąć. Do widzenia, jeśli trzeba mi żyć, jeśli nie zapadł jeszcze mój los, znajdę jeszcze słodycz, powab i pociechę w pana przyjaźni. Czy mi ją zachowasz?

LIST XXXIII

Poniedziałek, czwarta po południu

To pewna, drogi przyjacielu, że nie korzystam w tej chwili z prawa odwetu, nie mną bowiem jesteś w tej chwili zajęty. Och, Boże, i jak myślałbyś o mnie pośród tylu i tak uroczych przedmiotów rozrywki, skoro nie mogę utrzymać twej myśli wówczas, gdy jesteś sam na sam ze mną? Czy wiesz, dlaczego bardziej lubię widzieć pana wieczór niż w dzień? Wówczas spóźniona pora kładzie kres pańskiej czynności; nie ma już sposobu iść do *pani takiej a takiej, do Glucka* i dopełnić tysiąca zbytecznych rzeczy, do których zdajesz się przywiązywać wagę jedynie dlatego, aby mnie wcześniej opuścić. Ale niech pan nie myśli, że to wymówki; to tylko spostrzeżenia, od których niepodobna mi się wstrzymać w rzeczy, która mnie tak obchodzi. Jestem tak daleka od wymagania czegoś, że powtarzam sobie sto razy dziennie, że to nad sobą powinna bym zapanować; że powinnam ograniczyć swoje uczucia do tej miary, w której nie ma ono dość siły, aby stanowić udrękę; w której nie żąda się nic, a jest się wdzięcznym za wszystko. To znaczy, że gdyby przypadkiem to, co mam w duszy, było w istocie namiętnością, trzeba by ją raczej pokonać niż silić się, aby ją panu kazać dzielić.

⁴⁵Miałam napad lęku (...) nigdy dusza moja nie czuła podobnej rozpacz — w tej chwili pan de Mora znajdował się bliski śmierci w Bordeaux. [przypis tłumacza]

A czy wiesz, drogi mój, co może stworzyć we mnie tę siłę? Oto wewnętrzne przekonanie, iż nie jest w twojej mocy dać szczęście żarliwej i namiętnej duszy. Nie powiem ci tego, co byłoby naturalnym pomyśleć: mianowicie że ja nie mam warunków, aby obudzić głębokie uczucie, że nie mogę mieć pretensji do tego, aby się podobać, przywiązać kogoś. Wszystko to jest bez wątplenia prawdą; ale nie dlatego mówię, że nie jest w twojej mocy dać szczęście silnej i tkliwej duszy. Daję tej duszy twarz pani de Forcalquier w dwudziestu latach; daję jej godność pani de Brionne, wdzięk Aglae i dowcip pani de M. przystrojony lub *zaszczepiony* dowcipem pani de Boufflers; i kiedy stworzyłam tę doskonałą istotę, powtarzam jeszcze, że nie umiałbyś zapewnić jej szczęścia. Dlaczego? Och, dlaczego? Dlatego, że jesteś przede wszystkim ambitny, a miłość jest jedynie *przypadkiem* twego wieku; nie płynie z duszy, mimo iż porusza ją niekiedy. Dlatego że dusza twoja jest ponad wszystko wzniosła, szlachetna, wielka, czynna, ale nie jest ani tkliwa, ani czuła, ani namiętna. Gdyby trzeba było dowieść tego z całą oczywistością, powiedziałabym: przeczytaj *Hetmana*, a potem bądź szczerzy i powiedz sobie: „Ona zna i odsłania mi tajemnicę mego serca”.

Ha! wierząc mi, jestem w rozpaczy, iż czytając w nim tak głęboko; tak potrzebuję kochać, tyle znajduję rozkoszy w kochaniu tego, co godne miłości! Tak mi niepodobna kochać z umiarkowaniem, że największym nieszczęściem, jakie mogło mi się trafić, było odkryć w panu to, co jedno mogło powściągnąć, a może zgasić moje uczucie: wyznam bowiem z całą prostotą, nie umiałabym kochać sama jedna. Świadoma wzajemności, mam siłę do męczeństwa, nie lękam się żadnego nieszczęścia. Cierpiąc i cierpiąc wiele, mogłabym jeszcze kochać życie, ubóstwiać i błogosławić sprawcę swoich cierpień; ale pod warunkiem, że by mnie kochał i to z serca, a nie przez wdzięczność, delikatność, uczciwość; wszystko to jest ohydne, zdolne jedynie pokalać i podciąć tkliwą duszę.

Och! nie czynmy z największego dobra, jakiego nam użyczyła natura, dzieła litości lub też nieuczciwego postępkul Drogi mój, bywają chwile, w których czuję się równa tobie; mam siłę, polot i bezgraniczną wzdargę dla wszystkiego co niskie lub szpetne. Słowem, mam wzdargę życia tak głęboko tkwiącą w duszy, że pod jaką bądź postacią się ono przedstawia, nie zdołałoby mnie przerazić ani na chwilę i prawie zawsze jest dla mnie czynną potrzebą. Znając tedy tak dokładnie siebie i ciebie, powtarzam raz jeszcze: Kochajmy się lub zerwijmy na zawsze; żyjmy prawdą i szlachetnością w czynach. Wszystko jest możliwe z wyjątkiem oszukiwania się i życia w tym stanie zamętu i obawy, jaki nieodzownie stwarza niepewność czyjegoś serca. Z tym uczuciem nie ma się zaufania ani w siebie, ani w tego, kogo się kocha: nie kosztuje się niczego. W tej chwili na przykład pragnę namiętnie, aby pan wrócił dziś wieczór z Auteuil, a potem, za chwilę, wydaje mi się, że chciałabym, abyś tam został. Czy pan pojmuje, ile cierpień sprawia ta walka między pragnieniem duszy a wolą, która płynie jedynie z refleksji? *Konkluzja*: kocham cię do szaleństwa, a coś mi powiada, że nie tak trzeba pana kochać. To *coś* robi tyle zgiełku około mej duszy, że jestem wręcz gotowa zmusić do milczenia wszystko inne, aby się poddać całej tej okropnej prawdzie.

Mój przyjacielu, posyłam ci twoje dzieła, abyś był tak łaskaw być ich cenzorem; użyć im ostatniego dotknięcia i bądź pewien, że nikt w świecie nie przykłada tyle co ja ceny do wszystkiego, co robisz i jesteś zdolny zrobić. Nie będąc próżną, mam uczucie, że można by włożyć całą swą próżność, dumę, cnotę, przyjemność, słowem, całe istnienie w to, aby cię kochać. Nie to mówiłam przed chwilą: mówiłam, co myślałam, wiedziałam; w tej chwili zaś coś mnie pcha do powiedzenia tego, co czuję. Dusza moja jest tak silna kochaniem, umysł zaś tak słaby, mały, ograniczony, iż powinna bym sobie zabronić wszelkiego przejawu i wyrazu, który nie pochodzi z serca. Ono to przemawia, kiedy ci mówię: *Czekam cię, kocham, chciałabym być całą twoją i potem umrzeć.*

Do widzenia, schodzą się ludzie. Jestem tak zajęta tobą, tak pełna swoich żalów, że towarzystwo nie daje mi już nic prócz nudy i przymusu. Jedynie dwa sposoby istnienia są mi po myśli: widzieć ciebie i być sama; ale to sama, bez książek, bez światła i bez hałasu. Nie skarzę się bynajmniej na mą bezsenność; to najlepsze chwile z całych dwudziestu czterech godzin. Niech pan podziwia, proszę, ile mnie kosztuje rozstać się z tobą, podczas gdy pan nie miał ani jednego rzutu ku mnie, ani jednej myśli. Mój Boże, czy przez to jesteś szczęśliwy? Tak.

LIST XXXIV

Niedziela

Jakiś ty miły, iż zdajesz mi sprawę ze wszystkiego, co robisz, myślisz, co cię zaprzęta! Jak ja kocham ten żar, tę czynność twojej duszy i umysłu! Drogi mój, masz tyle sposobów dojścia do sławy, że byłoby zbrodnią z twojej strony pragnąć wojny, tej plagi ludzkości! Oddaj się swemu talentowi, głosowi swego geniuszu; pisz: oświecając i zajmując ludzi, zdobędziesz sławę najmiłszą dla szlachetnej i tkliwej duszy. Czyniąc dobrze, będziesz się cieszył sławą najlepiej zasłużoną i zaprawdę jedynie pożądaną w tym czasie, w którym można wybierać tylko między poniżeniem a bezmyślnością, między rolą niewolnika a tyrana. Mój Boże, jak ja ich nienawidzę, jak gardzę nimi i jakby mi było strasznie zacząć żyć tak, jak żyłam przez dziesięć lat! Widziałam z tak bliska niegodziwość świata, byłam tak często ofiarą małych i szpetnych namiętnostek ludzi „światowych”, że został mi niezwykłony wstręt i groza, która kazałaby mi przełożyć raczej zupełną samotność nad ich obmierzłe towarzystwo. Ale gdzież ja schodzę! Dusza moja, wydana na pastwę najbardziej okrutnego i rozdzierającego uczucia, nie potrzebuje zwracać się w przeszłość, aby czuć całe brzemień swego smutnego losu.

Nie posiadam się z ochoty ujrzenia planu twojej sztuki⁴⁶; to ty stworzysz przedmiot, wydaje mi się bowiem, iż sam z siebie starczyłby ledwie na kilka scen. Będziesz miał tym większą zasługę, przykuwając uwagę i zajmując ją przez pięć aktów. Racine dokonał tego czarnoksięstwa w *Berenice*. Twój przedmiot jest większy i szlachetniejszy; zgodny z tonem twojej duszy. Nie będziesz potrzebował się wznosić; bez wysiłku jesteś zawsze na tym poziomie, który wydaje się egzaltacją duszom pospolitym i płaskim.

Tak, drogi mój, dni moje płyną jednostajnie, ale niebawem będę sama; wszyscy moi przyjaciele wyjeżdżają. Pierwszy raz w życiu wyjazd ich nie będzie mnie kosztował żalu. Gdybym się nie wydała panu zbyt niewdzięczna, powiedziałabym, że z pewną przyjemnością oczekuję wyjazdu pana d'Alembert. Obecność jego ciąży na mej duszy, doświadczam uczucia jakiegoś wyrzutu, czuję się zbyt niegodna jego przyjaźni i cnót. Słowem, sądzę o moim usposobieniu: to, co miało być pociechą, staje się pomnożeniem mojego nieszczęścia; ale bo też ja nie chcę się pocieszyć, żale moje, wspomnienia, są mi droższe niż wszystkie względy i usługi przyjaźni. Duszy mojej trzeba albo zupełnie oderwać się od swej boleści — a tylko ty jeden posiadasz tę władzę — albo też uczynić z niej jedyną swoją strawę. Gdybyś wiedział, jak bardzo książki wydają mi się puste i zimne! Jak mi się zdaje bezcelowe mówić albo odpowiadać! Pierwszym mym popędem w takiej okoliczności jest powiedzieć sobie: *po co?* i nie znalazłam jeszcze odpowiedzi na to pytanie; stąd pochodzi, iż trwam niekiedy dwie godziny, nie wymawiając słowa, i że od miesiąca nie wzięłam pióra do ręki, oprócz by pisać do ciebie. Wiem dobrze, że przy tym postępowaniu nie ma przyjaźni, która by się nie zraziła, ale godzę się na to, dusza moja jest zahartowana, nie lęka się już drobnych cierpień.

Och! jakże nieszczęście skupia człowieka! Jak niewiele potrzeba, kiedy się straciło wszystko! Ileż dobrego ci zawdzięczam, drogi mój, ileż podziękowań winna bym ci składać! Wracasz życie mej duszy; sprawiasz, iż z zainteresowaniem oczekuję jutra: przyrzekasz mi wiadomość o sobie, ta nadzieja wiąże moją myśl. Przyrzekłeś więcej jeszcze; miałam cię ujrzeć; ale powiem ci jak *Andromaka*:

Mniejszych faworów łaknąć zwykli nieszczęśliwi.

Żegnaj, nadużywam twego czasu, twojej dobroci, ale tak słodką, naturalną rzeczą jest zapominać się przy kimś, kogo się kocha. Rana moja jest tak żywa, dusza tak chora, organizm tak cierpiący, że choćbyś był zdolny jedynie do uczuć litości, pewna jestem, że byłbyś przy mnie, że pragnąłbyś wsączyć w samo serce balsam tkliwości i pociechy. Do jutra, przyjacielu miły, list twój bowiem wzruszy mnie, a będę musiała nań odpowiedzieć.

Czwartek, po nadejściu poczty

⁴⁶twojej sztuki — tragedia pt. *Anna Boleyn*. [przypis tłumacza]

I ot! nie miałam listu i mniej mnie to dziwi niż martwi. Tak proste jest, kiedy się ktoś cieszy życiem, iż zapomina o tych, co cierpią! Ani mi na myśl nie przychodzi czynić panu wymówkę za to, co jest jedynie naturalnym wynikiem nastroju twojej duszy w miejscu, kędy bawisz.

Ma pan tam kawalera; musiał panu udzielić nowin o mnie. Nie czułam się dobrze w dniu, w którym mnie odwiedził; miałam atak konwulsji podobny temu, w którym mnie pan widział, i przeplakałam część nocy. Dziś prawie nie zmrużyłam oka: nadto cierpiałam. Mam się lepiej, czuję się jedynie osłabiona i przygnębiona; wczoraj doznałam gwałtownego wstrząsu, miałam pewną rozmowę, dowiedziałam się szczegółów, zobaczyłam pismo, wyczytałam słowa, których nie powinna bym była przeżyć. Ha! Krew, życie moje byłyby jeno słabą odpłatą takiego uczucia. Widzi pan, co muszę myśleć o twoim.

Ks. Morellet opowiadał przed kilku dniami, w niewinności duszy, że pan jest bardzo zakochany w hrabinie de Boufflers, że nie opuszczasz jej ani na chwilę, starasz się się podobać na wszystkie sposoby, etc... Jeżeli to nie jest zupełnie prawdziwe, jest tak prawdopodobne... winnam czuć żal do pana jedynie za to, żeś mi się nie zwierzył. Proszę, w odpłatę za wszystko, tylko o jedno: to jest, abyś mi mówił prawdę. Wierzaj, nie istnieje nic, ale to nic, czego bym nie mogła usłyszeć. Mogę ci się wydawać słaba i to na tyle, iż myślisz, że trzeba mnie oszczędzać: tak nie jest. Nigdy, przeciwnie, nie czułam więcej siły: mam siłę cierpieć i nie lękam się już niczego w świecie, nawet tego, co pan mniema, iż zrobiłoby mi największą przykrość. Do widzenia.

LIST XXXV

Wtorek, wieczór

Ja *nieufna*, i to z tobą! Pomyśl tylko, z jaką ufnością wydałam się tobie; nie tylko nie miałam wobec ciebie żadnej nieufności ani ostrożności, ale nie znalazłabym nawet żalu ani wyrzutów, gdybym nie naraziła swego szczęścia i uczciwości. Mój przyjacielu, nie wiem, czy lepiej kochałam; ale ten, który mógł mnie uczynić niewierną i występłą, ten, dla którego żyję, straciwszy przedmiot i cel wszystkich swoich chwil, jest z pewnością człowiekiem, który ma największą władzę nad moją duszą, tym, który mi odjął swobodę, aby żyć dla innego i umrzeć, kiedy mi już nie stało nadziei ani pragnienia. Tak, wstrzymał mnie ten sam czar, który mnie pociągnął ku tobie, ten wszechpotężny czar związany z twoją obecnością, który upija duszę, oszalał ją do tego stopnia, iż zaciera w niej nawet wspomnienie nieszczęść. Drogi mój, ty czynisz więcej niż Bóg: za pomocą trzech słów stwarzasz mi nową duszę, napełniasz ją życiem tak silnym, uczuciem tak tkliwym i głębokim, że tracę wręcz świadomość przeszłości, przyszłości. Tak, drogi mój, żyję cała w tobie; istnieję, ponieważ cię kocham; tak dalece, iż wydaje mi się niemożliwe nie umrzeć, kiedy stracę nadzieję widzenia cię. Szczęście, iż cię widziałam, pragnienie, oczekiwanie ujrzania cię znowu wspierają mnie i podtrzymują przeciw mej boleści. Och! cóż bym poczęła, gdyby w miejsce nadziei został mi jedynie żal, iż cię nie mogę oglądać! Drogi mój, przy tobie nie mogłam umrzeć; bez ciebie nie mogę ani nie chcę żyć. Ha! gdybyś wiedział, co ja cierpię, jakiego straszliwego rozdarcia doznaje me serce, kiedy jestem zdana samej sobie, kiedy twoja obecność albo twoja myśl przestanie mnie podtrzymywać!

Ha! wówczas to wspomnienie pana de Mora staje się uczuciem tak czynnym, tak przejmującym, iż życie moje i uczucie dla ciebie budzą we mnie grozę. Brzydę się oszołomieniem i namiętnością, które mnie uczyniły tak występłą, które sprawiły, iż wlałam zamęt i niepokój w tę tkliwą i tak całkiem mi oddaną duszę. Drogi mój, pojmujesz, do jakiego stopnia ja cię kocham? Odrywasz mnie od żalów i wyrzutów, które rozdzierają moje serce: ach, wystarczyłyby, aby mnie uwolnić od życia, którego nienawidzę. Ty sam i boleść moja jesteście wszystkim, co mi zostaje w przyrodzie; nie mam już celu, nie mam dóbr, przyjaciół, nie potrzebuję ich: kochać ciebie, widzieć cię lub umrzeć, oto ostatnie, jedyne pragnienie mej duszy. Twoja dusza nie odwzajemnia mi, wiem o tym i nie skarzę się. Przez jakieś dziwactwo, które czuję, ale którego nie umiałabym wytłumaczyć, daleka jestem od pragnienia, aby znaleźć w tobie wszystko, co straciłam; to byłoby nadto. Która istota czuła kiedy lepiej ode mnie całą wartość życia? Czyż to nie dość, iż się ukochało i błogosławiło naturę jeden raz? Ileż tysięcy ludzi przeszło przez ziemię, nie

złożywszy jej dzięków ni razu! Jakże ja byłam kochana! Dusza z płomienia, pełna energii, która wszystko osądziła i zgłębiła i która, otrzeźwiona i zmierzona wszystkim, poddała się potrzebie i rozkoszy kochania; oto, drogi mój, jak byłam kochana. Wiele lat upłynęło wypełnionych urokiem i męką, nieodłącznymi od silnej i głębokiej namiętności, kiedy ty przyszedłeś wsączyć truciznę w me serce, przeorać duszę zamętem i wyrzutem. Boże, ileż ja przez ciebie wycierpiałam! Wydarłeś mnie memu uczuciu, a widziałam, że nie jesteś moim. Rozumiesz całą okropność tego? W jaki sposób można żyć wśród tylu cierpień? W jaki sposób znajduję jeszcze słodycz w tym, by mówić: *miły mój, kocham cię* i to z taką prawdą i uczuciem, iż niepodobna, aby słysząc to, dusza twoja pozostała zimną! Do widzenia.

Środa, po poczcie

Jesteś *nierad* ze mnie; zastanów się, czy słusznie: jakąż duszę ożywiłeś kiedy tkliwszym, silniejszym uczuciem? Mój przyjacielu, w jakim bądź względzie przyjrzyj się mojej duszy i zechcesz ją sądzić, wyzywam cię, abyś spróbował znaleźć w niej coś, co by cię mogło nie zadowolić. Och! jestem pewna, nikt cię tak nigdy nie kochał. Ale, mój Boże, nie każ mi tłumaczyć, czemu nie mogę pisać do ciebie tam, gdzie jesteś; nie śmiem sama przed sobą wyjawiać przyczyn; jest to myśl, odruch, przy którym nie chcę się zatrzymywać; męczarnia, która przejmuję mnie grozą, upokarza mnie i której jeszcze nie znałam.

Pytasz, jak się czułam, widując cię co dzień? Nie, to nie było przyzwyczajenie, to nie mogło nigdy stać się przyzwyczajeniem. Jakże te barwy są zimne, jak jednostajne! Jak je równać z szybkim i gwałtownym skurczem, który budzi w duszy imię i obecność ukochanej istoty? Nie, nie byłam dość szczęśliwa, aby się ludzić; aby się spodziewać i oczekiwać pana; toteż nie słyszałam, ani jak się drzwi otwierały, ani zamykały. Bez celu, bez pragnienia, cóż znaczy, co się widzi, słyszy! Cała pogrążona w mych żalach czuję tylko jedną potrzebę, modłę się już tylko do ciebie i do śmierci. Dajesz ulgę memu sercu, przenikasz je uczuciem tak tkliwym, że słodko mi żyć cały czas, który cię widzę, ale jedynie śmierć zdoła mnie wyzwolić z nieszczęścia twej nieobecności.

LIST XXXVI

Niedziela, w nocy

Zapomniałeś tedy, zostawiłeś tę furję tak szaloną i tak złą zarazem; gdybyś bodaj zostawił ją w piekle, nie skarżyłaby się: żar i ruch tego środowiska wlewają w nią życie. Ale nieszczęśliwa spędziła dzień w otchłani; czekała anioła-pocieszyciela, który się nie zjawił. Dawał bez wątpienia szczęście i rozkosz jakiejś niebiańskiej istocie; on sam kosztował słodyczy niebios i w tym usposobieniu nic nie mogło mu przypomnieć mej osoby. Jeśli w istocie jest tak szczęśliwy, pragnę z głębi duszy, aby go nic nie sprowadziło ku mnie, jestem bowiem na tyle niesprawiedliwa, aby nienawidzić jego szczęście i pragnąć, by żal i wyrzuty ściagały go bez przerwy. Życzę mu gorzej jeszcze, to jest, aby już nigdy nie kochał i aby budził odtąd jedynie obojętność. Oto życzenia, pragnienie duszy, która kochała wszystkimi siłami i która odczuwa jedynie potrzebę wiecznego snu. Dobranoc.

LIST XXXVII

Wtorek, jedenasta wieczór (6 lipca)

Mój Boże, jak ja cię mało widziałam, jak ja cię źle widziałam dzisiaj i jak mi ciężko nie wiedzieć, gdzie jesteś w tej chwili! Mam nadzieję, że w Ris i że wrócisz jutro wieczór. Podobno oczekują księcia de Broglie jutro rano. Osobliwe jest, że ja zmuszona jestem kłopotać się jego powrotem, pragnąć, aby go przyspieszył, bardziej niż mogą tego pragnąć nawet jego przyjaciele. Mój Boże, jakże uczucie zmienia i burzy wszystko! Owo *ja*, o którym mówi Fénelon, jest tylko chimera; czuję pozytywnie, że nie jestem *mną*; jestem *tobą*, i aby być tobą, nie potrzebuję czynić żadnego poświęcenia. Twoje dobro, twoje sympatie, szczęście, przyjemności, oto, mój przyjacielu, owo *ja*, które mi jest dro-

Miłość, Kobieta,
Mężczyzna, Egoizm

gie i najbardziej osobiste. Wszystko inne jest mi obce; ty jeden we wszechświecie zdolny jesteś mnie zająć i przywiązać; myśl moja, dusza, mogą odtąd być wypełnione jedynie tobą i moim rozdzierającym żalem. Och, nie; nie wówczas kiedy cię porównuję z sobą, lękam się, martwię, że ty mnie nie kochasz. Niestety, to wówczas, kiedy myślę *кто* i *jak* mnie kochał; ale to było niesłychane szczęście, do którego nie powinnam była sobie rościć praw i na które, wiesz dobrze, nie zasługiwałam.

Jakże dusza moja cierpi, jakże te cierpienia są bolesne! Drogi mój, co się ze mną stanie, kiedy nie będę cię już widzieć, oczekiwać! Czy sądzisz, że mogłabym żyć? Ta myśl mnie zabija; za dziesięć dni... Ale powiedz, dlaczego nie trzeba by mi żadnej odwagi, aby umrzeć, a nie mam siły powiedzieć sobie, że przyjdzie dzień, chwila, kiedy wyrzekniesz słowo, które przejmuję mnie dreszczem? Miły mój, nie wymawiaj go nigdy, przyniosło mi nieszczęście, to straszne słowo miało być mym wyrokiem: jeśli je kiedykolwiek usłyszę, umrę.

W jaki sposób możesz mnie chwalić za to, że cię kocham? Zasługą, cnotą byłoby oprzeć się tej skłonności, pociągowi, który mnie pchał ku tobie o wiele wprzód, nim mogłam się opatrzyć. Jak lękać się, jak przewidywać coś podobnego, skoro gwarancją mego bezpieczeństwa było uczucie, nieszczęście i to nieoszacowane dobro, iż posiadam miłość doskonałej istoty? Oto, drogi mój, świat, w którym żyła ma dusza, szanice, które jej broniły, wówczas kiedy ty wniosłeś w nią odmet wyrzutów i żar namiętności. I później chwalisz mnie, że cię kocham! Ha! to zbrodnia, nawet bezmiar miłości nie usprawiedliwia mnie. Ale ja przejmę cię grozą, jestem bowiem jak Pyrrhus, rzucam się w objęcia zbrodni ze zbrodniczym szaleństwem. Tak, kochać ciebie lub umrzeć, tylko tę cnotę i to prawo znane w całej naturze; to uczucie jest tak prawdziwe, tak mimowolne i tak mocne, że w istocie nie jesteś mi winien nic. Ha! jakże jestem daleką od tego, aby wymagać, rościć sobie prawa! Drogi mój, bądź szczęśliwy, znajdź przyjemność w tym, iż jesteś kochany, a już mnie spłaciłeś.

Jestem szalona, umiem ci mówić jedynie o tym, co czuję, a chciałabym mówić o tym, co widziałam: mianowicie kawalera; pytał nowin o tobie, pytał, czym rada z ciebie, patrz co za łaskawość! Chciałby, aby wszyscy przyjaciele kochali mnie tak jak on. Czy potrafisz to kiedy? Przyjechał wczoraj i wrócił dziś wieczór. Pojedziemy razem we czwartek do Auteuil⁴⁷; pocziwy Cardon i p. Suard jadą z nami. Staw się punktualnie u mnie o wpół do pierwszej: przyjdź, drogi mój, przyjdź; pomyśl, że mogłam obiadować z tobą jutro i widzieć cię dziś wieczór. Bądź dobry, szlachetny; poświęć mi wszystkie chwile, które nie będą zajęte przyjemnością i sprawami; chcę, powinnam iść zaraz po nich; jeśli za wiele żądam, pozwól mi przynajmniej pragnąć tego.

Zgadłeś wybornie dziś rano: chciałam odpowiedzi twojej, a nie swojej książki. Dałby Bóg, abym za cenę wszystkich książek, jakie popełniono dotąd i do końca świata, mogła sobie zapewnić jeden twój list co dzień! Oto lektura, której bym pragnęła, chciałabym ciebie widzieć i słyszeć bez końca. Miły mój, kocham ciebie.

LIST XXXVIII

Poniedziałek wieczór

Mam odpowiedzieć na cztery listy; próbowałam pisać, nie sposób. Zajęta jestem tobą, nie wiem, czy cię kocham, ale czuję i czuję aż nadto, że mącis, wstrząsasz mą duszę i to w sposób przykry i bolesny, kiedy cię nie widzę lub też kiedy nie podtrzymuje mnie przyjemność i napięcie oczekiwania. Opisałam ci, chciałam opisać urok, jaki ma dla mnie twoja obecność: ale, drogi mój, jakże wyrazy są słabe, aby oddać to, co się czuje tak silnie! Myśl znajduje słowa, dusza potrzebowałaby stworzyć sobie nowy język. Tak, to pewna, doznaję więcej wzruszeń, niżli istnieje słów dla ich oddania; w jaki sposób, w istocie, mogłabym ci wyrazić wszystko dobre i złe, które mi przynosisz? Twoja obecność ma taką władzę, taką moc, że daje mi nowe istnienie, nie zostawia nawet wspomnienia o tym, czym żyłam, nim ujrzałam ciebie. Jestem tak ożywiona, tak przeniknięta wrażeniem, którego doznaję, że mogę być szczęśliwa lub nieszczęśliwa już tylko przez ciebie. Kocham,

⁴⁷do Auteuil — do hrabiny de Boufflers. [przypis tłumacza]

cieszę się, lękam się, cierpię: ale ani pamięć przeszłości, ani przewidywanie przyszłości nie mają najmniejszego udziału w tych stanach. Miły mój, w czasie gdy wierzono w czary, wytłumaczyłabym stan, w jaki mnie wprowadzasz, mówiąc, że rzuciłeś na mnie urok. Ale gdyby to było prawdą, gdybyś miał tę moc, jakże okrutnym byłaby z twojej strony nie przedłużać złudzenia, które daje mi czuć bodaj przez kilka chwil, że życie może być dobrym. Tak, tobie zawdzięczam, iż znam, iż kosztuję przyjemności, która upaja duszę do tego stopnia, że odejmuje wszelkie uczucie przykrości, cierpienia. Ale pomyśl, czy mogę ci za to dziękować? Ten czar rozprasza się w chwili, gdy mnie opuszczasz; wchodząc z powrotem w mą duszę, czuję tym większy ucisk żalu i wyrzutów; strata, którą poniosłam, rozdziera mnie. Byłam kochana, i to kochana w sposób, jakiego wyobraźnia nie może osiągnąć. Wszystko, co kiedy czytałam, jest słabe i zimne w porównaniu do uczucia pana de Mora: wypełniało całe jego życie; osądź, jak bardzo musiało zagarnąć moje. Sam ten żal wystarczyłby, aby wtrącić tkliwą duszę w rozpacz i niedolę. Ha! i oto okrutniej jeszcze gnębi mnie wyrzut, który ciąży na mej duszy; czuję się występna, niegodna szczęścia, którym się cieszyłam. Zbrodnia jednej chwili miażdży całe moje życie; zdaje mi się, że daremnie byłam uczciwą do godziny, gdy ciebie poznałam. Cóż znaczy w istocie to, czym byłam? Wiem, czuję, że chybiłam człowiekowi najbardziej zacnemu, tkliwemu, wiem, że chybiłam cnocie, słowem, chybiłam sobie samej, straciłam własny szacunek. Osądź, czy mogę sobie rościć prawo do twego szacunku, a jeśli mnie nie szanujesz, czyż podobna mi zaślepić się do tego stopnia, aby myśleć, że możesz mnie kochać? Przy tej znajomości samej siebie i refleksjach, które pociąga ona za sobą, czy myślisz, że może być nieszczęśliwsza istota? Och, drogi mój, ta ruchliwość duszy, którą mi zarzucasz i do której się przyznaję, zda mi się na coś jedynie wówczas, gdy ciebie widzę; ona to sprawia, że całe moje życie skupia się już tylko w jednym punkcie; żyję w tobie i przez ciebie. Ale poza tym, czy wiesz, na co służy ta ruchliwość? Aby w ciągu godziny doświadczyła wszystkich tortur, jakie mogą rozdrzeć i powalić duszę. Tak, to prawda, czuję niekiedy śmiertelny lęk, wyczerpanie, a równocześnie niemal konwulsje rozpacz. Ta ruchliwość jest tajemnicą natury: przez nią żyję w ciągu jednego dnia z większym nasileniem, niż ogół ludzi przeżył, doszedłszy setnego roku. To prawda, że ta sama ruchliwość, która w nieszczęściu jest tylko jednym przekleństwem więcej, bywa niekiedy, w stanie spokoju, źródłem wielu przyjemności; jest to może środek, aby być miłą, ponieważ jest to sposób pobudzania ludzkiej próżności i głaskania miłości własnej. Sto razy czułam, iż powodzenie moje tkwi w mojej wrażliwości na urok i dowcip ludzi, z którymi bawię; na ogół ludzie lubią mnie jedynie dlatego, ponieważ mają uczucie, iż robią na mnie wrażenie: nigdy dla wrażenia, którego sami doznają. To dowodzi równocześnie i ubóstwa mego dowcipu, i żywości mej duszy; nie ma w tym spostrzeżeniu ani próżności, ani skromności; to tylko prawda.

Drogi mój, chcę ci odsłonić tajemnicę mego serca: mówisz, że myśl o rozłączeniu na cztery miesiące zrobiła na mnie małe wrażenie. Oto, co sobie obiecywałam po tym rozłączeniu: iż wróci mi całkowicie mej boleści i niezwykłej odrazie do życia. Sądziłam, iż kiedy dusza moja nie będzie już bujać między nadzieją a rozkoszą widzenia ciebie, znajdzie aż nadto siły, aby mnie uwolnić od życia, które wówczas będzie dla mnie jedynie pasmem żalów i wyrzutów. Oto, przysięgam ci, myśl, która mnie zaprzęta blisko od dwóch miesięcy. Ta czynna i głęboka potrzeba wyzwolenia się z moich cierpień podtrzymała mnie i broni jeszcze przeciw zgryzocie, którą sprawiłaby mi twoja nieobecność. Nie wyciągam z tego wniosku, iż chcę ci dowiedzieć, jak bardzo cię kocham; nie, miły mój; to dowodzi jedynie, iż czepiam się okrucieństw szczęścia i że one dają mi siłę do cierpienia. Powiedziałam ci już, te słowa są wryte w moim sercu i głoszą mój wyrok: *kochać ciebie, widzieć ciebie lub umrzeć*. Możesz potem mówić, ile chcesz, o moim sentymentalizmie, dowiedzieć, że stałam się godną wzgardy jedynie dlatego, że cię pokochałam, że zwątpiłeś o moim sercu jedynie dlatego, że ci je oddała, iż uczyniłam ci ofiarę ze swego uczucia i uczciwości: wszystko to jest naturalnym następstwem i zapłatą niewierności i zdeptania czci. Jestem o tym głęboko przeświadczona: mogłeś zauważyć, iż nigdy nie starałam się zwalczać twego złego o mnie mniemania; nie zdaje mi się ono ani surowym, ani niesprawiedliwym. Ty jeden w całym wszechświecie masz prawo lekceważyć mnie i wątpić o siłę i prawdzie uczucia, które ożywiało mnie przez pięć lat.

LIST XXXIX

Wtorek

Rozstałam się z tobą wczoraj wieczór, ponieważ bałam się znużyć cię, mówiąc tak długo o sobie. Jesteś mi tak przytomny, iż dręczyło mnie wręcz to, że mi nie przerywasz. Ale słuchaj mnie dzisiaj, dziś chcę ci mówić o tobie. Przede wszystkim, wierząc, proszę, nie mam zamiaru czynić ci wymówek: nie przyznaję sobie prawa do nich, za nic nie chciałabym zresztą zrazić cię do siebie. Żyję tak bardzo tobą, iż wskutek tego dręcę się tysiącem rzeczy, które dla ciebie nie mają znaczenia. Trzeba kochać, aby odczuwać zło wyrządzane tym, którzy nas kochają. Ale wstępy są nudne, przejdźmy do faktów. Mój przyjacielu, chciałeś ukryć przede mną swoją podróż; jeżeli przedmiotem jej był tylko obowiązek grzeczności, czemu lękałeś się mówić o niej? A jeżeli ta podróż ma zranić moje serce, czemu ją podejmujesz? Jeżeli nie masz obowiązku kochać mnie, masz wobec samego siebie obowiązek być uczciwym i nie oszukiwać. Nigdy nie czuję w tobie oddania i ufności: zdawałoby się, że to, co mi mówisz, wyrывa ci się na wpół mimo woli. Wyjechałeś wczoraj i nie mogłam się dowiedzieć, gdzie będziesz nocował; nie wiem, gdzie jesteś, nie znam ani ciebie, ani twoich postępów⁴⁸. Powiedz, czy to jest postępowanie najprostszej przyjaźni? I czy sądzisz, że nie dotknęło mnie boleśnie to, iż mając mnie opuścić dziś na cztery miesiące, nie chciałeś mi poświęcić ostatniego wieczoru, który miałeś spędzić w Paryżu? Gdybyś mnie kochał, widziałbyś ból, który mi zadajesz, kiedy mi powiedziałeś w sobotę, iż nazajutrz wybierasz się do pani d'Arcambal. Nie umiałam odpowiedzieć słowa, ale cierpiałam.

To nie wszystko, chcę ci powiedzieć jeszcze, co mam na sercu; tobie to nie zada bólu, a mnie przyniesie ulgę... Stawiasz mi przed oczy — niby jakąś zasługę — wszystko, czego nie czynisz dla pani de Montsaugue; powiedz, czy to sprawiedliwie? Zapomniałeś tedy, żeś mi powiedział po dwadzieścia razy w zeszłym roku, że wyrzucasz sobie wszystko, coś czynił dla niej, byleś najbardziej zdecydowany zerwać z nią zupełnie, nie widywać jej? Przypominam sobie, iż zwalczałam to postanowienie, a wówczas wiesz dobrze, że nie oczekiwałam szczęścia od ciebie; wiesz także, iż mimo zmiany okoliczności nie zmieniłam mego stanowiska. Czy rzekłam kiedy słowo, aby cię odwrócić od tego stosunku? Czy starałam się oziębic cię, oddalić od niej? Bez wątpienia uczyniłam tylko to, com powinna, ale też czy nie jest brakiem delikatności żądać ode mnie wdzięczności za to, iż podział nie jest absolutnie równy? Mój przyjacielu, istnieje między nami ta różnica: ona cię kochała, a ja cię kocham. Wobec tego nie ma mowy o poświęcaniu.

LIST XL

Czwartek, jedenasta wieczór

Nie miałam wiadomości od ciebie; nie spodziewałam się ich zgoła, a mimo to czekałam. Och, Boże, jak ty możesz mówić, że boleść nie mieszka już w mojej duszy? Umierałam wczoraj z bólu; miałam atak rozpacz, który wtrącił mnie w konwulsje trwające cztery godziny. Drogi mój, chcesz wiedzieć całą prawdę? otóż, kiedy cię widzę, kocham cię do szaleństwa, do tego stopnia, iż jestem przeświadczona, że nigdy lepiej nie kochałam; ale trzeba mi ciebie, aby cię kochać: cała reszta życia upływa na wspominkach, żalach i oplakiwaniu. Owszem, jedź, powiedz mi, że kochasz inną; pragnę, chcę tego. Cierpienie moje jest tak głębokie, tak rozdzierające, że ulgi na nie spodziewam się już tylko w śmierci: ulga, którą ty mi przynosisz, działa jak opium; usypia moje cierpienia, ale ich nie leczy; przeciwnie, czuję się tym słabsza i tym wrażliwsza. Masz słuszność, nie jestem już zdolna kochać, umiem już tylko cierpieć. Miałam nadzieję w tobie, oddałam się jej, sądziłam, że rozkosz kochania ciebie usmierzy moje nieszczęście. Niestety! próżno przed nim uchodzę, woła mnie bez przerwy, ciągnie mnie, ukazuje tylko jeden

⁴⁸Wyjechałeś wczoraj i nie mogłam się dowiedzieć, gdzie będziesz nocował (...) — zrozumiałym jest milczenie pana de Guibert wobec panny Lespinasse, gdyż podróż jego była w związku z rokowaniami, wskutek których w następnym roku zaślubił pannę Ludwikę Aleksandrynę des Hayes de Courcelles. [przypis tłumacza]

środek. Nie mów mi o rozrywkach, towarzystwie, jest mi ono już tylko nieznośnym przymusem. Gdybym mogła skłonić pana d'Alembert, aby mnie opuścił, nie widywałabym nikogo. W jaki sposób może pan mniemać, iż gra inteligencji silniej zdolna jest do mnie przemówić niż urok, niż pociechy przyjaźni? Mam przyjaciół najgodniejszych, tkliwych, zacnych: każdy, na swój sposób i wedle swego tonu, chciałby wnikać do mej duszy; wzrusza mnie tyle dobroci, ale nie broni mi czuć się nieszczęśliwą. Ty jeden, drogi, możesz mi dać nie szczęście, ale rozkosz. Cóż za złowroga trucizna, rozkosz! każe mi trwać przy życiu, wołając równocześnie śmierci. Ale czemu zależało ci trochę na tym, abym pokochała? Nie potrzebowałeś tego; wiedziałeś dobrze, że nie możesz mi odwzajemnić; czyżbyś sobie uczynił zabawkę z mej rozpacz? Wypełń tedy mą duszę albo nie dręcz jej już; spraw, bym cię kochała zawsze lub abym cię nie była kochała nigdy; słowem, zrób to, co niemożliwe, ukój mnie albo umieram. Ale, mój przyjacielu:

w zapomnienia czeluści głębokiej
Tej strasznej tajemnicy niech utoną mroki.

A w tej chwili oto, co czynisz? Wnosisz zamęt w duszę, którą czas ukoił: rzucasz mnie na pastwę boleści, a zarazem każesz pani de M[ontsaugue] lękać się, że cię straciła. Czyż nie można by ci powiedzieć:

Znajdź sekrety, by łamać i udręczać dusze.

Ha! gdybyś miał tkliwe serce i gdybyś miał czas posłuchać głosu cnoty, trzeba by z tobą współczuć, poznałbyś wyrzuty. Ale jeżeli serce twoje nie może się ustalić, poświęć się bodaj swemu talentowi: zajmij się, pracuj; jeżeli bowiem będziesz trwał w tym rozproszonym, bezładnym życiu, lękam się, iż pewnego dnia będziesz zmuszony powiedzieć:

...głód sławy wyczerpał mą duszę.

Sobota wieczór

Dopiero dziś rano dostałam wiadomość od pana i nie wiem, którędy ani jak doszła do mnie, bo nie pocztą. Uważaj mnie, jeżeli chcesz, za szaloną, niesprawiedliwą, słowem, co się panu podoba; ale to nie przeszkodzi mi powiedzieć panu, iż nie sędzę, bym w życiu doznała bardziej przykrego, poniżającego wrażenia niż owo, które sprawił na mnie twój list. Z tą samą szczerością powiem panu, że rodzaj cierpienia, które mi pan zadał, nie zasługuje, aby się nim interesować: zdaje mi się bowiem, że to moja miłość własna cierpiała, ale w sposób zupełnie dla mnie nowy. Uczułam się tak upokorzona, tak przybita, iż mogłam komuś dać straszliwe prawo mówienia mi tego, co przeczytałam, i to mówienia tak po prostu, iż musiałam stąd wyciągnąć wniosek, że pisząc, dałeś jedynie upust swej duszy, nie podejrzewając nawet, iż mnie śmiertelnie obrażasz. Och! jakżeś ty strasznie pomścił pana de Mora! jak okrutnie mnie karzesz za szal, za obłąkanie, które mnie pchnęły ku tobie! jakże się nimi brzydź! Nie będę wchodziła w szczegóły; nie posiada pan na tyle dobroci ani delikatności, aby dusza moja mogła się zniżyć do skargi. Moje serce, ambicja, wszystko, co mnie ożywia, co daje mi czuć, myśleć, oddychać, słowem, wszystko, co jest we mnie, czuje się oburzone, zranione i dotknięte na zawsze. Wrócił mi pan dość siły, nie aby znieść swoje nieszczęście — wydaje mi się większe i bardziej miazdzące niż kiedykolwiek — ale aby mi dać pewność, iż nie mogę już zaznać męki ani nieszczęścia przez pana. Osądź i bezmiar mej zbrodni, i wielkość mej straty: czuję, i boleść moja nie zwodzi mnie, że gdyby pan de Mora żył i gdyby mógł czytać pański list, przebaczyłby mi, pocieszyłby mnie, a pana by zań znienawidził. Och! mój Boże, zostaw mi pan swoje wyrzuty, są mi tysiąc razy droższe niż to, co pan nazywa swoim uczuciem: jest mi wstrętne; wyraz jego równy jest wzgardzie, a dusza moja odtrąca je z taką grozą, iż to mnie upewnia, że jeszcze jest godna cnoty.

W jaki sposób pan śmiał, w jaki sposób mogłeś się zdobyć na skreślenie tych liter, które gdyby podpadły innym oczom, zniesławiałyby mnie i zgubiły na zawsze! Jeżeli to

jest wyraz tego, co o mnie myślisz i co dla mnie czujesz, bądź przynajmniej pewny, że nie będę na tyle podłą, aby się usprawiedliwiać i błagać łaski; gdybyś nawet miał myśleć, że wymierzyłeś mi jedynie sprawiedliwość, wolę raczej zostawić panu to mniemanie, niż wdawać się w wyjaśnienia. Zatem rzecz postanowiona; bądź ze mną takim, jakim możesz, jak zechcesz; co do mnie, będę taką, jaką powinnam była zawsze być, i gdybyś nie zostawił wyrzutów w mej duszy, miałabym nadzieję rychło pana zapomnieć. Czuję to, rany miłości własnej oziębiają duszę. Nie byłam przyzwyczajona do takiego obejścia, do takiego połączenia okrucieństwa z lekceważeniem; prawda też, iż nie byłam występna: przypomnienie to sprawia, iż wydaje mi się pan mniej winny, ale nie zyskujesz tym samym na szlachetności.

Nie wiem, czemu pozwoliłam panu odczytać wszystko to, co napisałam do pana przed otrzymaniem jego listu; ujrzyś w tym całą mą słabość, ale nie dopatrzysz się całego nieszczęścia. Nie spodziewałam się od pana niczego, nie chciałam pociechy; po cóż się tedy skarżyć? Ha! po co? Dlatego, że chory, mimo iż skazany na śmierć, oczekuje jeszcze lekarza, oczy jego wpijają się jeszcze w jego oczy, aby w nich szukać pociechy; dlatego, że ostatnim wybuchem duszy jest krzyk. Oto wytłumaczenie mej niekonsekwencji, szaleństwa, słabości. Jakże jestem ukarana! Gdyby mi się zdarzyło powziąć myśl zdolną obrazić uczucie, które miał dla mnie pan de Mora, odczytałabym pański list; upokorzenie stałoby się pokutą mej zbrodni. Zwróć mi pan to pismo i miej na tyle honoru, aby wziąć sobie za zasadę wiersz z *Fedry*, który przytoczyłam.

LIST XLI

Czwartek

Byłoby to bardzo słodkie, bardzo miłe, gdyby to znaczyło, że pana zobaczę, ale ta wątpliwość niweczy tkliwe wrażenie, które tak miło by mi było czerpać z pańskich słów. Mój Boże, jak pan mąci moje życie, w ciągu dnia daje mi pan odczuwać najsprzeczniejsze stany! Równocześnie porywa mnie najbardziej namiętny pęd, to znów mrozi myśl, iż pan go nie odwzajemnia. Wówczas myśl ta budzi we mnie wstręt do siebie samej; aby odnaleźć nieco spokoju, oddaję się rozdzierającemu wspomnieniu tego, co straciłam. Niebawem duszę moją przenika słodsze uczucie; myślę o chwilach szczęścia, jakich zakosztowałam, kochając. Wszystkie te myśli, które powinny by mnie oddalać, zbliżają mnie do ciebie bardzo rychło; czuję, że cię kocham, i kocham dość, aby spodziewać się spokoju jedynie w śmierci. To moje jedyne oparcie, jedyna pomoc, której oczekuję i której potrzebę czuję niemal w każdej chwili. Drogi mój, przyłożyłeś balsam na ranę, jaką mi zadałeś wczoraj wieczór, skoro zauważyłeś ją w tej samej chwili. Prawdę mówi pan d'Alembert, bywają okoliczności, w których cierpienie nie jest cierpieniem.

Tak, będziesz miał przed północą *Pochwałę*: poślę jeszcze raz do arcybiskupa. Do widzenia jeszcze raz, miły mój; to ty sprawiasz mój smutek, moje milczenie, moje nieszczęście; słowem, ty ożywasz mą duszę, a ona mnie porywa. Nie śmiem ci powiedzieć, do jakiego stopnia cię kocham.

LIST XLII

Środa, o dziesiątej

Nie tęsknił pan za tym, aby mieć ode mnie znak życia jeszcze dziś, ale jestem panu zbyt obojętna, abym się miała lękać, iż zakłóć wrażenia, które pana pochłaniają. Posłuchaj mnie zatem i zawrzyjmy pakt, jaki ofiarowała pani de Montespan pani de Maintenon. Zmuszona z nią odbyć dłuższą podróż sam na sam, rzekła: „*Pani, zapomnijmy naszych zwad, nienawiści i starajmy się odbyć tę drogę jak osoby dobrze wychowane* etc., etc.”. Dobrze więc, powiadam: zapomnijmy zobopólnych uraz i bądź na tyle uprzejmy, aby spełnić to, o co proszę: niech mi pan zrobi małą notatkę o *subordynacji wojskowej*, potrzebna mi jest. Nie proszę o rzecz bardzo długą, szczegółową, ale o zasady, *przepisy*, słowem streszczenie tego, co pan myśli w tym ważnym przedmiocie. Tak, to ja mówię do pana i nie

postradałam zmysłów, przynajmniej pod tym względem; moje szaleństwo jest w rodzaju mniej suchym, a bardziej nieszczęśliwym.

Dobranoc: był pan dopiero co prawie smutny; zmartwiona tym byłam, nie czyniąc sobie wszelako wymówek, jak pan wie bowiem:

Aby się czuć niewiernym, trzeba być kochanym.

Kawaler wyjaśnił mi pański smutek i żalowałam pana z całego serca.

Nie odmawiaj mi tego, o co proszę; przyrzekam panu *w odpłatę* ten niezdarny synonim *placzu i łez*⁴⁹; nieszczęśliwy jest, ale zdolny tkliwością swoją wycisnąć łzy tym, których kocham, a przyprawilby o splkanie się z nudów człowieka z dowcipem i smakiem, ale też nie temu to rodzajowi ludzi otwieram swą duszę. Dobranoc; gdzie pan jest? Z pewnością tam, gdzie się czujesz dobrze; jest pan wesoły, ożywiony, zajęty i cały oddany tym, których masz koło siebie. Oto co się nazywa być miłym bez granic. *Tankred*, och! to *bardzo piękne!* są tam wiersze, które znajdują odzew aż w samym dnie duszy. Ale nic nie jest zgodne z tonem duszy czynnej, cierpiącej i miotanej burzami: musi żyć sama sobą. Do widzenia już.

LIST XLIII

Czwartek

Posyłam dawnych filozofów najmłodszemu ze wszystkich filozofów; chciałabym, aby się starał nie zgubić tej książki: rzadka jest dziś. Niech mi pan zwróci tom, o który prosiłam, potrzebny mi. Niech pan się rozejrzy koło siebie, jestem pewna, że go pan ma wraz z rozmaitymi broszurkami Woltera. Dobranoc, drogi, piersi mnie bolą, a to stąd, że czuję ból w duszy. Jakaż ja biedna! Zawdzięczam tobie życie i jestem nieszczęśliwa. Mam widzieć cię na chwilę; komuż możesz ją oddać, kto by czuł jej wartość, kto by się nią cieszył tak jak ja?

LIST XLIV

Poniedziałek, jedenasta wieczór

Rozmawiałam właśnie o panu, o *pańskich sprawach*, z panem d'Alembert; otóż przyszło mi do głowy uczynić panu szaloną propozycję: i właśnie dlatego nie tracę nadziei, że się pan na nią zgodzi. Niech pan się wybierze jutro ze mną na wieś; przepelni pan szczęściem panią Le Droit, a wie pan, że to co mówię, to nie *czcza* forma. Jeżeli pan jest zajęty wieczór, wrócimy dość wcześnie, aby pan nie chybił ani swoim przyjemnościami, ani przyjemności osób, które pana oczekują. Słowem, niech się pan rozpatrzy, czy możesz się wyrwać swoim sprawom, kłopotom, rozrywkom, schadzkom, operze, wizytom, pustce, próżni, słowem temu mnóstwu ważnych rzeczy, którym poświęcasz życie. Zwłaszcza (bez wątpienia zbyteczne i zarozumiałe zastrzeżenie), niech pan dla mnie nie robi poświęceń; to ja, przeciwnie, gotowam uczynić wszystkie. Jeśli pan odmówi, zaręczam, iż nie zdziwię się, ani pogniewam. Jest zupełnie naturalne, iż w wigilię wyjazdu wszystkie pańskie chwile mogą być zajęte; ale przynajmniej nie trwoń tych, które miałeś zamiar mnie poświęcić. Zwracam panu jutrzejszy wieczór; położę się za powrotem. We środę przyrzekłam spędzić wieczór w Ménilmontant; jeśli nie będę nadto cierpiąca, pojedę. Wymówiłam się dziś po obiedzie, ponieważ byłam bardzo cierpiąca, pojmuje pan bowiem, że nie mogłam mieć nadziei widzenia pana. Bardzo uprzejmie z pana strony, iż darowałeś mi tych kilka chwil, nie spodziewałam się ich i dziękuję po tysiąc razy, z szczerego serca, upewniam. Jeżeli mi pan ofiaruje dzień jutrzejszy, trzeba być u mnie przed południem; jeżeli, przeciwnie, ja go panu ofiaruję, niech pan nie przychodzi wcale;

⁴⁹przyrzekam panu *w odpłatę* ten niezdarny synonim *placzu i łez* — tego rodzaju igraszki literackie modne były naówczas w salonach paryskich. [przypis tłumacza]

wstają późno, spieszyłabym się z ubieraniem i miałabym tylko żal, że nie mogę z panem rozmawiać; ale we środę będę szczęśliwsza, skoro pan nie wyjeżdża. Proszę bardzo o odpowiedź.

LIST XLV

Sobota, koniec lipca 1774

Jestem w rozpacz, nie że pan ma katar, ale że pan będzie wojował póty, aż katar przedzierzgnie się w prawdziwą chorobę. Powinien byś zostać w łóżku cały dzień, a pan już się wybiera! Przez litość, drogi, pij, połóż się całkiem, nie czytaj, ani nie pisz. Wyrzucam sobie słówko, które do mnie napisałeś; a nim odpiszesz, odpowiesz i jeszcze raz odpowiesz wszystkim interesującym paniom, nie będziesz ani chwili w spokoju.

Czekałam pana od dziewiątej; była orszada i panieńska skórka, i wszystko co trzeba, aby wmusić w pana *bawarkę*; tak się to nazywa, a nie *zupka*. Mój Boże, jak bym chciała siedzieć przy twoim łóżku! Pielęgnowałabym cię, nigdy żadna siostra miłosierdzia nie rozwinęła tyle zapału, tkliwości. Drogi mój, nie wychodź, udaj, że wyjechałeś, a być może przy tych ostrożnościach skrzepisz się do tego stopnia, aby móc jechać jutro rano. Oczywiście, nie będziesz jechał nocą; to szaleństwo; nocując w Orleanie, nie utrudzisz się. Nie piesz mi, czy masz w tej chwili gorączkę; za godzinę pošlę znów po wiadomość; błagam cię, nie wychodź. Będę się dowiadywała o pana kilka razy w ciągu dnia; w tym celu jem obiad w domu, wyjdę dopiero o dziewiątej. Drogi mój, *żądam*, abyś spędził wieczór w łóżku; upewniam, że jeżeli nie będziesz uważał, dowojujesz się zapalenia płuc. Napisałeś zapewne do ojca: jeżeli pana zna dobrze, nie będzie zbyt niespokojny, ponieważ nie będzie liczył na twą punktualność. Widzisz, jaka jestem brutalna, jaką chwilę obrałam, aby się znęcać nad tobą! Tak, doprawdy, to niegodziwie z twojej strony chorować. I cóż? gdybyś wyjechał wczoraj, czy mój niepokój byłby usprawiedliwiony? Miły mój, pij, ale co? Boję się, że wody są za silne: pij orszadę albo bawarkę. Gdybyś przyszedł do mnie, znalazłbyś wszystko już gotowe, ale nie przychodź, nie, nie przychodź. Oszczędzaj się dla tej, która kocha cię tak tkliwie.

LIST XLVI

Czwartek, wpół do dziesiątej

Drogi mój, kocham cię: czuję to w tej chwili w bolesny sposób; twój katar, piersi twoje sprawiają ból mej duszy: lękam się, a to straszliwe uczucie tak często było usprawiedliwione, że niepodobna mi jest się uspokoić. Jeżeli pojedziesz dziś wieczór, nie będziesz spał, to cię podrażni. Mój Boże, czemuż ja nie mogę wziąć na siebie twoich cierpień! Miły mój, gdy będziesz zmieniał konie w Orleanie, napisz mi, jak się masz, napisz, czy piersi masz bardzo stargane. Tkliwość moja, troska o ciebie bronią ci zaniedbywać swego zdrowia; umieram z żalu, myśląc, że cię nie zobaczę, że nie mam już sposobu upewnienia się. Nie zobaczę cię, nie będę nic wiedziała o tobie. Och! jak słodko było kochać cię wczoraj, a jak okrutne jest kochać cię dziś, jutro i zawsze! Miły mój, daruj mi mą słabość, pomyśl, czy mój zabobon nie jest zrozumiały: *piątek* 7 sierpnia 1772, pan de Mora wyjechał z Paryża; w *piątek* 6 maja tego roku, wyjechał z Madrytu i w *piątek* 27 maja straciłam go na zawsze. Widzisz, czy ten straszliwy dzień nie musi wnosić grozy w moją duszę, kiedy się łączy z myślą o tym, co najwięcej kocham w życiu, więcej niż szczęście, więcej niż mam słów na wyrażenie tego. Miły mój, gdybyś jakim przypadkiem jechał aż w sobotę, chcę cię widzieć jutro. Jakież straszne zamysł powzięłam... nie widzieć cię już nigdy! To byłoby niemożliwe! Wiesz o tym dobrze. Wiesz dobrze, że kiedy cię nienawidzę, to iż cię kocham z namiętnością, która mąci mi rozum. Bądź zdrów, bądź zdrów, bądź zdrów, miły mój, nikt nigdy nie ubóstwiał cię, nie kochał z taką tkliwością. Uważaj na siebie; pamiętaj, ocalasz mi życie, szanując swoje piersi. Jutro... Straszna mi jest ta myśl. Tak, kocham cię, tysiąc razy więcej, niż umiem powiedzieć.

LIST XLVII

Do pana de Guibert, w Bordeaux.

Czwartek wieczór, 25 sierpnia 1774

Tak, drogi mój, rzecz, która w naturze ma najwięcej mocy i siły, to z pewnością miłość: oto narzuciła mi wyrzeczenie się i każe mi je znosić z tysiąc razy większym męstwem, niżby to mogły natchnąć rozsądek i cnota. Ale ta miłość jest bezwzględny tyranem, tworzy też jedynie niewolników, którzy na przemian nienawidzą i kochają swój łańcuch i nie mają siły go skruszyć. Ona to narzuca mi dziś postępowanie zupełnie sprzeczne temu, jakie sobie nałożyłam od dwóch tygodni. Uznaję niekonsekwencję, wstydzę się, ale ustępuję potrzebie serca. Znajduję jakąś słodycz w tym, aby być słabą; choćbyś miał tego nadużywać, drogi mój, będę cię kochać i mówić ci to niekiedy z przyjemnością, częściej z bólem, wówczas gdy będę czuła, że mi nie odpowiadasz. Wysłuchaj wszystkiego, co wycierpiałam od czasu, jak mnie opuściłeś. W godzinę po twoim wyjeździe dowiedziałam się, iż ukryłeś przede mną, że pani de M. wyjechała poprzedniego dnia. Wówczas pomyślałam, że opóźniłeś wyjazd jedynie dla niej. Nie byłeś u mnie w wilię; myślałam, że to dlatego iż jesteś nadto zmartwiony żegnaniem, aby móc mnie widzieć natychmiast *potem*, słowem, cóż ci powiem? Osądziłam cię z namiętnością, której charakterem jest, że nie widzi nigdy przedmiotów tak, jak są. Widziałam tedy i uwierzyłam we wszystko najgorsze: ja byłam ofiarą, ty zbrodniarzem, nadużyłeś w samej chwili rozstania mej tkliwości. Ta myśl jątrzyła mi duszę, drażniła miłość własną; miałam uczucie, że jestem najnieszczęśliwszą w świecie istotą, nie mogłam cię już kochać, brzydziłam się chwilami pociechy, rozkoszy, które ci zawdzięczałam. Wydarłeś mnie śmierci, jedynej ostoi, jedy-nemu oparciu, które widziałam przed sobą wówczas, gdy drżałam o dni pana de Mora; pomogłeś mi przeżyć straszliwe nieszczęście; nappełniłeś mą duszę wyrzutami, dałeś mi poznać większe jeszcze nieszczęście: nieszczęście nienawidzenia ciebie, tak, drogi mój, nienawidzenia. Więcej niż tydzień spędziłam z tym strasliwym uczuciem. Wśród tego otrzymałam list z Chartres; potrzeba dowiedzenia się, jak się miewasz, sprawiła, iż złamałam postanowienie nieotwierania twoich listów. Pisziesz mi, że masz się dobrze; donosisz, że zachowałeś, mimo mej woli, kilka moich listów; przytaczasz wiersz z *Zairy*, który zdaje się urągać memu nieszczęściu; a potem — to co było dotkliwsze — żale, które zawiera ów list, zdały mi się mgliste i raczej mające na celu dać upust twojej duszy niżli przemówić do mojej. Słowem, zmieniłam w piołun każde słowo oraz tym usilniej jeszcze postanowiłam nie kochać cię już i nie otwierać twoich listów.

Dotrzymałam tego zamiaru, który poszarpał mi serce i stargał zdrowie. Od twego wyjazdu jestem zmieniona, podcięta, jak gdybym przeszła ciężką chorobę. W istocie ta gorączka duszy dochodząca wręcz do szału to okrutna choroba; nie ma dość silnego organizmu, aby się oparł takiemu cierpieniu. Drogi mój, uzał się nade mną, sprawiłeś mi ból. Otrzymałam twój list z Rochambeau dopiero w sobotę; nie otworzyłam go; wkładając go do teczki, doświadczyłam gwałtownego bicia serca; ale nakazałam sobie być silną i byłam. Ileż mnie kosztowało przechowywać ten list! Ileż razy odczytałam adres! Ile razy, jak długo trzymałam go w rękach! W nocy nawet musiałam go dotykać; w chwilach ostatecznej słabości powiadałam sobie, że jestem silna, że opieram się najwyższemu dobru, najwyższej rozkoszy; i patrz, co za szaleństwo! kochałam cię namiętniej niż kiedykolwiek. Nic przez sześć dni nie mogło mnie oderwać od tego zamkniętego listu; gdybym go otworzyła w chwili, gdy go dostałam, wrażenie nie byłoby tak żywe ani tak głębokie. Wreszcie wczoraj wieczór, zżarta smutkiem, widząc, że nie przychodzi list z Chanteloup, skąd przyrzekłeś pisać, powzięłam myśl, że może jesteś chory w Rochambeau, i nie wiedząc, co czynię, czemu ulegam, przeczytałam, odczytałam sto razy, zwilżyłam łzami twój list, nim zdołałam pomyśleć, że go nie miałam czytać. Och! drogi mój, ileż byłabym straciła! Ubóstwiam twoją tkliwość; to, co mówisz o Bordeaux, świeżą krwią zbroczyło ranę, która nie zasklepiła się, nie zasklepi się nigdy. Nie, życia mego nie starczy, aby dość żałować i kochać najbardziej kochającego i szlachetnego człowieka, jaki kiedykolwiek istniał. Cóż za straszna myśl! Zasmuciłam jego ostatnie dni: lękając się, iż zmieniłam się dla niego, narażał dla mnie życie: ostatnie jego drgnienie było odruchem tkliwości

i kochania. Nie wiem, czy znajdę kiedy siłę, aby odczytać jego ostatnie słowa; gdybym nie kochała ciebie, miły mój, wystarczyłyby, aby mnie zabić; drzę jeszcze, myśląc o nich, widzę je; i to ty uczyniłeś mnie występłą! To ty sprawiasz, że żyję, to ty wnosisz zamęt w mą duszę, to ty jesteś tym, którego kocham, nienawidzę, który rozdziera i czaruje kolejno całkowicie ci oddane serce. Mój Boże, nie lękaj się być smutnym ze mną; smutek to mój ton, moje istnienie. Ty jeden, tak, ty jeden masz moc zmienienia mego stanu, twoja obecność nie zostawia mi ani wspomnienia, ani bólu: doświadczyłam, iż przynosisz ulgę nawet w fizycznych cierpieniach. Kocham cię i wszystkie moje władze są zagarnięte, oczarowane wówczas, gdy cię widzę.

Piątek rano

Drogi mój, przerwano mi wczoraj. Jest tyle nowin, tyle ruchu, tyle radości, że nie wiadomo, kogo słuchać. Chciałam być bardzo rada, a nie umiem. Kilka miesięcy temu byłabym upojona i dobrem, które świta, i złem, które pierzchnęło; obecnie jedynie myślą, rozważą dostrajam się do powszechnego tonu. Wiesz, że pan Turgot został generalnym kontrolerem; wszedł do Rady; pan d'Angiviller otrzymał budowlę; pan de Miromesnil jest kanclerzem; kanclerz wygnany do Normandii; pan de Sartine dostał marynarkę, a powiadają, że to tylko w oczekiwaniu wydziału pana de Vrilliere; pan Lenoir naczelnikiem policji. Pan de Fitz-James nie idzie do Bretanii; to książę de Penthièvre ma przewodniczyć Stanom wraz z panem de Fourqueux. Ale, doprawdy, jestem zabawna jak pan Marin, któremu odbierają „Gazetę”, aby ją dać niejakemu ks. Aubert, gdyż narobił bajek. Aby już z tym skończyć, trzeba dodać, że baron de Breteuil idzie do Wiednia, a pan de la Vauguyon do Neapolu: ten wybór bardzo potępiają. A teraz przejdźmy do nowin towarzyskich. Pan d'Alembert miał wczoraj ogromny tryumf w Akademii; nie byłam świadkiem, byłam zbyt cierpiąca: mam w sam raz dość sił, aby tkwić w swoim fotelu. Czytał *Pochwałę Despréaux* i anegdoty o Fenelonie, które mają być zachwycające. Nie chciałam słuchać ich w ostatnich dniach; miałam w głowie jedynie list, którego nie czytałam. Aby słuchać, trzeba spokoju; toteż słucham bardzo mało. Wiesz, drukują żywot Katinata; autorem jest niejaki pan Turpin, który napisał żywot Wielkiego Kondesusa. Pan d'Alembert czytał ten życiorys i wedle tego co mówi, nie odejmie on wdzięku ani wartości twojej *Pochwale*; mimo to pošlę ci egzemplarz, skoro tylko się ukáže.

Widywałam, często widywałam od twego wyjazdu panią de Boufflers i bardzo upokorzę albo też upoję twą próżność, donosząc, iż nie wymieniła twego imienia. Jeżeli to naturalne, w takim razie bardzo chłodne; jeżeli z umysłu, bardzo znaczące. Mimo to muszę dodać, aby *pogłębić twą miłość własną*, że wydaje mi się bardzo zajęta bałamuceniem hrabiego de Crillon. Spędziliśmy wieczór u niej, byliśmy razem na jarmarku, ona u mnie, mamy iść razem na pogrzeb, a to *razem*, to wciąż hr. de Crillon. Ale co jest tylko dla mnie, to doskonale ananasy i list na cztery strony o obecnych sprawach, o chwale, jaką się okrył ks. de Conti, o synowej, a potem rzeczy bardzo pochlebne dla mnie, słowem, przypawię cię o śmiertelną zazdrość, odczytując ci to wszystko kiedyś; ale do tej pory rozwiniesz tyle zalotności, potrafiś być tak miły, tak uroczy, że wszystkie moje sukcesy staną się niczym i trzeba będzie zostać *Kopciuszkiem* jak wprzódy. Ale, doprawdy, nie chcę zapomnieć ważnej rzeczy: tyle mówiono panu Turgot o sprawie, która pana tyczy, że w końcu parsknął śmiechem i rzekł: „To już przynajmniej dziesiąty raz mówi ktoś mi o panu de Guibert; ale bądźcie pewni, nie zapomniałem o nim, ani nie zapomnę”. Oto wszystko, co wiem. Wczoraj napisałam doń jako do generalnego kontrolera i prosiłam jeszcze o wiadomość, czy w sprawie pana de Guibert trzeba mi się zwrócić do pana Sartine. Czekam odpowiedzi. Mój przyjacielu, gdyby chodziło o wydobycie cię z Bastylli, nie brałabym się do rzeczy z większą wytrwałością i zapalem.

Wyobrażasz sobie, że wśród tej *Nocy św. Bartłomieja* ministrów, nie ma już mowy o liście tego teologa. Wolter pisał o tym na wszystkie strony; chwalił go tak, jak chwalił siebie w wierszach hr. de Schomberg. Równocześnie umiera ze strachu; co sprawia, iż gada setki błazeństw płaskich i pociesznych nad wyraz. Mój Boże, cóż za szkoda, że tyle dowcipu, talentów, a nawet geniuszu mieści się w duszy tak małej, niskiej! To i pewna, że pan d'Alembert jest pierwszym wśród ludzi pióra; *zaszczyt* przynosi im pod każdym względem.

Drogi mój, czemu nie pisałeś z Chanteloup? Nie miałeś mi już nic do powiedzenia? Poczta odchodzi co dzień, a wreszcie, cóż, list czeka na poczcie i nie jest się przez wiek cały pozbawionym przyjemności rozmowy z tymi, którzy nas kochają; zauważ: nie śmiem powiedzieć: *których się kocha*. Jeżeli przybyłeś we wtorek po kurierze z Bordeaux, trzeba będzie czekać do środy; to znaczy wtrącasz mnie do otchłani, zanurzysz na dwa tygodnie w piekle.

Jeżeli otrzymasz ten list w Bordeaux, jak przypuszczam, odwołuję, com rzekła, i proszę, byś odwiedził tego konsula: dowiem się może nowych szczegółów⁵⁰; dowiem się, czy mianowicie polecono mi odesłać mi szkatułkę, w której były moje listy; powie ci może o jakich spalonych papierach: słowem, będzie ci mówił o najmilszej, o najbardziej zajmującej istocie, którą powinnam była jedynie kochać i której nie byłabym nigdy obraziła, gdybym przez znieprawioną mi fatalność mogła uniknąć w życiu jakiego nieszczęścia. Nie ma żadnego, którego bym nie doświadczyła.

Któregoś dnia, drogi mój, opowiem ci rzeczy, których nie znalazłbyś w romansach Prévosta ani Richardsona: moja historia jest skupieniem okoliczności tak żalonych, okrutnych, że przekonała mnie, iż prawda nie zawsze jest prawdopodobna. Heroiny romansów niewiele mają do opowiedzenia o swoim wychowaniu; moje zasługiwałyby na to, aby je opisać, tak było osobliwe. Któregoś wieczora tej zimy, kiedy będziemy bardzo smutni, bardzo skłonni do zadumy, zechcesz może wysłuchać opowieści, która zajęłaby cię, gdybyś ją znalazł w książce, ale która obudzi w tobie wielki wstręt do rodzaju ludzkiego. Jakże ludzie są okrutni! Tygrysy zdają się przy nich pocziwymi owieczkami. Powinnam była z porządku rzeczy poświęcić się cała nienawiści; źle wypełniłam swój los: wiele kochałam, a bardzo mało nienawidziłam. Mój Boże, drogi mój, ja mam sto lat; to życie, które wydaje się tak jednolite, monotonne, było wydane na pastwę wszystkich nieszczęść i na łup wszystkich szpetnych namiętności, które poruszają niegodziwych ludzi. Ale gdzież ja się zbłąkałam! Cała oddana tobie, którego kocham, który wspierasz, podtrzymujesz moje życie, dlaczego zwracam oczy na wszystko, co mi go kazało nienawidzić?

Nie zamknę listu aż po przyjściu kuriera. Jakże byłabym szczęśliwa, gdyby mi przyniósł list od ciebie! Ale z pewnością spóźniłeś się; nie umiesz zrobić nic na czas; czego nie widzisz, ledwie istnieje dla ciebie. Słowem, jesteś wiernie taki, jak trzeba, aby być udręką tkliwej duszy, a ja jestem ściśle wszystkim, co trzeba, aby stanowić dowód, że szaleństwo nie wyklucza głupoty. Wyobraź sobie, mówię do ciebie tak, jakby dziś była sobota; czekam kuriera, który przybędzie aż jutro, i to nie twoja wina, miły mój; nie moja również, jeśli w głowie mi się mąci, jeśli potrzeba krzepiącego słówka każe tracić porządek i miarę czasu. Och! nie wiem, czy nie lepiej byłoby dla mnie nie znać cię, nie kochać. Od trzech miesięcy byłabym tym, czym byłam przed stu laty: nie cierpiałabym, nie potrzebowałabym ciebie ani twoich listów... Ale czy nie zamordowałam cię swoją pisaniną bez końca? Drogi, miły, przyzwyczaj się.

Julia de Lespinasse

LIST XLVIII

Sobota wieczór, 27 sierpnia 1774

Przyjacielu mój drogi, nie miałam wieści. Powtarzałam sobie sto razy: przyjechał za późno; nie pomyślał, co znaczy dla mnie godzina, że to robi różnicę czterech dni: i oto trzeba mi czekać do środy. I cóż! wszelkie wysiłki, aby nie opierać duszy na tej nadziei, nie posłużyły za nic; kurier przybył. Dostałam trzy listy, których nie byłam zdolna przeczytać, ponieważ brakło mi twego. Mój Boże, nie jesteś ani dość szczęśliwy, ani dość nieszczęśliwy, aby doświadczać podobnego uczucia. Mój drogi, jeśli nie będę miała od ciebie wiadomości we środę, nie piszę już do pana. Masz już wobec mnie jedną, dwie przewiny, będziesz ich miał tysiąc, ale oświadczam ci, że ich nie przebaczę i że mimo

⁵⁰dowiem się może nowych szczegółów — o panu de Mora i ostatnich jego chwilach. [przypis tłumacza]

to będę cię tak samo kochała. Widzisz dobrze, mówię niemożliwości, logika serca jest niedorzeczna. Na miłość Boga, spraw, abym nigdy nie rozumowała ściślej.

Jakże mi brak ciebie w tej chwili! Upojenie jest powszechne⁵¹, drogi mój. Jest ta różnica pomiędzy mną a wszystkimi dookoła mnie, że ich unosi radość z powodu szczęścia, którego się spodziewają, a ja oddycham jedynie po nieszczęściu, z którego nas wyzwolono. Mój Boże, dusza moja niezdolna jest do radości, pełna jest żalów i rozdzierających wspomnień. Uczucie, które ją mąci, daje jej często kosztować gwałtownych wzruszeń, ale rzadko wróży coś miłego. W tym stanie radość powszechną można odczuwać jedynie myślą i refleksją, a przyjemności rozumowane są tak mierne! Moi bliscy są niezadowoleni, iż nie mogą mnie porwać: mocno żałuję, odpowiadam, ale nie mam już sił, aby być bardzo szczęśliwą. Mimo to bardzo rada jestem, iż pan Turgot przegnał już jednego nicponia: intendenta wydziału zboża, pana de Saint-Prix; zbudował sobie bezczelnie wspaniały dom, którego cegłami warto by go ukamienować. Miły mój, przytoczę ci powinszowanie, jakie przekupki ryb przedłożyły królowi w dzień św. Ludwika: „Najjaśniejszy panie, przychodzimy powinszować W. K. M. wczorajszej *oblawy*; nigdy dziadkowi W. K. M. nie zdarzyła się równie świetna”. Ale czytaj, czytaj zaraz pierwszą scenę trzeciego aktu *Estery*, scenę między Amanem a jego żoną; w połowie mniej więcej znajdziesz tam dialog między intendentem a zausznikiem jego Lebrun, jakby umyślnie dla nich napisany. Hrabia de Crillon napisał do mnie z Montigny patriotyczny hymn, trzy stronicie uniesień; to dużo. Jacyż oni szczęśliwi! Nadzieja daje im młodość. Ach, jakże starym jest, kto ją stracił lub komu zostaje jej ściśle tyle, ile trzeba, aby się umknąć rozpacz.

Donieś mi, ile napisałeś wierszy, czy przyzwyczajasz się spieszyć powoli, czy będziesz się starał czynić jak Racine, który pisał wiersze z wysiłkiem. Mój przyjacielu, zalecam ci rozkosz czytania, odczytania co rano jednej sceny tej boskiej muzyki, a potem przechadzaj się, pisz wiersze i z tym talentem, jaki ci wlała natura, dając ci mocno czuć i mocno myśleć, ręczę, że stworzysz rzecz bardzo piękną. Ale na co ja się porywam! Dawać rady, komu? Człowiekowi, który lekceważy mój smak, który mnie uważa za dość głupią, który nie przyznał mi nigdy prawa sądenia czegokolwiek i który, oceniając mnie w ten sposób, jest może na trafnej drodze i składa dowód równej bystrości co do sprawiedliwości sądu.

Bądź zdrow, miły; gdybyś mnie kochał, nie byłabym tak skromna, zdawałoby mi się, że nie ma w całej przyrodzie nic, czemu bym mogła zazdrościć. Wysłałam ci wczoraj cały tom do *Bordeaux*. To słowo brzmi mi strasznie; dotyka tkliwej i bolesnej struny mej duszy. Bądź zdrow, bądź zdrow.

LIST XLIX

*Do pana de Guibert, pułkownika Legii Korsykańskiej w Montaubax-en-Quercy.
Poniedziałek, 29 sierpnia 1774*

Wiesz, że pan Turgot jest generalnym kontrolerem; ale czego nie znasz, to rozmowy, jaką miał w tym przedmiocie z królem. Skoro pan de Maurepas ofiarował mu w imieniu króla *kontrolę*, czynił nieco trudności z przyjęciem. Kiedy stanął przed królem, aby podziękować, ten rzekł: *Nie chciałeś pan tedy przyjąć generalnej kontroli?* — *Najjaśniejszy Panie*, odparł Turgot, *wyznaje, że wolałbym ministerium marynarki, ponieważ jest to miejsce trwalsze i bardziej byłbym pewny, iż zdziałam na nim coś dobrego, lecz to tej chwili nie królowi oddaję moje służby, ale zacnemu człowiekowi*. Król ujął go za obie ręce i rzekł: *Nie omylił się pan*. Turgot dodał: *Najjaśniejszy Panie, muszę przedstawić W. K. M. potrzebę oszczędności, której W. K. M. sama winna dać pierwszy przykład. Ksiądz Terray mówił już zapewne o tym W. K. M.* — *Tak*, odparł król, *mówił, ale nie w ten sposób co pan*. I to wszystko masz tak, jakbyś sam słyszał, pan Turgot bowiem nie dodaje ani słowa nad ścisłą prawdę. Ten wylew duszy ze strony króla daje najlepsze nadzieje panu Turgot i sądzę, że i ty nabrałbyś ich na jego miejscu. Pan de Vaines otrzymał miejsce pana Leclerc, ale bez jego przepychów: żadnej partii, żadnych pokojowców, audiencji, słowem, największa prostota, to znaczy zgodnie z tonem pana Turgot. Tak, powtarzam ci, brak pana bardzo

⁵¹*upojenie jest powszechne* — z powodu ministerstwa Turgota, do którego przywiązywano nadzieje zbawienych reform. [przypis tłumacza]

tutaj. Podzieliłbyś powszechne uniesienie. Ludzie zaczynają czuć potrzebę milczenia, aby się skupić i rozmyślać o wszystkim dobrym, którego się spodziewają. Zostają teraz sprawy osobiste, które trzeba liczyć za coś!

Kawaler d'Aguesseau uśmierzył mój niepokój i pobudził go zarazem. Wie, że pan był przez dobę w Chanteloup, że masz się dobrze i że przybyłeś do Bordeaux 22-go. Wedle tego zupełnie prostym jest, że przyjaciele twoi mieli od pana nowiny w sobotę 27-go. Nie skarżę się na pierwszeństwo, które im dałeś; ale byłoby mi słodko móc ci podziękować za wzgląd, który byłabym tak odczuła i którego moja dusza potrzebowała. Bądź zdrów, oto trzy listy w krótkim przeciągu czasu; jeżeli nie dostanę od pana nic we środę, sądzę, że będę mogła zamilknąć. Wszyscy moi bliscy dopytują się skwapliwie nowin o panu, zwłaszcza pan d'Alembert.

Zdaje mi się, że nie wspominałam panu o tryumfach kawalera de Chastellux w czasie czterodniowej podróży, którą odbył świeżo do Villers-Cotterets. Dał sześć czytanych wieczorów; miał tylko cztery sztuki, ale powtórzył czytanie dwóch. Zdaje mu się, że *Pretensji* nie odczuł tak, jak by należało. Połajałam za to arcybiskupa Tuluzy, który był jednym ze słuchaczy. Gdybyś widział, jak się tłumaczył, można było skonać ze śmiechu. Kawaler chwalił mi się naiwnie swymi tryumfami, cieszyłam się, ale martwi mnie jego wygląd: mam wrażenie, że zdrowie jego jest poważnie zagrożone. Pan Watelet też jest nieszczęśliwie z piersiami; zalecono mu osłe mleko.

Jestem w tych dniach bardzo cierpiąca, ale to niemal mój zwyczajny stan; ciągłość cierpienia odejmuje nawet pociechę skarżenia się na nie. Bywaj zdrów, jeszcze raz.

Czyżbym nic panu nie wspominała, że słyszałam Millico? To Włoch. Nigdy, nie, nigdy, nie połączył nikt takiej doskonałości śpiewu z taką tkliwością i wyrazem. Jakież łzy wyciska z oczu! Jakież zamęt wnoszą w duszę! Byłam w pół przytomna; nigdy nic nie zostawiło mi głębszego, przenikliwszego, nawet bardziej rozdzierającego wrażenia; ale byłabym pragnęła słuchać, zasłuchać się na śmierć. Och! o ileż śmierć taka byłaby lepszą od życia!

LIST L

Sobota rano, 3 września 1774

To pewna, że, jeżeli co sobie wyrzucam, to nie tę *suchą* i *zimną* kartkę, na którą pan odpowiada: była ona wiernym wyrazem uczucia, które mnie ożywiało wówczas i które, mam nadzieję, już mnie nie opuści. To co sobie wyrzucam, czego nienawidzę, co mnie przejmuje wstrętem do samej siebie, to nadmiar słabości, który mnie jeszcze raz pociągnął ku tobie. Powiedziałam, że pana kocham; znajdowałam w tym rozkosz; cóż za złowroga trucizna! I oto, ja nieszczęśliwa, skazana jestem na to, aby jęczeć i jedynie ze zgrozą obracać oczy na dni minione od chwili, gdy cię ujrzałam po raz pierwszy. W istocie, gdyby nie pan, nie byłabym poznała najokrutniejszego z cierpień: wyrzutu. Gdyby nie pan, nie byłabym może pastwą rozdzierających żalów, nie byłabym skazana na to, aby wylewać krwawe łzy nad wspomnieniem przyjaciela, wyrzucając sobie przy tym, iż zatrulałam jego ostatnie godziny. Truciznę, którą ty sączyłeś w mą duszę, ja przelewałam w niego. Poznał pierwszy raz wątpienie; przechodził od niepokoju do obawy; listy jego, równie jak serce, były pełne zamętu i boleści. I to ty zadałeś najokrutniejsze cierpienie najszlachetniejszemu w świecie i najbardziej godnemu miłości człowiekowi. Och! do jakiego stopnia oszołomiłeś mnie i pchnąłeś poza granice cnoty, a nawet wszelkiego osobistego interesu! Tak, przypominam sobie, ważyłam się hodować ohydny zamiar, gotowałam się zadać śmierć sercu miłego, opuścić go, przestać go kochać tak, jak pragnął, jak zasługiwał, abym go kochała! I to poświęcenie, mój Boże, dla kogo? Dla człowieka, który nigdy nie był moim i który jest na tyle okrutnym i brutalnym, aby mi powiedzieć, iż uczynił ze mnie swą ofiarę, nie kochając mnie! Okłamał mnie, oszukawszy tysiąc razy, znajduje barbarzyńską przyjemność w tym, aby mi rzucać w oczy prawdę, która mnie kała i przejmuje rozpaczą. Nieba, i nie ma na to pomsty! Trzeba poprzestać na tym, aby nienawidzić i umrzeć! Znalazłeś tedy moc zatrzymania mnie przy życiu jedynie po to, aby mi lepiej dać uczuć całą jego ohydę? Umierałam dla pana de Mora, a ty kazałeś mi żyć dla siebie; ja byłabym odpokutowała swą zbrodnię, idąc w grób w jego ślady, ale pan nie dokonałeś jeszcze dzieła; trzeba było dopełnić miary mych nieszczęść. Więc dobrze, bądź zadowolony, nic

już nie brakuje. Uczyniłam nieszczęśliwym człowieka, który żył tylko dla mnie; naraził życie, wyrwał się rodzinie, przyjacielom, którzy go ubóstwiali: przybywał, jak powiadał, ogrzać serce, które oddalenie ostudziło, ożywić duszę, którą zmroziło nieszczęście. Ten zamiar dał mu siłę, aby się dowlec do Bordeaux, gdzie go czekała śmierć. I to ja, a raczej pan wydałeś nań wyrok. Nie sposób tego sobie ukrywać: obecność twoja, przymus kochania ciebie odwróciły mnie od tej okropnej prawdy; nosiłam ją w głębi duszy, często rozdzierała moje serce; ale widziałam, kochałam ciebie, łudziłam się co do ciebie, co do siebie samej. Nie spodziewałam się już spokoju ani szczęścia, ale widząc cię znowu, znajdowałam upojenie; tymi czarami usypiałam swoje żale, uśmierzałam krzyk sumienia. Ten stan musiał się rozwiązać bardzo szybko; rodził się ze złudzenia, które wymykało mi się z rąk, wówczas nawet kiedy się nim poiłam. Aby się usprawiedliwić we własnych oczach, musiałam sobie powtarzać, iż jeżeli mnie pociągnął twój urok, przywiązała mnie twoja szlachetność, charakter. Kształtując cię na tę modłę, byłam wprawdzie słabą i niewierną, ale byłam mniej winną; odczuwałam jedynie nieszczęście nieuniknionej straty; wyrzuty, które sobie czyniłam, mogły się ukoić pod wpływem twego uczucia.

Oto złudzenie, które mnie broni, które mnie podtrzymuje od trzech miesięcy. Nie chciałeś mi go zostawić; pilno ci było odzyskać tę trochę swobody, którą poświęciłeś potrzebie oszukiwania mnie. Całe moje uczucie nie nagradzało ci dostatecznie trudu, który sobie nałożyłeś. Mniejsza, za jaką cenę postanowiłeś mnie oświecić; i oto wtrącając mnie w otchłań nieszczęścia, nie pozostawiając mi nic prócz rozpacz, powiadasz, że winnam mieć dla ciebie *pobłażanie*, chwalisz *delikatność* swego uczucia, które kazało ci oszukiwać mnie i kłamać od rana do wieczora! Och, Boże, jakże okrutnym jest słyseć usprawiedliwienie, które jest dla mnie jedną zniewagą więcej! Ta namiętność, która — jak twierdzisz — wciąż sprowadza cię z powrotem ku przedmiotowi odpowiadającemu jej tak mało⁵², ta namiętność tak silna, tak niezależna od woli, pozwoliła ci wszelako upewniać kogoś, że nie kochasz już tej kobiety i że serce twoje jest tak swobodne, tak wyzwolone z wszelkiego uczucia, iż obecnie twoim najwyższym pragnieniem byłoby ożenić się. W jaki sposób pogodzisz to wszystko? Czy to tylko niestałość, czy może wchodzi to już w granice fałszu? Nie siłę się oszczędzać pana; chcę przynajmniej pokosztować tego zadowolenia, iż powiem ci całą swą myśl; nie mam nic do stracenia w stosunku do pana, a co więcej nie chciałabym nic zachować. Toteż przypuszczam gorsze. Widzę je, wierzę w nie i jestem dość silna, aby je znieść. Zgub pan ten list wedle swego zwyczaju lub zachowaj go, jeśli wolisz, aby go odczytać osobie, która ci jest tak droga i dla której masz tyle względów. Słowem, zrób z tego, co mówię, użytek, jaki ci się spodoba. Niczego się już nie lękam od pana. Byłeś dla mnie naprawdę niebezpieczny jedynie wówczas, gdy mogłam wierzyć w twoje serce i uczciwość. Żegnaj pana, jeżeli kiedyś zdołam obudzić w tobie nieco żalu i dać ci poznać udrękę wyrzutów, będę pomszczona.

LIST LI

Czwartek, 15 sierpnia 1774

Może nie przeczyta pan nigdy tego, co piszę w tej chwili; może otrzymasz ten list bezzwłocznie: sądzę, iż odpowiedź, jakiej oczekuję w sobotę rozstrzygnie o spaleniu lub wysłaniu tego listu. Posłuchaj mnie: mam uczucie, iż wszystkie namiętności mojej duszy uśmierzyły się; wróciła oto, wróciła znowu do swego pierwszego i jedyne go przedmiotu. Tak, nie łudzę się: wspomnienia moje, żale nawet, są mi bardziej drogie, bliskie i święte niż gwałtowne uczucie, które miałam dla pana i pragnienie, które odczuwałam, abyś ty je podzielił. Skupiłam się; weszłam w siebie, osądziłam się i ciebie także; ale wydałam wyrok jedynie na siebie; ujrzałam, iż chciałam niepodobieństwa: być kochaną przez ciebie. Przez niesłychane, nieprawdopodobne szczęście najbardziej tkliwa, doskonała i urocza istota, jaka istniała kiedykolwiek, oddała mi, poświęciła swą duszę, myśl, całe jestestwo. Mimo iż tak bardzo niegodna wyboru i daru, który mi uczyniono, napawałam się nim ze zdumieniem i zachwytem. Kiedy mówiłam mu o olbrzymim oddaleniu, które świat

⁵²Ta namiętność, która (...) sprowadza cię z powrotem ku przedmiotowi odpowiadającemu jej tak mało — mowa o pani de Montsaugue. [przypis tłumacza]

stworzył między nami, raniłam jego serce, rychło przekonywał mnie, iż skoro go kocham, wszystko między nami jest równe. Nie, nigdy piękność, urok, młodość, cnota, nie znalazły słodyczy i upojen takich, jakimi pan de Mora mógłby być sycić moją miłość własną: ale on widział moją duszę, uczucie, które ją napeniało i odrzucał bardzo daleko zadowolenia miłości własnej.

Mówię ci to wszystko nie przez słabość, która byłaby zbyt głupia i zbyt niegodna żalu, jaki rozdziera me serce, ale aby się usprawiedliwić przed tobą, tak, usprawiedliwić. Byłam występna, oddałam się tobie cała. Kochałam cię do zapamiętania i to wszystko nie usprawiedliwiło snadź w twoich oczach pragnienia, które ośmieliłam się żywić, abys ty podzielił me uczucia. Ta pretensja musiała się panu wydać szalona. Ja, przywiązać człowieka w twoim wieku, który do wszystkich uroczych przymiotów łączy talenty, dowcip zdolne uczynić go przedmiotem zabiegów wszystkich kobiet mających najwięcej praw po temu, aby podobać się, pociągnąć, przykuć! Mój przyjacielu, wstydzę się bez granic na myśl, do jakiego stopnia ambicja moja musiała ci się wydać ślepa i bezrozumna. Tak: oskarżam się o to z boleścią; pociąg, któryś we mnie budził, moje wyrzuty, uczucie pana de Mora, wszystko to razem wpędziło mnie w błąd, którym się brzydzę; muszę bowiem panu wyznać, myślałam więcej jeszcze, byłam przekonana, że ty możesz mnie pokochać, i to tak szalone, tak próżne mniemanie pociągnęło mnie w przepaść. Późno, bez wątpienia zbyt późno jest, aby się ocknąć z mego obłąkania: brzydzę się nim, a gardząc sobą, powinna bym pana nienawidzić; w istocie, rozpętałeś we mnie straszliwe uczucie. Napisałam nawet do pana w tym usposobieniu; był to ostatni objaw i ostatni wysiłek namiętności, która mną miotła.

Daleka jestem od tego, aby sobie przypisywać zasługę odzyskanego spokoju: i to dobrodziejstwo zawdzięczam człowiekowi, którego ubóstwiałam. Nie będę tłumaczyła wszystkiego, co zaszło we mnie w ubiegłych dwóch tygodniach; wystarczy, jeżeli powiem, że nie poznaję sama siebie. Już nie myśl o panu mnie zaprzęta i gdyby wyrzut nie mieszkał tuż obok mej boleści, sądzę, iż byłby pan bardzo daleko ode mnie. Nie znaczy to, by kiedykolwiek miała zgasnąć przyjaźń moja dla pana i troska o twoje szczęście; ale będzie to uczucie umiarkowane, zdolne, jeśli je odwzajemnisz, dać mi zakosztować paru chwil słodyczy, nie mącąc nigdy ani nie dręcząc mej duszy. Och! jakież okropności ją wypełniały! Wydaje mi się cudem, iż nie uległam rozpacz, do której mnie doprowadziłeś. Zadrżałbyś od zgrozy, gdybym ci powiedziała, czegom próbowała i dzięki jakiemu nieszczęsnemu ratunkowi mój oplakany los chce, bym oddychała jeszcze! Ale nie żałuję niczego; to wstrząśnienie, podcinając mój organizm, skrzepiło mą duszę: pozostała tkliwa, ale wolna od namiętności; nie znam już ani nienawiści, ani zemsty, ani... Boże, jakież słowo miałam wymówić! Wiąże się ono w mej myśli już tylko ze wspomnieniem pana de Mora. Ach! będę mu winna jeszcze to, co moje serce zazna najbardziej pocieszającego i słodkiego: żal i łzy.

Wszystkie szczegóły, które mi pan przesłał, oblałam łzami; dziękuję za nie, winna panu jestem wzruszenie miłsze mi od wszelkiej słodyczy, która by nie płynęła z myśli o panu de Mora.

Przeczytałam, odczytałam wiele razy listy pana z Bordeaux i ów z 8, z Montauban. Żal mi pana szczerze, iż dręczysz się i niepokoisz bez koniecznej przyczyny; ale w zamian za to takie nieokreślone cierpienia mijają rychło, przynajmniej mam tę nadzieję, jako iż pragnę z całej duszy pańskiego spokoju i szczęścia. Nie mogłam ich zamącić; ale pańska szlachetność cierpiała może na myśl o złem, które mi wyrządziłeś. Przebaczam panu z serca: zachowaj wspomnienie, nie mów mi o tym nigdy i pozwól mi wierzyć, iż jestem w twych oczach bardziej jeszcze nieszczęśliwą niż występna. Och! nie masz obowiązku wierzyć mi, a straciłam prawo przekonania pana o tym, ale śmiałybym niemal powiedzieć jak Jan Jakub: „Dusza moja nie była nigdy stworzona do upodlenia”. Mocna, czysta namiętność ożywiła ją zbyt długo; ten, który był jej przedmiotem, był zbyt cnotliwy, miał zbyt wielką, zbyt wzniosłą duszę, aby chcieć panować w mej duszy, gdyby była licha i godna wzgardy: jego wybór, jego uczucie dla mnie, wznosiły mnie aż do niego. Mój Boże, jakże spadłam! Jakże nisko się osunęłam! Ale on nie wiedział o tym. Nieszczęście moje jest straszne; on byłby je podzielił; umarł dla mnie, byłabym mu kazała żyć boleścią. Och, przyjacielu mój, jeśli w siedzibie zmarłych możesz mnie usłyszeć, bądź

tkliwy na mą boleść, na mój żal! Byłam występna, obraziłam cię, ale czyż rozpacz moja nie okupiła winy? straciłam cię i żyję, tak, żyję; czyż nie dość jestem ukarana?

Niech mi pan daruje odruch mój ku przedmiotowi, za którym chciałabym podążyć. Bądź zdrow. Jeżeli dostanę wiadomość od pana w sobotę, dodam słówko! ale przebaczam panu z góry wszystko, co mogłeś mi powiedzieć obrażającego, i odrzekam się wszystkim, co mi zostało siły i rozsądku, tego, co napisałam w konwulsjach rozpacz.

Dziś oto składałam w twoje ręce wyznanie wiary: przyrzekam, zobowiązuję się nie wymagać, nie żądać od pana nic. Jeżeli zachowasz przyjaźń dla mnie, będę się nią cieszyła w pokoju i z wdzięcznością, a gdybyś nie miał uznać mnie jej godną, zasmucisz mnie, ale nie wydasz mi się niesprawiedliwym. Bądź zdrow, miły mój: to przyjaźń daje ci to miano: jest tym droższe memu sercu, odkąd nie może go zamącić.

Sobota, jedenasta wieczór

Oto pańska odpowiedź: taka, jak mogłam pragnąć: chłodna i umiarkowana. Mój przyjacielu, widzę, że się porozumiemy; dusza moja zgodna jest z tonem twojej. List mój nie obraził cię; osądziłeś go z pewnością doskonale. Miałeś nade mną przewagę człowieka rozsądnego nad istotą wydaną na pastwę namiętności; zachowałeś zimną krew, a ja byłam w stanie szaleństwa. Ale była to ostatnia kryzys⁵³ straszliwej choroby, z której lepiej by było umrzeć niż wyleczyć się, ponieważ gwałtowność tej gorączki kruszy i podcina siły nieszczęśliwego chorego, nie pozwalając mu obiecywać sobie słodczy rekonwalescencji. Ale dosyć już, za wiele bez wątpienia o tym, co nazywasz mymi *niesprawiedliwościami*, a twoją *szlachetnością*.

Mój przyjacielu, czy wiesz, co jest szlachetne? To, że nie zniszczyłeś tych sześciu czy siedmiu stron, które napisałeś, nim otrzymałeś list mój z 4 września. Jakąż wyższość posiada rozsądek nad namiętnością! Jak on miarkuje postępowanie! Rozlewa spokój na wszystko; słowem, posiada do tego stopnia sekret *miary*, że winna ci dziś jestem dzięki i za to, co mówisz, i za to, czego nie mówisz.

Mój przyjacielu, twój list z piątku jest miły, łagodny, uprzejmy, rozsądny, posiada ton i czar ufności: ale jest smutny i przykro mi, że to jest stan twojej duszy. Nie znajduję w sobie środków rozerwania cię; nie mam nawet siły rozmawiać z tobą dziś wieczór; czuję się zbyt cierpiąca. Jeżeli potrafię, wrócę do twego listu wtorkowym kurierem. Bądź zdrow. Czy nie czekasz już wiadomości ode mnie?

LIST LII

Poniedziałek wieczór, 19 września 1774

Chcę pisać do pana. Chciałabym panu odpowiedzieć. Jeżeli chybię jutrzejszego kuriera, trzeba mi będzie czekać do soboty, a jednak dusza moja jest martwa. Odczytałam pański list; myślałam, że mnie ożywi; otóż wcale nie. Czuję się straszliwie jałowa; gdybym szła za popędem, oto co bym odpowiedziała: wszystkie uwagi pańskie o twej obecnej sytuacji są bardzo rozsądne, ale jeżeli się pan zaprzęta przyszłością, więcej może ona budzić w tobie nadziei niż obawy. Zdaje mi się, że nigdy ludzie z wartością nie mieli takich widoków przed sobą; że posiadając charakter, wiedzę i talent, mogą zabiegać się o wszystko. Nie jest to zatem chwila, aby się zniechęcać, ale raczej aby z całą ufnością pospieszyć, nie żądać łask, ale dać się poznać i upomnieć o słuszne prawa.

Co się tyczy owych przewrotów w zakresie majątków ziemskich, trudno mi uwierzyć, aby pan Turgot mógł w jakiej bądź mierze aprobować lub wprowadzić w życie projekty księdza Terray. Gdyby jednak jakimś cudem w istocie zamierzył działać wedle tego planu, pan de Vaines miałby możliwość oddania panu przysług, nie wprost, ale przez swój wpływ u pp. Boutin i de Beaumont, intendentów mających wydział posiadłości ziemskich. Pan de Vaines zrobiłby co w jego mocy; ma dla pana zupełnie osobliwą sympatię; ile razy mnie spotka, pyta o pana. W dzień pańskiego wyjazdu, otrzymałam odeń bilecik mieszczący te słowa: „Błagam o wiadomość o pani, jak również o p. de Guibert; ten człowiek bardzo interesuje wszystkich, którzy miłują duszę gorącą, szczerą i w każdym kierunku rwącą się

⁵³ostatnia kryzys — dziś. r.m.: ostatni kryzys. [przypis edytorski]

ku chwale”. Chciałam panu przesłać te słowa, a później oderwały mnie od tego myśli, które nie zostawiają miejsca na nic innego. Powinien by pan napisać do pana de Vaines, nie z powinszowaniem losu, który go spotkał: — to zupełnie przeciwnie — poświęcił własny interes przyjaźni swej dla pana Turgot i umiłowaniu publicznego dobra. Słowem, poniosło go pragnienie współdziałania w tym szlachetnym dziele, żądza czynu właściwa cnocie; ale opamiętawszy się nieco, ujrzał, iż wziął na barki straszliwy ciężar.

Nie zwalczam pańskich zamysłów na przyszłość: przyszłość nie istnieje dla mnie; wedle tego łatwo panu pojąć, że nie mogę się zbyt przejmować przewidywaniami lub obawami za drugich. Na ogół, sądzę, iż lepiej pan uczyni, nie żeniąc się na prowincji. Zapewne byłby to sposób ustalenia wszystkich pańskich niepokojów; ale zarazem byłoby to nieszczęście, które by pana zbawiło największego dobra, to jest nadziei. Ale, doprawdy, nie pojmuję, że nie znajdujesz dosyć siły, aby znieść ciężką dolę; Paryż jest miejscem na świecie, gdzie można być ubogim z najmniejszą przykrością; jedynie nudziarze i głupcy muszą być bogaci. Widzi pan, że to szaleństwo myśleć, że trzeba objechać ziemię, aby stworzyć dobre dzieło. Zaczynj je, bądź co bądź, a nim skończysz, będziesz może dość bogatym, aby podróżować. Słowem, chciałabym, abys patrzył na brak majątku jako na kłopot, a nie klęskę. Mój przyjacielu, gdybym spoglądała na świat z księżycy, wołałabym twój talent od bogactw pana Beaujon: wołałabym pęd do wiedzy niż rangę wielkiego koniuszego Francji. Słowem, będąc skazana na życie i nie mogąc wybrać losu uczciwego kmiotka gdzieś w Normandii, chciałabym mieć umysł i talenty pana de Guibert; ale też chciałabym, aby mi pozwolono z nich więcej czynić użytku.

To, co pan mówi o siostrzeńcach, jest bardzo troskliwe i zacne, ale, mój przyjacielu, oto znowu dręczysz się przyszłością. Obecnie dzieciom tym jest dobrze: widzisz, co mogą stracić, i to cię dręczy; może uda się im uniknąć trosk życia: a wreszcie jeżeli będą czymś przeciętnym, jak zawsze można raczej przypuszczać na tym świecie, czemuż dziewczynka nie miałaby być szczęśliwa w klasztorze, zwłaszcza jeżeli się nie używa żadnej przemocy, aby ją skłonić do tego. Los chłopca jest o wiele mniej kłopotliwy. Wiesz lepiej ode mnie, że kolegia na prowincji są równie dobre albo równie złe co w Paryżu; a wreszcie po to, aby wstąpić w szesnastym roku do wojska, w istocie obojętnym jest, czy się ktoś chował w Bordeaux czy w Paryżu. Jakież my mamy fałszywe pojęcia o najważniejszej sprawie w życiu, o szczęściu! Och, dobry Boże! czyliż to ostrząc dowcip, rozszerzając wiedzę, zapewnia się szczęście jednostki? Wierzę zresztą, że na ogół to może być użyteczne; ale czemuż chcesz koniecznie, aby siostrzeniec, który może wcale nie będzie błyszczał inteligencją, był szczęśliwy na twój sposób? Czuję dobrze, że odpowiadam bardzo sucho, głupio na wszystkie szczegóły, w które zapuszcza się pańska przyjaźń i wylanie, ale cóż począć? Nie przychodzi mi nic, dusza moja jest pustynią, głowa pusta jak latarnia. Wszystko, co mówię, co słyszę, jest mi nad wyraz obojętne. Mogłabym dziś rzec jak ów człowiek, któremu zarzucano, iż się nie zabija, skoro jest tak oderwany od życia: *Nie zabijam się, ponieważ jest mi obojętne żyć lub umrzeć*⁵⁴.

To nie jest zupełnie prawdą, ponieważ cierpię i śmierć byłaby mi ulgą; ale nie mam energii.

LIST LIII

Wtorek 20 września 1774, szósta rano

Aby nagrodzić płaskość i oschłość wczorajszego listu, wpadłam na myśl posłania panu dwóch świstków Woltera oraz *Pochwały Catinata*, którą przeczytałam z tą samą przyjemnością, z jaką jej wysłuchałam. Niech pan zauważy, że nie przesadzam w pochwałach; toteż będzie pan miał pełną swobodę zachować własne zdanie i uważać za lichotę to, co mnie się zdało dobre. Za kilka dni ukaże się edykt o wewnętrznym obrocie zbożem: będzie umotywowany; forma ta jest nowa i sądzę, że powinna przypaść do smaku ogółowi, hultaje bowiem i ludzie stronnicy zawsze znajdują dość do krytyki.

⁵⁴rzec, jak ów człowiek, któremu zarzucano, iż się nie zabija (...) — odpowiedź Talesa z Miletu (por. Diogenes Laertios, *Tales z Miletu [w:] Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, I, 35–36), pannie Lespinasse znana być może z przytoczenia w *Próbach* Montaigne'a (rozdział XIX). [przypis edytorski]

Powiadano wczoraj, że arcybiskupstwo Cambrai ma przypaść kardynałowi de Bernis i że ks. de la Rochefoucauld pójdzie do Rzymu. Oto o czym rozmawiano wczoraj u mnie przy kominku i gdybym wymieniła osoby, które były obecne, uznałby pan, że jeżeli wiadomość nie okaże się prawdziwą, nie jest przynajmniej niedorzeczna. Kawaler de Chastellux, którego widuję często, ale zawsze w przelocie, nie miał czasu spytać mnie o pana; jest bardziej rozerwany, bardziej pochłonięty i bardziej w pogoni za wszystkimi możliwymi książkami niż kiedykolwiek. Dzisiaj jest w Breteche⁵⁵; tam z pewnością zasięgnie nowin o panu; gdy ktoś posiada takt i obycie, trafia zawsze w ton i myśl osób, z którymi przebywa.

Pan d'Alembert i hrabia de Crillon wspominają często o panu; zwracali się do mnie, pytając o wiadomości; na przyszłość mnie to trzeba będzie zwracać się do nich, nie będziesz już bowiem do mnie pisał, nieprawdaż? Mój Boże, jakimż namiętność jest szaleństwem! Jakaż jest głupia! Od dwóch tygodni przejmuję mnie ona głębokim wstrętem. Ale też trzeba być sprawiedliwym i przyznać, iż uwielbiając spokój i rozsądek, ledwie że istnieję. Mam właśnie tyle sił, ile trzeba, aby czuć swoje unicestwienie; organizm mój, dusza, głowa, całe *ja* jest w stanie wyczerpania, a stan ten nie jest mi zbyt przykry, mimo że jest dla mnie nowy.

Dobranoc, mój przyjacielu, mimo bowiem że jest już bardzo rano, jeszcze nie spałam. Nigdy nikomu nie przyszło do głowy pisać o śnie, jego wpływie na ducha i na uczucia. Ci, którzy zgłębiali naturę, nie powinni zaniedbywać tej tak zajmującej części życia ludzi nieszczęśliwych. Ach! gdyby się wiedziało, ile brak snu może przymnożyć cierpień, pierwszym pytaniem, które by się zadawało, przystępując do kogoś cierpiącego i nieszczęśliwego, byłoby zawsze: *Czy sypiasz?* A drugim: *Ile masz lat?*

LIST LIV

Zaczęty we czwartek 22 września 1774

Lżij mnie: najsroższych imion z ust twych się nie boję;
Straszne mi jest milczenie, nie zniewagi twoje.

Mój przyjacielu, gdybym żyła namiętnością, twoje milczenie przyprawiłoby mnie o śmierć; gdybym miała tylko miłość własną, zraniłoby mnie, zniechęciłabym cię z całej siły: i oto żyję, i nie nienawidzę cię. Ale nie kryję, iż przekonałam się z przykrością, choć bez zdziwienia, że to jedynie mój pęd porывał pana. Musiałeś mi odpowiadać, ale nie umiesz mówić do mnie. Kiedy myślisz, że moje uczucie wygasło, nie czujesz żalu i nie znajdujesz w sobie nic, co by ci dawało prawo upominać się o to, coś stracił. Otóż, mój przyjacielu, jestem dość spokojna, aby być sprawiedliwą; uznaję pańskie postępowanie, mimo iż sprawia mi przykrość; szanuję w panu to, iż nie starasz się przesłonić prawdy. I w istocie, na cóż byś się uskarżał? Zdjęłam ci ciężar. Okropne jest być przedmiotem uczucia, którego człowiek nie może podzielać: cierpi i zadaje ból. Kochać i być kochanym to szczęście niebios; kiedy się je poznało i straciło, zostaje jedynie umrzeć. Dwie rzeczy w naturze nie znoszą mierności: wiersze i... ale nie ludzę się: uczucie, które miałam dla pana, nie było doskonałe. Najpierw musiałam je sobie wyrzucać, było mi zgryzotą; a potem nie wiem, czy to niepokój sumienia sprawił przewrót w mej duszy i odmienił zupełnie mą naturę i sposób kochania, ale doznawałam bez ustanku uczuć, którymi się brzydziłam: poznałam zazdrość, niepokój, nieufność; obwinałam cię bez ustanku; zmuszałam się, aby się nie skarżyć, ale ten przymus był mi okropny. Słowem, ten sposób kochania był tak obcy mej duszy, iż stał się dla niej męczarnią.

Mój przyjacielu, kochałam cię nadto i nie dosyć: tak więc zyskaliśmy oboje na zmianie, która zaszła we mnie. To ani twoje dzieło, ani moje. Widziałam jasno przez chwilę i w ciągu mniej niż półgodziny odczułam ostatni kres bólu, zgasłam i zmartwychwstałam; a co niepojęte, to iż, przyszedłszy do siebie, odnalazłam już tylko pana de Mora. Wyczerpanie mego mózgu wymazało zeń wszelki inny ślad: i niechże kto mówi potem

⁵⁵Breteche — posiadłość pani de Montsaugue. [przypis tłumacza]

o spirytualnym charakterze duszy, o jej nieśmiertelności, och, biedny automat! Ty, mój przyjacielu, który kwadrans przedtem wypełniałeś całą mą myśl, przez więcej niż dwadzieścia cztery godzin nie nastęczyłeś się jej ani razu; a później spostrzegłam, że moje uczucie jest tylko wspomnieniem.

Przetrwalam kilka dni, nie odnalazszy siły cierpienia ani kochania; później odzyskałam wreszcie ten rozsądek, który pozwala oceniać wszystko mniej więcej słuszną miarą. On to daje mi uczuć, że jeżeli nie mogę już oczekiwać słodczy, nie trzeba mi się też obawiać zbytich nieszczęść. Odnalazłam spokój, ale nie łudzę się, to spokój śmierci. Za jakiś czas, jeżeli będę żyć, będę mogła powiedzieć jak ów człowiek, który żył samotnie od trzydziestu lat i czytał tylko Plutarcha; pytano go, jak się czuje: *prawie tak szczęśliwy, jak gdybym już umarł*, odpowiedział. Oto mój stan: nic z tego, co widzę, co słyszę, co czynię, co mam uczynić, nie może ożywić mej duszy nawet chwilowym zainteresowaniem; ten sposób istnienia był mi zupełnie nieznan. Jedną tylko rzecz w świecie sprawia mi przyjemność: to muzyka, ale to jest przyjemność, którą kto inny nazwałby cierpieniem. Chciałabym słyszeć dziesięć razy na dzień tę melodię, która mnie rozdziera i która daje mi się napawać wszystkim, co oplakuję.

Straciłem moją Eurydykę etc.

Chodzę bez ustanku na *Orfeusza*, sama. We wtorek jeszcze powiedziałam wszystkim, że wybieram się z wizytami, i poszłam zamknąć się w tej łóżce, którą znasz, gdzie jest *dobra kanapka*. Wróciwszy do domu wieczór, zastałam bilet hrabiego de Crillon; donosił mi, że miał poprzedniego dnia list od pana. Oczekiwałam go nazajutrz i spotkałam szczęśliwie u pani Geoffrin. Przeczytał mi pański list; wspominasz o mnie i wracasz do tego aż trzy razy: to bardzo uprzejmie, ale to jest zimniejsze, niż gdybyś mnie wcale nie wymienił. Ale rada jestem; takim właśnie pana pragnę. Mój Boże, jakże bym mogła wybredzać! Ja, która nie umiem, nie jestem zdolna już kochać inaczej, jak tylko z rozsądkiem i umiarkowaniem, których nigdy nie znałam!

Widziałam pana Turgot i mówiłam mu o obawach pańskich co do domen. Odpowiedział, że nic jeszcze nie postanowił, że pan de Beaumont, intendent finansów, zajmuje się tym i że na razie towarzystwom, które ksiądz Terray potworzył w tym celu, zabroniono wszelkiego działania. Pan Turgot upewnił mnie, że z chwilą, gdy otrzyma informacje od pana de Beaumont, powie mi, czy coś zamierzono lub postanowiono co do domen; ale na ogół ręczy mi, że będzie miał wielkie poszanowanie dla własności. Nie poprzestałam na tym; przedstawiłam pańską sprawę panu de Vaines, który odpowiedział wręcz: *Niech będzie zupełnie spokojny; projekt księdza Terray nie uzyska nigdy aprobaty pana Turgot; ręczę za to*. Oto, mój przyjacielu, dwie odpowiedzi, które mogą cię upewnić, a mimo że nie są równobrzmiące, znaczy to, o ile mi się zdaje, jedno i to samo. Posyłam ci wyrok, o którym już wspominałam; dołączam list pana de Condorcet, który tak mi się podobał, że dałam go skopiować. Drogi mój, nie dziękuj mi za pamięć, z jaką posyłam ci to, co mi zrobiło przyjemność; to nie dla ciebie, ale aby usłyszeć, co powiesz o tym, zostało mi bowiem wiele sympatii do twego umysłu: jest celny i prosty zarazem. Bądź zdrów.

LIST LV

Piątek 23 września 1774

Drogi mój, znęcam się nad tobą, piszę do ciebie, zasypuję cię listami. To jedyne zajęcie, które pozwala mi wierzyć że żyję jeszcze. Jakkolwiek sędzę, że być zupełnie umarłą jest lepszym stanem, mimo to gdy cierpię, miło mi zwrócić się jeszcze ku tobie. Jeżeli mnie nie zrozumiesz, usłyszysz przynajmniej, odpowiesz; ach, jak smutno nie mieć listu. Oto dwa kuriery przepadły: poniedziałek i środa i to ja sama wyrządziłam sobie tę krzywdę, mimo bowiem że nie kochasz mnie, byłbyś nadal pisywał regularnie. Ha! dobry Boże, jakież szaleństwo mnie ogarnęło! Kochałam cię i nienawidziłam z istną furią: był to bez wątpienia ostatni spazm duszy, która miała zamrzeć na zawsze; od tego bowiem czasu nic o niej już nie słyszałam, nie wiem, co się z nią stało. Sądziłam, że napiszesz we środę do pana d'Alembert: za powrotem do domu, pierwszym mym słowem było pytanie, czy

nie miał listu. Nie umiał odpowiedzieć, ma bowiem roztropny zwyczaj otwierać listy dopiero rano. Przekonałam się natychmiast, że nie ma nic od ciebie, i stan mój pogorszył się tak dotkliwie, że musiałam się uciec do kojących środków. Wreszcie siłą rozsądku i rozumowania osiągnęłam nie to, aby się nie troszczyć, ale aby się nie dręczyć. Czemu powiadasz, że dostajesz listy tylko raz na tydzień, kiedy poczta przychodzi do Paryża trzy razy? Ale na co mi się to zda, jeśli do mnie nie piszesz, jeżeli w sobotę będzie to samo co w poniedziałek i we środę? Jedyne obojętność jest niema: gdybyś miał do mnie żal, gdybyś mnie nienawidził, sprawiałoby ci przyjemność mówić mi to. Słowem, musiałeś wydać na mnie wyrok, skoro nie czujesz potrzeby wytoczenia mi sprawy.

Dałam właśnie panu de Vaines paczkę dla pana. Weźmiesz mnie za wariatkę, znajdując w niej „Gazetę Francuską”; ale jest tam artykuł, który będzie panu po myśli. Jak nie odczuwać ulgi, widząc, iż dozna jej tylu nieszczęśliwych? Jedyne już tylko ten rodzaj zainteresowania dociera do mej duszy. *Nieszczęście*, och! słowo to ma wielką władzę nade mną. Zdaje mi się, pisałam panu, że byłam ostatnimi dniami z panią de Chatillon u Inwalidów. Wysłałam złamana: nie mogłam uczynić kroku, aby nie ujrzeć najboleśniejszego widowiska: ślepi, okaleczeni, twarze przerażające ranami, potrzaskane szczęki... Och, Boże, mówiłam sobie, wszystko, co oddycha tutaj, cierpi i to nie są cierpienia wyobraźni; to nie są ludzie, którzy się kochają, którzy się dręczą, to nie brak listów: to nie są nawet żale, iż się straciło to, co było najbardziej drogie; to cierpienia fizyczne, które po równi przygniatają wszystkich ludzi. Mój przyjacielu, wszystkie te refleksje rozdzierały mnie, powiadałam sobie: jestem tedy jeszcze nieszczęśliwsza niż wszyscy, mogłabym bowiem pocieszyć, ukoić, wesprzeć tych nieszczęśliwych mą opieką, zainteresowaniem, oni zaś nic nie mogą dla mnie; nie znają nawet języka mąk, które cierpię. Jedyne człowiek, który mógłby mnie pocieszyć, to ten, który ciąży jeszcze nad mą boleścią; rozdziera mą ranę, a gdybym się skarżyła, nie słuchałby mnie. Oto, drogi mój, co mnie zaprzętało, podczas gdy pani de Chatillon chodziła, oglądała, wypytywała. Nie widziała nieszczęścia nigdzie, ponieważ nie miała go w duszy; była spokojna i ciekawa: doskonały stan, aby się bawić lub uczyć, a jedno i drugie jest już nie dla mnie.

Wiesz, że pan de Muiy żeni się w tych dniach z panną de Saint-Blancard, niemiecką kanoniczką, którą poznałeś może w czasie ostatniej wojny. Powiadają, że jest miła, że była ładna i że kocha pana de Muiy. To małżeństwo daje mi wyborne mniemanie o charakterze pana de Muiy: doskonały sposób użytkowania majątku. Hrabia de Broglie jest w Ruffec; czy to daleko od Montauban? Byłabym nierada, aby pan tam jechał; znów by roztrząsał panu głowę, a nie dałby żadnego środka, aby doprowadzić do skutku projekty, które by w panu rozbudził. Mój przyjacielu, trzeba się uspokoić, trzeba odwiedzać często pana de Muiy; trzeba, aby cię poznał, a jeśli ma rozum, zechce się wspomóc twoją wiedzą i talentem. Niech pan zwłaszcza sprowadzi z powrotem ojca; obecność jego będzie panu użyteczna, a zresztą jeżeli nadzieje jego fortuny mogą się poprawić, trzeba, aby był na widoku: ludzie nie zwykli szukać zasługi w ukryciu.

Pochwalam bardzo pańską odrazę do prowincji; ale wiesz to nie prowincja. Wolalabym raczej pobyt na wsi, sąsiedztwo chłopów niż „miasto” Montauban i godne towarzystwo, które je składa. Ale, mój Boże, w samym sercu Paryża jest tyle prowincjonalnych miasteczek, tylu głupców, tyle fałszywych wielkości! Wszędzie, we wszystkim *bonne* jest tak rzadkie, że nie wiem, czy nie jest wielkim nieszczęściem poznać je i uczynić zeń *swój chleb powszedni*. Można by powiedzieć o nawyku życia z rozumnymi i wyższymi ludźmi to, co la Rochefoucauld powiedział o Dworze: nie daje szczęścia, a uniemożliwia znalezienie go gdzie indziej. Oto dosłownie to, czego doświadczam za każdym razem, kiedy się znajduję w innym towarzystwie.

Mój przyjacielu, zgadnij, jeśli możesz, ale muszę ci powiedzieć, że to nie jest szczęście, że to nie jest przyjemność, że to nie jest nawet pociecha być kochanym — ale to mocno kochanym — przez kogoś, kto jest bardzo, ale to bardzo ubogi duchem. Och! jakże ja się nienawidzę za to, iż mogę kochać jedynie to, co jest wyborne! Jakże zrobiłam się trudna! Ale pomyśl, czy to moja wina, pomyśl, jakie wychowanie otrzymałam: pani du Deffand — co do rozumu bowiem godzi się ją przytoczyć — prezydent Hénault, ks. Bon, arcybiskup Tuluzy, arcybiskup Aix, Turgot, d’Alembert, ks. de Boismont, pan de Mora, oto ludzie, którzy mnie nauczyli mówić, myśleć i którzy raczyli liczyć mnie za coś. I jak tu potem ma mi zawrócić w głowie miłość takiego... Ale czy myślisz, że może kochać ktoś, kto nie ma

wcale albo bardzo mało mózgu? Widzę już, że uważasz mnie za pomyloną albo głupią; ale mniejsza. Wypisałam panu wszystko, co miałam na sercu. Dobranoc; zachowuję kącik miejsca, aby donieść jutro, że nie miałam od pana wiadomości. Miły mój, daruj mi: to mi się zdaje niemożliwe.

Sobota, po nadejściu poczty

Jesteś chory, masz gorączkę. Och, miły mój, to mnie nie tylko obchodzi, ale wręcz przeraża. Zdaje mi się, że przynoszę nieszczęście tym, których kocham. Mój Boże, gdyby mi trzeba było się lękać, gdyby mi trzeba przechodzić jeszcze niepokoje i rozpacz, które strawiły dwa lata mego życia, och, czemu nie pozwoliłeś mi umrzeć! Nie kochałeś mnie, a przykułeś mnie do siebie. W poniedziałek, ach, gdybym miała nie mieć wiadomości!...

LIST LVI

Poniedziałek, 26 września 1774

Drogi mój, chciałam wczoraj cały dzień pisać do ciebie, ale brakło mi sił. Cierpiałam tak, iż odjęło mi to zdolność mówienia i działania. Nie mogę już jeść; słowo *pożywienie* i *ból* stały się dla mnie synonimem. Ale o tobie chcę mówić, tobą jestem zajęta, o ciebie niespokojna. Niestety! chciałam w to wierzyć! I to jeszcze omyłka. Mimo że nie jestem już zdolna do odczuwania słodyczy i szczęścia, dusza moja posiada wciąż świeżą wrażliwość na ból, przeżywa wszystko, co ty cierpisz. Widzę cię chorym, wyrzucam sobie, iż przyprowadziłam cię o parę chwil smutku. Nie pochlebiam sobie, byś miał przywiązywać wielką wagę do mego uczucia ani do mnie, mogłam wszelako zmącić twój spokój i to mnie gnębi. Miły mój, to ty mnie nauczyłeś trapić, dręczyć tych, których kochałam. Ha! jak okrutnie jestem ukarana! Gdyby niebo mi przeznaczało... Ale krew mi się ścina, umrę przedtem. Ta myśl jest tysiąc razy okropniejsza od najprostszej śmierci. Chciałbyś się nie obudzić, i to ty, i to mnie zwierzasz tę odrazę do życia? Jakże inaczej brzmią słowa, które on pisał do mnie, umierając! *Miałem cię ujrzeć, trzeba umierać; cóż za okropny los? Ale tyś mnie kochała i myśl ta jeszcze napełnia mnie słodkim uczuciem. Umieram dla ciebie, etc., etc.* Mój przyjacielu, nie mogę kreślić tych słów, nie zalewając się łzami; dyktowało je najtkliwsze, najgorętsze uczucie, jakie kiedykolwiek istniało.

Nieszczęście, rozłąka, choroba, pokusy dwóch namiętnych kobiet, których był jedynym ukochaniem, nic nie mogło zachwiać ani ostudzić tej duszy z płomienia. Myślałam, że umrę wczoraj, czytając list pana de Fuentes⁵⁶. Donosi mi, że brat jego spalił wszystkie moje listy, nie oglądając ani wiersza; że boleść nie pozwoliła mu jeszcze oglądać niczego, co było drogim jego synowi: że zachowa dla mnie najtkliwszą, najżywszą wdzięczność za dowody przyjaźni, jakie dawałam zawsze panu de Mora; że podtrzymałam go w nieszczęściu i że chciałby ceną życia okupić wszystko, co jego syn był mi winien. Ośmiela się w jego imieniu, w imieniu tego syna, którego oplakuje, prosić mnie o jedną łaskę: mianowicie bym skłoniła pana d'Alembert, który był jego przyjacielem, aby napisał dlań wspomnienie żałobne. Pochwała ta uczci pamięć jego syna i stanie się pociechą niewielu dni, które mu zostały; odczyta ją rodzinie jako zaszczytną dla niej pamiątkę, która utwierdzi na drodze cnoty resztę jego dzieci. I ta tak wzruszająca prośba kończy się łzami. Och! Ileż ja łez nad nią wylałam! Mój Boże, uwielbiam pana de Fuentes; godny był mieć takiego syna. Cóż za strata, w istocie, i dla niego, i dla wszystkich, którzy go kochali! A mimo to żyjemy wszyscy! Ojciec jego; siostra i ja, bylibyśmy zbyt szczęśliwi, umierając w chwili, która go nam zabrała. Miły mój, użał się, miej litość nade mną; ty jeden w świecie możesz wsączyć kilka chwil słodyczy i pociechy w duszę śmiertelnie zranioną. Czuję to, obecność twoja uniosła nieco ciężar, który mnie przygniata; od czasu jak cię nie widzę, błąkam się, dusza moja zna już tylko krańce szaleństwa, możesz to osądzić po moim postępowaniu z tobą. Drogi mój, naprowadź mnie na dobrą drogę; bądź mym przewodnikiem; jeśli chcesz, abym żyła, nie opuszczaj mnie. Nie śmiem ci już mówić: kocham cię; sama już nic nie wiem. Sądź mnie. W zamęcie, w którym żyję, ty mnie znasz lepiej niż ja sie-

⁵⁶pan de Fuentes — ojciec pana de Mora. [przypis tłumacza]

bie. Nie wiem, czy to ciebie przyzywam czy śmierci. Trzeba mi oparcia, wyzwolenia od nieszczęścia, które mnie zabija.

Miły mój, jeżeli nie będę miała dziś wiadomości od ciebie, jeżeli bodaj nie dowiem się czego, nie wiem, jak doczekam środy. Cóż za straszliwe podobieństwo! środy i soboty... Żyłam jedynie po to, aby dobić do tych dwóch dni. I oto znów żyję w szaleństwie i w tym samym oczekiwaniu. Boże, czy ty pojmujesz, czy zdołasz ogarnąć wszystko, co ja czuję, co cierpię? Czy myślałby kto kiedy, że ja mogłam znać spokój! Otóż, drogi mój, prawdą jest, że żyłam dołą oderwana od myśli o tobie; a później trwałam wiele dni w zupełnej apatii; żyłam, ale miałam uczucie, że jestem *obok siebie*; przypominałam sobie, że miałam niegdyś duszę, która cię kochała; widziałam ją z daleka, ale już nie ożywiała mnie.

Niestety, jeżeli jesteś chory albo jeżeli jesteś jak *ten nieszczęśliwy, który nic nie kocha*, nie zrozumiesz mnie. Jeżeli ten język nie trafia do duszy, jest śmiertelnie zimny; trzeba mi będzie współczuć z nudą i znużeniem, o jakie cię przyprawiłam. Do widzenia, zamknę list dopiero po przyjściu poczty.

Drogi mój, nie bierz za dużo chin, szkodzi na piersi, a kiedy zanadto szybko leczy febrę, prawie zawsze sprowadza obstrukcje. Słowem, pamiętaj, że ci nie wolno zaniedbywać zdrowia: mój spokój, życie zależą od tego. Miły mój, powiedz, czy ja cię kocham, ty musisz znać się na tym; ja już się nie rozumiem na niczym. W tej chwili na przykład czuję, że namiętnie pragnę wiadomości od ciebie; czuję także, ale w sposób czynny, że potrzebuję umrzeć. Ciało moje cierpi od stóp do głowy; dusza w gorączce, a ciało rozbite. Z tej dysharmonii wynika nieszczęście i prawie szaleństwo. Ale trzeba przerwać. Bądź zdrow. Chciałabym wybiec naprzeciw listonosza.

Poniedziałek, godzina czwarta

Listonosz był. Pan d'Alembert nie miał listu, a wszakże poczta z Montauban przychodzi w poniedziałek, środę i sobotę. Mój przyjacielu, jestem bardzo nieszczęśliwa; albo jesteś bardzo chory, albo bardzo okrutny, aby mnie zostawiać w tej niepewności. Wiesz, czy moje zdrowie, czy mój stan mogą znieść tę nadwyżkę niepokoju i cierpienia. Mój Boże, co czynić, co począć od dziś do środy! Poślę po kawalera d'Aguesseau.

LIST LVII

Do pana De Guibert, pułkownika — komendanta Legii Korsykańskiej, w Montauban-en-Quercy

Poniedziałek o północy, 26 września 1774

Hrabia de Crillon przyszedł umyślnie prosić, abym doniosła panu w jego imieniu, że się żeni z panną Carbon. Wszystko ułożone, postanowione. Młoda osoba napisała wczoraj do pana Trudaine, że wybrała hrabiego de Crillon, w nadziei, iż pochwali jej wybór. Przyjął tę wiadomość z zapalem, jak możesz sobie wyobrazić. Dziś rodziny mają się spotkać; słowem, pobierają się za tydzień; a ledwie tydzień minął, jak hrabia de Crillon wie o czymkolwiek. Jedynie ojcu swemu zawdzięcza ten świetny, wielki los; jest wprost bajeczny, więcej niż sto tysięcy funtów renty, przy tym warunki jak najkorzystniejsze dla hrabiego de Crillon.

Spędził dziś cztery godziny z panną Carbon, rozmawiał z nią wiele i jest pewien, że ma dobrze w główce. Oto co zwykło się nazywać szczęściem, trzeba się tedy cieszyć, że nasz przyjaciel jest szczęśliwy. Pozornie jestem bardzo rada, ale w głębi odczuwam żywo moje cierpienie, niepokój. W duszy mam obłąd i wszystko, co nie ma związku z pierwszą sprawą mego życia, nie może mi dać ani chwili ukojenia. Czy masz gorączkę? Czemu nie kazałeś komuś napisać, jeżeli sam nie możesz? Słowem, dlaczego do położenia i tak już straszego dodajesz niepokój i jakąś grozę, która u mnie zwykle bywa usprawiedliwiona? Jestem zbyt nieszczęśliwa... Jeżeli to sam jakimś zaniedbaniem wpędziłeś się w ten stan, jesteś niegodziwy! Ale nie, drogi mój, nie jesteś winien; jesteś chory, bardzo chory, drzę całą, z drżeniem oczekuję środy.

Hr. de Crillon jest zavalony sprawami i kłopotami, był w rozpacz, iż nie może sam napisać do pana. Bywaj zdrow, miły mój. Wysyłam cały tom.

LIST LVIII

Piątek wieczór, 30 września 1774

Miły mój, nie pozwoliłeś mi umrzeć, a zabijasz mnie, zostawiając w niepokoju, który doprowadza mnie do szaleństwa. Nie miałam wiadomości od pana we środę, ani kawaler d'Augesseau też nie, a obiegił wszystkich, którzy mogli je mieć. Mój Boże, jakże ja mało znałam samą siebie, jak cię oszukiwałam, upewniając, że dusza moja jest zamkniętą dla szczęścia, dla rozkoszy, że niezdolna jest do wielkich cierpień i że nie mam się już czego obawiać. Och! nie oddycham już od środy: widzę cię chorym; doznaję tajemnego lęku, który mnie zabija. Jakież okropne stany dajesz mi poznać na nowo! Ta środa, sobota, te straszliwe dni, które dwa lata z rzędu tworzyły nadzieję i rozpacz mego życia! Ale czyż byłbyś na tyle chorym, aby zapomnieć, że kocham cię bez pamięci? A jeżeli myślałeś o tym, w jaki sposób mogłeś mi nie dać wiadomości o sobie? Czy nie wiedziałeś, że pozwolić mi lękać się o ciebie znaczy wydać mą duszę na pastwę śmiertelnego bólu? Mój przyjacielu, jeżeli mogłeś oszczędzić mi tego, co cierpię, jesteś bardzo winny i zdaje mi się, że taka przewina zdoła mnie chyba uleczyć. Ale, mój Boże, czyż człowiek jest wolny? Czy mogę uspokoić się, ostygnąć wedle swojej, a nawet wedle twojej woli? Ha! mogę tylko kochać cię i cierpieć, oto pęd, oto czucie mego serca: nie mogę go zatrzymać ani pobudzić, ale chciałabym umrzeć. Mam myśli, które są jak ostra trucizna, ale nie jest jeszcze dość rychła. Jeżeli dowiem się jutro, że jesteś bardzo chory, a ja bym o tym nic nie wiedziała, to będzie mój koniec. Nie, to niemożliwe, ty musiałeś pomyśleć o mnie. Czekam tedy, ale ze drżeniem, z niecierpliwością, jaką zdolna jest odczuwać jedynie dusza równie gorąca jak nieszczęśliwa. Och! Diderot ma słuszość; tylko nieszczęśliwi umieją kochać. Ale, miły mój, to ci nie przyniesie ulgi, jeżeli cierpisz; a kiedy jesteś spokojny, nie przywiązujesz do tego wielkiej wagi. Dobrze więc! Kocham cię i nie trzeba mi twego uczucia, aby moje serce oddało ci się całe, na własność.

Wszystko, co książdż Terray czynił lub zamierzał w kwestii własności ziemskiej, jest jak niebyłe: wszystko zniweczono, zniesiono, unicestwiono; słowem, możesz być równie spokojny o posiadłości ojca, jak byłeś dziesięć lat temu. Pan Turgot upewnił mnie o tym; pytał też o ciebie i wyrzucał sobie, że nie miał jeszcze minuty czasu, aby odpowiedzieć osobom, którym nie chciał odpisywać przez sekretarzy. Pan de Vaines prosił, abym go poleciła twej pamięci; jest doprawdy przywalony pracą: mają tyle do naprawienia, do zaradzenia na przyszłość, że nie mają czasu odetchnąć. Książdż Terray otrzymał rozkaz zwrócenia do skarbu królewskiego stu tysięcy talarów, które wybrał z góry na poczet dzierżawy ferm; a pan Turgot oświadczył, że nie chce pięćdziesięciu tysięcy, które mu z prawa przypadają rocznie z tego działu. Ogranicza się we wszystkim; to daje mu potem odwagę wprowadzenia reform w urzędach, które zależą od niego. To przezacny człowiek i jeżeli się utrzyma na stanowisku, stanie się bożyszczem narodu; jest fanatykiem dobra publicznego i używa na nie wszystkie siły. Małżeństwo hrabiego...

Sobota, po godzinie poczty

Przerwano mi i, w istocie, nie hrabia de Crillon mnie zaprzęta w tej chwili. Otrzymałam twój list, drogi mój; miewasz się dobrze: oto dosyć, aby żyć. Mam nadzieję przynajmniej, że nie grozi ci poważna choroba, oddycham. Ach, nie umiem ci już odpowiadać; wstrząśnięcia, w które wprawiasz mą duszę, są zbyt gwałtowne, abym mogła znaleźć słowa. Miły mój, wszystko, co mogę powiedzieć, to że twój list jest uroczy słodyczą i ufnością, jaka w nim panuje: zacny i szczery jak twoja dusza, a jeśli nie we wszystkim odpowiada mojej, to nie twoja wina; nie mam prawa się skarżyć: niestety! nie. Jesteś najlepszy, uznaję to, ale powiem jak Fredra:

Do życia mam nienawiść, miłością się brzydę.

Och! gdybyś wiedział, jak brzydzę się sobą, ile mam przyczyn po temu! Prawda mieszka w mym sercu; a zdarza się, że muszę sobie wyrzucać, iż przywłaszczam sobie szacunek i uczucia, jakich mi używają. Pan Fuentes chciałby *mi się wypłacić ceną swego życia*; ten nieszczęśliwy nie wie, że to może mnie zawdzięcza śmierć syna! Ha! zabija mnie ta myśl... W ostatnich czasach ciągle popadałam w stan, który zaniepokoił mych przyjaciół: czynią mi ten zaszczyt, iż przypisują go stracie, którą poniosłam, podczas gdy to niepokój o ciebie oderwał mnie od żalu, który mnie rozdziera. Jak to! umierając z bóleści, niegodna jestem współczucia, które budzę! Czy pojmujesz całą grozę mego położenia? Sądysz, że będę zdolna znieść je długo? Jak udźwignąć podobną boleść? Z kim ją podzielić? Kto mógłby współczuć z tyłą ohydy? Więc tak, powiadam to sobie, czuję to i nie myślę się: gdyby pan de Mora mógł odżyć, wysłuchałby mnie, kochałby mnie i nie czułabym już wyrzutów ani żalu. Ta pewność powinna panu ukazać, com straciła! Ale czemu upewniasz mnie o tajemnicy? Mój przyjacielu, to zapewnienie powinno było urazić twą delikatność i rani też moją. Jak możesz przypuszczać we mnie podobne podejrzenie? Nienawidząc cię, nie przestałabym cię jeszcze szanować. Uczyniłeś mi krzywdę, ale zostałeś uczciwym człowiekiem.

Drogi mój, czemu nie pisałeś przez dwie ostatnie poczty? Czemu nie piesz: *Odpowiadam na list z dnia tego a tego*? Trzebaż utrzymać ciągłość porozumienia, a głowa tak znękana jak moja zasługuje, aby ją oszczędzać. Mój przyjacielu, uważaj mnie za osobę dotkniętą śmiertelną chorobą i miej dla mnie względy, starania, jakie się ma dla umierających: to nie narazi w niczym twego szczęścia. Zobowiązuję się na wszystko, co mam najświętszego, na pamięć pana de Mora, nie niepokoić cię nigdy, nigdy niczego nie wymagać; a wedle twego listu, który jest taki, jakby serce moje mogło pragnąć, nie możesz mnie już oszukać; nie mogę się nigdy uskarżać, a gdybym czuła przykrość, znalazłbyś tyle serca, aby mnie wysłuchać bez gniewu. Bądź zdrow! nie odpowiadam ci; w zamęcie myśli, w letargu, w którym się znajduję, czuję tylko jedno: żyję, a straciłam istotę, która mnie kochała.

Mój przyjacielu, jeżeli ci to nie cięży, pisz do mnie każdą pocztą; potrzebuję tego. Tak, *chcę tego, żądam* i jest moją ostatnią wolą, abyś nie chował moich listów. Powiesz mi i ja ci uwierzę: rozumiesz? Uwierzę ci. Bądź zdrow.

LIST LIX

Niedziela, czwarta rano, 2 października 1774

Odpieczętowałam swój list; nie mogę usnąć i ty padniesz ofiarą mej bezsenności. Miałam duszę pełną ciebie, głowa moja była pochłonięta twoim listem i wśród tych myśli krew moja nie mogła się uspokoić. Tak, miły mój, zgadłeś: to panią de Chatillon miałam na myśli. To, co mówisz z jej przyczyny pod moim adresem, jest bardzo miłe; ale ona sprawia, iż jestem nierada z siebie: zdaje się jej, że mnie kocha, stara się, jest dobra, pocziwa dla mnie, ale głowa jej jest próżna jak latarnia, a dusza jest prawdziwą pustynią; pojmujesz dobrze, że nie mam czasu ani sił, aby oświecać i wypełniać tę próżnię. Nuży mnie często, kradnie mi myśli, uczucia; czuję się sama jedynie wówczas, gdy mnie ktoś oderwie od tego, co mi drogie.

Hrabina de Boufflers nie wymieniła przy mnie pańskiego imienia od twego wyjazdu, a widywałam ją często. Upojona jest synową; kilka razy chciała w czasie obiadu sprowadzić rozmowę na ten przedmiot, ale zawsze to jakoś upadło: pani d'Anville była zajęta panem Turgot, ja żyłam listem, którego czekałam, a potem chęcią przeczytania go: słowem, nie było sposobu zająć się *najładniejszą, najdowcipniejszą i najpoważniejszą istotką*; ale jej przy tym nie było, nie cierpiała zatem.

Czytał pan *Komentarz Mathanazjusza*? Otóż widzi pan, twoje małe i szkaradne krytyki La Fontaine'a podobne są doń jak dwie krople wody. A któż panu mówił, że to jest doskonałe? *Atalia* ani *Mahomet* nie są doskonali; i La Fontaine'a też można by skrytykować, jak pan to czyni. Drogi mój przyjacielu, bądź surowy wobec siebie, dla siebie, a pobłażliwy dla tego, co jest dobre, dla tego, co ci sprawiło przyjemność, a zwłaszcza daruj mi, że mam *śluszość*. Umieram z chęci przeczytania *Grakchów*; zachwyca mnie, iż

przedmiot zdaje ci się tak bogatym. To mi zapowiada, że dusza twoja wypełni wszystko i to będzie wyborne.

Nie będzie pan oczekiwał ojca? Czy to dobrze? Nic nie wiem; jestem zbyt blisko, aby sądzić. Ileż przyjemności traci ten, kto nadto kocha! Nie mogę już o tobie mówić; dawniej wychwalałam cię, a oto przed kilku dniami ktoś mi powiedział: *Ależ pani już nie lubi pana de Guibert; poczciwy Condorcet, pan de Crillon zostawili go daleko za sobą w pani sercu*. Ale bo też w istocie jest daleko, a siły moje nie starczą, aby zwrócić myśl na inne przedmioty niż te, które są koło mnie. Drogi mój, najszczęśliwsza osoba mija się niekiedy z prawdą. Ale wedle Fontenelle'a *to nie kłamstwo, to nie zatajenie prawdy, do której jesteśmy obowiązani*.

Bądź zdrow lub raczej dzień dobry. Spokój, cisza całej przyrody winny by ukoić mą duszę; ależ, Boże, jakże ta trucizna, która ją pożera, jest silna! Chłód cykuty nie wnika w nią jeszcze. Czekam dnia z niecierpliwością: odczytam twój list. Trzebaż raczej wierzyć tobie niż poczcie, która powiada mi, iż mogłam mieć trzy razy wiadomość od ciebie.

LIST LX

Poniedziałek, 3 października 1774

Miły mój, jakże mi strasznie na duszy! Nie mam już słów, jeno krzyki; czytałam, odczytałam raz jeszcze, przeczytałam sto razy twój list. Drogi mój, ileż dobrego i złego razem! Jaka rozkosz zmieszana⁵⁷ z najokrutniejszą goryczą! Ten list spotęgował, zdwoił wszystkie poruszenia mego serca. Nie mogę się już uspokoić; kolejno upoiłeś i rozdarłeś mą duszę. Nigdy nie wydałeś mi się bardziej luby, bardziej godny kochania i nigdy wspomnienie pana de Mora nie rozdarło mnie głębszą, ostrzejszą, bardziej gorzką boleścią. Byłam w pół żywa; czułam ucisk koło serca, oblęd chwycił się mnie ostatniej nocy; tak gwałtowne wstrząśnienia muszą mnie unicestwić lub przywieść do szaleństwa. Och! nie lękam się ani jednego, ani drugiego; gdybym cię mniej kochała, gdyby żale moje mniej były mi drogie, z jakąż rozkoszą, z jakimż zapalem uwolniłabym się od życia, które mnie tłoczy! Nigdy, nigdy żadna istota nie żyła w takiej męce i w takiej rozpaczce.

Drogi mój, czynimy truciznę z jedyne go dobra, którego ludzie nie zdołali popsuć ani skazić. Wszystko w świecie ocenia się i płaci pieniędzmi; szacunek, szczęście, przyjaźń, cnotę nawet, wszystko to kupuje się, płaci, szacuje na wagę złota: istnieje tylko jedna jedyna rzecz, która jest ponad sąd ludzi, która została bez plamy, jak słońce, i która ma jego żar, ożywia duszę, oświeca ją, wspiera, czyni silniejszą, większą. Miły mój, czy potrzebuję nazywać ten dar przyrody? Ale kiedy on nie daje szczęścia duszy, którą napelnia, trzeba umierać. Tak, trzeba było umrzeć; potrzebowałam tego, poddawałam się temu; jakież ty byłeś okrutny! Ha! cóżes chciał uczynić z życiem, któreś ratował? Napelniłeś je męczarnią i łzami! Do najokrutniejszego nieszczęścia dorzucić brzemię wyrzutów i zgryzoty! Kazać mi nienawidzić wszystkie momenty mego życia, a mimo to wiązać mnie doń uczuciem, które przyprawia o bunt moje serce, które po dwadzieścia razy na dzień przedstawia się mej myśli jako zbrodnia! Mój Boże, jestem występna, a niebo świadkiem, nic nie było droższe memu sercu niż cnota. I to nie ty mnie zbłąkałeś? Jak to! ty wierzysz, że to ja sama rzuciłam się w przepaść! Nie mogę tedy przypisywać ci ani swoich błędów, ani nieszczęścia! Ha! chciałam je odpokutować; widziałam kres cierpień: nienawidząc cię, byłam silniejsza niż śmierć. Przez jaką fatalność, po co odnalazłam ciebie? Czemu obawa, że możesz być chory, zwątlila moją duszę? Czemu wreszcie równocześnie rozdierasz mnie i pocieszasz? Czemu ta złowroga mieszanka rozkoszy i bólu, balsamu i trucizny? Wszystko to działa nadto gwałtownie na duszę, której czucie wyostrzyło się namiętnością i nieszczęściem; wszystko to niweczy do reszty organizm wyczerpany chorobą i bezsennością.

Ach! mówiłam ci; w bezmiarze cierpień sama nie wiem, ciebie li to czy śmierci przyzywam; od ciebie czy od niej mam się spodziewać ulgi lub uleczenia. Nic nie działa już na mnie. Ach! czyliż mi zostaje jedna chęć, jedno pragnienie, jeden żal, jedna myśl, której byś ty i pan de Mora nie byli przedmiotem? Mój przyjacielu, sądziłam, iż dusza moja wygasła; mówiłam ci to i znajdowałam słodycz w spokoju; ale, mój Boże, jakże ten stan

⁵⁷zmieszany (daw.) — dziś: zmieszany. [przypis edytorski]

był przelotny! Wyphywał jedynie z przedłużonego działania opium. Dobrze więc, wróć doń znowu, odzyskam rozum lub też stracę go na zawsze.

Ale powiedz mi, jakim cudem możliwe jest, że jeszcze nie mówiłam ci o tobie? Że nie powiedziałam, iż lękam się powrotu gorączki? Że spodziewam się, iż będę miała wieści od ciebie dziś, w dzień pocztowy? Jeżeli nie, nie będę cię dręczyć, będę czekała do środy. Bądź zdrow, miły mój. Twoja dobroć, słodycz, szczerłość przeniknęły me serce tkliwością i serdecznością.

Poniedziałek wieczór

Miałam tylko słowo od ciebie, tylko jedno słówko: ale mówi mi, żeś wolny od gorączki i to mnie uspokaja. Niespokojny jesteś o siostrę; ja również: tak bliskie mi jest wszystko, co ciebie dotyczy! I ja też mam gorączkę; napad cierpień tej nocy spowodził zaburzenia w krwi i pulsie: ale nie niepokój się, nigdy śmierć nie zjawia się tak w porę. Nieszczęśliwi nie umierają; kiedy zaś kochają, są zbyt słabi, zbyt tchórzliwi, aby się dobić. Będę żyła, będę cierpiała, czekała nie szczęścia, nie radości, czegoż tedy? Drogi mój, do ciebie mówię, odpowiedz.

Popatrz, czy nie jesteś *roztrzępany* w sposób wręcz niebezpieczny: piszesz do mnie i nie pieczętujesz listu; abys zaś o tym nie wątpił, odsyłam ci kopertę. Przesłałam list panu de Vaines. Hrabia de Crillon żeni się w tych dniach; spodziewa się szczęścia, największego szczęścia: oby się nie zawiódł! Pytał o ciebie z najczulszym zainteresowaniem, udzieliłam wiadomości kawalerowi d'Aguesseau, który jest w Wersalu. Papież umarł, a choroba jego budzi straszliwe podejrzenia⁵⁸.

Dobranoc, drogi; głowa mi cięży, cierpię więcej niż zwyczajnie, ale mam wieści od ciebie, to najważniejsze. Jestem w stanie nader osobliwym: od dwunastu godzin stoi mi przed oczyma ciągle ten sam przedmiot, bez względu czy je mam otwarte czy zamknięte. Ten przedmiot, który kocham, który ubóstwiałam, przejmuję mnie grozą i przerażeniem. W tej chwili oto jest tutaj: to, czego dotykam, co piszę, nie jest mi bardziej namacalne, bardziej przytomne. Ale czemu się lękam? Czemu to pomięszanie? Gdyby to była...

LIST LXI

Środa, 6 października 1774

Drogi mój, nie mam wieści od ciebie; czekałam ich. Niestety! czuję, że dusza, która niczego się nie spodziewa, jeszcze spotyka się z zawodem, i że głowa najmniej zdolna do złudzeń i tak tworzy ich za wiele. Daruj, miły mój: to, iż tak potrzebuję ciebie, sprawia, iż nadto na ciebie liczę; trzeba mi się poprawić i z tego błędu.

Chora jestem, wydana na pastwę niewysłowionych cierpień; wszelkie pożywienie daje mi jednaki ból. Lekarz wnosi z tego, iż tworzy się jakaś przeszkoda w *odźwierniku*; nie znałam tego dzikiego słowa, ale to istne tortury, kiedy ta brama zechce się zamknąć. Biorę *cykutę*; gdyby mogli mi ją przyprawić jak niegdyś Sokratesowi, z jaką bym przyjemnością ją zażyła! Uleczyłyby mnie z powolnej i okrutnej choroby, którą nazywają życiem. Krzywdę mi czynisz, drogi mój; każesz mi się rwać do śmierci, a więzisz mnie przy życiu. Cóż za słabość! Cóż za brak konsekwencji! Tak, patrzę jasno; ale nie mam sił, ociągam się. Czuję to, przyjdzie dzień, chwila, iż będę gorzko żałować, że tak odwlekałam. W istocie, kiedy rzucę oczyma w przeszłość, widzę, iż byłabym zbyt szczęśliwą, gdyby kresem mego życia była środa 1-go czerwca⁵⁹. Boże, ileż cierpień, mąk byłabym uniknęła! Tak, drzę na myśl, iż mogę czuć żal do ciebie o wszystko, com wycierpiała od tego straszliwego dnia. Jakież złe miałeś natchnienie! Śmierć moja nie byłaby dla ciebie nieszczęściem; do tej chwili nie pamiętałbyś już o niej; i oto zamiast tej niepamięci, która by ci pozwoliła cieszyć się spokojem i radością życia, przygniatam cię swymi cierpieniami, uciskam twą duszę brzemieniem swego życia. Ha! znam ją dobrze, tę duszę czułą, silną i pełną

⁵⁸*Papież umarł (...)* — Klemens XIV, autor bulli z d. 21 czerwca 1773, znoszącej zakon jezuitów. [przypis tłumacza]

⁵⁹*byłabym zbyt szczęśliwą, gdyby kresem mego życia była środa 1-go czerwca* — jest to, jak się zdaje, aluzja do usiłowanego samobójstwa po otrzymaniu wieści o śmierci pana de Mora. [przypis tłumacza]

cnoty; byłaby zdolna spełnić wielkie poświęcenie, aby ulżyć nieszczęściu; ale pielęgnować je, łagodzić, uspokajać, to przekracza twą możność. Wszystko, co wymaga ciągłości, jest ci niepodobniństwem; serce twoje jest pełne żaru, ale nie zna, co tkliwość. Namietność posuwa się jedynie skokami; od czasu od czasu działa, wybucha; ale tkliwość zna inne względy, wspomaga, pociesza, *pisalaby każdą pocztą*, ponieważ pamiętałaby o potrzebach cierpiącej duszy. Nie, nie czynię ci wymówek, są bezcelowe lub przykre. Ha! jakże byłabym nieszczęśliwa, gdybym ci sprawiła bodaj chwilę przykrości!

Drogi mój, trzeba mi było wiadomości, czy gorączka nie wróciła i czy siostra lepiej? Pisząc ostatni raz, byłam, sądzę, w malignie; miałam silną gorączkę całą noc; opuściła mnie i z jej ustąpieniem zniknął obraz, który zasłaniał mi wszystko inne; ale nie pojmuję, czemu budził on taki lęk w mej duszy. Och! gdybym wszelako mogła odkupić jego życie, bodaj na godzinę, nie ma męki, której bym nie zniosła; rzekłabym:

Darmo mnie straszysz, śmierci posępny Erebie:
Jakimż szczęściem, Ramiro, zstąpić weń dla ciebie!

Ale, drogi mój, nie to wszystko chciałam ci powiedzieć, jestem nieprzytomna, nie mogę pisać dalej, do widzenia.

Sobota, północ

Przed wszystkim, chcę ci powiedzieć, że atrament, którego używasz, biały jest jak papier i dzisiaj to mnie doprawdy zniecierplawiło. Kazałam sobie przynieść twój list do pana Turgot, gdzie obiadowałam w kompanii dwudziestu osób; oddano mi go przy stole; obok siedział arcybiskup z Aix, z drugiej zaś strony ciekawy ks. Morellet. Otwarłam list pod stołem; ledwie mogłam dojrzeć, że są jakieś czarne znaki, a ksiądz uczynił toż samo spostrzeżenie. Pani de Boufflers, która siedziała obok arcybiskupa, spytała, co mnie tak zajmuje: *Niech pani sobie przypomni, gdzie jesteście, a domyślisz się, co mogę czytać. — Memoriał do pana Turgot? — Właśnie, droga pani, i chcę przeczytać, nim mu go oddam.* I w istocie, nim przeszliśmy do gabinetu, przeczytałam list i odpowiem nań, ale tylko pobieżnie, ponieważ umieram ze znużenia po sztuce, jakiej dokazałam dzisiaj. Miałam dziś u siebie ze sto osób, a ponieważ twój list skrzepił mnie na duchu, byłam rozmowna, zapomniałam, że jestem nieżywa i naprawdę zgasałam. Trzeba przyznać, że *miałam wielkie powodzenie*, ponieważ doskonale podkreślałam zalety i dowcip osób, z którymi rozmawiałam: tobie to, miły mój, winni, są to spędzenie czasu tak lubie dla ich ambicji. Co się tyczy mojej ambicji, pochwały twoje nie upajają jej wcale: odpowiem ci jak *Couci*:

Kochaj mnie, książę, miast darzyć pochwałą.

Mój przyjacielu, strzeż się kiedykolwiek być dobrym, podnosić moje zalety, roztaćcać moje bogactwa: nigdy nie czułam się tak biedna, zrujnowana, nędzna; szacując to, co mam, ukazując mi moje zasoby, ujawniasz mi, że wszystko stracone. Zostaje mi tylko jeden środek i od dawna przeczuwam go, jestem pewna nawet jego konieczności: ogłosić *proste bankructwo*; ale postępuję tak, jak zwykle się robi: odsuwam, odwlekam, łudzę się nadzieją, chimerami; biorę je za to, czym są, a mimo to podtrzymują mnie na chwilę. Ale ty niweczysz wszystko swoim okropnym wyliczeniem. Cóż za żalosny inwentarz! Gdyby kto inny niż ty silił się pocieszyć mnie i przywiązać do życia tymi rozpaczliwymi pociechami, odpowiedziałabym jak Anusia:

Horacy jednym słowem dokazałby więcej⁶⁰

I to Horacy mówi do mnie! Miły mój, dusza moja ugina się pod tym. Czegóż bo nie wymyślisz, aby mnie dręczyć? Znajdę, powiadasz, *gwarancję, podporę, obronę* etc., etc. Ani śladu! Jeżeli trzeba kupić szacunek twój tą ceną, nie roszczę doń pretensji. Byłam szalona, słaba, nieszczęśliwa, bardzo nieszczęśliwa; lękałam się o ciebie i straciłam rozum.

⁶⁰Horacy jednym słowem dokazałby więcej — [por.] *Szkola żon* Moliera. [przypis tłumacza]

Źle postąpiłam, to pewna, i to jeden ból więcej, że muszę to uznać. Nie ma we mnie jednego odruchu, nie mówię ci jednego słowa, które by mi nie było żalem lub wyrzutem. Drogi mój, powinna bym cię nienawidzić. Niestety! jakże dawno nie robię już tego, co bym powinna, co chcę! Brzydę się sobą, potępiam się i Kocham cię.

LIST LXII

Niedziela wieczór, 9 października 1774

Mój przyjacielu, odczytałam twój list dwa razy i ogólne wrażenie, jakie zeń odniosłam, to że jesteś nieskończenie miły i że o wiele łatwiej jest nie kochać cię wcale niż kochać cię umiarkowanie. Dorób komentarz do tego, ale nie rozumem, nie do niego mówię. Miły mój, gdybym chciała, podniosłabym kilka słów twego listu: sprawiły mi przykrość.

Ha! wszystko dręczy duszę nawykłą cierpienia.

Gdybym przynajmniej mogła powiedzieć jak Bajard:

Gdy przyjaciel ból zada, sam łzy me osuszy!⁶¹

Mówisz mi o sile ducha, o moich zasobach, o wypełnieniu mego czasu, mojej duszy, w sposób zdolny przyprowadzić mnie o śmierć ze wstydu, iż pozwoliłam ci oglądać całą moją słabość. Ale cóż, była ona w mej duszy, a żadne jej drgnienie nie może się już ukryć przed tobą. Kiedy mnie ożywiła nienawiść, pokazałam ci ją; czyżbym wtedy miała tylko nienawidzić? Drogi mój, odczytując ten inwentarz wszystkiego, co mnie może wstrzymać od zaguby, rozśmiałam się w końcu, przypomniało mi to bowiem ładne powiedzenie prezydenta Hénault. W pewnym okresie życia uważał, iż dla dobrej reputacji trzeba mu zostać dewotem: uczynił generalną spowiedź i zwierzył się później swemu przyjacielowi, panu d'Argenson: *nigdy się człowiek nie czuje tak bogatym, jak wówczas gdy się przeprowadza.*

Drogi mój, ty dałeś mi doznać wręcz przeciwnego uczucia; serce moje zadrżało, mogłam powiedzieć:

Nieba! zostałam sama wśród świata ogromu.

Mój przyjacielu, cytuję cię tobie samemu; jesteś mi bardziej przytomny niż Racine; zdaje mi się, że moje uczucie nabiera siły, używając twoich wyrażań; ale mam ci do opowiedzenia tysiąc drobniaków: trzeba odwrócić myśl od rzeczy równie smutnej jak głębokiej.

Przebiegam twój list i wracam do krytyki pana de la Harpe, a nie po prostu: *la Harpe*. Ten zaszczyt przystoi jedynie takim ludziom jak Racine, Wolter, Montesquieu, etc., etc.; nie trzeba wznosić tak wysoko współczesnego literata. A potem, mój przyjacielu, powiem ci, iż trzeba mieć bardzo wybredne czucie, aby je dotknęło to, iż ktoś każe przemawiać Bogu w pospolity sposób: są pewne momenty jego życia i śmierci, które nie wymagają zbyt podniosłego stylu: co prawda nie te pewnie, w których stworzył La Fontaine'a, autora *powiastek*. Wolter był równie wybredny jak pan, kiedy, krytykując pana Soret, rzekł: *Jezus ucukrowany w wierszach jest okropny*. Ale dosyć już o panu de la Harpe, choćby nawet był bogiem: nie mamy jeszcze *Pochwały*, którą uwieńczono.

Widziałam świeżo hrabiego de Crillon; pisał do pana, nie mam zatem co donieść o nim, wiesz bowiem, że jest bardzo miły. Jutro mam go spotkać na obiedzie u pani d'Anville. Lubię ten dom: to jeszcze jeden, w którym będę cię mogła widywać: będziesz żył dla drogich ci osób i dla całego świata co wieczór, ale czy nie poświęcisz mi czasem, często, obiadu? To ci pozwoli żyć w towarzystwie ludzi najbardziej harmonizujących z twoim tonem. Głupcy i dudki zaczynają krążyć dopiero około piątej lub szóstej wieczór; wówczas ja wracam do swego kącika przy kominku i odnajduję tam prawie zawsze, jeżeli nie tych, których bym wybrała, to przynajmniej tych, których bym nie unikała.

⁶¹ *Ha! wszystko dręczy duszę nawykłą cierpienia (...)* *Gdy przyjaciel ból zada, sam łzy me osuszy* — oba te wiersze wyjęte są z *Hetmana Bourbon* pióra pana de Guibert. [przypis tłumacza]

Jakim cudem nie wspomniałam jeszcze panu, że nagle mnie, zapraszają, abym pojechała skrzepić swoje zdrowie u milorda Shelburna? To tęga głowa, naczelnik opozycji; był przyjacielem Sterne'a i uwielbia jego dzieła. Możesz osądzić, czy nie musi budzić we mnie szczerą sympatię i czy jego uprzejme zaproszenie nie musiało mnie zachwiał? Przyznaj, że gdybyś był świadom tego ostatniego sukcesu, nie pominąłbyś go w swoim szumnym inwentarzu.

Tak, poczciwy Condorcet jest u matki; pracuje dziesięć godzin dziennie, odprawia dwadzieścia korespondencji, dziesięciu serdecznych przyjaciół i każdy z nich, bez próżności, mógłby się mniemać najbliższym jego serca. Nigdy, nigdy, nie było chyba człowieka, który by miał tyle żywotności, tyle zasobów i taką łatwość! Ale przypominam sobie, że nie piszesz mi ani słowa o księciu de Choiseul; czy pobyt w Chanteloup nie zostawił nawet śladu? Podobnie w Paryżu: publiczność zapomniała o nim zupełnie i zdaje mi się, że najlepsze, co mogłoby mu się zdarzyć, to owo zapomnienie; nie zyskałby bowiem nic na porównaniach, zestawieniach. Mogliśmy mu zawdzięczać przed dziesięciu laty pana Turgot, a on wybrał takich Laverdy, Maupeou, Terray etc., etc.

Nie zgadłbyś, co mnie zaprzęta, czego pragnę w tej chwili: ożenić *jednego z przyjaciół*. Chciałabym, aby się udało urzeczywistnić pewną myśl, która mi przyszła do głowy. Arcybiskup Tuluzy wiele mógłby się przyczynić do powodzenia sprawy. Jest to młoda osoba lat szesnastu, posiada jedynie matkę, ojciec nie żyje; ma również brata. Otrzyma, wychodząc za mąż, trzysta tysięcy funtów renty; matka da jej mieszkanie, i to na czas dłuższy, ponieważ syn jeszcze jest dzieckiem. Panna będzie miała co najmniej sześćset tysięcy franków, a może być jeszcze bogatsza; czy by ci to dogadzało, kochaneczku mój? Powiedz, a zaczniemy działać. Można być zupełnie pewnym, że nie zostawi to żadnego niesmaku, ponieważ arcybiskup Tuluzy jest równie zręczny jak godny człowiek. Pomówimy o tym: gdyby się to nie powiodło, znam kogoś, kto bardzo by rad mieć cię za zięcią, ale córka ma dopiero jedenaście lat: jedynaczka i będzie bardzo bogata. Drogi mój, chciałabym ponad wszystko twego szczęścia, a troska o nie stałaby się pierwszą sprawą mego życia. Przyznaj, że *kwietyści* i czuły Fénelon nie mogli kochać Boga z większym zaparciem! Był czas, w którym serce moje nie byłoby tak wspaniałomyślne, ale było wówczas dla kogoś, kto byłby ze zgrozą odrzucił władztwo całego świata. Cóż za wspomnienie, mój Boże, jakże słodkie i okrutne! Dobranoc, miły mój. Jeżeli będę miała, jak się spodziewam, wiadomość od ciebie jutro, dopiszę jeszcze coś do tego tomu. Od dwóch dni cierpienia moje zelżały: jem dwa skrzydełka kurczęcia na dzień, a jeśli ta dieta nie lepiej mi posłuży od innych, przejdę wyłącznie na mleko.

Wciąż niedziela,

później, 9 października 1774

Pożegnanie było bardzo szybko, bardzo nagle, pojmujesz, że zostaje mi jeszcze tysiąc rzeczy do powiedzenia, jeśli się bowiem nie mylę, ostatni to raz piszę do ciebie. Jutro będę wiedziała, czego się trzymać; będę miała wieści od ciebie, miły mój: pokładam tę ufność nie w moim pragnieniu, ale w twej dobroci. Donosisz mi, że udajesz się do swojej legii: podałeś dwa razy nazwę miejsca, gdzie się znajduje, ale dzięki twemu pięknemu piśmu nic nie wiem: czytam *Livourne*⁶², a z pewnością przecież nie tam.

Drogi mój, pisz do mnie z każdego miejsca; trzeba mi nagrodzić to, że ja nie będę mogła pisać. Nie jestem wcale pewna, że wyjechałam dziś. W jaki sposób zdołałbyś odmówić matce, zwłaszcza jeżeli nie jest jeszcze zdrowa? Mam wreszcie nadzieję, że nie zrobisz mi zawodu i że cię ujrzę za dwa tygodnie. Dwa tygodnie, to termin bardzo daleki! Pamiętam jeden, bliższy: ha! dreszcz mnie przechodzi, coś za straszne wspomnienie! Zatręwa nawet samą nadzieję. Miałam wczoraj list od jego szwagra⁶³: nie lubiłam go za życia mego przyjaciela; później stał mi się drogi. Jakże chciałabym poznać jego siostrę, żyć w jej pobliżu! nie życzył sobie, abym ją poznała, lękał się, abym nie wzmogła w niej namiętności, która ją trawiła. Mój przyjacielu, czy sama ta obawa nie była szczytem miłości i ufności w me uczucie? Och! Boże, i to ty, ty zamąciłeś, zburzyłeś szczęście duszy tak gorącej i tkliwej!

⁶²*Livourne* — pułk pana de Guibert obozował wówczas w *Libourne*. [przypis tłumacza]

⁶³*od jego szwagra* — księżę Villa Hermosa, szwagier pana de Mora. [przypis tłumacza]

Ty skazałeś nas na straszliwe nieszczęście i ciebie Kocham! Tak, człowiek nienawidzi zła, które czyni, i brnie w nim mimo wszystko. Byłabym umarła z bólu, a jestem skazana, aby nim żyć, usychać, jęczeć, lękać się ciebie, kochać ciebie, przeklinać bez ustanku życie i kochać jego rzadkie chwile.

Przerwano mi: namówili mnie, abym poszła do Duplessisa: malarz, portrecista, który stanie obok Van-Dycka. Nie wiem, czy widziałeś portret ks. Arnaud jego pędzla; ale co trzeba zobaczyć, to Glucka: to ostatni kres prawdy i doskonałości; więcej i lepiej niż natura. Było tam dziesięć głów, każda w odmiennym charakterze, nie widziałam nic równie pięknego i prawdziwego. Przyszedł pan d'Argental, pokazał nam list, który świeżo otrzymał od Woltera; list jest tak przedni, ton tak miły, tak naturalny, dający wrażenie tak żywego obcowania, że nie myśląc o tym, czy to niedyskrecja czy nie, poprosiłam o ten list i o pozwolenie sporządzenia kopii: w tej chwili kopiują go i miły mój przeczyta go: ta myśl jest na końcu wszystkiego, co czuję. Drogi mój, mogłabym wciąż powtarzać to, co Sterne mówi do Lizety: *twoja przyjemność jest pierwszą potrzebą mego serca*.

Mój Boże, tak trudno zacząć list, kiedy dowcip ma zastąpić uczucie; mimo to trzeba napisać do pani de Boufflers. Nie wymieniła, mówiąc ze mną, pańskiego imienia; nie martwi mnie to, ale w jaki sposób może ktoś nie chwycić każdej sposobności mówienia o tym, co mu jest miłe? Jest pewien stopień uczucia, który krępuje; on to przeszkodził mi mówić z nią o panu; ale ona, jestem pewna, nigdy nie odczuwała tego kłopotu; ona nie potrzebuje sama kochać, jest tak urocza i miła!

Mój przyjacielu, znam się tak dobrze, że gotowam myśleć, że żartujesz ze mnie, kiedy mówisz o moich tryumfach. Dobry Boże, toć już osiem lat, jak się wycofałam ze świata. Z chwilą gdy pokochałam, czuwałabym wstręt do tych powodzeń. Po cóż silić się być miłym dla wszystkich, kiedy się jest kochanym? Czy zostaje jeden ruch, jedno pragnienie niemające za przedmiot osoby, którą się kocha i dla której chciałoby się żyć wyłącznie? Miły mój, ty nie żadasz tyle, nieprawdaż?

LIST LXIII

Poniedziałek, po listonoszu, 10 października 1774

Nie ma listu! Doprawdy, gdybym mocniej wierzyła w twą przyjaźń, zemściłabym się, nie pisząc również. Mój Boże, jak można tak niedbale, z taką niepamięcią odnosić się do tych, którzy nas Kochają? Jak można być tak zajęтым czy tak roztargnionym, aby nie kłaść w pierwszym rzędzie przyjemności ulżenia temu, kto cierpi? Jak można wreszcie uleczyć cierpienia dotkliwe, głębokie i niedające się niczym uspić? Aż do soboty będę trwała z tą myślą; ten ból będzie ciążył na mej duszy, będzie w niej budził kolejno żale i wyrzuty. Ale co panu to wszystko? Nie moich listów oczekujesz, nie mój spokój cię zaprzęta. Dobrze więc! będzie, jak sobie życzysz. Nie do ciebie mam urazę: do siebie, tylko do siebie. Tak, drogi mój, przebaczam ci, Kocham cię; zadałeś mi ból, ale mnie uleczysz.

Oto liścik, który dołączam do swych foliałów: to dobry Condorcet pisze do przyjaciela.

LIST LXIV

Piątek wieczór, 14 października 1774

Drogi mój, wychodzę z *Orfeusza*; roztkliwił, ukoił mą duszę. Łałam łyzy, ale wolne od goryczy: boleść moja była słodka, żale mięszały się z twoim wspomnieniem; myśl zatrzymywała się przy nim bez wyrzutów. Oplakiwałam to, co straciłam i kochałam, ciebie; serce moje starczyło na wszystko. Cóż za cudowna, boska sztuka! Muzykę musiał wynaleźć jakiś tkliwy człowiek, mając kogoś pocieszyć w nieszczęściu. Jakież to dobroczynny balsam, te czarodziejskie tony! Miły mój, w nieuleczalnych cierpieniach trzeba szukać jedynie uśmierających środków, a istnieją dla mego serca w całej przyrodzie jedynie trzy: ty, drogi mój, ty, najskuteczniejszy ze wszystkich, ty, który odrywasz mnie od boleści, który sączysz w mą duszę upojenie odejmujące zdolność pamięci i przewidywania. Po tym pierwszym ze wszystkich dóbr idzie opium: podpora i ucieczka rozpaczy. Wreszcie muzyka: jest mi luba, czaruje moje cierpienia, rozlewa w mej krwi, we wszystkim, co

Muzyka, Cierpienie, Miłość

mnie ożywia, tak rozkoszną słodycz i wrażliwość: rzekłabym prawie, iż daje mi się napa-
wać mymi żałami i nieszczęściem. To pewna, iż w najszcześniejszym okresie życia muzyka
nie miała dla mnie tej wartości.

Drogi mój, przed twoim wyjazdem nie byłam na *Orfeuszu*; nie potrzebowałam tego;
widziałam cię, oczekiwałam ciebie, to wypełniało wszystko; ale w próżni, która nastą-
piła, w atakach rozpacz, które poruszyły i wstrząsnęły mą duszą, starałam się wspomóc
wszelkimi środkami. Jakże są słabe! Jak bezsilne przeciw truciźnie, która trawi me życie!
Ale trzeba odejść od siebie, mówić o tobie: nie zmienię wcale przedmiotu.

Pan Turgot napisał do pana: naprawił wszystko, prosi bowiem, abyś zechciał być mu
pomocą, i jestem pewna, że tak też to odczujesz. Pan de Vaines mówił do mnie wczoraj:
„Niech nam pani sprowadzi pana de Guibert; wspomże nas swoją wiedzą i będzie nam
użyteczny w rzeczach, które nam są obce, a których potrzebujemy”. Ach! osądź moje
położenie, mój stan: chodzi o najważniejszą, jedyną sprawę mego życia, i ja nie śmiem
mieć stanowczego uczucia:

Najsłodsze me pragnienia są pełne żaloby.

Tak, cnota powiedziała: spiesz, przybywaj, a potem umrę. Ale, drogi mój, inny
głos, mocniejszy, głębszy, bardziej wewnętrzny, mówi mi: skoro go ujrzę, życie stanie się
dobrym; nieszczęście stanie się znośnym; gdyby i ta myśl miała być omyłką, gdybym się
ludziła, byłoby to przynajmniej ostatnie złudzenie: zawdzięczałabym ci zerwanie węzła,
który nigdy nie powinien się być zadzierzgnąć.

Ostatni raz skreśliłam spieszenie ćwiartkę, w chwili gdy dowiedziałam się właśnie, że
nie ma listu od pana; byłam podrażniona, zgnębiona, nie wiem, czy dałam temu wyraz,
spieszyłam się bowiem tak bardzo, iż zaledwie mogłam kreślić litery. Księżę de la Roche-
foucauld czekał na mnie, aby mnie zabrać do siebie na obiad. Zastałam tam hrabiego de
Crillon, a pierwszym jego słowem było: „Spełniła pani mą prośbę, dostałem właśnie list
od pana de Guibert, w odpowiedzi na twój”. Byłam uszczęśliwiona: zawsze to wiadomość
od pana: ale list mój był już na poczcie; musiałeś tedy wyczytać całe me rozżalenie.

Hrabia de Crillon i wszyscy Crillonowie całego świata byli dziś wieczór w Operze
w łoży królewskiej: ja byłam w swojej zwykłej *izdebce*. Wypatrywałam oczy na młodą
hrabinę; wydała mi się pospolita i niebrzydka, ale tak źle widzi się w teatrze! Odwie-
dził mnie w łoży; mówił dużo o interesach, a mało o żonie. Wielka fortuna to wielki
ciężar; ma procesy, sprawy w Ameryce; zdaje mi się, że bardzo leży mu na sercu, aby
ta *administracja* była dobra, a nawet doskonała. Da sobie z tym rady, ale będzie zajęty
bez wytchnienia i to rodzajem zajęcia, z którego płynie więcej zysku niż chwały. Nie,
szczęście nie leży w bogactwach! Gdzież ono tedy mieszka? U jakichś paru ciężkich eru-
dytów żyjących w odosobnieniu; u dobrych rękodzielników sumiennie zatrudnionych
zyskowną, a niezbyt uciążliwą pracą; u poczciwych rolników mających liczną i skrzętną
rodzinę i żyjących w uczciwym dostatku. Poza tym ziemia roi się od głupców, dudków
lub szaleńców, a w tej ostatniej klasie mieszczą się wszyscy nieszczęśliwi. Nie liczę w to
mieszkańców Charenton⁶⁴, rodzaj szaleństwa bowiem, który sprawia, iż ktoś ma siebie
za wszechmocnego Boga, wart jest może więcej niż mądrość i szczęście.

Posyłam panu wyjątek z listu pisanego do ambasadora szwedzkiego; ujrzysz, jak wy-
twornie cudzoziemcy władają francuskim językiem. Niech pan wierzy, nie zmieniono ani
przecinka. Ale pomyśl, jaki wstręt budzi zakon posługujący się takimi środkami. Drogi
mój, nie pal, ani nie gub listów, które otrzymujesz; niektóre będziesz mi musiał pokazać.
Liczę na to, że moje są bezpieczne; toteż nie mówię już o nich. Wierzę tobie i w ciebie;
jakże mógłbyś mnie zawieść?

Czytam lichą książkę o teatrze, która zawiera mnóstwo dobrych rzeczy; zachowam ją
dla ciebie. Wszyscy są w Fontainebleau, i bardzom z tego rada. Napisałabym nad mymi
drzwiami jak ów mędrzec: *Ci, co mnie odwiedzają, czynią mi zaszczyt; ci, co nie odwiedzają,
przyjemność.*

Pan de Marmontel ofiarował się przeczytać mi we środe nową operę komiczną. Przy-
szedł, było dwanaście osób. Siedli kręgiem, ja z nimi, w zamiarze wysłuchania *Starego*

⁶⁴Charenton — zakład obłąkanych. [przypis tłumacza]

kawalera: oto tytuł dzieła. Początek wydał mi się ciężki, zagmatwany. Wie pan, co uczyniłam, bez najmniejszego udziału mej woli? Po prostu nie słyszałam ani słowa; ale to tak ściśle, iż raczej by mnie powieszono, niżbym zdołała powtórzyć imię którego z aktorów albo treść sztuki. Wykręciłam się, powiadając szczerą prawdę, mianowicie iż czas wydał mi się bardzo krótki. I w istocie, byłam szczerze zdumiona, kiedy usłyszała gwar ogólnej rozmowy. Wiesz, od czasu, jak mi jest niepodobieństwem użyć czemuś uwagi, szalenie lubię czytania, to mi zostawia swobodę: podczas gdy w rozmowie, chcąc czy nie chcąc, zbyt często jest się pastwą drugich. Och! zwłaszcza ludzie, którzy mnie *wyróżniają*, jakże są męczący! Istnieją dwaj ludzie, którzy są na mnie tak łaskawi, iż mówią mi do ucha to, co można by doskonale powiedzieć głośno; trzeba doprawdy cierpliwości, aby słuchać i odpowiadać. Drogi mój, mów co chcesz, ale rozmowa ma dla mnie urok, kiedy ty lub kawaler de Chastellux jesteście mymi partnerami. Muszę ci donieść, że kawaler może być rad ze mnie. Podgrzałam jego przyjaciół i rzeczy ułożyły się tak dobrze, że trzeba nam tylko śmierci jednego z czterdziestu, aby wszedł do Akademii. To słuszne, bez wątpienia, ale nie było bez trudności. Świadomość, jak mu zależy na tym tryumfie, była dla mnie podniętą. Mój Boże, Fontenelle ma słusność: *są zabawki na każdy wiek*; jedynie nieszczęście jest stare, a jedynie namiętność rozsądna. Mój przyjacielu, to nie są zgoła paradoksy: pomyśl trochę, a przyznasz, że można by bronić tej tezy.

Dobranoc; czas ci dać odetchnąć, pisałam do tej chwili bez zatrzymania. Dnie opery to moje dni samotności. Jestem w teatrze sama, wracam do domu i nie przyjmuję nikogo. Pan d'Alembert poszedł na *Arlekina*; woli to niż *Orfeusza*: wszyscy mają słusność i nie w głowie mi krytykować jakiegokolwiek gusty; wszystko jest dobre. Ale dobranoc wreszcie. Do jutra.

LIST LXV

Sobota o trzeciej, 15 października 1774, po godzinie poczty.

Jadłam obiad w domu, aby mieć wiadomość o godzinę wcześniej: to odpowiedź na pana ostatnie pytanie: *czy nic nie straciłeś*. Ale, drogi mój, martwisz mnie w istocie, nie mówiąc ani słowa o tym, czego nie napisałeś ostatnim kurierem. Miałeś mi odpowiedzieć; ale ponieważ czujesz, że nie masz słusności, wolisz raczej przemilczeć, obiecując poprawę. To byłoby bardzo miło z twojej strony, dziękuję z góry. Nie śmiem pragnąć twego powrotu, ale liczę dni. Mój Boże, jakże są wolne, długie, jak ciężą mej duszy! Jak trudno jest, jak niemożliwe nawet oderwać się na chwilę od potrzeb serca! Książki, towarzystwo, przyjaźń, wszystkie możebne rozrywki służą jedynie po to, aby lepiej czuć wartość i moc tego, czego nam brak. Nie odpowiadam, ale jestem wzruszona do głębi tym, co piszesz o panu de Mora. Pan d'Alembert napisał do pana de Fuentes z własnego popędu: czytając ten list, płakał i mnie wycisnął łzy. Mój Boże, ta myśl mnie rozdziera!

Drogi mój, chcę mówić o tobie i usprawiedliwić pobudkę, która kazała mi spalić twoje listy. Liczyłam na to, iż nie przeżyję ani o dwadzieścia cztery godzin tego poświęcenia; krew moja, serce, były w tej chwili ścięte rozpaczą. Dopiero w więcej niż tydzień uczułam stratę, którą poniosłam. Ha! po dwadzieścia, po sto razy żalowałam, iż spaliłam te karty zapisane twą ręką; nic nie zdoła nagrodzić tej straty, jestem w rozpacz. Dobrze więc, zgoda, przywieź moje listy, spalimy je.

Tak, pan Turgot pracuje nad pańszczyzną. Dobranoc, miły. Nie jesteś zmęczony od czytaniem tych grymołów?

LIST LXVI

Niedziela wieczór, 16 października 1774

Drogi mój, nie odpowiedziałam wczoraj na twój przemyły list i nigdy nie odpowiem *dosyć* na to, co mi piszesz o panu de Fuentes. Dobry Boże, gdzie znaleźć wyrażenia, które by oddały uczucie zupełnie nowe dla mej duszy? Przeniknąłeś mnie najczulszą, najżywszą wdzięcznością; tak, mam wrażenie, że jeszcze nikomu tyle nie byłam winna. Doprawdy, twój instynkt, twoje czucia są szlachetne i wzniosłe jak sama cnota: czemuż nie miałabym

zamknąć swego szczęścia w tym, aby je ubóstwiać? Nie wiem, jakiej natury jest moje uczucie, ale to wiem, że ty jesteś jego przedmiotem; bywają chwile, w których gotowa bym wykrzyknąć:

Eneas jest w mym sercu, nie znam co wyrzuty!

Niestety! nie śmiem wymówić tych słów; czuję to, sumienia nie da się oszukać. Jakież zamęt w sercu! Jakżem jest nieszczęśliwa! Mój przyjacielu, czy sądzisz, że możliwe jest, aby, póki ciebie Kocham, pokój mógł wrócić w mą duszę? Uważasz za możliwe, bym mogła żyć bez Kochania Ciebie? U Ciebie to szukam wyjaśnienia, zrozumienia; ja nie znam już samej siebie; jednym słowem, zmieniasz stan mej duszy. Nie wiem, czy to pochodzi stąd, że jestem osłabiona cierpieniem, lub też czy uczucie moje wzmogło się od wysiłków, aby je zwalczyć i zdławić. Jeżeli tak, przyznaj, że muszę mieć dobre mniemanie o samej sobie! Och! Boże, jak wrodzoną rzeczą jest mi miłość, a jak obcą cnota! Miły mój, nigdy nikt nie obnażył się w taki sposób, ale jak mogłabym ci ukryć swoje najbardziej tajemne myśli: wszystkie są pełne Ciebie! Jak mogłabym żyć, gdybym miała sobie do wyrzucenia, iż uzurpuję sobie coś w twoim szacunku lub twoim mniemaniu? Nie, miły mój, znaj mnie taką, jak jestem, i użycz mi nie tego, na co zasługuję, ale tego, czego mi trzeba, aby nie umrzeć z bólu i znaleźć po temu odwagę. Nie wiem, co wołałabym Tobie zawdzięczać, śmierć czy życie: jedno i drugie zależy od Ciebie; jak bądź rozstrzygniesz, zawsze ci będę dziękować.

Drogi mój, czy ty czujesz siłę tych słów: *największym dla mnie nieszczęściem byłaby twoja oziębłość. Chciałeś ulżyć memu cierpieniu*, etc... Nieba, jakich ty środków używasz! Ale nie chcę wracać do przeszłości. Mam nadzieję, że już mnie nie będziesz zwodził; jeżeli nie jestem pierwszą w twym sercu, ujrzę przynajmniej, jakie miejsce mi zostawiasz i zobowiązuję się nie rościć sobie pretensji do innego prócz tego, które mi sam naznaczysz.

Byłam znów dziś wieczór na *Orfeuszu*, ale z panią de Chatillon. W istocie, musiałabym mieć liche pojęcie o samej sobie, gdybym jej nie kochała: wymaga tak mało, daje tyle! Chciałabym, abyś widział, abyś słyszał wszystko, co ona mówi: namiętna miłość nie wyraża się inaczej, ale miłość grzeje, a ja czuję się często bardzo chłodna. Straciłam podczas Opery wizytę hrabiny de Crillon i bardzo żałuję: przez przyjaźń dla jej męża, pilno mi ją poznać. Zachodzi do mnie co dzień, jakby nie był żonaty.

Poniedziałek rano

W jaki sposób możesz się zastanawiać, czy powinieneś być zataić przede mną, że miałeś gorączkę? Drogi mój, to nie mnie trzeba oszczędzać; nadto cię Kocham, aby nie pragnąć cierpieć z tobą i przez Ciebie. Wszyscy ci, którzy się oszczędzają, nie Kochają się zgoła; jest wielka przepaść między uczuciami, które nakazujemy samym sobie, a tymi, które nam rozkazują: pierwsze są doskonałe i mam wstręt do nich. Gdybyś kiedy stał się doskonały jak pani de B., jak chłodny Grandisson, podziwiałabym cię, ale byłabym doszczętnie wyleczona... Przerwała mi pani de Chatillon; chce się przypisać; daję jej papier i atrament, ale list... to niemożliwe! Daruj mi, drogi mój.

Poniedziałek, po listonoszu

Byłeś niespokojny, jeszcze jesteś smutny. Mój Boże, jak mnie to boli wszystko, co Tobie sprawia cierpienie; jak mi przykro, iż dorzuciłam niepokój do twego stanu! Tak, jestem winna, słaba, potępiam się, nienawidzę się za to, ale to wszystko nie naprawi złego, które ci wyrządziłam. Dowiedziałeś się z następnego listu, że ta gorączka była jedynie wynikiem zamętu, w jakim znajdowała się moja dusza. Organizm mój nie jest dość silny, aby znosić takie wstrząśnienia. Drogi mój, nie żałuj mnie nigdy; powiedz sobie: *to wariatka*, ta myśl cię uspokoi, a jeśli ty nie będziesz cierpiał, ja będę szczęśliwa. Ale mam nadzieję, że udzielisz mi porządnie, szczerogółowo nowin o swoich chorych; okropnym jest drżeć o tych, których się Kocha; ten rodzaj męczarni jest ponad mój rozsądek i siły. Mój Boże, oczywiście, trzeba zostać z rodzicami, twój wyjazd będzie dla nich wielkim ciosem; trzeba go im oszczędzać, póki muszą myśleć o swym zdrowiu. W tym stanie wszystko, co pobudza wrażliwość, staje się cierpieniem; ale nie mnie to dawać ci wskazówki;

masz bystrzejszy ode mnie wzrok i delikatniejsze czucie. Drogi mój, mam prawie żal, że nie sprawia ci słodyczy dzielić się ze mną wszystkim, zwłaszcza gdy cierpisz; wówczas to chciałabym, abyś powiedział sobie, w przeciwnym sensie, to, co powiada Montaigne: *mam uczucie, że mu odkradam jego część*. Tak, drogi mój, nie powinno by ci już być wolno cierpieć samemu. Niestety! jestem tak dobrze zestrojona ze wszystkim, co cierpi, to jest tak bardzo mój język, iż zdaje mi się, że nie trzeba nawet liczyć na moje przywiązanie, aby znajdować słodycz w tym, by się uzalić przede mną.

Bądź zdrow, drogi. Zamierzałam mówić z tobą o tysiącu drobiazgów, ale twój smutek odejmuje mi siły. Daremnie powiadam sobie, iż twoje usposobienie zmieni się rychło; udzieliło mi się ono i nie zmieni się aż wówczas, gdy ty sam zechcesz. Cóż za wpływ! Co za siła! Co za władza! Działyby na tysiąc mil. Mówiłam ci: to jedyna rzecz, której ludzie nie zdołali zepsuć. Drogi mój, gdyby miłość zginęła na ziemi, powiedz sobie, póki ja będę przy życiu, że wiesz, gdzie ona mieszka, gdzie króluje z większą siłą, niż bywa zwyczajnie u Francuzek.

LIST LXVII

Piątek wieczór, 21 października 1774

Miły mój, jakże czas wlecze się leniwo! Od poniedziałku nie mogę się opamiętać, a nie ma rzeczy, której bym nie próbowała, aby oszukać mą niecierpliwość. Byłam wciąż w ruchu, byłam wszędzie, wszystko widziałam, a miałam tylko jedną myśl; dla chorej duszy natura ma tylko jedną barwę, wszystkie przedmioty powleczone są krepą. Powiedz mi, jak się robi, aby się rozerwać? Jak się robi, aby się pocieszyć? Od ciebie jednego mogę się nauczyć cierpieć życie, ty jeden możesz jeszcze rozlać na nie ten czar zmieszany z bólem, który każe kolejno kochać i nienawidzić istnienie.

Miły mój, będę miała od ciebie list jutro; jedynie ta nadzieja daje mi siłę pisania dziś wieczór. Powiesz mi, czyś już spokojny o zdrowie drogich osób; powiesz mi coś o swoim powrocie, słowem, będziesz mówił do mnie: gdybyś wiedział, jak bardzo się czuję odarta, opuszczona, kiedy nic nie wiem o tobie! Jakież ten ostatni liścik był krótki! Jaki smutny, zimny! Mam uczucie, że mówiąc mi o swoim niepokoju, a nawet przestachu, nie mówisz wszystkiego! Co ci było! Czyżbyś krył przede mną swoje serce? Czyżbyś jeszcze chciał rozdzierać moje? Czyż nie rzekłeś, że powiesz mi wszystko, że będziesz miał ufność bez granic; że jestem twoją przyjaciółką; że dusza twoja należy do mojej; że pozwolisz mi żyć każdym twoim drgnieniem; że nie będziesz krył przede mną tego, co by mogło zranić me serce? Drogi mój, poznaj mnie dobrze, rozważ, czym jestem dla ciebie, i skoro poznasz naprawdę, ręczę ci, niepodobieństwem ci będzie powziąć zamiar oszukania mnie, a nawet skrywania czegoś przede mną.

Sobota rano

Rozstałam się z tobą wczoraj, pragnąc cię oszczędzać: byłam tak smutna! Wracalam z *Orfeusza*. Ta muzyka doprowadza mnie do szału; porywa mnie, nie mogę już opuścić ani dnia; dusza moja chciwa jest tego rodzaju cierpienia. Mój Boże! Jakże ja źle dostrojona jestem do tonu wszystkich, którzy mnie otaczają! A mimo to nikt chyba tyle nie cenil przyjaźni. Moi przyjaciele, to najzaciejsi ludzie; niestrudzeni w staraniach, czułości; zrozumieć mi wręcz trudno, co mogą znajdować we mnie, co ich tak przywiązuje. To moje nieszczęście, mój niepokój, to co mówię, czego nie mówię, ożywia ich i rozgrzewa. Tak, widzę to, zacne i tklive osoby kochają nieszczęśliwych; mają oni jakiś powab, który zajmuje i przykuwa duszę; człowiek lubi się czuć dobrym, a nieszczęścia drugich mają tę właściwą miarę, która pozwala współczuć, nie cierpiąc samemu. Dobrze więc! przyrzekam im tę strawę, póki mi starczy życia.

Mój przyjacielu, chciałam ci powiedzieć ostatnim razem, że powinien byś zamieszkać w tym samym domu co kawaler d'Aguesseau: to by wam oszczędziło trudu szukania się wzajem; tobie byłoby wygodnie, a ja byłabym pewna, że nie opuścisz mej dzielnicy. Tak, zawsze interes osobisty pokrywa, ożywia wszystko, a głupcy i dudki, którzy napadali Helwejusza, nigdy z pewnością nie kochali, ani nie zastanawiali się. Dobry Boże, iluż to

ludzi żyje i umiera, nie zaznawszy ani jednego, ani drugiego! Tym lepiej dla nich, a tym gorzej dla nas; tak, tym gorzej: nie umiałabym ci bowiem wysłowić odrazy, zdwojonej odrazy, jaką czuję w sobie, nie tylko dla głupców, ale dla tych ludzi, którzy są tak bardzo na moją miarę, że przewiduję wszystko, co powiedzą, zaledwie otworzą usta! Och! jestem bardzo chora! Nie mogę już cierpieć ludzi, którzy są do mnie podobni; wszystko, co jest jedynie *obok* mnie, zdaje mi się zbyt małe; trzeba mi musieć podnosić oczy, gdy patrzę, inaczej wszystko nudzi mnie i nuży! Drogi mój, towarzystwo przedstawia dla mnie obecnie jedynie dwa uroki: muszę albo kochać, albo też musi mnie ktoś oświecać; rozum nie wystarczy, trzeba dużo, dużo rozumu. Z tego wynika, że jestem w stanie znosić rozmowę już tylko kilku ludzi i czytam już tylko kilka książek. Mimo to więcej jest ludzi, którzy mają prawa do mego zainteresowania; ale to siłą przyjaźni i ufności, i to nie zmienia w niczym usposobienia mego dla ogółu. Oto rezultat: to, co jest niżej mojej miary, usypia mnie i nuży; jedynie co jest wyżej mnie, podtrzymuje mnie i odrywa od samej siebie; powiem zawsze jak ów starożytny: *Moi przyjaciele, ratujcie mnie ode mnie samego*. Wszystko to dowodzi, że próżność zupełnie wygasła we mnie, zastąpił ją natomiast powszechny i śmiertelny przesyt.

Hrabina de Boufflers nie doszła do tego, toteż jest bardzo miła. Widywałam ją często w tym tygodniu; we środę była na obiedzie u pani Geoffrin; była czarująca: nie powiedziała ani słowa, które by nie było paradoksem; wyzywała ataki i broniła się tak dowcipnie, że niedorzeczności były w jej ustach warte niemal tyleż co najoczywistsza prawda. Uważa na przykład, że to wielkie nieszczęście być ambasadorem, mniejsza skąd i gdzie; wydaje się jej to jedynie straszliwym wygnaniem, etc. Rzekła dalej, że w czasie kiedy najbardziej kochała Anglię, nie byłaby się zgodziła osiąść tam inaczej jak pod warunkiem, że będzie mogła wziąć z sobą dwadzieścia kilka osób z liczby serdecznych przyjaciół i kilka tuzinów innych, które jej są absolutnie potrzebne do życia; i to z całą powagą, a zwłaszcza zapalem, zwierzała nam te potrzeby swej duszy! Chciałabym, abyś był widział zdumienie, z jakim patrzył na nią milord Shelburne. Jest to człowiek prosty, naturalny, pełen duszy, siły: ma skłonność i pociąg jedynie do tego, co jest doń podobne, przynajmniej pod względem naturalności. Złożył wizytę panu de Malesherbes; wrócił zachwycony. Mówił do mnie: „Widziałem po raz pierwszy w życiu coś, czego istnienia nie przypuszczałem: człowieka, którego dusza jest absolutnie wolna od lęku i nadziei, a mimo to pełna życia i ciepła. Nic nie może zmącić jego spokoju, nic mu nie jest potrzebne, a jednak obchodzi go żywo wszystko co dobre. Słowem — dodał — wiele podróżowałem, a nigdy nie odniosłem równie głębokiego wrażenia. Jeżeli przez czas, który mi został do życia, dokonam czego dobrego, jestem pewien, że to wspomnienie pana de Malesherbes pobudzi mą duszę”.

Oto, mój przyjacielu, piękna pochwała, a ten, który ją wygłosił, jest z pewnością nieprzeciętnym człowiekiem. Uważam go za wielce szczęśliwego, że urodził się Anglikiem i że jest głową stronnictwa. Widywałam go często: co jego, to zawsze byłam gotowa słuchać: cóż za bystry, gorący, podniosły umysł! Przypominał mi nieco dwóch ludzi, których kochałam i dla których byłabym chciała żyć albo umrzeć. Odjeżdża za tydzień i rada jestem z tego: wskutek jego pobytu, tak się składa, iż jem co dzień obiad w towarzystwie jakich piętnastu osób, a to mnie jeszcze bardziej nuży niż zajmuje. Trzeba mi spokoju: organizm mój jest rozbity. Bywaj zdrow, miły mój; czekam poczy. Oto czego potrzebuję.

LIST LXVIII

Sobota, po otrzymaniu poczy, 22 października 1774

Mój Boże, jakaż jestem niespokojna i zmartwiona tym, co mi donosisz! Przypuszczam zaraz wszystko, czego się obawiam, osądź tedy, czy podzielam twą mękę. W takiej chwili oddalenie staje się wręcz nie do zniesienia! Drogi mój, twój ból jest moim, straszne jest dla mnie nie móc ci przynieść ulgi. Gdybym była z tobą, zdaje mi się, że zagarnęłabym tak dobrze wszystkie twoje obawy, wszystko, co cię przyprawia o drżenie, że zostałoby ci jedynie to, czego by mi było niepodobna odjąć. Podzielić to nie dosyć: cierpiałabym przez ciebie, dla ciebie; przy tej tkliwości i oddaniu nie ma cierpienia, które by nie zelżało, i niepokoju, który by się nie uśmierzył.

Mój Boże, jaka ja nieszczęśliwa! W jedynej chwili, kiedy moje przywiązanie mogłoby ci przynieść ulgę, jestem skazana na to, aby być bezużyteczną. Wszyscy, co cię kochają, powiedzą ci to samo co ja, lepiej niż ja z pewnością; jestem zanadto blisko ciebie, aby wyrazić, co czuję. Czy istnieją tedy słowa, aby oddać wszystkie drgnienia duszy cierpiącej, duszy ściętej grozą, której nieszczęście wzbronilo wszelkiej nadziei? Drogi mój, w stanie, w którym się znajduję, można się wytłumaczyć i wyrazić jedynie w tych słowach: *Kocham ciebie*. Gdyby mogły wnikać w twoją duszę tak, jak ja je czuję! Tak, jakie bądź byłoby twoje nieszczęście, doświadczyłbyś uczucia słodczy. W tej to chwili odczuwam śmiertelny żal, iż nie masz dość przywiązania dla mnie. Drogi mój, ileż znaleźlibyśmy w nim pociechy: lekarstwo zjawiloby się równocześnie z chorobą. Kiedy się jest nieszczęśliwym, jakże okropnym jest wówczas kochać jedynie *słabo*! W sobie to człowiek znajduje prawdziwą siłę, a nic nie daje jej tyle co namiętność. Uczucie cudze jest nam miłe, wzrusza nas; ale jedynie własne krzepi. Ale jakże mało kto posiada ten środek: prawie każdy kocha jedynie dlatego, że jest kochany. Mój Boże, cóż za mizerny rodzaj uczucia, jakże słaby i nikły! Ale to nie zależy od woli ani od myśli. Równym byłoby tedy szaleństwem starać się pobudzić uczucie jak silić się je zgasić. Zostańmy, jak jesteśmy, póki natura, lub nie wiem sama co, nie rozrządzi inaczej.

Ale ty jesteś za dobry, tysiąc razy za dobry, iż zajmujesz się mymi cierpieniami. Cierpieć stało się mym istnieniem; mimo to lepiej się czuję od czasu, gdy jestem na kurczęciu za całe pożywienie: mniej cierpię. *Odźwiernik* mniej protestuje przeciw kurczątkom, i słusznie: to najlepsze stworzenia pod słońcem, zawsze gotowe dać się poćwiartować dla całego świata; co do mnie, zdobyły zupełnie mą sympatię i radzę panu raczej ich się trzymać niż tego ciężkiego bydlęcia, wołu, którego tak trudno jest zdławić. Bądź zdrow, miły, mówię ci o sobie, a czuję tylko ciebie. Od dziś do poniedziałku, będę na torturach. Napiszesz, mam nadzieję.

Jedzenie, Zwierzę

LIST LXIX

Niedziela wieczór, 23 października 1774

Drogi mój, muszę koniecznie mówić z tobą, aby się uspokoić, aby się uwolnić od myśli, która mi dolega. Czekam jutrzejszej poczty z niecierpliwością, którą ty jeden może umiesz pojąć. Tak, ty mnie rozumiesz bodaj, jeżeli nie jesteś zdolny mi odpowiedzieć, a to już coś; milej, słodziej bez wątpienia byłoby prowadzić dialog, ale i monolog jest znośny, kiedy można sobie powiedzieć: mówię sama, ale ktoś słyszy mnie i rozumie.

Drogi mój, znajduję się w stanie fizycznym wręcz oplakany: przypisuję to tej *cykucie*: zachowała, jak sądzę, jakąś właściwość trucizny. Doznaję uczucia jakiejś niemocy, lęku; dwadzieścia razy w ciągu dnia myślałam, że zemdleję; w tej chwili nawet dziwnie mi nieswojo. Czuję to, co mówił Fontenelle na krótki czas przed śmiercią: *wielką trudność istnienia*. Ale to, co ożywia mą duszę, daje mi siłę mówienia do ciebie, doprawdy bowiem cały dzień nie zdobyłam się na to, aby się poruszyć ani odezwać. Nie wiem, czy pisałam o Crillonach; widywałam ich często w ostatnim tygodniu; hrabia tonie w upojeniu; mówił mi, że gdyby żona jego nie miała ani grosza, jeszcze uważałby, że zrobił doskonały interes. Podoba mu się i odpowiada pod każdym względem. Cóż za szczęście! Pojmujesz, jak mnie to cieszy. Wspominałam ci, że fizjognomię ma dość pospolitą, ale zdaje mi się, że ma dobrze w główce; jest uprzejma, miła i bardzo chce się podobać. Mimo to wszystkie te zalety nie czyniłyby jej w mych oczach godną zostać żoną człowieka, który mi jest najdroższy w świecie. Miły mój, jestem tego bardziej pewna niż kiedykolwiek: człowiek, który ma talent, geniusz i przeznaczony jest do sławy, nie powinien się żenić. Małżeństwo jest prawdziwym gasidłem wszystkiego co wielkie, co może mieć blask. Jeżeli jest dość uczciwym i czułym, aby być dobrym mężem, jest już tylko tym; bez wątpienia, to byłoby dosyć, o ile w tym mieści się szczęście. Ale istnieją ludzie, których natura stworzyła, aby byli wielcy, a nie, aby byli szczęśliwi.

Diderot powiedział, że natura, tworząc genialnego człowieka, potrząsa mu pochodnią nad głową, powiadając: *Bądź wielkim człowiekiem i bądź nieszczęśliwym*. Oto, jak sądzę, co wymówiła w dniu, w którym się urodziłeś. Dobranoc, nie mam już sił; do jutra.

Poniedziałek, po godzinie poczty

Nie ma listu. Gdyby to był kto inny, przyprawiliby mnie to o drżenie; ale pokrzepiam się nieco, powiadając sobie, że ścisłość i punktualność nie są w twojej mocy. Mam tedy nadzieję, że nie jesteś już nieszczęśliwy; wiem tylko tyle, że nie czułeś potrzeby uspokojenia mnie; to bardzo naturalne, ale przykre. Miły mój, nie czynię ci wyrzutów; żałuję cię jedynie, w jakimkolwiek jesteś usposobieniu, iż odruch twej duszy zwraca się nie do mnie.

Bywaj zdrow. Czuję się przybita i szczególnie osłabiona; trzeba mi wysiłku, aby utrzymać pióro. Nie będę już czekała wiadomości, ale będę ich pragnąć, póki mego tchnienia.

LIST LXX

Wtorek wieczór, 25 października 1774

Byłam niesprawiedliwa; byłoby to przewiną wobec każdego, ale wobec ciebie wyrzucam to sobie jak zbrodnię. Daruj, ukochany; winnam ci była dziękować, a ja oskarżałam ciebie! Ta myśl gnębi mnie tak, jak gdybym to ja była winna, podczas gdy winną była jedynie poczta. Tak dalece nie przypuszczałam tego, iż kiedy mi oddano dziś listy, nie spojrzalam nawet na koperty, tak bardzo było mi obojętne, od czego zacznę, a na czym skończę. Nagle, otwierając drugi list z kolei, wydałam krzyk: to było twoje pismo; serce zaczęło się we mnie łomotać. Jeżeli czekać daremnie jest bardzo dotkliwą przykrością, niespodzianka tego rodzaju stanowi bardzo żywą i bardzo radosną przyjemność.

Miły mój, kocham cię do szaleństwa; wszystko mówi mi o tym, wszystko mi tego dowodzi, często o wiele więcej, niżbym pragnęła. Daję ci więcej, niż ty chcesz; nie potrzebujesz, aby cię tak kochano, ja zaś potrzebowałabym odpocząć, to znaczy umrzeć. Ale jestem nadto egotyczna, zajmuję cię sobą, podczas gdy powinna bym mówić jedynie o rozkoszy, którą odczułam, czytając te słowa: *Czuję się lepiej, czuję się dobrze, jestem spokojny*. Drogi mój, odetchnęłam; zdaje mi się, że mi to wróciło życie i siły; od trzech dni byłam unicestwiona. Powiadają, że to z nerwów, ale ja, która wiem o tym coś więcej od lekarzy, sądzę, że to z ciebie. Jestem jak Łukasz: *wywodzą wszystko z mego zawodu ogrodnika*. Mój Boże, w jaki sposób mogę nastarczyć wszystkiemu, co czuję, co cierpię? A mimo to dusza moja ma tylko dwa uczucia; jedno pożera mnie bólem, a kiedy się zwracam ku temu, które powinno by mnie uspokoić, wówczas ścigają mnie wyrzuty i żal bardziej rozdzierający niż tortury wyrzutów. Znowu ja! Jak ja się brzydzę sobą, iż wciąż wracam do tego! Ale czyliż się oddalę, powiadając ci, jak bardzo uwielbiam twoją serdeczność i szczerłość? Nie ukrywaj mi nigdy nic, za wiele zyskujesz, objawiając mi wszystkie swoje uczucia.

Miły mój, w położeniu zupełnie podobnym do tego, jakie ty przeżyłeś, ale o bardziej opłakanych następstwach, pan de Mora zwierzał mi, prawie w tych samych wyrazach, wrażenia, których doświadczał przy agonii matki. Najwięcej rozdzierającego bólu zadawał mu widok ojca i to było tak szczerze, że i ja czułam się o wiele więcej wzruszona stanem pana de Fuentes niż śmiercią tej kobiety, jakkolwiek powolną i bolesną. Mój Boże, mówiłam ci już, niech ci nigdy nie postanie w głowie chronić mnie, oszczędzać; wierz mi, uczucie moje pędzi mnie o wiele dalej, niż ty mnie kiedykolwiek zdołasz zaprowadzić. Drogi mój, cieszę się, iż rekonwalescencja zdaje ci się tak bliska; ale co bądź powiadasz, zostaniesz dłużej, niż sam myślisz. Już widzę, zapomnisz mi donieść, abym już nie pisała lub też abym pisała do ciebie w drodze; potem, kiedy nie będzie listów, będziesz mnie winił lub może będziesz na tyle dobry, aby się niepokoić, a nieco uwagi byłoby zapobiegło wszystkiemu.

Nie ma nic tak uciészego jak życie wszystkich władców, tak pełne, tak bogate: nazywałeś to, zwięźle jeszcze i głębiej od Tacyta, *wegetacją*. Kawaler de Chastellux jest obecnie w Chanteloup. Nastarcza wszystkiemu i wkłada wiele ambicji w to, aby się tak mnożyć w nieskończoność. Jest tak bogaty i szczodry, że gardzi zbieraniem, wystarczy mu siac; nie bierze nic, idzie przez życie, rozdając wszędzie i wszystkim. Kiedyś jeszcze powiadał mi, że jego przyjemność to *czynić wrażenie*. To jeszcze bardziej proste niż styl pana

de la Harpe: daremnie cię laję, zawsze musisz mu coś obciąć; od tego *de* usta by ci nie spierzchły.

Pan *de Chamfort* powrócił. Widziałam go, a w tych dniach mamy usłyszeć jego *Pochwałę la Fontaine'a*. Wraca z wód w dobrym zdrowiu, o wiele bogatszy w sławę i dostatki i obarczony czterema przyjaciółkami, z których każda kocha go za cztery: mianowicie pani *de Gramont*, *de Rancé*, *d'Amblimont* i hrabina *de Choiseul*. Dobór prawie równie pstrokaty jak i strój *Arlekina*, ale przez to właśnie bardziej jeszcze oryginalny, miły i uroczy. Toteż ręczę ci, że pan *de Chamfort* jest to młody człowiek bardzo z siebie zadowolony i że dokłada nie lada starań, aby być skromnym. Pan *Grimm* też powrócił; zasypałam go pytaniami. Maluje carycę nie jako monarchinię, ale jako uroczą kobietę, pełną dowcipu, werwy i mnóstwa zalet zdolnych pociągać i czarować. We wszystkim, co mi mówił, widziałam raczej uroczą sztukę greckiej kurtyzany niż godność i blask cesarzowej wielkiego władztwa.

Ale wraca nam i inny malarz, i to większej miary, *Diderot*; kazał powiedzieć, że będzie u mnie jutro. Bardzo się cieszę, ale w obecnym stanie duszy jest to człowiek, którego ze wszystkich na świecie najmniej często rada bym widywać. Zmusza do uwagi: a to jest rzecz, której nie mogę ani nie chcę użyzyć na dłużej nikomu. Kiedy mówię *nikomu*, rozumiesz dobrze, znaczy to, iż nie chcę, aby mnie ktoś odrywał od tego, kto wypełnia wszystkie moje myśli. Cóż za ciężkie wytłumaczenie. Ale bo z pana taki głuptasek: trzeba ci kłaść łopatą do głowy, kiedy się chce, abyś coś rozumiał. Miły mój, nie przestrasz się; zdaje mi się, że tym razem dostaniesz całą ryzę papieru, ani ćwiarteczki mniej. Odłóżysz lekturę na czas, gdy usadowisz się w kolasce; wypełnię ci drogę i znajdziesz mnie na końcu. Jak to! naprawdę sądzisz, że będziesz rad mnie zobaczyć? Jakież to miłe, co mówisz! Jak byłoby słodko, doprawdy, być kochaną przez ciebie! Ale moja dusza nie zdołałaby już udźwignąć tego szczęścia; to byłoby nadto. Kilka chwil, kilka błysków zachwytu, to dość dla nieszczęśliwych: oddychają i nabierają odwagi, aby cierpieć.

LIST LXXI

Środa, 26 października 1774

Odczytałam znów twój list; jest w nim słówko, które mnie uszczęśliwiło, przeoczyłam je wprzódy; mianowicie kiedy powiadasz: *wracam do naszych utrapień*. Miły mój, jeżeli się omyliłam, nie wyprowadzaj mnie z błędu; ale lękam się obecnie dla ciebie tylu wzruszeń, tylu bezsennych nocy; czy sam nie wpadniesz w chorobę? Umieram z lęku. Och! powiedz mi, na jakiej myśli mogłabym się zatrzymać, aby odetchnąć spokojnie? Na chwili twego powrotu! Nie, nie, drogi mój, ten powrót przyprawia mnie o drżenie: nie śmiem go nawet pragnąć, a gdyby się opóźnił, zdaje mi się, że nie przeżyłabym tego. Pojmujesz bezmiar tego szaleństwa? Ta niedorzeczność nie płynie z fałszywego rozumowania, ale pochodzi z duszy wstrząsanej najbardziej sprzecznymi poruszeniami, które rozumiałbyś może, ale których nie możesz podzielić.

Przerwano mi, zawsze pani *de Chatillon*. Zaczynam wierzyć, iż gdy chodzi o zdobycie uczucia, największą siłą jest kochać samemu. Nie, nie możesz sobie wyobrazić, co ona wymyśla, aby wcisnąć się do mego serca. Miły mój, gdybyś mnie kochał tak jak ona! Nie, nie chciałabym tego: niech mnie niebo strzeże, bym miała zaznać dwa razy podobnego szczęścia.

Piątek, 28 października 1774

Co mówisz o tej *inwokacji*? Nie wydaje ci się objawem maligny? Nie, miły mój, płynie z szlachetnego uczucia. Obraziłam pana *de Mora*, a mimo to znajduję pewną słodycz w myśli, że on jeden dał mi poznać szczęście; że jemu tylko będę zawdzięczała, iż czułam przez kilka chwil całą wartość życia. Wreszcie, niekiedy uważam się za mniej winną, ponieważ czuję się ukaraną, a pojmujesz dobrze, że gdybyś mnie kochał, wszystko to zartarłoby się, rozpadło. Trzebaż dźierżyć się cnoty bodaj przez wyrzuty i tego, który mnie kochał, przez żal, iż go straciłam. Ten żal jest bardzo żywy i bardzo rozdzierający; ledwie kilka dni temu przyprawił mnie o konwulsje rozpacz.

Zmuszono mnie, bym poszła oglądać Lekaina w *Tankredzie*; nie widziałam go od czasu jego rozkwitu i nie kusilo mnie to bynajmniej. W końcu poszłam: pierwsze dwa akty zdziwiły mnie zupełnie; trzeci budzi zainteresowanie, które rośnie aż do końca; w piątym akcie były chwile, słowa, które kazały mi przenieść scenę do *Bordeaux*: miałam uczucie — to nie jest tylko przenośnia — że skonam; straciłam przytomność, całą noc trzeba było czuć przy mnie, mdlałam bez ustanku. Nie mogłam ci mówić o tym w ostatnich dniach, za blisko byłam wrażenia, którego doznałam; przyrzekłam sobie solennie nie szukać już tych straszliwych wstrząśnień. Jedynie *Orfeusza* jestem w stanie znieść, a widzę z żalem, że już go nie zobaczysz; 8 listopada dają nową operę: muzyka Floqueta; głupia publiczność zasmakuje w niej może: po rzeczy wspaniałej będzie oklaskiwać mierne, a nawet ohydne.

Ostatecznie pan Dorat święci tryumfy: mimo to, to publiczność tworzy reputację, ale publiczność na dłuższą metę; tej doraźnej bowiem nigdy nie staje smaku ani wykształcenia, aby wycisnąć pieczęć na tym, co ma przejść do potomności.

Drogi mój, wyślę ten list za recepisem, aby zaś pakiet miał większą objętość, dołączam świeże broszury: nie dlatego, że dobre, ale że nowe, zresztą ty czytasz wszystko. Wszyscy są w Fontainebleau, ale został nam baron de Kock i takiż de Gleichen, a nawet uważam, że zostają zbyt długo dziś wieczór; nie wiem, czy się mylę, ale mam uczucie, że samotność przyniosłaby mi ulgę; towarzystwo nie zajmuje mnie prawie nigdy, ciąży prawie zawsze. Jakież ze mnie niewygodny chory! Daremnie się przewracam, ciągle mi źle. Bądź zdrow, miły.

Był u mnie przed chwilą hrabia de Crillon: Diderot powiedziałby, że jest urzeczony, a ja, ponieważ mam dlań wiele przyjaźni, bardzo się z tego cieszę. Mówiłam mu dziś wieczór, iż przyszedł odetchnąć złym powietrzem i że w upojeniu szczęścia, w którym żyje, zachodzi mnie odwiedzać chyba po to, aby dopełniać dzieła miłosierdzia: jestem dlań czymś z owych symbolów, które wielu filozofów przechowywało, aby ich nawoływały do dobroci i zacności. Oczekuje przyjaciela, księcia de Salm; nie wiem nic o jego rozumie, ale wiem lepiej: jest tkliwy i zacny; listy jego nie pozwalają wątpić o tym. Ale gdy mowa o listach, jakież urocze są listy pocziwego Condorceta! Gdybym szła za pierwszym popędem, przesłałabym ci swoje wrażenia; później rozmyślałam się, powiedziałam sobie: wróci, dam mu to do przeczytania; wyśmieje mnie, nazwie egzaltowaną. I cóż, więc dobrze, jestem; ale on będzie przy mnie. Miły mój, za tę cenę, zgodziłabym się nie mieć zdrowego sensu w głowie przez resztę życia: ale założę się, ty byłbyś bardziej wymagający, rzuciłbyś mnie; znalazłabym się z powrotem w tłumie, a głupota znajdzie pociechę na wszystko.

Przypuszczam, że w tych czasach *Grakchowie* poszli mocno w odstawkę; wrócisz do nich z tym większym zapalem i świeżością. Drogi mój, podziwiał moje *przejście*, głupota prowadzi mnie do geniuszu i ta droga zdaje się dość naturalna: to pan Turgot po księdzu Terray. Są wypadki, w których stopniowanie i pośrednie ogniwa powinny zniknąć.

Nie wiem, co począć z czasem do soboty: zwałę na ciebie nieco tego ciężaru, zmuszając cię do słuchania. Obiecaj sobie długi list jutro. Gdybym się zawiodła! Gdyby miał być tylko na cztery strony! Doprawdy, zrobiłabym panu scenę.

Drogi mój, widzisz, pomyślność w głowie mi przewraca; staję się prawie zuchwałą, dlatego że miałam wieści od pana dzisiaj. Co jest pewne, to iż, gdyby ktoś mógł znać mą tajemnicę, poznałby po moim zdrowiu, po moim sposobie bycia, czy miałam list. Tak, krążenie krwi zmienia się wyraźnie od tego, niepodobna mi wówczas zainteresować się cymkolwiek. Do czego nie mogę się przyzwyczaić, to do zdwojonej troskliwości mych przyjaciół. Mój Boże, czy by mnie żalowali, gdyby widzieli głębię mej duszy? Czy taka uzurpacja nie jest zbrodnią? Drogi mój, nie staraj się omamić mego sumienia; powiedz, że jestem bardzo winna, żałuj mnie, pociesz: aż nadto mnie zbłąkałeś.

Mam ochotę przesłać ci list, który czytałam dziś przed twoim: gdybym mogła przeczytać, nie w takim porządku przystąpiłabym do lektury. Ujrzysz w tym liście, czy cierpiałam przez twą nieobecność. Tak, przyprawiłam o niepokój pana d'Alembert. Ten człowiek nie odgadł nigdy ani słowa z tego, co mnie zaprzętało; uważa mnie za ofiarę cnoty i prze-

sądu: ale od trzech lat widzi mnie tak nieszczęśliwą, że często skłonny jest wziąć mnie za obłąkaną. Wciąż kluje mnie niby szpileczkami; ale w gruncie ostrze ich tkwi zawsze w uczuciu lub w żalu do mnie. Czytaj, sądz; to pewna, że to jest niepospolity człowiek.

LIST LXXII

Niedziela, 30 października 1774

Otrzymałam wiadomość zbyt późno; odszedł już ogromny pakiet dzisiejszą pocztą. Kiedy przyszedł twój list, posłałam już swój do pana Turgot, aby go dać kontrasygnować. Zamierzałam pisać po przyjeździe listonosza jeszcze słówko zwyczajną drogą, ale mniejsza, mam nadzieję, że moje foliały nie zaginą; poczta doręczy je panu i to tym troskliwiej, że widnieje na nich nazwisko pana Turgot.

Doprawdy, zdaje mi się, że łatwo jest krytykować cię, nie raniąc, ale nie jest równie łatwo chwalić cię tak, jak to czuję, jak byś zasługiwał, nie stając się bardzo przesadną, mdlą i monotonną. Ha, trudno, godzę się z tym losem, i powiem ci całkiem pospolicie, że twój list do pana Turgot jest wyborny, doskonały: oto właściwy ton i miara, słowem, to jesteś ty; i nie znam nic lepszego, ani nic więcej w całym świecie. Mówiłam ci, drogi mój, że obecnie jestem zdolna patrzeć jedynie na to, co mi każe podnieść oczy; co do ciebie, jesteś tak wysoko, że nie mogłabym tego znieść dłużej bez wielkiego wysiłku. Aby znaleźć wytchnienie, uczynię jak Magdalena: wybrała miejsce u stóp Chrystusa żyjącego wśród ludzi. Miły mój, nie powinnam być ani bardziej wymagająca, ani wybredniejsza niż tak wielka święta, ty zaś nie możesz silić się na większą skromność niż Bóg-Człowiek, do którego cię przyrównuję. Jeśli to porównanie wyda ci się szalone, pomyśl, że kocham do szaleństwa.

Ale, miły mój, co ty robisz, jak ty poczynasz sobie ze mną? Czy ty wiesz, że mnie wychwalasz tak, jakbyś potrzebował zabiegać się o moje względy? Ej, dobry Boże, czyżbyś zapomniał, że z tej strony los twój jest pewny? fortuna twoja w tej mierze jest bez granic; to fortuna Beaujonów, Clive'ów, la Borde'ów etc. Jakżebym chciała, abyś miał w istocie fortunę, nie taką jak owi nieszczęśliwcy, których wymieniłam: ci umierają z nudów na swoich bogactwach, ale chciałabym dla ciebie swobody, którą daje dostatek; chciałabym, abyś nie był zmuszony łamać ręk i nóg swoim talentom, skręcać karku swoim genialnym darom; słowem, chciałabym, abyś nie był zmuszony wchodzić w ciżbę. Tak, daję słowo, jedynie dla ciebie, jedynie w interesie twojej sławy, małżeństwo przeraża mnie; pod tym względem mogę ci szczerze powiedzieć:

Dzień jasny nie jest czystszy niżli moje chęci.

To wszystko rzekłszy, mój przyjacielu, gdyby nadarzyła się jaka doskonała partia, gdybyś miał coś na widoku, gdybym ja, moi przyjaciele, gdybyśmy mogli być ci pomocą, możesz liczyć na zapał, gorliwość i czynność, jaką włożylibyśmy w powodzenie sprawy. Tak, poznałabym jeszcze raz szczęście i zadowolenie, gdybym mogła widzieć cię szczęśliwym, choćby to było szczęście — chcę powiedzieć tego samego rodzaju — hrabiego de Crillon. Och! jakimż on będzie dobrym mężem! Dobrze zrobił, iż objechał świat dokoła, nim się ożenił; żona jest, jak sądzę, dla niego krańcem świata; myśl jego nie idzie dalej. Mój Boże, jakież on szczęśliwy! Ale, drogi mój, on nie napisze *Grakchów*, nie napisałby również pięknych wierszy, które wyczytałam w twoim liście! Ta potrzeba *nasilonego życia* jest, jak sądzę, potrzebą potępionych. To mi przypomina pewne powiedzenie, które sprawiło mi wielką przyjemność: *Gdybym kiedykolwiek, mówiono mi, mogła odzyskać spokój, miałabym uczucie, że jestem na torturach.*

Ten język jest jedynie na użytek ludzi, którzy są obdarzeni szóstym zmysłem, *duszą*. Tak, drogi mój, jestem dość szczęśliwa lub dość nieszczęśliwa, aby mieć ten sam słownik co ty. Rozumiem lub raczej czuję twoje rozróżnienia, twoje określenia, w trzech czwartych zaś nie rozumiem kawalera de Chastellux. Jest tak zadowolony z tego, co robi, tak dobrze wie wszystko, co uczyni, tak kocha rozsądek, słowem, jest tak uporządkowany we wszystkim, że po sto razy bliska byłam omylić się, mówiąc i pisząc do niego; miałam

powiedzieć lub napisać: kawaler Grandisson⁶⁵; ale nie zazdroszcząc losu Klementyny ani też miss Gléon.

Wiesz, że hrabia de Broglie został komendantem Metz, na miejsce pana de Confans. Oto, mój przyjacielu, *człowiek sprytny*, ale chciałabym, aby stał się użyteczny tobie, który nie masz jego sprytu. Ale, ale: przypominam sobie, iż chciałam ci przytoczyć jedno odezwanie carycy do Diderota. Spierali się często; jednego dnia, kiedy sprzeczka stała się zbyt gwałtowna, caryca przerwała, mówiąc: „Jesteśmy nadto podnieceni, aby myśleć rozsądnie; pan masz głowę zapalną, ja także jestem dość gorąca, Bóg wie, co byśmy sobie nagadali”. „Z tą różnicą — rzekł Diderot — że W. C. M. mogłaby mi powiedzieć bez obawy, co by się jej podobało, ja zaś mógłbym jej uchybić”. „Ale fe! — odparła caryca — alboż istnieje jaka różnica między ludźmi!”.

Mój przyjacielu, czytaj, pomyśl dobrze i nie bądź tak tępy jak pan d'Alembert, który widział w tym jedynie różnicę płci, podczas gdy to jest uroczę jedynie tym, iż to monarchini mówi do filozofa, do naczelnika sekty etc.

Innym razem znowu rzekła doń: „Czasem mam uczucie, że pan masz sto lat, a często znów wydajesz mi się dwunastoletnim dzieckiem”. Prawda, drogi mój, jakie to miłe, ładne i jak dobrze maluje Diderota. Gdybyś kochał dzieci, powiedziałabym, co zauważyłam: otóż to, co nas chwyta za serce, ma do pewnego stopnia zawsze jakąś analogię z dziećmi: tyle mają wdzięku, miękkości, naturalności! Słowem, Arlekin jest zespoleniem kota i dziecka, a czy było kiedy coś wdzięczniejszego? Wiesz, czym mnie martwi ten pakiet, który będzie gonił za panem? To że zbyt późno otrzymasz moje przeprosiny, iż oskarżałam cię niesłusznie; poczta była winna, a ja mimo woli stałam się jej współniczką. Ale czy to pan, czy poczta jest tym razem sprawcą zamieszania? Piszesz: *Odpowiadam na pani listy z 9 i 14-go*. Dlaczego przeskakujesz równymi nogami przez II, który przypadał na wtorek? Ja pisałam wszystkimi kurierami od pewnej epoki, w której oszalałam i to najbardziej oplakany szaleństwem.

Drogi mój, minie cię wielki dzień, dzień powrotu Parlamentu. Gapie obiecują sobie wiele rozkoszy; ludzie *stateczni*, jak ja, nie zajmują się tym pierwszym momentem; dopiero następstwa, konsekwencje są niezmiernie doniosłe. Przekonamy się, czy to sędziów czy tyranów posadzono z powrotem na fotele ukwiecone lilią.

Ha, ha! czemu nie rozmawiam z kawalerem de Chastellux o *Orfeuszu*? Mój przyjacielu, dla tej samej przyczyny, dla której byłoby barbarzyństwem mówić ślepemu o kolorach. Bądź zdrów.

LIST LXXIII

Poniedziałek, jedenasta wieczór, 1 listopada 1774

Drogi mój, zdaje mi się, że ty masz władzę nad każdym drgnieniem i uczuciem mej duszy. Winna ci jestem rachunek z wszystkich myśli; mam wrażenie, że dopiero dzieląc się nimi, utrwalam je sobie na własność; słuchaj tedy i osądź mój sąd lub raczej mój instykt, tylko to bowiem posiadam wobec płodów dowcipu, smaku i sztuki. Tak, drogi mój, Akademia Marsylska postąpiła sprawiedliwie, nagradzając pana de Chamfort. Mój Boże, ileż wyższą od innych wydaje mi się *Pochwała*⁶⁶, która sprawiła mi i sprawi jeszcze tyle przyjemności! Jakież to świetny pisarz, jak bogaty i to we wszystkie rodzaje dowcipu, wykwintu, podniosłości, siły i filozofii! Cóż za żywy, barwny i wartki styl, jak iskrzy się od szczęśliwych zwrotów! Cóż za oryginalny ton, język! Słowem, jestem oczarowana i to do tego stopnia, iż gdybym się nie lękała zepsuć ci przyjemności, przytoczyłabym ci dziesięć rysów, jeden świetniejszy od drugiego.

Drogi mój, polecam ci stronice 44. Powiedz, czy się mylę? Czy nie jest pełna najwyborniejszego czucia? Czy nie uszlachetnił dobrodziejstw i wdzięczności? Czy nie wyraża wszystkich uczuć, jakie tkliwa, podniosła i gorąca dusza pragnęłaby doświadczać i budzić? Słowem, drogi mój, tak mi się podoba ten utwór, iż pragnęłabym, abyś to ty go napisał;

⁶⁵kawaler Grandisson — bohater powieści Richardsona. [przypis tłumacza]

⁶⁶Akademia Marsylska postąpiła sprawiedliwie, nagradzając pana de Chamfort (...) wyższą od innych wydaje mi się „Pochwała” — w owej epoce modne były konkursy akademickie na pochwały wszelakich wielkich ludzi. [przypis tłumacza]

mimo to pewna jestem, że napisałbyś lepiej jeszcze: wzbilibyś się wyżej, a nie miałbyś jego braków. Ale powiedz prędko: czy za dużo spalam entuzjazmu? Przynajmniej nikt mi go nie udzielił: nie widziałam się ani nie rozmawiałam z nikim. Otrzymałam tę *Pochwałę* o dziewiątej: umierałam z niecierpliwości, aby się znaleźć sama; przeczytałam ją i przesyłam ci pierwsze wrażenie na ryzyko, iż uznasz mnie za wariatkę.

Ale, drogi mój, niech cię nic nie odstręcza od tego, aby mi czytać to, co napiszesz: niech ci będę ową służącą Moliera; nie będę rozumowała, ale odczuję wszystko. Ileż w tym smaku i rozsądku, iż ścieśniłeś swój przedmiot! W najwyborniejszych tragediach bywają rozwlekłości i miejsca martwe; ty unikniesz tych dwóch błędów: wszystko będzie pełne życia i ciepła; cały czas, przedmiot i akcja sztuki będą podtrzymywały słuchacza. Drogi mój, czemu ten *ślub* nieprzeczytania mi zaraz, natychmiast tego, co chciałabym już czuć i znać? Czy *Grakchowie* to nie będziesz ty? Czy to, co ciebie ożywia, nie jest tym właśnie, co chciałabym słyszeć i rozpamiętywać całe życie?

Mój Boże, jak ty mnie źle zrozumiałeś zrazu, a jak dobrze mi odpowiadasz później co do milorda Shelburne! Tak, właśnie dlatego szanuję go i kocham, iż jest wodzem opozycji. Jakże nie miałbyś rozpaczać, iż zrodziłeś się pod tym rządem, kiedy ja, słaba i nieszczęśliwa istota, gdybym się miała urodzić na nowo, wolałabym raczej być ostatnim członkiem Izby Gmin niżeli królem pruskim! Jedynie sława Woltera mogłaby mnie pocieszyć, iż nie urodziłam się Angielką. Jeszcze jedno słowo o milordzie Shelburne i już nie wspomnę o nim nigdy, jako że: *Sztuka nudzenia polega na tym, aby powiedzieć wszystko*⁶⁷.

Wiesz, w jaki sposób milord daje wytchnienie głowie swej i duszy po wzruszeniach polityki? Pełniąc czyny miłosierdzia godne monarchy; tworząc zakłady publiczne służące wychowaniu wszystkich mieszkańców jego dóbr; wchodząc w szczegóły ich wykształcenia i dobrobytu. Oto wytchnienie człowieka, który ma dopiero trzydzieści cztery lata i którego dusza jest równie tkliwa jak wielka i silna. Oto Anglik godny być przyjacielem cudu i fenomenu Hiszpanii⁶⁸; oto człowiek, którego chciałabym, abyś poznał; ale żałowałbyś go, bo z pewnością nie jest to człowiek stworzony, aby żyć w tym kraju. Wyjeżdża 13-go: chciał widzieć powrót Parlamentu; w oczekiwaniu pławi się w rozrywkach Paryża. W życiu swoim nie zaznał tego rodzaju wywczasów; znajduje w nich wiele uroku i słodyczy. „To jest przyjemne — mówił do mnie — ponieważ nie będzie trwało; na dłużej bowiem ten tryb życia stałby się najuczuciwszą nudą”. Jakie to odległe od Francuza, od miłego lalusia ze dworu! Prezydent Montesquieu ma słuszość: ustrój rządu kształtuje ludzi. Człowiek obdarzony energią, wzniosłością i geniuszem jest w tym kraju jak lew na łańcuchu; uczucie własnej siły staje się mu męczarnią, to olbrzym zmuszony chodzić na kolanach.

Drogi mój, jedna jest tylko droga otwarta do sławy, ale piękna: to droga Molierów, Racinów, Wolterów, d'Alembertów, Condorcetów etc., etc. Tak, drogi, trzeba się ograniczyć do tego, skoro nauka tak chciała. Dobranoc; nie wiem, czy ten list odejdziesz, ale ugadałam się z tobą i uczyniłam sobie zadość.

Wtorek rano

Widzę, że poczta do Bordeaux odchodzi dziś rano, wysyłam zatem list. Gdybyś miał, jak mówiłeś zrazu, przybyć 13-go, byłoby to daremne. Donieś mi, skądkolwiek będziesz pisał, czy od 21 października do 1 listopada nie pisałeś do mnie ani razu. Poczta z poprzedniego poniedziałku i soboty minęła bez żadnej wiadomości. Nie umiem wyrazić, jak mnie to przygnębia; dusza moja jest martwa, ciało w stanie cierpienia, który obudziłby w tobie litość. Bądź zdrow, drogi; jeżeli usłuchasz pana Turgot, będziesz tu 13-go.

LIST LXXIV

Do pana De Guibert, Hotel Burgundzki, ulica Taranne

Niedziela, dziesiąta wieczór, 13 listopada 1774

⁶⁷*Sztuka nudzenia polega na tym, aby powiedzieć wszystko* — Wolter. [przypis tłumacza]

⁶⁸(...) *przyjacielem cudu i fenomenu Hiszpanii* — pana de Mora. [przypis tłumacza]

Drogi mój, zadajesz mi ból; to uczucie, które mnie ożywia, jest wielkim przekleństwem dla ciebie i dla mnie. Miałeś słuszość, kiedyś mi mówił, iż nie potrzebujesz być tak kochany, jak ja umiem kochać; nie, to nie na twoją miarę: jesteś tak skończenie miły, że musisz być ulubieńcem tych uroczych dam, które kładą sobie na głowę wszystko, co miały wewnątrz i które są tak miłe, że miłują się ponad wszystko. Staniesz się szczęściem, zadowolisz ambicję prawie każdej z nich. Przez jaką fatalność ocaliłeś mnie dla życia, a każesz mi umierać z niepokoju i bóleści? Drogi mój, ja się nie skarżę, ale przykro mi, że ty nie przykładasz żadnej wagi do mego spokoju; ta myśl na przemian mrozi i rozdziera mi serce.

W jaki sposób mieć chwilę spokoju z człowiekiem, którego głowa jest tak niepewna, który za nic liczy niebezpieczeństwa, nie przewiduje nigdy niczego, niezdolny jest do pamięci, ścisłości i któremu nie zdarza się nigdy uczynić tego, co zamierzył? Słowem, człowiek, który żyje na los przypadku, którego wszystko ponosi, a nic nie jest zdolne zatrzymać ani przywiązać? Mój Boże, to chyba Twój gniew, srogość Twej pomsty skazały mnie na to, aby pokochać, aby ubóstwiać tego, kto miał się stać męczarnią, rozpaczą mej duszy! Tak, miły mój, to co ty nazywałeś *swoimi wadami*, zdoła może zadać mi śmierć, ale nic mnie nie ostudzi. Gdyby wola moja, rozsądek, zastanowienie miały jakąś władzę, czy byłabym cię pokochała? Ha! w jakiejż chwili nieznana moc wtrąciła mnie, popchnęła w tę otchłań! Drżę jeszcze, myśląc o tym. Jedyne sposobem sprowadzenia miłego uczucia w mą duszę, byłoby pomyśleć, że zobaczę cię jutro; ale jak liczyć na to szczęście! Może powóz się złamał; może ci się trafiła jakaś przygoda; może jesteś w Chanteloup; słowem, wszystkiego się lękam, a nic mnie nie ukaja⁶⁹.

Drogi mój, nie wystarczy ci przyprowadzić mnie o niepokój; obwiniasz mnie jeszcze: miałam napisać do ciebie do Chanteloup? Toć w twoim ostatnim liście z Bordeaux pisałeś mi, że może nie wstąpisz do Chanteloup! Ach, dobry Boże, po cóż zda się wskazywać ci niekonsekwencję? Czy się przez to poprawisz i czy będę cię mniej kochała? Dobranoc. Każde otwarcie drzwi dzisiaj przyprowadziło mnie o bicie serca; były chwile, w których lękałam się, że usłyszę twoje imię, a później byłam w rozpacz, że go nie usłyszałam. Tyle sprzeczności, tyle przeciwnych drgnień serca, są wszelako szczerą prawdą i tłumaczą się tymi słowami: *Kocham ciebie!*

Miłość

LIST LXXV

Sobota, 19 listopada 1774

List pana z czwartku był twardy i niesprawiedliwy; ów sprzed godziny był miążdzący przez nadmiar szczeroci i swobody, z jaką powiadasz mi, iż nigdy mnie nie kochałeś i że odtąd nie możesz już żyć dla nikogo etc., etc. Ale czy wiesz, że to wyznanie zmieniło moje wyrzuty we wstyd? Nie śmiałam już myśleć o sobie bez zgrozy; odwróciłam myśl od ciebie, nie chciałam cię ani sądzić, ani nienawidzić.

Wczoraj przyszedł pan tak późno, tak było ci spieszno odejść, iż w istocie dowiodłeś mi, żeś ustąpił jedynie naleganiom mego listu. To mi się wydaje zupełnie naturalne: wspominał o tym jedynie po to, aby powiedzieć, że wiem dobrze, iż nie sprawi panu przykrości nie widzieć mnie dziś rano. Oczekuję arcybiskupa Aix; prosił mnie o rozmowę; nie będzie mnie w domu dla nikogo. Po obiedzie idę z wizytami i wrócę aż o ósmej. Jutro obiad u hrabiego de Crillon, potem wizyty do ósmej. Komunikuję panu mój rozkład dnia, nie bym mniemała, iż może wpłynąć na pański, ale jedynie by panu oszczędzić trudu myślenia o mnie lub unikania mnie. Osoba, która rozrządza panem i pańskim czasem, rozproszy wstręt, który masz do świata i do towarzystwa! Znajdziesz rozrywkę, spokój, przyjemność, szczęście z nią i u niej i nie będziesz już doświadczał tego śmiertelnego niesmaku, jaki musi być związany z przykrością oszukiwania osoby, którą się kocha. Nie warto było, doprawdy! Musisz się czuć bardzo winnym wobec niej! Poddaj się już tym razem ostatecznie niezwykłej skłonności, która cię pociąga, i nie obrażaj jej więcej, wprowadzając rywalizację między uczuciem, które jej jesteś winien, a tym, które ktoś inny może w tobie budzić.

⁶⁹ukaja — dziś popr. tylko forma niedokonana: koi. [przypis edytorski]

Mój Boże, nie wiem, czemu mówię panu o tym, co cię pochłania, zapewne przez przyzwyczajenie starania się o to, aby panu zrobić przyjemność.

Czytaliśmy wczoraj wieczór *Pochwałę rozumu*, którą uznano jako doskonałą; byłabym pragnęła, abys ją słyszał: czytanie skończyło się aż koło dziesiątej.

LIST LXXVI

Do pana De Guibert, Hotel Maltański, ulica Traversière

Sobota rano, listopad 1774

Mój przyjacielu, nie wiesz nigdy, co masz uczynić, powiem ci zatem: wyjdiesz z domu przed jedenastą, odprawisz kilka wizyt, później pójdiesz na obiad do pani de Boufflers, o piątej do hrabiego de Crillon, na ulicę de Braque: spodziewa się pana, a nie będzie w domu dziś rano, wedle tego co mi mówił wczoraj. Wracając z Marais, każesz się zapisać u drzwi pani de Vaines; później, o siódmej, zajrzysz do Komedii Francuskiej na *Henryka IV*; spytasz o lożę księcia d'Aumont, nad orkiestrą, każesz słuzącemu, aby był o kwadrans na dziewiątą przy wielkiej bramie, i wyjdziemy wszyscy tamtędy, nie zwlekając ani minuty: po czym udasz się na wieczerzę do pani de M[ontsaugé].

Oto masz cały dzień ułożony cudownie, nie zmieniaj nic.

A potem, jutro, w niedzielę będziesz pracował całe rano, nie wychodząc z domu, pójdiesz na obiad do pani de M[ontsaugé]; wrócisz o piątej pracować, a o ósmej przyjdiesz do mnie. *Skup się* i słuchaj:

Poniedziałek, obiad u pani de Vaines i wieczerza u pani de M.;

Wtorek, obiad w Generalnej Kontroli i wieczerza z panią de M.;

Środa, obiad u pani Geoffrin i wieczerza u pani de M.;

Czwartek, obiad u hrabiego de Crillon i wieczerza z panią de M.;

Piątek, obiad u pani de Chatillon i wieczerza u pani de M.;

Sobota, obiad u pani de M., po obiedzie jazda do Wersalu, skąd wrócisz w niedzielę wieczór, aby spędzić wieczór ze mną.

Mój przyjacielu, będziesz najmiłszym człowiekiem pod słońcem, jeżeli zrobisz wszystko, co ci tu przepisuję; wyzywam cię, czy potrafisz obmyślić lepszy rozkład czasu dla swojej przyjemności: stawiam ją, oczywiście, w pierwszym rzędzie.

Drogi mój, powiedziałeś, żeś chciał, abym cierpiała; to niemożliwe; jesteś dobry, tkliwy, i wiesz... Co? Że oddałabym życie, że zrobiłabym więcej, że zgodziłabym się na wszystkie męki, byle ci oszczędzić kwadransa przykrości? I ty chciałeś mi zadać ból? To nieprawda.

Wprowadziłam pana w błąd: państwo de la Borde są w Paryżu; pójdiesz tam dziś rano, prawda?

LIST LXXVII

Sobota, jedenasta wieczór tego samego dnia 1774

Mój Boże, jak dobrze uczyniłeś, żeś nie przyszedł do Komedii. Nie mam słów na wyrażenie nudy, jakiej tam doznałam; to granoczyło niemal z uczuciem fizycznego bólu; było wręcz ponad moje siły spędzić wieczór z panią de Chatillon, której go przyrzekłam.

Czuję, że istnieje stopień nieszczęścia, który odejmuje siłę zniesienia nudy; straszne jest dla mnie zmusić się do biernego spokoju, aby słuchać trywialności, często oburzających, a prawie zawsze równie głupich jak niskich. Ohydna sztuka! Cóż za mieszczańska dusza, cóż za płaski i ograniczony umysł⁷⁰! Jakaż ta publiczność gruba, gminna! Jakież ten „wielki świat” głupi i bez smaku! Jakże mi żal nieszczęśliwych autorów, którzy by mieli zamiar zdobywać reputację przez teatr! Gdyby pan wiedział, jak ta głupia publiczność klaszcze! Moliere nie mógłby marzyć o większym powodzeniu. Szlachectwo błyszczą

⁷⁰*Ohydna sztuka! Cóż za mieszczańska dusza (...)* — *Polowanie Henryka IV*, komedia Collégo. [przypis tłumacza]

jedynie w strojach i nazwiskach; panom dworskim i Henrykowi IV autor każe mówić tonem mieszczan z ul. *St. Denis*; prawda, iż ten sam ton mają u niego i chłopci. Słowem, utwór ten jest dla mnie arcydziełem złego smaku i płaskości, a ludzie, którzy mówią o nim pochlebnie, robią na mnie wrażenie lokai mówiących dobrze o swoich panach. Mój przyjacielu, jeżeli znowu będziesz przeciw mnie w sądzie o tej komedii, będzie mi bardzo przykro, ale nie ustąpię ni słowa. Dla mnie to jest zabójcze, a było nas w loży czworo przygniecionych tą samą nudą.

Otom się rozgadała; pomyślisz, że przyłgnęło do mnie coś z tej nudy. Może też nie będę miała tego okrucieństwa, aby ci posyłać swój list, ale zdając ci sprawę ze spędzonego dnia, czuję po nim jakąś ulgę. Zaczęłam od tego, iż struliłam się, jedząc na obiad baranię, w której był czosnek; w następstwie nawiedziło mnie coś bardzo podobnego do gorączki.

Gdy mowa o gorączce, czy miał pan wiadomość o matce? Czy lepiej? A powrót ojca czy pewny? Jedynie to mogłoby mnie pocieszyć po zmartwieniu, iż opuściłeś moją dzielnicę. A ty, drogi przyjacielu, co robiłeś dzisiaj? Ani słóweczka z tego, co zamierzałeś, nieprawdaż? A jutro nie będziesz pracował i tak ciągle. Żywość umysłu, która czyni tysiąc projektów, a zarazem łatwość, która ustępuje pierwszemu pozorowi; żale, pragnienia, ciągły ruch, a nigdy spokoju: mój drogi, trzeba cię pokochać, nim się pozna ciebie, jak ja to uczyniłam; znając cię bowiem, wiązać z tobą swoje szczęście, znaczyłoby oddać się piekłu.

Podam ci cały rozkład mego dnia jutro, w niedzielę, iżbyś mógł oddać mi chwile, które ci będą najmniej na rękę: najpierw msza, potem wizyta u chorej aż do obiadu; obiad u pani de Chatillon; o piątej mam być w pałacu de la Rochefoucauld i wrócę dopiero o wpół do siódmej, po czym już nie wyjdę. Bywaj zdrow, drogi, kocham cię, ale czuję się zbyt smutna i zbyt otepiała, aby ci to wyrazić.

Mój przyjacielu, czy mogę, nie obrażając cię, prosić, abyś mi przyniósł któregoś dnia list X. do B.? Nie śmiem bowiem upominać się o stronicę wydarte z moich listów. Moja wina, że to spostrzegłam i wspominając o tym, powoduję twoje *oburzenie*. Rezultat bardzo sprawiedliwy, toteż nie śmiem się nań użalać. Ha! jestem zbyt trudna, wymagająca, *zbyt cierpka!* Mam wszystkie wady nieszczęśliwej istoty, która kocha bez pamięci i która ma już tylko jedną myśl i jedno pragnienie. Bądź zdrow wreszcie.

LIST LXXVIII

Jedenasta wieczór

Przeczytałam twój bilecik, jest bardzo miły, bardzo uprzejmy: w rozmowie byłeś bardzo twardy, okrutny nawet; przybiłeś mnie. Nigdy, nie, nigdy dusza moja nie była równie zgnębiona, a ciało bardziej cierpiące. Postanowiłeś nie widzieć mnie już nigdy? Dobrze więc, po cóż zmieniać? Dawalesz mi siłę spełnienia swego zamiaru uczynienia zadość najwyższej potrzebie duszy; oboje doznalibyśmy ulgi, wyzwolenia, ja od ciężaru, który mnie przygniata, pan od widoku bólesci, który cię często niecierpliwi, a cięży zawsze. Nie, nie będę ci dziękować; wolałabym twój pierwszy pęd od twojej refleksji. Czyniąc mi krzywdę, dawalesz mi siłę; pocieszając mnie, przychodząc mi z pomocą, powiedziałam ci to tysiąc razy, wstrzymujesz mnie, ale mnie nie wiążesz.

Ty to może dajesz mi uczuć głębiej, bardziej rozdzierająco stratę, którą poniosłam; nic nie kazałoby mi porównywać, zestawiać i ten mimowolny popęd wtrąca mnie czasami w rozpacz; w takim usposobieniu sama nie wiem, co mi jest straszliwsze, żale, czy wyrzuty. Ale co tobie to wszystko? Opera, rozrywki, wir świata porywają cię i to zupełnie słuszne; nie skarżę się, martwię się tylko.

Chciałabym wszelako, abyś zaszedł jutro przed wieczera, mógłbyś pomówić z panem d'Alembert i z pocziwym Condorcetem, a może z panem de Vaines; doniósł mi, że może przyjdzie. Spędziłam dziś wieczór z panem Turgot; już więcej niż pół roku nie miałam sposobności znaleźć się z nim sam na sam. Byłam martwa; toteż sądzę, będzie żałował czasu, który mi poświęcił. Dobranoc; jestem w ogniu, gorączka mnie trawi. Och! ta śmierć przychodzi zbyt wolno; pchałeś mnie ku niej dziś rano, czemu wstrzymujesz wieczór?

LIST LXXIX

Wtorek w południe, 1774

Nie powiedziałeś mi tego, nie pisałeś i udowodnię ci. Nadzieja widzenia cię wystarcza, aby wstrzymać i zmienić wszystkie moje plany; osądź tedy, czy mając pewność oglądania cię, mogłabym się wiązać? Ale ponieważ ty jesteś zależny od planów pani de M. nie możesz nigdy przewidzieć, ani powiedzieć z pewnością, co będziesz czynił. Nie ma w tym tak dalece nic złego; ot, trafia się czasem jakieś nieporozumienie, ale zachowujesz swobodę, a to najważniejsze.

Przykro mi, że nie dałeś się zabrać tam, gdzie wiedziałeś, że pani de M. ma wieczór: pan de Saint-Lambert szedł na plac Vendôme. Ale ty nigdy nie wiesz, czego chcesz, ani dokąd idziesz; zresztą mniejsza! Jeżeliś się dobrze bawił, jeżeliś z końcem dnia był rad i zadowolony, dobrześ uczynił, masz słuszość i twój sposób życia jest z pewnością dobry: nie zmieniaj tedy nic. Co do mnie, jestem smutna, przybita: chciałabym nie odmienić sposób czucia, ale przestać istnieć; chciałabym, aby się to stało w tym samym dniu i tej samej chwili, w której przestałam być kochaną. Mój Boże, co za strata! Dusza moja nie może się przyzwyczaić do tego straszliwego słowa *nigdy*; dotąd jeszcze przyprawia mnie ono o konwulsje. Wczoraj podczas czytania lękałam się, że będę zmuszona wyjść. Przypomniałam sobie, że za ostatnim takim czytaniem on był jego przedmiotem. Serce moje jakby rozpękło się na nowo, nie słyszałam już ani słowa i od tej pory istniałam jedynie tym okrutnym i słodkim wspomnieniem.

Drogi mój, czemu wydarłeś mnie śmierci? To jedyna myśl, która koi mą duszę, to jej najbardziej ustawiczna potrzeba i pragnienie. Bywaj zdrow, nie wiem, jak się będę miała, ale z wielkim swoim żalem będę zmuszona się powściągnąć. Czas, w którym się czuję najlepiej, to noc; oddaję się cała swoim ukochaniom.

Powiesz mi, jeżeli sam wiesz, co zamierzasz czynić tymi dniami; ale, przez litość, nie rób żadnych poświęceń, nie wartam ich, a potem jestem tak nieszczęśliwa. No, wytrzymałam długo kogoś, nie byłam sama.

LIST LXXX

Niedziela, godzina piąta, 1774

Drogi mój, byłeś szalony dziś rano, ale szaleństwo twoje było bardzo miłe, bardzo słodkie memu sercu. Nie wiem, jak mogłam ci się oprzeć, i nie wiem, jak mogłam zapomnieć absolutnej przyczyny, która zatrzymywała mnie w domu. Dziw, iż przypominałam ją sobie dopiero wówczas, kiedy o wpół do czwartej ujrzałam wchodzącego pana de Vaines. Oznajmił mi to wczoraj wieczór, powtórzył jeszcze listownie, a ja nie umiałam ci tego powiedzieć. Drogi mój, ja ci się sprzeciwiłam raz, a ty mnie martwisz sto razy. Ot, na przykład, jeżeli cię nie zobaczę dziś wieczór, będziesz okrutny i niesprawiedliwy, a mimo to nie będę się skarżyć.

Pan Turgot ma się nieco lepiej: miałam trzy razy wiadomość od niego od czasu, jak cię nie widziałam, i będę miała tyleż razy jeszcze przed północą: to mi daje ulgę, choć mnie nie uspokaja. Mój Boże, powinien mnie pan nienawidzić; kocham cię, a czuję się smutna aż do śmierci. Nie, nie przychodź; idź do Komedii, na kolację, na bal, wszystko jest pełne rozrywek i przyjemności, a ja cię nudzę albo osmucam. Ta gorączka namiętności, z jaką się tobą zaprzątam, jest tak jednostajna, tak głupia dla światowego człowieka nęczonego urokiem miłej kobiety, która ofiaruje mu same rozrywki i przyjemności! Słowem, miły mój, to wszystko dowodzi, że czynisz równie trafnie jak sprawiedliwie, lubiąc mnie jedynie miernie: tyle tylko jestem warta.

Widziałam tego Lançona, malarza; sam ładny jak malowanie; ma coś głupawego, cięłego i zadowolonego z siebie, co mnie zupełnie ostudziło do jego talentu. Ten człowiek nie odczułby nigdy twojej duszy: odmalowałby same rysy i znalazłby sztukę uczynienia mi twojej fizjonomii nieinteresującą. Wszelako jakżeby to było możliwe? Czy nie masz

w sercu zasobów zdolnych tchnąć duszę w kamień i ożywić płótno? Drogi mój, nie chcę nic tracić: przyrzekłeś mi swój portret, dostanę go zatem, muszę dostać.

Nie wychodziłam; nie zobaczę nikogo, kto by mi opowiedział o balu; usłyszę ludzi mówiących o panu Turgot nie z tą przyjaźnią, jaka mnie ożywia, ale z sympatią dla cnoty, połączoną z obawą jego następcy. Dla mnie od dwóch dni nie jest kontrolerem generalnym, jest panem Turgot, z którym łączy mnie siedemnastoletnia zażyłość i z tego względu czuję się niespokojna i poruszona.

Drogi mój, jeżeliś był w *Temple*, jeżeliś się pozbył wizyt w Marais, jeżeliś pomyślał o tym, aby zrobić dziś wszystko co trzeba, aby być wolnym w przyszłą niedzielę, jakież byłbyś miły, jaki rozsądny! Ale nie, ty rządysz się fantazją we wszystkich postępkach; nie rozsądek ani uczucie rozstrzygają o nich: toteż całe twoje postępowanie nie ma odrobiny sensu; ale tak jak jesteś, kocham cię do szaleństwa i wiesz o tym aż nadto. Oto na trzeci już zawód⁷¹ piszę do ciebie.

LIST LXXXI

Wtorek, dziesiąta, 1774

Drogi mój, czy jesteś jak ja w kąpielu? Czy czułeś się cierpiący? Nie wiem, czy to tobie czy lepszemu stanowi pana Turgot zawdzięczam, że spałam dziś cztery godziny z rządu; to nie zdarza mi się prawie nigdy, ale czuję jeszcze duszność. W tej chwili oddano mi list od hr. Schomberg i bilecik pani d'Anville; ty też musiałeś dostać podobny.

Mam zamiar wyjść o pierwszej, a wróć o czwartej lub raczej pójdę się przejść do *Inwalidów*; lub też, co mi jest miłsze nad wszystko, będę cię czekała u siebie; przyjdiesz wcześniej, drogi mój, proszę o to. Przyjdź porozmawiać przed obiadem z hrabią de Broglie; będziesz go mógł pożegnać o czwartej. Nie widuję cię, nie rozmawiam z tobą, dosłownie: zapomniałam dziesięciu rzeczy, które ci miałam powiedzieć.

Donieś mi wyraźnie: *Będę o tej a o tej*; to rozstrzygnie o tym, gdzie pójdę na obiad. Od pani de Chamans mogę wyjść przed czwartą: to wolę. Do widzenia. Chociażby tylko dla rozmaitości, n.. p..... c., ż. c.. k....., a.. ż. m... u..... w..... u....., k..... n.. c..... j.. z.....; p..... m. j..... n. d....., m... m., ż. m... k.....⁷²!

LIST LXXXII

Wpół do jedenastej 1774

Były u mnie trzy panie, kaszlałam rozpaczliwie i nie mogłam podziękować ci, żeś mi przesłał wiadomość. Dobrześ uczynił, drogi mój, że zostałeś w domu, przy kominku; twoje zdrowie, dobro, są mi jeszcze bardziej bliskie i drogie niż moja przyjemność. Jestem pewna, że obwiniałeś mnie o kaprys i niesprawiedliwość; a to ty byłeś niesprawiedliwy, ale ci przebaczam; mam dla ciebie uczucie, z którego, jak ze źródła, wypływają wszystkie cnoty: pobłażliwość, dobroć, szlachetność, ufność, oddanie, zaparcie się wszelkiego osobistego interesu. Tak, drogi mój, mam to wszystko wówczas, kiedy myślę, że mnie kochasz; ale jedna wątpliwość burzy moją duszę i czyni mnie szaloną, a co najokrutniejsze, to jest prawie mój zwyczajny stan.

Miły mój, pierwszą regułą przy pisaniu punktami, to kreślić wyraźnie litery, a zwłaszcza być ścisłym: *zatem*, ty nie możesz pisać punktami. Odpowiem ci wszelako, że byłabym gotowa tanio sprzedać przyszłość: czuję jeno potrzebę być kochaną dziś: wykreślmy z naszego słownika wyrazy *nigdy* i *zawsze*. Dusza moja nie sięga tego; mam sto lat i mam pod kluczem lekarstwo na przyszłość. Widzisz, że odczytałam twoje punkty.

Ale ty odczytaj te dwa ustępy z Seneki: zachwyciły mnie. Chciałam, abyś je zobaczył, kazałam je przepisać. Pan de Mora miał to samo uczucie, to go podtrzymywało trzy lata

⁷¹zawód (daw.) — tu: sposób. [przypis edytorski]

⁷²n.. (...) k..... — bilecik ten, tchnący upojeniem pod wpływem chwilowego nawrotu uczuć pana de Guibert, a przynajmniej ich objawów, oznacza: „Nie powiem ci, że cię kocham, ani że mnie upoiłeś wczoraj uczuciem, którego nie chciałam już zaznać; powiedz mi jeszcze na domiar, miły mój, że mnie kochasz!”. [przypis tłumacza]

przeciw agonii; ale śmierć jest jeszcze silniejsza niż miłość. Dobranoc; czuję się smutna; życie mi dolega, a mimo to kocham cię tkliwie i namiętnie. Kazałam ci zgadywać dziś rano, czego się lękałam: *niewidzenia ciebie*. Całe życie patrzę, jak się ziszczają me obawy i przeczucia. Czy bodaj zobaczę cię jutro wieczór?

LIST LXXXIII

Niedziela, godzina jedenasta, styczeń 1775

Jestem sama dopiero w tej chwili, a już od dwóch godzin chciałam się wziąć do skończenia tej krytyki wicehrabiego de la ***; a potem jestem wyrwana od dwunastu dni z tego, co mnie najbardziej interesowało w życiu. Drogi mój, jakaż rozrywka jest głupia, jakże towarzystwo jest bezbarwne dla duszy pochłoniętej uczuciem! Jak rzadką jest rozmowa, która by była warta trudu wyjścia z domu! Doszłam prawie do odrazy do rozumu i, jak powiadasz, wszystko, co mnie tylko oświeca, nudzi mnie.

Och! jestem bardzo nieszczęśliwa; to co kocham, co mi jest pociechą, wydaje duszę mą na tortury, przyprawiając ją o zamęt i wyrzuty. Czuję tedy potrzebę cierpienia, chwytam się bowiem co chwila na pragnieniu tego, co mi zadaje ból; ale, mój przyjacielu, ty jedynie myślą ogarniasz to wszystko; nie powinnam ci tego wszystkiego mówić; toteż miałam zamiar pisać do ciebie jedynie z prośbą, abyś mi odesłał lub odniósł ten tom Montaigne'a, który zabrałeś do kieszeni przed kilku dniami.

Wstąpię do ciebie przed drugą, nie staraj się o powóz. Mój przyjacielu, nie ma nic tak szlachetnego, rozumnego i godnego, jak poddać się swojej złej doli; znam tylu ludzi bogatych, którzy chodzą piechotą dla własnej przyjemności, i tylu starych i niedołącznych, którzy jeżdżą zawsze dorożką! Strasznie jestem zrzędna! Drogi mój, to najczulszy dowód przyjaźni, gdybyś bowiem wiedział, czym są dla mnie szczegóły i czym jest dla mnie szczęście, które można dostać za pieniądze! Mój Boże, moje obecne położenie świadczy zresztą, że wzgardziłam fortuną; ma ona, bez wątpienia, swoje korzyści: ale ileż rzeczy wartych jest więcej! Dobranoc, miły. Co robisz w tej chwili? Wątpię, abyś był lepiej zajęty ode mnie: jestem zajęta mym kochaniem.

Bądź tedy gotów przed drugą.

LIST LXXXIV

Piątek, styczeń 1775

Nie dlatego abym myślała, że pana to obchodzi, trzebaż mi jednak powiadomić pana, że wychodzę o pierwszej, jem obiad u pana Turgot, idę na *Orfeusza*, po operze będę u pani Geoffrin do północy, po czym zakończę wieczór na Kapucyńskiej. A teraz czy chcesz, abym wstąpiła po ciebie, jadąc na obiad do pana Turgot? Chcesz, abym cię zabrała do Opery? Lub też czy chcesz przyjść do łoży pana d'Angiviller: pierwsze piętro koło amfiteatru? Jeżeli chcesz po *Orfeuszu* złożyć wizytę pani Geoffrin, zabierzemy tam pana: jeżeli chcesz spędzić tam wieczór, uszczęśliwisz ją. Rozważ, co z tego wszystkiego przyjmiesz lub odrzucisz. Ciągłe w dalszym ciągu pragnę cię widzieć, ciągle rada jestem, gdy cię widzę i przez niekonsekwencję, która tłumaczy się tylko szaleństwem, wciąż mam uczucie przykrości po widzeniu ciebie.

Czy zdążył pan wczoraj na czas, aby podać rękę pani de M.? Gdyby mogła widzieć pana niecierpliwość, byłaby rada. Ma pan talent czynienia zadość tym, których kochasz, a zwłaszcza którzy ciebie kochają. Do widzenia.

Dowiem się może przynajmniej, czy pan był w Wersalu. Chcę mieć z powrotem swego *Hetmana*.

LIST LXXXV

Sobota w południe, styczeń 1775

Byłam tak zgaszona, zmrożona tym, że pan przybył tak późno, że tak mało widziałam pana w ostatnich dniach, iż zapomniałam dać panu kopię owego listu pani Geoffrin, którego pragnęłam. Nie powiedziałam ci też nic, że będziesz miał bilet dla tego znajomego, którego nie chciałam wymienić. Gdybyś był miły, a zwłaszcza rozsądny, oto jak ułożyłbyś dzień jutrzejszy: zjadłbyś obiad w *Temple*, zobaczyłbyś tam panią de Boufflers; później, o szóstej przyszedłbyś albo do mojej izdebki w Operze albo tutaj; dałabym ci znać. Mam wielką pokusę nie iść na obiad do hr. de Crillon; ma mieć u siebie, przynajmniej tak się spodziewa, pana Roucher. Podziwiam z całej duszy jego talent, ale użytek, jaki zeń robi, nudzi mnie: diamenty, złoto, tęcze, wszystko to nie trafia mi do duszy. Jedno słowo istoty, którą kocham, jej *sen nawet*⁷³, bardziej pobudzają moje czucia i myśli niż wszystkie te sztuczne bogactwa. Miły mój, chcę cię widzieć dziś wieczór: przyjdź przed kolacją. Jutro dam ci znać, czy cię będę czekała w Operze czy u siebie.

Dobrze, stało się, cóż robić; nie pożyczę ci już rękopisów, skoro rozpuszczasz je po świecie: nie można zatem z panem o nic być spokojnym? Ostatecznie mimo wszystkich wad pozostaje ci, jak mówiłeś wczoraj, pewność, iż będziesz jeszcze bardzo poszukiwany, bardzo kochany, tysiąc razy więcej, niż możesz i chcesz odwzajemnić. Bądź zdrow; źle robię, że piszę do pana, rada jestem niemal, że cię nie widzę. Mniejsza o to, kto napełnia skarb, wystarcza, aby nie był próżny. Mój Boże! cóż za szkoda, iż będąc tak miłym, tak mało jesteś wart, aby cię kochać! Do widzenia, jeszcze raz, drogi mój. Nie jestem ckliwa, ale może nadto szczerą.

Nie wychodzę dziś aż o dziewiątej; założyłabym się, że ty już jesteś w ruchu. Są tylko trzy rzeczy, których ceny nie znasz i które wyrzucasz przez okno: czas, talent i pieniądze. We wszystkim innym jesteś skąpy.

LIST LXXXVI

Wtorek, czwarta rano, styczeń 1775

Miły mój, chcesz, abym ci przesłała nowiny o sobie? Cierpię, nie mogę spać i mam gorączkę. Jestem w ogniu; żar mojej duszy przeniósł się do głowy; w tym stanie jakże życie mi jest ciężkie! Jakże mi jest bolesne! Drogi mój, nie wiem, co za fatalność sprowadza mnie wciąż ku rozpacz, iż straciłam pana de Mora; chciałabym zajmować się tobą, a czuję, jak mnie ponosi pragnienie, potrzeba pójścia za nim lub raczej potrzeba uwolnienia się od żalu, który mnie rozdziera. Mój Boże, czemu kazałeś mi żyć? Czemu dajesz mi znajdować jeszcze czasem jakąś chwilę słodczy w tym, aby cię kochać? Czemu mnie podtrzymujesz? Czemu zatrzymujesz mnie między życiem a śmiercią? Och! pozwól mi umrzeć do reszty lub spraw, aby dusza moja była dość pełna ciebie, aby już nie czuć straszliwej próżni, jaką w niej zostawił pan de Mora. Ale, miły mój, mam wyrzuty, iż pokazuję ci wszystko, co cierpię; czyż możesz uznać się nade mną? Tak, uznał się, ponieważ jesteś dobry i tkliwy: uznał się, ponieważ wiesz dobrze, że cię kocham i że jedynie to uczucie trzyma mnie przy życiu.

Miły mój, jeśli cię dziś nie zobaczę, będę bardzo nieszczęśliwa. Cierpienia fizyczne są mi ciężarem jedynie dlatego, iż osłabiają duszę; pomnażają pragnienie widzenia tego, kogo kocham, a mimo to będę w rozpacz, jeśli stanę się bodaj na minutę przyczyną twego przymusu i pozbawię cię bodaj jednej przyjemności. Nie czyni tedy wysiłków, drogi mój, a tym mniej poświęceń: zobaczę cię, kiedy będziesz mógł, a pragnąć będę zawsze.

Daruj mi, jeśli ci powiem, iż drzę, aby ten list nie znalazł się w rękach pierwszej osoby, która zechce go podjąć. Ten bilecik wczorajszy! Mój przyjacielu, żałuj mnie, iż nie mogę czuć ufności do kogoś, kogo kocham do szaleństwa, i do jedyne go człowieka, któremu wydają się na łup bez ustanku. Bądź zdrow. Hrabia de Crillon napisał stąd, że wstąpi po ciebie dziś rano; bądź więc gotów.

LIST LXXXVII

⁷³Jedno słowo istoty którą kocham, jej *sen nawet* — nie pierwsza to aluzja pozwalająca przypuszczać, iż pan de Guibert w czasie wizyt u panny de Lespinasse podlegał niekiedy napadom senności. [przypis tłumacza]

Środa, pierwsza po północy

Trzy rodzaje osób mają prawo do współczucia i pobłażania ludzi rozsądnych, tkliwych i miłosiernych: szaleńcy, chorzy i nieszczęśliwi. Z tych to trzech zjednoczonych tytułów proszę pana, abyś mi odesłał jutro rano, przez tegoż samego posłańca, który odda panu ten list i teczkę, wszystkie listy, jakie masz ode mnie, bądź z czasu twej podróży, bądź też przedtem. Zdaję się na pańskie sumienie i honor, iż nie usuniesz ani wiersza. Włóżysz je do tej teczki i opieczętujesz klucz w taki sam sposób, jak go zastaniesz.

Jesteś pan tak uczciwym człowiekiem, że nie proszę o przebaczenie za chwilę kłopotu, jaki to panu sprawi; skoro sobie powiesz, że ten wzgląd, ten objaw dobroci są potrzebne dla mego spokoju, nie będziesz szukał pozorów, aby się uchylić. Gdybym się miała tego obawiać, odważyłabym się uciec do formuły, której użyłabym wobec pana pierwszy i ostatni raz w życiu: *Żądam, aby mi pan odesłał natychmiast wszystkie listy*. Daruj mi słowa, które, czyniąc zadość mojej woli, wstrętne są memu uczuciu. Dobranoc. Nie przychodź jutro rano. Widzę z żalem, że nie miałabym chwili czasu, aby pana widzieć; będę w domu przez cały dzień ledwie dwie godziny, od siódmej do dziewiątej. Nie zadawaj sobie tedy gwałtu, aby mnie widzieć, będę tym szczęśliwsza w piątek.

Albo się bardzo myślę, albo *Grakchowie* są przepiękną rzeczą. Refleksja pomnaża jeszcze mój zachwyty.

LIST LXXXVIII

Czwartek w południe, styczeń 1775

Postępowaniem *niegodnym* i *pospolitym* byłoby zostawić pana jego gniewowi i mniemaniu, iż mogłam chcieć pana obrazić. Drogi mój, poznaj mnie lepiej i wierz, że nie byłabym zdolna lękać się osławy ani nawet zdrady: pomyśl, że dla kogoś, kto nie lęka się śmierci, kto, daleki od tej obawy, nie spędził od pół roku ani doby, w której by jej nie pragnął i nie wołał, pomyśl, mój przyjacielu, iż w tym stanie dusza moja może znać tylko jeden rodzaj lęku, a jest on związany z moją tkliwością dla ciebie. Lękam się być ci niemiłą; lękam się zmartwić ciebie. Ale, doprawdy, dla siebie nie lękam się niczego; są chwile, w których pragnęłabym, przeciwnie, abyś mnie przywiódł do rozpacz. Pomyśl, czy wobec tego mogę mieć te małostkowe obawy lęgnące się jedynie w płaskiej duszy żadnej szacunku, na który nie zasługuje? Nie, miły mój, powtarzam, nie lękam się niczego w świecie prócz swego sumienia, a ponieważ nie mogę go ukoić ani zdławić wyrzutów, chciałabym umrzeć; jedynym żalem, jaki czułabym umierając, byłoby to, że cię obraziła. Sądzę wedle tego szczerego wyznania uczucie, które mnie ożywia, i rozważ, czy dusza twoja powinna czuć się *zraniona* odruchem, nagannym z pewnością, gdyby nie był wynikiem dwóch chorób, które trawią moje życie i rozdzierają me serce. Drogi mój, powtarzałam ci często, trzeba koniecznie, abyś miał dla mnie dużo, ale to dużo pobłażania: jedynie za tę cenę zdołasz ochronić się przed żalem, który by zaćmił twoje życie. Przebac mi tedy nie intencję, nie uczucie, z pewnością bowiem one nie potrzebują przebaczenia, chyba za nadmiar miłości, która je ożywia; ale przebacz napad szaleństwa, którego nie mogłam powściągnąć.

List twój jest twardy, niesprawiedliwy, ale nie odjął mi nadziei dotarcia jeszcze do twego serca. Powiedz, że zamknęło się dla mnie na zawsze, a podziękuję ci: tymi słowami bowiem skruszysz jedyny węzeł, jaki mnie wiąże do życia pełnego żalów, wyrzutów; życia, w którym nie spodziewam się już innego dobra ani przyjemności prócz tego, aby cię kochać bez nadziei, byś podzielił me uczucie. Ale przynajmniej bądź pewny, że nie zmacę twego szczęścia ani rozrywek; nie będę żądała nigdy chwil, których w swoim mniemaniu mógłbyś lepiej użyć; będziesz miał swobodę widywania mnie jedynie rzadko, bez obawy natrętnych wymówek. Miły mój, powtórz mi, że cię nie ujrzę *nigdy*; oto słowo, którego dusza moja łaknie najbardziej. Nie, lękam się tylko żyć; wyzywam całą naturę; czuję się tak silna, a zarazem tak słaba, że proszę cię z głębi duszy, byś albo do reszty mnie pognąbił, albo pospieszył mi na ratunek. Bądź zdrow, drogi.

Nie proszę, byś mnie odwiedził, uwiadomiam tylko, iż nie robię nic z tego, co zamierzyłam. Wrócę o piątej i gdybym wiedziała, gdzie jesz obiad, wstąpiłabym po ciebie,

aby ci posłużyć za *dorożkę*. Posyłam ten list do ciebie, ale nie będzie cię w domu. Jeżeli raczysz odpowiedzieć, dałam rozkaz, aby mi zaniesiono odpowiedź do pani Meulan, ulica Kapucyńska, gdzie jestem na obiedzie.

LIST LXXXIX

Czwartek, o północy, 10 lutego 1775

Północ bije, mój przyjacielu; tknęło mnie wspomnienie, które mi mrozi krew. To 10-go lutego zeszłego roku upiłam się trucizną, której działanie trwa jeszcze⁷⁴. W tej chwili nawet mąci ona krążenie mej krwi, pędzi ją gwałtownie ku sercu, sączy w nią rozdzierające żale. Ha! przez jaką fatalność trzeba, aby uczucie najżywszej, najśłodszej rozkoszy, wiązało się z najbardziej miazdzącym nieszczęściem! Cóż za straszne połączenie! Czyż nie mogłabym powiedzieć, wspominając tę chwilę zgrozy i upojenia: „Ujrzałam zbliżającego się młodego człowieka, którego oczy pełne były sympatii i tkliwości; twarz wyrażała słodycz i czułość; dusza zdała się przepelniona uczuciem. Na ten widok doznałam w sercu jakiegoś lęku skojarzonego ze słodyczą; odważyłam się podnieść oczy, zatrzymać je na nim; zbliżyłam się: zmysły moje i dusza ścięły się lodem. Ujrzałam, jak przed nim kroczy, jak go — można rzec — okala boleść w żalobnym odzieniu; wyciągała ramiona, chciała mnie odepchnąć, wstrzymać, a równocześnie czułam, iż pociąga mnie złowrogi urok. W zamęcie, który mnie ogarniał, krzyknęłam: »Kto jesteś? o ty, który sączysz w mą duszę tyle uroku i grozy, tyle słodyczy i niepokoju? Jakąż nowinę mi przynosisz?«. »Nieszczęsna — odparł z posepną twarzą i bolesnym akcentem — będę twoim fatum, dopełnię twego losu; ten, który wypełniał twoje życie, padł ugodzony przez śmierć...«”.

Och! tak, miły mój, twoje łzy wypowiadały te złowrogie słowa; nie słyszałam ich, a mimo to wyrwały się w mym sercu; drżysz jeszcze i kocha ciebie!

Przez litość, zrób, abym cię mogła widzieć jutro; jestem smutna, niespokojna... Mój Boże, rok temu o tej godzinie pan de Mora padł rażony śmiertelnym ciosem; a ja w tej samej chwili, o trzysta mil od niego, byłam bardziej okrutna i występna niż barbarzyńskie nieuki, które go zabiły! Umieram ze zgryzoty: oczy moje i serce pełne są łez. Bądź zdrów, miły, nie powinnam cię była kochać.

LIST XC

Jedenasta, 1775

Od dwóch godzin czekam; wreszcie jest ta broszura; niech pan zatem pamięta, że *Pochwała rozumu* sprawiła ci przyjemność, nie cofaj tego sądu, jak masz zwyczaj. Mój przyjacielu, robisz się gorszy, niż jesteś. Powtarzasz, co słyszysz, nigdy bowiem sam z siebie nie byłbyś zdolny powstawać przeciw najbardziej wartościowym ludziom. Nie są filozofami, nie są doskonalni, są stronnicy! Dobrze więc! niech i tak będzie, ale głupcy, którzy ich sądzą, źli, którzy ich potępiają, czymże są? We wszystkim, mój przyjacielu, mimo że głosisz umiarkowanie, ponosi cię zapał; nie ma rozmowy, w której byś nie miał sobie do wyrzucenia, iż wystawiłeś się sam na sztych, nie nawróciwszy nikogo; ale ponieważ i mnie w tej chwili czeka nie lepszy los, zakończę kazanie i powiem, że byłabym nieskończenie rada cię widzieć. Przyjdź wcześniej; pomyśl, że minął już tydzień, jak cię nie widziałam.

Zgadnij, czy jestem bardzo oczarowana pana bilecikiem? Mój Boże, czemu wkładasz tyle zapału i ognia w to, aby mnie pognać, aby wykazać mój brak konsekwencji i niedorzeczność, a czemu jesteś z lodu, gdy chodzi o to, aby wnikać w mą duszę? Dlaczego? Dlatego, że jesteś szczerzy; że gdybyś mnie nie był kochał, nienawidziłbyś mnie; że jedyne nieszczęście to żeśmy się spotkali; ale ponieważ niepodobna cofnąć przeszłości, proszę,

⁷⁴10-go lutego zeszłego roku upiłam się trucizną, której działanie trwa jeszcze — list ten pozwala ustalić datę przelomu w stosunku pana de Guibert i panny de Lespinasse. Tegoż samego dnia pan de Mora powalił śmiertelny krwotok. [przypis tłumacza]

byś mnie pocieszył po niej, przychodząc wcześniej. Bywaj zdrow. Piszę, rozmawiając z panem d'Alembert; to niezbyt wygodnie.

LIST XCI

Południe, wtorek, 1775

Ależ doprawdy, wierzę bardzo, że nie przybierasz niczyjego sposobu ani tonu; jesteś jak Bóg, nieskończenie doskonały i sędzę, że jesteś równie zadowolony jak on. Wszystko, co jest prawdziwie wielkie, mogłoby tylko stracić na zamianie; Aleksander nie chciałby może nie mieć skrzywionej szyi. Zachowaj że tedy, mój przyjacielu, swoje piękne ukłony, swoje zalotne przegięcia, a zwłaszcza swą niepamięć wszystkiego, co dotyczy osób rzekomo ci drogich.

Ot, na przykład, objawiasz wyrafinowaną delikatność, która jest twoim wyłącznym wynalazkiem: nie przyjdiesz, ponieważ cię drażni nie móc mnie widzieć samej! W istocie, wzruszająca tkliwość, zwłaszcza kiedy miałbyś zupełną swobodę przyjść do mnie rano lub o czwartej: to pora, w której prawie na pewno można mnie zastać samą. Ale twoim zdaniem o wiele delikatniej jest nie przyjść i apróbuję to; równie bowiem nie pragnę twoich poświęceń, jak ty nie masz ochoty ich czynić. Nadmiar twej przyjaźni zadowolony się tymi dwoma słowami: *Byłam cierpiąca*. Bądź zdrow. Nie, nie przypuszczaj, aby to był wpływ dzielnicy; *serce, to wszystko*, powiedział La Fontaine.

Do widzenia zatem; we czwartek. Żyję w towarzystwie innych; co do pana, pana tylko widuję; to w porządku.

LIST XCII

Proszę przeczytać zaraz

Wpół do pierwszej, poniedziałek 20 lutego 1775

Przyjdą mnie porwać w tej chwili; nie zobaczę pana i nie dowiem się, czy chcesz, abym wstąpiła po ciebie. Czy wie pan, że dają *Tom Jonesa* wraz z *Falszywą magią*? To by panu zrobiło przyjemność, a twoja przyjemność jest moja. Oddaj zatem wieczór pani de M., a komedię mnie; ale zwłaszcza decyduj się, bo wielu konkurentów czyha na twoje miejsce. Był pan tak uprzejmy pozbawić mnie w zeszłym tygodniu dwóch wieczorów, na które liczyłam; to wzbilo mą duszę do wyżyn wspaniałomyślności i bez urazy zwracam panu wolność dziś wieczór.

Jeszcze mam zamęt w głowie po wczorajszym wieczorze i dniu; trzeba mi samotności, skupienia, a z tobą znalazłabym tylko niepokój. Idź tedy spędzić wieczór z osobą, którą kochasz, która ci jest miła i która ciebie kocha, i daj mi zanurzyć się, upić się boleścią, która jest warta więcej niż wszystkie rozrywki osób, z którymi wieszerałeś wczoraj.

Tak, występki więcej jest wart niż te dusze z kartonu i te puste głowy; występki oburza, przejmuje grozą, podczas gdy owi ludzie czarują swoim obejściem i tonem, i dławią na zawsze umysł, duszę i talent. Mój Boże, nie zmuszaj pana Roucher do tego upokorzenia, aby miał się wydać na sąd tych nieżywo-urodzonych lub tych żyjących zmarłych; nie zrozumieją go, a zranią jego duszę niedelikatnością, z jaką będą mówili o jego ubóstwie. Miałeś wielką słuszność, mówiąc im, że z tym talentem jest się bogatszym, większym i szczęśliwszym niż wszyscy tam obecni.

Opowiem ci szlachetny postępek pana de Beauvau, który da ci miarę jego duszy lub tego, co stanowi jej wyraz. Pan Turgot usłyszy pana Roucher; on go zrozumie; to zacny człowiek, nie będzie trzeba nastrojać go na jego korzyść.

Pan de Vaines odpowiedział mi również i ręczę ci zań. Twoi siostrzeńcy mogą być spokojni; to pewne. Oddaj jedną z tych trzech kartek: poleciłam, aby mi ją zanieśiono do św. Józefa, gdzie jestem na obiedzie: powiedz, czy nie jestem genialna! Odrobiłam twoje wypracowanie na trzy sposoby: ale przynajmniej prześlij mi tylko jedną kartkę!

LIST XCIII

Sobota, wpół do jedenastej, 1775

Tak, spodziewałam się ciebie, czekałam cały dzień; było to pragnienie mej duszy: ale jakieś głębsze jeszcze poczucie mówiło mi, że cię nie zobaczę. Gdybym słuchała zawsze tego głosu, dusza moja zamarłaby lub też życie moje skończyłoby się rychło. Znam cię tak dobrze, czuję się tak winna, że nigdy nie usłyszysz skarg ani wymówek. Sądzę, że dobrze robisz, że jedziesz do Wersalu; trzeba pomówić raz o tej sprawie, aby ostatecznie z nią skończyć.

Pani Geoffrin przyniosła mi sztych dla ciebie; posyłam ci go, abyś się nim rychlej ucieszył. Ta kobieta jest piękna, ale, w istocie, zimna jak Muza. Poślijże swoją kopię pani Geoffrin; spieszo jej. Ludzie bardzo młodzi i bardzo starzy chcą się prędko cieszyć wszystkim. Byłam dziś mocno cierpiąca; to zwykły mój stan; nie ma co współczuć z cierpieniem, które trwa ciągle, to dosyć, jeżeli mnie znoszają. Dobranoc. Skoro wrócisz, trzeba będzie może zejść do pana Turgot.

LIST XCIV

Godzina siódma, poniedziałek, 1775

Wczoraj o tej porze, miły mój, czekałam na ciebie i cierpiałam; dziś dusza moja jest smutna i przybita, ponieważ nie podtrzymuje jej nadzieja widzenia ciebie. To co czuję, przypomina mi wiersze pana de la Harpe:

Ach, czemuż czekać go nie mogę,
Chociażby znowu nadaremnie!

Drogi mój, jak mi cię żal, że nie możesz podzielić uczucia, które mnie ożywia! Poznałbyś jeszcze raz szczęście, ale to szczęście, które daje pojęcie o Niebie i które dałoby siłę kupienia go przez męczarnie piekła.

Tak, czuję to, dusza moja stworzona jest tylko dla krańców: kochać słabo jest mi niepodobieństwem; ale też jeżeli ty mi nie odpowiadasz, jeżeli moja dusza nie może porwać twojej, jeżeli chcesz żyć w podziale, jeżeli ci wystarcza być ciągle zajęтым, a nigdy szczęśliwym, czuję w sobie jeszcze dość siły, aby się wyrzec ciebie na zawsze i zostawić cię całkowicie temu, co mogło ci wystarczać dotąd.

Mój przyjacielu, wiesz o tym, ilekroć człowiek czuje siłę, a nawet pragnienie, aby umrzeć, może wszystkiego żądać, wszystkiego wymagać; nie ma czasu zasługiwać sobie, nabywać przez czas i powolne środki tego, czego potrzebuje natychmiast. Miłość twoja to nie jest kwestia mego szczęścia, ale wręcz mego życia; w tych warunkach haniebnym byłoby mnie oszukiwać: szlachetnością będzie raczej odebrać mi wszelką nadzieję. Ale nie to zupełnie chciałam ci powiedzieć, kiedy brałam pióro do ręki: widzisz, jak człowiek włada sobą, kiedy ma zamęt w duszy! Chciałam uprzedzić cię, abyś nie przychodził jutro przed południem, ponieważ przypominałam sobie, że mam fryzjera i że wstrętne mi jest widzieć pana podczas tego utrapienia. Będę wolna o wpół do pierwszej w południe najpóźniej.

Gniewaj się, jeżeli chcesz, ale nie umiem ci wyrazić, jaka byłam szczęśliwa, żeś odszedł dziś rano: dziesięć minut dłużej, a nie wiem, co by się stało ze mną. Przyszedł pan de Magallon, a wkrótce po jego odejściu zrobiło mi się zupełnie niedobrze; miałam gwałtowne konwulsje; organizm nie może wytrzymać wzruszeń mej duszy. Nie przeraża mnie to, ani niepokoi, nie lękam się ani cierpienia, ani kresu cierpień; ale, drogi mój, wytłumacz mi, co daje tę siłę w samej otchłani nieszczęścia: czyżby rozpaczliwe sytuacje umacniały i podnosiły duszę? W takim razie trzeba by znosić swój los i nie skarżyć się.

W pokoju moim toczy się rozmowa, która nie kusi mnie do brania w niej udziału, ale przeszkadza mi. Bądź zdrow, jedyny mój; nie czuleś potrzeby widzenia mnie dziś wieczór, a ja nie mogłam cię opuścić przez cały dzień i mimo wszystkich twoich rozrywek i przyjemności nie zazdroszczę ci niczego; spędziłam czas w lepszym towarzystwie. Byłam

zajęta *Katinatem*⁷⁵; przeczytałam część i jestem bardziej zachwycona, bardziej rada, niż mogę wyrazić. To pewna, że *autor zajdzie daleko*; to nie dość powiedzieć, że ma talent, duszę, rozum, polot; ma to, czego zbywa prawie wszystkim dobrym utworom: wymowę i żar, który sprawia, iż czytelnik czuje wprzód, nim sądzi. To jest powodem, iż bez zrozumienia mogę chwalić, zachwycać się z taką prawdą, co gdybym miała rozum i smak. Nie umiem rozprawić ani mierzyć; ale to co piękne, porywa mą duszę; wówczas mam słuszność, co bądź byś o tym mówił.

Bądź zdrow, bądź zdrow nareszcie.

LIST XCV

Środa wieczór, 1775

Drogi mój, oto pudło z zarękwami; osoba, która ci go daje, nie pochlebia sobie, aby ci był tak drogi, jak ów *Zofii* był *Tomowi Jonesowi*. Czy zamknąłeś się w domu? Czy mnie zostawisz jutro samą? Niech wiem bodaj, na co zużyję moją myśl i czucie: na zale czy na oczekiwanie? Co bądź mnie czeka, jedno i drugie wypełnione będzie tobą; czy pozbawisz mnie swej obecności czy też dasz mi jej kosztować, zawsze będę cię kochała równie tkliwie.

Nie mówisz mi, czyś był na *Gustawie*? O ile sobie mogę przypomnieć, to wielka lichota i napisana barbarzyńskim językiem. Dobranoc. Zgadnij, dla kogo cię opuszczam? Opuściłabym terażniejszość, przyszłość, świat cały dla ciebie: jedynie wspomnienia moje cenniejsze mi są niż życie, niż śmierć nawet, ponieważ pomagają mi jej czekać.

Poszukaj dwóch moich listów, które byłeś tak łaskaw *zarzucić gdzieś na stole*. Przez litość, ale naprawdę przez litość, skończ tłumaczyć ten rozdział. Dam ci moje tłumaczenie; to dla zachęty.

LIST XCVI

Czwartek, południe

Jakie to głupie! Jakie brzydkie! Och, Boże, uspokój się: dowód, że to nie jest drogie, to że ja ci go daję⁷⁶. Mój przyjacielu, wszystko, co mówisz w tym przedmiocie, jest bardzo, bardzo pospolite: „Za duży jest; zgubisz go, chcesz mi zwrócić?”... Och! fe! cicho siedź! Umieraj ze wstydu, abyś zaś nie umarł z zimna, jadąc na obiad, spieszę przesłać ci go z powrotem; nie waż się odsyłać jeszcze raz, nie mieszajmy⁷⁷ służby do naszej zabawy czy sprzeczki.

Drogi mój, kiedy powiadasz mi tylko: *Będę się starał wpaść*, siłę się nie mieć nadziei i powiadam sobie: nie zobaczę go. Masz więcej spraw na głowie niż Opatrzność, czuwasz bowiem nad szczęściem dwóch osób: trzeba najpierw, aby pani de M. była zadowolona; potem przychodzę ja, ale bardzo daleko potem, rozumie się: mogłabym powiedzieć jak Kanaenka: *Zadowolę się okruciami, które spadną ze stołu mego pana*⁷⁸. Ale, widzi pan, ten morał, ten ewangeliczny ton, to coś tak niskiego, że tylko poziomy chrześcijanin może się tym zadowolić: co do mnie, która nie mam pretensji wejść do Nieba, nie chcę się żywić w tym życiu okruciami z niczyjego stołu.

Bywaj zdrow. Jeśli cię zobaczę, będę uszczęśliwiona; jeżeli nie przyjdiesz, powiem sobie: jest w miłszym towarzystwie, i ta *słodka* myśl uspokoi mnie z pewnością.

LIST XCVII

⁷⁵Byłam zajęta „*Katinatem*” — pan de Guibert napisał *Pochwałę Katinata* (znakomity wódz), którą zamierzał przedstawić Akademii. [przypis tłumacza]

⁷⁶dowód, że to nie jest drogie, to że ja ci go daję — mowa o zarękwku futrzanym, który panna de Lespinasse ofiarowała Guibertowi. [przypis tłumacza]

⁷⁷mieszac (daw.) — dziś: mieszać. [przypis edytorski]

⁷⁸powiedzieć jak Kanaenka (...) mego pana — parafraza słów kobiety kanaenjskiej do Jezusa z Mt 15,27. [przypis edytorski]

Drogi mój, jakiś ty dobry, jaki miły, iż zechciałeś mi wynagrodzić to, co straciłam dziś rano! Gdybyś też wiedział, jak ja cię czekałam, jak oddalałam, odprawiałam wszystko, co mogło zmącić mą przyjemność! Jak każdy pojazd, który przejeżdżał, budził we mnie nadzieję, a potem jakie męki zadawał mej duszy! Boże, jak ja cię Kocham! Jaka się czuję winna, iż mogłam cię zranić! Nie, drogi mój, nie przebaczej mi, skarż mnie, pomnóż, jeśli to możliwe, mój ból, moje żale; widocznie bezmiar nieszczęścia pozbawia rozsądku. Tak, to doprowadza do szaleństwa, obłądki, choroby: trzeba było tego wszystkiego, abym mogła cię obrazić. Od trzech dni miałam świadomość tylko tego nieszczęścia; umarłabym, gdybyś nie przyszedł mi z pomocą. Och! miły mój, wyrzekłeś słowa, które przejmują mnie jeszcze drżeniem, które wtrącają w rozpacz me serce: *mroźę cię*, trzeba ci było *przemóc się, aby mnie widzieć*.

O Nieba! czemuż nie rozpadłam się w nicłość, nim usłyszałam te słowa, które dałyby mi odwagę iść naprzeciw najbardziej okrutnej śmierci! Drogi mój, apeluję od tego wyroku; przysięgam na ciebie, którego Kocham, na wszystko co mi święte, iż nie przeżyję ani godziny tego strasznego uczucia. Ja, nienawidzić ciebie! Patrz tedy, jaka namiętność, jaka tkliwość ożywiają mą duszę! Gdyby któregoś dnia trzeba mi było przestać Kochać ciebie, o mój Boże, jakże by mi słodko było umrzeć! Niebo świadkiem, zawisłam jedynie od ciebie; wszystkie starania, dobroć, przyjaźń i opieka, które mnie otaczają, nie miałyby siły wstrzymać mnie ani dnia.

Mój przyjacielu, pan de Mora jest wciąż obok mnie i wciąż widzę ciebie; gdyby dusza moja straciła z oczu to oparcie, ten ratunek, nie przetrwałabym ani godziny. Czytaj tedy w głębi mej duszy, czytaj w niej więcej i lepiej jeszcze, niż ja ci mówię. Czy można kiedy wyrazić to, co się czuje, to, co mam dąże życie, co sprawia, że oddychamy, co jest potrzebniejsze, tak, potrzebniejsze niż powietrze, nie potrzebuję bowiem żyć, a potrzebuję Kochać ciebie.

Mój Boże, jedyny mój, jakże ty jesteś daleko ode mnie? Mówiłeś wczoraj: „*Zaczęłaś od tego, że mnie zraniłaś, a później zmroziłaś mnie zupełnie*”. A ja odpowiadam: zraniłeś mnie, upokorzyłeś, odepchnąłeś i dodaję: mógłbyś mną gardzić, mógłbyś mnie nienawidzić, a i tak znalazłabym w sobie zdolność Kochania cię bez pamięci. Tak, drogi mój, powtarzam ci, śmierć staje mi przed oczyma po dwadzieścia razy w ciągu dnia, a dusza moja nie śmie powziąć myśli, abym mogła mniej cię Kochać.

Znaj mnie całą: ujrzyj w mej duszy truciznę, która mnie trawi, a której nie śmiem ci pokazać. To nie wyrzuty moje: mówię ci o nich niekiedy; nie moja boleść: nieraz skarżyłam ci się na nią; drogi mój, to męka, która kazi mój rozum i zdrowie; to męka, która mnie czyni niesprawiedliwą, nieufną, która mi każe mówić rzeczy przejmujące zgrozą. W jaki sposób mogłam być dość obłąkana, aby ci powiedzieć, że mam złe myśli o tobie? Czy to do pojęcia? Czy to mogło powstać w mym sercu? Czy można ubóstwiać, czy można mieć kult dla kogoś, kto nie wydaje się nam Bogiem?

Drogi mój, musiała snadź⁷⁹ moja głowa, dusza być w stanie bardzo osobliwego szaleństwa, aby mnie przywieść do podobnej zbrodni. Mój Boże, i mnie Kochano tak, jak ja ciebie Kocham, i to istota najbardziej doskonała; czy potem będziesz miał siłę powiedzieć, że ja cię nie Kochałam? że moje uczucie to była nienawiść? Tak, w istocie, czułam nienawiść, ale do siebie, do nieprzepartego pędu, który mnie porywał. Miły mój, zastanów się dobrze; mimo że z pewnością kochało cię wiele osób, nikt nie kochał cię z większą siłą, uczuciem i namiętnością. Miły mój, proszę cię, byś zachował ten list i jakikolwiek los mógłby go spotkać, nie będę niepokoić się oń, ani uskarżać nigdy. Mój wyrok wyrzekłeś ty sam, 10 lutego ubiegłego roku, a jest nim: *Kochać ciebie lub umrzeć*.

LIST XCVIII

Sobota, o północy

I cóż! nie powiedziałam? Nie zobaczę cię i nie zobaczyłam. Mój Boże, jak smutno jest przewidywać tak trafnie i okazywać swe żale komuś, kto ich nie podziela! Nie wiem,

⁷⁹snadź (daw.) — widocznie. [przypis edytorski]

w jaki sposób mogłam czuć równie żywo, że mi ciebie brakuje: jedynie w *Ifigenii* na scenie jest może więcej ludzi, niż ich było dziś popołudniu w moim pokoju. Wielkie, małe łoża, wszystko było pełne po brzegi: upadałam ze znużenia. Zaczęłam od tego, iż spędziłam godzinę z panem Turgot, później jeszcze godzinę u pani de Chatillon; zrobiłam schodów bez końca, wracając, byłam ledwie żywa. Przyrzekłam spędzić wieczór u św. Józefa. Nie miałam sił: pójdę jutro, jeśli zdobędę się na ten wysilek. Przed obiadem idę na ulicę de Cléry zobaczyć automaty, które są podobno nadzwyczajne, jak mi powiadano. Kiedy bywałam w *świecie*, nie miałabym tej ciekawości: parę kolacji zaspokoiłoby ją najzupełniej; ale marionetki z ulicy de Cléry mają wyższość: działają, a nie mówią!

Wstąp tam, jadąc na Marais, a powiem ci, czy mam łożę księcia d'Aumont. Mam ją mieć jutro lub we wtorek; wolałabym raczej jutro, ponieważ we wtorek będziemy mieli u siebie pana Roucher. Słowem, mój kochanku, *tak czy owak*, trzeba, abym cię widziała jutro i to długo, bądź w Operze, bądź u mnie: wieczerasz o dwa kroki ode mnie.

Ale, ale: pani de Chatillon nie przypuszcza, abyś był zdolny tak ją zaniedbać: pytała, czy twoje *zamknięcie* trwa jeszcze. Odpowiedziałam, jak się domyślasz, że trwa i to bezwzględnie: tym samym winy wymazane, ponieważ kobietom chodzi tylko o to, aby je *woleć* od innych. Prawie nikt nie potrzebuje, aby go kochać, i bardzo szczęśliwie, bo to jest z pewnością najslabsza strona Paryżan. Ośmielają się mówić, że kochają, a równocześnie są spokojni i rozbawieni; wiedzą, w istocie, co to namiętność i uczucie! Biedni ludzie! trzeba ich chwalić jak *Liliputów*; są bardzo ładni, bardzo mili, bardzo wdzięczni; wszystko doskonale dobrane do gąsek oskubujących strusie. Bądź zdrow, drogi. Ufność, jaką mi okazałeś wczoraj wieczór z okazji listu twojej matki, bardzo mnie ujęła.

LIST XCIX

Wtorek, szósta rano, 1775

Przypominasz sobie swoje ostatnie słowa? Przypominasz sobie, do czegoś mnie doprowadził i w jakim stanie sądziłeś, że mnie zostawiasz? Otóż, muszę ci powiedzieć, iż przyszedłszy niebawem do siebie, *podniosłam* się i nie czułam się ani o włos niżej niż godzinę przedtem, kiedy stałam wyprostowana w całej wysokości. I zdziwi cię może, iż ze wszystkich uczuć, które mnie pociągnęły ku tobie, to ostatnie jest jedynym, którego sobie nie wyrzucam.

A wiesz dlaczego? Ponieważ istnieje bezmiar miłości, który usprawiedliwia duszę równym przejętą wstrętem do tego, co szpetne i co nieuczciwe. W tym oddaniu, w tym ostatnim stopniu zaparcia się siebie i wszelkiego osobistego dobra dowiodłam ci, że istnieje w świecie tylko jedno nieszczęście, które wydaje mi się nie do zniesienia, to jest obrazić i stracić ciebie: ta obawa skłoniłaby mnie do ofiary życia. I jakże miałabym żałować, iż okazałam i wyraziłam z siłą uczucie, którym od roku żyję i umieram? Nie, drogi mój, mimo twoich wyrażań, nie czuję się upokorzona; ponieważ ciebie uważam za uczciwego człowieka, nie uważam siebie za winną. Nie sądz, iż wchodzę w targi z sumieniem, że siłę się usprawiedliwić; nie, drogi mój, uczucie, które mnie ożywia, gardzi dumą i złą wiarą i jeśli ty mnie obwiniasz, uważam się za skazaną na zawsze. Twoje mniemanie, twój szacunek są mi równie bliskie i drogie, co mój własny.

Jestem tak pewna twojej uczciwości, znam tak dobrze twą dobroć, że jestem przekonana, iż nim usnąłeś, przyrzekłeś sobie odwiedzić mnie dziś. Dziękuję ci za ten zamiar, ale proszę, abyś nie przychodził: odwołuję się do twojej delikatności i litości. Potrzebuję dać spocząć mojej duszy; wprawiasz ją w stany, których nigdy nie zaznała i których nawet myślą nie zdołałabym objąć.

Mój Boże, cóż to za straszliwa rzecz, wielkie nieszczęście! Nie ma już granic ani miary. Potrzebuję spoczynku, daj mi się uspokoić: wezmę dwa grany opium. Pod wpływem odrętwienia myśli moje zamroczą się, dusza się uspi; zapomnę może, iż, mimo że mi uległeś wczoraj, nie odpowiedziałeś memu sercu, nie powiedziałeś słowa, które by mnie mogło pocieszyć i skrzepić. Bądź zdrow, miły mój, nie przychodź i, wobec tej prośby, nie bierz mi za złe, że drzwi moje będą zamknięte; zamknięte dla wszystkich. Jestem tak osłabiona, iż opium pochłania wszystkie moje zdolności; ale zaciera moje cierpienia, odejmuje mi tę część egzystencji, która daje mi czuć i cierpieć.

Bądź zdrow; rozstaję się z tobą na dwadzieścia cztery godziny. Gdyby nieszczęściem, którego nie chcę przewidywać, wczorajszy wieczór miał... Nie, nie śmiem kończyć. Drogi mój, widzę sposób odkupienia: ukarałabym się, umiem cierpieć, skazałabym się na to, aby ci nigdy nie powiedzieć słów, które wymawiam oto z tkliwością i uniesieniem: *Kocham cię*. Gdy będziesz składał wizyty, pamiętaj o panu de la Borde. Nim oddasz tę angielską książkę, proszę, byś przetłumaczył urywek, który mi odczytałeś.

LIST C

Środa, jedenasta

Oceń moje nieszczęście: czułam śmiertelną niechęć do otworzenia listu; gdybym się nie lękała obrazić cię, byłam gotowa ci go odesłać. Coś mi mówiło, że ten list rozjątrzy mą męczarnię, a chciałam się oszczędzać. Ciągłe cierpienia fizyczne łamią moją duszę. Miałam znów gorączkę, nie zmrużyłam oka, nie mam już sił. Przez litość, przez miłosierdzie, nie dręcz już życia, które gaśnie i którego wszystkie chwile poświęcone są boleści i zgryzocie.

Nie oskarżam cię, nie wymagam nic, nic mi nie jesteś winien; w istocie bowiem nie miałam jednego drgnienia, jednego uczucia, na które bym się zgodziła, a kiedy miałam nieszczęście im ulec, wciąż nienawidziłam siłę czy słabość, która mnie ponosi. Widzisz tedy, że nie jesteś mi winien żadnej wdzięczności i że nie mam prawa czynić ci żadnej wymówki.

Bądź więc wolny, wróć do tego, co kochasz i co ci odpowiada więcej może, niż mnie-masz; zostaw mnie mojej boleści, pozwól mi zająć się bez rozproszeń jedynym przedmiotem, który ubóstwiałam i którego wspomnienie droższe mi jest nad wszystko. Mój Boże, nie powinna bym go oplakiwać, powinnam była iść za nim! To ty każesz mi żyć i stajesz się sprawcą mąk istoty, którą boleść zżera i która resztkę sił obraca na wołanie śmierci.

Och! robisz dla mnie nadto i nie dosyć! Mówiłam ci przed tygodniem: czynisz mnie trudną, wymagającą; dając wszystko, chce się uzyskać coś bodaj. Ale jeszcze raz przebaczam ci i nie mam do ciebie nienawiści. Nie przez szlachetność przebaczam ci, nie przez dobroć nie nienawidzę cię: po prostu dusza moja jest znużona, umiera ze zmęczenia. Drogi mój, zostaw mnie, nie mów mi już, że mnie kochasz: ten balsam staje się truciźną, goisz i rozdzierasz na przemian mą ranę. Jak ty mnie dręczysz, jakże mi cięży życie, jak mimo to kocham cię i jak by mi ciężko było wnieść smutek w twą duszę! Och, zbyt jest podzielona, zbyt rozproszona, aby mogło w nią wnikać prawdziwe szczęście. Pragniesz zatem widzieć mnie dziś wieczór. Więc dobrze, przyjdź. Pocziwy Condorcet został przy mnie, byłam nieżywa. Przettrzymałam twego posłańca, ponieważ Tenon⁸⁰ mi przerwał. Znowu znalazł dziś gorączkę.

Do widzenia. Jest południe, pewno już cię nie ma w domu; i potem mnie łajesz, kiedy się lękam skutków twojego niedbalstwa i gorzej jeszcze.

LIST CI

Czwartek, jedenasta

Bądź tyle uczciwy, aby mnie nie prześladować. Mam tylko jedną wolę, jedno pragnienie, to jest nie widywać cię już sam na sam. Nie mogę nic uczynić dla twego szczęścia, nie mam sposobu pocieszenia cię, zostaw mnie zatem i nie chciej być dla rozrywki męczarnią mego życia. Nie robię ci wymówek; cierpisz, współczuję z panem i nie będę mówiła już o swoich cierpieniach; ale w imię tego, co ma jeszcze jakąś władzę nad twoją duszą, w imię honoru, cnoty, zostaw mnie, nie licz już na mnie. Jeżeli zdołam się uspokoić, będę żyła; ale jeżeli nie przestaniesz, będziesz niebawem musiał sobie wyrzucać, iż wróciłeś mi siłę rozpaczy. Oszczędź mi tej zgryzoty i przykrości, abym musiała zamknąć przed panem drzwi mego domu, wówczas gdy jestem sama. Proszę pana i to ostatni raz, nie przychodź

⁸⁰Tenon — słynny lekarz paryski. [przypis tłumacza]

do mnie inaczej, niż między piątą a dziewiątą wieczór. Gdyby pani de M. mogła czytać w mej duszy, upewniam, iż nie miałaby do mnie nienawiści; co najwyżej budziłabym w niej nieco żalu; oboje razem daliście mi odczuć męczarnie potępieńców, żal, nienawiść, zazdrość, pogardę dla samej siebie, a niekiedy i dla ciebie; cóż wreszcie? Wszystkie nieszczęścia namiętności, a nigdy tego, co może dać szczęście duszy szlachetnej i tkliwej. Oto co panu zawdzięczam, ale przebaczam ci. Gdybym dbała o życie, czuję, że nie byłabym równie wspaniałomyślna, przysięgłabym ci nieubłaganą nienawiść: ale niebawem będziesz mi równie daleki jak życie. Pragnę obrócić mą zdolność czucia, mą duszę i wszystko, co we mnie zostało z istnienia, na to by kochać, ubóstwiać jedyną istotę, która wypełniła me istnienie i której zawdzięczałam więcej szczęścia i rozkoszy, niż ich ktokolwiek na ziemi czuł lub nawet zdolny był sobie wyobrazić. I to pan uczyniłeś mnie występłą wobec tego człowieka! Dusza moja wdryga się na tę myśl, odwracam się od niej. Chciałabym się uspokoić; a jeśli nie zdołam, umrzeć.

Powtarzam raz jeszcze, to ostatni krzyk mojej duszy: przez litość, zostaw mnie; inaczej poznasz, co to wyrzuty.

LIST CII

Wtorek, jedenasta, 28 luty 1775

Kto umie cenić dobroć, a zwłaszcza kto kocha, nie może być ani trudnym, ani niesprawiedliwym. Tak więc, drogi mój, nie będę cię oskarżała, nie będę się żaliła. Nie, to nie twoja wina; opuszczenie, w jakim mnie zostawiłeś dzisiaj, było mimowolne; wyrzuciłeś je sobie; może w dobroci swojej mówiłeś: ona cierpi i to ja jestem przyczyną. Miły mój, jeżeli twoje serce uczuło te słowa, jesteś zanadto ukarany, a ja aż nadto pomszczona. Ale czy jutro nie będę szczęśliwsza? Czy nie spotkam cię na obiedzie? Czy cię nie ujrzę?

Mam zamiar odwiedzić pana Turgot we czwartek; namawiam pana de Vaines, aby mnie zawiózł do Wersalu i pana także, gdyby ci to dogadzało. Pocziwy Condorcet i nieoceniony d'Alembert jadą tam jutro; d'Alembert odczyta mu swoje *Pochwały*, pan Rocher wygłosił mu dziś swój poemat: oto dwa dobre dni, będzie mało mówił, a znajdzie wiele przyjemności. Drogi mój, gdyby nie obawa, iż wydam ci się równie wzdęta pychą jak owa żaba z bajki, opowiedziałabym ci, że pan Turgot kazał mnie prosić, abym mu przywiozła swoje cenne gryzmoły; każę mu jutro powiedzieć, że go to szczęście nie minie.

Mój Boże, gdybym cię widziała, byłabym spędziła dzień bardzo słodki, tak, spokojny jak w Gessnerze; miałam wiadomość od pana Turgot co godzinę; sam hrabia de Schomberg pisał do mnie trzy razy i zawsze z dobrą otuchą, mówiąc wszelako prawdę. Jadłam obiad sam na sam z osobą nieszczęśliwą, a tym samym zajmującą; a potem, o trzeciej przeszłam się nieco po Tuilleriach. Jakże tam było cudnie! Jakaż boska, pogoda! Powietrze, którym oddychałam, działało na mnie kojąco: kochałam, żalowałam, pragnęłam: ale wszystkie te uczucia miały piętno słodczy i melancholii.

Och! drogi mój, ten sposób czucia ma więcej uroku niżeli żar i wstrząśnienia namiętności; tak, mam wrażenie, że zaczynam się oddalać od tego; nie chcę już kochać *mocno*, będę kochała łagodnie, ale nigdy słabo, jak możesz sobie wyobrazić, skoro to ciebie kocham. Wróciłam o wpół do piątej, byłam sama do szóstej i czy wiesz, jak starałam się znieść moje oczekiwanie? Odczytując twoje listy od 1-go stycznia i porządkując je; słowem, nie widząc cię, byłam żywo, tkliwie zajęta tobą. Potem przyszło kilka osób, które poświęciły mi swój *thusty wtorek*; były przesycone zabawami, chciały mieć przyjemność rozmowy, swobody, spoczynku i cieszyliśmy się tym wszystkim, jeszcze bowiem podtrzymywała mnie nadzieja ujżenia cię: myślałam, że wpadniesz po *Cyruliku*. Och! kiedy usłyszałam, że bije dziewiąta, zmartwiałam nagle, a milczenie moje sprawiło, iż wszyscy opuścili mnie o wpół do dziesiątej. Ale szalona jestem, a raczej głupia, aby pana męczyć dniem, w którym nie zechciałeś uczestniczyć ani przez chwilę. Bądź zdrow, drogi, daj mi znać, co myślisz o czwartkowych projektach.

Sądzę, że nadto jesteś światowcem, aby ominąć dzisiejszy bal. Co do mnie, wolę raczej oddychać czystym i łagodnym powietrzem Tuillerii w porze, kiedy są prawie że puste.

Och! bo też dusza moja daje mi jeszcze więcej stawy niż tobie cały twój rozum i talent. Ale bywaj zdrów.

Jutro mam mszę i panią Chatillon.

LIST CIII

Jedenasta wieczór, wtorek, 1775

Drogi mój, „przekleństwo dawniej sięga⁸¹”; przypominasz sobie te słowa: „*To nie pani de M. należy Ci się obawiać, ale*⁸²...” i ton, jakim były powiedziane! i milczenie, które po nich nastąpiło, i niechęć do wyjaśnień, i opór! Mój Boże, czyż to nie nadto, aby wnieść zamęt i ból w duszę pełną udręki? Dodaj do tego wyraźną chęć opuszczenia mnie; i do kogo się tak spieszyłeś? Czy mogłam się uspokoić? Kochałam cię, cierpiałam i winiłam sama siebie. Byłam u twoich drzwi dziś rano, smutek był w mojej duszy; ujrzałam cię i uczucie słodczy wplotło się w melancholię, która mnie przenikała.

A potem widziałam, że ty wkładasz jakąś zaciekłość w to, aby mnie pognać; a potem uwierzyłam we wszystko, co mi dałeś do myślenia: słyszałam, jak nazwałeś... Wówczas to, co mi powiedziałeś, wydało mi się wstrętne i to ty byłeś przyczyną tego wrazenia; miałam uczucie, że cię krępuję, zatrzymuję, przymuszam, w duszy przechodziłam mękę. Dobrze więc, miły mój! przepraszam, iż jeden raz podejrzewałam cię niesprawiedliwie; to nieufność właściwa nieszczęściu. Och! ileż razy mogłam się uskarżać! Ileż razy kryłam przed tobą łzy! Wiem aż nadto, że nie można wstrzymać ani ściągnąć z powrotem serca, które rwie się do innego przywiązania; powtarzam to sobie bez przerwy. Niekiedy zdaje mi się, że jestem uleczona: zjawiasz się i wszystko obraca się w niwecz. Refleksje, postanowienia, nieszczęście, wszystko traci siłę za pierwszym twoim słowem. Nie widzę już innego schronienia prócz śmierci i nigdy żaden nieszczęśliwy nie wzywał jej tak żarliwie.

Mój Boże, gotowa jestem polubić pana Marmontel, nie dlatego że mnie chwalił, ale że powiedział, że mam czułość dla pana. Ach, drogi mój, moim nieszczęściem jest to, że ty nie potrzebujesz, aby cię kochano tak, jak ją umiem kochać. Trzymam na uwięzi połowę duszy; jej żar, pęd stałby ci się udręką i zgasiłby cię do reszty. Ogień, który nie rozgrzewa, męczy. Gdybyś wiedział, gdybyś czytał, ile szczęścia dawałam duszy silnej i gorącej przez to, iż czuła się kochaną! Porównywał te, które go kochały niegdyś, te, które go jeszcze kochały, i powiadał bez ustanku: „Nie są godne być twymi uczennicami: duszę twoją wygrzało słońce Limy, moje zaś rodaczki wydają mi się zrodzone w lodach Laponii”. I to z Madrytu pisał mi te słowa, i nie aby mnie chwalić, ale aby się tym nacieszyć; i ja nie uważam tego za samochwalstwo, kiedy ci mówię, że kochając cię do szaleństwa, daję ci tylko to, czego nie jestem zdolna zdławić ani powściągnąć.

Przerwał mi w tej chwili list pana de Vaines. Zaniepokoił mnie; prosi, aby pan d’Alembert był u niego przed ósmą i przyniósł mu swoją pochwałę ks. de Saint-Pierre. Dodaje: *to ważne*. Umieram z obawy, aby nie zamacono spokoju mego przyjaciela. Byłabym w rozpacz, rada bym dodać do swoich mąk wszystko to, co on ma wycierpieć.

Zawistnicy i świętoszki czuwają ciągle; chciałabym już doczekać jutra, a czuję, że nie zmrużę oka. Im bardziej odchodzę od własnego szczęścia, tym droższym mi jest szczęście przyjaciół. Nie mogę inaczej wyrazić mego przywiązania dla poczciwego Condorceta i dla pana d’Alembert, jak tylko mówiąc, iż *utożsamili* się ze mną; są mi potrzebni jak powietrze do oddychania; nie mącą mej duszy, ale ją wypełniają. Słowem, chciałabym doczekać się już jutra rana.

Ale, mój Boże, gdyby to pragnienie, gdyby ta potrzeba miały inne źródło, gdyby to nie przyjaźń... Ha! byłabym niegodną istotą i zniechęciłabym miłość. Nie, nie, nie mogę jej nienawidzić; dziś wieczór jeszcze oderwała mnie od moich cierpień; słyszałam raz jeszcze *Wrzesień*⁸³. Jakież to piękne! Jakie wielkie! Jakie wzniosłe! Ale, miły mój, brakowało mej przyjemności ciebie, twoja obecność czyni ją żywszą, silniejszą, głębszą. O każdym czasie, w każdym stanie, dusza moja potrzebuje ciebie.

⁸¹przekleństwo dawniej sięga — Racine, *Fedra*. [przypis tłumacza]

⁸²*To nie pani de M. należy Ci się obawiać, ale...* — słowa te były w ustach pana de Guibert mimowolną aluzją do jego planów małżeńskich. [przypis tłumacza]

⁸³*Wrzesień* — z *Poematu miesięcy* Rouchera. [przypis tłumacza]

Wróciłam dopiero o wpół do ósmej; zastałam przyjaciół, którzy czekali na mnie; pan Roucher był także, nie był w Wersalu. Chciałabym, aby już było jutro rano, ale to znaczy widzieć cię tylko w przelocie. Jednakże jutro będę sama; pani de Chatillon nie wychodzi; chciała, bym przyszła wieczór dotrzymywać jej towarzystwa. Och, dobry Boże! moje wieczory należą do pana de Mora lub do ciebie; z całego dnia ta pora jest mi najdroższa. Gdybym się nie obawiała jakiej omyłki, oddałabym ten list służącemu pana de Vaines. Dobranoc.

LIST CIV

Wtorek, jedenasta wieczór

Nie czułeś potrzeby widzenia mnie; może nawet byłam natrętna twej myśli; odechnąłeś wspomnienie, które by mogło zamącić twą przyjemność. Och! jakże mi cię żal, że nie umiesz oddać się *cały* bądź tej, która ci się podoba, bądź tej, która cię kocha! Ten podział odejmuje uczuciu cały urok i słodycz; ach, jakież jest okrutny dla szlachetnej duszy! Nie winię ciebie, nie skarżę się, ale martwię się własną słabością. Nie, miłość własna nie może mnie uzbroić przeciw tobie; kocham cię i wszelka myśl o sobie samej milknie przy tych słowach; to ty, twoje szczęście rodzi we mnie odwagę i wspaniałomyślność.

Tak, miły mój, godzę się ustąpić cię osobie, która ci jest droga; ale za to poświęcenie winnam uzyskać od ciebie, abys się nie starał podsycać w mej duszy uczucia, które by ją doprowadzało do rozpacz, a zwłaszcza nie żądał ode mnie dowodów czułości, które mnie upokarzają, które kalają moje serce, zostawiając w nim wyrzuty i zgryzotę. Wiem, że nie jest w twej mocy kochać mnie, ale czyż niemożliwe jest być uczciwym? czy to zbyt wygórowane żądanie? Wróć spokój swojej duszy, a nie traw życia na wyrzucaniu sobie tego, co czynisz; przestań mącić spokój tej, którą kochasz, a zarazem nie obrażaj już tej, która ciebie kocha i która uprzedza twoje chęci, pragnienia, wolę, która, słowem, czyni ofiarę z ciebie tobie samemu. Nie pani de M. oddaję ciebie, ale tobie, twojej uczciwości, sumieniu, jestem pewna bowiem, że musi cię dręczyć i że będziesz szczęśliwym nie wprzód, aż przestaniesz być z nim w walce.

Mój Boże, jakże mogłabym mniemać, iż ciebie nie kosztuje wiele oszukiwać mnie? Jeżeli nie masz dość siły, aby mi dać szczęście, z pewnością jesteś na tyle uczciwym, aby się martwić, iż jesteś mym nieszczęściem. Wierzaj sercu całkowicie oddanemu tobie, które jedynie przez ciebie oddycha: nie walcz już, poddaj się swojej skłonności; zostanie mi bodaj pociecha, że uczyniłam coś dla twego szczęścia, w przymusowym zaś położeniu, w jakim mnie stawiasz, muszę sobie wyrzucać, że je mączę.

Oswobodź mnie i od złego, które ja ci czynię, i od tego, które ty mnie czynisz. Drogi mój, bądź uczciwy, zaklinam; czegoż trzeba, aby zasłużyć na szczerłość? Powiedz; nic nie będzie mi niepodobieństwem; usłuchaj krzyku swojej duszy, a przestaniesz rozdzierać moją. Tak, mogę się obejść bez miłości, ale straszne mi jest wątpić o tobie, podejrzewać ciebie; uszanuj mnie na tyle, aby mnie nie oszukiwać. Przysięgam na to, co mi najdroższe, na ciebie, iż nigdy nie każę ci żałować tego, że mi powiedziałeś prawdę. Będę cię kochała za mękę, za wstyd, których mi oszczędzisz; nigdy nie usłyszysz wymówki. Ustępując ciebie, nie zachowam nic, nawet prawa użalania się, zaprzętania cię sobą.

Drogi mój, zastanów się dobrze, byłbyś bardzo niezręczny i niesumienny, gdybyś chybił tę sposobność oddania się potrzebie i skłonności własnego serca; pomyśl, że od tej chwili nie wolno ci już utrzymywać mnie w błędzie. Odejmuję ci wszelki pozór do oszukiwania; gdybyś nadużył mej wiary, byłbyś bardzo winny. Nie każ mi poznawać straszliwego uczucia, którego nie śmiem nazwać, kiedy myślę o tobie.

Drogi mój, wiem, że byłeś zachwycony Operą; pani d'Héricourt, hr. Creutz i hr. de Crillon zdali mi sprawę. Nie słuchałam ich, ciebie bowiem pragnęłabym słyszeć. Przy tym ks. de Boismont wprawił mnie w pomięszanie, mówiąc mi o tobie; słyszał, jak twierdzi, że „jestem zakochana w panu do szaleństwa”; to jego wyrażenie; dodał jeszcze: „Nie, ja nie jestem zły człowiek: to nie pułapka, ani zemsta”. Milczałam zmieszana; szczęściem, oznajmiono w teże chwili arcybiskupa Tuluzy. Co pan sądzi o tym? nie wiem, czy koniecznie chcę się ludzić, ale sądzę, że to sztuczka ks. de Boismont, którą ja sama spowodowałam, opowiem ci w jaki sposób.

Miły mój, uprzedzam twoje życzenia; oddam komu innemu miejsce w łoży, pójdzies na salę, wprowadzisz panią de M., będziesz koło niej; wolę tak. Widziałam pana Turgot; wyrzuca sobie, że ci jeszcze nie odpisał: bardzo go ujął twój list. Dostał przemiły list od Woltera, który pisze: *będziesz pan zasypany szczerymi komplementami*, etc. etc. Posłałam do pani de Luxembourg z zapytaniem, kiedy wraca pani de Boufflers; w poniedziałek.

Nie śmiem marzyć o spotkaniu pana jutro na obiedzie, ale nie mogę się powściągnąć, aby tego nie pragnąć, chociaż może to być pragnienie sprzeczne z pana przyjemnością.

Jeżeli byłeś u hr. de Broglie, to bardzo nieładnie, że nie darowałeś mi ani chwili; jesteś przyczyną, iż rozmawiałam z arcybiskupem Aix jedynie z dystrakcją; czekałam ciebie, jakże mogłabym być myślą przy nim? Dobranoc.

Czuję, że ks. de Boismont ma słuszność, ale nie powinien mi być tego mówić. Miałam dziś u siebie ze dwadzieścia osób; nie mogły rozproszyć potrzeby widzenia pana. Co robiłeś? Gdzieś wieszczę? Czy pomyślałeś, że cię kocham? Czy mogłabym powiedzieć bodaj jak Orest:

Serce jest za Pyrrhusem, za Orestem chęci?

Ale bywaj zdrow. Chcę tylko prawdy; pomyśl jeszcze raz, winien mi ją jesteś bez ogródek, bez przeinaczeń, słowem, taką, jaka jest w twojej duszy.

LIST CV

Wtorek, jedenasta 1775

Nie spodziewałam się tego⁸⁴. Miałam w głębi serca bolesne wrażenie tych okrutnych słów: *Nie możemy się kochać* i odpowiadałam na nie z całą siłą, jaka mi została: *Nie mogę żyć*. Drogi mój, to, co cierpię, co czuję, nie da się wręcz wyrazić; niepodobna się nie ugiąć: czuję wyczerpanie całej swej istności; zdaje mi się, że wystarczy mi poddać się, aby umrzeć.

Mimo to dziś wieczór mam się lepiej; spędziłam trzy godziny w kąpieli, wyszłam z niej w pół omdłała, z bólem w piersi, który mnie już nie opuścił. Był u mnie pan d'Aulezy i baron de Kock; pożegnali się, aby mi pozwolić odpowiedzieć, nie wiedząc, o kogo chodzi. Dobranoc. Pamięć twoja, twój niepokój, przekonują mnie, iż co bądź byś mówił, *możemy się kochać*. Do jutra, już zaczynam czekać!

LIST CVI

Wtorek, jedenasta wieczór, marzec 1775

Wymówiłam się od spędzenia wieczoru z dwiema osobami, które się kochają, aby mówić z tym, kogo ja kocham, aby zając się nim z większą swobodą i przyjemnością, niżbym jej mogła zaznać w towarzystwie ludzi. Nie mieliby mocy oderwać mnie zupełnie, ale już to jest przykrość, kiedy coś mąci miłe i zajmujące myśli. Tak, drogi mój, samotność ma wielki urok dla duszy pochłoniętej jedną rzeczą. Mój Boże, jakże *silnie* żyje człowiek, kiedy jest martwym dla wszystkiego, wyjąwszy dla przedmiotu, który jest nam całym światem i który tak pochłania całą zdolność czucia, iż niepodobna żyć czym innym niż chwilą obecną.

I jakże ty chcesz, abym powiedziała, czy będę cię kochała za kwartał? Jakże mogłabym wyzwolić się myślą ze swego uczucia? Chciałbyś, wówczas gdy cię widzę, gdy twoja obecność czaruje me zmysły i duszę, abym ci określiła wrażenie, które sprawi na mnie twoje małżeństwo? Mój drogi, nie mam pojęcia, ale to najmniejszego. Gdyby mnie wyleczyło, powiedziałabym ci, a jesteś dość sprawiedliwy, aby mnie nie potępiać; gdyby, przeciwnie, wniosło w duszę moją rozpacz, nie skarżyłabym się i cierpiałabym bardzo krótko. Wówczas miałbyś dość serca i uczciwości, aby przyklasnąć postanowieniu, które przyprowadziłoby cię jedynie o przelotny wyrzut i którego twoja nowa sytuacja pozwoliłaby ci zapomnieć bardzo szybko. Upewniam cię, że ta myśl jest mi wielką pociechą; czuję się wolniejsza.

⁸⁴Nie spodziewałam się tego — pan de Guibert oznajmił pannie de Lespinasse o swoim małżeństwie. [przypis tłumacza]

Nie pytaj już tedy, co uczynię wówczas, gdy zwiążesz swoje życie z inną. Gdyby rządziła mną tylko próżność i miłość własna, o wiele lepiej zdawałabym sobie sprawę z tego, co będę czuła; nie ma miejsca na omyłki w rachubach miłości własnej, przewiduje ona dość szybko. Namiętność nie zna czasu przyszłego; toteż powiadając: *kocham cię*, mówię wszystko, co wiem, co czuję. Nie przywiązuję żadnej ceny do tej stałości, którą nakazuje rozsądek, a częściej jeszcze drobne względy towarzyskie oraz próżnostki, którymi gardzę z całej duszy. Nie więcej też cenię ową płaską „siłę charakteru”, która każe cierpieć, kiedy można temu zapobiec, i która każe obracać rozum i hart na to, aby zmienić żywe uczucie w chłodne przyzwyczajenie. Wszystkie te kompromisy wobec siebie i tego, kogo się kocha, wydają mi się szkołą fałszu i obłudy, sposobikami próżności i ratunkiem niemocy.

Drogi mój, nie znajdziesz we mnie tego wszystkiego: to nie wynik zastanowienia, to nałóg mego życia, charakteru, odczuwania, słowem cała ma istota uniemożliwia mi udanie i przymus. Czuję dobrze, że gdybyś mógł urobić mą naturę, wyglądałaby ona odmiennie; dałbyś mi charakter bardziej pokrewny z postanowieniem, które chcesz powziąć; w tym, kto jest przeznaczony na ofiarę, pragniemy znaleźć nie opór i siłę, ale słabość i poddanie. Mój drogi, czuję się bardzo zdolna do wszystkiego, z wyjątkiem do tego, aby się ugiąć; miałabym siłę do męczeństwa; miałabym siłę — mamż wyznać? — tak, siłę do zbrodni, byle zadowolić namiętność swoją lub też tego, kto by mnie kochał; ale nie znajduję w sobie nic, co by mi mogło ręczyć, iż zdołam kiedykolwiek uczynić ofiarę ze swego uczucia. W porównaniu do tego życie jest niczym: przekonasz się, czy to są tylko majaczenia rozpalonej głowy! Tak, może to są myśli rozpalonej głowy, ale z jakiegoż źródła płyną silne czyny? Czyżby z rozumu, który jest tak przewidujący, tak mały, tak głupi w swych horyzontach?

Tak, miły mój, ja nie jestem rozsądna, może trawiąca mnie namiętność jest przyczyną, iż okazywałam całe życie tyle rozsądku we wszystkim, co podlega sądowi i mniemaniu obojętnych. Ileż słyszałam pochwał za swoje umiarkowanie, szlachetność, bezinteresowność, rzekome poświęcenia uczynione pamięci matki i domu d'Albon! Oto jak świat sądzi, jak patrzy. Ech, dobry Boże, wy, głupi ludzie, ja nie zasługuję na wasze pochwały; dusza moja nie była stworzona na miarę drobnych interesów, które was zaprzętają; cała pochłonięta szczęściem, że kocham i jestem kochaną, nie potrzebowałam uczciwości ani siły, aby znosić ubóstwo i wzgardzić monetą próżności. Tak mocno żyłam, tak czułam wartość życia, że gdyby trzeba było zacząć na nowo, pragnęłabym, aby to było w tych samych warunkach. Kochać, cierpieć: niebo, piekło; oto czemu bym się poświęciła, oto co chciałybym czuć, oto klimat, który chciałybym zamieszkiwać, a nie tę umiarkowaną strefę, ojczyznę wszystkich niewolników i wszystkich marionetek, jakimi jesteśmy otoczeni.

Jedyny mój, kiedy brałam pióro, miałam zamiar w dalszym ciągu malować ciebie: otóż przez wstrętny *egotyzm* zmieniłam przedmiot i odmalowałam samą siebie, poddając się jak szalona pędowi, który mnie porusza; ale to przez ciebie jestem szalona, przez najbardziej żywe, serdeczne uczucie, dobrze tedy uczyniłam, ulegając mu. Nie wiem, czy ci prześlę czy też oddam sama tę paplaninę; tak, oddam sama. Gdybym posłała, bałabym się, że jesteś na obiedzie u pani de Beauvau; jakże by to było nieszczęśliwie!

LIST CVII

Pólnoc, niedziela 1775

Ileż słodczy i rozkoszy może jeszcze odczuć dusza upojona namiętnością! Drogi mój, czuję to, życie me zespolone jest z mym szaleństwem; gdybym się uspokoiła, wróciła do rozsądku, nie mogłabym żyć ani doby. Wiesz, co było zawsze pierwszą potrzebą mej duszy, kiedy czuła gwałtowny wstrząs rozkoszy lub bólu? Napisać do pana de Mora. Wskrzeszam go, przywołuję do życia; serce me odpoczywa na jego sercu, dusza przelewa się w jego duszę; żar, chybkość mej krwi urąga śmierci; widzę go, żyje, oddycha we mnie, słyszy mnie, głowa moja rozpala się i mąci do tego stopnia, iż nie potrzebuje już złudzenia, to istna prawda. Tak, ty sam nie bardziej jesteś mi dotykalny, przytomny, niż był mi przez godzinę pan de Mora.

O, boska istota! Przebaczył mi, kochał mnie. Drogi mój, to, czego doświadczyłam, to jeszcze następstwo wstrząśnienia, jakiego dusza moja doznała dziś popołudniu. Mój Boże,

jakże trzeba kochać, uwielbiać talent, który wlewa w nas jakby nowe istnienie! Och, nie, nie jestem dość wielka, dość silna, aby sławić ten dar nieba! Ale zostało mi dosyć uczucia i żaru, aby się nim sycić do upojenia i aby przenieść doznane wrażenia na przedmiot, który tchnął duszę w me życie i jeszcze je podtrzymuje.

Cóż to za szczęście kochać! To jedyny pierwiastek wszystkiego, co piękne, co dobre i wielkie w przyrodzie. Tak, drogi mój, pan Roucher kochał; to miłość uczyniła go wzniosłym. Ale serce moje opływa smutkiem, kiedy pomyślę, że ten rzadki człowiek, ten cud przyrody, zna, co to nędza, że cierpi ją i sam, i przez istotę, którą kocha. Och, ten nadmiar ubóstwa zabija miłość: trzeba iście cudu, aby zachować energię i żar, jakie są w jego wierszach; dusza jego jest w ogniu, nigdzie nie czuć, aby ten człowiek był powalony nieszczęściem. Nie wiem, czy to objaw słabości, ale rozplynęłam się we łzach, czując swoją niemoc, czując się niezdolną przyjść z pomocą temu człowiekowi. Gdyby moja krew mogła się zmienić w złoto, żona jego i on dziś jeszcze opływałyby w szczęście. Czemuż nie mogę tchnąć swoich uczuć w duszę hrabiego de Crillon! Jakiż piękny użytek uczyniłby ze swych bogactw! Och, gdyby pan de Mora żył, z jakąż rozkoszą, z jakimż szczęściem zadowoliliby moje serce! Tak, krwawymi łzami trzeba oplakiwać takiego przyjaciela; ubóstwiać go, to znaczy składać hołd cnocie.

Ale żegnaj mi, drogi mój; ty nie możesz nastroić się na ton mej duszy; patrzysz na mnie trzeźwo, czuję to. Ty przed chwilą może nurzałeś się w rozrywce; masz w sobie obojętność przesytu, podczas gdy ja mam cały dech namiętności. Siły moje są zupełnie wyczerpane; nie wiem, skąd wzięłam ich, aby gryzmolić tak długo. Bądź zdrow.

Jeżeli nie zmieniłeś planów, wstąpię po pana jutro o piątej do pana d'Argental; ale zwłaszcza, proszę o to, żadnych ustępstw, poświęceń; niewarta ich jestem, wiesz o tym.

LIST CVIII

Poniedziałek, dziesiąta, maj, 1775

Powiem jak Mahomet:

On jeden mą pociechą, on nagrodą moją.

Cytując zaś ciebie samego, dodam:

Gdy miły mój mnie zrani, obetrze łzy moje.

Nie trzeba mnie chwalić; gdybyś był rad z pani de M., mniej byś ją chwalił, a uważałbyś, żeście się skwitowali. Dobranoc; ma pan tedy gorączkę; to mnie martwi. Ktoś mi mówił, że widział dziś rano u malarza pańską emalię i że jesteś podobny jak dwie krople wody.

Ta młoda osoba⁸⁵ zasługuje w zupełności na ofiarę czasu, jaką jej złożyłeś, pozując do portretu; ale twoje życie będzie należało do niej: wspaniałomyślnie jest przyspieszyć tę chwilę. Wydała mi się urocza i godna sympatii, którą w panu zrodziła. Obejście, fizjognomia i ton matki w równym stopniu są miłe i zajmujące. Tak, będziesz szczęśliwy; zobaczysz, iż pani de M. powie ci kiedyś:

Byśmy się nie musieli rumienić oboje,
Chcę, by mą pomstą były dobrodziejstwa moje.

LIST CIX

⁸⁵*Ta młoda osoba* — Panna des Hayes de Courcelles, której małżeństwo z panem de Guibert zostało postanowione. Pewnego dnia, kiedy młoda panna i jej matka miały być u pana de Guibert, panna de Lespinasse, ku wielkiemu przerażeniu tego ostatniego, wtargnęła do mieszkania, pragnąc ujrzeć i poznać tę, która jej zabiera przedmiot ukochania. Poznanie odbyło się spokojnie i, na pozór przynajmniej, ku ogólnemu zadowoleniu. [przypis tłumacza]

Poniedziałek, jedenasta wieczór, 13 maja 1775

I cóż, przebaczyłam ci, ale że to nie była wspaniałomyślność, jestem ukarana; i przez ciebie, czy to sprawiedliwie? Donieś mi co o sobie; czy piłeś serwatkę? Kapałeś się? Czy weźmiesz we środę na przeczyszczenie? Słowem, czy raz w życiu zrobisz to, co miałeś zrobić? Czy wiesz, że ty byłbyś zdolny wyleczyć z siebie i to w niezawodny sposób: ta prawda zaczyna mi być niekiedy jasna w przerażającym stopniu. Tak, śmierć nie była mi niczym; ty mi ją uczyniłeś straszną. Ale odwracam myśl od wspomnienia, które mi mrozi krew i odciąga od ciebie.

Mój Boże, nie widziałam cię! Czekałam na ciebie, było to słodkie uczucie, kiedy nadszedł książę Pignatelli⁸⁶. Obecność jego zabija mnie; dźwięk głosu przyprawia mnie o dreszcz od stóp do głów; kolejno czuję przyływ tklivości i grozy: słowem, poruszył mą duszę do tego stopnia, iż zapomniałam o możliwości widzenia cię. Opuścił mnie aż o dziesiątej, od tego czasu jestem w stawie bezwładu, z którego ty jeden możesz mnie wyrwać. Drogi mój, czy otrzymałeś odpowiedź na ten uroczy list, jaki napisałeś do mnie dziś rano? Mimo wszystko co mówisz, ty wolisz czarować niż być kochanym: doświadczyłam tego; byłeś wówczas tak miły! Zdawało się, że tak słodko być kochaną!... Och, cóż za błąd! A wyrzuty, które idą w jego ślady, wypełnią ostatnie tchnienie mego życia.

Otrzymałam dziś zachwycający podarek, a sposób, w jaki mi go uczyniono, jest tak zręczny i oryginalny, że muszę ci go opowiedzieć. „Posyłam pani te e..... R....., które tak się pani podobają⁸⁷; zachowa je pani tak długo, aż się przestaną podobać: dowiem się w ten sposób, ile czasu trzeba, aby to, co się *pani podobało, sprzykrzyło się jej*”. Jeżeli ten zwrot wyda ci się pospolitym, nie znam się na dowcipie ani na oryginalności; co do mnie, czuję się zbyt tępą, aby na to odpowiedzieć, a jednak trzeba przynajmniej podziękować. Odpowiedz za mnie; słówko, które mi włożysz w usta, zyska mi na zawsze pierwszeństwo przed panią de Sevigné: pierwszy to raz odczuję przyjemność uzurpowania sobie opinii i strojenia się w cudze piórka.

Drogi mój, żart na stronę, ale rusz za mnie conceptem. Pojmujesz, że to od mężczyzny podarek, nie pisałam doń nigdy; tedy nie będzie miał porównania. Dobranoc, jutro będziesz jadł obiad w towarzystwie mało ci znajomym; będziesz bardzo miły: zgadnij dlaczego? Ja będę na obiedzie u p. de Chatillon; będę bardzo zgaszona i to moja wina, dziś bowiem jeszcze ktoś mówił do mnie: *Mam z nią wieczerzać dzisiaj: nigdy tak się na to nie cieszę jak wówczas, kiedy z nią jadłem obiad*. To znaczy, że dosyć nie jest dosyć. Ty nie jesteś dość szczęśliwy, aby odczuwać ten pęd; jesteś raczej podobny do *tego nieszczęśliwca, który nic nie kocha*. Słuchaj: chcę mieć swój słownik i list pani d'Anville, i także pani de Boufflers, i moje własne: a *potem* chcę widzieć ciebie. Jeżeli chcesz uniknąć tego oplakanego towarzystwa, przyjdź o pierwszej lub o piątej. Miałam dziś popołudniu ze dwadzieścia osób; doprawdy, myślę, iż nawet sądząc je surowo, warte są prawie tyle, co te, które wypełniły twój dzień.

Drogi mój, wyjąwszy⁸⁸ jednego jedyne punktu, bądźmy rozsądni i umiarkowani, jeśli to możliwe.

LIST CX

Poniedziałek, jedenasta, maj 1775

Drogi mój, co ty mi zrobiłeś? Czuję się tak głęboko smutna, tak nieszczęśliwa, tak przygnieciona brzemieniem życia, że to zdwojenie męczarni i bólu musi mieć źródło w tobie! Lęk, o który mnie przyprawiasz, nieufność, jaką budzisz we mnie, oto męczarnie, które bez ustanku torturują mą duszę; ta męka wystarczyłaby, aby mi kazać wyrzec się twego przywiązania lub przynajmniej tego, co jest doń podobne. Nie wiem, co za straszną przyjemność znajdujesz w tym, aby wnosić zamęt w mą duszę; nigdy nie starasz

⁸⁶książę Pignatelli — brat zmarłego margrabiego de Mora, drugi syn hrabiego de Fuentes. [przypis tłumacza]

⁸⁷Posyłam pani te e..... R....., które tak się pani podobają — prawdopodobnie *Elegie* pana Roucher, wspomniane poprzednio. [przypis tłumacza]

⁸⁸wyjąwszy (daw.) — tu: oprócz (stąd połączenie z rzeczownikiem w D.: punktu). [przypis edytorski]

się mnie uspokoić; nawet kiedy mówisz prawdę, wkładasz w to akcent człowieka, który oszukuje.

Och, Boże mój, jakże mi ciężko! Jak żarliwie pragnę wyzwolenia, mniejsza o to jakim środkiem, ze stanu, w którym się znajduję! Czekam, pragnę twego małżeństwa: jestem niby chory skazany na operację — widzi swoje uleczenie, a zapomina o gwałtownym środku, który ma mu je sprowadzić. Drogi mój, wyzwól mnie od nieszczęścia kochania ciebie; często zdaje mi się, że wystarczyłoby na to drobnostki; czuję jakby wstyd, iż mogłam włożyć w to treść swego życia: ale częściej jeszcze czuję się tak skuta, spętana ze wszystkich stron, że nie widzę jednego swobodnego ruchu; wówczas to śmierć wydaje mi się jedynym środkiem, jaki mam przeciw tobie.

Chciałam ci tylko powiedzieć, abyś nie przychodził dzisiaj; sądzę, że i beze mnie miałeś ten zamiar. Jestem wieczór u p. Bertin; idę na *Orfeusza*, przedtem zaś do pani Chatillon, która wciąż jest chora. Nie chciałeś jutro zjeść obiadu ze mną; uważasz, że dwa obiady w ciągu tygodnia to za dużo. We środę powiesz mi to samo; dobrze więc, rób, jak ci się podoba; będę robiła, co w mej mocy, aby i mnie się to podobało również. Bądź zdrow.

Poniedziałek, po otrzymaniu listu

Cóż za osobliwą trucizną podtrzymujesz me życie! Czyż to jest dobrodziejstwo czuć przez chwilę przyjemność i szczęście, kiedy już nie staje czasu, aby się cieszyć nimi? Jakiś ty był okrutny! Zatrzymałeś mnie przy życiu, wiedząc, że wkrótce później nie wolno mi już będzie żyć dla ciebie.

Ale, drogi mój, nie powinnam ci robić wymówek; zasypujesz mnie pochwałami, a nie zasługuję na żadną; nie, nie trzeba mnie chwalić, trzeba ubolewać nade mną, iż przepelnia mnie uczucie, które tchnęłoby wyraz w sam kamień. Jak mówić chłodno o istocie, którą się kocha? Jak nie pragnąć jej szczęścia i chwały przed wszystkim, co jest tylko mną? Drogi mój, przykrość mi robisz, chwając mnie; czy sądzisz, iż ukoisz mą duszę, schlebając próżności? Mój Boże, gdybyś wiedział, że w całym świecie nie ma ani odszkodowania, ani zadośćuczynienia za to, czego pragnę, czego się obawiam!

Tak, wiesz to, czytasz bowiem na dnie mojej duszy, widzisz, co ją napelnia, ożywia i wtrąca w rozpacz. Bądź zdrow, drogi. Bardzo miły był twój list, pomoże mi przebyć ten długi dzień.

LIST CXI

Środa, o północy, maj 1775

Podpisany zatem mój wyrok⁸⁹. Dałby Bóg, aby równie pewnie rozstrzygnął o twoim szczęściu, jak rozstrzygnął o mym życiu! Nie jestem już zdolna udźwignąć myśli. Przygniatasz mnie; trzeba uciec przed tobą, aby odzyskać siłę, którą mi odebrałeś.

Bądź zdrow, obyś mógł zawsze być dość zajęтым i dość szczęśliwym, aby stracić nawet wspomnienie mego nieszczęścia i mojej miłości. Och! nie troszcz się już o mnie; twoja poczciwość, względy, drażnią jedynie mą boleść. Pozwól mi kochać cię i umrzeć.

LIST CXII

Czwartek 1775

Mój Boże, jakże z wysoka niesie się twój bilecik? Czy to jest ton, jaki każe ci przybierać szczęście? W takim razie nie śmiałabym się skarżyć; pragnę jedynie, byś wiedział, że nie jest w mojej mocy znieść pobłażliwość i współczucie; dusza ma nie jest stworzona do takich poniżeń; litość twoja przepelniałaby czarę, oszczędź mi jej. Wytłumacz sobie, że nie jesteś mi winien nic i że nie istnieję dla ciebie. Jak widzisz, nie żądam żadnego wysiłku; raczej po prostu trwania w stosunku do mnie w twym dawnym obyczaju; nie sil się na te nawroty współczucia, które kalają i depcą na śmierć osobę będącą ich przedmiotem.

⁸⁹Podpisany zatem mój wyrok — podpisanie kontraktu małżeńskiego pana de Guibert. [przypis tłumacza]

Jak się pan miewa? Czy jedziesz do Wersalu? Twoja *Pochwała* znajduje się w rękach pewnego doktora.

LIST CXIII

Niedziela, 14 maja 1775

Zadajesz mi ból, gnębisz mnie, dręczysz, a potem mówisz, że nawykłam wobec ciebie do zbytnej surowości. Ha! mój Boże, ja ci nic nie darowuję? Jak ty się ważysz wymawiać te słowa? Ale przebaczam ci i mimo że nie jesteś ze mną bardzo dobrze, wiele brakuje do tego, abys był równie źle jak ja sama z sobą. Jestem niespokojna, pełna zamętu, rozstrojona do nieprzytomności niemal. Nie wiem, co z dwojga wytrzyma dłużej, głowa moja czy życie, ale niepodobna jest wytrwać w tak straszliwym stanie. Gdybym ci powiedziała wszystko, przeraziłabym cię, musiałbyś mnie znienawidzić. Jakże ja cierpię! Jakaż jestem nieszczęśliwa! Jak żałuję! Jak lękam się przyszłości! Ale zależy ona tylko ode mnie. Bądź zdrow, drogi; głowa moja, dusza są zmiążdżone; nie jestem już zdolna uspokoić się; w zamęcie, w jakim żyję, nie wiem nawet, czy cię kocham.

Oto bilet do Akademii. Miałaś być na obiedzie u księżnej d'Anville; obiad o pierwszej, po czym wszyscy idą do Akademii, pocziwy Condorcet będzie również. Spędził ze mną wczorajszy wieczór, toż samo będzie dziś; ale jutro, mam nadzieję, że nie będzie tak uprzejmy, ty zaś zdobędziesz się może na tyle, aby wstąpić jutro rano powiedzieć mi, czy mogę liczyć na ciebie wieczorem.

LIST CXIV

Niedziela, północ, 14 maja 1775

Każ mi donieść lub, jeżeli masz siłę, donieś mi sam, jak spędziłeś noc. Mam nadzieję, że bez gorączki, Znalazłam przed chwilą w książkach, że *rzymski rumianek* nie otruje cię; działa kojąco i używa się go w napadach kolki; donieś mi, czy pomógł.

Małżeństwo podziła na ciebie cudownie: troskliwość żony, otoczenia zmusi cię, byś więcej dbał o zdrowie. Dziś już kosztujesz słodczy domowego pożywania; dobrześ uczynił, żeś go nie porzucił dla Opery; to była owa mityczna Otchłań.

Ta muzyka ma kolory raczej blade: pocziwy Grétry skazany jest na rodzaj słodki, miły, czuły, dowcipny; to zupełnie dosyć. Kiedy ktoś jest dość zgrabny przy niedużym wzroście, niebezpiecznie i pociesznie jest wspinać mu się na szczudła; pada na nos i przechodnie śmieją się. Możesz zauważyć, że w tym nie ma bynajmniej sprzeczności, ale raczej potwierdzenie mego zapędu dla *Zemiry* i *Azora*, *Przyjaciela domu*, *Fałszywej magii* etc. etc.

Dostałam dziś dwa listy, które mną wstrząsnęły, ale które wypełniły mą duszę. Wyobraź sobie jakie daty! *Madryt, 3 maja 1774, wsiadając do pojazdu, aby spieścić do ciebie*; a drugi: *Bordeaux, 23 maja 1774, po przybyciu, na wpół żywy*. I otrzymuję je w rok od daty! To jakby cud; zdaje się, że to nowe ostrzeżenie. Wzrusza mnie to, pochłania. Odpowiadam *tak*, a mimo to dziękuję niebu, iż pozwoliło mi żyć, aby przyjąć jeszcze to, co mi było najdroższego i najświętszego na świecie.

Nie wychodzisz z pokoju, mniejszym ci tedy będzie kłopotem wyszukać i zebrać moje listy. Błagam, nie odmawiaj mi tej chwili trudu; bądź pewien, że nie nadużyję twej dobroci. Mam zamiar wyjść jutro w południe i wrócić o czwartej już na cały wieczór. Nie pozwalam sobie na pragnienie oglądania pana; czego pragnę ponad swoją przyjemność, to twego zdrowia, szczęścia, twojej chęci, a nawet twoich zachceń, tak robię się zgodna!

LIST CXV

1775

Dziękuję za wiadomości, potrzebowałam ich. Próbowałam je uzyskać na trzy sposoby i nie powiodło mi się: miałam zamiar udać się do ciebie, ale czekałam wyrazu twych życzeń; nie objawiłeś ich. Gdybyś chciał mnie widzieć dziś wieczór, byłabym przysłała,

ale ja jestem jak ów człowiek z Ewangelii: czekam, trzeba mi powiedzieć, abym przyszła i przychodzę⁹⁰. Donieś mi zatem, czy chcesz, abym przyszła jutro o pierwszej lub piątej; wstąpiłabym, idąc do pana de Vaines lub wracając od niego. Boję się, że tych kilka słów, które nakreśliłeś do mnie, zmęczyły cię. Nie pozwól sobie dawać na przeczyszczenie tak rychło: to by ci podrażniło kiszki. Dobranoc; jeżeli zostajesz w domu dziś wieczór, jak mam nadzieję, winienes mi być to powiedzieć; ale widocznie nie czuleś potrzeby powiadomienia mnie o tym; zatem wszystko w porządku.

Pan d'Alembert odniósł wielki sukces w Akademii. Czytał Bossueta⁹¹.

Przemówienie pana de Duras zjednało sobie ogólny poklask; ścisłe, szlachetne, proste i zacne. Mam tu cały kawał Akademii. Poślę do pana jutro o ósmej; pan d'Alembert zajrzy około dziesiątej lub jedenastej. Co do mnie, nie przyjdę, póki sam nie zażądaś. Bądź zdrow; śpij w nocy, odpocznij, uspokój się i zapomnij, jeśli trzeba, o wszystkich, którzy cierpią.

LIST CXVI

Poniedziałek, jedenasta wieczór, 15 maja 1775

Nie, Boże drogi, nie, nie byłam w Akademii; pragnęłam odwiedzić ciebie przez ten czas i ty nie chciałeś. Widziałam ludzi upojonych przyjemnością, a sama byłam przejęta smutkiem; byłam niespokojna. Cierpiałeś i nie miałeś potrzeby widzenia mnie; oto co czułam i ledwie rozumiałam to, co się działo wkoło mnie. Pan d'Alembert opowie panu swój tryumf; opowie ci żywą przyjemność, jaką mu sprawił widok arcybiskupa Tuluzy oklaskującego bez pamięci. Arcybiskup płakał z radości i rozczulenia. Lubię takie wybuchy; to był z pewnością jeden z najszcześniejszych dni jego życia. Rada z tego jestem, ale tylko myślą; dusza moja cierpi i uczucie przyjemności nie może już w nią wnikać; tak, drogi mój, wycisnąłeś w niej ostateczne piętno bólu. Ale nie o sobie mam zamiar mówić.

Prześlij mi wiadomości z ostatniej nocy; tak chciałabym, aby była dobra. Czy choć bez gorączki? I czy chciałbyś, abym zaszła o pierwszej lub o piątej, powiedz? Ale zwłaszcza nie zadawaj sobie przymusu.

Czy pani de M. wyjechała na wieś?

LIST CXVII

Pierwsza po północy, maj 1775

Nie, drogi mój, nie położę się, nim podzielę się z tobą szacunkiem, czcią i entuzjazmem, jaki mnie przenika i wypełnia. Och, jakie to piękne, jakie wzniosłe, jakie szlachetne! Ileż podziwu czuję dla *Marka Aurelego*, ileż szacunku dla jego godnego panegirysty⁹²! Czytaj i nie zmróz mnie krytykami stylu lub smaku.

Trzeba koniecznie, aby król to przeczytał; poczyniłam już kroki w tej mierze i mam nadzieję, że chęci moje się ziszczą; i doprawdy, nie dla pana Thomas pragnę tego. Ten zacny człowiek nie potrzebuje innych radości prócz tych, jakie mu daje własna cnota. Wyobrażasz sobie, że przesłałam mu *słówko* o tej *Pochwale*. Wierzaj, gdyby jutrzejszego dnia czekała mnie śmierć, jeszcze czułabym potrzebę czczenia, kochania talentów i cnoty. Uważaj mnie, jeśli chcesz, za szaloną: ten sam rodzaj szaleństwa przenikał człowieka, którego ubóstwiałam przez osiem lat. Ha! czuję z rozdarciem serca to, co powiada Montaigne: wydaje mi się, kiedy się cieszę czym sama, iż *odkradam mu jego cząstkę*.

Dobranoc, do jutra, o wpół do drugiej najpóźniej; oddasz mi tę *Pochwałę*, nie chcę się z nią rozłączać. Mój Boże, tak samo było dziś z myślą o tobie, nic nie mogło mnie od niej oderwać. Och! jakże byłabym nieszczęśliwa, gdyby dusza moja obróciła się całkowicie

⁹⁰Ja jestem jak ów człowiek z Ewangelii: czekam, trzeba mi powiedzieć, abym przyszła i przychodzę — chory przy sadzawce Betesdy z J 5,1-9. [przypis edytorski]

⁹¹d'Alembert (...) Czytał Bossueta — [chodzi o esej Jeana d'Alemberta] *Pochwała Bossueta*. [przypis tłumacza]

⁹²podziwu czuję dla Marka Aurelego (...) dla jego godnego panegirysty — *Pochwała Marka Aurelego*, pióra Thomasa. Jak stąd widać, te „Pochwały” stanowiły istną manię epoki. [przypis tłumacza]

w tę stronę! Trzeba by mi odwagi, aby się wyrwać temu, co mam stracić na zawsze. Bądź zdrow, oby te okropne myśli mogły nie wnikać nigdy do twojej duszy.

LIST CXVIII

Wtorek, jedenasta wieczór, 21 maja 1775

Ech, mój Boże, zostaw mnie, idź za swą urazą, jedź. Potrzebuję spoczynku; ty mi go zakłócasz, mam o to żal do ciebie. Nienawidzę cię za to. Mam wyrzuty. Ach! czemuż cię poznałam? Czułabym tylko jedno nieszczęście, a raczej już bym go nie czuła. Byłabym oswobodzona od życia, którego nienawidzę i do którego wiąże mnie jedynie uczucie rozciągające duszę mą na torturach.

Co robiłam dzisiaj? Co myślałam? Co czułam? Ha! nie widziałam ciebie, znałam tedy jedynie żal, ból i rozpacz, iż lękam się ciebie i pragnę zarazem. Żegnaj, nie staraj się mnie widzieć: w duszy mej zamęt i burza, a ty nie przynosisz jej nigdy ukojenia. Nie znasz ani tkliwej serdeczności, która pociesza i podtrzymuje, ani tej dobroci i wylania, które budzą ufność i wracają spokój duszy głęboko zranionej i przybitej. Jak ty źle na mnie działaś! Jakże bym chciała nie widzieć cię już! Jeżeli chcesz być dobry, jedź jutro po obiedzie. Zobaczę cię rano, to zupełnie wystarczy⁹³.

LIST CXIX

Sobota, 1 lipca 1775, przed godziną poczty

Zamęt i niepokój w myślach i w duszy odjęły mi na długo świadomość samej siebie. Doświadczyłam tego, co powiada Rousseau, że istnieją sytuacje, w których nie znajduję się ani słów, ani łez. Spędziłam tydzień w konwulsjach; myślałam, że umieram, chciałam umrzeć, wydawało mi się to łatwiejsze niż wyrzec się kochania ciebie. Zabroniłam sobie skarg i wyrzutów; zdawało mi się, że byłoby upodleniem mówić o swoim nieszczęściu temu, kto jest jego dobrowolnym sprawcą. Litość twoja upokorzyłaby mnie, a obojętność oburzyłaby mą duszę; słowem, czułam, że aby zachować miarę, trzeba milczeć i czekać na ciebie. Może się myliłam, ale uważałam, że w tym położeniu winien mi jesteś jakiegoś względu i nawet nie przypuszczając wielkiej czułości ani też pamięci o mnie, sądziłam, iż mogę liczyć na to, co ci nakazuje twoja rycerskość oraz moje nieszczęście.

Czekałam tedy i po dziesięciu przeszło dniach rozłąki otrzymałam z Courcelles krótki list, który był arcydziełem chłodu i brutalności. List ten oburzył mnie, powzięłam odrazę do pana; niebawem powzięłam ją do siebie, skoro się zastanowiłam, że to dla pana — daruj mi to — tak, że to dla pana, tego okrutnego i bezwzględniego człowieka, mogłam się stać występna wobec istoty ze wszystkich w świecie najbardziej godnej kochania. Czułam wstręt do siebie, życie wydało mi się wręcz nie do zniesienia, szarpała mną kolejno nienawiść i wyrzuty. W rozpacz obmyślałam już w duchu dzień, chwilę, w której się uwolnię od gniożącego ciężaru. Oznaczyłam datę śmierci, ona była kresem wszystkich niedoli. Musi snadź ta straszliwa chwila nakazywać milczenie wszystkim namiętnościami, od tej chwili bowiem uczułam się chłodną i spokojną. Przyrzekłam sobie nie otwierać już pana listów; chciałam pamiętać jedynie o tym, co było mi drogie: ostatnie dni miały być poświęcone ubóstwieniu tego, co straciłam; i w istocie myśl o panu przestała mnie nękać.

Mimo to, kiedy mi się zdarzyło zakosztować chwili snu, budziłam się ze zgrozą pod dźwiękiem tych straszliwych słów: *Żyj, żyj, nie jestem godny cierpień, które ci zadają*. Nie, nie, wykrzyknęłam, nie byłeś godny, aby cię kochać: ale ja musiałam kochać bez pamięci, aby stać się równie występna. Widzę cię dzisiaj tym, czym jesteś; widzę, że spełniłeś podły uczynek za dwanaście tysięcy funtów renty; widzę, że nie wahałeś się wydać mnie na łup rozpacz, aby się mną posłużyć do zapelnienia czasu potrzebnego na zerwanie stosunku, którego, żeniąc się, nie mogłeś utrzymać. Aby zachować pewne formy przyzwoitości

⁹³*jedź jutro po obiedzie (...)* — pan de Guibert miał jechać do zamku Courcelles-le-Roi, gdzie ślub jego odbył się dnia 1 czerwca 1775. [przypis tłumacza]

z panią de Montsaugé, nic ci nie znaczyło upodlić mnie i pozbawić jedyne go dobra, jakie mi pozostawało — szacunku dla siebie samej.

Miałeś to okrucieństwo, aby mnie zatrzymać przy życiu i przywiązać do siebie; dlatego zapewne, by mi uczynić śmierć bardziej potrzebną. Och! jakże mi się zdałeś okrutny i niegodziwy! Jakżeby mnie mało kosztowało odejść od ciebie i wyrzec się życia! Ale dlaczego umierać? powiadałam sobie niekiedy, zwracając się ku sobie, czując się kochaną i otoczoną osobami, których całym pragnieniem było dać mi spokój i szczęście. Dlaczego człowiekowi, którego nienawidzę, pozwolić mniemać, że nie mogłam żyć bez jego miłości? Śmierć moja nie byłaby nawet pomstą, ten człowiek nie zna bowiem wyrzutu ani cnoty. Czułam, jak dusza moja nabiera siły, w miarę jak się oddala od ciebie. To usposobienie trwało aż do nadejścia przesyłki na ręce pana de Vaines. Przesyłka ta sprowadziła mnie ku łagodniejszym uczuciom; trzebaż było ją otworzyć, skoro zawierała *Pochwałę Katinata*⁹⁴. Nie wiem, czy podłożem tego była słabość czy wspaniałomyślność, ale wytłumaczyłam sobie, iż, mimo że nic już nie jestem panu winna, nie mogę ci odmówić pomocy w sprawie, z którą zdałeś się na mnie. Pomyślałam, iż uraza moja nie uprawnia mnie do uchylenia się od kroku, który mi narzuciło twoje zaufanie.

Z tych względów otwierałam paczkę. Znalazłam twój list, otwarty: przeczytałam. Był przyzwoity, ale chłodny; mógłby być serdeczny i wówczas trzeba by mi może walczyć z moim postanowieniem; stało się lepiej i utwierdziłeś mnie w nim. Czyniłam tedy dalej kroki w sprawie twej *Pochwały*, znajdowałam pewną przyjemność w tym zajęciu. Nie tobie, nie swoim uczuciom czyniłam zadość; zadowalałam mą duszę. Mam tedy dość siły, mówiłam sobie, aby czynić dobrze, aby świadczyć przysługę komuś, kogo nienawidzę i kto mi wyrządził krzywdę? A ze sposobu, w jaki tego dopełnię, pewna jestem, że nie będę mi zobowiązany.

Ta myśl skrzepiła mą odwagę; czułam się wobec ciebie tak silna, że odczytywałam twój list; dusza moja nie tylko nie miękła, ale stawała się silniejsza, widząc, jak mało życzliwości i żalu okazujesz mi w tym liście. Sądziłam go bez namiętności, nie dziwił mnie, dowodził mi tylko, że powzięłam jedyne godne, rozumne postanowienie. Pracowałam tedy dalej dla pana sprawy i to tak czynnie, iż pan de Condorcet mógł przypuszczać, iż jest mi ona niezmiernie bliską.

Otrzymałam pana bilecik z Bordeaux; pomyślałam, że nie mam powodu obawiać się jego wrażenia i że, przeciwnie, dostarczysz mi nowych pobudek do oddalenia. Otworzyłam go tedy chciwie: był krótki i mimo że wyzuty z uczucia, wyrażał mi żal w sposobie pełnym względów; nie wzruszył mnie, ale uspokoił nieco. Tym lepiej, jeśli jest uczciwym człowiekiem, mówiłam sobie: może mi się wyda mniej winny, będę się czuła mniej upokorzona. Dusza moja nie potrzebuje nienawidzić, to było dla niej torturą; obojętność wróci mi spokój, a stan ten pozwoli mi może kosztować pociech, jakie mi ofiarują. Trzeba się poddać tkliwym staraniom przyjaźni, trzeba odwzajemnić ludziom, których musiałam odstręczyć od siebie; trzeba starać się być miłą, a zatrudnienie to odwróci mnie może od myśli, które kalają i gnębią od tak dawna mą duszę.

W myśl tych refleksji naznaczyłam sobie postępowanie, któremu aż dotąd byłam dość wierna i które mi dobrze służy. Prowadzę życie bardziej światowe; chwytam się wszystkiego, co mi się nastrocza, jestem wciąż otoczona ludźmi, którzy mnie kochają, którym chodzi o mnie nie dlatego, że jestem miłą, ale że jestem nieszczęśliwa. Czynią mi ten zaszczyt, iż przypuszczają, że przygnębiecie moje płynie ze straty, którą poniosłam; cieszą się wysiłkiem, jaki sobie zadają, aby się wyleczyć; mają uznanie dla mej siły, chwalą mnie za nią, podobają sobie w moim towarzystwie; wydzierają mnie, można powiedzieć, mej boleści, nie zostawiając mnie ani chwili samej sobie.

Tak, widzę to, największym, jedynym dobrem jest być kochanym: to jedyny balsam dla rozdartego serca. Ale nic, czuję to, nic w naturze nie zgasi uczucia, które tyle lat tworzyło całe me istnienie. Potrzeba uwolnienia się od cierpień i wyrzutów, o jakie mnie przyprowadzasz, każe mi się uciec do środków, które odtrącałam. Słowem, mam nadzieję, czuję to: woła bardzo jasna, bardzo pewna, ma więcej mocy, niż mniemałam. Po dwadzieścia razy czułam chęć oderwania się od ciebie, ale nigdy nie byłam dość szczerą sama z sobą; chciałam nie cierpieć, ale nigdy nie chwyciłam się środków wyleczenia: dałeś

⁹⁴*Pochwała Katinata* — pióra pana de Guibert. [przypis tłumacza]

mi w rękę, zaiste, bardzo potężny. Małżeństwo twoje, dając mi poznać całkowicie twą duszę, odtrącało i zamknęło moją na zawsze. Był czas, w którym wołałabym, abys był nieszczęśliwy niż godny wzgardy: ten czas minął.

Och! nie, nie myśl, że idę za twoją radą i szukam wzorów w romansach pani Riccoboni; kobiety, które sprowadzi na manowce płochość lub rozpusta, mogą w istocie postępować wedle maksym i zasad romansów. Łudzą się co do samych siebie; sądzą, że są dobre i wspaniałomyślne, wówczas gdy są jedynie chłodne, nikczemne i godne wzgardy; nie kochały, nie umieją nienawidzić: słowem, znają jedynie miłości, dusza ich nie zdołała wzbic się do wyżyn uczucia i namiętności i sama pani Riccoboni nie wzniosła się do tych wyżyn nawet wyobraźnią.

Mój Boże! jakże mnie zraniłeś przyrównaniem mego nieszczęścia do tej sytuacji z romansu! Jak mi się to wydało zimne i małe! Ileż byłam w swoich oczach wyższa od ciebie, czując się zdolna do uczucia, którego ty nie możesz nawet sądzić! Ale trzeba zakończyć ten długi list, który pozwoli ci wyrobić sobie zdrowy sąd o mym obecnym stanie. Zdałam ci sprawę ze wszystkiego, com przeszła; uczyniłam to ze szczerością, jaką zawsze miałam wobec ciebie. Na podstawie tej samej szczerości, która mi jest święta, nie powiem ci, iż pragnę twej przyjaźni, ani że ją mam dla pana: to uczucie może mieć słodycz i urok jedynie wówczas, kiedy jest oparte na szacunku i ufności, a wiesz chyba, czy twoje postępowanie mogło je obudzić. Bądź zdrow, daruj mi odruch dumy i zemsty, znajduję przyjemność w powiedzeniu ci, że ci przebaczam i że nie jest już w twej mocy być dla mnie niebezpiecznym. Dołączam tu trzy listy, które proszę, abys przeczytał; nie iżbym rościła sobie pretensje ani chciała obudzić w tobie żal albo współczucie; ale chcę, byś zdrzął bodaj jeden raz, patrząc na nieszczęścia, jakieś sprawił. Oby to wspomnienie mogło cię uczynić lepszym!

Ządam, a sumienie powie ci, że mam prawo, abys mi odesłał te cztery listy na ręce pana de Vaines, w kopercie pod podwójnym adresem, odwrotnym kurierem.

LIST CXX

Poniedziałek wieczór, 3 lipca 1775

Do chwili sobotniej poczty napisałam do pana cały tom i nie przepuszczę ci tego, mimo że twój list kazał mi odmienić nie sposób myślenia, ale sposób czucia. Zdumiałam się wszelako, czytając, iż masz jedynie *pozory* winy wobec mnie i że nieszczęście moje poruszyło twe *współczucie*; i to ty wymawiasz te słowa, i to mnie twój brak serca i niesprawiedliwość każą umierać z bóleści! Och, Boże, gdzież znaleźć siłę, której bym potrzebowała? Dusza moja nie umie już odpocząć, ustalić się. Nie nienawidzę cię, trawię czas na tym, aby cię potępiać, cierpieć, przeklinać życie, do którego mnie przykuleś.

Och! po cóż cię poznałam? Po co uczyniłeś mnie tak występłą i nieszczęśliwą? I ty mówisz chłodno, że jestem *nieszczęśliwa*! Nic ci nie daje odczuć, iż to ty uczyniłeś me nieszczęście nieodwołalnym? I to milczenie rozpaczy, przygnębienie śmierci, śmiesz nazywać *niegodnym kaprysem*!

Niestety! kochałam ciebie z takim oddaniem, dusza moja była tak oderwana od wszystkiego, co nie było miłością, iż niesłychanym jest, abys nazywał kaprysem odruch, który oddała mnie od ciebie. Jak to! nie znasz nawet języka uczucia, które mnie ożywia? W tej samej chwili, w której chcesz jak gdyby przyciągnąć mnie do siebie, ranisz me serce, nękaś mą duszę twymi wyrażeniami. Bacz, aby to nie było nie tylko pogwałceniem delikatności, ale uczciwości, jeśli ty skarżysz się na mnie, wówczas gdy ja ginę przez ciebie. Powiadasz, że to nie żal ani wdzięczność sprawiają, iż mnie prześladujesz, ale najbardziej tkliwe uczucie! Ha! gdyby ono było prawdziwym, byłabym teraz na dnie nieszczęścia? Nie, mylisz się, jak sądzę; nie dzielasz mego uczucia, nie czujesz nawet potrzeby być kochanym tak, jak ja kocham, ale ot, kosztuje cię nieco wyrzec się tego, by być pierwszym, jedynym przedmiotem namiętnej i gorącej duszy, która wnosi, jeżeli nie urok, to przynajmniej ruch w twoje życie.

Tak, człowiek najbardziej nawet lekki i powierzchowny czuje pewną pustkę, kiedy przestanie być przedmiotem miłości duszy dość silnej, by cierpieć, a dość tkliwej, by wszystko przebaczyć. Nie byłam dość szlachetna ani dość obojętna, aby ci przebaczyć

mękę, która mnie rozdziera, ale miałam tyle rozsądku, aby szukać spokoju w milczeniu; dusza moja była tak chora, iż miałam nadzieję, że potrzeba spoczynku sprowadzi mnie łagodnie do obojętności. Nie uważałam za niemożliwe, iż skoro przestanę cię widywać i mówić do ciebie, stracisz wreszcie władzę nade mną, przestaniesz mącić mój rozum i wstrząsać mą duszę. Dobry Boże, na cóż ty chcesz używać tego wpływu? Bez wątpienia na nieszczęście mego życia, a gdybyś był uczciwym i na nieszczęście swego; trzeba bezmiaru miłości własnej, której nie umiałabym podsyć, aby chcieć podtrzymywać uczucie, którego się nie jest zdolnym podzielać.

Wiesz dobrze, że dusza moja nie zna umiarkowania; chcieć więc zajmować mnie tobą, znaczy skazywać mnie na męki potępionych. Chciałbyś niemożebności: abym cię kochała do szaleństwa i aby rozsądek miarkował wszystkie me postępkę; czy to istnieje w przyrodzie? Jedyne uczucia, które się czerpie z głowy, mogą być doskonałe, a wiesz dobrze, czy ja umiem cośkolwiek udawać! czy chcę się w cokolwiek stroić! czy chciałabym zawdzięczać szczęście całego życia postępowaniu, którego by mi nie dyktowała tkliwość mego uczucia lub też gwałtowność namiętności! Wiesz przecie, widzisz, nie panuję nad rozumem wobec istoty, którą kocham.

Ale za wiele już o sobie. O tobie to pragnę wiedzieć wszystko, czego nie wiem od tak dawna; winien mi jesteś rachunek ze swych myśli, czynów, uczuć; tak, mam prawo do tego wszystkiego. W jaki sposób mogłeś się zatrzymać, kiedy pisałeś do mnie? I powiadasz, że *serce twoje i głowa były pełne!* I komuż je otworzysz? Czy istnieje ktoś w świecie, kto mógłby cię lepiej zrozumieć? Pod wpływem tego, coś pisał o *Hetmanie*, lęk mnie zdjął jeszcze, posłałam do marszałka de Duras, który powtórzył że *Hetman* będzie grany, że otrzymasz urlop na koniec miesiąca, że we wrześniu udasz się do Metz dookończyć służby; napisał ci to wszystko ostatnim kurierem, a ja powtarzam dla własnej przyjemności.

Za wiele liczyłeś na mą życzliwość i nie wiem co jeszcze? Jakiś ty niewdzięczny! Gdyby chodziło o mą cześć i życie, nie włożyłabym w to tyle zapału. Zgłoszono do konkursu piętnaście *Pochwał Katinata*, ale mnie obchodzi tylko jedna. Mam ją czytać jutro i przyrzekam ci przesłać swój sąd *zapięczętowany*: zobaczymy, czy się spotkam z Akademią. Aby sądzić zdrowo, oddalę od siebie wszelką miłość i nienawiść; no i zobaczysz, czy zdobędę się na inteligencję. Czy nie wróciłeś do *Grakchów*? I mimo że wszelka *ambicja wygasła* w tobie, czy nie spodziewasz się, iż to dzieło przysporzy niemało twojej reputacji?

Powiedz, czemu mówisz, że jesteś tak wygasły? Byłażby to już potęga tego wielkiego *gasidła*, które sprawia, iż hrabia de Crillon czuje się tak szczęśliwy, istniejąc jedynie po to, aby być mężem pani de Crillon? Bez wątpienia, to wielkie szczęście, ale to go nie czyni ani dowcipniejszym, ani weselszym, ani miłszym. Ale o cóż chodzi! Jest szczęśliwy i to szczęściem, którego bym mu nie zazdrościła. Czy to prawda, że w Libourne jest jakaś kobieta podobno pełna dowcipu?

Pan de Vaines ma ci odesłać wszystkie oryginały pracy, jaką skuteczniesz dla pana Turgot. Nie sądz, że zapomniałam o memoriale; posłałam go natychmiast; napisałam goręcej, niż gdyby chodziło o mnie i o moją fortunę: prosiłam, aby mi nie odpowiadał zaraz, ponieważ jedynie odmowa bywa tak spieszna. Słowem, *laskawy panie*, myślałam że *będę* jednym z twych przyjaciół i ta myśl nie pozwoliła mi niczego poniechać dla osiągnięcia celu.

Jakże ty byłbyś pocieszny, gdybyś nie był najmiłszym z ludzi! Twój list jest mięszaniną ufności w me uczucie i nieufności, byś mógł kiedy być kochany, co jest zanadto zabawne; razem ton śliczny i tak pełen ufności! Przypomniało mi to: *Filis, gdzie czas ów gdy* etc., etc. Nie wiem, czy mnie kochasz, ale jesteś prawie równie niedorzeczny jak ja; czyżby to działało zarazliwie? Gdybyś wiedział, ileś stracił na mym milczeniu! A nie mam na myśli wyrazów mej czułości, ale ciekawość twoja znalazłaby tyle zabawy, tyle podniet! Tyle widziałam, słyszałam rzeczy od twego wyjazdu! Mówiłam sobie: wszystko to byłoby dla mnie pełne życia i treści, gdybym mogła się z nim podzielić; ale z chwilą kiedy nie mam z nim mówić, nie warto słuchać; jakoż chowałam się w głąb swej duszy, gdzie znajdowałam bardzo smutne towarzystwo: wyrzuty, żale, nienawiść, dumę i wszystko, co może obudzić wstręt do życia.

Życzę sobie, abyś mi powiedział, od którego z listów *zaczęłaś*; byłabym w rozpacz, gdyby od tego; czytałbyś już resztę jak zeszlóroczną gazetę; a byłabym cię obraziła, *mam nadzieję*; byłabym cię wzburzyła; nienawidziłbyś mnie, to zawsze coś; ale cóż za głupota,

co za słabość przekreślać z miejsca to, co ci wszak powiedziałam z najprawdziwszej głębi duszy.

Och! kiedy ci donosiłam, że należysz do konkursu, wymknęło mi się słowo, które bardzo sobie wyrzucałam! W istocie, jak nazywać *swoim drogim przyjacielem* istotę, którą ze wszystkich w świecie najbardziej się *nienawidzi*? Cóż za wspomnienia może to zbudzić? To nie do pojęcia. Czyżby ta nienawiść była pierwszym ogniwem owego łańcucha, który nie zostawia ani chwili swobodnej nieszczęśliwym skutym wbrew swej woli? Nie starcy twjej *inteligencji* na to, aby pojąć wszystko, co się cierpi, kiedy się prawdziwie kocha człowieka zasługującego jedynie na miłość kobiet, których głaskałby próżność, nie zajmując nigdy duszy. Oto jak trzeba kochać, oto co jest przyjemne i nie wiem, w jaki sposób, przy tylu obustronnych urokach zdarza się wszelako umierać z nudów w tej zacnej kompanii.

Mój przyjacielu, tak, mój przyjacielu najdroższy memu sercu, nie bądźmy już źle z sobą! Przebaczymy sobie! Możemy jeszcze zdobyć się na pobłażanie, ale i pamiętaj, że ja jestem bardzo chora i bardzo nieszczęśliwa: jeżeli chcesz, abym żyła, pomóż mi, podtrzymuj mnie, daj mi zapomnieć wszystko złe, jakie mi uczyniłeś. Odpowiedz mi, należy mi się cały tom. Bądź zdrow, bądź zdrow, czy nie czujesz się zmęczony?

LIST CXXI

Wtorek, 4 lipca 1775

Bardzo mi przykro, drogi mój, ale dlaczego żądasz *niepodobieństwa*? Daj mi sposobność usłużenia ci w tym, co będziesz uważał za sprawiedliwe, a ręczę ci, że się to spełni i nawet bez mego udziału; wystarczy ci przemówić. Gdybyś wiedział, ile mnie kosztuje zamilczeć ci rzecz, która by mnie przepelniła radością, gdyby dusza moja była jeszcze do niej zdolna! Ale jest to szczęście, przyjemność, którą smakuję bodaj myślą, która przepelnia radością wszystko, co jest we mnie szlachetnego i tkliwego. Drogi mój, gdybyś był tutaj, postąpiłabym nieuczciwie: powierzyłabym ci tajemnicę, której powinnam dochować.

Muszą widać ludzie podejrzewać słabość mą dla ciebie, zaznaczając bowiem ważność sekretu, dodano: *Ale dla całego świata, nawet dla p. de Guibert*. Rozśmiałam się z warunku, i rzekłam: nie jest tedy objęty całym światem? — Nie, nie, *dla pani* nie jest. I widzisz, że ludzie mieli słusność, ty bowiem jeden jesteś na świecie, któremu mogę powiedzieć, iż umieram z żalu, że nie wolno mi mówić. Mam pod ręką tę *Pochwałę Katinata*, zaraz ją przeczytam. Mój Boże, jakże wątłą moralność posiada uczucie! Oto ja, przez wdzięczność za zaufanie, jakie mi okazał autor, pragnę, aby jego utwór był dobry, ale w stopniu, który by nie pozwolił na wątpliwość między tobą a nim. Drogi mój, powiem ci prawdziwie, co myślę, ale nie ręczę, czy to będzie prawda; wiesz dobrze, że nie mam smaku i zdrowego rozumu też bardzo niewiele: osądzisz zatem mój sąd, jak na to zasłuży. Co mówisz o tym potoku pisma? Czy nie słusniej mógłbyś się skarżyć na nadmiar niż na niedostatek? Bądź zdrow. Jeżeli nie będę miała jutro listu, nie ma sprawiedliwości.

Prawda

LIST CXXII

Czwartek, 6 lipca 1775

Nie miałam wczoraj wiadomości od ciebie, drogi mój. Zmęczyłeś się mówieniem do mnie, a ja zbyt rychło zmęczyłam się milczeniem; przy nieco większym wytrwaniu tyle mąk, tyle wysiłków nie poszłoby może na marne. Mój Boże, powiedz mi, jeżeli wiesz, jak skończy się ta tortura? Czy wyzwoli mnie z niej nienawiść, obojętność czy śmierć? Mój przyjacielu, nie chcę być wspaniałomyślną w połowie, sądzę, że ci przebaczyłam, chcę zatem rozmawiać z tobą tak, jak gdybym nie miała do ciebie żalu.

Powiem ci rzecz, która za kilka dni stanie się publiczną: to iż pan de Malesherbes obejmie wszystkie stanowiska księcia de Vrillière; książkę wniesie dymisję za kilka dni; ma jeszcze odbyć jedną wizytację, która mu przyniesie dwadzieścia tysięcy franków. Pan de Malesherbes złożył przewodnictwo w Izbie obrachunkowej, gdzie zastąpi go pan de Barentin. Gdybyś wiedział, z jaką szlachetnością i prostotą pan de Malesherbes przy-

jął nowe stanowisko, podwoiłbyś jeszcze szacunek, sympatię i cześć dla tego wyborczego człowieka.

Na ten raz bądź pewien, że *idziemy ku dobremu*, skoro prowadzi nas rozum, którym kierować będzie cnota i miłość publicznego dobra. Nigdy, nie, nigdy, dwóch ludzi bardziej cnotliwych, świątliwych, bezinteresownych, czynnych nie zeszło się i nie było ożywionych silniejszym ukochaniem większej i wznioślejszej sprawy. Przekonasz się, ich ministerium zostawi głęboki ślad w historii. Wszystko, co ci powiadam, to jeszcze tajemnica; wybór ten spotka się z zapalem publiczności; kilku ludzi będzie się wściekać, ale zmilczy. Intryganci niewiele będą mieli do mówienia, to cudowne! Zły czas nadszedł dla hultajów i dworaków! Czyż to nie jest zbyt subtelną rozróżniać te miana? To się nazywa rozszczepiać włos na czworo.

A teraz słuchaj mnie i drżij, mam bowiem sądzić dwie *Pochwały Katinata*, jedyne dwie, jak przypuszczam, którymi Akademia będzie się zaprzęta. Autorami tych dwóch *Pochwał* są pan de Guibert i pan de la Harpe. Pan de Guibert jest autorem doskonałego dzieła o taktyce oraz jednej tragedii. Te dwa dzieła dały go poznać jako człowieka pełnego miary i bystrości i zapowiadają duszę na wskrós podniosłą i męską; w duchu tego korzystnego pojęcia i uprzedzenia, jakie musi ono stwarzać na korzyść pana de Guibert, przeczytałam i osądziłam jego *Pochwałę Katinata*. Znasz pana de la Harpe lepiej ode mnie; wiesz, że jest to doskonały literat, który ma wiele dowcipu, a zwłaszcza smaku; oddawałam mu tę sprawiedliwość, nim jeszcze przeczytałam jego *Pochwałę Katinata*. A teraz słuchaj, co ośmieliła się orzec głupia, ślepa i niedorzeczna zarozumiałość, i rozważ, czy będziesz się czuł oburzony, czy też namyślisz się wzgardzić tym *wyrokiem*.

Pochwała pana de la Harpe napisana jest ze zwykłą jego płynnością, a zarazem poprawnością, na którą się nie silił, póki nie miał pana de Guibert za rywala. Styl jego jest równocześnie łatwy i podniosły; rzadko zdarza się jednoczyć te dwie zalety, przynajmniej w tym stopniu. Zdaje mi się, można by powiedzieć, że pisze prozą tak, jak Racine pisał wierszem. Jest to dzieło literata, którego umysł jest świątły i bystry, dusza szlachetna, uczciwa i wzniosła; jest tam mnóstwo szczęśliwych wyrażań, wzruszające szczegóły, delikatne myśli wyrażone jasno i szlachetnie; ale jest to dzieło doskonałego pisarza, człowieka o wielkim talencie; podczas gdy utwór pana de Guibert wydaje mi się dziełem człowieka wyższego, który ma więcej niż talent; ma geniusz.

Żaden z nich obu nie jest filozofem, jeden, ponieważ myśli nie dość zimno, drugi nie dość głęboko; ale dusza pana de Guibert sądzi ludzi i wypadki z taką górnnością i energią, iż poryw jej więcej jest wart niż równowaga filozofa. Część wojskowa jest u pana de Guibert traktowana tak doskonale, iż czytając ją, nawet człowiek najbardziej nieświadom przedmiotu ma uczucie, iż jest zdolny ocenić zasługi Katinata. U pana de la Harpe, ta część jest zawila, nużąca i bardzo nudna. Lektura pana de la Harpe zajmuje w sposób przyjemny i niekiedy wzrusza; oceniam talent autora. Czytając pana de Guibert, czuję, jak dusza moja rozszerza się, tęży, nabiera, nowej sprawności, energii. Ale niekiedy autor przechodzi miarę, styl jego nie zawsze jest dość jasny i poprawny, brak mu niekiedy harmonii: spotyka się wyrażenia zbyt potoczne albo zbyt śmiałe.

Gdyby się miało nagradzać sztukę pisania, styl, lepszą *robotę*, trzeba by, sądzę, uwieńczyć pana de la Harpe; ale jeżeli się przyzna nagrodę wymowie duszy, sile i podniosłości geniuszu, dziełu, które wywrze większe wrażenie, trzeba uwieńczyć pana de Guibert. Gdybym nie znała autorów, strawiłabym życie na żądzy poznania lub na ubolewaniu, iż nie znam pana de Guibert, a nie spytałabym nawet, czy pan de la Harpe mieszka w Paryżu. Mój przyjacielu, umieram z niecierpliwości, abys już mógł osądzić mój sąd; ale proszę o słowo honoru, że nie udzielisz go nikomu, nawet osobie, która ci jest najdroższa; nie chcę mieć niesmaku albo *chluby*, którą mi przyniósł sąd dwóch *Pochwał La Fontaine'a*, dla ciebie, oczywiście, płaski i niedorzeczny. Powiesz to samo, jeżeli chcesz, ale nie dasz sposobności powiedzenia tego nikomu innemu.

Mój drogi, nie mam z tobą ani pretensji, ani miłości własnej; wygodnie mi jest być głupią i nie wysilać się; z innymi też się nie krępię — nie mam już sił na to — ale nie mówię do nich; zadowalam się powiedzeniem: to dobre, to mierne albo liche i strzegę się pilnie podawać racje; nudziłoby mnie to w równym stopniu, w jakim znudziłabym ich. I na cóż by mi się zdało silić na dowcip z tymi, którzy nie wnikają do mej duszy!

To ja w istocie jestem zgaszona. Dusza moja jest jeszcze ożywiona nieszczęściem, ale wystygła; straciłam to, co mnie ogrzewało, co mnie oświecało, co podniecało; zostają mi jedynie wspomnienia, które zasnuwają krepą wszystkie przedmioty. Pana de Mora już nie ma, a ty nie pozwoliłeś mi iść za nim! Przez jaką fatalność wzbudziłam w tobie sympatię, która mi się stała tak złowrogą?

Piątek, 7 lipca

Zapomniałam ci powiedzieć, że pan de Sartine ma wejść do Rady: to będzie dla niego rodzaj pocieszenia. Pisałam panu przed kilku dniami, że jestem otoczona przyjaciółmi; ale od dwóch dni dezercja zupełna. Inspekcje, pulki, ziemia, wody wszystko mi porwały. Jedyne ambasadorki mi zostały i widuję go co dzień, ale jest zbyt wesoły dla mnie, nie licuje z moim stanem. Pocziwy Condorcet już wrócił; po długich naradach z wujem postanowiono, iż dobry Condorcet ożeni się, kiedy będzie miał ochotę; ta *tyrania* jest jeszcze do uniesienia. Zgodził się, że *pozwoli przedstawić się królowi*, że każe przywdziać żalobę służącemu, ponieważ *głowa rodziny umarła*, i po tych warunkach i przyrzeczeniach pożegnał się z wujem, który pocieszył się, iż ma siostrzeńca Akademika, ponieważ dowiedział się, że jest bliskim przyjacielem ministra. Mój Boże, cóż za głupstwa! Doprawdy, płakać się chce, o ile się nie ma ochoty do śmiechu.

Opowiem ci kiedyś furię, w jaką wpadłam z twojej przyczyny. Właściwie usłyszałam o tobie jedynie to, co ja sama pozwoliłam sobie napisać ci przed tygodniem, i to podrażniło mnie do szału. Nagadałam niegrzeczności, obelg, naraziłam się ludziom; ale mniejsza, uczyniłam sobie zadość, wystąpiłam w twej obronie. Zdawało mi się, że śmieć ciebie sądzić to szczyt niesprawiedliwości i zuchwalstwa. Chciałabym mieć wyłączne prawo myślenia źle o tobie; chciałabym, aby inni sądzili cię tak, jak ja cię czuję, szlachetnym, wielkim, wzniosłym i aby nigdy nie mówiono o tobie: *miły jest*. Och, cóż za głupia pochwała! Odziera człowieka z wszelkiej prawdziwej wartości. *Jest miły* — o ile by to przetłumaczyć i o ile wychodzi z ust ludzi światowych — znaczy: lekki, lichy, bez charakteru. Oto *mili ludzie* w tej krainie. Ale będziemy lepsi, jestem o tym głęboko przekonana.

Bądź zdrow, drogi mój; będziesz sobie dworował ze mnie, iż strzegłam przed tobą sekretu, o którym wróble na dachu śpiewają; ale jeżeli się zanadto nie *sprovincjonalizował*, domyślisz się, że trzy dni mogą mieć niezmierną wagę w sekrecie tego rodzaju; zresztą przyrzekłam, a uczciwość nie powinna mędrkować. Donieś mi, czy miałeś regularnie wiadomości z Breteche⁹⁵ i czy jesteś z nich zadowolony? Czy przyjaźń jest wciąż równie tkliwa jak wspaniałomyślna? Byłabym bardzo ciekawa widzieć list od... Ale nowe obowiązki nakazują z pewnością wyrzec się dawnego zaufania. Dobrze więc, ale bodaj nie wyrzekaj się prawdy; błagam cię, abyś się nigdy nie stawał w tym upokarzającym położeniu.

Mam nadzieję, że jutro będę miała wiadomość od ciebie: jakieś parę słów bardzo suchych, bardzo chłodnych, które mnie dotkną może do tego stopnia, iż będę sobie gorzko wyrzucać moje pojednanie. Powinnam ci była wierzyć, *nie byłeś godny złego, które mi wyrządza*; te słowa odsłaniają samo dno duszy i rzuciłyby światło na dziesięcioletni stosunek: to to, co *Klaryssa*, umierając, mówi *Belfortowi*, przyjacielowi *Lowelasa*, i ta myśl pozwoliła im znajdować w śmierci słodycz i potrzebę. Ale bywaj zdrow; Richardson znał ludzi, miłość i namiętności; pani Riccoboni zna tylko miłość własną, dumę i niekiedy czułość, ale na tym koniec.

LIST CXXIII

Poniedziałek 10 lipca 1775

Ha! rozedrzyjże tedy do reszty me serce!

⁹⁵Breteche — posiadłość pani de Montsaugue. [przypis tłumacza]

Doprawdy, jaka ja nieszczęśliwa! Jak ja nie mam taktu, miary! Jaką omyłkę popełniłam, dobry Boże! *Wystarczyło ci*, powiadasz z większą delikatnością niż uczuciem, *otrzymać ćwiartkę białego papieru*; otóż moje nieszczęście chciało, że w chwili, gdy mi wyrażałeś swą wolę, coś zmuszało mnie, aby ci powiedzieć wszystko, co myślę, co czuję; cierpiałam, dusza moja była znużona, obróciła się ku temu, kto ją rani. Och, ty nie zrozumiesz mnie, nie odpowiesz mi tak, jak pragnę: znieńwidzę cię tym mocniej, im więcej ci okazałam słabości. Przestań mnie tedy dręczyć, dajesz mi zanadto i za mało; pozwól zgasić uczucie, którego nie chcesz, nie możesz podzielać.

Mój Boże, byłabym uleczona, gdyby nie ta przeklęta *Pochwała Katinata*; byłabym poprzestała na tym bezecnym bileciku z Courcelles, na którego wspomnienie trzęsę się jeszcze z gniewu; nie byłabym już nic wiedziała o tobie i w tym głębokim milczeniu miałabym bodaj siłę wyleczyć się lub umrzeć. Mój przyjacielu, jesteś bardzo winny, zupełnie bowiem na zimno stajesz się nieszczęściem mego życia. Powiedziawszy mi, że wiesz, że cierpię, dodajesz, iż chciałbyś być na wsi i że to twoje usposobienie potrwa długo. Jak to! wiesz, że wtrącasz mnie w rozpacz, i myślisz o sobie? Miałbyś ochotę jechać na wieś, a nie widzieć mnie! Czy to prawda? A jeżeli prawda, czemu mi to mówisz? Powinien byś przemilczeć to, co musi oburzyć mą duszę, tak, powinieneś, nie sądzisz chyba bowiem, że istnieje tylko jeden rodzaj obowiązków i że spełniłeś wszystko, kiedy zadowoliliś interes osobisty oraz mniemanie świata. Bez wątpienia to dość dla tych pospolitych i próżnych dusz, które szczęście widzą jedynie w pieniądzech, poważanie zaś w uznaniu głupców. Będę apelować zawsze do twego sumienia, moje zaś sumienie osądzi cię, kiedy namiętność umilknie.

Drogi mój, ranisz mnie; listy twoje są zimne, smutne i obojętne; nie ma w nich ani słowa, które by płynęło z serca. Czemu więc moje tak oddało się tobie? Słowem, powiedz mi, czemu cię kocham, kiedy miałabym tak silne przyczyny, aby cię nie kochać; a przecież to nie jest, jak u większości kobiet, przez głupią i płaską próżność lub przez pustkę bezczynności. Niebo świadkiem, że rzeczą najbardziej dla mnie upokarzającą to myśl o *zbrodni*, tak, zbrodni, która mnie pociągnęła ku tobie.

Co się tyczy pustki i bezczynności, nie znam ich; dusza moja miałaby pokarmu na sto lat w tym, co straciłam, a życie moje wypełniłoby się tysiącem wrażeń, gdybym chciała; odpycham, odsuwam bez ustanku wszystko, co chciałoby się wcisnąć do mej duszy. Tak więc, widzisz, że to jakaś osobliwa fatalność skazuje mnie na mękę, która mnie zabija; a ty przyglądasz się jej okiem chłodnego widza. Zupełnie już oswoiłeś się z myślą, że nie będziesz miał znaku życia ode mnie! Starczyłaby *ćwiartka* czystego papieru! A ja napisałam tomy całe: ogarniasz całą niezręczność i głupotę mego postępowania? Wstydzę się za nie, ale chcę się trochę zemścić, powiadając ci, że w liście, na który odpowiadam, owym z 1 lipca, jest coś *w smaku wprost ohydny*. To by jeszcze nie było nic, zły smak, gdyby nie płynął z wady o wiele cięższej niż smak i dobry ton. Och, zapamiętam ci to, a jeśli wówczas, kiedy cię tym pognębię, nie znieńwidzisz mnie, jesteś, w istocie, bardzo dobroduszny.

Ale tak, jesteś łagodny, jesteś dobry: och, jesteś zarazem bardzo zły, bardzo twardy, bardzo niekonsekwentny; ale o wiele więcej jeszcze — i to wszystko pokrywa — jesteś b..... k..... Nie śmiem napisać tych słów pełnymi literami, zdaje mi się, że to byłoby tak, jakbym ci mówiła: jestem obłąkana, a ty tak byłbyś skłonny w to uwierzyć! tak łatwo przechodzi się do porządku nad szaleńcami. Chcę ci zawadzać, chcę cię tyranizować, chcę ci dać cierpieć przez jedną godzinę to, co ty mi każesz cierpieć całe życie.

Ale prawda, nie wspomniałam ci jeszcze o pierścionku, który mi dałeś, odjeżdżając; był on symbolem, godłem wszystkiego, co się zdarzyło. Włożyłam go na palec: w dwie godziny potem pękł! To nie jest zgoła żart, odczułam to jako najsmutniejszą wróżbę. Wracaj, miły mój, daj mi pierścionek, który by był silny i trwały jak moje uczucie; ten, który mi dałeś, nadto podobny był do twego, trzymał się jedynie na włosku.

Przeczytałam twój list poczciwemu Condorcetowi: jest uprzejmy i taki jak należało. *Kochasz tedy już tylko naukę*, a mimo to *gardzisz sławą*? W istocie, jesteś wielkim filozofem wówczas, gdy jesteś smutny. Ale tej zimy będziesz tak bogaty, szczęśliwy, wesoły, rozrywany! Wówczas nie będzie już mowy o tej głębokiej filozofii. Ech, nie, jeszcze nie zaszedłeś tak daleko w życie, twoja głowa jest jeszcze bardzo młoda: potrzebuje oczyścić się z wielu rzeczy, które często sprowadzają twą duszę na manowce.

Miły mój, jestem bardzo zuchwała, nieprawdaż? Krytykuję bez przerwy, ale kocham cię lepiej niż wszyscy, którzy cię ciągle chwala. Pan d'Alembert kocha cię tak, jak gdybym ja mu pozwoliła. Bądź zdrow; pisz, i dużo.

LIST CXXIV

Wtorek, 11 lipca 1775

Skreśliłam swoje zadanie na dwa sposoby, że zaś jego podmiot i przedmiot nie są ci zupełnie obojętne, przesyłam brulion. Nie sądzę, aby się znacznie różnił od pierwszego sądu, musi wszelako być różnica: mianowicie ostatni raz pisałam, odczytawszy świeżo pana de la Harpe, a tym razem odczytawszy ciebie. Osądź, czy lepiej odczułam, czy byłam mniej lub więcej głupia, słowem, drogi mój, potęp mnie, ale nie mów, że nie jestem zajęta tobą aż do uprzykrzenia.

Pan de Malesherbes obejmie stanowisko dopiero w sobotę lub w niedzielę. Był się pożegnać ze swą samotnią w Malesherbes i sądzę, że nie przyszło mu to z lekkim sercem. *Ambitnym* trudno by uwierzyć, iż może być dla kogoś poświęceniem zostać ministrem; ale jeżeli znasz pana de Malesherbes, odczujesz, że mówię prawdę.

Bywaj zdrow, drogi mój. Posyłam na główną pocztę; napisałam znowu wczoraj cały tom; jutro będę miała od ciebie cztery wiersze, bardzo suche, może bardzo twarde. Dobrze więc, jakiegokolwiek będą, czekam ich z niecierpliwością! Daję rozkaz, aby mi przyniesiono listy do pani Geoffrin; w chwili gdy przybywają i przedtem mało błyszczą dowcipem w konwersacji; oczy moje i dusza skupiają się koło drzwi i koło rąk każdego, kto wchodzi do pokoju. Drogi mój, czyż istnieć mocno można jedynie przez cierpienie? Mój Boże, znałam inny sposób; ileż słodyczy i żalu mięsza się do tych wspomnień!

Napisałam właśnie do Breteche, a ciebie tam nie ma. Uwierzylbyś, że kawaler nie spytał o ciebie? To mnie drażni. Zgadnij, o której kobiecie mówiono wczoraj i ktoś powiedział — ale nie warto wchodzić w szczegóły: „Pani ta a ta, to kwadrat na krześle”. I to jest zdumiewająco trafne.

Bywaj już zdrow; niepodobna mi rozstać się z tobą. Nie podrzyj ani nie zgub moich ważnych wyroków.

LIST CXXV

Środa wieczór, 12 lipca 1775

Powiedz, czy może istnieć racjonalna przyczyna, aby nie napisać do mnie tym kurierem? Miałaś odpowiedzieć na to, co ci donosiłam, że twoja *Pochwała* staje do konkursu; a potem miałaś... Ech, nie, nie miałaś nic, skoro krzyk bólesci nie poruszył twej duszy. Dobrześ zrobił, żeś nie odpisał; byłbyś mnie zranił, a tak jestem tylko zmartwiona.

Trzeba czekać do soboty, nie wiem, czy powinnam tego pragnąć, to może najważniejszy dzień mego życia. Gdyby mi zostawił tylko jedną ucieczkę, ha, w takim razie przyłożyłbyś ostateczną pieczęć na nędznym istnieniu i zdaje mi się, że błogosławiłabym cię za to. Tak, kochałabym cię za to, nie mogę już bowiem, nie chcę cię nienawidzić; to okropne uczucie jest zbyt obce i zbyt brutalne dla mej duszy: myślałam, że przypłacę je życiem, taki sprowadziło skurcz i konwulsję w całym moim organizmie. Aby uzyskać potem spokój, muszę się uciekać do dawki opium, która wtrąca mnie w stan apatii bliskiej zupełnego oglupienia.

Mój przyjacielu, niebawem nie stanie mi już fizycznie sił do kochania ciebie; skutek gwałtownych wstrząśnień, które zadajesz mej duszy, jest ten, iż wciąż osłabiają i niszczą mój organizm. Gdybyż bodaj cierpienia skracaly mi drogę! Ale tak wolno idzie, kto się o coś potyka co chwilę! Och, mój Boże, ileż godzin od dziś do soboty! Zużyję wszystkie siły, jakie mi zostały, na to aby oszukać tę zwłokę. Już na dziś popołudniu obiecałam się w mnóstwo miejsc, wśród których ani jedno nie wychodzi poza prostą obojętność, ale zawsze będę z ludźmi, którzy mnie kochają po trosze: to mnie podtrzymuje. Jutro jadę do Auteuil, w piątek do Passy usłyszeć tę sławną śpiewaczkę, która bawiła tu w zeszłym roku i która, wedle tego co mówią, łączy śliczny głos z niecodzienną głupotą. W spokojnym

usposobieniu, mogłabym cieszyć się tą przyjemnością, ale dla duszy, która cierpi i kocha, czyż zostaje cokolwiek w życiu?

Drogi mój, piszę do ciebie od hr. de Crillon, gdzie mieszkam od dwóch dni. Jestem sama; pani de Crillon jest na wsi, mąż zaś w Metz, gdzie odbywa miesiąc służby najokrutniejszej, gdyż rozdziela go z żoną. Daremnie szukam w tym apartamencie, przebiegam jego zakątki, wszystko unieśli z sobą, nie został żaden strzęp szczęścia. Spędziłam noc w łóżku porządnie twardym, nie zmrzyłam oka do ósmej; czułam się bardzo przybita, bardzo smutna i powiadałam sobie: *jakże w tych samych miejscach serca są odmiennie!*

Ale jeśli nieszczęście bardziej mogłoby się udzielać niż rozkosz i szczęście, jakżebym współczuła z nimi, gdyby znaleźli w tym samym łóżku myśli i uczucia, które mnie w nim zaprzętały! Drogi mój, to nieszczęście dotarłoby aż do ciebie, jakżebyś się go pozbył?

Musiałeś otrzymać wszystkie papiery, które powierzyłeś panu Turgot: mówił mi o nich z wielkim uznaniem i wdzięcznością. Rozmawiałam z nim dziś dłużej niż kiedykolwiek od czasu, jak jest generalnym kontrolerem; zaszedł do mnie o jedenastej i przegadaliśmy sam na sam aż do pierwszej. Powtarzam ci, nie ma, ale to nie ma człowieka zacniejszego i bardziej rozpalonego miłością cnoty. Nie będę wchodzić w szczegóły, powiem tylko: ja to mówię, a on dowiedzie. Nie sądzę, że spędziłam ten czas na wychwalaniu go; nie, doprawdy, on i wart więcej niż moje pochwały. Powiedziałam mu wszystko, co wyczułam od ciebie pod jego adresem, nie tak dobrze, jak ty byś powiedział, ale czułam się ożywioną twoim duchem, nawet twoim duchem krytyki, mimo że nie ten dar najbardziej w tobie podziwiam, uważam bowiem często, iż przekracza cel; ale mniejsza! Mówiłam ze swobodą i zaufaniem, tak mi właściwym z ludźmi, których cenię i Kocham; słowem, czułam się dobrze, tak jak z tobą.

Gdybym chciała, opowiedziałabym ci równie obszernie o panu de Malesherbes, ale to by zanadto trąciło *nadawaniem sobie tonów*, a trudno jest pękać od próżności, kiedy się umiera ze smutku.

Zegnaj mi, drogi mój: nie jest niemożliwe, że to jest pożegnanie na wieczność; Bóg jeden i ty wiecie o tym.

LIST CXXVL

Sobota wieczór, 15 lipca 1775

Drogi mój, żyję, będę żyła, ujrzę cię jeszcze i jaki bądź los mnie czeka, będę miała jeszcze chwilę przyjemności, nim umrę. A nie myślałam tak dziś rano. Dusza moja zdjeta była grozą; czekałam wyroku, sądziłam, że będzie złowrogi i chciałam się mu poddać. Nie chciałam się już skarżyć, nie mogłam już cierpieć; postanowiłam, że dzień dzisiejszy będzie ostatnim mego życia, jeśli ty nie przyjdiesz mi z pomocą. Przyszedłeś, miły mój, serce twoje zrozumiało mnie, odpowiedziało mi i od tej pory życie stało mi się znośne.

Dziś rano popadłam w jakiś szal rozpacz; pan d'Alembert przeraził się, a ja nie miałam na tyle przytomności, aby go uspokoić; ból jego rozdzierał mnie, złamał mi duszę, doprowadził mnie do łez. Nie mogłam mówić i nieprzytomnie podobno powtórzyłam dwa razy: *Będę umierać, niech pan odejdzie*. Te słowa wtrąciły go w rozpacz, płakał, chciał szukać pomocy i powtarzał: „Cóż za nieszczęście, że nie ma tu pana de Guibert! On jeden byłby zdolny złagodzić twoje cierpienia; od jego wyjazdu utonęłaś w rozpacz”. Och, drogi mój, twoje imię przywiodło mnie do rozsądku; uczułam, że trzeba się uspokoić, aby wrócić spokój i życie przeznaczemu człowiekowi. Przemogłam się; powiedziałam, że to atak nerwowy, który przyłączył się do moich zwykłych cierpień: w istocie, jedno ramię i rękę miałam zupełnie skręcone. Zażyłam środek kojący; pan d'Alembert posłał po lekarza; aby uwolnić się od tego, zebrałam resztkę sił i rozumu i zamknęłam się w pokoju, czekając listonosza. Przybył: ujrzałam dwa listy od ciebie; ręce mi drżały tak, że nie byłam zdolna wziąć ich, ani otworzyć. Szczęściem dla mnie, pierwszym słowem, które odczytałam, było: *Droga moja przyjaciółko*; dusza moja, wargi uczepliły się tego papieru; nie mogłam dalej czytać, widziałam tylko pojedyncze słowa, czytałam: *wracasz mi życie; oddycham*. Och! miły mój, to ty mi je wróciłeś! Umarłabym, gdybyś mnie nie kochał. Nigdy, nie, nigdy nie doświadczyłam równie tkliwego i gorącego uczucia.

Wreszcie przeczytałam, odczytałam dziesięć, dwadzieścia razy słowa, które wlewały pociechę w me serce. Ukochany mój, zbliżając się do mnie, przywiązałeś mnie do życia; tak, czuję to, kocham cię więcej niż szczęście i rozkosz: potrafię żyć bez nich, będę kochała ciebie: a kiedy mi to nie wystarczy, wówczas będzie czas umrzeć.

Tak, będziemy cnotliwi, przysięgam, ręczę ci za to; szczęście, obowiązki twoje są mi święte; czułabym wstręt do samej siebie, gdybym uczuła w sobie jakieś drgnienie, które by je mogło zmącić. Mój Boże, gdybym mogła zachować jedną jedyną myśl zdolną obrazić cnotę, zdrząłabym od zgrozy! Jak to, myśl o mnie przywodzi ci wspomnienie zbrodni! Nie, miły mój, nie będziesz miał sobie nic do wyrzucenia. Ja jedna byłam winna, mnie będą pożerać żale i wyrzuty; ale jeżeli ty będziesz szczęśliwy, zdławię na zawsze wszystko, co mogłoby ci dać świadomość mego nieszczęścia. Drogi mój, wiesz, co to namiętność, znasz siłę, jaką może wlać w duszę? Otóż przyrzekam ci dołączyć do tej siły wszystką tę, jaką może dać miłość cnoty i wzgarda śmierci, aby nigdy nie uczynić zamachu na twój spokój i obowiązki.

Dobrze naradziłam się sama z sobą; jeśli mnie będziesz kochał, znajdę w sobie siłę do męczeństwa, ale jeżeli zwątpię o tobie, zostanie mi jedynie ta, której potrzeba, aby się uwolnić od nieznośnego ciężaru i nie chybi mi z pewnością: czułam ją w sobie dziś rano. Sądzisz tedy, iż namiętność nie może już sięgnąć ani o stopień wyżej tej, którą ja ci okazałam? Ha! ja ci ręczę, że nie wiesz wszystkiego: nie ma słów, zdolnych wyrazić siłę namiętności, która się karmi łzami i wyrzutem i która sobie stawia za cel tylko dwie rzeczy: kochać lub umrzeć. Nie znajdziesz tego w książkach, jedyny mój; wszak spędziłam z tobą pewien wieczór, który wydawałby się przesadzony, gdyby się go czytało u *Prévosta*⁹⁶, człowieka, który najlepiej w świecie znał wszystkie słodycze i grozy tej namiętności.

Nie dostałam jeszcze paczki z mymi listami; nie uspokoję się, póki nie będę ich miała w rękach. Nie mogę się obronić obawie że popełniłeś jakąś omyłkę; działałeś tak spiesznie. Byłabym zgubiona, gdyby p. de Vaines dowiedział się co zawiera paczka, ty byłbyś bardzo winny, ja byłabym nieszczęśliwa, ale sądzę że nie czyniłabym ci wymówek: pomyśl, czy to nie wspaniałomyślność z mej strony?

Wiesz, zdarzyło mi się coś, co niegdyś byłoby mnie przywiodło do szaleństwa: pani du Deffand wypłatała mi piekielną sztuczkę. Wpłatała mnie w całe to nieporozumienie między panią Necker a panią Marchais; skompromitowała mnie wobec pani d'Anville, a wszystko to jest jeszcze bardziej głupie niż niegodziwe, trzeba będzie zapuszczać się w wyjaśnienia! Pan d'Angiviller ma też swoją rolę w tej szatańskiej sztuce; ambasador jest bardzo przejęty; pan d'Alembert wściekły, a ja spokojna jak niewinność i chłodna jak obojętność wśród całej tej burzy.

Och, bo też miałam w pamięci inną burzę, która wisiała tuż nad mą głową: jedyną ważną dla mnie rzeczą był kurier z Bordeaux. Ach, dobry Boże, kiedy ty jesteś dobry dla mnie, zdolna byłabym wyzwać wszystkie furie piekła! Oto korzyść, okrutna korzyść nieszczęścia; to że zabija wszystkie drobne zgryzoty wypełniające życie przeciętnych ludzi. Czuję, że wydobędę się cudownie z tej historii, ponieważ ani o to dbam, ani się przejmuję; wyrzucam sobie tylko, że mówię ci o tym tak długo, ale gdybyś był tutaj, słyszałbyś o wiele więcej: ta sprawa stała się sensacją Paryża.

Kawaler przywiózł mi nowiny o panu z Bretèche⁹⁷ *Otrzymało* tam list od ciebie ostatnim kurierem, a mój utknął gdzieś w drodze! To niesprawiedliwe, z pewnością; mimo całego zainteresowania, z jakim ona czeka nowin od pana, nie byłaby wycierpiała tego co ja, gdyby to jej list, nie mój, uległ opóźnieniu. Ale czemu ona jeszcze przypuszczała, że *Hetman* nie będzie grany? To nie do pojęcia.

Drogi mój, jednego dnia, kiedy będę chciała gruntownie się upokorzyć, przyznam ci się do jednego podejrzenia, które ośmieliłam się powziąć względem ciebie: ale też dlaczego zmąciłeś moje zaufanie? Byłoby mi tak słodko uwierzyć w ciebie i tobie; okropnie mi jest źle o tobie myśleć.

Powiadasz, że zachowałeś w sercu obelgi, okropności, których ci nagadałam; powiedzże mi, co z nimi poczniesz? Wiesz dobrze, że wszystko przemazałam; żyję i kocham ciebie: oto co zostało z mej rozpaczy i nienawiści. Miałaś zamiar *skupić rozsądek, aby mi*

⁹⁶gdyby się go czytało u *Prévosta* — autora *Manon Lescaut*. [przypis tłumacza]

⁹⁷nowiny o panu z *Bretèche* — pani de Montsaugue bawiła w tej chwili w swoim majątku w Bretèche. [przypis tłumacza]

odpowiedzieć? To zbytuczne; jestem tak rozsądna wówczas, gdy minie napad wściekłości, że to zbytuczne wspomagać mnie jeszcze twoim rozsądkiem i rozumowaniami. Mimo to oczekuję ich z niecierpliwością; jakże to daleko od soboty do środy!

Jakże dla nieszczęśliwych chwile wolno płyną!

Dobranoc, drogi. Dokończę tego tomu w tych dniach, odejdzę bowiem aż we wtorek. Chora jestem od trzech dni; cierpiałam męki, ty mnie uleczyłeś.

LIST CXXVII

Niedziela o północy, 15 lipca 1775

Pan de Vaines przyniósł mi w tej chwili paczkę od ciebie; oceń moje nieszczęście, gdyby mi trzeba było czekać aż do tej pory na odpowiedź. Napisałeś do pana de Vaines, to dobrze. Mój Boże! Od czegoż zawisła pierwsza, jedyna sprawa mego życia? Od jakiegoś inspektora, od przechadzki, od obojętnej wizyty. Niestety! główne nieszczęście tkwi nie w tym, ale w tym, że twoje szczęście nie zależy ode mnie. Ale przynajmniej czy wiesz, od czego ono zależy? Czy je znalazłeś? Obowiązki, cnota to święte prawa, trzeba się im oddać; ale czy w nich szczęście? Byłaby w nich rozkosz?

Dobranoc; dusza moja i organizm są w stanie ostatecznego wyczerpania; potrzebuję odpoczynku; u ciebie zaś pierwszą potrzebą jest być w ruchu! Och! za wiele dałeś mi wycierpieć; nie mam już sił.

LIST CXXVIII

Poniedziałek wieczór, 17 lipca 1775

Ta wielka sprawa zakończyła się z moją największą *chwałą*. Osądzono i rozstrzygnięto jednogłośnie, że pani du Deffand jest najniegodziwszą istotą, jaką Bóg albo diabeł stworzył kiedy. Komitet czy trybunał, przed którym toczyła się sprawa, składał się z księżnej d'Anville, ambasadora, pana de Vaines i mnie; domyślasz się, że ambasador nie darował sobie przyjemności pękania od śmiechu; mimo to sądzę, iż wszystkim co mnie dotyczy, przejęty jest tak żywo, jak tylko potrafi. Bardzo mu jestem wdzięczna, ale nie może mnie to wzruszyć, wówczas gdy ty wypełniasz mą duszę.

Bądź zdrow, drogi mój, żegnaj. Czynisz mi krzywdę; dręczysz mnie, zadałeś mi głęboką ranę; ale kocham cię; to uczucie będzie balsamem lub trucizną, wedle twojej woli. Ale żegnaj już.

LIST CXXIX

Poniedziałek, 24 lipca 1775

Miły mój, chciałbym szukać cię i znajdować wszędzie, mówić do ciebie bez ustanku, widzieć cię i słyszeć ciągle. Pisałam do ciebie do Bordeaux, do Montauban i dziś znów do Bordeaux, a wszystko może bezużytecznie: jeżeli bowiem masz tu być 1-go, będziesz już 26-go albo 27-go w drodze. Tym lepiej, nie dostaniesz listów, ale zobaczę cię; bardzo mi trudno uwierzyć, aby ta przyjemność miała mi przynieść jedynie samo zło; jesteś tak słodki, tkliwy, miły, że może odczuję tylko to.

Ale czemu nie miałam od ciebie wiadomości ostatnim kurierem? Czy może kiedy braknąć czasu, aby przyjść z pomocą komuś, kto cierpi? Och, tak; cierpię, i bardzo; wnętrzości moje robią, co mogą, aby mnie oderwać od cierpień duszy. Miałam wczoraj dyzenterię ze straszliwymi boleściami; spędziłam rano w wannie i to ukoilo mnie nieco. Drogi mój, przybawaj; ale cóż? nie będę cię wcale widziała: żona, kochanka, tragedia, obowiązki; co może zostać dla nieszczęśliwej istoty, która żyje jedynie po to, by kochać i cierpieć? Tak, czuję to, jestem skazana na to, aby cię kochać póty, póki mego tchu; kiedy siły moje wyczerpie cierpienie, kocham cię całą tkliwością; kiedy jestem żywa, kiedy

dusza ocknie się nieco, kocham całą namiętnością. Drogi mój, ostatni dech mego życia będzie jeszcze wyrazem mej miłości.

Bądź zdrow; jeżeli otrzymasz ten list, odpisz mi i nie sądź, iż przybędziesz wcześniej od listu. Drogi mój, strzeż się zjawić w chwili, gdy będą u mnie ludzie. Opuszczam cię; mam straszne boleści. Bądź zdrow, bądź zdrow; kocham cię i sądzą, że to nie dlatego, że cię kochałam.

LIST CXXX

Wtorek, 1 sierpnia 1775

Drogi mój, przyslij mi *Zwycięstwo*, nudzę się śmiertelnie pod ręką fryzjera; może ciekawość da mi zapomnieć o tym. Skończyłam w tej chwili *Katinata*; nigdy go równie dobrze nie rozumiałam, ani nie czułam; nie wątpię, iż Akademia potrafi go ocenić; prace współzawodników mogą być dobre, a mimo to mogą zostać bardzo w tyle. Budzisz we mnie niepokój o różnych mych znajomych; mimo to nie chcę odbierać im odwagi.

I cóż, nie zdobyłeś się na żadną odpowiedź? Ale przynajmniej odnieś mi moje głupie bazgroty; jeżeli trzeba, obiecuję ci dziś wieczór komentarz wedle tego tekstu. Zobaczę cię dziś rano; będziesz może na tyle uprzejmy, aby przyjść wcześniej wieczorem. Trzeba przyznać, umarli nie miewają takich dni, ale też nie wycierpieli nic wczoraj, ani też nie będą się skarżyć jutro.

Do widzenia. Wymówiłam wczoraj słowa, które ścinają mi krew w żyłach; drogi mój, powiedziałam, że pragnęłabym twego wyjazdu! To tak, jak gdybym rzekła: chciałabym nie żyć i często to jest prawda. Tak trudno było zatem odpowiedzieć mi? Cierpliwości tylko, znam sekret, jak cię wydobyć z kłopotu, zmusić, byś mnie kochał, tak, kochał i to całą mocą; ale ostateczne środki trzeba odkładać najdłużej jak można. Chcę książkę, natychmiast!

LIST CXXXI

Sobota wieczór, sierpień 1775

Tak przywykłam już cierpieć i odczuwać jedynie ból, że wątpię, aby mnie bardzo przejęło uwienczenie twej *Pochwały* przez Akademię. Wydałoby mi się to tylko sprawiedliwym, a sądzą, że słabo bym się cieszyła tym jako pogłaskaniem twej miłości własnej. Ale wyznaję, że czuję i rozumiem, zbyt żywo może, niesmak, jaki musi w tobie budzić konieczność poddania się formułom wymyślonym przez bakałarzy dla zachęty i nagrody uczniaków.

Samo *accessit* byłoby czymś rażąco płaskim, ale dwa *accessit* wydają mi się impertynencją, bez względu na to, jaką odmianę lub wyróżnienie zechcą wprowadzić w dniu publicznego posiedzenia. Gdyby Wolter stawał do konkursu i gdyby ci dano *accessit*, byłoby to naturalne; ale być postawionym po panu de la Harpe, obok dwudziestoletniego chłopca, to mnie oburza w sposób niewysłowiony; to rani mą duszę, czyni mnie niesprawiedliwą, popycha bowiem aż do nienawiści dla człowieka, którego postawiono przed tobą.

Bądź bardziej umiarkowany, jeżeli zdołasz; z twojej strony będzie to godne i szlachetne. Znajdziesz może w swoich talentach i w poczuciu swej siły zasoby pozwalające ci wzgardzić tym *accessit*. Wszystkie Akademie świata nie mogłyby cię ściągnąć z wyżyn, na które wzniosła cię natura. Wiem, powtarzam to sobie, ale czuję niesmak tak dotkliwy, iż to, co cierpię, przeważa o wiele to, co myślę... Muszę koniecznie widzieć cię i naradzić się w sprawie druku; byłabym zdania, aby dać twoje dzieło publiczności, nim będzie mogła poznać utwór pana de la Harpe, który ma być czytany 25-go, a wydrukowany 28-go lub 30-go. Zapatrywanie to nie jest wynikiem refleksji, ale zastanów się, o ile ci ono odpowiada.

Bez wątpienia chybiłeś uczciwości, otwierając mój list, ale nie mam prawa być surową, mam natomiast zawsze prawo odczuć, kiedy chybisz przyjaźni, a zraniłeś ją, nie używając mi łaski, o którą prosiłam w mniemaniu, że mogę ją uzyskać. Wyraz mych uczuć nie

powinien cię był ani zaciekawiać, ani obchodzić; znałeś je tak dobrze, odepchnąłeś je tak okrutnie wówczas, kiedy najwięcej żądałeś ich dowodów! że w istocie trzeba mi mnie- mać, iż cena, którą jakoby przykładasz do nich w tej chwili, jest jedynie wyrazem twej szlachetności, a może i sposobem oszukania twego sumienia, które powiada ci głośnie- j ode mnie, iż nadużyłeś mego nieszczęścia, pozornie starając się je złagodzić.

Posłużyłeś się mym bólem, mą miłością, mym życiem, aby wypełnić czas, który chcia- łeś obrócić na zerwanie stosunku z panią de M.: tak samo tobie jak mnie niepodobna czynić sobie złudzeń co do twych pobudek. Mimo wszystko, co jest brudnego i poni- żającego dla mnie w tej prawdzie, bądź na tyle uczciwym, aby mi oszczędzić ostatniego stopnia upokorzenia, jakim byłoby dla mnie stać się przedmiotem twej litości; tylko to już bowiem sprowadza cię do mnie, a wyznaję, iż mimo nieprzepartego pociągu, jaki mnie poniósł ku tobie, na tę myśl buntują się wszystkie władze mej duszy.

Jak to! ja byłam przedmiotem ukochania pana de Mora, przedmiotem miłości tej wielkiej, silnej i cnotliwej duszy, a ty chcesz mnie upokorzyć?

Ha! zostaw mnie moim wyrzutem, zabijają mnie; byłam winna, jestem ukarana, pan de Mora jest pomszczony. Czego chcesz więcej? Przygnieść mnie, przywalić ciężarem li- tości? Oświadczam ci: nie czuję się stworzona do tej ohydy, przyspieszyłbyś mą śmierć. Nie umiem rozróżnić, czy jeszcze czepiam się swego uczucia lub czy wstrzymuje mnie groza wtrącenia w nieszczęście dwóch osób, które oddałyby za mnie życie; śmierć moja złamie ich; a ta myśl nie sprawia mi przyjemności: chciałabym, przeciwnie, móc je od- czepić, oddalić ode mnie. Byłabym swobodniejsza, uwolniłabym się od męki, która mnie zabija, uwolniłabym ciebie od przykrości widywania lub unikania osoby, którą ugodziłeś śmiertelnie, ale której agonია trwa zbyt długo.

Donosisz mi, iż może wpadniesz do mnie *mimochodem*; tak, w istocie wszystko, co byś uczynił dla mnie, czego byś mi użyzył, byłoby *mimochodem*. Oto do czego zdolna jest szlachetność: udziela *mimochodem*; jedynie uczucie zdolne jest zatrzymać. Zaiste, nie roszczę już sobie do tego pretensji i ustępuję cię *na stałe* tej, która cię posiada.

Muszę ci donieść, w imię prawdy i sprawiedliwości, że pp. Suard, Arnaud i d'Alembert robili wszystko możliwe i niemożliwe, aby ci oszczędzić *accessit*; ale dziesięciu akademików przegłosowało ich, a mieli za sobą zwyczaj i statuty. Postanowili, iż w dzień publicznego zebrania Akademia wyrazi się z najwyższym uznaniem o twym wybornym dziele; trzy głosy były za podzieleniem nagrody.

Stało się; już tylko raz jeden pragnę o tym z tobą pomówić.

LIST CXXXII

Jedenasta, poniedziałek wieczór, sierpień 1775

Głowa jest zawsze ofiarą omamień serca. Jakie to prawdziwe, jakie słuszne, kiedy się ma do czynienia z człowiekiem najbardziej słabym, łatwym, najbardziej podatnym dla wrażeń. Oto co mówiło mi doświadczenie, podczas gdy serce zadawało mu kłam po cichu; powiadało: *wróci*; i wszystko co jest we mnie zdolnego do uczucia, powtarzało: *ujrzę go znowu*.

Och, drogi mój, *nie wart jesteś* w istocie tego, co wycierpiałam; nie wart jesteś walk, które się toczą we mnie; nie wart jesteś poświęcenia, które ci uczyniłam, nie tylko z ży- cia, ale ze śmierci; nie wart jesteś przede wszystkim zamętu, kłopotów, trudności, jakie moje uczucie dla ciebie wprowadza w najbardziej krytyczną sytuację mego życia. Och! to uczucie, ta fatalność przyjdą jeszcze do głosu i jakie bądź powzięłabym postanowienie, pociągnie ono za sobą żal i wyrzuty. Mój Boże, życie mnie nuży, zbyt było wypełnione! Natura stworzyła mnie do ustroni i spokoju, a byłam pastwą wszystkich namiętności i poznałam wszystkie ich nieszczęścia. Och! gdybym nie była kochała pana de Mora, ileż złego mogłabym powiedzieć o życiu! Drogi mój, chciałam ci tylko rzec słówko, a mimo woli dusza moja wylewa się i spieszy szukać twojej; przyzwyczajenie do tego, aby *być ko- chaną* sprowadza mnie jeszcze na manowce; obracam się ku tobie, a to nie on. Och, nie! to nie on: on nie czekał na mnie; ledwie mogłam nadążyć z mym uczuciem; Boże, co za wspomnienia! Gaszą mnie i przepelniają smutkiem.

Czy zechcesz zjawić się na wystawie obrazów jutro o kwadrans na drugą? Nie mam zamiaru podrażnić twego honoru, mówiąc, że ty jeden nie stawisz się punktualnie. Cóż za szaleństwo wiązać się na obiad do hrabiny de Crillon na środek raczej niż do pani Geoffrin!

Mój drogi, mimo że ganisz wszystko, co mnie się podoba, co lubię, powiedz mi, czy ten zwrot nie wydaje ci się uroczy: ktoś, pytając mnie o nowiny o panu de Saint-Chamans, powiedział: *Wie pani, jak bardzo go kocham, twoim i moim sercem*. To ładniej powiedziane niż owo sławne zdanie pani de Sevigné o piersiach córki.

Należy mi się sześć listów, licząc z tym; muszę mieć wszystkie sześć, jeżeli chcesz mieć jutro ode mnie bodaj cztery słowa. Spieszę powtórzyć ci dwa, które słyszysz nazbyt często; k..... c....., ale mniej, tak, mniej, mam tego pewny dowód.

Lubimy zawsze tych, którzy nas podziwiają, etc.

Mam dzisiaj, jak widzisz, rozum i dowcip, bo pożyczam go od La Rochefoucaulda; tak, lubisz pana d'Angiviller, ale powinien byś mu powiedzieć, aby zamknął buzię pani de Marchais⁹⁸, kiedy mówi, że pierwsze dwa akty *Hetmana* to czystej krwi *machiawelizm*: że rola samego hetmana jest fatalna, rola zaś Adelaidy śmieszna, ponieważ w osiemnastym roku kobieta nie może być tak kuta w polityce, obowiązkach, prawach etc. etc.

Dobranoc, miła, słodka, skromna i urocza istoto. Chciałabym posiadać wyłącznie tajemnicę twojej miłości własnej. W zamian ty będziesz posiadał tajemnicę mego serca. Och, czy jej nie znasz? Cóż znaczy reszta?

LIST CXXXIII

Do Pana De Guibert, w Wersalu

Czwartek rano, sierpień 1775

Nie dbasz zatem o to, aby pisać do ciebie, skoro nie wskazujesz żadnej drogi? Ale ponieważ ja jestem bardzo przemyślna (w jednym tylko kierunku, co prawda), zleciłam pokojowcowi pana de Turgot, aby cię wszędzie szukał, a zwłaszcza aby znalazł. Niech pan tedy nie zapomni donieść, na ile miejsc jest łoża, którą mi przeznaczasz; dodasz również słówko objaśnienia co do sposobu dostania się. Wierz mi, jeżeli chcesz, powiedz, że prawda nie jest prawdopodobna; prawdą jest wszelako, iż widziałam dziś, i to dość długo, całą twą rodzinę; sama zbliżyłam się do niej, mówiłam o jej zdrowiu, o talentach, o wszystkim, co miałam w danej chwili przed oczyma; słowem, śmiem ręczyć, usłyszysz *że jestem bardzo miła* i nie raczysz w to uwierzyć.

Ale czy wiesz, czym jestem i do czego trzeba ci przyzwyczać swą myśl? Jestem naprawdę siostrą albo żoną *Grandissona*. Staję się doskonała w sposób wprost przerażający; zdaje się, że jestem jak łabędź, jego śmiertelny śpiew jest najdoskonalszy. Ostatecznie to już coś; powiesz o mnie: umarła bardzo nie w porę, wielka szkoda!

Drogi mój, mam zmartwienie: jeden z moich przyjaciół bardzo cierpi, jest bardzo nieszczęśliwy; spędziłam z nim dwie godziny wczoraj wieczór, płakałam wraz z nim i czułam, iż koję i pocieszam go po trosze.

Zobaczę cię, kiedy będziesz mógł; oczywiście w przelocie, *mimochodem*, i będę ci obowiązana za wszystko, ożywiona twoim duchem, nawet twoim duchem krytyki, nie tak dobrze, jak ty byś powiedział, ale czuł się wart więcej niż moje pochwały. Powiedziałam mu wszystko, co słyszałam od ciebie pod jego adresem; ostrzygą ją do żywego bez jednego krzyku i niebawem zapomną, że cierpi i że jest ofiarą; to w porządku. Do widzenia. Czy jesteś zadowolony? Czy umierasz ze zmęczenia? Rozmyślałam się: pošlę list kawalerowi, który zapomni go może w kieszeni.

Nie ma tedy jeszcze *Pochwały Katinata*. Poświęciłam swój egzemplarz na rzecz najmiłszej z kobiet.

⁹⁸lubisz pana d'Angiviller, ale powinien byś mu powiedzieć, aby zamknął buzię pani de Marchais — Pani de Marchais, ładna i sprytna istota, którą łączył stosunek trwałej i wiernej miłości z hrabią d'Angiviller, była cokolwiek zalotna i umiała obudzić u pana de Guibert pewne zainteresowanie. Panna de Lespinasse, w swojej wiecznie czujnej zazdrości, spostrzegła niebezpieczeństwo i starała się je odwrócić, wprowadzając w grę miłość własną autorską Guiberta. Manewr ten kobiecy powiódł się; od tej chwili pan de Guibert ochłódl dla pani de Marchais zupełnie. [przypis tłumacza]

LIST CXXXIV

Niedziela o ósmej, sierpień 1775

Drogi mój, to ja. Potrzebuję zająć przez minutę twą myśl, a ty nie poświęciłbyś mi jej z własnego popędu. Ile bilecików, ile osób żąda ciebie, czeka na ciebie! Chcę przebić się przez tłum, nie chcę się tłoczyć; czy mnie w nim zostawisz, drogi mój? Nie, wiesz dobrze, że ja nie jestem jak wszyscy; nienawidzę, Kocham, sądzę cię na swój sposób. Twoje powodzenia, błędy, wady, zbrodnie, znam wszystko, nikt tego tak nie czuje jak ja, a mimo to Kocham cię mniej, niż Kochałam. Żal mi tego niekiedy; częściej martwię się, że Kocham nadto. Drogi mój, chcę cię zobaczyć jutro: tyle chciałam ci donieść i to też, że mamy wiadomości od pana de Saint-Chamans, nie dobrze wprowadzie, ale lepsze to, niż nic nie mieć. Miły mój, chcę wiedzieć, jak się miewa twój palec; chcę wiedzieć, czy... zgadnij i odpowiedz.

Łoża dla p. de Lavalette. *A Pochwała Katinata?* Nie chcesz tedy, abym widziała *Hetmana*⁹⁹? Mój Boże, ileż ty przyjemności zabiłeś! Jeszcze trochę, a będziemy szczęśliwi jak umarli. Amen.

Mój przyjacielu, pragnęłabym, abys pomyślał raz, ale między północą a siódmą rano, o najniezwyklejszej istocie, jaka żyje na świecie i która znajduje się w otchłani rozpaczy przez tego, kogo Kocha.

LIST CXXXV

Środa, o dziesiątej, sierpień 1775

To nie ambicja ani duma odtrąca twoje przebaczenie; to najbardziej tkliwe uczucie, które mnie upewnia, że nie mogłam cię obrazić. Pomyśl, iż gdybym — rzecz nie do pomyślenia — miała kiedy stracić szacunek dla ciebie, musiałabym wzgardzić sobą na zawsze. Licz tedy nie na swoje cnoty, nie na mą sprawiedliwość, ale na wszystkie rodzaje miłości, jakie istnieją. Gdybym cię nawet nienawidziła, szacowałabym cię jeszcze; słowem, nie waży się podawać w wątpliwość mego szacunku; to najsilniejsze z mych uczuć: stapia w sobie wszystkie i usprawiedliwiałoby je, gdyby były do usprawiedliwienia.

W chwili gdy mnie najbardziej zraniłeś, kiedy wyrzekałam się ciebie, ulegałam jeszcze temu uczuciu; ze wszystkich bowiem listów, jakie pisałam do ciebie, nie ma ani jednego, w którym moje nieszczerze, moje błędy, słabość, zbrodnie, wyraziłyby się, ogłosiły i oskarżały z większą prostotą i szczerością niż w liście, który przytaczasz. Jeżeli to nie jest wyznanie wiary mego szacunku, ufności i wiary w twą uczciwość, podyktuj mi inne, a podpiszę je własną krwią. Nie starałeś się mnie zobaczyć, ponieważ dzień ma tylko dwa-naście godzin i ponieważ był szczerze wypełniony sprawami i przyjemnościami, które są i powinny ci być droższe niż moje nieszczerze. Nie upominam się o nic, nie żądam niczego i powiadam sobie bez przerwy, że źródło mego szczęścia, słodczy zgubiło się na zawsze; bądź zdrów.

Nie, nie pójdę na *Hetmana*; nie umiem już ocenić ani kosztować podobnych przyjemności; będę brała najwyższy udział w twoich tryumfach i będę z nich dumna.

LIST CXXXVI

Sobota o drugiej, 26 sierpnia 1775

Tysięczne dzięki, drogi przyjacielu; przepocziwy jesteś, iż pamiętałeś o tym, aby mi się wystarać o tę łożę; dostałam bilety dopiero dziś o dziewiątej i lękam się, że cię zaalarmuje mój kurier dzisiejszy, ponieważ te panie bardzo były niespokojne, iż nie miały łoża wczoraj o północy.

⁹⁹*Nie chcesz tedy, abym widziała „Hetmana”* — mowa o sztuce pana de Guilberta, którą właśnie miano na dworze w Wersalu. [przypis tłumacza]

Ale, drogi mój, przestajesz być pocziwy, a stajesz się bardzo złą i niesprawiedliwą istotą, kiedy powiadasz, że *lubię ci sprawiać przykrość*. Och, dobry Boże, cóż by to była za szczególna przyjemność! Jeżeli nazywasz *chęcią sprawiania przykrości* to, że mówię z tobą szczerze, wówczas nie warto byłoby kochać i być kochanym. Wstrętnym byłoby, gdyby się miało w serdecznym stosunku zostawać, jak w życiu towarzyskim, zawsze w masce. Drogi mój, o piątej, kiedy *Hetman* się zacznie, zrobię tak, jak nie wiem już jaki prorok, który podnosił ręce, podczas gdy Jozue walczył. Och, tak, myśl moja, dusza, będą z tobą; cóż znaczy, gdzie będzie moja osoba! Położę się na kanapie u pani de Saint-Chamans, która jest wciąż chora i która wysłała wszystkie swoje dzieci na *Hetmana*.

Mój przyjacielu, mam nadzieję, że wrócisz tej nocy, czy to okryty chwałą, czy przyniesiony miernym powodzeniem; ale jak bądź wypadnie, przysięgnij mi, że nie wystawisz już sztuki, a przynajmniej takiej, która będzie już znana, osądzona i która, skoro dostanie się do Paryża, będzie mogła już tylko stracić. Ale nie wiem, czemu mówię to wszystko; powinna bym być zrażona do mówienia ci swego zdania: *raczysz go wysłuchać, ale iść za nim — nigdy*.

Czy z tych trzech obiadów będziesz choć na jednym? jutro u pani d'Anville, poniedziałek u hr. de Crillon, wtorek u p. de Vaines. Pomyśl, drogi mój, czy będziesz miał odwagę zawsze uchylać się od zrobienia mi przyjemności? Nie zmrużyłam oka dziś w nocy; mam wielkie bóle wewnętrzne, ale jestem mniej nieszczęśliwa niż w ostatnich dwóch dniach. Mój Boże, jakże mi było ciężko. Miałam atak rozpacz, trwał sześćdziesiąt godzin. Nie przyjął nikogo przez ten czas, nawet tych, co do których miałam pewność, iż byliby bardzo radzi mnie widzieć. Drogi mój, kocham cię, ale z takim niepokojem, z taką nieufnością, iż doprawdy, to uczucie jest prawie zawsze męką, podczas gdy niegdyś odczuwałam je bez przerwy jako wielką przyjemność.

Do widzenia. Jeżeli jesteś na szczycie chwały, donieś mi o tym; jeżeli nie jesteś rad z przyjęcia, mnie trzeba się z tym zwierzyć, ponieważ to co jest tobą, jest bardziej mną niż ja sama. Bądź zdrów.

LIST CXXXVII

Sobota, wpół do dwunastej wieczór, 26 sierpnia 1775

Powiadam jak w *Sinobrodym*: *siostrzyczko Anusiu, czy nic nie widzisz?* A pan d'Alembert się nie zjawia. Nie chcę szczegółów, ale nim się położę, chcę słyszeć te słowa: *sukces niebotyczny, rzecz wspaniała, nikt nie pamięta równego tryumfu*. Kiedy usłyszę te słodkie słowa, wymówię z rozkoszą to, co św. Simeon, skoro ujrzał Zbawiciela. Tak, byłoby mi słodko, słodziej niż kiedykolwiek, zasnąć tej nocy snem wiekuistym.

Mój Boże, jakaż ja jestem zmartwiona! ofiarowywano mi się przesłać gońca z depeszą, która zawierała tę alternatywę: *wielkie powodzenie* lub *mierne powodzenie*. Odrzuciłam tę ofiarę; okazałam się małoduszną, nie chciałam zaciągać takiego długu wdzięczności; słowem, byłam głupia i jestem ukarana.

Mój Boże, ileż szczęścia i, jak mówi ambasador, ileż rozkoszy w domu! Drogi mój, nigdy nie będziesz miał tyle, ile pragnę dla ciebie. Ale oto pan d'Alembert. Dobranoc... Entuzjazm pogwałcił wszystkie prawa, oklaskiwano scenę z trzeciego aktu, najpiękniejszą, jaka istnieje w teatrze. Lecain, Lecain! Czuję się bezlitosna; twoje cierpienie zaszkodziło *Hetmanowi*, nie mogę już współczuć z tobą, czuję już tylko ten ból. Ale bądź zdrów, drogi; będziesz uważał, że oszalała, ale pierwszym pragnieniem mego serca nie jest widzieć ciebie; pragnę, byś ujrzał wszystkich tych, którzy dadzą ci się sycić twoim szczęściem, to jest wszystkich, którzy je dzielali.

Pocziwy Condorcet odsyła mi bilecik, który ci przesłałam, i rada z tego jestem; był bardzo nie w porę. Nie zachodź do mnie tymi dniami; używaj szczęścia i nie staraj się zwrócić oczu na istotę, której nigdy nie powinienes być oglądać. Proszę cię jedynie o godzinę widzenia przed wyjazdem, jestem w nastroju pożegnalnym.

LIST CXXXVIII

Och, nie, nie jestem już na tyle szczęśliwa albo nieszczęśliwa, aby w żółć i w truciznę obracać każde twoje słowo: uporałeś się z tym zupełnie; jednym słowem ściąłeś w łód mą duszę. Przypomnij sobie tajemnicę, która ci się wymknęła: dała mi klucz do tysiąca rzeczy, które mi się zdawały nie do wytłumaczenia. Sądziłam, że będę czytać list młodej siedemnastoletniej osoby¹⁰⁰ piszącej do człowieka, który jest jej mężem od czterech dni, a tymczasem zamiast tego to młoda osoba pisząca do człowieka, którego kocha z wzajemnością od dwóch lat. Z tą chwilą wszystko, co pisze, jest naturalnym wyrazem miłości czulej, wyznanej i podzielanej od dawna. Ten mimo woli zdradzony sekret wytłumaczył mi również ów bezecny bilecik, który otrzymałam z Courcelles; wytłumaczył, ale nie usprawiedliwił, nic bowiem w świecie nie może usprawiedliwić podobnej zniewagi.

Mój Boże, i ja mogłam cię widzieć, mogłam słuchać ciebie, mówię do ciebie jeszcze! Och, jakże człowiek się stacza, skoro zdołał zdeptać pierwsze wyrzuty! Tak, czuję potrzebę powtarzania tego, mówienia sobie tego bez przerwy. Byłam przedmiotem miłości pana de Mora, to znaczy duszy wzniosłej, silnej, istoty najdoskonalszej, jaka kiedykolwiek istniała: ta myśl podtrzymuje mą duszę, krzepi me serce i wraca mi dosyć dumy, aby się nie dać unicestwić twoim upokorzeniom i zniewagom. *Nie odpowiedziałam na twój bilet* pisany w chwili wyjazdu? Ech, dobry Boże, i cóż mogłam odpowiedzieć? Kiedy czytam te wyrazy twej tkliwości, oto co rozum mi powiada: toż samo mówi i innej, może wkładając więcej siły i uczucia; a jest ta różnica pomiędzy tą inną a mną, że w stosunku do niej on kieruje wszystkie czynności swego życia, aby jej dowieść, że czuje to, co mówi; wobec mnie zaś, przeciwnie, nie ma ani jednego wśród jego uczynków, który by nie był w sprzeczności i niezgodzie ze słowami.

Wobec tej tak słusznej, tak okrutnie usprawiedliwionej refleksji powiedz mi, co odpowiedzieć? Odwołuję się do twego sumienia; czy sądzisz, że mogłabym wnikać w nie i zachować sąd i uczucia takie, jakich pragniesz? Otóż, śmiem cię upewnić, że gdybyś wniknął w moje, ujrzalbyś jedynie zbrodnię, do której ty mnie doprowadziłeś. Nie miałam jednej myśli, jednego drgnienia, które by mi nie powinny zdobyć twego szacunku, jeżeli można go uczynić osobie, która poświęciła nam to, co winno być droższe niż honor.

Ale powiedz mi, dlaczego czynisz mnie przedmiotem swoich uczuć moralnych i praktyk swojej cnoty? Bardzo późno przyszło ci to do głowy; jeżeli sobie nakładasz to zadanie przez pokutę za zło, które wyrządziłeś, ostrzegam cię, że znowu błędzisz. Abyś miał zasługę w tym postępowaniu, w którym rozwijasz cierpliwość, wytrwałość, dobroć, pobłażliwość wprost niewyczerpane, trzeba by, powiadam, aby tyle cnoty osiągnęło jakiś skutek; trzeba by przynieść ulgę, pocieszyć, powtórzyłam ci zaś po sto razy, że nie możesz już nic uczynić dla mnie, jak tylko dać mi cierpieć i kazać mi nienawidzić chwilę, w której wydałam się tobie. Upewniam cię, nie mam zamiaru czynić wymówek, przebaczam ci z całego serca, a to co dziś mówię, to jedynie odpowiedź na twój list. W owym bileciku z soboty wyraziłeś obawę, aby nieszczęście, które jakoby szerzysz dokoła siebie, nie spłynęło na twą żonę. Cóż miałam odpowiedzieć? Że sama ta obawa starczy, aby ją od tego ubezpieczyć: że abnegacja, z jaką złożyłeś jej w ofierze swój czas, swoje przywiązania i swą osobę, powinny również stać się jej rękojmią. Cóż dodać jeszcze? Że pragnę tego; oto w istocie wszystko, co można uczynić dla kogoś, z kim się nie jest w żadnych stosunkach.

Ludzie, którzy nie widywali pana w towarzystwie żony i którzy nie znają jak ja uczucia, które budzisz w niej od dwóch lat, powiadają, iż posunąłeś obowiązki małżeńskie aż do niewolnictwa; powiadają, że jedynie lokaje — a liczę w to i panów ze Dworu — zdolni są nagiąć się do godzin; uważają, że ten odgłos dzwonka o jedenastej jest surowy na kształt klasztornej reguły; widzisz sam, prawią głupstwa, ponieważ nie znają twego sekretu. Co do mnie, znam go i powiem ci znowuż mój... Ale nie, dość na dzisiaj.

Jestem bardzo niespokojna: wicehrabia de Saint-Chamans ma się coraz gorzej; lekarze nie umieją wytłumaczyć sobie tego stanu, co do mnie, przeraża mnie. Hrabia de Crillon przechodzi ciężkie chwile; żona powiła szczęśliwie, ale dziecko umiera. Nie nad dzieckiem płacze, ale ze zmartwienia, jakie sprawi to żonie, i z męki, jaką mu sprawia oszukiwać ją co do stanu dziecka. Szczęśliwi ludzie mają tedy również swoje zgryzoty? Tak! skoro pan

¹⁰⁰młodej siedemnastoletniej osoby — mowa o żonie pana de Guibert. [przypis tłumacza]

mi pisze, że masz ich wiele; ale sam przyznajesz, iż czas przyniesie ulgę, o czym i ja jestem przekonana. Ze zdrowiem jestem gorzej niż kiedykolwiek; miałam parę napadów gorączki, ale przysięgam sobie nie dać się truć lekarzom. Żegnaj. Nie żądam ani twego uczucia, ani twojej szlachetności, ani cnoty; osądź, czy nie zostawiam ci swobody!

LIST CXXXIX

Czwarta rano, sobota, 23 września 1775

Niestety! zatem to prawda, przeżywa się wszystko! Nadmiar nieszczęścia staje się tedy lekarstwem! Ha! mój Boże, nadeszła chwila, w której mogę ci powiedzieć równie szczerze: *Będę żyć, nie kochając cię*, jak mówiłam ci trzy miesiące temu: *Kochać cię lub umrzeć*. Miłość moja doświadczyła wszystkich wstrząśnień, przeszła wszystkie napady ciężkiej choroby; zrazu miałam nieustającą gorączkę z zawrotami i maligną; później gorączka straciła swą ciągłość, przeszła w napady, ale tak gwałtowne, tak nieobliczalne, iż choroba zdawała się tym gwałtowniejsza. Utrzymawszy się przez długi czas w tym stopniu, osłabła nieco; napady stały się rzadsze, wysiliły się; zdarzały się w pauzach momenty spokoju podobne do zdrowia lub przynajmniej pozwalające się go spodziewać. Jeszcze dalej, z czasem gorączka ustała zupełnie i wreszcie od kilku dni mam uczucie, iż zostało mi jedynie wstrząśnienie i niemoc, idące zawsze w ślad długiej i ciężkiej choroby.

Zdaje mi się, że przewiduję długą konwalescencję, nie z tego rodzaju, jaki maluje Saint-Lambert, mówiąc:

Och! jakże dusza syci się zdrowia powrotem!

Nie, moja nie zazna już tego stanu rozkoszy, ale dozna ulgi; nie będzie już doświadczała czynnego rozdarcia i to już dość; mimo bowiem iż będę wolna od bardzo okrutnego cierpienia, zostanie mi inne, o wiele dawniejsze, bardziej bolesne, głębokie, rozdzierające. Ta rana nie zasklepi się nigdy, będzie się coraz więcej jątrzyć i zatruwać zgryzotą i wyrzutem każdej chwili; wreszcie może znajdzie środki uśmierzające, to jedyne lekarstwo na nieuleczalne cierpienia.

Oto historia i wierny obraz stanu mojej duszy; nie ma jednego słowa, jednej okoliczności, które by się nie dały zastosować do obecnego położenia. Kochałam cię do szaleństwa; poznałam wszystkie stopnie, odcienie, nieszczęścia i namiętności: chciałam umrzeć, zdawało mi się że umieram, wstrzymał mnie czar związany z miłością, nawet nieszczęśliwą. Od tego czasu długo zastanawiałam się, wahałam, cierpiałam jeszcze, słowem, nie wiem, czy to ty, czy twoje postępowanie, czy konieczność lub może nadmiar mego nieszczęścia; wszystko wreszcie przywiódło mnie do mniej oplakanego stanu. Spojrzałam dokoła siebie, spostrzegłam przyjaciół, których moje nieszczęście i szaleństwo jeszcze nie odstręczyły, przekonałam się, że jestem otoczona staraniami, dobrocią, oznakami sympatii.

Pośród tylu podpór i tylu ukojeń, spostrzegłam jedno uczucie żywsze, gorętsze: jest ono tak szczerze, tkliwe, słodkie, iż w końcu wniesie niezawodnie w mą duszę spokój i pociechę. Czyż mogę rościć sobie pretensję do czegoś więcej i czegoś lepszego? Po strasznej burzy, jaka miota mną od trzech lat, czyż to nie znaczy zawinąć do portu? Czyż to nie znaczy widzieć już otwarte niebo?

Nie, nie sądz, iż przesadzam sama przed sobą postępy swego uleczenia; widzę się, jak jestem, czuję się nieco spokojniejszą, uważam się za nieco podatniejszą dla pociechy. Ale lękam się sama siebie, swego uczucia, swej słabości i, co za tym idzie, pragnę z głębi serca, abyś ty się oddał niepodzielnie swoim upodobaniom, przyjemnościom, sympatiom, namiętnościom, mniejsza o to czemu, byleś był dosyć zajęty lub oszołomiony, aby nigdy nie pozwolił sobie na nawrót ku mnie, zdolny jeszcze zbląkać mą myśl i zamącić duszę. Oto czego oczekuję po tobie; oto jedyna łaska, której pragnę za cenę tylu łez, cierpień i takiej miłości.

Bez wątpienia mniej by mnie kosztowało umrzeć niż oderwać się od ciebie; rychła śmierć uczyniłaby zadość mej naturze i uczuciu, ale tortury, przez które przepędziłeś mą duszę, wyczerpały jej siły, straciła energię; przy tym poznałam, że jestem kochaną, to

miękczy człowieka. Jak opuszczać życie, kiedy jest ktoś, kto chce nas zatrzymać przy nim mocą najtkliwszego uczucia! Trzeba było umrzeć w chwili, gdy straciłam tego, kto mnie kochał i kogo ja kochałam bardziej niż cokolwiek w świecie! Oto jedyny wyrzut, który śmiem ci uczynić: czemu mnie zatrzymywałeś? Czy po to, aby mnie skazać na śmierć powolną i bardziej okrutną niż ta, ku której biegłam? Dałoby niebo, abym mogła wymazać z pamięci i usunąć z życia ostatnie lata! Te, które je poprzedziły, będą na zawsze stanowić czar i udrękę mego serca.

Och! po sześciu latach rozkoszy i szczęścia Niebios, powinno się uważać istnienie za dość wielkie dobro, aby nawet w otchłani nieszczęścia składać za nie dzięki bogom! Gdybym odzyskała spokój, gdyby moja dusza mogła się ustalić, te trochę dni, które mi zostały do przeżycia, byłyby może jeszcze znośne. Będę się starała znaleźć pociechę w tym, co dla kogo innego byłoby rozkoszą i szczęściem; będę kochała przez wdzięczność kogoś, kto byłby wart, aby go lepiej kochać, gdybym umiała odwzajemnić żywą i gorącą skłonność, która się do mnie garnie.

Od trzech miesięcy muszę sobie wyrzucać, iż odrzucam twardo i niewdzięcznie wyraz najżywszej skłonności, która jest wypływem szczerzego uczucia i której mimo mej woli otrzymałam niedwuznaczne dowody: a wyobrażasz sobie, że muszę być trudna na punkcie dowodów! Jesteś zapewne zdumiony; sądzisz, że mi się majaczy; nie ma słowa w tym, co mówię, które by ci się nie zdawało obrażać prawdy i prawdopodobieństwa: cóż, to panu posłuży za dowód faktu, który mogłeś już stwierdzić, ale nigdy w wypadku równie osobliwym: *iz prawda może niekiedy nie być prawdopodobna*.

Niestety! mnie wydaje się to równie zdumiewające jak panu; zdumiewam się, że istnieje jeszcze ktoś na ziemi, kto może pokładać swą przyjemność i nadzieję w istocie najsmutniejszej i najmniej zasługującej na czyjeś zainteresowanie. Nadmiar nieszczęścia wywiera tedy pociąg na pewne dusze? Tak, widzę to, istnieje w człowieku potrzeba współczucia, zajęcia się, przemawiania, wzruszania; zbliżając się do mnie, ludzie ulegają temu usposobieniu bez żadnej chęci z mej strony. Od dawna zauważyłam, że ten człowiek nie rozstaje się nigdy ze mną bez wzruszenia, i mam głębokie przekonanie, że to nieszczęście, choroba i starość zastępują mi w jego oczach miejsce uroku, młodości i powabów. Czy sądzisz, że jest możebnym czerpać próżność z tego, iż się wywiera podobny urok ma zanego i uczuciowego człowieka? Otóż nie, nie czuję się próżna; jestem zbyt nieszczęśliwa, zbyt głęboko nieszczęśliwa, aby być dostępną przyjemnostkom i głupstwom próżności. Nie wspomniałam ci dotąd o tym; lękałam się, iż mówiąc, nadam samemu faktowi zbytne *istnienie*; nie chciałam nawet myślać zatrzymywać się przy tym. W pierwszych dniach rozpacz, kiedy i ty wydałeś wyrok przeciw memu spokojowi i życiu, odrzuciłam ze wstrętem wszystko, co się mnie siliło rozproszyć; wolałam raczej umrzeć niż oderwać się od ciebie; miałam nadzieję, iż uspokoję się po dekreście, jaki na mnie wydałeś; sądziłam, iż twoja obecność przyniesie mi ulgę, że usłyszę od ciebie słowa, jakich mi było trzeba, że pomożesz mi przenieść¹⁰¹ cios, którym mnie ugodziłeś.

Nie znalazłam nic z tego wszystkiego. Nie mając zamiaru podnosić skarg, ani czynić ci wyrzutów, utwierdziłam się, ale to najzupełniej stanowczo w przekonaniu, że twoje małżeństwo winno przeciąć na zawsze nasz stosunek, że odtąd przyniosłoby tylko niesmak i męczarnie, że stałabym się panu ciężarem, może przedmiotem wstrętu, i że byłbyś zmuszony, zarówno jak ja, zasklepić się w tak uciążliwych praktykach cnoty. Szczęściem, nie łączą nas żadne obowiązki, byłoby tedy ohydny nakładać sobie ten przymus. W pierwszej chwili, kiedy utopiłeś sztylet w mym sercu, sądziłam, iż niepodobna mi będzie nie znieawidzić ciebie: ale ten straszny odruch nie mógł trwać długo w duszy pełnej tkliwości i żaru. Od tego czasu przeszłam wszystkie męczarnie, wszystkie wstrząśnienia bóleści i oto wreszcie doszłam do stanu, który wydaje mi się spokojem, a który jest może tylko wyczerpaniem i przygnębieniem. Ale bodaj na przyszłość nie będę musiała wyrzucać sobie tego, co cierpię: to samo już, jak sądzę, jest wielką ulgą.

Aż dotąd byłam potwierdzeniem tego, co mówi La Rochefoucauld, że *u większości kobiet rozum służy raczej za poparcie ich szaleństwu niż ich rozsądkowi*. Jakie to prawdziwe! Umieram ze wstydu, kiedy sobie przypomnę, do czego śmiałam rościć pretensje. Tak, byłam tak dzika lub raczej tak szalona, aby się ludzić, iż mogę kiedyś stać się głównym

¹⁰¹przenieść (daw.) — tu: wytrzymać. [przypis edytorski]

przedmiotem twych uczuć, a szaleństwo moje dostarczało mi argumentów dość podatnych, aby nadzieją ukołysać mą namiętność. Pomyśl, proszę, do jakiego stopnia złudzeń mnie ona przywiodła! Przysięgam wszelako, że to nie miłość własna ciągnęła mnie na te manowce; ona to, przeciwnie, pomogła mi wrócić do prawdy i rozsądku; ona to sądzi mnie dziś bardziej surowo niż ty sam byłbyś do tego zdolny. Wszystko, czego mi odmawiasz, wszystko, czym nie chciałeś być dla mnie, wydaje mi się dziś tylko koniecznym następstwem trafności twego sądu i smaku.

Nie sądź wszelako, iż ja uważam, żeś był ze mną sprawiedliwy, dobry i uczciwy; to mój rozum, nic tylko mój rozum wypowiada się dzisiaj. To, że widzę się w przeszłości tak słabą, tak występłą, szaloną, to nie usprawiedliwia jeszcze wszystkich krzywd, które mi uczyniłeś, ale które ci przebaczam z całej duszy. Są upokorzenia, których człowiek nigdy nie zdoła przeboleć, ale chcę mieć nadzieję, że czas wymaże ich pamięć. Pragnę, aby małżeństwo twoje uczyniło cię równie szczęśliwym jak mnie nieszczęśliwą; wierzaj mi, kiedy takie życzenie jest szczere, niepodobna dalej posunąć dobroci i wspaniałomyślności. Nie otrzymałam odpowiedzi na list sprzed tygodnia; nie skarżę się, donoszę ci tylko, nie chciałabym bowiem, aby gdzie zaginął. Nim wyjedziesz na wieś, proszę, byś mi odesłał trzy listy pisane do Metz; jeżeli wreszcie otrzymasz ów z Bordeaux, zechciej go również dołączyć.

Nie otrzymałam cukierków, oto czemu nie podziękowałam. Jedynie nienawiść obraca miód w truciznę, a ja nie czuję nienawiści. Jeżeli kiedy będziemy jeszcze mówili o tym, co byłoby tak dobrze zapomnieć, wytłumaczę panu ostatni wybryk szaleństwa, jaki popełniłam we czwartek, pisząc do pana. Powiem, co za tortura pchnęła mnie do tego wybuchu uczucia i słabości. W istocie, wszystko spiknęło się, aby mnie przywieść do szaleństwa; nie wiem już sama, co mnie bardziej gnębi, czy to złe, które ty mi wyrządzasz, czy to dobre, które kto inny chciałby mi świadczyć. Nie mam już sił; potrzebowałabym uciec na pustynię, aby odpocząć.

Jakże współczuję z tobą, cóż za rozpaczliwie długa epistoła! Ale jestem tak chora, tak przybita, że nie miałam siły doprowadzić jej do ładu i uprzątnąć co niepotrzebne. Czuję to, długie cierpienia nużą duszę i wyczerpują głowę; ale jeżeli pozwoliłam sobie rozgadać się tak długo raz jeden, to aby więcej do tego nie wracać: są przedmioty, do których wracać jest niepodobieństwem.

Gdybyś był w Paryżu, nie przyszłoby mi do głowy przesyłać ci ten tom: nie przeczytałbyś go. Mam dowody, że nie czytywałeś moich listów; to zupełnie naturalne: uwagę twoją pochłaniały o ileż bardziej zajmujące osoby i rzeczy; toteż ręczę, że już nie zjawię się tak nie w porę. Bądź zdrow, drogi mój. Po raz ostatni pozwolę sobie na to miano: zapomnij, że to moje serce je wyrzekło. Zapomnij o mnie! Zapomnij wszystko, co wycierpiałam! Pozwól mi wierzyć, iż szczęściem jest być kochaną, pozwól wierzyć, iż wdzięczność wystarczy mej duszy! Słowem, zostaw mnie, nie jestem już twoją. Żegnaj, żegnaj.

LIST CXL

Niedziela wieczór, 24 września 1775

Nie chcę nadawać kłamu pańskim rachubom; przypuszczałbyś może, że to zła wola, intencja, może kaprys i nic nie mogłoby mnie już wymówić. Racje są równe i sprawiedliwe i czas, abym się ich trzymała. Nie, proszę o to, nie dawaj mi już żadnych wyjaśnień co do faktów, których sam Bóg nie mógłby zmienić; trzeba się ograniczyć do rezultatów.

Jesteś żonaty: kochałeś, kochasz lub będziesz kochał osobę, która już od dawna ma powab dla ciebie, dzięki żywości i sile swego uczucia; to w porządku, to naturalne, to jest twoim obowiązkiem; tym samym trzeba by być głupią, szaloną i nieuczciwą razem, aby przyjąć warunki, zastrzeżenia, które by mąciły twoje szczęście, a równocześnie utrwały mą męczarnię. Wszystko powiedzieliśmy sobie raz na zawsze; wierzaj, oszczędźmy sobie szczegółów: kiedy nitka prawdy raz się przerwie, nie trzeba jej nawiązywać, to się nigdy nie uda. W każdym czasie, w każdej okoliczności mówiłam ci prawdę; toteż dla mnie nie byłoby przyczyny do kłopotu lub pomięszania. Od czasu jak istnieję, nie mam sobie do wyrzucenia, bym oszukała kogokolwiek; byłam, bez wątpienia, bardzo występna, ale

mogę sobie powiedzieć, iż prawda była mi zawsze święta i, powtarzam ci, byłbyś jeszcze o wiele szczęśliwszy, niż jesteś, gdybyś był wierny tej samej zasadzie.

Sytuacje z romansów lub raczej takie, jakich nie spotyka się w romansach, nie mogłyby nic zmienić w tym nieszczęściu i rozpacz, w jakiej spędziłam życie od czasu, jak cię poznałam. Bez wątpienia, romans, który rozpocząłeś, będzie pełen uroku, upojen i wszystkiego, co może dać ci szczęście; pragnę tego z całego serca. Co do mnie, powinna bym figurować jedynie w romansach *Prévosta*; sam osądź, czy nie trzeba by mnie wykluczyć z *Astrei*? Bądź zdrow. Wysłałam ci cały tom, musisz czuć potrzebę odpoczynku po mnie.

Pan de Saint-Chamans ma się od dwóch dni o wiele lepiej; dziękuję panu tysiącrotnie. Pan d'Alembert bardzo był wzruszony twą pamięcią. Hrabia de Crillon jest z powrotem w niebie: matka i dziecko mają się doskonale. Pani de Chatillon przybyła właśnie i dopiero co opuściła mój pokój. Spodziewam się, że p. d'Anlezi wróci za niewiele dni. Nie mam już gorączki.

LIST CXLI

Piątek o czwartej, 6 października 1775

Drogi mój, nie zrobiłam tego, co chciałeś, przepraszam, ale jest nad moje siły przesłać ci list tam, gdzie bawisz w tej chwili. Nie jestem wszelako tak niesprawiedliwa, abym miała pragnąć, byś tam nie był, nawet z przyjemnością i zadowoleniem; jestem niekonsekwentna, słaba i nieszczęśliwa, oto wszystko. Cierp mnie taką, jak jestem, ja będę cię kochała do szaleństwa takim, jakim ty jesteś.

Mój Boże, jakis ty miły, iż przesłałeś mi to słówko na wyjezdny! Ożywiło na chwilę mą zgnębiałą duszę. Och, jakże mi trudno żyć! Wyłącznie twoja obecność może mi dać znieść uczucie straty, którą poniosłam; wszystko inne uświadamia mi, że moje nieszczęście jest bez ratunku i pociechy. Wszyscy moi przyjaciele, wszystkie starania dają mi uczuć, że nic już nie może wnikać do mego serca. To pan de Mora, to moja tkliwość dla niego ożywiła dla mnie wszystko. Poza tobą i mym uczuciem dla ciebie wszystko zagasło wraz z nim; cała natura wydaje mi się martwa, nie chciałabym jej wrócić życia, ale chciałabym unieścić siebie. Co począć z równie bolesnym i bezsilnym istnieniem?

Drogi mój, pomożesz mi je dźwigać i to starczy na jakiś czas twej dobroci, szlachetności. Powiesz sobie: koję, łagodzę nieszczęście, ocieram łzy osoby, której życie zawisło tylko ode mnie. Ale, mój przyjacielu, to poczucie zacnego czynu nie mogłoby wypełnić twojej duszy; jej zapal, żar, energia, nie zadowolą się tym, iż ukoily moje cierpienia. Zechcesz, i słusznie, tchnąć we mnie szczęście i słodycz: to będzie niemożliwe, niebawem ostygniesz i opuścisz mnie. Czuję, przeczuwam tę przyszłość, wydaje mi się tuż, tuż, blisko mnie; po co jej wyczekiwać? Czy nie byłoby łatwo i miło uprzedzić ją? Och, pozwól mi umrzeć do reszty! Nie sil się ogrzać mnie, rozniecić na nowo duszę, którą strawiły rozkosz i ból. Wydajesz mi się tak miłym, tak godnym kochania, iż kazałbyś mi żałować w każdej chwili sił i żaru, które straciłam. Nie, nie mnie to trzeba kochać; czułbyś zbyt często, że czynisz mi łaskę, i to skaziłoby twoje serce i przyjemność. Ty powinienes królować w duszy żywej, młodej, pełnej ognia i namiętności; moja nie może się wzbić aż tak wysoko.

Czy wiesz, kawaler de Chastellux postanowił mi *zawrócić głowę*; wczoraj jeszcze przyszedł spędzić wieczór ze mną. Wrócił z Choisy o jedenastej i wstąpił do mnie: zastał mnie z poczciwym Condorcetem i p. d'Anlezi. Byłam prawie martwa, kiedy przyszedł, a niewiele żywsza przez czas jego bytności. Jest bardziej jeszcze dobry niż próżny; pytał kilka razy, czy cierpię; porównywał mój stan z poprzedniego dnia z obecnym, nie odgadując, że czar, który podtrzymywał, ożywił mnie dzień wprzódy, rozwiął się. Działał z pewnością gdzie indziej, a ta myśl nie była dla mnie pocieszająca.

Położyłam się bardzo późno: nie spałam, o szóstej zaś wzięłam opium, ale w dość małej dawce, jedynie aby zmniejszyć chęć, jaką odczuwam, aby go zażyć sto gramów. W istocie opium złagodziło nasilenie i ostrość męczarni; cierpię, ale zarazem czuję, że cię kocham. Myślę, że zobaczę cię w niedzielę rano, że może będę miała od ciebie wiadomość jutro; gdyby mnie to miało zawieść, zawsze zostają mi jako ucieczka dalsze dwa gramy: będę

czekała cię bez skargi i bez uszczerbku mej miłości. Drogi mój, czuję w sobie słodycz, *umiarkowanie*, które mnie przeraża; ta ostatnia cnota wydaje mi się stworzona dla mieszkańców Otchłani: lękam się, że to moja przyszłość. Znałam jedynie klimat to Piekła, to Nieba; nie ma sposobu urobienia mej duszy do innej temperatury, to znaczy, iż skoro się dosięgło ostatniego kresu niedoli i szczęśliwości, zostaje już tylko jedno: umrzeć. Oto w istocie, dokąd wyciągam ręce; dokąd byłabym już dotarła, gdybyś ty mnie nie odwrócił.

Bądź zdrów; kocham cię z całej duszy, ale to nie dosyć, to nie jest nic w stosunku do tego, na co zasługujesz i co powinienes budzić. Jeśli dostanę od ciebie wiadomość, podziękuję ci za nią, a potem prześlę list tak, abyś go zastał za powrotem.

P. d'Anlezi jedzie we wtorek na obiad do Auteuil i z rozkoszą weźmie cię z sobą. Nie wspomniałam ci, że odpowiedziałam bilecikiem bezgranicznie płaskim i głupim, ale mniejsza. Jest co najmniej pobłażliwa, a moja miłość własna nie może już być trudna. Bądź zdrów.

Sobota, 7 października po otrzymaniu poczty

Nie, nie mylisz się; znasz moje uczucie, czytasz w mej duszy, wiesz, czym ona jest dla ciebie, widziałeś jej walki, wyrzuty, widzisz jej boleść. Żyję; wobec tego czy potrzebuję ci mówić, że cię kocham, że czekam ciebie, że wszystko, co we mnie zostało sił, obraca się na to, aby pragnąć ciebie, aby się lękać twej nieobecności, aby czuć, że nie potrafię jej znieść? A jeżeli myśl moja może się zatrzymać przy tym nieco spokojniej, to jedynie przez to, iż powiadam sobie, że może odnajdę odwagę, którą twoja obecność mi odejmuje: jak bowiem znaleźć siłę, aby umrzeć, będąc w pobliżu tego, co się kocha!

Drogi mój, twój list jest miły jak ty, pełen życia i nerwu, potrzebowałam go. Och, Boże! jak ja cierpiałam dziś w nocy! Nie mam już sił, ale kocham cię. Odnieś mi list i przebac; strach to rzecz nieuleczalna.

LIST CXLII

Niedziela wieczór, 15 października 1775

Mój przyjacielu, trzebaż tedy, aby nas zawsze było *dwoje*? Nie umiesz nic powiedzieć, nie masz mi nic do powiedzenia, skoro ja umilknę. Och, Boże, gdyby nikt nie stał za twymi plecami, gdyby nie czytano ci przez ramię, gdyby listy nie wały się, mimo twej wiedzy, po ziemi, pisałabym do ciebie całe tomy; nie czekałabym odpowiedzi. Przelalabym mą duszę, życie w to, aby się skarżyć, aby ci przebaczać, aby kochać ciebie. Ale jak to możliwe? Jak odzyskać siłę, którą mi odjąłeś? Cios, którym mnie ugodziłeś, ugodził mą duszę, a ciało moje łamie się, czuję to.

Nie chcę ani cię przerażać, ani wyzyskiwać twego współczucia, ale czuję, że z tego umieram. Nie ma już dla mnie ratunku; przypuszczając bowiem niemożliwość: to jest, że stałbyś się znów wolny i że byłbyś dla mnie tym, czym pragnęłam, byłoby za późno; podwaliny życia są podgryzione, widzę to bez żalu i przestachu. Mój przyjacielu, przeskodziłeś mi zabić się i zadałeś mi śmierć! Cóż za niekonsekwencja! Ale przebaczam ci: niedługo wszystko będzie obojętne. Mój Boże, nie chcę ci robić wymówek, gdybyś czytał w mej duszy, jakże daleką jest od chęci sprawienia ci nawet chwilowej przykrości!

Nie, w otchłani nieszczęścia, czując się ofiarą tego, iż pokochałam, czując się równie występną jak nieszczęśliwą, znajduję w sercu jedynie najżywsze pragnienie twego szczęścia; twoje dobro jest jeszcze główną sprężyną życia, które mnie opuszcza. Bądź zdrów, drogi mój; widzisz, nie byłam zła; ale są miejsca, rzeczy, które nie zostawiają we mnie nic prócz bólu. Pisz do mnie: mów mi, co robisz, czy jesteś zadowolony: czy to, co cię obchodzi, skończyło się, jak pragnąłeś. Wreszcie, drogi mój, znajdź, jeśli możebne, nieco słodyczy, aby wlać parę chwil wytchnienia w serce głęboko zranione, a które mimo to całe jest twoim.

Będę pisała co wieczór, wyjeżdżając zaś z Fontainebleau, odeślesz mi wszystkie listy. Och, nie nazywaj tego nieufnością; to raczej troska o ciebie i o twój spokój.

LIST CXLIII

Godzina czwarta, poniedziałek 16 października 1775

Drogi mój, piszę rano, ponieważ lękam się, że wieczorem nie będę mogła. Wczoraj miałam gorączkę dość silną, tej nocy zaś, o drugiej, myślałam, że skonam w napadzie kaszlu i duszności, w której dosłownie pasowałam się ze śmiercią. Przerażenie pokojówki zrodziło we mnie myśl, że w istocie śmierć musi być czymś bardzo strasznym; twarz się jej zmieniła zupełnie. Jeszcze jestem w łóżku, zostało mi jedynie nieco duszności obok zwyczajnych cierpień.

Czy nie jesteś w Montigny albo czy się nie wybierasz? Czy pani de Boufflers nie naznaczyła Ci spotkania? Wyjechała dziś z księdzem Morellet; wraca we czwartek. Arcybiskup Tuluzy ma przybyć dziś wieczór. Ktoś, kto dobrze zna panią de Boufflers, powiedział mi wczoraj: ta kobieta czyni się ofiarą opinii i tak dalece zabiega się o nią, że ją grzebie. Zalażyłbym się, mówił, że uczyni co w jej mocy, aby się znaleźć nie na obiedzie królów, jak Kandyd w Wenecji, ale na obiedzie ministrów, w Montigny. Mówił to jako przypuszczenie, dziś rano zaś otrzymałam odeń tych parę wierszy: *Czy będzie pani wierzyła w mą znajomość ludzi? Śmiała się pani ze mnie wczoraj; otóż donoszę pani, że dama wyjechała dziś rano i że wpakuje się w sam środek ludzi, których ledwie że zna. Próżność nad próżnościami!*

Mój przyjacielu, jeżeli to po to, aby ciebie widzieć, dobrze zrobiła; musi być jej drogim człowiek, wobec którego raz zdobyła się na to, aby być szczerą; musi to być dla niej wielka ulga odłożyć na chwilę maskę. Jak można wyżyć w takim nieustannym przymusie? Czyżby próżność była najsilniejszą rzeczą w przyrodzie?

Mój przyjacielu, powiedz mi, jak myślisz, kto będzie ministrem wojny? Wedle tego co mówią, ma nim być baron de Breteuil, który strawił życie w sprawach zagranicznych: to byłoby zupełnie jak w *Skąpcu*. Czy dużo już czytałeś się przed rozpoczęciem swego wielkiego dzieła? Miałeś tydzień czasu, ale ty robisz wszystko tak szybko, że osiem dni wystarczyło może na to, czego kto inny nie dokonałby w osiem miesięcy.

Widziałeś pana Turgot? Jest to właśnie chwila, że praca, której dokonałaś dla niego, może być bardzo użyteczna. Zobaczysz go w Montigny; chciałabym, abys z nim pomówił; przekonasz się, że jest o wiele wyższy nad ludzi, którzy go sądzą z uprzedzeniem i stronniczo i którzy wpływają na twój sąd.

Kilka dni temu pisałeś mi, zapewne w myśli uszczęśliwienia mnie: *Z tego miejsca piszę ci, że cię kocham, z tego miejsca, gdzie jestem kochany, zajęty, spokojny* etc. Och, mój drogi, to bardzo zwyczajna rzecz być kochanym, kiedy ktoś jest młodym, kiedy ma miłą powierzchowność, kiedy ma wzięcie i obejście człowieka pragnącego się podobać, a zwłaszcza kiedy wszystkie czynności życia dowodzą, iż nie dba zbyt o nic! I jakże nie miano by cię kochać? Toć kochają i głupców, i dudków! Pani de Bouzot, młoda, ładna i urocza, kocha męża, a co mnie przejmuje zdumieniem, jemu nie przewróciło się w głowie; nie sądzi, jak hrabia de Crillon, aby był tym *wybranym*, pamięta, że to dwadzieścia pięć tysięcy renty skleily jego małżeństwo. Ale czy wiesz, co jest osobliwe, rzadkie, nadzwyczajne, co graniczy z cudem — mimo iż istnieje kilka takich przykładów, jak Diana de Poitiers, pani de Maintenon, panna Clairon — to móc powiedzieć: *ktoś mnie kocha*, kiedy się jest starą, smutną, chorą i strawioną nieszczęściem; a zwłaszcza kiedy można sobie powiedzieć: kocha mnie człowiek miły i godny, człowiek znajdujący się w tym okresie życia, kiedy się jest najbardziej drażliwym i trudnym, a zarazem kiedy się ma prawo wymagać wszystkiego i zasługuje się, aby być tym *wybranym*.

Oto, mój przyjacielu, czym warto się pochwalić, ponieważ to graniczy z cudem. Ale czerpać próżność z miłości własnej żony, wówczas kiedy się jest uroczym i kiedy od rana do wieczora można jej mówić i dowodzić, że się ją kocha namiętnie! Och, fe, jakież to pospolite! Hrabia de Crillon powiada toż samo i rozkoszuje się tym samym; ale, po prawdzie, nie sądzę, aby istniała osoba, która by miała pokusę być *trzecią* w tej kombinacji i która by była dość opuszczona, aby się łakomić na resztki z tej wielkiej miłości!

Bądź zdrów, mój przyjacielu. Nie wiem, po co rozpowiadam ci o tym wszystkim. Jeżeli mam gorączkę, to nie na tyle, abym miała majaczyć; ale sprawia mi przyjemność

rozmawiać z tobą, mówię wszystko, co mi przyjdzie do głowy. Piszę do mnie, potrzebuję pociechy i oparcia; dusza moja i ciało są w oplakanyim stanie. Miły mój, jesteś o czternaście mil; to bardzo daleko, a byłoby bardzo blisko, gdyby... — ale bywaj zdrów.

LIST CXLIV

Wtorek, czwarta, 17 października 1775

Czekałam poczty, chciałam listu od ciebie, ale ty nie chciałeś. Zobaczyłam na jednym z listów pieczęć z Fontainebleau, odetchnęłam swobodniej, a potem poznałam omyłkę. Och! nie, ten list nie był od ciebie. Mój Boże, jakaż ja niesprawiedliwa i szalona; a zwłaszcza jaka jestem nieszczęśliwa! Miły mój, gdybym mogła cię nie kochać, gdybym mogła kochać tych, których nie kocham, może ta reszta życia, która mi została, nie byłaby wydana na cierpienie będące torturą dla ciała i duszy.

Mimo wszystko mniej cierpię dzisiaj; wzięłam ipekakuanę w wielkiej dawce, co w pierwszej chwili zmęczyło mnie śmiertelnie, ale zdaje się, wróciło nieco powietrza płucem; wczoraj nie oddychałam już. Drogi mój, nie wiem, po co ci mówię o swoim zdrowiu; kiedy cię widzę, nie mówię o nim nigdy, ale bo też wówczas przestaję cierpieć. W jaki sposób można by nie kochać trochę istoty, której się robi tyle dobrego, a zwłaszcza której się robi tyle złego? Och! dlaczego się kocha? lub nie kocha? Któryż głupiec, która dusza z lodu umiała sobie zdać kiedy sprawę z tego?

Kawaler de Chastellux nie omieszkałby nas pouczyć; on zawsze bardziej skłonny jest do rozumowania niż do czucia. Powiedziano mi, że przeszedł bardzo przykre chwile przed kilku dniami na przedstawieniu sztuki p. de Lavalette, którą oklaskiwano z zapalem i której panie de Grammont i de Beauvau nie mogły się dość nachwalić. Kawaler był przybity i nie mógł ukryć niezadowolenia. Pani de Gleon zachowała się podobnie i oboje odegrali w całym towarzystwie bardzo niemądrą rolę. Zdradzam tu panu tajemnicę Kościoła, a nie komedii. Aby pokrzepić nieco ich miłość własną, dają dziś *Romea i Julię*, a potem *Agatę*; pani de Beauvau opóźniła wyjazd, aby być świadkiem tryumfu i przygotować go; ale śmiertelnie się obawiam, aby *Romeo* nie zabił powodzenia *Agaty*. Czy znasz, drogi mój, tego *Romea*? To nie jest złe, to nie jest mierne, nie jest nawet nudne, ale to jest potworne, zdolne wypędzić człowieka z teatru. Słyszałam z ust hrabiny de Boufflers zdanie, że to jest równie piękne jak Corneille i lepsze niż sztuka angielska. Byłam z nią na pierwszym przedstawieniu; co do mnie, doświadczałam tak odmiennych uczuć, iż byłabym chętnie zemdlą, aby mnie wyniesiono z sali. Zapewne to ja byłam w błędzie, ale niepodobna mi sądzić o czymś na zimno i urobić sobie zdanie wbrew temu, co czuję.

Przesyłam ten list na ręce pana de Vaines; nie wątpię, że jesteś razem z nim w Montigny. Miły mój, czy miejsce, ludzie, przedmioty, urok wszystkiego razem zostawił ci swobodę pomyślenia, iż mógłbyś napisać do mnie przez Nangisa? Przybyłeś w niedzielę do Fontainebleau; gdybyś napisał w poniedziałek rano, miałabym słówko dzisiaj; ale ty chciałeś naraz widzieć królowę, pana de Duras, ministrów, przyjaciół, znajomych, obcych; słowem, trzebaż koniecznie wszystko widzieć, słyszeć, wiedzieć. Przy tym interesy, załatwia się je byle jak, ale mniejsza! Dużo widziałeś, dużo ugadałeś się z ludźmi i z końcem dnia jesteś tak mądry jak wprzód; ale zaspokoileś tę uroczą ruchliwość wiewiórki i powiadasz sobie, że za dziesięć lat będziesz miał głowę i interesy bardziej w porządku; w czym się ludzisz, ręczę.

Mój Boże, jak słodko było kochać i żyć dla kogoś, kto wszystko poznał, wszystko osądził, ocenił i który jak Mędrzec skończył na tym, iż uznał, że wszystko jest jeno¹⁰² próżność! Kochać wystarczyło jego sercu i duszy! ha! jakże piękną, jak szlachetną była ta dusza! Mój przyjacielu, dałabym resztę życia, która mi została, za to abyś go był poznał.

Pragnę jeszcze przyczynić ci ruchu: proszę, abyś mi poszukał u księgarzy *Dialogu pomiędzy biskupem a proboszczem w sprawie małżeństwa u protestantów*. Powiadają, że to doskonałe, przeczytaj i poślij mi przez pana de Vaines; nie można znaleźć tego tutaj. Przez litość, nie przesyłaj listu razem z tą broszurą, gdyż w takim razie nie byłby zapieczętowany. Czy wiesz, co w tobie jest najgorszego? To obojętność na wszystkie przykrości,

¹⁰²jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

a nawet nieszczęścia, związane z twoim usposobieniem. Możesz sobie mówić co chcesz, to niedbalstwo trąci jakimś niedostatkiem moralnym. Bądź zdrow, miły mój, Kocham cię, ale czuję się bardzo głupia, a zdaje mi się, że miłość osoby głupiej musi budzić wielki niesmak; co o tym myślisz? Zdaje mi się, że gdybym dziś wieczór czytała *Klaryssę*, nie znalazłabym w niej czucia ani ognia. Mój Boże, czy można stoczyć się niżej?

Nie lubię Fontainebleau, czyżby dlatego, że ty tam jesteś? Drogi mój, gdybyś mógł wybierać, czy wolałbyś raczej, abym to ja była w Montigny w miejsce pani de Boufflers? To szczęście, którego nigdy nie zaznałam; być na wsi z kimś, kogo się kocha najbardziej w świecie.

LIST CXLV

Środa wieczór, 18 października 1775

Otóż i jestem w Fontainebleau; czekam cię tu od niedzieli 15. Pisałam do ciebie co dzień; dwa listy do p. d'Aguesseau, jeden do p. de Vaines, do Montigny, gdzie myślałam, że będziesz. Kochany mój, choćby po to tylko, aby je rzucić w ogień, upomnij się o te listy, proszę o to. Donieś mi, jeżeli wiesz, którego dnia masz wracać, iżbym się urządziła w ten sposób, aby nie być już w Fontainebleau wówczas, gdy ty je opuścisz; lubię jechać w twój ślad, ale nie zostawać za tobą, ponieważ masz tyle innych spraw, że nie przychodzi ci na myśl odwrócić głowę.

Pisziesz bardzo skąpo, miły mój, ale jesteś bardzo dobry; jeżeli nie możesz mi odjąć poczucia mego nieszczęścia, odejmujesz mi często siłę skarżenia się na nie. Mój Boże, jakże byłoby słodko tobie zawdzięczać pociechę życia i znać przyjemność już tylko przez ciebie! Ale zniszczyłeś wszystko, aż do samej nadziei. Och! nie zasługiwałam, aby mnie oszczędzać; byłam już tak nieszczęśliwa wówczas, gdy mnie poznałeś! Uczyniłeś aż za wiele; nie warta byłam zainteresowania, które mi okazałeś. Obląkało mnie, rzuciłam się w przepaść, tyś mnie tam zawiódł, tyś mnie popchnął i nie ma już sposobu ocalenia, trzeba znosić okropny los, cierpieć, kochać cię i umrzeć rychło.

Ach! nie, drogi mój, nie chcę już ciążyć na twej duszy; nie chcę już jej męczyć! to nikkzemność i okrucieństwo kazać dzielić męki, na które już nie ma lekarstwa. Mus cierpienia uczyni mnie wspaniałomyślną, twoje szczęście i spokój będą, jeżeli zdołam, mą jedyną pobudką; ale nie śmiem ręczyć za siebie: długotrwała męczarnia czyni tak słabym! A potem, kiedy się ktoś bezwarunkowo wyrzekł szczęścia dla siebie, często ma uczucie, iż przymus byłby głupstwem lub szaleństwem. Słowem, zrobię jak będę mogła, a ty, przy odrobinie uczciwości i wielkiej dobroci, zniesiesz mękę połączoną z krzywdą, którąś mi uczynił i pomyślisz, dla podtrzymania swej cierpliwości i wytrwania, że ja odchodzę, a ty rozpoczynasz drogę życia, która ci przyrzeka szczęście i daje kosztować słodyczy.

Och! bardzo silnym jest ten, kto zdławił wszelki wyrzut i komu zostaje jedynie żałować nieszczęśliwej istoty, która się nie skarży i która doszła do tego punktu, iż zgasiła w sobie wszystko, aż do pragnienia, aż do mglistej nadziei, tej ucieczki wszystkich nieszczęśliwych.

Tak, miły mój, to prawda: wchodząc dobrze w samą siebie, przyglądając się sobie z bliska, badając sama, czego chcę, co pozostało mi na świecie, nie umiem sobie nic odpowiedzieć, chyba to, czego żądałby bardzo zmęczony podróżny: *spoczynku*; a widzę go jedynie na cmentarzu.

Doprawdy, ja mam talent być zawsze nie na miejscu! Oto ton, oto obrazy, jakimi prześladowuję człowieka, który dopiero co opuścił rój uciech, który spieszy pochłonięty tysiącem spraw, nie wiedząc, której się chwycić, z którym Królowa, Król rozmawiali z nieskończonym wdziękiem i dobrocią! Mój przyjacielu, kiedy się zastanowię, widzę, iż wedle wszelkiej sprawiedliwości muszę budzić w tobie zarazem wżgardę i grozę.

Aby odmienić ton, powiem ci, że w czasie jednej z długich bezsennych nocy zastanawiałam się nad hrabiną de Boufflers: dociekałam, skąd pochodzi, iż z tyłą dowcipu, wdzięku i powabów robi ona na ogół tak małe, a zwłaszcza tak nietrwale wrażenie; zdaje mi się, że doszłam przyczyny. Słuchaj: czy nie zgadzasz się, że istnieje we wszystkim jakaś prawda, bodaj oparta na konwencji? Istotnie prawda malarska, sceniczna, prawda uczucia, rozmowy etc. etc. Otóż pani de Boufflers nie ma prawdy w niczym. I to tłumaczy,

w jaki sposób strawiła życie, nie podbiwszy, nie zainteresowawszy nawet tych, którym najbardziej pragnęła się podobać.

Chcesz oglądać odwrotną stronę medalu? Znasz osobę, która przez całe życie pozbawiona była uroków powierzchowności i powabów zdolnych podobać się, pociągnąć i wzruszyć, a mimo to, ta osoba miała więcej powodzenia i była tysiąc razy więcej kochaną, niż mogła sobie rościć praw. Znasz tajemnicę tego faktu? To iż posiadała zawsze we wszystkim *prawdę* i to, iż była zawsze szczerą. Boileau streścił to, co ja rozwodziłam w mnóstwie słów:

Prawda jedynym pięknem, co wzruszyć nas zdoła,
Wszędy władać powinna, w płoczej bajce zgoła.

Mój przyjacielu, o ile zrazu musiałam ci się wydać nieco głupia, teraz zrobiłam się zabijająca; nie wiem już doprawdy, czym cię uraczyć; wycisnęłam ci najpierw łzy, teraz zmuszam do ziewania z nudów. Czuję się tak wyczerpana, że już nie napiszę do nikogo dziś wieczór, mimo że jestem winna do Fontainebleau odpowiedź komuś, kogo nie przypiszę o ziewanie; ale też ta osoba musi w to wkładać olbrzymi kapitał pobłażliwości, nie trzeba bowiem być *próżną*, mimo że i w tym jest wiele *prawdy*.

Och, miły mój, co jest najprawdziwszą prawdą, to że cię kocham z taką furją, jak gdybyś uczynił ofiarę ze swego szczęścia dla mego spokoju i przyjemności. Tak, nieszczęście wydaje mi się tym bardziej przygniatające, że tobie to byłabym pragnęła zawdzięczać szczęście. Napiszę do ciebie już tylko jutro, we czwartek, wyobrażam sobie bowiem, że wyjedziesz w sobotę. Czyżby Dwór miał więcej powabu niż...?

LIST CXLVI

Czwartek wieczór, 19 października 1775

Wymówki twoje przytłoczyłyby mnie, gdyby ich nie uprzedziło własne me postanowienie. Obwinałam się wczoraj, mówiłam ci, że okrutnie i podle jest narażać cię na cierpienie z powodu nieszczęścia bez ratunku; trzeba nim żyć albo odeń umrzeć, ale zwłaszcza trzeba milczeć. Masz duszę dość bogatą, dość znałeś i czuleś nieszczęście i miłość, aby pojąć szaleństwa, do których mogą doprowadzić; brzydzę się tymi szaleństwami i wyrzekam się ich, chciałabym umrzeć, nim zdołam cię obrazić.

Przeczuwałam może to nowe nieszczęście, kiedy chciałam opuścić życie i uciec przed tobą; czułam, iż po okrutnej stracie, jaką poniosłam, dusza moja nie mogłaby odzyskać wiary. W istocie, nie powinnam już była kochać, nie mogłam już kochać; skoro bodziec mego życia, skoro Bóg, który mnie podtrzymywał, ożywiał, przestał istnieć, zostałam sama we wszechświecie. Ha! dlaczegóż ty się znalazłeś? Po co było zbliżać się do mnie? W owej chwili nie potrzebowałam pociechy ani oparcia. Czemu mówiłeś mi wyrazy, które dusza moja przywykła słyszeć z czułością albo z uniesieniem? Czemu przybrałeś język człowieka, który właśnie umierał dla mnie? Po co wreszcie obłądziłeś mój rozum, już zmącony nadmiarem nieszczęścia? Do ciebie należało sądzić, przewidywać; ja mogłam jedynie jęczeć i umrzeć. Widzisz straszliwe następstwa, jakie pociągnęła ta chwila zapomnienia.

Bez wątpienia, nie mogłeś przewidzieć w tej chwili, jakim rodzajem trucizny napoisz mą duszę; ale wiedziałeś, że nie kochasz mnie tyle, aby pociechę i spokój mego życia uczynić swą najważniejszą sprawą. W tym właśnie leży zbrodnia! W tym źródło i przyczyna wszystkiego, co cierpię! Stając się występłą, dusza moja straciła energię; pokochałam cię i od tego czasu przestałam być zdolna do czegokolwiek szlachetnego i mocnego.

Patrzę surowo na swe postępowanie, drogi mój, i potępiam je bardziej niż ciebie; wówczas gdy oznajmiłeś mi wyrok, trzeba mu było się poddać, trzeba było oderwać się od ciebie lub od życia. Nikczemnością jest szukać współczucia i pociechy u tego, który nas ugodził: dlatego też bez ustanku doświadczam straszliwej walki; dusza buntuje się przeciw twemu postępkowi, a serce pełne jest tkliwości dla ciebie. Jesteś dość godny kochania, aby usprawiedliwić mą skłonność, ale zbyt śmiertelnie mnie obraziłeś, abym się nie czuła upokorzona.

Drogi mój, mówiłam ci często: położenie moje jest niemożliwe, musi przyjść do katastrofy. Nie wiem, czy sprowadzi ją natura czy miłość. Czekajmy, a zwłaszcza milczmy; jak powiadasz bowiem, i ty masz swoje troski, zgryzoty; nie zwierzasz mi ich, ponieważ jesteś pewien, iż sprawiłyby mi ból. Posiadasz tedy dosyć dobroci, delikatności, aby oszczędzać mą wrażliwość, a uważasz mnie, mnie, za dość okrutną, abym chciała doświadczać i niepokoić twoją? Och! miły mój, jeżeli nieszczęście czyni niekiedy samolubnym, czyni również bardzo uważającym; nieszczęśliwi mają zazwyczaj bardzo lekką rękę; obawiają się zranić, znajdują bez ustanku przestrożę we własnym bólu. I ty sądzisz, że wówczas gdy zaledwie zostaje mi sił do skargi, ja szukam, dobieram wyrażenia, które mogą ci być najbardziej dotkliwie? Nie znasz mnie, gdybym bowiem mogła hamować się z tobą, gdybym nie szła we wszystkim za pierwszym impulsem, bez wątpienia dokładałabym starań, aby uniknąć sprawienia ci przykrości. Ale pomyślże, że ja cię Kocham!

Oto więc, oto w zasadzie wszystkie me zniewagi; oto moje dokuczliwości, winy, moja zbrodnia wobec ciebie. Tak, drogi mój, z ręką na sumieniu, to wszystko; jestem pewna, że bez wielkiego wysiłku przebacysz mi. Ale przysięgam, nie będę już potrzebowała twojej szlachetności; chcę wznieść duszę aż do tego punktu, abym nie potrzebowała już twego przebaczenia.

Uważam twój sposób widzenia i sądzenia ludzi za tak dalece wyższy od mego, że nie będę się bawiła w zwalczanie sądu, który wydałeś o panu Turgot. Martwi mnie; pozwól przynajmniej, abym wobec tak dawnego nawyku myślenia o nim inaczej zachowała jeszcze wątpiwości co do twego mniemania. Co się tyczy pana de Malesherbes, znałam jedynie jego rozum, szlachetność i bezinteresowność; nie znam jego charakteru, a wszak charakter jest źródłem działania.

Rozumiem doskonale odrazę, wstręt nawet do tego, co traf pomieścił tak daleko od nas: władzy, siły; wszystko to oburza, skoro służy jedynie za środki nienawiści albo też zadowolonej z siebie głupoty; ale kiedy zasługa, cnota, talenty pomieściły kogoś wyżej ode mnie, błogosławię za to niebu i jestem gotowa kochać tego, kto ma władzę i chęć czynienia dobrze.

Dlatego, drogi mój, nie cierpiałabym w Montigny, a byłabym na torturach na obiedzie u króla, królowej, cesarza etc., etc. A potem¹⁰³ nie jesteś sprawiedliwy: ci ludzie nie zagarnęli ci twojej częstki; różnica wieku, jaka was dzieli, powinna dodać otuchy twej dumie. Pewnego dnia będziesz tym, czym dziś są oni i bez wątpienia zdołasz ich przewyższyć: tak więc pracują dziś dla twojej chwały. Wszystko, cośmy widzieli od czasu Colberta i Louvois, przydało im wielkości. Bądź więc cierpliwy.

LIST CXLVII

Piątek w południe, 20 października 1775

Spieszę się, jak gdybyś miał mnie usłyszeć prędzej. Mój drogi, ty jesteś szalony; mówisz źle o panu Turgot przed panem de Vaines. I to dla mnie, i to w moim interesie popełniasz szaleństwa! Zasypujesz pana de Vaines niemal wymówkami! Mój Boże, cóż za gorąca głowa! Ale co za dobroć! Jakiś ty kochany! Ale mylisz się, jeżeli przypuszczasz, że ubóstwo albo też dobrobyt płynący z majątku mogłyby mieć jakikolwiek wpływ na moje szczęście lub też pomnożenie mego nieszczęścia.

Mój drogi, ani pan Turgot, ani pan de Vaines, ani król, ani żaden z potentatów ziemi nie jest zdolny nic uczynić dla mego szczęścia, nic, aby ukoić mą duszę, aby z niej wygnać rozdzierające uczucie, aby wlać balsam w moją krew. Niestety, na to trzeba by, abyś ty mnie kochał; ale łatwiej ci przychodzi wstawiać się za mną, oburzać się na ministra, ponieważ posiada ten takt, aby nie zajmować się moim położeniem. Mój drogi,

Ni złoto, ni wielkości szczęścia nam nie dają.

To jest dla pewnych dusz bardziej prawdziwe, niż mogłabym wyrazić. Nie znałam nigdy równoważnika, odszkodowania dla tego, czego pragnęłam: namiętność jest bezwzględna; upodobania naginają się do okoliczności. Pragnęłam zawsze i kochałam tylko

¹⁰³ *potem* (daw.) — tu: poza tym. [przypis edytorski]

jedną rzecz; i z konsekwencją niezwykłą dla mej pomyłonej głowy nie żałowałam nigdy swego postępowania w rozmaitych okazjach wzbogacenia się i pomnożenia lub aby rzecz ściślej, zdobycia szacunku, tego, który rozdają głupcy i z którego puste głowy i dusze czynią swą strawę.

Do widzenia, kochany mój. Oczekuję pana de Saint-Chamans. Wrócę znów do listu po nadejściu poczty; mam nadzieję, tak, wierzę, że będę miała list od ciebie. Nauganiawszy się z ludźmi obojętnymi cały dzień, wróciłeś do domu wczoraj wieczór, mówiąc sobie: zrobię coś dla przyjemności tej, która mnie kocha.

Piątek, czwarta popołudniu, po odebraniu poczty

Nie ma listu od ciebie. Czy wiesz, jaka jestem sprawiedliwa? Wstręt budzą we mnie listy od innych. Cóż znaczy wszystko inne, kiedy dusza i myśl przykute są do jednego punktu. Pojmuję doskonale, w jaki sposób Newton przemyślał trzydzieści lat z rządu o tej samej rzeczy, a cel, który sobie zakładał, niewart był mego. Mój jedyny, kochać jest pierwszym dobrem; posiadać miłość tego, kogo się kocha, znaczy być szczęśliwszym niż Bóg. Mówisz o *Lucyferze*, zamierzał dorównać Bogu; ja uczyniłam lepiej, bywały bowiem okresy, iż nie byłabym się chciała z Nim zamienić. Ale, mój Boże, jakże nisko spadłam!

Nie mam listu od ciebie? To moja wina: z pewnością pan de Vaines przesłał ci późno list, który skierowałam na jego ręce. Chciałam iść za tobą wszędzie, a ty nie pomyślałeś o tym, aby mnie uprzedzić. Aby się pewnie spotkać, nie trzeba czekać na siebie. Mój jedyny, odczytałam twój list wczorajszy trzy razy z rządu; to co powiadasz o różnicy talentu a geniuszu, jest wyborne i doskonale wyrażone; porównanie jest *genialne*. Ale nie uważam, tak jak ty, aby do rządów potrzebni byli koniecznie ludzie ożywieni namiętnością; trzeba charakteru, a nie namiętności. Talent wystarcza, może nawet bardziej pożądany jest w monarchii, gdzie trzeba jednostajnego kroku, gdzie szczęście szacowniejsze jest od chwały; i dlatego właśnie, iż myślę, że nie namiętności ani geniuszu trzeba francuskiemu ministrowi, sądzę, wraz z tobą, iż nie ma człowieka zdolniejszego nami dobrze rządzić niż arcybiskup Tuluzy; a ręczę ci, nie było duszy bardziej nieprzystępnej dla namiętności.

Nie energię jego też należy sławić; posiada charakter, dużo wiedzy, wielką żywotność, przy tym łatwość, gładkość, które wyrównują wszystkie trudności. Oto odpowiedź na wszystko, co mówiłeś o panu Turgot; on podobny jest więcej do Likurga, arcybiskup zaś do Richelieu'go i Colberta; nie posiadałby bowiem ani siły, ani srogości kardynała.

Drogi mój, otrzymasz ten list jutro, tj. w sobotę; z pewnością będzie to ostatni, nie wątpię bowiem, że wyjedziesz w niedzielę. Oto *moje rozkazy*: uczynisz pakiecik ze wszystkich listów, nakreślisz mój adres i własnymi rękami oddasz je w ręce pana de Vaines, który potwierdzi odbiór tego cennego depozytu; następnie wyjedziesz i nie załączysz swego listu do tego pakietu, ale wyślesz go pocztą.

Chcę wiedzieć godzinę, moment, w którym opuścisz Fontainebleau; tak, obchodzi mnie to; cóż nie obchodzi serca, które kocha? Powiedziałam ci, nie będę się już skarżyć, nie będę cię już przygniatać ciężarem mych cierpień, ale pamiętaj, nie zobowiązywałam się być w swoim postępowaniu *doskonałą*, równą. To przyjdzie może; obojętność nie zawsze będzie niedościgłą memu sercu; powiadam ci tedy, że nie będę cię już dręczyć swym nieszczęściem: ale zrozum, że nie będę dość dzielną ani dość rozsądną, aby udawać, że nie cierpię, wówczas gdy ból będzie mnie rozdzierać.

Bądź zdrow, drogi. Mam uczucie, iż rozstaję się z tobą na długo. To rozłączenie sprawia mi więcej bólu, niż kiedy jesteś tutaj i żegnasz się ze mną; wówczas istnieje dla mnie jedynie ta chwila, żyję całą siłą w jednym punkcie. Ale dziś jest inaczej; czuję się smutna, przybita, czuję brak ciebie, twego listu i widzę jeszcze przed sobą jutro i jeszcze dalej!... Ach, ta przykrość będzie bardzo długa. Bądź zdrow, bądź zdrow.

LIST CXLVIII

Wtorek wieczór, 24 października 1775

Wyrocznie zamilkły, ponieważ lękały się mówić do echa. Mój ostatni list jest z piątku popołudnia; sądziłam, że wyjedziesz w niedzielę lub poniedziałek, dziś wyobrażam sobie,

że doczekasz przybycia pana de Saint-Germain, którego oczekują we środę lub czwartek. Drogi mój, widzę cię, jak robisz i mówisz wiele niedorzeczności; wierz mi, jeśli jeszcze czas, wstrzymaj się; decyzja twoja byłaby niezawodna, gdyby nie oddziaływała na ciebie nienawiść i namiętność drugich. To człowiek niepospolity, człowiek stojący sam: doszedł do tego bez intryg, powinniśmy wierzyć, że będzie pragnął jeno¹⁰⁴ tego co dobre; jeżeli podejmie reformy, zmiany, będzie posiadał ufność wojska, ponieważ wiadomo, że jest wykształcony i ma wielkie doświadczenie. Nikt nie może lepiej od niego spożytkować pracy, którą wręczyłeś panu Turgot.

Zresztą trzeba myśleć o sobie, o przyszłości; on może zrobić użytek z twych talentów, dać ci pole do działania; sam powiadasz, że uprzedzony był dla ciebie bardzo korzystnie, czemu tedy chcesz odwracać się plecami do fortuny? Po co mieć ambicję, skoro chcesz objawiać nienawiść lub co najmniej niechęć wszystkim, którzy mogliby ci pomóc? Och! mój Boże, jaka z ciebie szalona głowa! Jakże mnie to martwi, że znalazłeś się w Fontainebleau w tej chwili! Wszystko, co powiesz, będą powtarzać, obracać w jad i potem będziesz zdumiony, że spotkasz się u tego człowieka z chłodnym i obojętnym przyjęciem.

Mój przyjacielu, nie staraj się nigdy nienawidzić za pp. de Broglie; nie potrzebują w tym adiutanta. Ale zauważ, że jeden z nich jest marszałkiem Francji, drugi ma wszystko, co może mieć: zatem ich docinki, dając upust namiętności, nie mogą już szkodzić ich karierze. Ale ty, ty zaczynasz dopiero i jesteś otoczony zazdrośnymi, co jest co najmniej równoznaczne z nieprzyjaciółmi. Słowem, staraj się, jeżeli chcesz jakiejś rzeczy, chcieć również i środków, które do niej prowadzą. Miej przynajmniej rozsądek w ambicji.

Ale oto ze mnie istna matka *Wartogłowa*; nie jestem równie wymowna, ale mogłabym doskonale powiedzieć jak ona: „Cóż na to odpowiesz?”. A ty powiedziałbyś z pewnością jak *Wartogłów*: „Ani słóweczka, jestem twego zdania”.

Rozumiem dość lichy

O ludziach, co nie mają mocy siedzieć cicho.

Otrzymałam listy z piątku i niedzieli; są kuse, rzadkie; ale, mój przyjacielu, ja się nie skarżę; masz tyle różnorodnych spraw, tyle krzątania, że nie pojmuję, w jaki sposób możesz wszystkiemu nastarczyć; wszyscy muszą ci dziękować, a nikt nie może być szczęśliwy. Nie powtarzaj mi, że trzeba, abym się *starala* dostroić do twego położenia. Mój drogi, te słowa: *trzeba się starać*, wówczas gdy chodzi o uczucie lub namiętność, są prostym okrucieństwem albo też niedorzecznością. Wówczas gdy chodzi o postępowanie, o jakieś sprawy, o interesa, trzeba w istocie się *starać*, trzeba dokładać wysiłku, ponieważ czyny, kroki miarkuje lub powinna miarkować rozważa; wówczas głupstwem albo lekomyślnością jest stawać bez ustanku w sprzeczności z własnymi zamiarami i interesami.

Ale ja *będę się starała! Dolożę wysiłku!* I po co? Cóż sobie zakładam? Czego chciałam? Nie, nie, mój przyjacielu, chybiłam celu życia, nie ma już dla mnie nic na świecie. Będę milczała, niewątpliwie, ale to nie będzie wynik *starań*; nastąpi to wówczas, gdy wszystko zważę, osądzę, a zwłaszcza gdy będę widziała z bardzo bliska kres; będzie to po to, aby się uspokoić, jeżeli możebna, w tym ostatnim okresie; człowiek znosi wszystko pod koniec podróży. Nie chcę, abyś musiał żyć wyrzutami; nie chciałabym nawet wzbudzić w tobie żalu; nie potrzebuję twoich łez po śmierci; proszę cię jedynie o pobłażanie i dobroć, jakich używa się chorym i i nieszczęśliwym.

Bądź zdrow, miły mój. Spędziłam okrutny dzień; i kaszel dręczył mnie śmiertelnie. Mam wieczór trochę gorączki. Trzeba mi wszelako napisać słówko do pana de Vaines; przesyłam mu ten list.

LIST CXLIX

Czwartek, szósta wieczór, 26 października 1775

Będziesz miał słówko jutro rano. Otrzymałam twój list; to pierwszy jaki mnie doszedł nazajutrz po dacie wysłania. Zazwyczaj dostają je dopiero na trzeci dzień; ale, jak

¹⁰⁴*jeno* (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

powiadasz, trzeba się nagiąć do tego postępowania, ty bowiem go nie zmienisz. Ale też nie powinieneś się dziwić zbyttnio, że w ustawnej niepewności tego, co robisz i gdzie się znajdujesz, nie można być zawsze równie punktualną. Pisałam do ciebie wczoraj, to znaczy we wtorek wieczór, przez kuriera pana Turgot; prosiłam pana de Vaines, aby ci przesłał list i zdaje się, że czytałeś go wówczas, kiedy pisałeś do mnie.

Mówisz mi to, co potrzebowałam usłyszeć; wytrwaj w tym dobrym usposobieniu. Zdaje mi się, że godność i rozsądek powinny cię w nim utrzymać. Bardzo to dobrze, jeżeli w istocie potrafisz nie być ambitnym, ale nie trzeba bodaj sobie robić opinii człowieka ciskającego się i niespokojnego, który nie może znieść niczego, co jest ponad nim. Mój przyjacielu, trzeba, abyś był *sobą*, a wówczas będzie jak najlepiej. Zasypałam cię radami najbardziej pospolitymi, morałem najtrywialniejszym w świecie; ale bo też niekiedy trzeba cię sprowadzić na udeptaną drogę.

Boże, czyś ty oszalał, pytać nowin o mnie u hrabiego de Crillon? On będzie wiedział o mnie już tylko jedną rzecz: moją śmierć; wszystko inne jest dlań tak, jakby się działo w Chinach. Wie, że kocha żonę, *czuje*, że jest bogaty i oto, przysięgam ci, dwie strony jego egzystencji, z których wyrwie go zaiste *aż* życie wieczne.

Nie, nie wiem się dobrze, mam spazmatyczny kaszel, który nie zostawia mi ani chwili spoczynku.

Nie odpowiadam ci co do pana de Saint-Germain; mam go już wyżej głowy. Mój drogi, wszystko czego pragnę, to abyś sam nie stwarzał sobie przeszkód; to pewna, że to jest człowiek z wartością i niemalą. Ma dla ciebie przyjaźń: dlaczegoż chciałbyś, jak powiada pretensjonalnie p. de Saint-Marc, *wyspać sto kijów swojej gwiazdzie*? Bądź zdrow. Ale czy to szczerą prawdą, potrzebujesz, abym cię kochała? To nie dowodzi, abyś miał tkliwe serce, dowodzi tylko, że jesteś żarłoczny i nienasycony. Napiszę do ciebie kurierem pana Turgot; poślij po list do pana de Vaines jutro, w piątek, około szóstej. Ale, na miłość boską, ty napisz do mnie przed dziewiątą wieczór; poczta odchodzi o tej godzinie, a gdybyś wiedział, jak smutno jest otrzymać list w trzy dni od daty, wówczas gdy się jest o czternaście mil! To zwiastuje tyle obojętności, tyle niedbania.

Miałam dziś rano o dziewiątej list z wczoraj wieczór o tej samej godzinie, i tak co dzień. Daremnie byś mówił: pamięć, starania, dowodzą jednak czegoś. Pokój mój pełny jest ludzi, wśród nich nawet dwie osoby, które bardzo lubię.

LIST CL

Pólnoc, czwartek, 26 października 1775

Rozmowa przerwała się nie na długo, miałeś wszelako czas wytchnąć. Szczęśliwy jesteś, jeżeli możesz oddychać swobodnie, dla mnie bowiem jest to niepodobiestwem i nie mogę wyrazić, co to za cierpienie; ale o tobie chcę mówić, drogi mój. Sądzę, że źle by było, gdybyś miał zaraz opuścić pana de Saint-Germain; w pierwszym rozgardiaszu nic nie będzie widział, nic nie zostawi śladu; natomiast gdybyś tam był po tym pierwszym momencie, zbliżyłby się z tobą, mógłbyś mu być użyteczny w tysiącu rzeczy.

Ten człowiek spada jak z chmur, będzie miał do zadania tysiąc pytań, a posiada dosyć doświadczenia, aby nie zadawać ich na oślep. Znał cię tak młodym, byłeś *jego synem*; nie będzie odczuwał fałszywego wstydu wobec młodego człowieka, który mu jest drogi; słowem, mogę się mylić, ale uważam te pierwsze chwile za bardzo ważne dla ciebie. Za dwa tygodnie powiedziano by mu, że jesteś oddany pp. de Broglie, że wyjechałeś natychmiast, aby twoja obecność w Fontainebleau nie zdała się im podejrzana. Błagam cię, drogi, nie kieruj się w postępowaniu ani fałszywą szlachetnością, ani lekkomyślnością; mówię ci tak, jak widzę. Wiem, że istnieje pewien stopień życzliwości, który zaciemnia wzrok, ale ty jesteś jeszcze bliżej: strzeż się zatem samego siebie.

Nie mówisz mi już nic o swoich sprawach; czego to dowodzi? Czy zakończyły się tak, jak byś pragnął? Lub też czy wkładasz w nie tyle samo niedbalstwa, ile marszałek de Duras lekkomyślności? Och! nierównani wy do interesów!

Pan de Vaines wychwala cię przede mną, i to z najwyższego tonu: to dusza jego oddaje ci pochwały. Powiadam ci to, aby dowieść, że nie zraniłeś go wówczas, gdy mówiłeś z nim o mnie; mnie natomiast zraniłbyś obecnie, gdybyś chciał podjąć ten temat. Drogi mój,

pierwszym prawidłem przyjaźni to służyć przyjaciółom tak, jak tego pragną; choćby to byli ludzie najdziwaczniejsi pod słońcem, trzeba mieć tę delikatność, aby w rzeczach ściśle osobistych naginać się do ich woli. Postawiwszy tę zasadę, mój obyczaj, moja mania, jeżeli chcesz, to to, aby nie przyjmować usług od nikogo; zadowalają mnie intencje, tak jak innych czyny. Dlatego poniechaj swej energii, skieruj ją na inne przedmioty, powtarzam ci bowiem raz jeszcze, obraziłbyś mnie, gdybyś kiedykolwiek zaprzął się moimi sprawami. Pomyśl sobie, iż gdybym chciała, nie byłabym biedna; musi zatem ubóstwo nie być dla mnie największym nieszczęściem. Mój przyjacielu, wierz mi: mówię zawsze prawdę i wiem dobrze, czego chcę.

Nie mówiłeś mi o widowiskach; nie mówisz ani słowa o tym, co robisz; nie czujesz potrzeby rozmawiania ze mną; potrzebujesz jedynie wszędzie być i wszystko widzieć. Chciałabym, aby Bóg mógł ci użyzyć swej mocy znajdowania się wszędzie naraz. Co do mnie, byłabym w rozpaczy, gdybym miała ten talent; jestem najdalej od chęci znajdowania się wszędzie, pragnęłabym bowiem nie być nigdzie. Och! mój Boże, chciałabym dzielić chimere pani de Muy, sądziłabym, iż odnalazłam szczęście: pewna jest, iż ujrzy pana de Muy; cóż za oparcie dla duszy w rozpaczy!

Mija właśnie czwarty rok od czasu, jak otrzymałam po dwa listy dziennie z Fontainebleau; nieobecność trwała dziesięć dni, miałam dwadzieścia dwa listy¹⁰⁵. Ale bo też wśród uciech Dworu, będąc bożyszczem mody, przedmiotem zachwyty najpiękniejszych dam, miał tylko jedno pragnienie, jedną przyjemność: chciał żyć w mojej myśli, wypełnić moje życie. W istocie, przypominam sobie, iż w ciągu tych dziesięciu dni nie wysłałam z domu ani razu: oczekiwałam listu lub też pisałam do niego. Och! te wspomnienia zabijają mnie! Mimo to chciałabym móc rozpocząć na nowo i to w warunkach okrutniejszych jeszcze, chciałabym bowiem, abym nigdy pana nie była poznała i abym się była otruli dnia 2 czerwca 1774. Nieba! iluż cierpień oszczędziłabym sobie! Mój przyjacielu, jeżeli widzisz głąb mej duszy, jakże musisz mnie żałować! Ale nie mów mi tego: trzeba mi siły, tak, trzeba mi jej, cierpień okrutnie. Powiedz mi, czy miewasz regularne wiadomości od pani de M.? Czy uczyniłeś coś w sprawie, która ją obchodzi? Nic mi nie mówisz o tym, ale zawsze tak ci spieszo. Czy nie masz zamiaru przerwać swojej pracy o książce p. Mesnil-Durand? Pan de Saint-Germain odpowie zapewne na nią w czterech słowach; to ci oszczędzi wiele trudu; mimo to gdyby to był sposób przymnożenia twojej reputacji, żałowałabym tego dla ciebie.

Pojmujesz dobrze, że nie mogę pisać do ciebie aż do chwili wyjazdu, zwłaszcza wobec tego że nie jest ustalony. Nie chcę, aby został list po twoim wyjeździe. Bywaj zdrów: kocham cię wszędzie, gdzie jestem, ale nie wszędzie, gdzie ty jesteś. Oto konkluzja dla mnie lub też śmierć.

LIST CLI

Do Pana De Guibert, pułkownika, u imć Gournai, łaziebника w Fontainebleau. Piątek, 27 października 1775

Otrzymałam trzy listy z Fontainebleau; datowane są z 26, a pan de Saint-Germain jeszcze nie przybył. Mój przyjacielu, mówiłeś mi we środę rano, że napiszesz do mnie wieczorem i nie pomyślałeś o mnie od tej chwili! Powiedz przynajmniej, czy otrzymałeś dwa listy przez pana de Vaines, a jeden pocztą: jeden z wtorku, a dwa z wczoraj, z czwartku.

Skoro ujrzałam cały plik listów z Fontainebleau, nie wątpiłam, że jeden jest od ciebie; mój Boże, jakże ty mnie czynisz niesprawiedliwą! Pierwszym moim uczuciem jest zawsze wstręt, z jakim biorę listy z Fontainebleau, wówczas gdy zawiodły moje nadzieje. Och! nie, nie ciebie trzeba mi było pokochać; masz w sobie niepokój, roztrzepanie, które nie pozwalają polegać na tobie. Nie krytykuję cię, ale potępiam siebie całą resztką rozsądku i sił, jaka mi została.

Podziwiam twoją sprawiedliwość, mój przyjacielu; kiedy ganiłeś wybór ministra, to pan Turgot go mianował; później, zastanowiwszy się lepiej, uznałeś, iż był to możliwie najlepszy wybór, jaki można było uczynić: zacem to już nie pan Turgot, ale pan de

¹⁰⁵miałam dwadzieścia dwa listy — od pana de Mora. [przypis tłumacza]

Malesherbes. Rób jak chcesz, ale wiele będziesz miał z tym trudu, aby widzieć w tych dwóch głowach dwie wole; jest tylko jedna, a mianowicie czynić zawsze możliwie najlepiej. Och! tak, lubię ich, to nie jest właściwe słowo: kocham ich i poważam z głębi duszy. Byli na tyle uprzejmi, iż podzielili się ze mną radością, jaką sprawiła im decyzja króla. Nie uczucie wdzięczności wiąże mnie do pana Turgot; mógłby zapomnieć, że istnieję, a mimo to zawsze pamiętałabym, co jest wart.

Oto moja odpowiedź na wszystko, co pisałeś z Montigny; przez rozsądek wstrzymuję się od odpowiadania pod pierwszym impulsem; zraniłeś mnie i zamilkłam; umiem już tylko to jedno. Nie wiem, czy pan Nicole zapomniał o tym sposobie utrzymania pokoju: to pewna, że nie gorszy od innych. Bądź zdrow, drogi mój. Nie odezwałeś się do mnie, a ja mówię do ciebie. Mam tu przed sobą trzy listy i nie odpowiadam na nie; to jeszcze gorzej niż w Ewangelii, gdzie przybyli w ostatniej godzinie otrzymali tę samą zapłatę co ci, którzy dźwigali trud całego dnia¹⁰⁶.

Ale nie, zapomniałam ci donieść, że pani de Boufflers powtórzyła mi dwa razy, iż zdajesz się jej za *bardzo szczęśliwy*. Pani de Martinville jest w Montigny. Czy wiesz, że ona może da lub przyjąć pokwitowanie z dwudziestu dwu tysięcy renty? Gdybym ci się nie wydała nadto przesadna, powiedziałabym, że nienawidzę, tak, brzydę się pieniędzmi, kiedy pomyślę, że są one ceną wszystkiego. Fe!

LIST CLII

Do pana de Guibert, przy ulicy de Grammont

Poniedziałek jedenasta, listopad 1775

Spodziewałam się widzieć ciebie, potrzebowałam cię widzieć. Nie umiem już pisać do ciebie, lękam się mówić; dusza moja przechodzi męczarnie, mięsza mi się wszystko: nie wiem już, czy to zbrodnia czy cnota jest nieszczęściem; nie wiem, co boleśniejsze, wyrzuty czy żale; słowem, upadam pod ciężarem wzruszeń i niedoli. Żyję i powtarzam ci, to trzyma mnie przy życiu, iż czuję się kochaną. To słowo wydarło mi się z serca wczoraj wieczór, a twoje powątpiewanie sprawiło, iż się go zaparłam.

Sam widzisz, wydzierasz mnie wszystkiemu: po kwadransie twojej obecności zostaję sama z tobą we wszechświecie: unicestwiasz przeszłość i przyszłość; nie jesteś już winnym, ja nie jestem nieszczęśliwa. Powiedz mi, czy istnieje jakie prawo, jaki obowiązek w naturze, które by miały taką potęgę? Powiedz, a poddam mu się. Tak, wierzę w to, ostateczny wysiłek cnoty to kochać z wyrzeczeniem własnego interesu, własnego szczęścia, przyjemności. Ach, wierz mi, nie chwałę się; czyż zostaje jaki ślad miłości własnej w duszy pogłębionej nieszczęściem?

Chciałam ci jeszcze raz powtórzyć, abys uważała na to, co mówisz o tych Villeroi. Uprzedź plotki, jeszcze czas. A potem chciałam zabrać głos w kwestii twego stroju. Mój jedyny, chciałam, aby ubranie było ciemne, bardzo ciemne, haftowane srebrnymi blaszkami, z kamizelką żonkilowego koloru i takąż podszewką u fraka. Będziesz myśleć, żem oszalała, pierwszy raz objawiam tego rodzaju zachcenie; poddaj się mi, a będziesz bardzo miły.

Nie wiem, czy będę miała siłę udać się do Tivoli; ta nieszczęśliwa matka potrzebuje mnie; martwiąc się z nią, przynoszę ulgę jej duszy. Mój Boże, jakże okrutnym jest czekać z takim palącym niepokojem! Dobry jesteś, miły mój, iż chodziłeś po wiadomości; będą zapewne te same, jakie ja dostałam przez panią de Melet i pana de Vaines. Jutro będą może bardziej stanowcze, może oplakane. Mówiłeś mi wczoraj: *gdybyś to był ty?* Och; nie znałabym już miary; umarłabym wprzód, nim bym zniosła podobne nieszczęście. Zobaczę cię jutro rano, prawda? Mam nadzieję, że będziesz miał wiadomości przed jedenastą: będą one stanowiły o moim dniu.

Błagam, napisz do Bordeaux z upomnieniem o moje dwa listy: ale może dostałeś je dziś kurierem z Montauban, oddasz mi je jutro razem z tym. Jakiś ty roztrzepany! Jak trzeba się mieć z tobą na bacności!

¹⁰⁶w Ewangelii, gdzie przybyli w ostatniej godzinie otrzymali tę samą zapłatę co ci, którzy dźwigali trud całego dnia — przypowieść Jezusa w Mt 20, 1–16. [przypis edytorski]

LIST CLIII

Wtorek, 7 listopada 1775, o godzinie pocztowej

Najrozsądniejsza kobieta jest szalona lub dziecinna przez dwie trzecie życia, czyż bowiem nie jest szaleństwem ulegać potrzebie odpisania ci, kiedy jestem pewna, że nie wyślę swego listu? Ale, drogi mój, jest to sposób, aby się tobą zajmować wyraźniej niż w myślach, ulżyć sobie, wrócić nieco życia duszy, która popadła w bezwład od czasu, jak nie może żyć tobą; słowem, jeżeli to nie znaczy czynić coś dla ciebie, znaczy czynić coś dla namiętności, która zawładnęła mym życiem.

Odczytałam dziesięć razy bilecik z niedzieli: czy wyobrażałeś sobie, że jest bardzo ciepły, bardzo nagły, bardzo stanowczy? Och! to by była wielka omyłka; jest bardzo zimny i uczynił też wrażenie, jakie musiał uczynić, to znaczy żadne. Och, nie, nie jesteś ani *niespokojny*, ani *zrozpaczony*; jesteś, co najwyżej, nieco zirytowany w porze zjawienia się listonosza. W kwadrans później, nie zostaje z tego ani śladu. Och, mój przyjacielu, nic nie jest w tobie głębokie, nic nie trwa! Są dni, w których wiadomość o mej śmierci ledwie uczyniłaby na tobie wrażenie, i znowuż — powiedz, czy znam ciebie? — bywają chwile, w których ta sama wiadomość powaliłaby cię.

Ale przypomnij sobie to, co już dawno powiedziałam ci po raz pierwszy; wrażenia, których doznajesz, są tak ulotne, że nie może to nawet nazywać się uczuciem; to kaprys, przyjemność, odruch miłości własnej, Oto czym jesteś dla tych, których rzekomo kochasz; nie masz ani tego zainteresowania, które sprawia, iż człowiek troszczy się o cierpienia kochanej osoby, ani nie czujesz potrzeby podzielenia wszystkiego, co ją dotyka: nie masz ani tkliwości, która pociesza chorą duszę, ani dobroci, która uprzedza boleść. Tak, powtarzam ci to: Kochając, nie kochasz.

Ale jesteś człowiekiem, z którym, jak z żadnym innym, można łatwo ulec złudzeniu co do pierwszego i jedyne punktu obchodzącego kobietę, która poddała się swej namiętności. Jesteś tak miły, tak wylany, odruchy twoje mają zawsze żywość i ciepło uczucia; wkładasz w poufne obcowanie tyle słodyczy, tyle serdeczności, że trzeba przyjrzeć się bardzo uważnie, aby rozróżnić, że to wypływ charakteru, a bynajmniej nie uczucia. A jednak faktem jest, iż w samej pełni pozorowego oddania nie byłbyś zdolny uczynić prawdziwego poświęcenia dla kogoś, kto by cię kochał, i choćby to miało kosztować spokój, a nawet życie przywiązanej do ciebie osoby, nie wyrzekłbyś się żadnego z projektów mających za cel ambicję lub fortunę; w tych przełomowych momentach masz przed oczyma wyłącznie swój osobisty interes, dobrze albo źle pojęty.

Przypominam sobie, że w pierwszym okresie znajomości, nie mając nawet faktycznych dowodów, powtarzałam ci nieraz, że uważam cię za niezmiernie egotycznego; dziwiło cię to i łatwo ci było wówczas się usprawiedliwić; dziś inaczej: przygniotałabym cię dowodami i przykładami; aby zaś dać argument bez repliki, powiedziałabym: znałeś prawdę mego uczucia, znałeś gwałtowność mego charakteru; zaledwie powzięłeś zamiar małżeństwa, w którym honor twój i los nie były zbyt interesowane, wiedziałeś, że wykonując ten zamiar, skazujesz mnie albo na to, bym natychmiast odebrała sobie życie, albo też umarła z boleści; otóż zawarłeś to małżeństwo i w dwa dni potem miałeś to okrucieństwo, aby napisać bilecik tak ohydny, że gdyby można opisać całe to zdarzenie, bilecik ten osądzono by jako coś, co nie może być ani prawdziwe, ani prawdopodobne.

Tak, pozwól mi wierzyć, że jesteś albo najbardziej okrutnym albo najbardziej lekkim z ludzi; pozwól mi wierzyć, że szczyt nieszczęścia dla czulej i namiętnej duszy to poddać się swojej skłonności do ciebie. Och, mój Boże, wszystko co wycierpiałam, wszystko co cierpię, czyż nie jest bardzo bolesną ekspiacją za mą słabość i moją zbrodnię? Czyż trzeba będzie, aby i te niewiele dni, które mi zostały do życia, spłynęły w niepokoju, wyrzutach i boleści?

Tak, ugodziłeś mnie w serce; umrę z tego i to śmiercią najokrutniejszą, bo powolną; ale w konwulsjach rozpacz, która strawia moje życie, w ostatnim tchnieniu, które ją będzie ożywiać, będę powtarzała ciągle: czemu nie pozwoliłeś mi umrzeć dla pana de Mora? Uczyniłabym zadość swej miłości, odpokutowałabym zbrodnię. Chciałeś tedy dać mi poznać nieszczęście większe niż to, które mnie rwało? Jakże ci się dobrze powiodło!

Jakże głębokie jest uczucie bólu, które zaszczyliłeś mi w duszy! Są chwile, dni, w których jestem zupełnie gotowa uwierzyć, że poznałam nieszczęście, dopiero odkąd ciebie Kocham.

Nieba! jakaż straszna dola! Najbardziej występny czyn mego życia przesłania ją chwilami w zupełności; tak, poczucie mego obłędu gasi niekiedy wspomnienie namiętności, która mnie ożywiała przez osiem lat. Och! nie znasz jeszcze bezmiaru nieszczęścia i miłości! Nie wniknąłeś dostatecznie w duszę, którą wypełniasz. Nie należę już do siebie, wówczas kiedy cię widzę: twoja obecność urzeka wszystkie me cierpienia; kolejno wlewasz mi w żyły lub uśmierzasz gorączkę; kiedy się zjawiasz, zaledwie wiem, czy cierpiałam.

Drogi mój, kiedy cię widzę, nie potrzebuję, abys mnie kochał; niebo jest w mojej duszy; nie sądzę cię już, zapominam, że jesteś winny, Kocham cię. Ale te gwałtowne wstrząśnienia są za silne dla mego ustroju, z chwilą twego odejścia usycham natychmiast; godzina nie minęła mi bez cierpienia; ból duszy przeszedł do ciała. Mam co dzień gorączkę; lekarz mój, który nie jest orłem, powtarza bez ustanku, że strawiona jestem zgryzotą, że puls mój, oddech, oznajmiają gwałtowne cierpienie, i odchodzi zawsze mówiąc: „Nie mamy lekarstwa dla duszy”.

Tak, nie ma go już dla mnie; nie uleczyć też pragnęłabym się, ale uspokoić, ale znaleźć parę chwil spoczynku, nim dopłynę do wyzwolenia, którego natura użyczy mi niebawem. Jedynie ta myśl przynosi mi wytchnienie; nie mam już sił na miłość, dusza moja męczy mnie, dręczy, nic mnie już nie podtrzymuje. Pragnienie i nadzieja zamarły we mnie; im bardziej słabnę, tym bardziej oblega mnie jedna, jedyna myśl. Bez wątpienia, nie Kocham cię lepiej, niż kochałam, ale to dlatego, że nie Kocham już nic, że cierpienia fizyczne sprowadzają mnie bez przerwy do siebie samej; nie ma już oderwania ani wytchnienia.

Wlokące się noce, bezsenność, uczyniły z mego uczucia jakieś szaleństwo; zmieniły je w jakiś stały punkt. Nie wiem, jakim cudem nie wymknęły mi się po dwadzieścia razy słowa, które by odsłoniły sekret mego życia i serca. Niekiedy w towarzystwie dławia mnie nagle łzy i zmuszona jestem uciec.

Ach, malując ci bezmiar swego obłędu, nie chcę bynajmniej cię wzruszyć, ponieważ sądzę, że nigdy nie przeczytasz tych słów. Zresztą w stanie, w jakim się znajduję, czegoż mogę się od ciebie spodziewać lub obawiać? Wystarczy mi wierzyć w twą szlachetność, aby być zupełnie pewną całego twego postępowania aż do końca. Są położenia, które zmogłyby nawet twardą i nieczulą duszę: całe moje otoczenie wydaje się jakby serdeczniejsze dla mnie: widząc tak niedaleko wieczyste rozłączenie, ludzie zbliżają się. Nie umiałabym się dość nachwalić troskliwości i względów mych przyjaciół; nie dają mi pociechy, ale to pewna, iż wnoszą pewną słodycz w moje życie; Kocham ich, chciałabym kochać więcej, a zwłaszcza chciałabym, aby nie mieli o mnie tak dobrego mniemania.

Oni wszyscy myślą, że to śmierć pana de Mora zabija mnie. Mój przyjacielu, gdyby wiedzieli, że to ty, że to twoje małżeństwo zadało mi cios śmiertelny! Och! jakież wstręt uczuliby do mnie, jakże wydałabym się godna wzgardy! Ha! nie obwinialiby mnie ani głośniej, ani silniej niż własne sumienie! Bądź zdrow; upadam pod tyłoma bolesnymi myślami; mimo to, dając upust swej duszy, odczuwam niejaką ulgę.

LIST CLIV

Środa, 8 listopada 1775

Listów moich brakuje ci, a obecność moja nie jest ci potrzebna. Spędziłeś pięć dni w Paryżu, wyrzucając mi, i sobie także, wszystkie chwile, któreś tu spędził. Byłeś dwa tygodnie w Fontainebleau, nie minął ani jeden dzień, w którym byś nie mógł znaleźć wygodnej sposobności, aby przyjechać i wrócić. Wiedziałeś, że jestem chora, wiedziałeś, ileś przyczynił się do tej choroby; i po tym wszystkim piszesz mi — i ma mnie to przepelnić radością i wdzięcznością! — że *gdybyś przybył do Paryża, ja byłabym jedynym przedmiotem twojej podróży*. Toteż nie podjąłeś jej! I potem śmiesz twierdzić, iż jeżeli mnie to nie przejmuje rozczuleniem, to znak, że stałam się bardzo wymagająca i niesprawiedliwa!

Och! jakże ty ściskasz mi serce, kiedy chcesz mi dowieść, że powinnam być rada z twego postępowania! Nie skarżyłabym się nigdy, ale sprawiasz niekiedy, iż muszę krzyczeć, tak ból, który mi zadajesz, jest ostry i głęboki. Mój przyjacielu, byłam kochaną; jestem nią jeszcze i umieram z żalu na myśl, że to nie przez ciebie. Daremnie sobie powtarzam,

iż nie zasłużyłam nigdy na to szczęście; tym razem serce każe zamilczeć miłości własnej: mówi mi, że jeżeli kto powinien mnie być pokochać, to ten, który miałby dla mnie dość uroku, aby mnie pocieszyć po panu de Mora i zatrzymać przy życiu po jego utracie. Ale czy kiedykolwiek jest się kochanym przez tego, kogo się kocha? Czy sprawiedliwość i zastanowienie wchodzi w to tak mimowolne i tak despotyczne uczucie?

Och! gdyby było możebnym poddać je woli, od jakże dawna nie byłbyś już niczym dla mnie! Tak, powiadam *niczym*; gdybym nawet miała cię obrazić, powiem, że widziałam cię z nazbyt bliska, abys był moim przyjacielem, gdybyś nie był mym największym uko-
chaniem na ziemi; słowa twoje, ton ranią mnie w tysiączny sposób; co więcej, uważam cię za niezdolnego do pamięci, przywiązania i współdziałania, jakiego wymaga przyjaźń. Ale nie przestraszaj się; masz to, co naprawia i okupuje wszystko w świecie: masz urok; posiadasz wszystkie przymioty i powaby, które mogą pochlebiać próżności i nakazać miłość i przyjaźń dla ciebie. Komuż by nie pochlebiało mienić się przyjacielem człowieka, który nie ma równego sobie, który ma talent, geniusz i którego nieodzownie czeka to, co ludzie nazywają wielką przyszłością?

Oto co rzuciło całą twą nową rodzinę na kolana przed tobą: oto co sprawia, iż schlebia ona i głaszcze twą miłość własną od rana do nocy: oto jak cię spowiła, jak się poddałaś i jak zostaniesz w jarzmie na resztę życia.

Ha! jeżeli czujesz się szczęśliwy, to wystarczy. Więcej siły, podniosłości i filozofii uczyniłyby cię może droższym i szacowniejszym w oczach paru zacnych ludzi; ale ty wolisz pokładać ambicję w tym, aby działać na wielką liczbę. Całe twoje postępowanie zmierza ku temu, aby zdobyć ten rodzaj powodzenia, który prowadzi do fortuny, ale który każe często powiedzieć:

Nieraz Fortuna drogo sprzedaje swe dary.

LIST CLV

Czwartek, 9 listopada 1775

Piszę do ciebie co dzień. Ale tym razem naprawdę mówię do ciebie, ten list bowiem oddam ci własnoręcznie. Wiesz dobrze, czego chcę przede wszystkim: być z tobą szczerą, nawet narażając się na to, iż wydam ci się niespełna rozumu.

Nie pochwalam wielkich zmian, jakie dokonałeś w *Hetmanie*: wątpię, aby mimo wszystko zdołały one zadowolić wszystkie reguły wymagane przez artystów z rzemiosła jak pan de Voltaire etc., etc.; poza tym rola *Adelaidy* zmieni zupełnie charakter: jeżeli śmierć jej stanie się konieczną, będzie musiała być podobna do *Zulimy*, a nie do Rzymianki Corneille'a. Ale ty posiadasz dosyć talentu i odczucia, aby dumny i podniosły charakter przekształcić na duszę tkliwą i namiętną; nie na to więc chcę położyć nacisk.

Ale zważ, że jeżeli przemienisz tak i przebudujesz całą sztukę, zacznij ją sądzić na nowo, i to surowiej niż za pierwszym razem, i słusznie. Pierwszy raz ustąpiłeś woli królowej; oznajmiłeś, iż nigdy nie miałeś zamiaru pisać tej sztuki na scenę, i co za tym idzie, po-
błażliwość miałaś zapewnioną. Wówczas postępowanie twoje jest proste, nie może być mowy o miłości własnej autora; publiczność wdzięczna ci jest za piękności, których pełno w tym dziele: chwałą talent, a jeżeli sobie pozwalają na krytykę, czy to co do treści, czy wykonania, dodają równocześnie: „Nie pisał z myślą o teatrze”.

Obecnie, drogi przyjacielu, występujesz ze wszystkimi pretensjami autora, wszystko zburzyłeś. Zaciągnąłeś tedy wielkie zobowiązania, jasnym bowiem jest, iż poczyniłeś te zmiany dla wystawienia sztuki. Nikt nie będzie wątpił, że to ty skłoniłeś królowę do zażądania jej na nowo, aby ją móc wystawić z poprawkami, po których się spodziewasz wielkiego powodzenia. Czy zdobędziesz to powodzenie, choćby najbardziej zasłużone? Czy sądzisz, że względy pana de Saint-Germain, że dobroć, jaką okazuje ci królowa, nie obudziły zawiści?

Słyszę, jak syczą węże, i za nic w świecie nie chciałabym być obecna na tym drugim przedstawieniu, któremu wciąż jestem przeciwna z całej duszy. Ale jeżeli, jak powiadasz, było ono nieuchronne, trzeba było, aby miało wyraźne tego cechy, a tym samym aby

sztuka ukazała się w bezwarunkowo tej samej postaci, w jakiej królowa oglądała ją po raz pierwszy.

Jedyną zmianą, na jaką mogłeś sobie pozwolić, było obrócić cały wysiłek na podniesienie czystości, wykwantu i szlachetności stylu; aby każdy, wychodząc z teatru, rzekł: „Nie przypuszczałem, że to tak dobrze napisane; ani śladu niedbałości, pośpiechu; ależ on włada wierszem wprost cudownie; ta sztuka byłaby niezrównana, gdyby sobie z góry założył napisanie jej dla sceny; można ją postawić obok największych arcydzieł: pióro godne Woltera; dobrze zrobił, że wystawił ją drugi raz; wartość stylu uchodziła uwagi przy pierwszym czytaniu”.

Oto, mój przyjacielu, co chciałabym słyszeć. Zamiast tego, podniesie się burza krytyk i jakiegokolwiek zmiany byś przedsięwziął, ręczę ci, iż zabiją istotne piękności dzieła. Nie rolę Adelaidy będą sądzić, ale pretensje pana autora, który w istocie zaciąga nowe zobowiązania wobec publiczności. Mój przyjacielu, choćbyś mnie zabił, będę twierdziła, że mam słuszość; zresztą zrobisz, jak zechcesz; umywam ręce. Ale nie powiem ci jak wszystkie te panie, które umieją chwalić, ale nie czuć: „Jakie piękne! jak zyskało na zmianie! Jakie to będzie miało powodzenie!”. A ja ci powtórzę tysiąc razy: nie, nie będzie miało powodzenia, właśnie dlatego że jest zmienione!

No, milczę już, założyłabym się bowiem, że nie to chciałeś usłyszeć; napracowałeś się; jesteś upojony pięknnością tego, coś stworzył; to co było poprzednio, wydaje ci się ohydne; *zmusisz głupią publiczność, aby ci oddała sprawiedliwość; istnieje miara talentu, która miądzdy zawiść*; dobrze więc; rób szaleństwo, jeżeli chcesz.

LIST CLVI

Czwartek, jedenasta wieczór, 9 listopada 1775

Mój przyjacielu, wypisałam cztery stronicie dziś rano, ale nie mogę dokończyć dnia bez powiedzenia, że cię kocham. Widziałam przed chwilą osobę, która kocha mnie najbardziej w świecie, i to dało mi jedynie lepiej uczuć, do jakiego stopnia cię kocham. Po trzech miesiącach nieobecności, gdyby mi ciebie oznajmiono niespodzianie, jakże zadrżałabym od stóp aż do głowy! Jak nie wiedziałabym, ani co mówię, ani co do mnie mówią!

Tak, jedyny mój, trzeba kochać, aby poznać wszystkie dobra i przyjemności, jakich natura użyczyła ludziom; słodko jest, bez wątpienia, być kochanym, ale szczęście leży w odwzajemnieniu. Albowiem sądzić, oceniać przywiązanie godnego człowieka, odpowiadać przyjaźnie na bezwolne drgnienia duszy, widzieć smutek i niezadowolenie malujące się kolejno na twarzy kogoś całkowicie przepelnionego pragnieniem naszego szczęścia, to wszystko, jeżeli głaszcze miłość własną jakiej gąski, jakże osmuca szlachetną i tkliwą duszę! Miły mój, mogłabym ci rzec jak Pyrrus do Andromaki:

Ha! jedno z westchnień, które me serce śle tobie,
Ileż szczęścia przyniosłoby innej osobie!

Mój Boże, czyżbyś nie cierpiał, gdybyś nie miał ode mnie wiadomości? Czyż to nie robi pustki w twoim życiu? Byłżebyś tak zajęty lub tak upojony, iż nie doświadczasz jakiejś nieokreślonej tęsknoty? Czyż nie jestem blisko twej myśli, kiedy nie jestem przy tobie? Och, miły mój, te pytania malują ci jedynie słabą cząstkę tego, co odczuwam: umieram ze smutku.

Przyjaciele moi sądzą, że to chorobą swoją tak się gnębię: miałam dziś wieczór dowody dobroci p. d'Anlezi i p. de Schomberg: uspakajali mnie co do moich piersi, kaszel mój rozdzierał ich, a oni mnie pocieszali, zacni ludzie! Nie wiedzą wszystkiego, co ja cierpię. Ale nie zasługuję, aby ktoś współczuł ze mną: nawet ty, osądz bowiem bezmiar mego szaleństwa! Czuję, że cię kocham ponad siły mej duszy i ciała; czuję, że umieram przez to, iż nie czuję ciebie przy sobie. Ze wszystkich cierpień ten brak jest mi najokrutniejszy; liczę dni, godziny, minuty; głowa mąci mi się bez ustanku, chcę bowiem niemożliwości: chcę mieć wiadomość od ciebie w dniu, w które kurier nie przychodzi. Wreszcie, cóż ci powiem? Kocham cię do szaleństwa i jak szalona.

A teraz, po tym wszystkim, zrozum, jeśli możesz: nie wysyłam swoich listów; ranię cię, drażnię, chociażby przez to że ci się sprzeciwiam. Więcej powiem: gdybyś jakim przypadkiem zmuszony był zostać w miejscu, w którym bawisz, pół roku, rok albo całe życie, sądzę, iż mogę zaręczyć, że nie usłyszałbyś o mnie.

Zrozum wedle tego usposobienia wstrząśnienie, o jakie mnie przyprawił ów przeklęty bilecik, kreślony z miejsca, które przedstawia mi się w sposób okropniejszy, niż piekło przedstawiało się kiedykolwiek św. Teresie i najbardziej rozpalonym głowom. Żadne w świecie rozumowanie nie może zwalczyć tak straszliwego wrażenia; drzę jeszcze, przypominając sobie tę datę i tych kilka wierszy, które następowały po niej.

O Nieba, co się z tobą stało wówczas? Czy przestałeś być człowiekiem? Czy byłeś tygrysem?

Bądź zdrow. To przypomnienie ostudza nieco me serce.

10 listopada, piątek, po przybyciu poczty

Nie! objawy namiętności lub rozsądku (nie wiem bowiem, które z dwojga ożywia mnie w tej chwili) są niewiarygodne! Wyczekawszy się listonosza z tą żądzą, z tym podnieceniem, które czynią z oczekiwania największą udrękę, rozchorowałam się fizycznie; kaszel i wściekły ból głowy trzymały mnie przez kilka godzin. Wśród tego nadszedł listonosz: przejrzałam listy, nic od ciebie. Doznałam gwałtownego wstrząśnienia całej mej istoty, a potem nie wiem co się stało, uczułam ukojenie; zdaje mi się, że doznaję niejakej słodczy, iż ty okazujesz się bardziej jeszcze zimnym i obojętnym, niż ja ci się mogę wydać niedorzeczną.

Utwierdzając się w przeświadczeniu, że jestem niczym dla ciebie, sądzę, że łatwiej mi będzie od ciebie się oderwać. Jest mi tak jasnym, że możesz być tylko nieszczęściem wszystkich chwil mego życia, iż wszystko co mi daje siłę oddalenia, oddzielenia się od ciebie, jest w istocie największą ulgą, jakiej mogę doznać. Doszłam do tego, iż pragnę, aby mus lub własna ochota zatrzymały cię tam, gdzie bawisz: twoja nieobecność przestaje być dla mnie męką, staje się odpoczynkiem.

Widzę cię w upojeniu pochwał i pochlebstw, jakimi kołyszają cię przez cały dzień. To wystarczyłoby miłości własnej, ale twojej potrzebie czynu brakuje odpowiedzi pana de Saint-Germain, która by zaspokoila zarazem twą próżność i ambicję. Oto list, którego czekasz, oto ów, którego dusza twoja łaknie.

LIST CLVII

Poniedziałek, trzecia popołudniu, 20 listopada 1775

Jedyny mój, jakiś ty miły i jak bardzo usprawiedliwiasz nadmiar mego obłędu i nieszczęścia! Tak, wierzę w to, wszystko, co wycierpiałam, czego oczekuję, nic nie miałoby władzy, aby mnie wstrzymać i ochronić od kochania ciebie, gdybym cię już nie kochała. Są rzeczy, które każą mi wierzyć w fatalność; miałam żyć dla ciebie przez chwilę, miałam umrzeć z tego. Ale, drogi mój, kochałam ciebie, nie skarzę się.

Pozwól mi tedy dźwigać mój los; nie dopełniaj miary mej niedoli, dając mi pokochać życie, w chwili gdy trzeba będzie je opuścić, gdy czuję, że mi się wymyka. Och, miły mój, przez dobroć, przez litość, pozwól mi wierzyć, że śmierć wyzwoli mnie od ciężaru, który mnie gniecie; pozwól mi zatrzymać się, odpocząć myślą na tej chwili tak upragnionej, tak wyczekiwanej, do której zbliżam się jakby z uniesieniem, kiedy pomyślę o wyroku, jaki wyrzekłeś dnia 1-go maja. Ale też kiedy cię słuchałam wczoraj, kiedy cię widziałam, myślałam z rozczuleniem, iż niebawem powiem ci: *żegnaj na zawsze*; badałam się, byłabym chciała nie czuć się tak chorą, żalowałam, iż nie mogę już mieć nadziei. Słowem, miły mój, tkliwość wypełniała mą duszę; nie pozwalała mi już powziąć pragnienia, które by miało za przedmiot rozłączenie z tobą. Z tego okropnego punktu widzenia śmierć będzie złem, wielkim złem!

Mój Boże, nigdy nie dowiesz się, w jakim rozdarciu, w jakiej martwocie i ucisku strawiłam ostatnie trzy tygodnie. Nie upadek sił, wychudzenie, straszliwy sposób, w jaki się zmieniłam, są osobliwe; niesłychanym jest raczej to, iż życie moje oparło się tej męczarni.

Ale w końcu jesteś; ujrzałam cię pełnym dobroci, tklivości; ukoileś mą duszę, wsączyłeś balsam w moją krew. Mniej ciężko było mi cierpieć tej nocy; nie spałam, miałam gorączkę, kaszlałam: ale naprawdę nie byłam nieszczęśliwa, byłam zajęta tobą w sposób łagodny i pełen tklivości. Zdawało mi się, że piszę do ciebie, nie śmiałam się spodziewać wiadomości od ciebie, ale nie wydawało mi się to niemożliwe.

Osądź uczucie szczęścia, jakiego doznałam, kiedy ktoś, wchodząc do mego pokoju, powiedział mi: od pana de Guibert. Najmilszy mój, te słowa dały mi siłę na cały dzień; nie lękam się już gorączki, mając twój list, lekarstwo ma nade mną większą moc niż choroba. Wypędzę z myśli to, co wraca do niej bez ustanku: *Przyjechał w sobotę o piątej i czekał aż do niedzieli o pierwszej, aby się dowiedzieć, czym umarła, czym chora lub też powalona nieszczęściem.*

Och, drogi mój, zapomniałeś tedy, że cię kocham, i nie wiedziałeś już, jak kocham, wszystkimi władzami duszy, umysłu, wszystkim powietrzem, którym oddycham. Słowem, kocham tak, jak żyję, a żyję jedynie swym kochaniem.

Jedyny mój, zabij mnie, jeżeli chcesz, ale będę ci powtarzała, ile sił starczy, że to opowiadanie jest za długie co najmniej o dziesięć wierszy. A potem czy się mylę, czy ta śmierć *Adelaidy* nie przypomina mocno śmierci *Tankreda*? Rozumiem dobrze, że nie mówią tego samego, ale czy nie ma tu reminiscencji?

Umieram z ochoty dowiedzenia się, co ci powie pan de Saint-Germain. Myślałam dużo o jego liście: jest bardzo, ale to bardzo pochlebny; nie wątpię, że będziesz rad ze stosunku, jaki wytworzy się między wami. Nie zapomnij przynieść mi brulion listu, jaki doń napisałeś.

Jeżeli nie miałabym cię ujrzeć jutro rano, napisz słówko, nie wątpię bowiem, iż nie zjawił się już dziś wieczór. Gdybyś nie przyszedł rano i nie mógł poświęcić mi wieczoru, trzeba ci wiedzieć, że od czwartej do wpół do szóstej jestem sama: oto masz trzy sposoby swobodnego widzenia mnie. Wybierz tedy jeden z nich, jedyny mój: potrzebuję cię widzieć.

Bywaj zdrow; widzisz, że sobie wynagradzam straty. Och, dobry Boże, tak wydręczyłam cię milczeniem! Mój przyjacielu, czy myślisz, że jest, że był kiedykolwiek ktoś w świecie bardziej urzeczony twoim urokiem i głębiej pochłonięty tobą? Czy sądzisz wreszcie, że istnieje większy stopień tklivości i namiętności niż ta, która mnie ożywia? Bicia mego serca, tętno pulsów, oddech, wszystko to jeno objawy mego uczucia: jest bardziej żywe, bardziej gwałtowne niż kiedykolwiek; nie iżby było silniejsze, ale że ma zagasnąć, podobne światłu, które ożywa z większą siłą, nim zgaśnie na zawsze.

Bądź zdrow, miły mój, kocham ciebie.

LIST CLVIII

Wtorek, 21 listopada 1775, o trzeciej

Miła, dobra, urocza, słodka i najukochańsza istoto, to nie twoja wina, ani moja, jedyny mój, jeżeli nie dostałeś wiadomości ode mnie w Wersalu. Otrzymałam twój bilecik dziś rano o 11-ej; nie było już czasu, że zaś wyobrażam sobie, iż udasz się najpierw do siebie, nim zjawił się u mnie, spieszę podziękować ci za pamięć tak miłą, tak pełną dobroci.

Troskliwość twoja wzrusza mnie; jestem w rozpacz, iż nie mogę jej zadowolić, donosząc, że mam się lepiej, ale nie ma sposobu! Kaszlałam wczoraj śmiertelnie; w noc miałam gorączkę tak silną, iż myśli moje bardziej były poplątane i zmaćcone niż kiedykolwiek. Dziś rano o jedenastej był lekarz, znalazł gorączkę większą niż zazwyczaj o tej godzinie. To z podrażnienia; piersi moje i wnętrzności bardziej jeszcze są rozpalone i poruszone aniżeli dusza.

Ale, jedyny mój, kocham ciebie; jeśli ty mi odwzajemniasz, będę miała siłę do męczeństwa; będę cierpieć, ale przełożę swoje męczarnie nad szczęście kogokolwiek na ziemi.

Otrzymałam od arcybiskupa Tuluzy bilecik bardzo miły, ale który mnie zaniepokoił, mimo że on sam nie jest niespokojny: pluć krwią wczoraj. Bordeu powiada, że to z gardła; ale czy to naturalne pluć krwią, zwłaszcza kiedy ktoś jest na mleku za całe pożywienie i zażywa dwa razy na dzień mleko osłe? Lękam się, aby się to źle nie skończyło.

Mój Boże, jakże daleko od tych, których lubię, od tego, co mnie obchodzi, niepokoi nawet, jakże daleko od tego do ciebie! Och, miły mój, miej się dobrze; nie dręcz mnie już; nie każ mi cierpieć; ale też nie popadaj w inną ostateczność, nie każ wierzyć, że życie moje jest ci potrzebne; byłabym zbyt godna współczucia, czuję bowiem żądzę śmierci.

Bądź zdrow, drogi, napisałam do ciebie cały tom wczoraj.

Bardzo pragnęłabym wiedzieć, czy jesteś rad z pana de Saint-Germain; spodziewam się, że tak, wierzę w to. Przychodź, przychodź. Masz większą władzę nade mną niż Logistile nad Rolandem, niż opium nad cierpieniem i wierzę, doprawdy, że byłbyś silniejszy niż śmierć.

Wszyscy, wszystko, co tylko ma nieco smaku i dowcipu, bawi w Chevette.

LIST CLIX

Piątek, w pół do dwunastej wieczór, listopad 1775

Nie ma pana de Guibert, ale też nie ma i listu od niego. Bardzo mi pusto. Drogi mój, kocham cię, bez wątpienia, tysiąc razy więcej niż *Berenice* kochała *Tytusa*, ale na nieszczęście nie mogę w ten sam sposób użyć swego czasu; niepodobna mi go strawić wyłącznie na czekaniu.

Tak na przykład nadzieja oglądania ciebie dziś wieczór kazała mi zrobić zawód jednemu z przyjaciół; martwiłam się tym, oczekując cię, i w tej chwili mnie to niepokoi, nawet bowiem przyjaciele odstręczają się nader rychło. Każdy ma tyle zatrudnień i rozrywek, że trzeba wielkiej dobroci, aby mnie poświęcać wieczory!

Będziesz miał złe mniemanie o mnie: nie byłabym ani niespokojna, ani zgryziona, gdybym naraziła na zawód kogoś, kto mnie kocha; osoba ta ma dla mnie ten stopień przywiązania, który umie przebaczać i nie bierze odmowy za niechęć. Ale pan d'Anlezi nie jest w tym położeniu; skoro sobie powie kilka razy: *nie ma sposobu jej widzieć*, pogodzi się z tym i zrezygnuje. A jakże mogłam go przyjąć, skoro oczekiwałam ciebie? Liczba 3 nie okazała się szczęśliwa nawet w Trójcy świętej: to za wiele albo za mało. Tak więc *moral* tego jest, abyś mi nie kazał dzielić swoich wątpliwości; dręczą mą duszę i uczyniłyby wieczory moje zbyt samotnymi.

Czy wiesz, że spędziłam trzy godziny bardzo niespokojna o stan pana de Saint-Germain? Mówiono, że jest z nim *złe*, że obawiają się zapalenia płuc; ta myśl przyprawiała mnie o drżenie. „Czy nad Francją wiszą same przekleństwa?” — mówiłam sobie. A potem ty, twoja przyszłość, wszystko to dręczyło mnie i — milczałam. Około siódmej oznajmiono mi ładną kobietę. Siadła koło mnie. „Ma pani może wiadomości o panu de Saint-Germain?” — „Owszem, mam, miałam o siódmej rano, były bardzo pomyślne; ale nakazałam w domu, aby mi przyniesiono tutaj biuletyn z godziny piątej, który mam dostać o ósmej”.

Piękna pani uspokoiła mnie zupełnie; nie potrzebowałam już jej listu, który wszelako przyszedł, jak zapowiedziała: datowany był z pokoju pana de Saint-Germain i tak uspokajający, że jestem pewna, iż mogłeś z nim pracować. Mój Boże, chciałabym tego, kiedy bowiem w istocie nie jest ktoś ministrem, mało jest rzeczy dających odszkodowanie za utratę wolności. Można uczynić to poświęcenie jedynie dla fortuny i miłości i, zaprawdę, słusznie: na myśl o łańcuchu, choćby złotym, wzdraga się moja dusza.

Dobranoc. Cierpiałam, znam już tylko cierpienie, a mimo to powiadasz, że trzeba kochać życie. To mi się nie wydaje bardzo konsekwentne.

Sobota, jedenasta rano

Otrzymałam twój list. Dziękuję, że mnie nie zostawiłeś długo w niepewności. Nie jestem jeszcze pewna twego powrotu... bardzo miękko mówisz, że odwiedzisz mnie dzisiaj. Na ogół bilecik trochę chłodny, ale jest objawem dobroci i pamięci: toteż powinnam być zeń rada.

Do widzenia, miły mój. Prześlę ten list do ciebie do domu, abyś go miał za powrotem. Mam nadzieję, że jeśli cię nie ujrzę dziś wieczór, będę miała wiadomość jutro wczesnym rankiem. Napisz zaraz po wstaniu lub nim się położysz.

LIST CLX

Środa, szósta rano, listopad 1775

Nie mogę powiedzieć: pierwsza moja myśl jest dla ciebie, nie spałam bowiem jeszcze; ale myśl moja jest pełna ciebie, chcę ci powiedzieć, że cię kocham, nim parę chwil snu wyrwie mnie przyjemności odczuwania tego. Miły mój, położyłam się bardzo smutna; oczekiwałam cię długo, ta nadzieja ożywiała i podtrzymywała mą duszę. Ale kiedy godzina spodziewania się minęła, osunęłam się bardzo nisko, ciało bowiem było bardzo podupadłe. Było u mnie trochę ludzi, ale nie bardziej samotnie czułabym się na pustyni. Och, dobry Boże, mówiłam sobie, słysząc, jak oznajmają coraz to kogoś, wszyscy, których nie oczekuję, których nie pragnę, przychodzą, są punktualni, gorliwi. Straszne jest żyć tylko w jednym punkcie, mieć tylko jeden cel, jedno pragnienie, jedną myśl.

Mój przyjacielu, to, co przechodzę, z pewnością nie jest lekarstwem na gorączkę; mimo to mniejsza jest niż poprzedniej nocy; nie czuję ani pragnienia, ani żaru, ani jakiegoś odurzenia. Wyobraź sobie, niepodobieństwem mi było zajmować się tobą, uczucie moje umykało mi się jak wszystko inne, ten brak władzy nad myślą wzmagił mą gorączkę i podniecenie. Obecnie jestem spokojna; cierpię, ale w znośny sposób.

Czy jesteś w Paryżu, drogi mój? Czy zobaczę cię dziś rano? Mój Boże, życzę ci najlepszej, najświetniejszej przyszłości, wszystkich powodzeń; ale jakie to nieszczęście przywiązać się do kogoś, kogo wszystko od nas oddala! Jeżeli pan do Saint-Germain potrzebuje cię, będziesz niewątpliwie w Wersalu; wystawienie sztuki ściągnie cię tam z pewnością; a potem żona, rodzina, upodobania, rozrywki!

Drogi mój, nie skarżę się na nic; ale sumiennie powiedz, czy będę mogła wyżyć w tych warunkach? To, co uczyniłbyś dla mnie, kosztowałoby cię dużo, a to, czego byś nie uczynił, przyprowadziłoby mnie o tortury. Lepiej, lepiej powiedzieć i postąpić jak żona Petusa: *Nie płaczę, ale umieram*. Nie wiem, czy to gorączka, ale od dosyć dawna głowa moja jest wyczerpana i przesycona łzami. Nie mam ich już: tej ulgi nie stało już memu nieszczęściu.

Ale, miły mój, o tobie pragnę mówić. Przybyłeś tedy bardzo późno, z pewnością bowiem słyszałabym o tobie dziś, gdybyś przybył *o piątej*. Ale ostatecznie otrzymałeś ode mnie dwa listy, a w sobotę nie wiedziałeś, czy żyję jeszcze; zrozumiałym jest, iż tego rodzaju niepewność zostawia w spokoju. Gdybyś wiedział, co jeszcze odkryłam przeciw tobie? Ale aby nie zohydzić się w twoich oczach, trzeba mi ukrywać, do jakiego stopnia lekkość twoja mnie nęka; tak, trzeba mi obrócić całą resztkę sił na ukrywanie bólu, jaki mi sprawiasz.

Bywaj zdrów, drogi. Niezręczność popełniłam, pisząc, iż mam cię połajac; przyjdiesz z mniejszą przyjemnością; co do mnie, ręczę ci, iż nie zmniejszy to rozkoszy oglądania ciebie. Niestety! mógłbyś bezkarnie chcieć mnie zamordować, zamordować mnie; widzisz, czy słabość moja zostawia miejsce na urazę! Kocham cię.

LIST CLXI

Środa, o północy

Drogi mój, nie spodziewałeś się mnie, nieprawdaż? Nie miałeś czasu myśleć o mnie i byłoby niezręcznością i głupotą czynić sobie wymówki, a ciebie przepraszać:

Aby się czuć niewierną, trzeba być kochaną.

Ale w istocie nawet przy ochocie i zamiarze pisania do ciebie, nie mogłabym. Od czwartej aż do tej chwili nie byłam sama ani na minutę. Zresztą co ci powiedzieć, drogi mój, wówczas gdy chcesz, aby ci mówić o sobie? W dwóch słowach mogę zawsze wyrazić swój stan fizyczny i moralny: *Cierpię, kocham*; od jakiegoś czasu wszystko dzieje się pod tym znakiem.

Tak, bardzo cierpię; miałam, mam gorączkę; czuję, że noc będzie straszna: umieram już z pragnienia, pali mi pierś i wnętrzości. Dzień był dość znośny: miałam u siebie tak

miłych ludzi, tak zajmującą rozmowę, że pragnęłam, abys był przy tym: dla ciebie, dla mnie bowiem dobre, średnie czy liche, nic nie przyczynia do potrzeby oglądania ciebie; jest to potrzeba mej duszy, jak oddychanie potrzebą płuc.

Mój Boże, jakże chciałabym umiarkować, zdławić nawet tę potrzebę! Jest zbyt żywa na mój słaby organizm, a przy tym konieczniejsza niż kiedykolwiek jest, abym się przyzwyczaiła mało cię widywać. Och, Boże, wszystko nas rozdziela, drogi mój, a wszystko zbliżało mnie z człowiekiem, który urodził się o trzysta mil ode mnie. Ach, bo też ożywiało go uczucie, które zwalcza samą niemożliwość. Nie skarzę się, dajesz mi dosyć; człowiek zawsze się czuje nadto bogatym, kiedy się ma przeprowadzać lub wszystko stracić.

I cóż, drogi mój, jakże spełniłeś swoje projekty? Pracowałeś dużo? Nie sędzę. Oto co robiłeś: obiad, po obiedzie rozmowa, o piątej do *Temple*, gdzie odczytałeś zmiany poczynione w *Hetmanie*: wychwalano je pod niebiosa! przy tej milej gawędce godziny płyną szybko; wróciłeś przed dziewiątą, bardzo miło jest wegetować w rodzinie i pozwolić się ubóstwiać do jedenastej, dwunastej; tutaj uciekam się do sztuki Agamemnonowego malarza i milknę... Dobranoc.

Nie wiem, jaką godzinę przeznaczasz mi jutro, mimo iż powiedziałeś mi, że wieczór; ale tyle rzeczy przepływa przez twoją głowę, iż projektów twoich nigdy nie należy uważać za zobowiązania; zresztą oddasz mi, co będziesz mógł. Ale nie przychodź o czwartej; powiedziałam komuś, aby przyszedł o tej godzinie, ponieważ wyobrażałam sobie, że raczej wybierzesz każdą inną.

Wyrzucam sobie, iż zatrzymuję cię tak długo; otoczony jesteś jak minister; ale ponieważ tym dygnitarzom zdarza się dość często mylić papiery, które otrzymują, poproszę cię, abys złożył razem cztery świstki, jakie otrzymałeś ode mnie, i odniósł mi je.

LIST CLXII

Środa, jedenasta wieczór

Zastanawiałam się nad tym; jeżeli nie jesteś szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, widocznie chyba szczęście nie istnieje, nie ma nic podobnego w naturze; jesteś bowiem najdokładniej, jakby umyślnie, stworzony, aby mieć wiele przyjemności, a mało cierpień. Wszystko ci się obraca na korzyść: twoje wady, przymioty, wrażliwość twoja, lekkość. Masz zachcenia, a nie masz namiętności; masz duszę, a nie masz charakteru. Słowem, zdaje się, że natura umyślnie wystudiowała najodpowiedniejsze kombinacje, aby cię uczynić szczęśliwym i uczynić cię miłym. Spytasz, z powodu czego to mówię? Ha! jeżeli się nie domyślisz, uważaj, że bredzę, a na sto razy trafisz dziewięćdziesiąt dziewięć.

Mój przyjacielu; nie spodziewałam się ciebie dziś wieczór; mimo to z trudem wydarłam się z domu o dziesiątej, aby spędzić godzinę z panem Anlezi u pana de Chamans, o którego byłam niespokojna.

Kiedy cię zobaczę? Ile cię zobaczę? Czy będziesz miał siłę odmawiać mi trzy dni z rzędu, ty, który jesteś tak łatwy ze wszystkimi! Pomyśl, że to są trzy dni wzięte z całego twego życia, ze związków, które będą trwałe zawsze; moje zaś życie będzie takie krótkie, nasze więzy są tak nikłe! Och, Boże, myślałam, że już pękły! Trwałe, dobrze ugruntowane między nami jest tylko nieszczęście; podpisałeś jego wyrok kosztem własnej swobody i kosztem spokoju wszystkich dni, jakie mi zostały do życia.

Bądź zdrów. Powiedz sobie, że skoro mnie skazałeś, nic mi nie byłeś winien; bądź okrutny, jeżeli masz odwagę, bądź szlachetny, jeżeli możesz. Słowem, zadaj mi ostateczny cios, abym cię jeszcze błogosławiła i kochała.

Hrabia de Crillon chciał cię prosić na obiad w piątek lub w niedzielę; bawi na wsi do jutra.

Powiedz mi, obecnie, kiedy wszystkie twoje pragnienia, wszystkie upodobania są zaspokojone, do kogo mają należeć chwile, które ci zostały? Proszę cię jedynie, abys ich nie wyrzucił przez okno.

Moje listy, nie zapominaj.

Nie dostałam papierów, których pani Geoffrin oczekuje z niecierpliwością; odeślij mi je zaraz, proszę o to.

LIST CLXIII

Niedziela, o szóstej

Wszystko, co zechcesz, ale przydomek *niesprawiedliwa* nie jest na miejscu. Nie uwierzę nigdy, aby było niesprawiedliwym żalić się, skoro ktoś otrzymał uderzenie maczugą, od którego umiera, nie wyzionąwszy ducha wprost pod ciosem. Tak samo nie uwierzę, aby było niesprawiedliwością czuć się zranionym i zelżonym, kiedy ktoś nam mówi, bez najmniejszej potrzeby, szczegóły i fakta upokarzające dla tego, do kogo je mówi, a które powinny być co najmniej kłopotliwe dla tego, kto ich udziela, gdyby posiadał trochę, nie mówię już serca, ale przyzwoitości i delikatności.

Po tym wyjaśnieniu nie powiadaj już, że jestem niesprawiedliwa, bo to nieprawda; powiedz, że jestem nieszczęśliwa, powiedz, że żyję i że umrę z bólu, który mi zadałeś. Oto prawda, a ujrzysz, że fakty nie omieszkają jej potwierdzić.

Co do momentu, który wybieram na swoje żale, nie wybieram go, ponieważ zawsze postanawiam nie pokazać ci, co mnie rani; to byłaby jedyna szlachetna i rozsądna droga, ale bywają chwile, iż cierpienie silniejsze jest ode mnie; jestem słaba, ulegam i łamię się pod brzemieniem. Wreszcie cóż ci powiem? Nie oskarżam cię, ale też nie usprawiedliwiam siebie, na honor bowiem, sumienie nic mi nie wyrzuca, przynajmniej odnośnie do ciebie; ale się czuję bardzo winna i okrutnie też ukarana.

Dziękuję za troskliwość, którą mi okazujesz; kaszlę bez pamięci, cierpiałam bardzo i czuję się śmiertelnie znużona dzisiejszym dniem. Jest u mnie ktoś, kto czeka, kto mówi, że piszę bardzo długo, a z pewnością do osoby, której mój list robi mniej przyjemności niż moja rozmowa zrobiłaby temu komuś. To wielka prawda, z pewnością, ale chciałam ci odpowiedzieć, mimo że mam niezbite dowody, że nigdy nie czytasz listu ode mnie w całości.

LIST CLXIV

Czwartek, jedenasta wieczór, grudzień 1775

Nie widziałam cię. Drogi mój, *kocham cię*: kiedy cię zobaczę? Oto rezultat przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, jeżeli jest przyszłość. Och, miły mój, co ja cierpiałam, co ja cierpię! Męczarnie moje są straszne, ale czuję, że cię kocham.

Hrabia de Crillon przyniósł z Wersalu wiadomość, że pan de Saint-Germain leży w łóżku z silnym katarem. Gdybyś go nie miał widzieć, żal by mi było bardzo twej podróży.

Bądź zdrów, drogi. Gdyby to pozdrowienie miało być ostatnie, nie wymawiałabym go z większą czułością i żalem. Ale przebac, nie chcesz, abym ci mówiła o moim cierpieniu ani o nadziei.

LIST CLXV

Piątek wieczór, grudzień 1775

Czy to prawda, że dziś wieczór los Domu Królewskiego ma być postanowiony i ogłoszony? Czy zawsze jesteś równie zadowolony? Czy twój zapal nie ostygł? Czy nic nie musiałeś opuścić ze swoich nadziei i pragnień? Słowem, drogi mój, czy jesteś rad? Czyś już poczynił zarządzenia co do *Hetmana*? Masz łoża, bilety dla siebie? Czy zawsze jutro rano jest próba? Czy znajdziesz wśród tylu spraw chwilkę dla mnie?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie nie jest dla mnie najmniej interesująca: potrzebuję widzieć ciebie, dusza moja omdlewa; jest to, zdaje się, owo usposobienie, które pobożni nazywają momentem oschłości, i trzeba całej miłości Bóstwa, aby je można było znieść. Wyobraź sobie, najważniejszą sprawą mego dnia był wyborny obiad, z którego wyszłam udręczona wyrzutami i przeniknięta żalem, iż miałam zarazem za wiele słabości i za wiele siły. Czy nie znasz przyjemności jedzenia, posuniętej aż do namiętności? Otóż ja jestem w tej fazie od jakich dwóch tygodni, a lekarze — nieuki albo barbarzyńcy — twierdzą,

że to zły znak dla moich piersi. Gdybym zdołała uśmierzyć kaszel, ani bym dbała o ich prognostyki.

W obiedzie tym uczestniczyli sami niepospolici ludzie; nie wyróżniali się niczym od pierwszych lepszych dudków. Nawet sam ambasador nie uniknął popadnięcia w „rodzaj nudny”. Wyobraź sobie, co to jest czytać wiersze włoskie przez godzinę. Bądź co bądź, jeżeli oni mnie znudzili, oddałam im wet za wet: nie przestałam ani przez chwilę kaszleć.

Dobranoc, miły. Pamiętam, że cię kocham, ale nie czuję tego.

Ale, ale, zupełnie serio trzeba mi szukać mieszkania, dowiedziałam się dziś rano, że nie mogłabym zatrzymać mego, gdybym nawet chciała. Może byś się rozejrzył w pobliżu?

LIST CLXVI

Niedziela, siódma, grudzień 1775

Owszem, odpiszę *słówko*, ale tylko *słówko*; mam gości. Ty składasz wizyty, to bardzo zajmujące, trzeba przyznać. Ach, gdyby się kochało, jak by to wszystko było płaskie. Ale wszystko jest dobrze, kiedy wszystko jest źle.

Co się tyczy mieszkania, mam czas do namysłu jedynie do środy rano: toteż uprzejmość twoja i starania mają tylko ten termin.

Wychodzę jutro dopiero o dziewiątej wieczór, obiad jem w domu. Nie widziałam barona; zamiast tego spędziłam półtorej godziny u wezglowia uroczej istoty; pomyśl, jaki urok musi mieć dla mnie, skoro sam na sam mi nie ciąży. Musiałeś się przekonać, że niepodobieństwem mi jest kłamać. Co się tyczy zachowania czyjegós sekretu, wydaje mi się niemożliwym czynić inaczej; wiem, że często w świecie chybia się moralności, ale to raczej przez nieuwagę albo z interesu; tutaj to by znaczyło robić źle bez żadnej korzyści. Dobranoc. W ostatnim tygodniu mogłam jeść obiad z tobą trzy razy; nie chciałeś. Mogłam cię widzieć co dzień; ambasador, pp. de Schomberg, d'Anlezi, etc. mieszkają równie daleko jak ty; ale nie mają tylu rzeczy ani osób na głowie; nie mają kajdan, które by sami wybrali, wskutek czego odkładają je często; zapewne mają słuszność, a ty ją masz także.

Pamiętajże wpisać wszystkich, którzy się zgłosili na wtorkową próbę; dodaj jeszcze baronostwo de Boeuil.

Och, Boże, nie zaprzataj się już moim zdrowiem. Troskliwość twoja wzrusza mnie, ale lękam się, że ci przyniesie zgrzyzoty.

LIST CLXVII

Wtorek, piąta rano, grudzień 1775

Nie mogę spać; wnętrzości moje, głowa, dusza, wszystko to budzi mnie i dręczy na swój sposób. Aby urzec swoje cierpienia, chcę mówić z tobą.

Widzisz, drogi przyjacielu, że nie mogę, nie mogę być na obiedzie u pana Boutin. Doniosłam ci, że pisałam doń z usprawiedliwieniem, w istocie, to by było nad siły; wyjąwszy ciebie, nie jestem zdolna nikogo słuchać ani rozmawiać z nikim. Przeszłam takie wzruszenia, zostało mi jeszcze tyle niepokoju, że nie mogłabym czuć się dobrze inaczej niż z tą nieszczęśliwą rodziną; cierpię i czuję jak oni.

Mój przyjacielu, serce moje jest pełne łez, a te, które wylewam, nie tylko mają za przedmiot pana de Saint-Chamans. Ach, jakże ty jesteś zrosnięty ze wszystkim, co ożywia mą duszę! To ty, zawsze ty, pod jaką bądź formą i w jaki bądź sposób wyrażam jakieś bolesne uczucie. Moje żale, obawy, wyrzuty, wszystko jest pełne ciebie i w jaki sposób mogłoby nie być? Istnieję jedynie przez ciebie i dla ciebie. Och, Boże, powiadasz, że ja odpycham, że odrzucam wszystko, co ty robisz dla mnie; wytłumacz mi tedy, co mnie przytrzymuje, co mnie wiąże do życia boleści, które powinnam była opuścić z chwilą, gdy straciła to, co mi dało poznać całą jego cenę, co mi je dało ukochać? Co mnie zatrzymało wówczas? Co mnie zatrzymuje jeszcze teraz, rozdzierając me serce?

Wiesz równie dobrze jak ja, czy cię kocham; wiesz, że mówiąc, iż cię nienawidzę, dowodzę ci jeszcze, że cię kocham; moje milczenie, chłód, moje niedorzeczności, wszystko

to jest ci dowodem, że nie istnieje w świecie bardziej tkliwa i silna namiętność. Mój Boże, jakże ja ją zwalczam! Jak się nią brzydzę! I zawsze jest potężniejsza niż wola i rozsądek.

Mój przyjacielu, poślij prędko, aby się wymówić z tego obiadu u pana Boutin. Wiesz, że mieszka przy ulicy Richelieu, koło ulicy de Menars. Zachowaj swą dobrą wolę dla mnie na jutrzejszą środę u pani de Geoffrin; mam nadzieję, że będę mogła pójść, jeżeli otrzymamy dziś wiadomości.

List twój z Wersalu dostałam za powrotem; przyszedł o północy. Nie dość wyraziłam ci, jak mnie wzruszyła ta dobroć i współczucie. Dzień dobry lub dobranoc, drogi mój, zaczynam bowiem noc. O wiele mi słodziej rozmawiać z tobą niż spać; ale aby kochać, aby cierpieć jeszcze jakiś czas, trzeba mi koniecznie snu: aby kochać, trzeba żyć, a to pewna, że żyję jedynie, aby cię kochać.

Bądź zdrow, najmilsza i najukochańsza istoto. To znaczy przebaczyć: ale zapomnieć! Och!

LIST CLXVIII

Północ, wtorek, grudzień 1775

Wy jesteście z lodu, wy dzieci szczęścia, ludzie światowi! Dusze wasze zamknięte są na żywe, głębokie wzruszenia! Gotowa jestem dziękować Niebu za nieszczęście, które mnie przygniata i z którego umieram, skoro mi zostawia tę słodką wrażliwość i to głębokie uczucie, które czynią przystępnym dla wszystkiego, co cierpi, dla wszystkiego, co poznało ból, wszystkiego, co jest udręczone rozkoszą i nieszczęściem kochania. Tak, mój przyjacielu, ty jesteś szczęśliwy, ale ja mam więcej przyjemności.

Skończyłam właśnie ostatni tom *Zepsutego chłopka*¹⁰⁷. Czy ta ostatnia strona nie chwyciła cię? Czy nie czuleś potrzeby mówienia ze mną o niej? Odczytania mi jej? Duszo z lodu! To szczęście, to język Nieba. A śmierć Manon i jej miłość, i jej wyrzuty, i te bolesne i namiętne słowa! Mój Boże, spędziliśmy wczoraj wieczór razem, książka była tuż, czytałeś ją i nie rzekłeś mi nic o niej!

Mój przyjacielu, jest mały kącik twej duszy i duża część twego postępowania, które by mogły, bez szaleństwa i niesprawiedliwości, nasunąć niemile dla ciebie zestawienie. Tak, tak, jest coś z Edmunda w twoim usposobieniu; nie jesteś doń podobny wprost, ale po trosze z profilu. Mój przyjacielu, ta książka, ta licha książka, której brak jest smaku, delikatności, zdrowego sensu nawet, ta książka — chyba się bardzo mylę — pisana jest resztką namiętności i żaru, jakim oddychali Saint-Preux i Julia¹⁰⁸. Są tam rozkoszne powiedzenia. Jeśli to nie ostatnie iskierki twego geniuszu, Janie Jakubie, jeśli to nie są źle ugaszone popioły namiętności, która ożywiała twą duszę, czytaj to dzieło, zaklinam cię, a serce twoje będzie przejęte sympatią dla autora, który je wadliwie począł i wykonał, ale który jest z pewnością zdolny stworzyć lepsze. Karzę cię, drogi mój, nękam cię, ale wywiniesz się jak zwyczajnie, nie czytając tego, co piszę. *Edmund* uczyniłby toż samo, a mniej był zajęty od ciebie.

Mój przyjacielu, oto tytuł lub przypisek listu, który zamieściłabym na miejscu wydawcy:

Edmund do Manon.

W jaki sposób można objawiać te same uczucia tylu rozmaitym osobom?

Świat jest niebezpiecznym środowiskiem dla kogoś, kto ma serce takie jak Edmund.

Odeślesz mi książkę i listy. Opowiesz mi, że bardziej byłeś rozerwany niż zajęty dziś popołudniu. Opera, wizyty, grzeczności, mizdrzenia, płochości światowca, człowieka talentu, geniuszu, potrzeba stania się czymś. Och! Zdumiewająca grzeczność! Cóż za straszne nieszczęście zetknąć się z bliska z człowiekiem bardziej jeszcze niebezpiecznym niż uroczym!

¹⁰⁷*Zepsuty chłopek* — powieść Retifa de la Bretonne. [przypis tłumacza]

¹⁰⁸*Saint-Preux i Julia* — bohaterowie *Nowej Heloizy* Russa [tj. J. J. Rousseau; red. WL]. [przypis tłumacza]

Mój przyjacielu, kaszlałam tak, iż wystraszyłam wszystkich koło siebie; nie żyję już! Doprawdy, masz obowiązek mnie kochać, już masz na to tylko chwilę. Czuję to.

Jedna łoża na cztery miejsca dla kobiet. Trzy bilety na parkiecie. Pamiętaj o tym, nie lekceważ względu, którym zobowiązesz kochające cię serce. Ja nie wyjdę z domu; mam gorączkę i kaszlę bez przerwy.

LIST CLXIX

Piątek, czwarta, grudzień 1775

Mój przyjacielu, jestem chora, bardzo cierpiąca; ale też jestem szalona; od dwóch dni nie wiem, co się stało z moją duszą, to istna pustynia: nie znajduję w niej ani uczucia, ani namiętności, ale rozdzierające żale, głęboki ból, wrażliwość i oszołomienie pierwszych chwil, w których nieubłagana śmierć wydarła mi to jedno, co dało mi ukochać życie. Mój Boże, czemu przeszkodziłeś mi iść za nim? Czemu skazałeś mnie na śmierć tak powolną i bolesną?

Oto, drogi mój, myśli, które wypełniały me życie od wtorku wieczór. Dobily mnie. Spędziłam jedną noc, nie kładąc się, nie byłam nigdzie na obiedzie i przyznam ci się, *Hetman* rzadko mi przychodził na myśl. Sądzę nawet, że gdybyś do mnie nie napisał, nie miałabym siły pokazania ci, do jakiego stopnia jestem smutna i przybita.

Och, mój Boże, nie, nie pojedę do Wersalu, najpierw jestem zbyt chora, a potem byłabym na torturach przez cały czas przedstawienia¹⁰⁹. Gdy chodzi o ciebie, jestem bardziej wymagająca niż ty sam. Zresztą jeżeli sztuka będzie miała, jak się spodziewam, wielkie powodzenie, nie mam ochoty wystawiać mej duszy na te wzruszenia; nadto jest zmęczona; trzeba by jej już tylko spokoju, spoczynku. Co więcej, wyznaję, iż nie jest ani wedle mego smaku, ani wedle serca, aby ciebie sądzono jako scenicznego pisarza. Aby to usprawiedliwić, trzeba by, abyś przeszedł Woltera i Rasyna; wówczas wielki talent usprawiedliwia wszystko i opromienia nową sławą. Słowem, mówiłam ci już, od roku zdawałoby się, iż działasz jedynie w tym celu, aby udęczyć tych, co cię kochają, jedynie własny, zaiste, interes mając na oku.

Posyłano już do mnie trzy razy po ten bilet do łoży; zadręcza mnie to na śmierć. Ślubuję nie mięszać się już do niczych przyjemności. Jest to pierwsza troska wszystkich tych ludzi; ja zaś, daleka od projektów rozrywki, czuję śmierć w duszy.

Nie oddałeś mi moich listów. Jestem najpewniejsza, że gdybym posłała po nie, dostałabym je.

Bardzo spieszyłeś się we środę: we wszystkim ruchu ci jest bardziej potrzebny niż działanie; to wydaje się bardzo subtelne, ale zastanów się tylko, a przekonasz się, że słuszne.

Mój przyjacielu, dziękuję ci za gorliwość, z jaką starasz się o to mieszkanie; mój Boże, jakże chciałabym znaleźć już mieszkanie na cmentarzu! Och, to okropne, że nieszczęście moje ciąży na tych, którzy mi są drodzy. Nie mówię o tobie. Powinien byś przyjść na obiad w niedzielę do księżnej d'Anville. Czekam wiadomości dziś wieczór, pochlebiam sobie, że otrzymam ową łożę. Daruj mi, że cię zaprzątam, że cię odciągają, a zwłaszcza że nie mam siły ukryć ci tego, co cierpię.

LIST CLXX

Piątek 10 wieczór, grudzień 1775

Ależ sobie użyłam! Przysięgam ci, że ty sam nie mógłbyś lepiej ani silniej odpowiedzieć panu de la Harpe. Potraktowałam go tak, jak zasługiwał. Było to przy kilku świadkach, którzy oniemieli, a milczenie, jakie zapanowało, zamiast mnie onieśmielić, dało mi tym więcej siły.

Opowiem ci szczegóły, mój jedyny: wiedz, że jesteś pomszczony należycie; nigdy energiczniej nie wykonano aktu sprawiedliwości. Poczciwy Condorcet, pan de Saint-

¹⁰⁹nie pojedę do Wersalu (...) byłabym na torturach przez cały czas przedstawienia — *Hetmana Bourbon* wystawiono po raz drugi w Wersalu 30 grudnia 1775. [przypis tłumacza]

-Chamans zaświadczą, jeżeli trzeba; to, co ty byś dodał, zmniejszyłoby winy pana de la Harpe. Pomówimy o tym, ale uspokój się, jesteś pomszczony, a ten, którego ukarano, kaja się z głębi duszy.

Zapomniałam ci powiedzieć, abys zawczasu pomyślał o zabezpieczeniu łoża, o którą cię prosiłam: co więcej chciałam cztery bilety parterowe; przez litość, nie zapomnij. Prosiłam cię o *Merkurego*, ponieważ miałam nadzieję, że zrozumiesz, że to znaczy prośbę, abys napisał do mnie słówko przed wyjazdem, aleś mnie nie zrozumiał, i w jakim sposobie odczułbyś moją myśl? Nie byłeś tego rana ze mną, mimo żeś był w moim pokoju. Byłeś uszczęśliwiony, iż ktoś wszedł, to mi odejmowało możliwość zatrzymywania cię. Mój przyjacielu, czy to interesa czy sympatie twoje odrywały cię tak przemożnie od tej, która cię kocha najbardziej na ziemi? Lepiej byś się obchodził z panią de M. i w istocie pragnę tego: ja jedna tylko powinnam cierpieć od ciebie i przez ciebie, ponieważ tylko ja jedna kocham cię dosyć, aby cię kochać zawsze.

Mój przyjacielu, nie zakaszlałam ani razu od wczoraj, to zakrawa na cud. Od czasu proroka Eliasza, który wskrzesił dziecię Sulamitki¹¹⁰, kładąc ręce na jego ręce, oczy na oczy, usta na usta i robiąc się małym jak ono, nie widziałam nic równie cudownego jak to ustanie kaszlu; nie wiem, co się stało z podrażnieniem płuc; nie ma już proroków, ale są cuda, to wystarcza.

Przypominasz sobie, że przyrzekłeś napisać do mnie po rozstaniu z panem de Saint-Germain; czy potrafisz spełnić wszystko, aby list w istocie był wysłany i doszedł moich rąk?

Czy wiesz, zawiązałam dziś nową znajomość; poznałam najbardziej uroczą kobietę, jaką widziałam w życiu. Gdybym miała odżyć jeszcze raz i dano by mi wybór twarzy, wejrzenia, tonu, słowem całej postaci, powiedziałabym, bez wahania i bez myśli o wszystkim, co chwalono, sławiono i wielbiono od czasu, jak istnieje piękno, powiedziałabym: dajcie mi fizjognomię i urok tej kobiety, ale pod warunkiem, że to jej nie odejmie nic, tyle bowiem budzi sympatii. Tak, czuję do niej niewysłowiony pociąg; gdyby chciała, kochałabym ją do szaleństwa przez tych niewiele chwil, które mi zostają. Ale rozumie się, będzie miała co lepszego do roboty.

Drogi mój, gdyby ta kobieta była twoją żoną, umarłabym albo też ubóstwiałabym ją, jest bowiem prosta, skromna, naturalna. Widziałam ją po raz pierwszy dziś popołudniu, a mam uczucie, że znałam ją zawsze, tak rozmowa szła nam łatwo. Byłyśmy prawie same i dobrze nam było; słuchając jej i patrząc na nią, mówiłam sobie: „Och! czemuż to nie jest pani de Chatillon?”. Ale wariatka ze mnie i oto uprzedziłam cię przeciw najbardziej miłej i uroczej istocie na ziemi. Toteż ani mi w głowie nazwać ci ją; chcę, abys odgadł, jeśli ją spotkasz u mnie.

Miły mój, nie miałbyś czasu słuchać, że cię kocham, a ja jestem na tyle niedorzeczna, aby ci opowiadać odruch serca, który ci się nie będzie podobał, ponieważ ci się wyda przesadny. Ach! czyliż chorzy i nieszczęśliwi znają miarę? Ale nie wyrzucaj mi, że odnalazłam iskierkę ognia, który ożywił mnie niegdyś! To owo żywe poczucie uroku innych dawało im wierzyć w mój własny urok; od dawna już wnoszę w towarzystwo martwą śmierć; ty jeden dajesz mi czuć, że istnieję, czy to przez ból czy przyjemność. Mam trochę gorączki, ale jest mi o wiele lepiej. Dobranoc.

Przyjemność, jaką mi sprawiła ta kobieta, nie przeszkodziła mi pamiętać, że bawiłeś bardzo blisko mnie dziś popołudniu: z pewnością byłabym cię odwiedziła, gdybym była na twoim miejscu, ale co za różnica!

LIST CLXXI

Środa po północy, grudzień 1775

Chcesz wiadomości o mnie, drogi *Edmundzie*¹¹¹? Ale czy to bardzo pewne, że mego listu oczekujesz? Czy jesteś na tyle szczęśliwy, aby się czuć ożywiony dość skrzystalizowa-

¹¹⁰Od czasu proroka Eliasza, który wskrzesił dziecię Sulamitki — wg Biblii prorok Eliasz wskrzesił syna mieszkanki fenickiego miasta Sarepta, por. 1Krl 17, 8–22. [przypis edytorski]

¹¹¹drogi *Edmundzie* — aluzja do przytoczonej poprzednio powieści [*Zepsuty chłopak* Retifa de la Bretonne]. [przypis tłumacza]

nym, dość wyraźnym uczuciem, pozwalającym twej myśli i pragnieniu zatrzymać się na jednym przedmiocie? Oczywiście, nie roszczę sobie praw, ani zasługując na to, winna bym mieć pierwszeństwo, ponieważ wydaje mi się, że przyjaźń ożywia się w chwili rozstania: względy już nie obowiązują; co sprawia, że niemal każdego umierającego kocha się i oplakuje. Nie jest z pewnością tak samo z żywymi i umarłymi.

Mniejsza z tym, drogi mój: chcesz, aby pisać do ciebie, więc piszę. Wymagasz istotnie cudów: jestem martwa i od strasznego kaszlu, który trwał trzydzieści godzin, i od kilku granów opium. Zażyte w tej dawce opium uspokaja mnie na sposób głowy Meduzy: jestem skamieniała, bez ruchu; nie mam prawie świadomości siebie; wszystko, co widzę, jest dla mnie jedynie latarnią magiczną. Osobliwy stan, być tak umarłą jeszcze za życia! Przypominałam sobie, żem cierpiała; wiedziałam, że to ty byłeś sprawcą mych cierpień; ale czułam w sobie stopień dobroci przewyższający ową dobrą owieczkę; nie wiedziałam już nic, że istnieją źli i że dobrzy muszą dźwigać poświęcenia i stawać się ofiarami; jeszcze mniej wiedziałam, że istnieją szlachetni ludzie, którzy gnębią i skazują na śmierć tych, którzy ich kochają; zapominałam tego wszystkiego; czyż opium nie więcej warte od pełni rozsądku?

Drogi mój, czuję się tak złamana, duch mój i siły są tak wyczerpane, iż wydaje mi się, że życie moje zawisło już tylko od twej obecności. Tak, wierzę, że gdybyś przeciągnął podróż o miesiąc, to byłby już koniec, dogasłabym. Dlaczegoś wrócił? Dlaczego nie miałbyś dość dobroci i współczucia, aby przeciągnąć nieobecność i w ten sposób zakończyć walkę, która mnie trawi i czyni moje życie długą agonią?

Tak, drogi *Edmundzie*, czuję jeszcze wszystkie przykrości, niesmaki, cierpienia związane z głębokim uczuciem i niemożliwą sytuacją: czuję w każdej chwili, iż serce moje zamyka się dla wszystkiego, co jest przyjemnością.

Tak, miły mój, czekam cię, pragnę, dusza moja, myśl biegną za tobą; przybywasz i często serce moje zostaje zimne, cierpienia fizyczne pochłaniają mnie; chciałabym być z tobą, a one są mocniejsze od ciebie i ode mnie. Och, cóż za straszna rzecz, ten rozkład ludzkiej maszyny!

Mój przyjacielu, mam nadzieję, że przeczytasz ten list, dlatego mówię ci zawczasu, bardzo zawczasu, abyś zapisał u odźwiernego Komedii Francuskiej w niedzielę na próbę panią *Le Droit* i kazał dla niej zamknąć łóżę. Zapiszesz również nazwisko ks. Mileau; a także moją łóżę i wreszcie moje trzy fotele na parterze. Och! męczy mnie śmiertelnie ten *Hetman*. Mój Boże, cóż za piękne rzeczy są w roli *Adelajdy*! O jakąż okropną noc przyprowadziła mnie jej śmierć! I wszyscy ci ludzie będą sobie wieczerać jak zwyczajnie! Cóż za głupcy są ci, co mają tylko inteligencję, a cóż za ohydna rzecz ci, co jej nie mają!

Jedyny mój, kiedy będę miała list? Kiedy dowiem się o twym powrocie? Zastaniesz mnie w łóżku; mają mi puszczać krew, kiedy już wyparuje z niej opium.

Powiedziałam ci zatem bardzo twarde prawdy? Miałaś słuszność, że się nie pogniwałeś, ale nie masz słuszności, że mi nie wierzysz w niczym; a przysięgam ci, nie przez próżność się tym martwię. Uważam, że pozwalasz sobie robić wiele rzeczy pospolitych, małych, które wydają cię na łup próżniaczych języków modnego świata i które przesłonią na jakiś czas twą istotną wartość. Gdyby olbrzym jarmarczny zachowywał się jak karzeł, śmiano by się zeń, oglądano by go, obracano na wszystkie strony, a potem powiedziano by: „A przecież to olbrzym? Czyniąc się karłem stał się śmieszny; mimo to trzeba przyznać, iż to szaleństwo nie odjęło mu wielkości i siły”.

Streszczając się, drogi *Edmundzie*, nie uraczę cię, jak czarująca pani Parangon, traktatem o teologii i Nieśmiertelności; jestem zupełnie rada z twej religii; wyznaję tę samą, jesteś moim apostołem i Bogiem; ale chciałabym, aby mój miły, tak wyższy nad innych ludzi pod tyłoma względami, nie czuł się zobowiązany do głupstw i błahostek, które stanowią całą wartość miernoty, ale które są bardzo lichą ozdobą dla zasługi i talentu.

Nie przypuszczaj, iż mam złudzenia: nie odesłałeś mi listów, ponieważ po prostu nie wiedziałeś, gdzie są. Cóż za niedbałość! Co za lekkomyślność! Upewniam cię, że jesteś młodszy niż twój wiek i że pod wielu względami nie dorośniesz na włos ani za sześćdziesiąt lat.

Do widzenia i dzień dobry, drogi mój, jest już bowiem bardzo rano.

LIST CLXXII

Czwartek jedenasta wieczór, grudzień 1775

Ha! mój ojczu! Zabijasz mnie; mniej okrutny byłeś wczoraj. Och! pozwól mi się wyleczyć lub umrzeć. Nie usprawiedliwaj się. Nie, mój przyjacielu, jeżeli nie umarłeś, jeżeli nie ocalałeś życia nikomu, nie ma wymówki. Och, Boże mój! umieram; dusza moja już nie włada nad sobą; rozplomieniłeś ją dziś rano i opuszczasz mnie! Drogi mój, przeczuwam, że zmusisz mnie pewnego dnia, aby ci uczynić wielkie zmartwienie; ach, może doznasz ulgi. Och, ileż ta myśl daje mi siły! Ale, drogi mój, jeśli ja cię uwolnię od siebie, kto cię uwolni od wyrzutów?

Zrobiłam zawód pani de Saint-Chamans dziś wieczór, odprawiłam przyjaciół. Jutro zamykam się od południa aż do drugiej; ktoś zapowiedział się do mnie już od dwóch tygodni. Dobranoc. Obyś mógł spać i kosztować tyłu przyjemności, ile mnie zadałeś tortur i niepokoju! Nie, nie rozumiem, w jaki sposób nie umiera się od natężenia myśli!

Nie przychodź jutro rano.

LIST CLXXIII

Piątek, grudzień 1775

Cóż ci powiem, doprawdy? Gdybym powiedziała to, co myślę, zraniłabym cię i byłoby mi przykro. Nie umiem jednak niczym zastąpić prawdy; trzeba zatem milczeć. Pani de M. skarży się, ja milczę: to musi ci bardziej dogadzać.

Nie jesteś szczęśliwy; jesteś niespokojny, podrażniony; od czasu jak już nie mogę nic dla twego spokoju i szczęścia, usposobienie twoje jest dla mnie jedynie męką, która nuży mą duszę. Nie tylko nie pocieszasz mnie w nieszczęściu, ale dodajesz udręczeń; odrywasz mnie od mej boleści, sprawiając mi inną, bardziej ostrą, z rodzaju, którego nienawidzę, ponieważ mięsza się doń zawsze miłość własna i ponieważ, drażniąc wrażliwość, wyczerpuje ją.

Nie będę wchodzić w bliższe wyjaśnienia; są bezcelowe. Mówiłam ci kiedyś: potępiam się o wiele więcej niż ciebie; powinna bym cię znać i powinna bym woleć truciznę, która zabija w dwadzieścia cztery godziny, od tej, którą ty mi ofiarujesz i która strawi moje życie przez żal, zgryzotę i wyrzuty.

Jeżeli masz być jutro na owym czytaniu, trzeba by ci jechać do Wersalu aż w poniedziałek. Sądzę, że dla spraw, które cię tam wzywają, równie na czas będzie w poniedziałek co w niedzielę.

Jednak jak zechcesz.

LIST CLXXIV

Wtorek 11 wieczór, grudzień 1775

Od czasu jak cię pożegnałam, drogi mój, widziałam wiele osób, słyszałam rozmowy o tym, co w obecnej chwili jest najważniejsze; słuchałam dobrze, byli to bowiem ludzie, którzy znali to, o czym mówili. Wywnioskowałam z tego, że tym głupim, nieszczęśliwym rodzajem ludzkim bardzo trudno jest rządzić, wówczas zwłaszcza kiedy go kto chce uczynić lepszym i szczęśliwszym! Ale jako ostatni *wynik* spostrzegłam, że pan de Saint-Germain nie mówi ci wszystkiego i życzyłabym, aby ci dochował sekretu równie dobrze jak innym; nie mówię tego na wiatr.

Pragnęłabym, abyś przyszedł zjeść ze mną obiad jutro, ale nie śmiem nalegać; przede wszystkim dlatego, iż to, co tobie odpowiada, miłsze mi jest niż własna przyjemność; to nie jest ściśle prawdziwe, ale z wyrazami uczuć jest tak jak z dowcipem i z grą słów: nie trzeba ich nigdy ścisnąć ani analizować.

Ale przypominam sobie, iż zostawiłam w powietrzu jakieś *po pierwsze*, które wymaga następnej racji; oto jest: mianowicie, iż nie nalegając na pana, będę uszczęśliwiona, skoro

przyjdiesz, a oszczędzam sobie przykrości odmowy; trzeba dbać o siebie, skoro się jest tak wątłą jak ja. Gdybyś wiedział, jak kaszlałam! I jaka przemiała osoba ubolewała nade mną, pielęgnowała mnie! Doprawdy, zajęła mnie tak dalece, iż pozwoliła mi zapomnieć nieco o swoich cierpieniach. Tak, po tobie, ale o wiele po tobie, to jest ktoś, kto mi jest najbardziej miły w świecie: *zrozum dobrze*, nie mówię o miłości ani przywiązaniu: jedynie o sympatii i powabie. Spędziłam z tą osobą godzinę sam na sam; och, co on, to umie mówić o tym, co czyta, a nie potrzebuje tej ucieczki, czuje sam i myśli.

Mój przyjacielu, jestem we czwartek na obiedzie w pałacu la Rochefoucauld; byłoby mi bardzo słodko spotkać ciebie, ale Wersal... Nim się tam wybierzesz, powinien byś koniecznie zapisać na liście Komedii Francuskiej nazwiska, które tu dołączam; a gdyby było możliwe, powinien byś przywieźć z Wersalu łożę i trzy bilety parterowe. Rozumiem dobrze, że ta wytrwałość, ta waga, jaką przykładam do drobiazgu, musi cię gniewać albo niecierpliwic; mój drogi, twoim błędem jest, że nie jesteś do niej zdolny ani w wielkich, ani w małych rzeczach.

Należy mi się dziesięć listów przed wyjazdem. Jeżeli ich nie otrzymam — trzeba bowiem użyć *groźby*, tam gdzie prośba jest bezużyteczna — nie napiszę do ciebie ani wiersza cały miesiąc. Och, Boże, czuję, ile ty sobie robisz z moich gróźb i postanowień! Jeżeli mnie nie uważasz za najfałszywszą z istot, musisz mnie mieć za najslabszą i najbardziej kochającą.

Dobranoc, drogi mój. Aby móc rozmawiać z tobą przez chwilę, odprawiłam kogoś, kto nie spał tak jak ty, kogo nie nudziłam, jak ciebie nudzę, ale kto nie mógł zatrzymać mej uwagi, ponieważ chciałam mówić z tobą.

Mimo to nie bardzo lubię pisać do ciebie do Paryża; jesteś tak zajęty, odpowiadasz tak mało i tak lichy, tak mało jesteś ze mną, kiedy ja jestem z tobą, słowem, czynisz tak doskonale wszystko, co trzeba, aby być miłym, a nie kochanym, że umieram z chęci dostrojenia się do tego tonu. To ostatnia ucieczka, która mi została, aby próbować uleczyć swą duszę i dać ulgę piersiom i wnętrznościom. Okrutnie dolegają mi w tej chwili.

Niech mi pan odeśle czwarty tom.

LIST CLXXV

Czwartek 11 wieczór, grudzień 1775

Mimo przynębnienia ucieszyłam się żywo, otrzymując o piątej po południu odpowiedź na list, który napisałam o piątej rano. Oto co jest miłe w wielkich miastach, a w Paryżu ponad wszystkie: nie zapomniano w nich niczego, co może służyć dla wygody i pożytku.

Mój przyjacielu, dajesz w istocie znakomite rady! czy dyktuje ci je wrażliwość, czy też znużenie moimi cierpieniami, nie zostaje mi nic lepszego, powiadasz słusznie, niż spróbować ich. Traktujesz mój kaszel, moje wychudzenie, zrujnowany żołądek, bezsenność, podrażnienie wnętrzności, słowem całą całkowitą ruinę, jakbyś traktował kaprysy wszystkich tych pięknych pań ustrojonych w pióra, ich głowy w kształt pagody, ich brodenie na szczudłach, słowem wszystkie ich niedorzeczności. Namawiasz mnie, abym ozdrowiała, tak jakbyś je namawiał, aby się poprawiły.

Mój przyjacielu, jesteś bardzo młody; oto co z tego widzę — nie mogę bowiem powiedzieć, że jesteś bardzo zimny i bardzo obojętny — jeżeli nie rozumiesz, że jestem ugodzona na śmierć i że chodzi tylko o nieco mniej lub więcej czasu. Wierz mi, ani moja wola, ani nic w naturze nie miałoby już mocy ocalenia mnie; nie, ani zmartwychwstanie pana de Mora, które byłoby dla mej duszy najwyższym dobrem, nie mogłoby już zmienić mego losu. Ha! gdyby ten cud się ziścił, jakże śmierć zdałaby mi się okropna! Znał mnie jedynie w pełni pragnienia i rozkoszy życia.

Ale, mój przyjacielu, oskarżam się, czynię sobie wyrzuty, jestem zbyt słaba, męczę cię; moje cierpienia, nieszczęścia ciążyą na twojej duszy. Nie chcę już, abys wiedział, co ja cierpię; skoro przestanę ci o tym mówić, wrażliwość twoja nie będzie wystawiona na tak ciężkie próby, będziesz myślał, że poszłam za twoją radą. Wyda ci się, że lepiej wyglądam i, co o wiele ważniejsze, wydam ci się mniej nudna. Dobrze, uczynię jak *Sozja*, wznieczę w sobie odwagę z rozsądku. Przyrzekam ci, że zdobędę się nawet na wesołość, to sztuka

icie nad siły. Mniej kaszlałam dziś; jeżeli noc minie tak samo, odwłoką puszczenie krwi jako ostateczną ucieczkę.

Nie, hrabia de Crillon nie wziął ci tego za złe; powiedział uczciwie, że byłby uczynił jak ty, ale jeżeli chcesz wszystko naprawić, bądź tam na obiedzie we czwartek, dasz mi siłę do wyjścia z domu.

Och, bardzo mnie to martwi, że zaczynają słabnąć: powinien być silnym ten, kto ma całą władzę; jeżeli zdradzi lęk, wszystko przepadło. Chcesz tedy *zmiążyć* wszystkich złych i głupich? Drogi mój, ta ambicja ma mniej blasku niż ambicja Aleksandra, ale z pewnością nie mniej jest rozległa.

Nie ma zatem najmniejszego punktu styczności między panem de Guibert a *Edmundem*? Jakże słodko byłoby mi znaleźć podobieństwo między tobą a *Gonsalwą*! O, mój drogi Gonsalwo, władztwo świata, bogactwa Peru, nie zdołałyby skusić twej duszy, gdyby to miało kosztować kwadrans spokoju tę, która była ci drogą!

Bądź zdrow, drogi. Jest ci tak spieszo, jesteś tak zajęty, że bezwzględnością byłoby zatrzymywać cię.

Jakże bym chciała wiedzieć, czy wracasz jutro! Jak bym cię chciała widzieć! Jak bym chciała... niemożliwości.

LIST CLXXVI

Czwartek, szósta wieczór, styczeń, 1776

Nie chcę, drogi mój, abyś w ciągu tych niewielu dni, które zostały, mógł przeżyć bodaj jedną dobę, nie wspomniawszy, iż kocha cię do szaleństwa najnieszcześniejsza ze wszystkich istot. Tak, miły mój, kocham cię, chcę, aby ta smutna prawda ściagała cię, aby mąciła twoje szczęście; chcę, aby trucizna, która ocaliła mi życie, która je zjada i która bez wątpienia je zakończy, rozlała w twej duszy ową bolesną tkliwość i nastroiła bodaj do żalowania tej, która kochała cię najbardziej namiętnie i czule. Bądź zdrow, jedyny, nie kochaj mnie, skoro to byłoby przeciw twym obowiązkom i przeciw twej woli, lecz cierp, abym ja cię kochała i abym ci to powtarzała sto razy, tysiąc razy, ale nigdy z akcentem, który by oddał, co czuję.

Drogi mój, przyjdź jutro na obiad do pani Geoffrin. Tak mało mam życia przed sobą, że nic z tego, co dla mnie uczynisz, nie nałoży ci brzemienia na przyszłość. Mój Boże, przyszłość! Jakże żałowałabym tych, które by oczekiwały jej, kochając cię.

Ale do widzenia! Mam gości. Jak ciężko żyć wśród ludzi, kiedy się ma jedną tylko myśl!

LIST CLXXVII

Czwartek, jedenasta wieczór, styczeń 1776

Dobry wieczór, drogi mój. Jak się miewa całe twoje duchowe i materialne jestestwo? Mam nadzieję, że hrabia de Saint-Germain stał się lekarzem twej duszy, ale niespokojna jestem o gardło i wnętrności. Co do mnie, *zawlokłam się* — wyrażenie zupełnie ścisłe — do ambasadora; miałam gorączkę całą noc; kaszlałam tak, że głużyłam dwadzieścia cztery osób, które tam były. Wróciłam, miałam konwulsje tak gwałtowne, że nic z obiadu nie zostało w żołądku; wymiotowałam wśród straszliwych męczarni. To wstrząśnienie przypawiło mnie o gorączkę daleko jeszcze silniejszą niż wczorajsza. Oto przynajmniej wyrok moich dwóch lekarzy, d'Anleziego i la Rochefoucaulda, którzy opuścili mnie przed chwilą. Wierzę im zresztą i nie potrzebowałam ich, aby wiedzieć, że mam gorączkę.

Mój przyjacielu, pan d'Alembert doręczy ci ten list; będzie się jeszcze widział z tym panem tak trudnym do porozumienia; zawstydzona jestem kłopotami, które sobie zadajesz w tej sprawie. Proszę cię wszelako, abyś mnie nie opuszczał aż do chwili, w której ujrzysz, że jestem stracona, to znaczy aż do podpisania umowy. Przypilnuj warunków i klauzul, które chcę, aby pomieszczono, i przeprowadź całą rzecz z możebną ścisłością¹¹².

¹¹²(...) *do podpisania umowy. Przypilnuj warunków i klauzul* (...) — chodziło o podpisanie kontraktu nowego mieszkania panny de Lespinasse, którego wszakże nie zdążyła już objąć. [przypis tłumacza]

Po tych szczegółach nie dodam jak ów człowiek, który z oddalenia zasypywał przyjaciela interesami, zleceniami: „Drogi przyjacielu, załatw z wielką ścisłością i uwagą to, o co cię proszę, *bardzo bowiem interesuję się wszystkim, co mnie dotyczy*”. Doprawdy, nie znajduję w sobie ani dla siebie głównego przedmiotu zainteresowania. Kiedy się kochało, kiedy się straciło istotę, która nas kochała, czy może zostać jakieś zainteresowanie sobą? Mój Boże, ja mam już w życiu tylko jedno: uciekać przed tym, co mi zadaje ból, a tym samym uwolnić się od jedyne go zła, które przygniata nieszczęśliwych: życia.

Jedyny mój, zrobiłam ci przykrość wczoraj, mówiąc ci o tobie, pokazując ci, do jakiego stopnia rozdierają mą duszę oszczerstwa i niesprawiedliwości, których jesteś przedmiotem. Zadałam ci ból, udowadniając, że cieszyłbyś się najwyższym ze wszystkich dóbr, gdybyś raczył je ocenić, mianowicie doskonałą miłością gorącej i tkliwej duszy. Ale bardzo mi to przykro i doprawdy jedynie dla ciebie, co do mnie bowiem, oderwałam się zupełnie od siebie i od swego szczęścia; ale też bardzo mi przykro, iż widzę cię tak czułym na ludzkie mniemania, którymi wprzód gardziłeś w tak jaskrawy sposób. Miej dziś siłę, którą miałeś wówczas, a użyjesz jej lepiej.

Bądź zdrow. Są rzeczy, które chciałabym wymazać ze wspomnienia, wykroić z życia; mianowicie to, co ja uczyniłam dla ciebie, a co ty uczyniłeś przeciw mnie. Mówiłeś mi z większą uprzejmością niż prawdą, że podpisując umowę, podpiszę kontrakt *twego szczęścia*; mój przyjacielu, ten, który mógł podpisać mój wyrok śmierci 1-go maja, nie znajdzie już szczęścia ze mną. Gdyby miał charakter i serce, nie byłby zdolny podtrzymać mego życia po swojej zniewadze; a ja, gdybym miała uczciwość, siłę i godność, jaką nieszczęście powinno dawać hardej duszy, byłabym je odrzuciła i odepchnęła ze wstrętem. Dusza moja wzdraga się, drżę od stóp do głowy na myśl o steku upokorzeń, w jakie mnie wtrąciłeś. Nie sil się zachodzić do mnie jutro rano.

Odnieś mi, jeśli łaska, moje listy. Czy zbyt wiele wymagam? Chcę jedynie uniknąć hańby i ubezpieczyć twój spokój.

LIST CLXXVIII

Piątek, styczeń 1776

Drogi mój, ledwie mogę wierzyć, że nie jestem ci utrapionym ciężarem. Jakaż to pocieszająca myśl, skoro się pisze do ukochanej istoty. Och, tak, gdybym miała żyć, trzeba by mi całkiem oderwać się od ciebie; nadto zrobiłeś się mężem stanu: masz wszystkie dotkliwe strony ministrów i nie masz już czasu dla towarzystwa, w chwilach zaś, których używasz przyjaźni, nawet najpoufniejszych, nie można ściągnąć twej uwagi, wciąż pochłaniają ją sprawy, którymi jesteś zajęty.

Ta uwaga, to nie krytyka; twoje talenty, dary, powinny w istocie wypełnić twe życie; jesteś zbyt czynny, a za mało tkliwy, aby się ograniczyć do życia zwyczajnych ludzi; trzeba koniecznie grać ci rolę, chociażby nie było widzów.

Mój Boże, cóż za omyłka! Całe życie nienawidziłam ambicji i ambitnych; usposobienie to było we mnie tak szczere i głębokie, iż ubezpieczyło mnie od wpływu człowieka ze wszech miar godnego kochania i pełnego dla mnie uroku; ale ta namiętność polityczna, ta potrzeba działania, zwiastowały mi duszę bardzo oschłą i wielką próżność. Drogi mój, nie powstrzymam cię z pewnością, ale oświadczam ci, że już nie zaznasz innych słodczy prócz tych, których mogą kosztować ludzie ambitni. Sądzisz bez wątpienia, że to miłość dobrego cię pociąga; nie ludź się w tej mierze: to interes osobisty, to niemożność zostania w tłumie. Podniósłszy skalę tego wszystkiego, można to nazwać szlachetną dumą i poczuciem własnych sił, które sprawia, że chciałbyś kroczyć lekko po głowach całego świata. Sposób życia równie dobry jak każdy inny. Człowiek ściąga na siebie nienawiść, potwarz; zrazu odczuwa nieco przykrości, później obojętnieje na nienawiść, jak zobojętniał na miłość, stawia się wyżej opinii i nazywa to: stać się silnym.

Więc dobrze, po tych rozważaniach, będziesz ambitnym, ponieważ natura przeznaczyła cię do tego, a z pewnością ty wspierasz ją ze wszystkich sił; ale ja, czy wiesz, jaką mam nadzieję? To iż nie będę świadkiem twej chwały; iż ścieżka, którą obrałeś, aby dojść do niej, zada mi jeszcze trochę męki, ale wzięłam tak dobre tempo, iż jestem pewna,

że odbędę swą drogę wcześniej niż ty twoją, a ręczę ci, że raz dobiwszy do kresu, nie odwrócę głowy, złożę dziękczynienie bogom.

Ale, mój przyjacielu, czy myśmy się pojednali wczoraj? Miałam uczucie, że jestem o tysiąc mil od ciebie. To mnie gnębiło straszliwie; imię twoje było w mym sercu, sądziłam, iż zaznam nieco słodczy, a tymczasem widziałam jedynie człowieka roztargnionego, żadnego mnie opuścić. Mój Boże, i ty mówisz, że mnie kochasz! Zapomnij tych słów, nie wymawiaj ich już, nadto poruszają mi serce, a zawsze jedynie po to, aby lepiej dać mi uczuć me nieszczęście.

Dobranoc, drogi. Nie zobaczę cię jutro, widzę to już. Dziś była praca; jutro żona, a potem polityka, Wersal... Masz niewątpliwie zawsze słuszność, ale ta słuszność sprawia, że ginę w konwulsjach, mimo wszelkich starań, aby po prostu zgasnąć. Nieprawdaż, nie masz czasu, aby mi odpowiedzieć.

Och, Boże, czemu kto inny nie jest tobą? Ale to byłoby za późno; to by mnie przejęło wstrętem do śmierci, która jest tuż, tuż koło mnie.

LIST CLXXIX

Sobota rano, styczeń 1776

Marznę, drzę, umieram z zimna, jestem cała w potach. Ożywiasz we mnie ten organ, który jest najbardziej chory; serce moje jest zimne, ściśnięte i zbolale i powiem jak ta szalona z Bedlam: *Boli tak, że wreszcie pęknie.*

Drogi mój, mam wrażenie, że upłynął wiek od wczoraj rana i boję się, że nie dotrвам do wieczora: zobaczę cię, doznam zatem ulgi. Mój Boże, nie mam już dość sił dla mej duszy: zabija mnie!

Dzień dobry, miły mój, kocham cię lepiej i bardziej, niż ty mnie kiedykolwiek kochałeś. Tak, kaszlałam, męczyłam się, ale zobaczę ciebie. Będziesz zajęty aż do wieczora, ja zaś będę miała tylko jedną myśl, która każe mi powtarzać bez ustanku:

Jakże wolno godziny nieszczęśliwym płyną!

Drogi mój, rozważ, czy chcesz być ze mną na obiedzie jutro lub w poniedziałek u hrabiego de Crillon; wybierz dzień: wolałabym raczej poniedziałek, ale twoja wola rozstrzygnie.

LIST CLXXX

Wpół do dziewiątej, styczeń 1776

Wiem dobrze, piszesz czarujące bileciki, ale zabijasz mnie. Zimno mi, tak zimno, że mój termometr jest o dwadzieścia stopni niżej termometru Reaumura. To skoncentrowane zimno, ten stan ustawicznej tortury wtrąca mnie w tak głębokie, całkowite zniechęcenie, że nie mam już sił pragnąć niczego lepszego. W istocie, czego pragnąć? To, co zostaje przede mną, nie więcej warte niż to, czego doświadczam. Och, tak, trzeba dokończyć dzieła unicestwienia. Nie odtrącam ani twego współczucia, ani twej szlachetności; sądziłabym, że ci krzywdę uczynię, odsuwając je. Trzeba, byś zachował złudzenie, iż możesz mi ulżyć; odruch ten byłby naturalny wobec wroga, którego się powaliło!

Mam gości w tej chwili. Przed czwartą była osoba, której oczekiwałam.

LIST CLXXXI

Jedenasta wieczór, styczeń 1776

W tej chwili otrzymałam twój bilecik; zostawiono go u odźwiernego, nie wiem nawet, o której godzinie. We wszystkim jestem nieszczęśliwa; to co mi sprawia przyjemność, jest rzadkie, a to co przynosi ulgę, przychodzi tak późno!

Nie wstałam dziś z łóżka, nie widziałam nikogo, położyłam się wczoraj z gorączką i okropnym bólem głowy; dziś rano byłam jeszcze bardziej cierpiąca, znów miałam silną gorączkę. Dusza moja jest smutna, ale martwa; chciałabym bardzo nie obudzić się jutro, a nie znalazłabym siły, aby wyjść naprzeciw śmierci. Kocham cię, a równocześnie schwyliłam się dziś dwadzieścia razy na pragnieniu, abys mi uczynił tyle złego, ile trzeba, by mnie skłonić do wyzwolenia się od wyrzutów i żalów, które mnie zjadają. Umieram po troszku, dajesz mi poznać wszystkie konwulsje i lęki agonii.

Powiedz, czy *Tenon* to nie jest bystry człowiek! Któregoś rana rzekł, obmacawszy mi puls: „Zdarzyło się coś pani; miała pani zmartwienie, organizm doznał jakiegoś wstrząsu od wczoraj. Pani cierpienie nie pochodzi z pani, leży zewnątrz; widzę z żalem — dodał — iż medycyna i lekarze niezdolni są przynieść pani ulgi. To opium, które zapisuję, trzeba by wprowadzić nie we wnętrzości, ale w duszę”.

Osądź, drogi mój, jaką potęgę ma nieszczęście. Uderzyło nawet człowieka, który powinien by być zobojętniały na cierpienie. Ale ty, chciałabym, abys się odwrócił odeń; abys mnie opuścił; chciałabym zostać choćby dwa dni bez oparcia myśli o ciebie. Nie skarżyłabym się, błogosławiłabym cię, kochała, nagrodziłbyś zło, śmiem powiedzieć zbrodnię, jaką popełniłeś, przytrzymując mnie. Tak, to okrucieństwo pozwolić długo oddychać nieszczęśliwemu wplecionemu w koło; dobroć i szlachetność nakazuje zadać ostatni cios.

Nie waz się opuszczać swojej pracy, aby mnie widzieć; prześlij mi wiadomość o sobie. Bądź pewny, że ze wszystkich, którzy cię kochają, nikt nie pozwala sobie pragnąć równie mało jak ja. Twoja przyjemność, szczęście, a nawet rozrywka idą o wiele przede mną, upewniam cię o tym z głębi serca.

LIST CLXXXII

Niedziela, bardzo późno, luty 1776

Widzisz, drogi, tak wiedziałam! Jedna rzecz tylko budziła we mnie pewną wątpliwość, to że powiedziałam ci, abys nie przychodził; ale chwila cię porwała i bardzo rada jestem: ty miałeś przyjemność, a ja się nie nudziłam i nie miałam przykrości czekania na ciebie; toteż zaznaczam tylko, ale się nie skarzę.

Był u mnie przed chwilą ktoś, kto był dwa dni nieobecny. Mój przyjacielu, ty mnie *bardzo kochasz*, ale nie zadałeś mi dziś rano żadnego z pytań, którymi mnie zasypano: czy miałam gorączkę? czy lepiej spałam? ile napadów kaszlu miałam w ciągu doby? etc., etc. i czułam, że każde pytanie wymaga odpowiedzi.

Mój przyjacielu, wytłumacz mi, jeżeli możesz, w jaki sposób można zachować dla ciebie najłżejsze uczucie, skoro się jest pewnym, ale to pewnym aż do oczywistości, że to, co ty nazywasz *swoim uczuciem*, jest wyzute z zainteresowania, delikatności, względów, przyjaźni, słowem, wszystkiego, co odpowiada przywiązanej i tkliwej duszy?

Tak, jestem pewna, że jeżeli masz czas na to i jeżeli myślisz niekiedy o wszystkim, co tobie dają, i o tej odrobinie, której ty użyczasz, musisz czuć albo wielką litość, albo wielką wzdargę dla swoich ofiar. Co do mnie, jak widzisz, nie łudzę się, ale czynię o wiele gorzej, mogłabym ci powtarzać w każdej chwili:

 Zaślepic nie umiałeś, lecz uwieść umiałeś.

 Cóż za przekleństwo, mój Boże!

 Czy miałeś wieści o zdrowiu pana de Saint-Germain? Pan d'Anlezi wrócił dziś rano z Wersalu; mówił, że leży; dałby Bóg, aby żył, i dla ciebie, i dla Francji!

 I co? cóż tedy zwyciężyło dziś wieczór, pani de M., pani His czy praca? Trzeba się urodzić bardzo szczęśliwym, aby być wciąż w kłopotcie wyboru. Co do mnie, wyznaję, nie tak pojmowałam szczęście i gdybym miała żyć na nowo, nie takiego bym pragnęła; raczej może ono zadowolić próżność niż uczucie; ale wszyscy mają słusność, ty bardziej niż kto bądź inny, ponieważ jesteś zadowolony: wieszuję ci z szczerego serca.

 Co robisz jutro? Nie to, rozumie się, co miałeś robić, ale to co spodoba się pierwszej albo ostatniej z brzegu, i to słuszne, ponieważ właśnie między obiema jest moje miejsce. Jakże dziękowałabym niebu, gdybym, nim umrę, mogła wyrwać się z tego tercetu! W istocie, umarłyby chyba z wściekłości, gdybyś powiedział im całą prawdę: ja, stara,

brzydka, markotna, umierająca obok najbardziej miłych i uroczych istot w tym kraju! Wiesz, że ty masz smak przewrotny; przykro mi to dla ciebie, ja bowiem odchodzę, ale ty zostajesz ze swoim przewrotnym smakiem.

Miałam przyjemność bardzo słodką, bardzo szacowną; uściśkałam pana de Saint-Chamans. Ma się lepiej, ale nie jest zdrow i martwi się swym stanem, chciałby bowiem żyć.

Dziś cały dzień miałam mnóstwo ludzi; nie robiło mi to ani przyjemności, ani przykrości; nic nie mówiłam i kaszlałam mniej. Zawdzięczałam pani de Durtal syrop, który dziś i wczoraj zastąpił mi środki uśmierające; od trzech miesięcy żyłam samym opium, kazali mi je odsunąć.

Dobranoc. Widzisz, jak mnie przykuwa rozmowa z tobą, wszelako powinna bym być w łóżku. Nie bardzo się dostrajam do skwapliwości, z jaką opuściłeś mnie dziś rano.

LIST CLXXXIII

Piątek, luty 1776

Och, Boże, mylisz się, to nie ja jestem ci potrzebna! Ale mniejsza, skoro chcesz, będę czekała i spędzę z tobą wieczór; ale doprawdy, to znaczy poświęcić ci mój spokój. Żal mi go, ponieważ nie opłaci twojej przyjemności. Są dwie rzeczy w przyrodzie, które nie znoszą mierności, a ty sprowadzasz mnie do tej miary, której nienawidzę i która nie jest stworzona dla mej duszy.

Och! nieba, czemuż cię poznałam? Nie byłabym poznała wyrzutu i nie istniałabym już. I ot, spójrz, czym wypełniasz życie me i duszę! Nie czynię ci wymówek, ponieważ jestem zbyt pewna, że nie jest w twojej mocy dać szczęście tkliwej duszy, ale wyrażam ci szczerzy żal z przyczyny straszliwej omyłki, którą popełniłam.

Odnieś mi list pani de Boufflers i moje.

LIST XXXIV

Wtorek, luty 1776

Odprawiam pana de la Rochefoucauld, aby ci odpisać. Twoja dobroć, to żywe zainteresowanie wzrusza mnie niezmiernie, ale jeżeli uczucie, które masz dla mnie, jest ci przykre i bolesne, trzeba mi życzyć, aby ostygło, strasznym bowiem byłoby dla mnie wiedzieć, że cierpisz. Ha! obojgu nam trzeba mieć jeden i ten sam żal; dzień, który sprowadził nasze spotkanie, był to dzień bardzo złowrogi; czemuż nie umarłam w wilię!

Dzisiejszy dzień wypełniły mi bolesti i, co bardziej niezwykle, przygnębienie takie, jak nie wyobrażałam sobie, aby się mogło kojarzyć z równie żywym cierpieniem.

Jakąż bolesną przyjemność odczułam, oglądając panią Geoffrin! Jak mnie zasmuciła! Ujrzałam, iż jej koniec bliższy od mojego; nie byłam zdolna opanować łez. Ha! moje przywiązania są silniejsze, mają korzenie wprost w sercu. Zdawałoby się, że powinnam mieć już tylko jeden ból i jeden żal, a mimo to odnajduję często w duszy cały spłot przywiązań i trosk, które mnie rozdzierają.

Mój Boże, jeżeli nadal będziesz się przejmował moimi cierpieniami, sprawisz, iż trwanie ich wyda mi się nie do zniesienia! Znam cię dobrze, mój przyjacielu; agonja moja będzie dla ciebie męczarnią, śmierć ulgą. Ruchliwość twoich myśli ręczy mi, iż jesteś na zawsze bezpieczny od wielkich nieszczęść. Och, mój Boże, tym lepiej, błogosławię niebo za ciebie.

Jutro twój czwartek, nie zapomnij. Nie wiem, co mówię, to dopiero środa. Przyjdź tedy, drogi mój, jeżeli masz odwagę i dobroć, trzeba ich bowiem, aby znieść widowisko cierpień i zniechęcenia.

Dobranoc. Położę się do łóżka, z którego bym powinna już nie wstać.

LIST CLXXXV

Pólnoc, marzec 1776

Trzeba pisać do ciebie! Ależ, doprawdy, to prawie tak, jakbyś mi powiedział: trzeba wdrapać się na księżyc. Drogi mój, ustąpiłam i jeżeli czego mi żal, to tego, że ustąpiłam nie twojej jedynie prośbie; wydzierając mi to *tak*, doprowadzono mnie do tego, iż zalałam się łzami, przebaczysz mi to. Ale nie mogę się dość nadziwić; po co to upieranie się przy mym życiu. Odpowiadają mi wszyscy, iż nigdy nikt tak nie umiał kochać jak ja. Och! dobry Boże! ta zasługa zyskała mi w odpłatę trzydzieści lat cierpienia i potem, na końcu, śmierć! Nie wiem, czy to zachęci nasze upierzone damulki.

Przyjmę tedy doktora Bordeu jutro o czwartej, mam bowiem nóż na gardle. Nie przychodzi o tej godzinie.

Czy będziesz na balu? Właśnie dwa lata, jak w podobnym dniu i w okolicznościach jeżeli nie równie smutnych, to przynajmniej równie przejmujących, poszedłeś, rozstawszy się ze mną, na bal Opery. Tak, przypominam sobie dobrze, wylewałeś łzy w ciągu wieczora... Szczęśliwa lekkomyślność! Życzę ci jej i teraz; to by mi było dowodem, że twoje kiszki lepiej; ja w swoich czuję ogień i brzytwy.

Miałam dziś całą swoją gwardię; siedzieli we trzech aż do wpół do jedenastej, musiałam ich wyprawić. Położę się, trzeba mi było bowiem wstać. Dobranoc. Jesteś bardzo miły i gdyby nie głębokie doświadczenie, nie podobna by mi się nie wzruszyć; tyle starań, tyle ciepła, tak szczery ton i wyrazy uczucia, i to wszystko, dobry Boże, dla kogo? Dla istoty, którą śmierć wysłuchała wreszcie i przy której czuwa z dnia na dzień! Dlaczegoż tedy chciałbyś mnie uczynić tak niekonsekwentną?

Och, brakowałoby jeszcze dla dopełnienia mego okropnego losu, abym zaczęła żałować tego, czego nie mogę już zachować ani wstrzymać!

Bądź zdrow, drogi, proszę wiadomości.

LIST CLXXXVL

Piątek, wpół do jedenastej, marzec 1776

Nie mogłam ani czytać, ani pisać, ani dyktować o ósmej, kiedy dostałam twój bilecik. Miałam napad kaszlu i bóleści, który dozwolił mi otworzyć twój list dopiero za godzinę.

Dziś rano bóleści wymogły się w takim stopniu, że groziło mi zapalenie: wszystkiego próbowałam, aby osiągnąć ulgę, a w czasie tego napadu, rozumiesz, że drzwi moje musiały być zamknięte.

Arcybiskup Aix i dwie inne osoby przybyły na długo przed tobą. Och, dobry Boże, czemuż miałabym ciebie wykluczać? Dlatego, że nie byłeś wczoraj? Tego rodzaju odruchy, myśli, przychodzą jedynie wówczas, kiedy się ktoś czuje kochanym, a zwłaszcza kiedy oczekuje czegoś miłego; w moim zaś stanie nie ma o tym mowy: wzdycham jedynie do ulgi.

Dobranoc tedy: położę się. Nie przychodzi jutro rano, drzwi będą zamknięte do czwartej dla wszystkich bez wyjątku. Nie jestem już panią swoich cierpień, zawładnęły mną; poddaję się. Nie sądz z tego, że nie mam ochoty cię widzieć; ale do rozpacz mnie doprowadza ten smutek, w jakim spędzasz wieczór tutaj, podczas gdy gdzie indziej otaczają cię wszelkiego rodzaju przyjemności. Żadnych poświęceń, mój przyjacielu; chorzy nie pragną takich wysiłków, tak mało im one dają!

LIST CLXXXVII

Piątek, szósta wieczór, marzec 1776

Tak, rozumiem dobrze twą wspaniałomyślność. Chciałbyś, aby inny przywiązał mnie do życia lub przynajmniej wydarł mnie śmierci, na którą ty mnie skazałeś.

Ileż dziękczynień jestem ci winna! Uczucie nienawiści nie mogłoby się gorliwiej zająć mym szczęściem i spokojem. Dałoby Niebo, abyś na te awanse, tak nieprzystojne i niewczesne, odpowiedział był nienawiścią: to uczucie byłoby mniej złowrogie niż to, które cię pchnęło do ocalenia mi życia!

Ale nie to zgoła pragnęłam ci powiedzieć: chciałam podziękować za to, żeś mi przesłał wiadomości o sobie i że żądałeś ich ode mnie: są gorsze niż kiedykolwiek, ale i tak za dobre.

LIST CLXXXVIII

Dziesiąta wieczór, poniedziałek, kwiecień 1776

Mój przyjacielu, widziałeś mnie bardzo słabą, bardzo nieszczęśliwą; zazwyczaj obecność twoja zawieszła me cierpienia i tamuje łzy: dzisiaj upadałam i nie wiem, czy dusza czy ciało bardziej mi dolega. To usposobienie jest tak głębokie, że odsunęłam przed chwilą pociechy przyjaźni, wolałam być sama, napisać do ciebie słówko i położyć się; przełożyłam to nad słodycz skarżenia się i świadomości, że ktoś podziela mą boleść.

Przypomniałam sobie, powiedziałeś mi, że rad zostajesz w domu we *wtorki* i *czwartki*. Dobroć kazała ci zapomnieć o tym, ale zwracam ci słowo. Mój przyjacielu, nigdy mnie nie pragnęłam, abyś czynił dla mnie poświęcenia: niestety! widzisz, czy jestem w stanie kosztować czegokolwiek! Krzyczę ci tylko: nie rozdzieraj mej rany! Oto, do czego ograniczają się wszystkie me pragnienia. Zdaje mi się, że gdybyś chciał, twoje jazdy do Wersalu byłyby mniej częste. Mój przyjacielu, jeżeli cię zobaczę jutro, przynieś mi resztę swej podróży, moje listy i niebieską broszurę. Jeżeli masz ją pod ręką, daj lokajczykowi.

Drogi mój, podtrzymuj mnie, ale nie cierp, to by bowiem stało się mą najdotkliwszą zgryzotą.

Powtarzam ci pocziwie, po prostu, nie odbieraj jutrzejszego wieczoru rodzinie.

Jutro jest *Wtorek*.

LIST CLXXXIX

Maj 1776

To jesteś cały *ty*, bez żadnej miary! Posyłać dwa razy w nocy! Och, ty najlepszy i najbardziej lekki z ludzi! Uspokój się, powtarzam; przyspieszyłbyś moje cierpienia; twoje sprawiają mi wielki, wielki ból.

Wzięłam w tej chwili lekarstwo z krezki cielőcej, nie przyniosło mi jeszcze ulgi. Jestem w łóżku i często przyjdzie mi pomyśleć z bólem, że ty cierpisz. Nie przychodź przed południem, pochłonięta jestem krzątaniem koło swego zdrowia. Do widzenia.

LIST CXC

Sobota, o czwartej, maj 1776

Jesteś za dobry, zanadto miły; chciałbyś ożywić, podtrzymać duszę, która łamie się wreszcie pod ciężarem i trwaniem boleści. Czuję całą cenę tego, co mi ofiarujesz, ale niewarta już jestem tego.

Był czas, w którym miłość twoja wypełniłaby wszystkie me pragnienia; niestety! byłaby może stłumiła me żale lub przynajmniej złagodziła ich gorycz! Byłabym chciała żyć; dziś chcę już tylko umrzeć. Nie ma odpłaty, nie ma pociechy dla straty, którą poniosłam; nie trzeba było jej przeżyć. Oto, mój przyjacielu, jedyne uczucie goryczy, jakie mam w sercu wobec ciebie. Ale, mój Boże, ten nieszczęśliwy pęd, który mnie pociągnął ku tobie w owej chwili, ileż kosztował mnie łez, bólu i w końcu życie...

Chciałabym znać twą przyszłość; chciałabym bardzo, aby koleje twego życia układały się szczęśliwie, nigdy bowiem nie będziesz zbyt nieszczęśliwy przez swój charakter i uczucia. Otrzymałam twój list o pierwszej; miałam silną gorączkę. Nie umiem ci wyrazić, ile wysiłku i czasu kosztowało mnie przeczytanie go; nie chciałam odkładać do dziś, a przyprawiało mnie to prawie o szaleństwo.

Spodziewałam się wiadomości od ciebie dziś wieczór.

Bywaj zdrów, drogi; gdybym kiedy wróciła do życia, chciałabym jeszcze zużyć je na to, aby cię kochać, ale nie ma już czasu.

LIST CXCI¹¹³

Wtorek czwarta, maj 1776

Mój miły, kocham cię; to środek kojący, który usypia me bóle. Od ciebie jedynie zależy zmienić go w truciznę i będzie to ze wszystkich trucizn najszybsza i najgwałtowniejsza.

Niestety! tak mi ciężko żyć, że gotowa jestem błagać twej litości i wspaniałomyślności, aby mi użyczła tej pomocy. Zakończyłaby bolesną agonię, która niebawem zacięży nad twą duszą.

Och! drogi mój, spraw, abym ci zawdzięczała spokój; zaklinam cię na wszystko najświętsze, bądź okrutnym jeden raz!

Gasnę, bądź zdrow.

¹¹³List CXCI— prawdopodobnie ostatni, jaki panna de Lespinasse napisała. [przypis tłumacza]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/listy-panny-de-lespinasse>

Tekst opracowany na podstawie: Julie de Lespinasse, Listy panny de Lespinasse, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. drugie, Wydawnictwo Koziarnskich, Warszawa-Kraków [1925].

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Łukasza Jachowicza. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Agnieszka Żak, Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska, Wojciech Kottwica.

ISBN 978-83-288-0502-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).